Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/ostatnisiekierzy0000jikr

J. I. KRASZEWSKI

OSTATNI Z SIEKIERZYŃSKICH

HISTORJA SZLACHECKA

WARSZAWA, E. WENDE i S-KA
Poznań, Fiszer i Majewski. Łódź, Katowice, Ludwik Fiszer. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis"

Odbito w Zakł. Graficznych
„Drukarnia Bankowa"
Warszawa, Moniuszki 11
1925

Trzeba wiedzieć, że rodzina Siekierzyńskich tak dobrze jak inne szlacheckie, jeśli nie rodowodem nieprzerwanym, to herbem przynajmniej do XI wieku sięgnąć ma prawo... Na nieszczęście ksiądz Niesiecki dla zbytku familij o których pamiętać musiał, z powodu że były dobrodziejami oo. jezuitów, o Siekierzyńskich całkiem zapomniał i omyłki w tem nieprzebaczonej Bartosza Paprockiego i S. Okolskiego nie poprawił. Zaglądałem nawet do Suplementów i tam o Siekierzyńskich głucho; a że Bobrowiczowi nie było komu posłać wiadomości o zgasłej już rodzinie, odrodzony Niesiecki-Lipski zaniemiał także o mojej poczciwej szlachcie. Co dziwniejsza herb ich nawet heraldykom naszym nieznany, już to dlatego, że go z innemi łatwo pomięszać było, już iż sami tylko Siekierzyńscy go używali. Mieli oni w czerwonem polu prostą siekierę, jaką dzisiaj stróże drwa rąbią; nie okszę i nie topor, które całkiem inaczej wyglądają, ale narzędzie to niezmiernie starożytne, bo jak wiadomo w grobach tysiąc-letnich jeśli nie żelazne to krzemienne znajdują siekiery. Nad hełmem unosiła się taż sama siekiera...

Srogiej krzywdy, jaką heraldycy nasi wyrządzili

tej przezacnej i bardzo starożytnej rodzinie, inaczej sobie wytłumaczyć nie można, tylko późniejszem jej rozrodzeniem, i co za tem szło, ubóstwem; a może niechęcią osobistą. Tymczasem wiem to z pewnością od nieboszczyka pana Piotra Kornikowskiego, stolnika nurskiego, że Siekerzyńscy mieli się, nie bez słusznych racyj, za najstarszą może szlachtę w Polsce i swój klejnot zapomniany wyżej innych cenili. Powiadali oni, że pierwszy ich przodek Sobiesław Siekiera, za Bolesława Wielkiego, gdy z Pragi uchodzili w małym poczcie przed powstaniem narodowem, z poduszczenia niemieckiego wszczętem, bardzo walecznie króla bronił od Czechów i za owe męstwa dowody w herbie na polu krwawem siekierę otrzymał. Mianowany dowódcą, mając sobie nadane obszerne ziemie, założył miasteczko Siekierzyn i posiadał pięćdziesiąt wiosek, osadzonych jeńcami, z Rusi, Moraw, Łużyc i Niemców spędzonymi. Tenże nieboszczyk pan Piotr Kornikowski, stolnik nurski, który miał wielkie zachowanie u ostatniego z Siekierzyńskich i od niego to wszystko *directe* słyszał, opowiadał, że w familji ich zachowywało się nawet podanie, iż niegdyś tytułu książęcego używali, ale że *lapsu temporys*, przy rozdrobieniu majątku sami go dobrowolnie porzucili.

Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że w poczcie znakomitych rodzin *inter Comites et Barones* zaliczali się już w XIII w., jako świadczy akt bolesławski, w którym *Comes Sulislaus Sziekiera* jest wymieniony.

Siekierzyńscy, jakkolwiek im później zubożeć

przyszło, pamięć pochodzenia swego pielęgnowali starannie i stosowną dumą wieńczyli stronie. W domu ich widział pan stolnik nurski olbrzymiej wielkości, mocno sczerniałe *arbor genealogiae*, na którem z lędźwi leżącego na ręku spartego, w zbroję żelazną skutego i siekierę w ręku piastującego rycerza, wyrastał dąb (symboł długotrwałości) mający na liściach swych imiona wszystkich Siekierzyńskich od owego Sobiesława alias Subislaus'a pochodzących. Byli tam między XI a XVI wiekiem żyjący mężowie wielkiemi godnościami zaszczyceni, takiemi nawet o których dziś w historji nie słychać, były koligacje jako konstelacje (wyrażenie pana stolnika nie moje) świetne, buławy, krzesła, pieczęci, mitry i infuły w niezliczonej mnogości.

Ale jak to zwykła kolej rzeczy ludzkich od XVI w. rodzina ta, dostarczywszy krajowi dosyta mężów godnych i niewiast płodnych, poczęła nachylać się ku upadkowi widocznie, tak iż ani lustr przedziwnych koligacyj, ani wysiłki jej członków, podnieść jej *pristinam magnitudinem* nie mogły (wyrażenie pana stolnika Kornikowskiego). Znali urodzeni Siekierzyńscy *instabilitatem fortunae* i zwykłe onej obroty; poddali się woli Bożej, ale niemniej walczyli o sławy dawnej utrzymanie. *Eheu!* naprożno. Jako z góry staczający się powóz, zrazu powolnie się zsuwa, potem coraz naglej pędzi, wreszcie gwałtownie lecąc, o kamienie się rozbija, tak i wielkość, sława, znaczenie przezacnego domu z impetem runęły ku nieuchronnej rzeczy ludzkich kolei. (Zawsze słowa pana stolnika).

Jakgdyby nieprzyjazna fortuna szydzić chciała z upadających, w początku rozrodzili się niezmiernie, zwłaszcza mnogością córek, które substancją dziedziczną w rozmaite domy świeżo *ex obscuritate* wyrastające, rozniosły; wreszcie od kilku pokoleń, zeszli na jedną linję i jedną tylko męskiego reprezentanta. Bolało to Siekierzyńskich, ale w chrześcijańskiej pokorze powtarzali sobie *praeterita respicientes* i pocieszając się wielkością ubiegłą. — *Sit voluntas Tua!* I nieboszczyk pan skarbnikowicz czerski, Longin Siekierzyński, mawiał przed stolnikiem nurskim, często tu wspominanym panem Kornikowskim: upadły państwa Assyryjskie, Babilońskie, runął Tyr i Sydon i Palmira i Troja, czemużby rodzina nasza losu wszystkich wielkości doznać nie miała.

A mówił to (jak opowiadał nieboszczyk stolnik) z takiem przejęciem, z taką powagą, z taką wielkością tytaniczną, że częstokroć sam pan Kornikowski, zwłaszcza nie będąc na czczo, łzami się zalewał, słuchając. I stało się jeszcze, że uprzedzając grobowe zapomnienie i jakby dając go wcześnie Siekierzyńskim skosztować, los sprawił, że wszyscy prawie dawnej ich wielkości zapomnieli; owszem śmieli się z niej niedowierzliwie i szlachta nierównie świeższej daty często prym przed nimi brała, insultując upadającym...

Sąsiad pana skarbnikowicza czerskiego *ultimi descendentis prosapiae magnae*, niejaki Wichuła herbu Zabawa, (który jak wiadomo i nie tak stary w Polsce jest i *adrena* tylko), wbrew przyzwoitości, z in-

solencją wielką natrząsał się z Siekierzyńskich i w kościele, na sejmiku, na zjazdach szlacheckich wszędzie ich posiadał. Znosił to pan skarbnikowicz z wielkim animuszem, jakoby nie widział, nie chcąc zwady z podlejszym od siebie poczynać, ale jak go to srodze bolało, nieraz sam na sam przed panem Kornikowskim się wynurzył.

— Patrzaj, waćpan,—mawiał—nie jestże to świat przewrócony, żeby Wichuła, który niewiedzieć z czego powstał i prapradziada swojego wskazać nie może, chodził przede mną, hetmanów i senatorów potomkiem! Ale taka rzeczy kolej i poganin Horacy niejedną aluzję do tego prawa powszechnego mieści w wierszach swoich, i pismo nam liczne stawi upadku rodów najświetniejszych przykłady. *Cadent quae nunc sunt in honore...*

Na te i tym podobne skargi pan Kornikowski, z którego ust to mam, moderując zawsze żal wielki pana skarbnikowicza, odpowiadał, stosownemi konsolując uwagami; i często wieczory całe zasłuchiwał się opowiadań o liściach dębowych owego drzewa, które na ścianie izby jadalnej wisiało. Oprócz pewnych i wypróbowanych powieści były tam i zajmujące podania z ust do ust *ab antiquo* podawane o Siekierzyńskich przed Bolesławem Wielkim, a nawet jedno dowodne bardzo, jakoby z Lechem przybył pierwszy przodek domu, i jeden z dwunastu wojewodów był tegoż sławnego rodu.

Tandem też, opowiadał mi pan stolnik nurski, XVI *saeculo decresente*, Siekierzyńscy siedzieli na jednej wiosce tylko, która, *in vim* miasta ich Sie-

kierzyna, Siekierzynkiem się zwała; a leżała w Mazowszu. Używali oni jeszcze wziętości wielkiej i mieli przewagę między szlachtą, dla pamięci przodków, ale coraz ją z fortuną, jak to bywa, tracić poczęli. Wszelkiego rodzaju nieszczęścia zwaliły się na utrapioną rodzinę: ogień, nieurodzaj, źli sąsiedzi, procesa, dzieci stratne, starcy nieopatrzni, nieprzyjaciele możni... Walczyli panowie Siekierzyńscy do upadłego, ale siła złego wiele na jednego. Przyszło na to, że pan wojski Celestyn Siekierzyński już tylko na części wsi Siekierzynka gospodarzył, druga wyszła z imienia i, co gorzej, w podłe ręce. Ożenił się przecie, przestrzegając, jak wszyscy jego antecesorowie, by czystość krwi szlacheckiej zachować i nie łączyć się—jedno ze starą szlachtą; z ubogą ale *illustrae originis* łowczanką Izabelą Żmigrodzką, z której jednego tylko zostawił syna, pana skarbnika Sobiesława Zygmunta. Ten także wybierał długo, zanim znalazł sobie życia towarzyszkę, pannę Annę Korczycównę, ubogą też, ale wielkich cnót i wielkiej niegdy familji matronę, po której miał jednego też syna *saepe nominatum* skarbnikowicza czerskiego, Longina.

Część wioski Siekierzynka zawsze jeszcze pozostawała w dziedzicznej dzierżawie rodziny, ale obciążona długami i procesami to o granicę, to o sumy. Oprócz tego, po pradziadzie mieli Siekierzyńscy ciągle popieraną sprawę po trybunałach, wznawianą co sesja, o spadek znacznych bardzo dóbr, które była z domu ich wyniosła Agata Siekierzyńska *primo voto* Kossobudzka, *secundo* Lędzka,

która zmarła *sterilis*, a majętność ta *inipuo modo* zatachilowana dostała się w ręce Lędzkich i ich spadkobierców. Proces ten, na który się w części panowie Siekierzyńscy stracili i coraz go popierając a forytując do ostatka hartowali, trwał już lat przeszło stu, a upaść mu nie dawano, chociaż do czynienia było z możnemi rodzinami. W ostatku pan skarbnikowicz czerski wiedząc dobrze, że po kilkakroć *pars adversa* czyniła kroki do zgody, której dotąd przyjąc nie chciano; a razem rachując się z uszczuploną fortunką, skłonił się do układów, ale Lędzcy teraz ani mówić o nich nie chcieli. To było poniekąd powodem choroby i śmierci skarbnikowicza, który podówczas syna już mając, a przewidując jak przeciwne zagrażały mu losy, wielce się tem zgryzł, wziął do serca i od tej pory, jak uważano, cherlać i niedomagać zaczął.

Longin Sobiesław Siekierzyński, skarbnikowicz czerski, *baeres* na Siekierzynku, miał za sobą godną niewiastę, ubogich rodziców, ale starożytnej szlachty córkę, pannę Kunegundę Pilecką, z familji która z Jagiellonami jakoby miała nawet koneksją. Z tej to, jakeśmy mówili, Bóg dał mu syna Tadeusza Sobiesława.

Mieszkali naówczas potomkowie tej przezacnej rodziny w starym dworze siekierzynieckim, który, jak powiadał mi pan Kornikowski, podpierany, łatany, przybudowywany, podmurowywany, dokrywany, obmazywany, stał już blisko lat dwóchset. Sam też widziałem go i o wieku jego sądzić mogę: było to domostwo wprawdzie znacznie w ziemię zapad-

łe, tak że do sieni wchodziło się po dwóch czy trzech stopniach jak do piwnicy; okna jego ledwie na piędź nad ziemię się wznosiły, a ogromny, śpiczasty, czarny dach widoczniejszy był zdaleka od ścian samych; przybudówki, podpory, dyle, w różnych kierunkach opasujące je, dziwnie się bardzo wydawały, ale zato miał dwór ów jakąś minę poważną, niby zgrzybiałego starca w staroświeckiem rozpartego krześle i otoczonego wnuczęty. Wnuczęta przedstawiały wspomniane podpory, dyle i belki, popodstawiane ze wszystkich stron pod chylące się i wypaczone ściany. Dach, niegdyś na dwie kondygnacje, tak osobliwszym sposobem pogarbił się, powychylał, połamał, a z gontów w skromniejszą i to już porosłą mchem przeszedł słomę, że cudem zdaje się trzymał się jeszcze na tej budowie. Okna poddasza, oprawne w drewniane wyrabiane wystawki, schylały się: jedno, jakby przychodzącym pokornie się kłaniało, drugie nawznak padając. Żadne drzwi wewnątrz nie zamykały się szczelnie i łatwo; jedne podpiłowywać musiano co lato, drugie sztukować co zima. Podłogi uchylały się pod nogami tak dziwnie, jakby je sztukmistrz na postrach gościom na sprężynach poukładał. Stare, ogromne piece kaflowe, niebieskie i zielone, reperowane cegłą i gliną, straciły także kształty pierwotne i podostawały niepotrzebnych brzuchów i garbów. Ale zato jak ślicznie rosły dokoła zamaszysto i bujno podnoszące się stare lipy, świerki, jabłonie i grusze!... ile cieniu było w ogrodzie!

Wewnątrz domostwa ciemnego od otaczających

je drzew i krzewów, od zniżenia ścian, wilgotnego i smutnego, czułeś, wszedłszy, ów zapach ruiny, ową woń ubóstwa zbutwiałą i przegniłą, która w starych budynkach jest zwiastunem upadku — swędem trupa. Ponuro wyglądały izby puste, zimne, milczące i po większej części nagie; budowała je zamożność, zamieszkał niedostatek.

Za każdym przechodzącym wlokło się podrzeźniające kroki jego echo, z szatańskiem naigrawaniem powtarzając długo i przeciągle jego stąpanie. Wiatr świszczał nieustannie po kominach i jęczał w piecach, dzwoniły szyby okienek za najmniejszym wiatru powiewem, a w czasie burzy trząsł się dom cały, jakby się lękał zawalić. W ogromnej sieni z tych jeszcze czasów pozostałej, kiedy panowie szlachta przyjeżdżali z licznym orszakiem pachołków co ją napełniał, stały jakieś próżne i porozbijane skrzynie, połamane sprzęty, wisiały łachmany malowanego płótna, a parawan szary, kulawy, szeroko rozpościerał napróżno ramiona, by je ukryć przed wchodzącym. W pierwszej izbie na lewo, niegdyś najporządniejszej, sufit płótnem podbity, szczury i myszy, ścieląc gniazda, pociągały jak worki; w dwóch czy trzech miejscach rozdarły płótno, i czarna dziura zdawała się okiem ciekawem zaglądać na pustą komnatę. Jedno okno, nadbite, wieczne zasłonione było okiennicą, przez której serduszko tylko wciskał się chorowity światła promień przez misterną siatkę pajęczyny; drugie, całsze ale skrzywione w spróchniałych ramach, miało szybki drobne bez poloru, zbielałe i jakby mgłą zaszłe.

Kanapa odarta, stół chwiejący się i kilka krzeseł różnej wielkości, wybicia i kształtów, rozpierzchłe po izbie, stały bez życia, bez związku. Wielki komin przy piecu zamurowany był i zabielony, stała w nim tylko beczułka octu i butel bibułą przytknięta. W rogu u drzwi stara szafa pusta, z poodmykanemi drzwiczkami, ukazywała głodne i zbrukane wnętrze, na którego jednej półce walał się talerz stłuczony. Pająk zasnuwał kąty, a myszy wcześnie gospodarzyły, przechodząc z dziury do dziury wśród białego dnia. Na ścianie wisiało ogromne owe drzewo genealogicznie w czarnych ramach, ale krzywo, na długim sznurku, jakby co chwila oberwać się miało i upaść. Z całego malowania tylko kilka jaśniejszych miejsc zbroi rycerza świeciły się jeszcze; resztę muchy zapsrzyły i pył zasunął gruby. Dwóch czy trzech przodków co najcalszych, bo podarte potrety wysłano na przeciwek, z poważnemi minami, podgolonemi czuprynami, ręką w bok lub na orężu opartą, dziwowali się nędzy, która ich otaczała. Znać było po ich twarzach, że za innych żyli czasów, że lepiej im było i zamożniej. Jeden pan cześnik zwłaszcza, któremu dziwna plama koło gęby nadawała wyraz szyderski, przerażający, miał minę, jakby chciał skoczyć i ryknąć zapytaniem: jakiem prawem śmiecie być ubodzy, potomkowie moi? Drugi był chmurny i poważny jakby dumał co poradzić; trzeci zdawał się gromić, a zapchnięta w ciemniejszy kąt matrona we wdowim stroju, z książką i paciorkami, modliła się... modliła już sto lat naprożno za powodzenie prawnuków.

Cóż powiedzieć o innych izbach, kiedy taką była najporządniejsza? Z dużego domu kilka tylko zajmował skarbnikowicz czerski z żoną, synkiem i nieliczną czeladzią; reszta służyła za składy rzeczy, których składać już nie było warto, za kurniki, drewutnie i schronienie nocnych strachów, które tu na rachunek przodków chodziły, niepokojąc gospodynie i chłopców. Wszędzie taż sama panowała dezolacja, zrujnowanie i smutne opuszczenie; a najzaciszniejszy pokój skarbnikowiczowstwa winien był swe przymioty odwróceniu od wiatru, osłonie drzew i zapadnięciu w ziemię. Broń Boże ulewy, nie było kąta, gdzieby misek, hładyszek, necułek i garnków podstawiać nie potrzeba było; a z sieni często wynoszono wodę cebrami, gdy się jej z podwórza obficie nalało.

Taki to był dwór pana Longina-Sobiesława Siekierzyńskiego, z którego ubóstwa a dumy ośmielał się szydzić i drwinki sobie stroić pan Wichuła, nabywca części Siekierzynka i sąsiad o miedzę, a co za tem idzie, nieprzyjaciel. Ale żadne w świecie żarty i szyderstwa nie mogły upokorzyć człowieka tak pewnego swojej wielkości, tak przejętego dumą rodową, jak pan skarbnikowicz czerski. W ich krwi to uczucie godności własnej było, rzec można, dziedziczne, i skutkiem starannie dobieranych związków małżeńskich, szlachecka duma ich przelewała się w potomków, coraz w miarę zmniejszania fortuny wzrastając.

Skarbnikowicz, najuboższy z Siekierzyńskich, nie ustąpiłby był kroku żadnemu Lubomirskiemu, Po-

tockiemu, a cóż dopiero świeższym pankom z Rusi i Litwy, choćby z Jagiellonów pochodzącym? Mawiał z uśmieszkiem, że Czartoryjscy mają dwie genealogje, co znaczy, jakby żadnej nie mieli, a zresztą... piękne mi szlachectwo czy księstwo, co za XIII wiek wyjść się lęka, bo mu ciemno? Z Poniatowskich śmiał się razem z Radziwiłłem, ale i na Radziwiłłów głową kiwał, zowiąc ich popadiukami, od czasu jak kronikę Stryjkowskiego przeczytał i dowiedział się o ich pochodzeniu od Lezdejki.

Mało bardzo bylo rodzin, na którychby uznanie pięknego pochodzenia zezwolił; a za świeżo podniesionych miał wszystkich, co od XIV wieku głośniejsi być poczęli, nazywał ich nowemi sitkami. Zresztą drobnej ubogiej szlachcie chętnie wynajdywał Longin i przodków, i pochodzenie stare, i ilustracje; ale dla panów był nielitościwy, ruszając ramionami ile razy mu o nich mówiono. Wszystko to ludzie *ignoti nominis*, mówił, nie wiedzieć skąd to się pobrało, lepsze rodziny poupadały, powymierały, pogasły, a to robactwo na trupach wylęgłe... i kiwał głową i wargę spodnią odymał i chodził szerokim krokiem po skrzypiącej podłodze największej izby, z założonemi wtył rękoma. Skarbnikowicz był człowiekiem głęboko myślącym widocznie, całe bowiem życie spędzał po większej części na myśleniu: nie robił nic nigdy, tylko myślał i myślał. Postać jego zapowiadała sensata; słusznego wzrostu, szerokich ramion, senatorskiej postawy, nie otyły, ale w miarę krągły, na karku wyniosłym, miał głowę podługowatego kształ-

tu, z pięknem czołem wysokiem, którą nosił zawsze trochę na tył i ramię prawie zarzuconą. Oczy jego przykrywała powieka wypukła, długą rzęsą otoczona; usta miały budowę austrjackich i dolna warga odymała mu się naturalnie, zwłaszcza gdy uczuł więcej, gdy był mocniej wzruszony. Na portretach starych można się było przekonać, że i przodkowie pana skarbnikowicza mieli też same rysy familijne, które on otrzymał po nich w spadku. Długi wąs jasny wśród wygolonej twarzy spadał mu na brodę owalną, jak gałęzie brzozy zawieszonej nad pagórkiem. Mowa jego była powolna, umiarkowana, sentencjonalna, czasem trochę ironiczna, zawsze uczucia godności własnej pełna; spojrzenie zgóry i długie, chód wolny a majestatyczny; ręce zawsze założone nosił ztyłu. Co do charakteru, nic mu zarzucić nie było można, uczciwości był nieposzlakowanej, dobroczynny i wspaniały nawet w miarę siebie aż do zbytku; cierpliwy bardzo na obelgi, dwie miał tylko wady: dumę przepotężną i zbytek myśli, a brak ochoty do pracy. Co najlepiej lubił, to chodząc po izbie, cedzić po słówku, lub sam na sam ze sobą dumać a dumać. Czasem najszczęśliwsze myśli przychodziły mu do głowy, ale jak przyszło do wykonania... odkładał od dnia do dnia; zwlekał, przeciągał i wkońcu nic nie począł, bo gdy się zebrał do dzieła, już było po czasie. Naówczas mężnie zniósłszy *diram adversitatem*, jak mówił, westchnął i dumał sobie znowu, spokojnie, cicho, poważnie, jakgdyby nic nie stracił, a nadewszystko jakgdyby sam nic nie był stracie winien.

W panu skarbnikowiczu, acz upadłego, znać było możnych potomka; wzbudzał poszanowanie choć wzbudzał i litość razem, a źli ludzie, co słabości jego znali, często z niej korzyści dla siebie ciągnęli. Przez wrodzoną ową dumę nigdy wedle możności nie dał jałmużny, zawsze ją musiał sypnąć wspaniale, a serce miało też udział w uczynku, bo był poczciwy i litośny. Ubóstwo swoje zakrywał i pobielał jak mógł, bo mu go przy świetnem imieniu niezmiernie wstyd było; a że nie miał tak dalece czem przybrać nędzy, zataczał na nią dumę swoją, którą jak złocistym płaszczem się okrywał. Potrzeba go było widzieć, gdy parą szkap kulawych i ślepych, świeżo z pastwiska schwytanych, powiązaną sznurkami i łykiem taradajką, w wytartym kontuszu jechał do kościoła; rzekłbyś, że magnat w pozłocistej kolasie, tak pogodne wysoko niósł czoło. A gdy jako kolator do pierwszej wchodził ławki i sunął przez środek nawy, ledwie racząc spojrzeć na zgromadzonych, nawet złośliwy Wichuła ustępował mu z drogi. Do ucałowania pateny i krzyża nikt też nad niego nie występował poważniej i uroczyściej.

Sama jejmość, z domu Pilecka, imieniem Kunegunda, wychowana w sąsiedztwie, a znając tradycjonalny szacunek dla Siekierzyńskich, których wszyscy jako kwiat *nobilitatis* uważali; poszedłszy za pana Longina, miała sobie za wielkie szczęście, że to imię nosiła i męża szanowała, czciła prawie jako wyższą jakąś istotę. Sprzeciwienia mu się nie pojmowała, do porady nie ośmieliłaby się nigdy,

uważając je za uwłaczającą tak wielkiemu mężowi, i całe życie skinienia tylko jego i woli wypatrywała. Co było najprzykrzejszego w życiu to dla niej, co najlepszego to dla niego; starania około zdrowia, dostatku, wygód, spokojności ukochanego Longina, głównem jej godzin zajęciem. Cicha, pobożna, trwożliwa, potulna, na najmniejszą niecierpliwości oznakę drżała i przerażała się, a za największe miała sobie szczęście, gdy się jej raczył uśmiechnąć, gdy do niej dłużej przemówił. Walczyła ona pocichu z ubóstwem, z wytrwałością anachorety, z pracowitością niewolnicy, z przemysłem żyda; ale nacóż się to wszystko przydało, gdy z mozolnych trudów owoc, jeden występ, jedna jałmużna pańsko dana, jedno przyjęcie pożerało. Nie sarkała, widząc strwonione zabiegów swoich długich, często i ofiar osobistych zapasy; ale z cierpliwością anielską rozpoczynała na nowo jak mrówka szybko odbudowywać rozrzucone mrowisko.

Tymczasem dzień za dniem cięższe było w Siekierzynku życie: ów miły sąsiad Wichuła, że go skarbnikowicz przypuścić do siebie na stopie równości nie chciał, zajadły, chciwy zemsty, co godzina srodzej dojadał, codzień nowe płatał figle, a siedząc o miedzę, miał tysiąc dokuczania zręczności.

Siekierzyński opędzał mu się z rodzajem wzgardy, jakby dojadającej muszce lub brzęczącemu komarowi, co to i gniewu nawet nie są warci. Ten animusz wyniosły najgorzej niecierpliwił szlachetkę i, zaciskając pięści, tupiąc nogami, przysięgał, że upokorzy dumę sąsiada, choćby, jak powiadał, miał

pójść z torbami, lub wieżę odsiedzieć. Znaczyło to, że się wydatku ani nawet odpowiedzialności osobistej nie zlęknie.

Skarbnikowicz odpierał donoszone mu usłużnie pogróżki, *mira cum superbia*, milczeniem; powiadał nieboszczyk pan Kornikowski. Kilkakroć pleban, poczciwy starzec, który z obudwu chciał żyć w zgodzie a nieustannie narażał się obu, usiłował napróżno pojednać zwaśnionych sąsiadów. Wichuła odpowiadał bez ogródki: — Kpię z tego hołysza! — a Siekierzyński najzimniej: — Ja się na niego nie gniewam, ale żyć z nim nie chcę.

Nazajutrz schwytane gęsi Wichuły w przenicy pana Siekierzyńskiego wisiały na długich tykach, a karmny wieprzak pani Kunegundy, podobno na ulicy złapany, zabity i w proso wciągnięty, leżał nade drogą w pokrzywach... A gdy taradajka skarbnikowicza przejeżdżała mimo dworku sąsiada, Wichuła wychodził umyślnie do bramy i siadał na ziemi w nieprzyzwoitej postawie... czego zresztą patrzący wgórę Siekierzyński nie widział. Ludzie ich, nieustannie panów drażniąc, psoty wyrządzali niegodziwe, wojna wrzała nieustanna; w dodatku wywiązał się z niej proces brudny i nudny...

Wichuła, którego ojciec gdzieś na wielkim dworze niedawno marszałkował i dobrze się obłowił, zamożny, żądny, skąpy, z gębą wyszczekaną, z czołem wytartem, ale sprytny, zwinny i przebiegły, wiele łez panią Siekierzyńską kosztował. Z jej strony byłaby wszelka gotowość do zgody, ale śmiałaż ją nawet zaproponować mężowi?? On lepiej wie co

robi, mówiła, a juściż musi się szanować i nie ustąpić szlachetce!

Więc w tąż grając, nie ustępowała kroku pani Wichulinie, ani na procesji, ani w kościele, ani u sąsiadów, jeśli się gdzie spotkały, i choć pokorna w duszy, musiała do góry głowę nosić, dla pana małżonka.

Wśród takich okoliczności, po kilku latach pożycia, pan Bóg z wielką radością skarbnikowicza, który się lękał, by na nim dom nie wygasł, i ślubował do wszystkich cudownych obrazów o syna, któremu niedostatek tylko i troski miał przekazać — pan Bóg dał mu płci męskiej potomka.

Wielkaż to była w Siekierzynku radość! Sama pani, która się ciągle modliła, żeby jej Bóg dozwolił życzeniu męża zadość uczynić, tak była wzruszona swojem szczęściem, że je odchorowała; a skarbnikowicz latał po pustych izbach jak szalony, powtarzając sobie, portretom i stołkom:—Syn, chwała Bogu! syn! — Natychmiast postanowił, nie zważając wcale na stan kieszeni i spiżarni, nad któremi się nigdy nie zastanawiał — obchodzić hucznemi chrzcinami przyjście na świat potomka starożytnego rodu. Radby był wspaniałą ucztą na mil kilka wszystką szlachtę braci u siebie zgromadzić; ale piwnica, zapasy domowe i pusty woreczek stawały na przeszkodzie; a oddawna Siekierzyński, choć bardzo słowny i uczciwy, kredytu nie miał, bo wiedziano, że broń Boże na niego śmierci, mająteczek na długi nie starczy. Nie wstrzymało go to jednak od przyborów wielkich i zapraszania wszystkich znajomych.

Kunusia, tak nazywał żonę, leżąc w łóżku, płakała nad tem, wiedząc, jak znaczny dla nich uszczerbek te huczne chrzciny uczynią, ale jak zawsze, tak teraz, nie śmiała się męża woli sprzeciwić.

Proboszcz, jak się tylko o synie dowiedział, pospieszył zaraz do Siekierzyńskiego w nadziei, że przy tej wielkiej radości potrafi go może nakłonić do zgody z Wichułą. Sąsiad stał właśnie jak był nawykł dnie całe, we wrotach dziedzińca, ręce za pasem, noga na nogę założona, o słup oparty, poświstując... Szkoda mówić, żeby był piękny: mały, krępy, zwięzły, dość tłusty, raczej szeroki niż długi, z włosem najeżonym czarnym, nisko zarastającym, z oczyma wilczemi, głęboko wpadłemi pod czoło, zawsze uśmiechnięty złośliwie, miał minę zbója, jak powiadał nieboszczyk Kornikowski, że trochę też po zbójecku obchodził się z ludźmi, z którymi miał na pieńku. Gwałt go nic nie kosztował i złe słowo także; bo nawet z przyjaciołmi waśnił się, a we dworze począwszy od żony, która się z nim ujadała dnie całe, nie było człowieka, z którymby się dwa razy w dzień nie skłócił, któregoby nie wytuzał. Pomimo tej prędkości, która go strasznym czyniła, nawet właśni ludzie nie obawiali go się i nie szanowali jakby myśleć można; odpowiadali mu po grubjańsku i były wypadki gorsze jeszcze. Życie Wichuły schodziło na tuzaniach i łajaniach, to był jego właściwy element.

Proboszcz, zbliżywszy się do bramy, pokłonił się panu Wichule i z uśmiechem, który miał zawsze na ustach, bo to znów był człowiek aż do słabości dobry, rzekł

— Dzień dobry panu!

— A dzień dobry, mości dzieju! i dokąd-że to?

— Do Siekierzyńskich.

— Jak zwykle! ha! a do mnie to nie łaska! czy to ich spleśniały chleb smaczniejszy od mego?

— Naprzód — rzekł proboszcz, zastanawiając się — wiesz pan, że ja Bogu dzięki nigdzie dla chleba nie chodzę, bo mam swojego kawałek, a powtóre powiem otwarcie, że tam idę, gdzie mnie mile przyjmują.

— Wiem ja, wiem, mości dzieju! — odparł Wichuła — że nie mam łaski u proboszcza, a tamten hołysz bardzo blisko jego serca, a cóż robić, nie powieszę się z desperacji!

— A chcesz waść prawdy — dodał żywo proboszcz, — no to ją posłyszysz: tam ja gdy przyjdę, nie spotkają mnie w progu przekleństwami na ludzi, groźbami, djabłami, których u waści zawsze gęba pełna; ludzie z Bogiem żyjący.

— A ja to już bez Boga, mości dzieju?

— Nie ujmuję waści — kończył proboszcz, zażywając tabaki — ale gniew masz ciągle w sercu, a to nic potem.

— Pocóż mnie jątrzą, poco mnie do niecierpliwości przyprowadzają?

— A waść sam?

— Któż począł? nie ja.

— Ot! co to gadać długo! poco darmo się rozwodzić. Pan Bóg dał syna Siekierzyńskim, pogodzilibyście się, zrób tylko krok ku temu.

— Ja! — wrzasnął Wichuła — ja! żebym ustąpił

temu hołyszowi, a! rychlej się, mości dzieju, ziemia pode mną zapadnie! o! co nie, to nie. — To mówiąc, splunął i rzucił się jak dzik skaleczony. — Zalał on mnie, zaleję i ja jemu za skórę gorącego sadła! a zobaczymy czyje będzie nawierzchu!

— A to po chrześcijańsku? — rzekł ksiądz.

— Już niech to sobie będzie, jak chce — odparł gwałtownie szlachcic — ale prędzej niebo się na ziemię zwali, niżeli ja podam rękę pierwszy Siekierzyńskiemu...

Nie było co mówić więcej, proboszcz pokiwał głową i poszedł do skarbnikowicza. Zastał go chodzącego wedle zwyczaju wielkiemi kroki po pierwszej izbie, z głową do góry, z ręką na plecach jedną, za pasem drugą, z uśmiechniętą błogo twarzą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków, ojcze! a! a! wiecie wielką nowinę! Pan Bóg mi dał syna... myślę jakie mu dać imię, w samą porę przychodzicie.

— Winszuję i życzenia składam ze szczerym afektem, dla całego ich domu, jako sługa i Bogomodlca...

Skarbnikowicz się skłonił.

— Błogosławieństwo Boże — kończył ksiądz; — warto szczęśliwą chwilę pięknym uczynkiem oznaczyć.

— Chrzciny będą solenne...

— E! to nie o chrzciny chodzi, skarbnikowiczu dobrodzieju... ale żebyś tak w imię Boże... pogodził się z Wichułą, toby to była w niebie radość, żeby się to zgorszenie ukróciło. — Twarz Siekierzyńskiego zasępiła się, milczał.

— Żebyś mu tak po bratersku — mówił ksiądz.

— Jak-to po bratersku? — przerwał urażony gospodarz.

— Alboż nie jesteśmy wszyscy braćmi w Chrystusie?

— Tak, tak, ale są starsi i młodsi i Kainy między braćmi... Ja się z nim nie kłócę — rzekł Siekierzyński — ale on ze mną! zresztą, mój ojcze, to dla mnie obojętny człowiek, a żyć z nim nigdy nie myślę i nie będę.

— Czemu?

— Bo, prawdę rzekłszy, znajdzie on sobie równych.

— Ej! duma, duma! skarbnikowiczu! nie chrześcijański sentyment! porzucićby to, porzucić!

— Duma nie duma, ale kiedy kto zna swoją godność.

— Skarbnikowiczu, taki on szlachcic jak i wy — rzekł nieostrożnie ksiądz proboszcz.

Na te słowa jakby go sparzył, odskoczył Siekierzyński, zaciął usta, zgóry spojrzał i odparł z dumą wyraźną, krótko i sucho:

— Przepraszam, nie taki szlachcic jak ja... bo takiej szlachty jak Siekierzyńscy, mości proboszczu, w całym kraju jest tylko cztery familje... Zresztą, dajmy temu pokój.

Nie nalegał ksiądz więcej, bo widział, że i tego obraził, co zresztą najczęściej mu się trafiało, poszedł więc pokorny i cichy powinszować jejmości i pobłogosławić nowonarodzonego. Wślad za proboszczem przybyli i inni sąsiedzi, którzy kochali

i poważali skarbnikowicza i mój pan Piotr Kornikowski, stolnik nurski, który ze szczególną był czcią dla tej familji, a przyjaźnią poufałą Siekierzyńskiego się zaszczycał. Wszystkich na chrzciny, nieco odłożone dla przygotowań, pozapraszał gospodarz; jakoż w miesiąc potem odbyły się, jak można było, najuroczyściej, z wielkim natłokiem sąsiadów i powinowatych, których we wrotach stojący Wichuła liczył ze złością i zawiścią niewymowną; znajomych nawet usiłując odciągnąć, ale napróżno. Całą pociechą dla niego było, że się nałajał i nakrzyczał. A że chrzciny syna Wichuły, pomimo usilnych zaproszeń, ani przez połowę nie były tak ludne, bo się wszyscy obawiali tego człowieka, u którego nigdy bez awantury się nie obeszło, można sobie wyobrazić, jakiem sercem patrzał na wózki, półkrytki, bryczki i taradajki do starego dworu ciągnące. Jejmość, choć w łóżku jeszcze leżała, bo się rozchorowała, potrafiła przecie tak wszystko urządzić, aby się skarbnikowicz przyjęcia nie powstydził, i było porządne, można powiedzieć wystawne, a jak na nich, to bez miary kosztowne. Wichuła, jak zwykle zawistni sąsiedzi, miał tak doskonałych szpiegów we dworze Siekierzyńskich, a tak był ciekawy wszystkiego co się tam działo, że nazajutrz mógł najdokładniej opisać: co jedli, pili, mówili, robili, co się stłukło, czego nie stało i jak się dla przyzwoitego przyjęcia sztukować musiano.

Po chrzcie Tadeusza-Sobiesława, gdyż takie imię nadano nowonarodzonemu, skarbnikowicz zapalczywiej niż kiedy począł chodzić, i myśleć a roz-

myślać, snać o losach syna, którego przyszłość niepokoić go mogła. W istocie interesa były bardzo w złym stanie, niedostatek w domu tylko pracą i przebiegłą troskliwością Kunegundy się ukrywał; gospodarstwo szło opieszale i licho, bo pan skarbnikowicz ani się na niem znał, ani je lubił. Całemi dniami po wielkiej izbie pustej chodził zadumany, aż kroków jego ścieżka w pokoju była widoczną. W tej dziwnej, upartej przechadzce codzień rano witał go biały grzyb ogromny, który z kilką mniejszemi w ocienionym kątku pokoju przez noc wyrastał, jak przepowiednia upadku domu, jak symbol zniszczenia. Zaledwie go ujrzał skarbnikowicz, leciał i dusił go nogą z całej siły, rozrzucając starannie szczątki nieprzyjaciela z wyraźnym gniewem i zapalczywością; ale nazajutrz uparty grzyb odradzał się znowu w tem samem miejscu i tak stokroć gnieciony, powtarzał swoje nieme proroctwo. Walka z tym grzybem rozpoczynała dzień każdy, a wieczorem odchodząc na spoczynek, pan Siekierzyński pilnie się przypatrywał, czy nieprzyjaciel nie podniósł głowy; nie było ani śladu, dopiero przez noc uwinął się tak, że zawsze dobrydzień szyderskie gospodarzowi powiedzieć musiał. Grzyb ten skarbnikowiczowi truł życie poczęści, ale nie było na niego rady jak na Wichułę, i kto wie, czy milczące przechadzki całodzienne nie z powodu tego grzyba się odbywały? Skarbnikowicz cały dzień prawie deptał chwiejącą się podłogę wielkiej izby, czasem zajrzał do żony i syna, a gdy podstarości przyszedł wieczorem po dyspozycję i sta-

nął w progu z batogiem, Siekierzyński popytał go tylko co robić myśli i na wszystko się zgadzał, co ten mu podsunął.

Z nałogowego milczenia i dumania wychodził tylko skarbnikowicz, gdy mógł mówić o upadłej wielkości swojego rodu, o jego dziejach i przeszłości. Naówczas stawał się wymowny, niewyczerpany, obfity, wesół, słowem, nowy człowiek; lecz zaledwie przerwano mu ten przedmiot jedyny i zwrócono ku innemu, wpadał w zamysły znowu i martwiał.

Sądziła jejmość sama, że urodzenie syna doda mu ochoty do gospodarstwa, nakłoni do pracy i zajęcia interesami, ale wszystko się kończyło na dumaniach i odkładaniu na jutro. Kiedyś, później miało się wszystko najgładziej poułatwiać, i powinny były lepsze nastąpić czasy. Siekierzyńscy acz *lente*, jak powiadał Kornikowski, popierali od bardzo dawna proces ze spadkobiercami Lędzkich o posagową sumę bezpotomnie zeszłej Agaty Siekierzyńskiej; przyszło i panu skarbnikowiczowi, aby rzecz nie uległa przemilczeniu, wnieść jakiś pozew na trybunale lubelskim; potrzeba było jechać do miasta. Długo się bardzo wybierał, odkładał, ociągał, ale w ostatku, gdy już zagrażały zwłoki, musiał ruszyć z trochą grosza do Lublina, pobłogosławiony na drogę przez proboszcza, z wielkiem podziwieniem jego wynurzywszy mu na odjezdnem, że byleby Lędzcy okazali szczerą chęć układów, on także gotów na nie przystać.

— Widzisz, waćpan dobrodziej — rzekł skarbni-

kowicz pocichu — nie mówiłem o tem nikomu, ani nawet Kunusi, ale postanowiłem, po dojrzałej refleksji, zostawić synowi raczej spokojny kęs chleba, niż olbrzymie nadzieje z kłopotami.

— Święte są słowa twoje, skarbnikowiczu dobrodzieju — odparł szybko proboszcz — godź się, godź, jużciż-cie się i tak na ten proces zrujnowali...

— I wygralibyśmy go, gdyby tylko trochę cierpliwości jeszcze, ale ja się starzeję, chłopcu potrzeba chleba, my trochę ścieśnieni w interesach, wolę ze stratą kończyć.

— Śliczna myśl, którą *omnimodo* pochwalam! tak! lepiej poły obciąć a od sprawy uciekać.

— Jużciż żeby jak — poważnie rzekł Siekierzyński — to wezmę więcej niż połowę mojej pretensji.

— Gdyby i czwartą część to dobrze! — powiedział proboszcz.

— O! co to, to nie! Posag Agaty Siekierzyńskiej *primo voto* Kossobudzkiej, *secundo* Lędzkiej, wynosił z wyprawą 50.000 złotych ówczesnych, a licząc procenta i co lat dwadzieścia tylko *alterum tantum*, należy nam jasno i oczywiście zgórą półtora miljona.

— Jeżeli na takiej stopie chcesz się waszmość układać — przerwał proboszcz — wątpię, żeby z tego co było.

— A na jakiej-że chcecie? — rzekł skarbnikowicz — jużciż to należność święta, a gdy jej połowę ustępuję dla świętej spokojności...

Ksiądz ruszył ramionami, a Longin Siekierzyński siadł na taradajkę i w głębokich rozmysłach

pojechał do Lublina. Tu znalazł prawników co mu głowę nabili, że z jego pretensją można się jeszcze sto drugie lat prawować; ale trwał w postanowieniu zgody i adwokatowi strony przeciwnej oświadczył gotowość do układów... Posłano do spadkobierców Lędzkich, ale ci *cum stupefactione* (powiadał Kornikowski) pana skarbnikowicza, rozśmieli się, ruszyli ramionami i odrzucili propozycje. Zaniósł więc pozew i manifest nowy, nazad do domu pociągnął, milczący, ale silnie przejęty i zmartwiony widocznie.

Jak wyjeżdżając nic żonie nie wspomniał o zamiarze kończenia zgodnego ze spadkobiercami Lędzkich, tak wróciwszy nic też jej o upokorzeniu swem nie mówił; a na zapytanie plebana, zbył go milczkiem i ruszeniem ramion. Wkrótce jednak i jejmość i proboszcz postrzegli, że się z nim coś osobliwszego działo: pospolicie bowiem był pogodnego choć zamyślonego oblicza, a teraz zasępiał się codzień chmurniej, często nie słyszał, co do niego mówiono, trafiało się, że na pytania, których niby słuchał, nie odpowiadał i pogrążony w zadumie nietylko dnie całe, ale część nocy chodząc po izbie wzdłuż i wszerz, mrucząc coś niezrozumiałego, przepędzał. Nic go nie zajmowało, nawet to dziecię, którego przyjścia na świat tak oczekiwał; a łagodne prośby żony, ażeby się szanował, żeby rozerwać się starał, przyjmował jakby ogłuchł. Poczciwy proboszcz, który dawniej miał niezawodny sposób rozochocenia go, naprowadzając rozmowę na historję rodu Siekierzyńskich, teraz

nie umiał nic z niego dobyć, prócz kilku słów zimnych. Mówiąc, nie patrzał na niego jak przedtem, ale słupem oczy wlepiał to w ścianę, to w podarty pułap, to w okno. Widocznie opanowała go melancholja, jak to podówczas zwano, czyli inaczej hipochondrja, wedle wyrażenia pana Kornikowskiego, z którego ust mam te wszystkie szczegóły.

Zlękła się wielce jejmość, widząc ten stan umysłu skarbnikowicza, a co gorzej, że nagle chudnąć począł; była cicha narada z księdzem proboszczem i stanęło na tem, żeby doktora Niemca, niejakiego Vogelwiedera, Szlązaka, zamieszkałego w pobliskiem miasteczku wojewody mazowieckiego, przywołać. A że nie chciano przestraszać Siekierzyńskiego i aprehensji w nim wzbudzać, udała pobożnie pani skarbnikowiczowa, że doktora tylko dla dziecięcia sprowadza. Pojechał tedy proboszcz sam po Niemca i przywiózł go do Siekierzynka; a stojący we wrotach Wichuła roześmiał się na całe gardło, widząc że go wieziono do sąsiada, i rzekł zajadle:

— Taki zagryzę bestję!

Ksiądz, słysząc to, aż się przeżegnał, jakby szatana spotkał.

Fizyk Vogelwieder, bo tak podówczas zwano lekarzy jeszcze, był to otyły Niemiec, ubrany po swojemu kuso, śmiesznie w peruczce pudrowanej z ogromnym harbeutlem, z wielką trzciną w ręku, w kapelusiku; przystrojony łańcuszkami, dewizkami od ogromnego zegarka, mający kieszenie pełne leków, bo był razem doktorem, farmaceutą, chirurgiem, dentystą i apteką chodzącą. Niewiele umiał

i dlatego właśnie wyjechał do Polski, gdzie podówczas brak było lekarzy; śmiało leczył, dumny był bardzo ze swego głupstwa i narodem, który po niemiecku nie mówił, gardził, zgóry nań patrząc; zresztą lubił pieniądze nadewszystko, a kartofle i piwo kładł zaraz po nich. W młodości okulawiał był z przypadku, co nieuchronnem czyniło dlań użycie trzciny, a dla pospólstwa nóżka jego, przyschła i kopytkowej małości, do djablej bardzo była podobna. I wyraz też twarzy miał coś szatańskiego: biało-blada, pospolicie nieruchoma, gdy mówił konwulsyjnie wykręcała mu się na wszystkie strony, brwi tańcowały po czole, peruka ze skórą głowy chodziła po czaszce, oczy latały, usta gdyby ryjek wywracały się dziwacznie... po chwili wracały znowu do nieruchomości kamiennej. Dzieci jak strachu obawiały się Vogelwiedera, tem bardzej że miał szczególną pasją męczyć je, straszyć i do płaczu doprowadzać. Uniżony aż do podłości z wyższymi, przypadający przed panem, ze szlachtą obchodził się dumnie i bez żadnej grzeczności, z chłopem i żydem nieludzko...

Takiego to lekarza, w niedostatku innego, wiózł proboszcz do Siekierzynka, całą drogę mu kładąc w ucho, żeby udawał, jakoby dziecięciu radził, a nie spuszczał z uwagi ojca i powiedział szczerze, co o jego stanie myśli. Zdawało się, że pan fizyk zrozumiał, bo ciągle powtarzał:

— Dobra! dobra! niek będzie spokojna! jak szytko wie i zrobi jak powinna! dobra! dobra!

Skarbnikowicz już był o przybyciu doktora uwia-

domiony i wcześnie talara ostatniego nagotował, uwinąwszy go w czysty papierek; zapowiedział tylko proboszczowi, że ręki nie poda szołdrze i że do stołu z nim nie usiędzie.

Jakkolwiek Niemiec zwykł był poczynać sobie ze szlachtą ubogą bez ceremonji, a dom w Siekierzynku nie zwiastował dostatków, ujrzawszy poważną postać Siekierzyńskiego, który i w wytartym makowym kontuszu miał minę pańską, fizyk ukłonił się pokornie i uczuł jakąś potrzebę obejścia się przyzwoitego.

Pod pozorem rozmowy wlepiał oczy w skarbnikowicza, badał jego oddech, blask jego oczów, niby dla obejrzenia kształtów pięknej jego ręki pomacał pulsu, na co milczący gospodarz pozwolił choć ze wstrętem, bo nie lubił Niemców, mając ich wszystkich za nieszlachtę i wyrwigroszów; nareszcie poszedł do dziecka z proboszczem i tu, spytany przez jejmość o stan zdrowia męża, powiedział bez ogródki:

— Barzo zła! barzo zła! hypochondriacus! puls febryczny... ciężka sprawa! będzie bryk!

Tego *bryk* szczęściem nie zrozumiała skarbnikowiczowa, proboszcz zagadał i spytał co robić choremu. Fizyk Vogelwieder miał na wszystko trzy tylko lekarstwa: krwi puszczenie, pigułki czyszczące i womitif jak go nazywał, a że choroba była silna, zadysponował wszystko troje razem. Pozostawało przekonać Siekierzyńskiego o potrzebie użycia leków, o chorobie, której nie czuł, i skłonić go do posłuszeństwa. Różnych i wszystkiego rodzaju pró-

bowano sposobów, ale wszystkie naprózno: zaklinała i prosiła żona, prawił kazania proboszcz, na wszystko Siekierzyński odpowiadał krótko i stanowczo: Dajcie mi pokój, jestem zdrów!

Tymczasem w oczach niszczał, słabł, sechł i, wszystko składając na narodową słabość, z której jednego z królów straciliśmy, utrzymywał, że lada dzień zdrów będzie jak ryba. W ostatku do łóżka się zwlec musiał i zakaszlał, pokazała się krew, posłano znowu po Vogelwiedera, który nawpół przemocą upuścił talerz krwi, obiecując sobie najlepsze skutki. Ale w tydzień skarbnikowicz nie wstawał i proboszcz dysponował go na śmierć.

Biedna żona klęczała z dzieckiem na ręku u łóżka, płakała i modliła się, a rozpacz jej była tak straszna, że Niemiec nawet krzywił się na jej widok. Tymczasem Wichuła zawsze we wrotach dziedzińca stał i śmiał się, witając proboszcza, przechodzącego z najstraszniejszemi wiadomościami o zdrowiu skarbnikowicza.

— A co, djabli go biorą, jam mówił.

— Dałbyś pokój, człowiecze! — rzekł ksiądz, — upamiętałbyś się, jak ci nie wstyd zajadłości twojej? Przynajmniej na łożu śmierci chrześcijanin nieprzyjaciela widzieć nie powinien.

— Ej! księżuniu, i na katafalku jeszcze mu będę dojadał! — odparł zajadły sąsiad, — żonie i dzieciom nie daruję!

— Waćpan jesteś szatan! — zawołał uciekając pleban, zatkawszy sobie uszy.

— Gardzi on mną, niechże wie kim gardzi i ko-

go ma za gorszego od siebie! — wołał Wichuła — ja mu i po śmierci spokoju nie dam...

Gdy się zbliżyła uroczysta godzina pożegnania, skarbnikowicz nie pokazał po sobie zbytniego wzruszenia, uważano to i wprzódy że do stoicyzmu czuł się obowiązanym i często powtarzał historję zgonu heroicznego Jana-Sobiesława, który od Turków na pal wbity, żył dwa dni w mękach, klnąc niewiernych. Gdy otaczający płakali, on się pocichu i spokojnie modlił.

Potem obrócił się do żony i rzekł poważnie:

— Nie płacz asindźka, Kunusiu, nie rozpadaj się, Pan Bóg nad nami, nad wdową i sierotą, a takiego wielkiego imienia dziedzica za zasługi ojców nie opuści. O jedno cię proszę, nie daj mu się zwalać i pilnuj, by przyzwoite stanowi swemu prowadził życie. Zostawuję ci w puściznie lepiej niżeli wielkie dobra, bo imię piękne, starożytne, na którem się muszą w świecie poznać. Edukuj Tadeusza jak mu przystało, a niech zawczasu albo do wojskowości, albo do gospodarki się sposobi, w ostatku z lichem do palestry, bo i tam szlachta, choć żaden Siekierzyński jeszcze nie mecenasował... ale pilnuj, jejmość, by nasza siekiera w błoto nie wpadła...

Gdy to mówił a głos mu słabnął i proboszcz do modlitwy wzywał, uśmiechnął się łagodnie, powieki zmrużył i Bogu ducha oddał. Lament i płacz rozległ się po pustym dworku, bo powiadał pan Kornikowski, i żona do niego bardzo przywiązana była, i ludzie też kochali nieboszczyka serdecznie, poważając go i szanując. Ale wprędce potrzeba za-

jęcia się wszystkiem nie dozwoliła pani skarbnikowiczowej rozpadać się i płakać, musiała nieboraczka, acz chora i niedomagająca, myśleć naprzód o pogrzebie stanowi nieboszczyka przyzwoitym, potem o losie dziecka i swoim.

Wichuła, jak się o śmierci z powszechnego krzyku dowiedział, plunął tylko ze złości, widząc jak go żałowano i zawołał:

— Macie po kim się rozdzierać! Zdechł, to mniej jednym psem na świecie, a teraz pogramy z jejmością i synaczkiem...

Ludzie co to słyszeli, zgrozą byli przejęci i z przestrachem poglądali na rozbestwionego gniewem człowieka.

We dworze Siekierzynka, w chwili zgonu dziedzica taki był niedostatek, że gdyby nie proboszcz i nie stolnik nurski, pan Piotr Kornikowski, nie byłoby za co przyzwoicie zmarłego pochować. Ale bracia szlachta i dalecy powinowaci Siekierzyńskich, dowiedziawszy się od księdza o biedzie wdowy, podesłali czego było potrzeba pocichu, tak, że i księży sprowadzić i katafalk piękny postawić i trumnę obić było za co galonem i stypę jeszcze sprawić sutą. Pocieszyła się tem żona, a zwłaszcza frekwencją wielką ludu zewsząd przybyłego, który, jak mówił pan Kornikowski, okazałości niemałej dodawał; a Wichuła o mało się, patrząc na to, nie wściekł ze złości, bo pogrzeb był przepyszny, jakby jakiego magnata. A gdy kondukt przechodził mimo dworku sąsiada, swoim zwyczajem stał we wrotach Wichuła, w czapce, w koszuli tylko i bu-

lach, urągając jeszcze zwłokom, tak był niepowściągliwy a głośno, nie zważając na wdowę, krzyczał... — Bywaj zdrów, sąsiedzie! dobranoc! dobranoc!

Nikt tam na niego nie spojrzał nawet, ale dziwnym trafem wóz żałobny, o coś zawadziwszy, podskoczył przeciwko samych wrót, wieko trumny źle umocowane osunęło się na bok i biała trupia ręka nieboszczyka jakby na zgodę wyciągnęła się ku Wichule, który zbladł i cofnął się, mrucząc.

Żona, która to z ganku widziała, przybiegła i gwałtem prawie pociągnęła z sobą do dworku męża, który zdawał się jakby obłąkany i przerażony i śmiejąc się ciągle, powtarzał: — Nie da mi pokoju i po śmierci! nie da mi pokoju!

W kilka dni doktor Vogelwieder jechał na bułanym stępaku do pana Wichuły, który już w gorączce bredzić poczynał; zobaczył mu język, pomacał pulsu i rzekł chłodno... *Caput!*

Jakoż się nie omylił, bo w kilka dni już i ksiądz proboszcz był u łóżka chorego i w imię Chrystusa ukrzyżowanego zaklinał go, by wszystkim przebaczył i że wszystkimi się pojednał. Wichuła mruczał tylko: — jeszcze po śmierci mi urąga, jeszcze po śmierci mnie prześladuje! Nie daruję żonie, nie daruję dzieciom!

— Proś lepiej Pana Boga, żeby tobie darował! — odrzekł proboszcz, — a nie myśl o starych waśniach.

Bredząc coraz dziwniej, klnąc i złorzecząc, bezprzytomny ciągle prawie zły sąsiad, w tydzień po skarbnikowiczu, o tej samej godzinie co on, ducha wyzionął; a wszyscy to zapewniali i pan stolnik

nurski na swoje oczy widział, że w izbie, w której skonał, sufit się nad łóżkiem zawalił. Na pogrzebie Wichuły mało było osób i pomimo zamożności, gdy się jejmość ze stypą wysadziła, nie było jej komu jeść, a podwójnych galonów na trumnie nikt prawie nie widział.

Poczciwa wdowa po Siekierzyńskim, za namową księdza proboszcza, dla okazania że nie chowała w sercu żalu dla sąsiada i przebaczyła mu po chrześcijańsku, poszła za pogrzebem. Ale jak to czasem najlepsze uczynki ludzkie opacznie sobie tłumaczą, brat pana Wichuły, pan Protazy z Wierzbołowa, zawadja jak oni wszyscy, (bo rodem kurki czubate) wziął to za insultę, powiadał Kornikowski i poprzysiągł, że się pomści. Naprożno pleban, który tę myśl poddał, tłumaczył i okazywał, że to w duchu chrześcijańskim uczynione było, pan Protazy uparty i zażarty zaklinał się, że chyba żyć nie będzie, jeśli nie pokaże Siekierzyńskim co Wichułowie znaczą.

Otóż tak drobna ta napozór okoliczność stała się powodem nieskończonych dla wdowy utrapień. Jużeśmy to mówili, bo wiemy dowodnie z ust stolnika, że pani Siekierzyńska pozostała w bardzo przykrych *post decessum* nieboszczyka interesach, a to tak dalece, że i raty podatkowej i procentów różnych i sumek rękodajnych zalegało na Siekierzynku więcej, niżeli wioseczka była warta. A tu nikogo krewnego bliższego nie było coby poratował, bo wdowa, która była aż z krakowskiego, z tamtych Pileckich co około Kielc się gnieżdżą

antiquitus i tu nie miała prawie familji. Gdy ksiądz proboszcz zawezwał stolnika nurskiego dla przepatrzenia dokumentów i ułożenia *statum* długów, procesów, włosy na głowie powstały Kornikowskiemu, wejrzawszy na nieszczęśliwy stan wdowy i sieroty. Cudem tylko Siekierzynek trzymał się przy nich, bo ich rugować mogli wierzyciele w jednej chwili. Co tu było radzić? Stolnik życzył układy, przewłokę i nadzieję w Bogu i przyszłości; ale wściekły brat nieboszczyka Wichuły, któremu podobno i wdowa zmarłego smakowała, że się do niej rad był przybliżyć, począł nabywać długi na Siekierzynku z zamiarem wypędzenia Siekierzyńskich. Nie było na to sposobu ani ratunku, a stolnik, opisując to, powiadał, że mu się łzy w oczach kręciły, gdy na nieszczęśliwą wdowę i sierotę, *tam magni nominis haeredis*, spojrzał, w ucisku, nędzy i co chwila zagrożonych, że ich z pod zbutwiałego dachu, pod którym od lat dwóchset pokolenia przodków mieszkały, wypędzą. Uwijał się młodszy Wichuła, że w kilka miesięcy już Siekierzyńskiej nie pozostało, tylko go prosić o folgę.

Poszła do niego z proboszczem i dla dziecka nie wahała mu się do nóg rzucić a błagać o litość, ale nietylko on, ale wdowa wybiegła do niej z wyrzutami, że nieboszczyk był przyczyną śmierci jej męża, że całe życie im dojadali i że teraz przyszła kolej na nich... pójść z torbami. Powstała więc z niejaką dumą prosząca i poszła w milczeniu do pustego dworu, który opuścić miała i poczęła z wielką umysłu stałością ostatek fantów sprzedawać, aby

jaki grosz zebrać na drogę do Lublina, gdzie dawniej kupiony dla pilnowania procesu z Lędzkimi, mieli jeszcze drewniany dworek na Winiarach, w którym osiąść z dzieckiem myślała. Szlachta okoliczna choć uboga, sprzyjając Siekierzyńskim, pokupowała wszystko aż do łomu krzeseł i kanap, pustych skrzynek i ladajakich sepetów, tak że się z tego kilkaset złotych *insperate* zebrało. Ludzie wiejscy płakali, przychodzili do dworu póki mogli, kto z kurą, kto z jajami lub prosięciem i tak ich do ostatniego dnia żywili. A gdy w połamaną taradajkę siadła skarbnikowiczowa ze starą Dorotą i synkiem, żegnając stary dom, w którym lat kilkanaście przeżyła, który widział jej szczęście i niedolę, gdy za łzami dojrzeć nic nie mogąc, tuliła dziecko do siebie, płacz całej gromady Siekierzynka rozległ się po dziedzińcu i wieśniacy przeprowadzili ją aż do krzyża za wioskę. Tam jeszcze natkali jej co kto mógł do taradajki i długo stali, patrząc drogą na odjeżdżających, dopóki Wichuła młodszy bizunem ich rozpędzić nie kazał.

Jako jedyną pamiątkę przy gratach swoich, wiozła do Lublina skarbnikowiczowa owe drzewo genealogiczne i wszystkie portrety dziadów, jakie tylko zebrać mogła gdziekolwiek; podarte, popalone, bojąc się, by Wichułowie nie urągali im jeszcze.

Potrzeba było widzieć z jak złośliwym triumfem Wichulina ze swojemi dziećmi i bratem mężowskim, po odjeździe wdowy, wpadła do pustego dworu; z jaką radością szatańską przechadzali się wszyscy po izbach smutnych i ciemnych, w których

długo rozlegało się ich stąpanie. Nigdzie żywego ducha.. pustka i ruina! Włóczyli się tak do nocy, szydząc i opatrując komnaty, przypominając co ucierpieli od Siekierzyńskich i pocieszając się zemstą nasyconą. Czyto zrządzeniem Bożem, czy złych ludzi sprawą, ledwie za próg wyszli ze starego dworu, domostwo, które jakby cudem dotąd się trzymało, runęło na ziemię. Było z tego wielkie badanie, podejrzenia różne, długie sądowe śledztwa, ale z nich nic się nie okazało; bo żadnego nawet dyla podpierającego oddawna dwór nie brakło, i nigdzie śladów ani podpiłowania ani podkopania nie było.

Wichułowie, kazawszy potem rozebrać do szczętu ruderę, zrobili w tym miejscu ogród i *dziką promenadę* dla swoich panienek.

Jechała tedy Siekierzyńska, powoli się wlokąc do Luolina, w Panu Bogu pokładając utrzymania swego dalszego nadzieję; bo innego sposobu do życia nie miała, tylko pracę własną, a za całą majętność ów dworek na Winiarach. Droga była długa i smutna; wdowa, przywykła do siedzenia w domu i krótkich tylko przejażdżek w sąsiedztwo, obawiała się wszystkiego: rozbójników, wywrotu, burzy, żydów po karczmach, złodziejów, nocy... Dorota i stary Maciej, który powoził, a Andrzej co drugim wozem kierował, napróżno starali się ją uspokajać: sami także w obcej stronie często rady sobie dać nie umieli. Matce chodziło więcej jeszcze o dziecię, jak o siebie: zdawało jej się, że trzęsienie wózka, upał, niewygoda, zaszkodzić mu mogą;

a choć chłopak miał lat siedm i więcej się bawił podróżą niżeli męczył, wdowa upatrywała codzień coś zastraszającego, to w czerwoności jego policzków, to we śnie, którego potrzebował, to w nienaturalnej, jak mówiła, wesołości jego. Co chwila stawano, pakowano, przepakowywano, dobywano jadła, sukienek, zrywano mu kwiatki, przynoszono wody. Poczciwi ludzie, przywiązani do swojej pani, jak mogli i umieli dogadzali jej żądaniom, często najdziwaczniejszym. Stary Maciej, niegdy stangret, póki było czem powozić, później fornal, nie myślał już nawet powracać do Siekierzynka, choć tam braci i zgrzybiałą matkę zostawił. Czuł się w obowiązku służyć pani i paniczowi dopóki sił stanie, bo ich kochał jak rodzinę swoją. Był to jeden z tych ludzi, co się przywiązują do panów jak do rodziny i gotowiby im zapłacić, byleby od siebie nie odpędzili. Stary był poczciwy ale gdera wielki, tak że nieraz i nieboszczyka pozwalał sobie w żywe oczy nudzić i czynić mu wymówki, zresztą z najlepszego serca pochodzące. Skarbnikowicz z uśmiechem znosił starego sługi nauki, a wdowa zawsze je odpłacała kielichem wódki i podwieczorkiem. Maciej był bardzo poważny, z dumą pielęgnował długi wąs szpakowaty, który trochę czernił i do góry podkręcał, czoło miał zmarszczone, twarz posępną, wejrzenie groźne, a ktoby go nie znał, wziąłby go za złego i popędliwego człowieka. Tymczasem nie było poczciwszej duszy a większego gaduły, i byle mu się dano wygderać, nagadać i nawyrzekać dowoli, więcej nie żądał. W braku ludzi

gadał głośno do swoich koni, a w ostatku sam do siebie, a nigdy inaczej jak spluwając i wymówki czyniąc surowe. Maciej miał jeszcze i tę wadę, że używanie tabaki i robienie jej uważał za wielki i ważny obowiązek, który szedł przed wszystkiemi innemi; nie trzeba go było zaczepiać gdy tarł ją, ani lekceważyć gdy nią traktował. Pewien był bowiem, że jego sposób robienia tabaki przewyższa wszystkie znane zapachem, smakiem, kalibrem, kolorem i jeśli raczył zażyć cudzej, to tylko by się wzgardliwie nad nią uśmiechnąć, a swoją potem pocieszyć. Sławnego tego wiercenia cudownego proszku nauczył się był od bernardyna kwestarza i krył się z nim, jak z największym sekretem. Wszyscy słudzy w Siekierzynku szanowali go bardzo, a w drodze teraz całkiem rej wodził i z niezmierną powagą nieustannie coś pod nosem mrucząc, wywijając batogiem, gadając do koni różnemi głosami, popędzał trzy chude szkapy, które biedną wdowę do Lublina dowieść miały.

Niekiedy odwracał się do swej pani z jaką perorą, lub dla zgromienia Doroty, na którą równie jak na konie zły humor swój spędzał; a na wszystkie żale pani i dziecka ofiarował jako jedyny specyfik tabakę, którą i malego Tadeusza gotów był poczęstować.

— Spać się chce dziecku? a no niechby panicz sprobował bernardynki, to i sen odejdzie! — Jeść się chce? podawał różka, pić? różka; słowem na wszystko miał jedną odpowiedź: różek i tabakę. Ale nie dziw, bo Maciej tabakę uważał za lekar-

stwo od wszelkich chorób i dolęgliwości; od febry dawał tabakę swoją w wódce, od bolu głowy tabakę, rany posypywał tabaką, słowem radził ją wszystkim i zawsze. Kilka razy w drodze na smutek i łzy wdowy podsuwał przez Dorotę różek swój, dając jej do zrozumienia, żeby go podała pani, a gdy się ta wzbraniała, ruszał ramionami i łajał.

Dorota ulubienica pani i piastunka Tadeuszka, równie szczęśliwie była wybraną za towarzyszkę wygnania i nędzy, bo serca poczciwszego nad jej, trudno było znaleźć; żyła wychowańcem swoim, nad którego nie wiem czyby własne dziecię lepiej kochać mogła. Była-to już niemłoda, silna i barczysta kobieta, pospolitych rysów twarzy, jasnego włosa, poszpecona bardzo od ospy, rumiana, żywa, gadatliwa i pracowita. Jak Maciej chmurne miał oblicze, tak Dorota wesołe i jasne, a humoru jej nic zmienić nie mogło na długo. Zasępiła się, zapłakała, otarła oczy, biegła do roboty i śpiewała. Żywiołem jej była praca: nigdy nie próżnowała chwili i w drodze nawet plątała pończochę, choć nad tem niezwykłem zatrudnieniem często zadrzemała, wolała inne zajęcie ruchliwe i cięższe. W domu ona była wszystkiem: kucharką, służącą, klucznicą, piastunką Tadeuszka, ogrodnikiem i nie wiem czem jeszcze, a zawsze utyskiwała, że nie ma co robić. Widziałeś ją wszędzie, co chwili na lamusie, w piwnicy, w pokoju brzękały jej klucze i głos raźny a wesoły dawał się słyszeć; zjawiała się w kuchni, leciała do ogrodu, często i w pole poszła jeszcze zobaczyć jak tam robotników pilnują

i powstydzić próżniaków. Z panem Maciejem, jakkolwiek wzajemnie się cenić umieli, wojowali nieustannie. Dorota wymiawała mu, że wszystek czas trawi na pasemkowaniu tytuniu, suszeniu liści i wierceniu tabaki; on ją zwał wszędobylską; ale gdzie chodziło o rzecz państwa, godzili się doskonale.

Taki był dwór biednej wdowy dobrowolnie towarzyszący jej w podróży. Konie, stary szpak dyszlowy, gniada zwana płócką i kasztanka znacznie mniejsza od poprzedzających, pięć lat w szóstym na przyprzążce, w szlejach krakowskich jako-tako poreperowanych, wiozły taradajkę żółtą; Andrzej, chłop z Siekierzynka, mający powrócić z Lublina, popędzał wóz zawierający parę kuferków, kilka portretów familijnych, zabawki Tadeuszka, krup trochę, masła, mąki i grochu w węzełkach. Na wierzchołku misternie ułożonego pakunku, w klatce wiozła Dorota pięć kur faworyt swoich i żółtego koguta. Taradajka i wóz posuwały się niezmiernie wolno, tak, że ledwie którego dnia pięć mil ujechać mogli. Maciej z wielką powagą i uwagą zażywał swoich koni więcej głosem i morałami, niż batogiem je popędzając...—Wstydziłbyś się, stary! ej! stary! myślisz, że ja nie widzę,—przemawiał, dobywając różka powoli — będzie batóg w robocie! Dyszel na ciebie idzie! A naści za twoje! ha! widzisz żem nie ślepy! Ej! mała, wiu! wiu! mała! wyciągaj! Płocka uczciwa klacz, jaka szczera, czemu się na nią nie zapatrujecie, sama wózek ciągnie!...

Tak perorując, zakładał bat i lejce pod pachę lub pod nogę a sam brał się do tabaki, niekiedy

spodełba poglądając na konie; te tak już były przywykły zwalniać biegu jak tylko różka dobył, że regularnie przystawały, ale zaledwie schował w kieszeń tabakę, uprzedzając admonicję, klusować zaczynały znowu. Po zażyciu, rozweselony, odwracał się do Doroty i jeżeli ją zobaczył śpiącą, zawsze jej poddać musiał tabaki; jeśli nie spała, gderał na nią niewiedząc czego. Dorota śmiała się wesoło i podjudzała go jeszcze w nadziei, że to panią rozweseli. Ale wdowa milcząca i pogrążona w myślach jechała, patrząc tylko na dziecię i o niem tylko myśląc. Przed każdą karczemką zastanawiali się, to wytchnąć, to pić, to dziecku coś dobyć, to koniętom spocząć, to poprawić koło ciągle psującej się uprzęży. Trwała w ten sposób podróż kilka tygodni, aż nareszcie o mroku wieczornym, Maciej biczyskiem coś wskazał wychylającego się z za pagórków... był to Lublin...

Wdowa przeżegnała się, serce jej uderzyło, złożyła ręce, poczęła się modlić, drżąc cała, a Tadeuszek wylazł na kolana Doroty, by się lepiej wielkiemu miastu przypatrzeć.

Maciej, który bywał w Lublinie, wskazywał wieże kościołów, bramy, nazywał ulice i przedmieścia.

Wszystkim prócz Macieja usta zamknął przestrach, i to uczucie dziwne, które zawsze wstrząsa człowiekiem, gdy się ku miejscu swych ostatnich zbliża nadziei... tyle razy zwiedziony, jakże się nie ma obawiać! Wdowa modliła się, dziecię podziwiało, Dorota zadumała, a stary stangret gderał to na swoich, to na konie, które żywiej teraz zacinał...

Siekierzyńska, co nigdy w większem mieście nie była, na widok rozległych domostw, szeroko rozpierzchłych a ścieśnionych, na odgłos szumu i gwaru, uczuła bojaźń jakąś, chciałaby się była powrócić, żal jej było, że nie pozostała na wsi.

— Jak tu sobie dać radę! — myślała z płaczem, — wśród tego tłumu nieznajomych, nieprzyjaznych, obojętnych! o Boże! prowadź mnie! — I przycisnęła dziecinę do siebie, jakby jej co zagrażało.

Maciej tymczasem na Winiarach szukał daszku dworku Siekierzyńskich, bo go chciał wcześnie pokazać.

— Ot, ot! — zawołał, — ot ten, co to między domem, gdzie się z komina kurzy na lewo, a temi drzewami, widzi jejmość, gdzie dwa białe słupki.., Oto nasz dworek! widzi jejmość? nie, nie! w prawo! trzeci... tak! tak!... nie opuszczaj się płocka!... a może niedowidzę!... Zresztą to się pokaże, gdy tylko podjedziemy. A nu razem, dzieci! — I smagnął po koniach.

— Powoli, proszę cię, powoli — odezwała się wdowa.

— E! co to darmo aprendować — rzekł woźnica — czy powoli czy prędzej, dojechać trzeba, a jak zmierzchnie w ulicach, jeszcze co z wozu od tego gapia Andrzeja skradną. Trzeba ruszać i po wszystkiem, prawda Doroto?

— Jedź-no, jedź, nie gadaj! — szepnęła sługa, poglądając na panią.

— Czemu nie gadaj? — rzekł Maciej — hę? cóż to, myślisz mi gębę zamknąć, żebyś tylko sama mella

językiem? czemu nie gadaj? owszem, gadać będę. Otóż masz, jest nasz dworek, ot ten, co to go widać, jakby wyglądał z-za parkanu wylazłszy trochę, dwa okna z jednej, dwa okna z drugiej strony, a studeńka... Masz tobie, u nas bo niema studni! omyliłem się... wiu! płocka! szpak wyciągaj! Andrzeju, nie zostawaj! słysz! a jak wjedziemy do miasta, pilnuj fury ztyłu, żeby cię nie okradli, bo broń Boże szkody, jak mi Bóg miły, sam ci wlepię...

Koło uderzyło o kamień, a Maciej począł kląć kamienie.

— Oj to lud! to lud! a nie zdjąłby to kto z drogi kamienia! nie! jadą, kcła psują, a nikt nie odtoczy! hultaje! próżniaki!

— A czemuż ty tego nie zrobisz?

— Albo to ja tutejszy?—odparł Maciej—jak wasannie pstro w głowie, co to do mnie należy? Ale ja zdawna znam lubelczyków, o! próżniaki! prożniaki...

I jechał dalej aż się do bram zbliżyli, i krętą uliczką na Winiary zawrócił Maciej.

Wdowa, wpośród ciżby żydowstwa i gwaru miejskiego, zupełnie straciła głowę, spuściła oczy, objęła dziecię ciekawie poglądające na wszystkie strony i zdała się na sługi z wyszukaniem dworku, do którego wprost zajechać mieli. Maciej podniósł się z siedzenia i począł pomiędzy brykami, furami, piechotnymi, straganami i ławkami przekupniów wywijać z niepospolitą zręcznością, odzywając się głosem i batem, polegając na swej pamięci, że do dworku trafi. Ale niestety! lat pięć jak nie był

w Lublinie, zmrok nie dozwalał uliczek rozpoznać i wkrótce wjechali tak na ogromne urwiste śmiecisko, że dalej nie było już gdzie ruszyć.

— Otóż jest! zbłądziłem! oczywiście zbłądziłem! no! potrzeba będzie zawrócić. Nigdym się tego nie spodziewał. Ale musimy być niedaleko dworku, tylko że omijając tego żyda wisielca, wziąłem się bardzo w prawo.

Nie było sposobu inaczej zawrócić, aż cofnąwszy wózek, co nawet z pomocą Andrzeja niełatwo przyszło, tymczasem żydzi otoczyli przyjezdnych, a Maciej skorzystał z tego, wypytując o dworek Siekierzyńskich. Ale nikt o nim nie wiedział; pojechali więc nazad, pobłądzili znowu, i stangret w ostatku, dawszy lejce Dorocie, a Andrzejowi przykazując wozu i taradajki pilnować, poszedł na zwiady.

Mrok tymczasem zapadł, a w ciasnych uliczkach, pełnych żydowstwa i hałastry, wdowa z obawą pozostać musiała. Jaki taki przechodzień zastanawiał się, zbliżał i podróżnym przyglądał; Maciej tymczasem, poszedłszy, jak w wodę wpadł... W początku słychać było nieopodal jego gderanie na żydów, których łajał, że w Lublinie mieszkając, o dworku Siekierzyńskich nie wiedzieli, potem ucichło zupełnie, noc czarna zawisła nad głowami zabłąkanych, w ulicy zrobiło się pusto, i konie, łby pozwieszawszy, drzemały stojąc, wdowa modliła się, a Tadeuszek ziewał i jeść prosił.

Macieja nie było i nie było... chciała Dorota posłać za nim Andrzeja, żeby tymczasem choć do gospody jakiej zajechać, pókiby swojego dworku

nie wyszukali; ale któż go wie, gdzie się podział? Potrzeba było stać cierpliwie i czekać.

Dobra tak upłynęła godzina, zegar wieżowy w oddaleniu wybił dziewiątą i okna domków jedne po drugich oświecały się, zwiększając ciemność w ulicy. Siekierzyńska płakała. Tadeuszek drzemać zaczynał, a Dorota klęła Macieja.

Naostatek chód zdaleka dał się słyszeć i hukanie jak w lesie, Andrzej na nie donośnym głosem odpowiedział, aż mieszkańcy dworków zdumieni, głowy do okien poschylali, i Maciej ukazał się przed końmi, klnąc na czem stał świat.

— A! to ludzie, żeby ich pioruny jasne! bestje! niegodziwcy! łajdaki! jakto, żeby nie wiedzieć o dworku Siekierzyńskich. Jeszcze głupi, kiedy go częstują tabaką, on mi powiada, że nie zażywa! osły powiadam!

— Ale znalazł-żeś dworek?

— Idź-no sprobój, poszukaj sama! wszędobylska!

— No to zajedźmy do gospody jakiej tymczasem, mały chce jeść, pani płacze.

— A któż ci mówi, że dworku nie znalazłem, długowłosa i wszędobylska? — rzekł stangret.

— No to jedźmyż prędzej.

— Tak! tobie tylko wiu! i jedź! a kiedy ci powierzyłem lejce, toś nie uważała, że gniada wzięła je pod ogon, kasztanowata zastąpiła, a szpak się wykiełznął! Otoż co to kobiecie dawać lejce, to tak jak tabakę na ziemię sypać.

— Macieju! jedź, proszę cię! — rzekła cicho wdowa.

— Zaraz jaśnie pani, tylko poładnuję, zaraz; stąd do naszego dworu niedaleko, znalazłem i dobrze rozpytałem. Nie poznałem go, bo teraz pobielony *de novo*.—To mówiąc wszedł na kozioł i wiuknął na konie. — Andrzeju! pilnuj woza jak oka we łbie.

Przez dwie uliczki przeciągnąwszy, Maciej zawrócił wreszcie do wrót otwartych, których jedna połowa wisiała oderwana i stanął w dziedzińczyku zawalonym kłodami, przed domkiem, którego dwa okna były oświecone a dwa ciemne. Posłyszawszy turkot i wołanie, mieszkańcy dworku wyskoczyli na ganek i otyła jejmość w białym czepku, z maleńką dziewczynką, ukazała się we drzwiach, ciekawie przypatrując przybyłym.

— Wszak to dworek Siekierzyńskich? — spytał Maciej zwycięsko.

— A to! a to! — odparła otyła kobieta, ucierając usta zatłuszczone wieczerzą — a co chcecie?

— Co! jak się jejmości zdaje?—rzekł woźnica— co może chcieć gospodarz w domu?

— Alboż co? któż tu gospodarz?

— A my, jejmościuniu, bo to nasz dworek, nasza pani przyjeżdża sobie ze wsi odpocząć do miasta...

Gdy to mówił, już Dorota wysiadła i wdowa z dzieckiem dobyła się z taradajki, a otyła kobieta zdawała się jeszcze nie rozumieć o co tu chodziło.

— Przeciwna strona powinna być niezajęta — rzekła cicho Dorota—dawaj nam jejmość klucze...

— To prawda, że niezajęta — skrobiąc się w głowę zawołała krzykliwie kobieta — ale tam moje

graty. — To mówiąc, pobiegła na lewo, pochwyciła świecę w mosiężnym lichtarzyku i, świecąc, poczęła szybko do siebie zapraszać. — Niechajno państwo będą łaskawi do mnie, a ja tam tymczasem poprzątnę; bo to, widzi pani, stały pustką izby, to się w nich to i owo rzuciło, a znowu, że puhacz okno wytłukł, to ścierką zatknięte, i piec się powalił, a co podłoga, to tak pogniła była naprzeciwko, że ją musiałam powyrywać.

Maciej, który zlazłszy z kozła słuchał tego i wąsa kręcił, chwycił się za głowę. — To to tak pilnujecie dworku! — rzekł groźno — płacicie komorne małe za to, żebyście doglądali tych dwóch izdebek, a tu zrobiliście ruderę! poczekajcież!

Tłusta kobieta zalękła się i poczęła żywo odpowiadać:

— A cóż się tam stało waszym izbom, a co ja temu winna? co to ja tu stróżować wam będę! domisko ledwie się nie wali, ja go jeszcze co roku to podpieram, to ważę, to bielę, to reperuję... co to ja winna? niechaj jejmość idzie tymczasem do mnie, a to się połata potem.

— Otóż nie! wy sobie ruszajcie na pustą stronę sami z dziećmi — zawołał Maciej — a jejmość zajmie wasze mieszkanie.

— O! zapewne, jakby to łatwo z dziećmi i z graćami na rozkazanie się wyprowadzić w mig... Niech jejmość idzie do mnie, a jutro poładujemy się jakoś.

Nie było co robić, musiano przejść do przekupki, której odarte dzieci, powytrzeszczawszy oczy, z kątów poglądały ciekawie na przyjezdnych,

Maciej tymczasem poważnie zaświeciwszy łojówkę, poszedł na przeciwek oglądać pokoje pańskie. Ale jakże je znalazł! Okna były powybijane, podłogi powyrywane, ściany wilgocią przesiękłe i pleśnią porosłe, z sufitu ciekło, piec leżał w gruzach, a po suchych kątach spoczywały worki różne, węzełki i sprzęty. W drugiej izbie zrobiła sobie przekupka spiżarnię, a w trzeciej trzymała świnie i kury.

Napróżno starała się uniewinnić, gdyż Siekierzyńska jej nie słuchała. Dorota zajęta była dzieckiem, a Maciej, powróciwszy, prawił zajadle kazanie, zażywszy tabakę i zapomniawszy zupełnie o koniach.

Nazajutrz musiano sprowadzić majstrów, kryć, bielić, murować, łatać i wyporządzać, a przekupka poczęła łając i klnąc, wynosić się do sąsiadki. Dworek Siekierzyńskich stał na wysokim pagórku gliniastym; otaczał go ogródek niewielki i podwórko szczupłe; było to domostwo stare o jednym kominie, pięciu izbach i sionce. Wdowa zamieszkała zaraz stronę porządniejszą, a tymczasem staraniem Macieja, który doskonałym był dozorcą robotników, wyporządzano przeciwek, poprawiono dach, kładziono podłogi i zatykano ściany. Pomimo wielkiej ceny, jaką przywiązywał stangret do szkap swoich, musiała je wdowa sprzedać zaraz, ażeby nie utrzymywać ich w mieście, co nie przyszło łatwo, bo prócz kasztanki, reszta była stara, mało za nie dawali, a Maciej nie chciał się pozbywać, chyba za dobre pieniądze. Nareszcie gdy się z niemi rozstać przyszło, wyłajał wszystkich i dwa dni nad

tem lamentował, a żydowi, co kupił konie, dobrze pejsów natargał... Z pieniędzy, zebranych na wyjezdnem z Siekierzynka, na pierwsze zagospodarowanie w mieście, część zaraz oderwać się musiała, a co weszło ze sprzedaży koni, taradajki lichej i rupieci mniej potrzebnych poszło na sprawienie sprzętów gospodarskich, nad których drogością podziwiała się Dorota. Inna bo to rzecz u nas, na wsi, zawołać bednarza lub cieślę i kazać mu skleić co potrzeba, inna w mieście kupić, gdzie i robota cenniejsza i drzewo się rachuje i przekupień zarobić musi...

Kilkaset złotych było całkowitym zapasem wdowy; ale Dorota, przemyślając nad tem z czego żyć będą, obejrzała zaraz ogródek i z drogości warzywa wnosząc, obrachowała, że pielęgnowanie grządek i sprzedaż jarzyn ogrodowych może im być wielką do życia pomocą. Maciej, który w przywiązaniu i chęci wspomożenia biednej pani nie ustępował Dorocie, wynalazł sobie za stajenką kawał grzędy wygnojonej dobrze i obrał ją na tytuń, postanawiając założyć fabrykę tabaki i spodziewając się na nią wielkiego pokupu, byle tylko jej skosztowano.

Sama Siekierzyńska ani myślała o zarobieniu na życie własnemi siłami, tak jej się to zdawało i niepodobnem i niestosownem; dumała tylko o wychowaniu i przyszłości dziecięcia. Wyobrażenia jej o wielkości rodu Siekierzyńskich i o obowiązkach szlachectwa tak były dziwaczne i przesadzone, jak nieboszczyka męża, od którego je miała. Na łożu

śmierci jeszcze jej powtarzał tyle razy, żeby syna stosownie do stanu wychowywała; tak często wprzód okazywał wzgardę najwyższą dla zatrudnień *nieszlachetnych* (nazywał w ten sposób rzemiosła i kupiectwo), że wdowie ani na myśl nie przyszło samej pracować, lub syna do pracy ręcznej usposabiać. Jakkolwiek wielkie było ubóstwo ich, a groźniejsza jeszcze od teraźniejszości przyszłość, Siekierzyńska wyobrażała sobie, że łatwo Tadeuszka gdzieś umieścić na pańskim dworze, w wojsku, lub zresztą u mecenasa... Wprędce jednak wyrzec się przyszło tych dla niego nadziej, bo biedny dzieciak był słabowity i delikatny, mały i drobny, wcale nie na żołnierza, a zająkliwa mowa oddalała go od palestry. Jednakże serce matki długo, długo na zniszczenie nadziej tych pozwolić nie chciało: spodziewała się, że sił nabierze, wyrośnie i mowa mu się poprawi...

Poczęło się życie od dnia do dnia, ciężkie, pełne frasunków o jutro, niedostatkiem nieustannie zagrożone, całe na przemyśle dwojga poczciwych sług wyścigających się, by pracą zaspokoić tak potrzeby pani, iżby o nich nie wiedziała. Na zapytanie odpowiadano jej, że dochód z ogródka i zapasy domowe wystarczają. Ale jakich-że to potrzeba było serc i poświęcenia, żeby w nieznanem miejscu, ludziom z miastem nieobytym dać sobie radę, nie zrażając się niepowodzeniem, współzawodnictwem, przeszkodami tysiącznemi.

Maciej, nim w ogródku doczekał tytuniu, począł go kupować na rynku, doskonale umiejąc zro-

bić wybór, i zasiadł w sieniach do fabrykacji swego proszku na większą niż kiedykolwiek skalę. Osnuł on, że byleby z tabaką, którą miał Maciejówką nazwać, dał się poznać lubownikom miejskim, znajdzie pokup, a zyskiem miał już nawet przyzbierać sobie kapitalik dla pani... W początku zdawało się to bardzo proste i łatwe, ale poszedłszy po mieście, przekonał się, że przedawano mnóstwo różnych rodzajów tabaki po bardzo niskiej cenie; wprawdzie, zdaniem Macieja, jego szczypta więcej była warta niż funt tamtej, wprawdzie w każdej z nich upatrzył szkło tłuczone, popiół, drobno krajaną szczecinę i tym podobne, zgubne dla nosa ingredjencje, ale niemniej konkurencja była wielka — niełatwo dać się poznać.

Dobre rozumienie o sobie nie dozwoliło mu się zrazić: zasiadł tedy wiercić tabakę w olbrzymiej makutrze na stanowisku, które miało tę dogodnośc, że z przechodzącą Dorotą mógł się kłócić nieustannie. W przestankach zabawiał się monologami, apostrofami do tytoniu i tabaki, rozmową z samym sobą, którą lubił i w korzyść własną obracać umiał. Tak naprzykład zrana wstawszy i zasiadłszy nad makutrą, witał się wesołem: — Dzień dobry, panie Macieju! Dzień dobry waszeci. — A co waścina tabaka? Trze się dobrodzieju! — Trzyj, trzyj, byle było komu niuchać. — O to nie turbacja, byle skosztowali. — A jak to waćpan dziś zaspał? — Zaspał! zaspał! albo i nie zaspał... co to gadać zaspał! — A nie pomodliłbyś się waćpan? — Zmówiłem pacierz i należałoby się śniadanie, ale

z tą wszędobylską Dorotą dojdź-że sprawiedliwości! u niej jeszcze w piecu zimno, u niej rano, a szła mimo, to mi wymawiała, że ja długo śpię. To tak jak w Siekierzynku bywało... E! e! gadu gadu, a waćpan tabaki nie trzesz! — Ej, liściu, kochanku, nie wykręcaj się, pójdź na dno, to nie pomoże, muszę cię zetrzeć. — Wichuło ty jakiś! a! otóż masz... i t. p.

Dorota ze swojej strony rozpoznawszy na czem zawisł handel przekupki, która wprzód zajmowała połowę dworku, nic nie mówiąc pani, postarała się o ławkę, nakupiła towaru i choć na nią gderano, że się po mieście wałęsała, po kilka godzin w czasie targu spędzała na przedaży wiktuałów. Grosz, jaki z tego wpłynął, szedł na potrzeby domu, lub przynajmniej na pierwsze kuchenne zapasy, które nie kosztowały, bo przychodziły w zysku.

Maciej z trudnością wsławić potrafił swoją tabakę, ale że był *ore facundus*, jak powiadał Kornikowski, że umiał swój towar i siebie chwalić, że słyszał, jak jego tabaka sławna była na całe Mazowsze, znaleźli się, co temu uwierzyli i poczęli probować Maciejówki. Wmówił im zaraz stary woźnica, że się podobała i choć niewiele zyskiwał, przecie darmo chleba nie jadł a złote góry obiecywał sobie w przyszłości.

Lubił bo stary marzyć! lubił. — Bywało jak siądzie z makutrą, zdaje się, że wałkiem miotając i myśli wzrusza, i prawi sobie bajki jak małe dziecko...

— Jedzie mosanie pan wojewoda, sześciokonna

kolasa, za nim dwór, gwałt... śliczności, jadą, jadą, a tabaki w domu zapomnieli; a tu pana wojewody nos na czczo, aż się skurczył. — Aj! kto żyw, kto w Boga wierzy, niuch tabaki! — Podsuwa się ktoś i otwiera tabakierkę. Wojewoda wziął, pociągnął, pokosztował. — A! a! cóż to za tabaka! a to rozkosz, delicje! skąd to ją, waćpan, masz? — Od Macieja, Maciejówka! — Szukajcie, wołajcie! — Maciej idzie i tylko wąsa kręci; naści, panie wojewodo.— A on mu garść złota... Aż tu i król dowiaduje się o Maciejówce i każe ją sobie sprowadzać, pieniądze się sypią, a ja paniczowi kupuję Siekierzynek i na starość zajmuję sobie izbę na przeciwku... I będę tu tabakę tarł, bo musi tabakę zażywać, chybaby Bóg nie łaskaw!! na oczy i na *umorów* odciągnienie, niema jak to! Furda wszelkie leki!

Tak to stary Maciej marzył, wierząc...

A w pokoiku siedziała spokojnie wdowa z synaczkiem. Rano pójdzie z nim do kościoła, bo miała go w co porządnie ubrać, choć sama nosiła się ubogo, jakby jego sługa; w dzień to go uczy czytać katechizmu, wieczorem na przechadzkę z Dorotą lub Maciejem, a gdy mrok, to dziecko siada na stołeczku, a jejmość mu prawi dzieje Siekierzyńskich i pokazuje na portrety i na owe drzewo i mówi, mówi, aż póki wieczerzy nie dadzą, a dziecko się nie zdrzemie.

Tak zawczasu karmiła w nim dumę szlachecką, powtarzając, co niegdy z takim zapałem opowiadał skarbnikowicz, wpajała w niego uczucie osobistej godności do najwyższego stopnia podnieco

ne. Wedle biednej wdowy, nie było rodziny zacniejszej w Polsce, nie było wysokiego stanowiska i urzędu, jakichby Siekierzyński zająć nie był godzien. Po młodej główce kręcili się już hetmani, wojewodowie, kasztelani i poważne starych portretów postaci śniły mu się nieraz, iż go biorą za rączkę i wiodą do jakichś jasnych gmachów i sadzą wysoko, i obsypują złotem i czcią...

Marzyło się ubogiej dziecinie, że już ubóstwo i poniżenie nie może być trwałe, że to tylko jakaś próba, że musi jakiś wypadek, jakiś traf szczęśliwy wywieść ją z tego stanu... i budziła się, dziwując, że dzień po dniu szły jednostajne, że nikt nie przychodził, nic nie przerywało ciszy smutnej, osamotnienia i niedostatków. Przyczyniała się matka do tych marzeń, często wspominając o procesie z Lędzkimi, który choć popierać przestali, bo nie było o czem, zawsze to była jakaś złota gwiazdka nad głową jej syna... A synek rósł, rósł, pobożny, cichy, dobry, ale tak pewny, że jest przebranym królewiczem, jakby nim był w istocie.

I wieczorami lubił, usiadłszy u kolan matki, zasłuchiwać się o Siekierzyńskich, o ich bojach, o majętnościach ogromnych, o łaskach u królów, o zachowaniu u szlachty, o bogactwach, męstwie, znaczeniu — myśląc sobie: — I ja takim będę!

Maciej ze swojej strony i Dorota, nabrawszy się tych powiastek, które w Siekierzynku od niepamiętnych czasów za pokarm wszystkim służyły i przeszły w podania ludu, w zawody nabijali głowę malcowi wielkością jego rodu. A poczciwy stol-

nik nurski, pan Piotr Kornikowski, *quondam amicissimus* nieboszczyka skarbnikowicza, często gęsto wynajdując sobie powód zaglądania do Lublina, po tygodniu i więcej bawił u pani Siekierzyńskiej i niemało też przyczynił się do wpojenia w młodego pamięci wysokiego pochodzenia jego familji.

Niestety! cały świat był już o tem doskonale zapomniał, i owe siekiery na grobowych starych płytach z XI i XII wieku, po Łysej górze, Tyńcu, Miechowie rozsypane, dawno starte zostały nogami pobożnych pielgrzymów lub obrócone na drugą stronę, służyły za schody domostw, za stopnie ołtarzy. Nie było śladu wielkości Siekierzyńskich, a i wiek, kiedy się to działo, nie sprzyjał wcale dumie szlacheckiej. Nie pytano już kto go rodził, ale kto wiele wniósł, ani kto jak stary szlachcic, ale ile miał wiosek, a śmielsi utrzymywali, że tak dobry wieśniak, co skibę w pocie czoła odwracał, jak szlachcić, co do góry brzuchem leżąc, burzliwych czekał sejmików, by się na nich popisywać ze swojemi prawami; najzuchwalsi zaś wieśniaka nawet nad szlachetkę przekładali. Pan stolnik nurski mocno na te nowostki ramionami ruszał i przepowiadał z tego wszystkiego ruinę i nieszczęścia niepoliczone...

Sama pani Siekierzyńska ani pojmowała nawet, by te zuchwałe pomysły w szlacheckim narodzie przyjęcie znaleźć mogły, i była najpewniejsza, że byleby się świat o Siekierzyńskim dowiedział, wszyscy sobie najwyżej cenić będą koligację z takim domem i zaszczyt podźwignienia go z upadku.

Tadeuszek miał wszystkie rodowe rysy swych dziadów, a pan Kornikowski szczególniej znajdował w nim podobieństwo do kasztelana nakielskiego Zbigniewa-Subisława Siekierzyńskiego, którego portret dobrze zachowany przejechał z Siekierzynka do Lublina. Mały, zręczny, delikatny, biały i różowy, oko miał niebieskie pełne, pięknie powieką spuścistą pokryte, uśmiech wdzięczny a pański, postawę zręczną, głos dźwięczny, ale cokolwiek się zająkiwał, mówiąc, w czem matka, jako matka, nie upatrując wady (którążby je w dziecięciu zobaczyć mogła?), widziała tylko przyjemną szczególność. Niezbyt żywy i roztrzepany, wcześnie myśleć poczynał Tadeuszek, a z pytań jego widać było, że duma głęboko i że swe położenie rozumie. Hojny do rozrzutności, gotów był żebrakowi oddać sukienkę ostatnią, litował się do łez nad nędzarzem, ale różnicę stanów tak już dobrze pojmował, że od dzieci mieszczańskich, które go do zabawy zaczepiały, uciekał jak od ognia. W domu on był raczej panem niż matka, wszystko mu posługiwało, słuchali skinienia wszyscy, a wola Tadeuszka była rozkazem.

Tak lata płynęły, a prócz tego co u księży jezuitów nauczyć się mógł sprytny dzieciak, jeszcze z litości a może z jakiej rachuby, ojciec Ksawery, nauczyciel poetyki, przychodził często na stację powtarzać mu lekcje i zabawiać się z nim. Matka pierwsza postrzegła, że ojcowie zdawali się namawiać jej syna do zakonu i póty się nie uspokoiła, aż Tadeuszek oświadczył, że do stanu duchownego

najmniejszego nie czuje powołania i nakłonić się nie da do nowicjatu! Do czegoż Tadeuszek miał powołanie? spytacie, nie wiem prawdziwie, bo i nie do wojskowosci, nie mając potemu ani siły, ani charakteru; i nie do palestry, bo się zawsze zająkiwał, a tam potrzeba łekkiego języka i wyparzonej gęby. — Tadeuszkowi chciało się być panem, w ostatku z biedy zamożnym szlachcicem, dziedzicem wioski, obywatelem, urzędnikiem. Ale do tego jak było daleko! Na życie ledwie wystarczał przemysł Doroty i poczciwego Macieja, a i tak często obchodzić się musiano oszczędnie z okrasą i zmyślać wigilje dla niedostatku mięsa. Wielkie rachuby Macieja na tabace zupełnie się nie powiodły, tarł ją zawsze wprawdzie, ale największą jej prowizją stolnik nurski zakupował, a w mieście kilku tylko kupców nosy do niej przyzwyczaili znajdując, że była za tęga wszelako. Lepiej trochę udawało się Dorocie, ale ona tak ciągle stawała się potrzebniejszą coraz słabszej pani Siekierzyńskiej, że jej odstąpić trudno było; handel zaś cały na niej polegał, bo się wyręczyć kim nie miała. Zastępował ją czasami Maciej, tyle wszakże gadał i łajał, a tak wszystkim tabacznikom i nietabacznikom zalecał swoją tabakę, tak ich przytem na gawędzie długo trzymał, że tem odstręczał. Kiedy mu to Dorota wymawiała, niesłychanie się gniewał i odchodząc, za każdym razem zaklinał się, że go więcej nie zwabi w pomoc, a nazajutrz dawał się przebłagać.

Między starymi sługami panowała wieczna wojna słów; Dorota śmiała się; Maciej gderał, ona mu

odpowiadała obficie, on w ostatku, gdy słuchać nie chciała, pocieszał się nieskończonemi monologami, obróconemi jakoby ku niej, chociaż dawno jej nie było. Wieczorem potem, przypominając sobie wymowne poranka słowa, Maciej mówił swej towarzyszce: — Czego to wasanna uciekłaś? ha? trzeba było posłuchać, com ci potem odpowiedział, byłabyś języka w gębie zapomniała.

— Nie miałabym co do roboty! — I służąca pracowita śmiejąc się, uchodziła, zostawując Macieja przy garnuszkach, których choć klął, musiał pilnować, bo w nich była nadzieja wieczerzy.

Tadeuszek chodził trochę do szkoły, resztę czasu spędzał w domu przy matce, a wdowa, troskając się o jego przyszłość coraz bardziej, powierzyła wreszcie stolnikowi nurskiemu ostateczne rozmówienie się ze spadkobiercami Lędzkich o proces, z którego jakikolwiek fundusik uratować miała nadzieję. Jako przyjaciel skarbnikowicza, stolnik nurski nie bez pewnej dumy, że tak ważna sprawa na nim leżała, wybrał się z papierami, poradziwszy się adwokatów i mecenasów lubelskich, do panów Zarzeckich, na których głowy przelał się spadek i pretensje. Podróż trwała kilka tygodni, a wdowa codziennie chodziła do Dominikanów modlić się na intencję pomyślnego skutku tego kroku, pościła, nowennę odprawując i niekiedy, nic nie wiedząc o ostatniej próbie układów z Zarzeckimi, kołysała się marzeniem, że cokolwiek dla syna odzyska. Ale sprawa dawnością i ogromem narosłych pretensyj śmieszną się stała, wygrać ją było niepodo-

bieństwem, przytem stolnik nurski, jakkolwiek mocno zagrzewała go przyjaźń, nie miał zdolności do traktacji, ani wymowy potrzebnej, ani przebiegłośc. Nadto był prawy i szczery i zrazu okazał, jak klienci jego są ubodzy i nie w możności popierania sprawy; to doreszty Zarzeckich uspokoiło, i zpoczątku obróciwszy w śmiech rzecz całą, skończył na ofiarowaniu trzech tysięcy złotych, prawie jak jałmużnę... Stolnik oburzył się i odrzucił, nie wiedział nawet, jak o tem pani Siekierzyńskiej powiedzieć, przyciśniony pytaniami wyznał w ostatku, co go spotkało i z westchnieniem usiadł jak delikwent w kątku, czując, że się źle sprawił. Długo płakała wdowa, pytała o radę, lecz gdy wszyscy mówili jej zgodnie, żeby co dają przyjęła, posłała do Zarzeckich, ofiarując ich skwitować z pretensji za trzy tysiące. Tak marzenia miljonów skończyły się na drobnostce, ale i ta dla biednych była wielką pomocą. Umieszczono kapitalik w rękach pewnych na prowizji, co stolnik nurski dopełnił *cum omni formalitate*; i pani skarbnikowiczowa codzień słabsza, zajmowała się już tylko, póki sił stało, wpojeniem w dziecięcia tych uczuć szlacheckich, których zachowanie w ostatnim potomku tak gorliwie na łożu śmiertelnem mąż jej zalecał.

Nauka nie poszła w las, bo Tadeuszek nabrał wprędce takiej dumy i takich przesadnych wyobrażeń o wielkości swojego pochodzenia i obowiązków, jakie ono na niego wkładało, iż pan Kornikowski, nie przypuszczając, by to mogło być skutkiem samych nauk macierzyńskich, widział w tem

działanie krwi! Ze łzami w oczach słuchał on młodzieńca rozprawiającego niemal słowy ojca o rodzinie Siekierzyńskich, i unosił się nad cudownem przelaniem się ducha nieboszczyka w syna. Poczem ściskał go serdecznie i odchodził pełen otuchy, że tak wielkich nadziei młodzieniec przepaść nie może, owszem prorokował mu świetne losy, do których osiągnienia, zdaniem jego, brakło tylko jakiegoś trafu, coby go popchnął na właściwą drogę.

Ten traf jednak nie przychodził! Starano się go sprowadzić i ułatwić mu robotę, ale listy pisane do dawnych rodziny koligatów z prośbą o przyjęcie Tadeuszka na dwór, o posunienie go w świecie, lub zostawały bez odpowiedzi, lub wymówki tylko i grzeczności sprowadzały. A Tadeuszek rósł tak szybko, a matki serce tak biło niepokojem o niego i przyszłość, tem niecierpliwiej, tem żywiej, że jej starość się zbliżała, że codzień słabsza, złamana, już i do kościoła wyjść nie mogła, już większą część czasu przepędzała w krześle z pobożną księgą na kolanach.

Choć i w Siekierzynku nie obfitowała w wygody życia i roskosze pani skarbnikowiczowa, przecież w porównaniu z Lublinem był to raj jeszcze, a póki żył małżonek, tyle miała w niego wiary, że jej się nigdy jutro dla siebie i dziecięcia nie zdawało strasznem. Teraz, gdy wszystko na nią spadło, a ona nic dokonać nie mogła, tylko cierpiała i bolała, gdy jeszcze nieznany nigdy na wsi niedostatek tysiąca wygódek dokuczać począł, gdy w najdrobniejszych rzeczach oszczędzać się było

potrzeba z ofiarą zdrowia i wygód, by Tadeuszek tylko miał zawsze co zechce, szybko nadbiegła starość, choroba, niedołęstwo. W nogach i w ręku poczęło łamać wdowę biedną, puchły i brzękły kolana, po nocach napadały ją boleści straszliwe, we dnie osłabienie niezmierne, oddech stał się ciężki; a poskarżyć się nie śmiała, bo obawiała się zachmurzyć Tadeuszka i stać się wydatków przyczyną. Dorota poszła po babach szukać leków; zaparzania, okłady, ziółka, wanny, nawet zamawiania choroby, rozwinęły ją tylko silniejszą i straszniejszą codzień. Z anielską cierpliwością znosiła wszystko wdowa, a ze swą księgą na kolanach, z różańcem w ręku modliła się do Boga — o syna tylko. Śmierć o tyle jej była straszną, o ile samego jednego na świecie zostawiała sierotę, samego wśród tego strasznego zgiełku świata, w którym się potrącają wszyscy, a gdy słabszy na ziemię upadnie, tratują nogami, nie słuchając krzyku. Tadeuszowi młodość, imię, dworek i trzy tysiące złotych zostawiała w spuściźnie całej, a jedynymi przyjaciółmi: Macieja, Dorotę i stolnika Kornikowskiego, który się także pochylał, łysiał, siwiał, pokaszliwał, i często z uśmiechem przepowiadał, że mu czas się wybrać *ad patres*. Słudzy wielce się niepokoili o swoją panią i nie odstępowali jej krokiem, szukali ratunku, codzień nową babę, nowego znachora przyprowadzali... ale nic nie pomagało.

W takich okolicznościach doszedł Tadeuszek lat dwudziestu, ale się na mężczyznę nie rozwinął; było to piękne dziecię jeszcze, które zdawało się

mieć zaledwie lat piętnaście, tak świeżą była twarzyczka rumiana, tak wzrost mały i siły niewielkie. Zresztą wyglądał raczej na paniątko, niż na ubogie szlacheckie pacholę. Osamotniony, bojaźliwy, wyrobił sobie charakter właściwy, nic nazewnątrz się nie objawiający; wszystko, co miał, było w nim ukryte; milczący, tajemniczy, unikający przyjaźni, choć łagodny i dobry, zdawało się, jakby się lękał ludzi, jakby czasem nie sądził ich godnymi siebie. Dla wszystkich uprzedzająco grzeczny, nikomu nie dając powodu do zmarszczenia brwi na siebie, z nikim się serdeczniej nie pobratał, nikogo do serca nie przyjął. Rówieśnicy napróżno usiłowali zbliżyć się do niego, nie odpychał ich, ale się trzymał zdala chłodno i nie powierzał im ani swej myśli, ani tajemnicy położenia.

To też w szkole u oo. jezuitów okrzyczano go zimnym i bezdusznym między młodzieżą, nazwano Mruczkiem, a starsi tylko i bystrzejszego wejrzenia nauczyciele, dopatrzywszy w tem mocy nad sobą i pewnej dumy, którychby użyć umieli, silnie go ciągnęli do zakonu. Tadeuszek oparł się zręcznie, nie odmawiając i nie obiecując na jutro... Ówczesne wychowanie niewiele rozwijało człowieka i nie usposabiało go wcale do życia praktycznego, do którego nowicjat odbywał potem po dworach, w wojsku, lub palestrze... o ile jednak nauczyć się było można w jezuickich szkołach, skorzystał z nich sierota. Umiał dobrze po łacinie, tak że stolnika nurskiego nawet zadziwiał swą wprawą i wyrażeniami dobranemi, innych nauk liznął ile było moż-

na; a podobno najlepiej przykładał się do matematyki i niepospolitej nabył biegłości w rachunku.

W życiu domowem, prócz matki, dla której był wylany, dla której nie miał tajemnic, bo też się ona nie domagała od niego nic z serca głębiej pochodzącego — zresztą był przyjacielski ale chłodny... Dla stolnika nurskiego z uszanowaniem, zdaleka, rozruszać mu się wszakże nie dawał i starego przyjaciela domu traktował trochę zgóry. Dorota i Maciej, co go wypiastowali i wykarmili pracą swoją, mieli go za ósmy cud świata, a jego powaga i umiarkowanie wzbudzały w nich szacunek trwożliwy. Spoglądali nań z pod oka, ukradkiem i dziwili mu się tylko.

— Co to będzie za człowiek! — mówiła Dorota — a! a! przejdzie on daleko ojca! choć taki milczący, kubek w kubek jak on, ale niech zagada tylko... i jest czego posłuchać!

Maciej miał mu za złe, że niewiele mówił, a zwłaszcza z nim.

— Kocham go — szeptał Dorocie, trąc tabakę zawzięcie — dobry panicz, ale czegoż taki mruk, jakby mu kto gębę zalepił. No! i nieboszczyk nie grzeszył gadulstwem, to prawda, Panie świeć jego duszy... ale taki gdy człowiek przyszedł i zaczął go wyciągać na słowo, to i odezwał się i poszablankował czasami i posłuchał bywało mojego bzdurzenia. A panicz pokłoni się, zakręci się, uśmiechnie... Dobrze, dobrze, mój Macieju, i znikł! Żeby mu jak drogę zastąpić, znajdzie którędy uciec ode mnie. Ej szkoda, boćby się mógł taki nieraz i dowiedzieć

co ciekawego i poradzić ze mną. Jegomość bywało w drodze, jak po piasku jedziemy, to i o procesie ze mną pogada. A i to źle, że tąkoż tabaki nie zażywa, przez to taki delikatny...

Niemniej jednak Maciej bardzo kochał panicza.

Taki był stan rzeczy, gdy dość niespodzianie pan stolnik nurski jednego poranku wysiadł z kolaski na podwórku Siekierzyńskich i o lasce, suwając nogami, trochę podtrzymywany przez Macieja, który go *stante pede* tabaczką częstował, kroczył do pokoiku pani skarbnikowiczowej, a po drodze rozpytywał:

— A jak się tam pani wasza ma?

— Cóż? siedzi, panie stolniku, w krześle, do kościoła już ją biedne nogi nie zawloką, modli się i stęka, starość nie radość. Ot widzę i pan stolnik, nie przypominając, coś na nogi szwankuje.

— E! to tak mi ścierpły w drodze, kochanku...

— Otóż to i mnie od czasu, — odparł Maciej, — aby cokolwiek, to nogi cierpną...

— A panicz wasz?

— Zdrów, chwalić pana Boga, rumiany; ale delikatny gdyby panienka, już takiej *komplecji*, — dodał Maciej — chodzi jeszcze do ojców Jezuitów, ale nie wiem poco; bo czegoż on już nie umie? ot, żeby jeszcze gdzie na dwór...

— Dla niego nicpotem dworska służba, tam ludźmi pomiatają, rzucają, trzeba nieraz głód, chłód, bezsen i jeszcze batogi pod humor wytrzymać, a jemu to nie rzecz...

— To prawda, gdyby tabakę zażywał, toby się

zmocnił, — rzekł Maciej, — ale cóż, kiedy mnie nie słucha...

Stolnik się roześmiał i wsunął się do pokoju wdowy z niskim ukłonem, z rubasznym żartem; i jak był zwykł zawsze winszować i pocieszać, rozpoczął i teraz. Spojrzawszy jednak na Siekierzyńską, język mu się splątał, tak ją znalazł zmienioną, bladą, ciężko oddychającą. Postawił kij i czapkę w kąciku i szurgocząc nogami, zbliżył się do jej krzesła... — A co mościa dobrodziejko! jakże tam zdrowie acani dobrodziejki?

— Jak widzisz, nie najlepiej, stolniku, zdaje mi się, że już niedługo pociągnę, nogi mi nie służą w piersiach taką czuję ciężkość, że mi się i położyć trudno, tylko, że dyszę i żyję.

— No! a gdyby się doktora poradzić?

— Daremny to ekspens, panie Pietrze! daremny, co Bóg przeznaczy, tego żaden doktor nie przeinaczy. Podobno przyjdzie spocząć.

— E! fe, fe! nie chcę ja tego słuchać, i nie potom przyjechał, żeby mnie tem częstować. Mówmy o czem innem... a Tadeuszek?

— Zawsze toż samo, kochane, poczciwe dziecko!

— Chodzi do Jezuitów?

— Chodzi, bo cóż ma robić? powiedz; myślałam go do palestry wprowadzić, ale taką ma wymowę, cierpiałby wiele od młodzieży, co to zwykła lada czem prześladować.

— Jakże się acani dobrodziejce zdaje, do czego ma ochotę?

— Ja myślę że do gospodarstwa chyba, to

szlachcicowi wrodzone, ale na czemże gospodarzyć? Możeby za te 3.000 wziął gdzie pod bokiem stolnika maleńką dzierżawę.

— Ciężko! ciężko! zresztą pogadamy o tem; gdyby się to dało zrobić i owszem.

— A cóż tam w Siekierzynku słychać? — spytała wdowa pocichu.

— Co? już tam Wichuła młody jak szara gęś się rządzi i hula! mościa dobrodziejko, hula, aż za uszami trzeszczy, nie na długo mu wystarczy...

Staruszka westchnęła, stolnik wąsa pokręcił, poły kontusza poprawił, obejrzał się i westchnął. Zmiana twarzy i głosu wdowy uderzała go przykro, zląkł się tego widoku i nie pojmował, że na tak oczywistą chorobę nie szukano rady. Jak skoro tylko powrócił Tadeuszek, wziął go zaraz na bok pan Piotr i począł o doktora naglić; syn wymawiał się, że matka nie chciała na to pozwolić, a wdowa, choć niby głucha, dosłyszawszy czy domyśliwszy się rozmowy, przerwała ją stolnikowi.

— Mój panie Pietrze! już ja wiem co mówicie; to darmo. Ot, sam się przekonasz, że mi lekarza wcale nie potrzeba.

Jakoż nazajutrz rano, gdy okiennice otworzono, znaleźli ją na łóżku skuloną, z różańcem w ręku, z wyrazem boleści i modlitwy na twarzy, już nieżywą.

Wielki był lament sług, dziecięcia i przyjaciela, a stolnikowi aż krew puścić musiano. Dorota zachodziła się od płaczu, Maciej milczał jak słup, a to u niego najokropniejszą oznaczało boleść. Tadeusz modlił się, klęcząc u łoża.

We dwa dni potem kilka osób, kilku żebraków i gawiedź próżniacza, wiedli trumnę czarną na cmentarz kapucyński; otwarte okna dworku i woń kadzidła pogrzebowego świadczyły, że tędy śmierć przeszła. Jedna Dorota musiała, zamknąwszy oczy swej pani, pozostać dla pilnowania domu i, siadłszy na progu zalewała się łzami, poglądając zgóry na powolnie wlokący się sznur żałobny. Stolnik jakby umyślnie przybyły, żeby pożegnać przyjaciół, z pomocą Macieja sunął na cmentarz, schylony, drżący, z zaczerwienionem okiem i wpółotwartemi usty. Zdawało się, jakby bliskie przejście śmierci i jemu ostatek sił odebrało.

Smutne było wyprowadzenie zwłok ze dworku, ale smutniejszy dla wszystkich powrót do niego: jeszcze w pokoju skarbnikowiczowej stało jej krzesło, stołeczek pod nogi i poduszki, leżała książka do nabożeństwa, różaniec wytarty jej ręką i szklanka z której piła. Dom zdawał się pustką, dotyla to ta w kątku modląca się, milcząca istota, życia mu dodawała. Tadeusz powlókł oczyma i wszedł do swego alkierza, a stolnik poszedł za nim, płacząc, Maciej chodził z kąta w kąt, nie wiedząc co robi. Dorota zrywała się z nałogu do roboty i rzucała ją, zakrywając oczy fartuchem.

Stary jednak pan Piotr Kornikowski najpierwszy przyszedł do siebie i począł czynić wszystkim refleksje.

— Dobrze to żałować, — rzekł, — ale po chrześcijańsku, po chrześcijańsku; nieboszczce Bóg pewnie dał niebo za jej cnoty, módlcie się za nią, ale,

myślcie, by i ona, spojrzawszy na was, pocieszyła się, że sobie radę dajecie. Co myślisz, Tadeuszu?

— Ja! ja nic jeszcze nie myślę... żal mnie przejmuje.

— Żal żalem, a potrzeba coś postanowić.

— Stolniku, proszę cię, zabaw tu, pomówimy później.

Stolnik, choć mu pilno było do gospodarstwa, dla miłości Siekierzyńskich pozostał jednak w Lublinie, ale dopiero w tydzień mógł się z Tadeuszem rozmówić.

Młody chłopiec przez ten czas płakał i dumał głęboko, na zapytania stolnika nic nie odpowiedział stanowczo, prosił go tylko, żeby mu odebrał 3.000 złotych kapitaliku i do Lublina je przesłał.

— A cóż z tem myślisz? — spytał pan Piotr.

— Jeszcze sam nie wiem,—cicho rzekł mu Tadeusz—nie jestem pewien, ale trzeba coś radzić sobie.

— Boćto, kochany Tadeuszu, ostatni twój fundusz.

— Wiem o tem, panie stolniku, ale potrzeba radzić sobie.

— Cóż naprzykład myślisz z nim?

— Sam nie wiem, czas okaże, ale chcę go mieć w ręku.

— Jak wola twoja! nie chcesz mi powiedzieć, nie napieram się, choć stary przyjaciel ojca i opiekun wasz, miałbym do tego prawo, ale... jak chcesz.

Trochę urażony pan Kornikowski dokończył lampeczki wina, wziął kij i z Maciejem poszedł do Dominikanów; gdyż do drzewa Krzyża św. szczególne miał nabożeństwo.

Ani tego dnia, ani nazajutrz młody chłopiec nie dał z siebie wydobyć tajemnicy, jeśli tam jaka była; myślał, chodził, a przed stolnikiem wymawiał się, że jeszcze nic stanowczego nie postanowił.

Po śmierci skarbnikowiczowej zmieniło się bardzo życie we dworku, wprawdzie Maciej z Dorotą pozostali na czele gospodarstwa, ale oboje nie mieli do kogo słowa przemówić, bo Tadeusz całe dni sam na sam, jak ojciec chodził po izbie i milczał na pytania, a do rozmowy nie zachęcił. Musieli tedy starzy sami z sobą pocichu stękać i boleć, przypomnieniami się karmić i pocieszać tem, że i im niedaleko już było do końca. Po wyjeździe stolnika pan Tadeusz coraz rzadziej siedział w domu, wychodził zrana, wszedł na chwilę, by co przekąsić i znowu go do późnej nocy nie było. Ale gdzie był i co robił w mieście, nikt nie wiedział.

Maciej był niezmiernie niespokojny i ciekawy, ale żeby i chciał śledzić, to już swemi nogami nie podążyłby za paniczem. Dorota zgadywać nie myślała, ona wierzyła, że co zrobi, to będzie dobrze.

W istocie Tadeusz błąkał się tylko po ludnem naówczas i gwarliwem mieście trybunalskiem i chodził obcy wszystkim wśród tłumu, jak w lesie. Widok ludu, ścisku, wrzawy i życia tego czynnego mimowolnie go rozrywał. Zachodził modlić się do kościołów, posłuchać mecenasów na trybunale, spojrzeć na deputatów kolasy, na pańskie dwory, na palestry igraszki... to znowu ginął w ulicach żydowskich, błąkał się wśród sklepów i czasem wybiegał aż za miasto.

Myśl jego rzadko wprawdzie czepiała się widzianych przedmiotów, rzadziej jeszcze zabiło mu serce, ale oczy się bawiły, męczył ciało i smutek odbiegał.

Często napotykała go liczna młodzież lubelska, zaczepiała, ale grzecznie pozbywał się towarzyszów. Najulubieńszą jego przechadzką było przebiec Krakowskie Przedmieście, przejść pod bramą starą, minąć ratusz, spuścić się na Grodzką i resztą brudnego miasta wynijść w pole, na wzgórza. Stamtąd widział jak na dłoni i zamczysko, i gród, i kościoły, i wieżyce, i domy, a położywszy się na trawie, godziny całe pędził w nierozplątanej zadumie. Nieraz wejrzenie na siebie napawało go smutkiem, czuł się czemś większem od innych, a tak zapomnianem, tak w tłumie zmalałem i nikczemnem, że gdyby go kolasy i konie stratowały wśród natłoku, niktby nie wiedział nawet kogo rozbito. I gdyby zginął, nie spytanoby o niego, bo prócz Macieja i Doroty, któż się nim zajmował?

Jakby dla dodania sobie goryczy, wznosił się potem myślą do czasów ubiegłych, do znaczenia przodków swoich, do ich bogactw, do wielkości i pytał siebie: — Czy ten upadek był zasłużony, czy był już nie podźwignięty?

Lecz któż tam policzy myśli jak chmury różnofarbne i jak one w coraz nowych występujące kształtach? Dość, że gdy powracał, to mu się smutek piętnował na czole i spuszczona głowa świadczyła, że coraz więcej tracił nadzieję. A dotąd nie przyszło mu jeszcze nic postanowić na przyszłość,

nie znalazł środka podźwignienia się, nie widział zawodu dla siebie... Czekał na traf szczęśliwy!

Jednego razu, gdy późną jesienią wyszedł po swojemu za miasto i na wzgórku znajomym usiadłszy, poglądał na stary Lublin, ujrzał przy sobie zabawną figurkę, która krążyła, krążyła, chrząkając, aby o sobie oznajmić wcześnie i zbliżyła się nareszcie z dość grzecznym ukłonem.

Był to niski, otyły, rumiany człowieczek, z pękatym brzuszkiem, z wiszącym podbródkiem, ze zwiesistym wąsem szpakowatym, ruchawy, żywy, spoglądający tam i sam oczkami, w których się spryt malował. Miał na sobie ze ślicznego sukna zielonego kontusz z galonami, obszyty dla chłodu kunami dokoła i spięty na pętlice zielone ze złotem, buty ciemno-fioletowe, takiż żupan jedwabny pod szyję, a w ręku trzcinę z gałką złocistą, którą za plecami trzymał w założonych na plecy dłoniach obu.

Z oczu patrzała mu ciekawość, ale widać było razem, że nie śmiał się impetycznie naprzykrzać pytaniem, choć język mu świerzbiał, szukał powodu do zagajenia rozmowy. Zbliżył się trochę, stanął, popatrzał, uśmiechnął i spojrzał na miasto. krokiem postąpił jeszcze, a widząc, że się Tadeusz nie oddala, począł:

— Prawda, panie, że stąd pięknie na nasze miasteczko spojrzeć?

Wielkich ceremonij, z jakiemi podżyły człowiek przystępował do młodzieńca, inaczej sobie wytłumaczyć trudno, chyba postawą hardą Tadeusza.

jego posępną miną i wcale starannym żałobnym ubiorem, jaki miał na sobie, tak że go wziąć było można za kogoś zamożnego, a zamożność, bogactwo tak imponuje!

Tadeusz spojrzał, podniósł się nieco i może rad rozmowie, odpowiedział:

— W istocie piękny widok.

— A dla mnie to i nie dziw,— mówił jegomość w kunach, — bom już stary, podtuptany, czas mi spoczywać i to moja rodzina; ale młodemu, jak pan dobrodziej... i zapewne obcemu?

— Nie jestem tu obcy, od dzieciństwa żyję w Lublinie.

— Jam się tu i urodził,—kończył stary, siadając już nieco opodal i spierając się na lasce, — i miło sobie tak zgóry spojrzawszy odświeżyć w pamięci, co to się tu przebiedowało, przeżyło, przechorowało.

Tadeusz tylko spojrzał na rumianego i dostatnio ubranego jegomości, jakby się dziwił, że i on o biedzie mówił; domyślił się znaczenia tego wejrzenia stary i dodał.

— Boć to człowiek niezawsze był tak rumiany i otyły i niezawsze miał czem tak uczciwie grzbiet okryć... ah! ah!

To mówiąc, westchnął i zamilkł.

— Gdyby to nie było niedyskretnie,—dodał po chwilce—przyznaje, że oddawna postrzegam pana chodzącego po mieście i za miasto, tak jakoś zadumanego i bez celu, że mnie chętka bierze spytać, co też pan w Lublinie porabia?

— Ja? nic! — odparł Tadeusz krótko — chodzę i myślę...

— I zapewne czekasz pan na kogoś, na coś?— spytał stary, — ale przepraszam za ciekawość.

— Nic nie szkodzi, — odpowiedział powolnie i unikając jąkania Tadeusz, któremu wesoła twarz i dostatek oznajmujący ubiór nieznajomego dość się podobały.—Nie mam żadnego zatrudnienia, nie czekam na nic i na nikogo.—To mówiąc, westchnął.

Stary, który miał wyraźny świerzb języka, zamilkł przecie na chwilę i dodał jakby ogólnikiem,

— Dziwna to rzecz młodość bez zajęcia... o! gdyby to mnie drugi raz dał Bóg siły i wiek potemu.

— Cóżbyś pan robił?—spytał Tadeusz ciekawie.

— Co? rozpocząłbym życie drugi raz od początku jak pierwsze...

— Jakto? więc nicbyś pan w niem nie poprawił i nie zmienił, tak z niego jesteś rad?

— A doprawdy, że podobno na jotębym nie chciał innego nic, nad to co było.

— Rzadkie szczęście! — odparł z westchnieniem Tadeusz.

Gdy to mówił a zmierzch padać poczynał i do miasta, chcąc zawczasu przejść przedmieścia, wracać czas było, powstał młody człowiek, podniósł się i stary przychodzień i powoli kroczyli ku miastu. W drodze mówili jeszcze o obojętnych przedmiotach, o trybunale, o deputatach, o głośnej sprawie, którą osądzać miano nazajutrz, a o której cały Lublin mówił, bo strona jedna chciała koniecznie dwóch deputatów jakim sposobem w kwaterze strzy-

mać, by na sesji nie byli i o to się nawet przez doktorów starano... nareszcie nieznajomy w kontuszu z kunami, na Grodzkiej ulicy rozstał się z Tadeuszem i wszedł powoli do pięknej kamienicy naprzeciw świętego Michała...

Nazajutrz Tadeusz, zapomniawszy prawie o spotkaniu, swoim zwyczajem ku wieczorowi pociągnął za miasto i opodal trochę od wczorajszego stanowiska położył się znowu na trawie. Nie wyszedł kwadrans, a jegomość w kunach ukazał się, mimo przechodząc, i puścił się dalej powoli na przechadzkę, skłoniwszy zlekka Tadeuszowi. W pół godziny był zpowrotem i znowu zawiązała się rozmowa, z której Siekierzyński dowiedział się tylko, że dwaj deputaci wzięli w winie lekarstwo, które im na sesję przybyć nie dozwoliło, i strona przebiegła wygrała; lekarstwo szkodliwem nie było, mogło być nawet żołądkom pomocnem, ale było... dla deputatów niewygodnem...

W kilka dni potem, choć oba nazwisk swoich nie wiedzieli, młody człowiek i wesoły tłuściutki staruszek, spotykając się niemal codzień, bo zdaje się, że oba nie mieli nic do czynienia i zarówno lubili przechadzkę, poznajomili się poufalej. Stary siadał na trawie przy młodym chłopcu, i że gawędzić lubił, a kontentował się byle go słuchano, miał zaś zawsze coś nowego do powiedzenia, więc poczynał zabawne często opowiadania, a nie skończył aż mrokiem. Nie pytał on nigdy Tadeusza kto był, ani Siekierzyński śmiał go badać, ale jednego wieczora, spoglądając na oddalone miasto, gdy się

przebrało gawędy, stary, westchnąwszy, takie opowiadanie rozpoczął:

— Otoż muszę nareszcie waćpanu powiedzieć, kto jestem, choć możeś i nie ciekawy, ale moje życie by najobojętniejszego może zająć, pochlebiam sobie, bom się nie wykołysał w dostatkach i co mam, winienem Bogu i sobie. A z łaski Bożej kawałek chleba mam porządny, i nie jeden magnat, co z wielkim dworem na trybunał się wlecze, nie pochwali się tak czystą fortuną jak moja. Otoż, jak mnie waćpan widzisz, wszystko to winienem sobie.

— Szczęściu — dodał Tadeusz.

— Juściż napewne — odparł stary, — ale żeby mi się bardzo na świecie wiodło, nie powiem, bo i biedy zażyłem; tylko żem był uparty jak kozioł i powiedziawszy sobie, że będę bogaty, pótym pracował aż nim zostałem.

— Dobrzeby to, gdyby dość było to sobie powiedzieć.

— Posłuchajże, waćpan: ojca mojego nie pamiętam, matkę tylko biedaczkę cokolwiek sobie przypominam, była ona, czego mi nie wstyd wcale, przekupką i siadała ordynaryjnie pod Krakowską bramą z jabłkami, potem koło jezuickiego Colegium, którędy zwykli byli przechodzić studenci do klas.

Tadeusz zarumienił się, widząc, z kim ma do czyniena, ale ciekawość go wstrzymała i słuchał.

— Cały mój fundusik był kilkadziesiąt złotych podobno, i to Bóg wie, czy tyle warte były nasze ławeczki, króbki, kuszyki, trocha rupieci, łachmanów i zapas buczyny, jabłek, gruszek, śliwek, wiśni,

wedle pory roku. Jak zapamiętam, chodziłem bosaka, w szarej koszulinie, rzadko mając czem głowę zawinąć i karmiłem się nadgniłemi owocami i polewką domową, którą dopiero wieczorem gotowała matka dla mnie i dla młodszej siostry, która wkrótce umarła z ospy. Mieszkaliśmy w loszku na tyle Grodzkiej ulicy, w izbie ciemnej i wilgotnej, sklepionej, o jednem oknie nad ziemią samą, często śmieciem zarzuconem, bez podłogi, a w deszcz wody pełnej. Mieszkaliśmy, to się tylko tak mówi, bo matka i ja ledwieśmy trochę nocy tam przepędzali, a cały dzień od świtu do poźna, czy mróz, czy wicher, czy zamieć, czy skwar, potrzeba było pod bramą siedzieć i czekać kupujących. Że nie było mnie z kim zostawić, chodziłem z matką zawsze, odziany jako tako, grzejąc ręce nad garnkiem z węglami zimą, chłodząc się murem zimnym w skwary i gapiąc się na ulicę.

Ciężkie to były życia początki, jak je wspomnę, ciarki po mnie chodzą, biedna matka chora była, niecierpliwa i za najmniejszą rzecz nie żałowała mi szturchańców, rózeg i łajania. Ja to znosiłem, milcząc, a myślałem sobie: jak zdużam, to pójdę pracować i nikt na mnie krzyczeć nie będzie i będę sam sobie panem. Ta myśl pocieszała mnie w dzieciństwie, z którego prędko wyszedłem, bo w latach dziewięciu już nosiłem koszyk z piernikami po mieście, groch młody, ogórki i tym podobne łakocie... Raz, gdy trochę podchmielony mecenas jakiś szedł ulicą i koło kościoła Jezuickiego wysunął mu się z zanadrza plik papierów, jam go podjął i pobieg-

łem za nim. Bardzo był rad ze znalezienia zguby i dał mi dwa talary za to. Schowałem je nic nie mówiąc o nich matce, a nazajutrz, wiedząc już, gdzie czego dostać, kupiłem sobie dobry koszyk, krajkę mocną, stare szare płótno wyciągnąłem u matki i zamiast pójść z nią do ławki, puściłem się w miasto, kupiwszy zielonego grochu i ogórków, za które dałem na ogródku za miastem trzy złote. Cały dzień chodziłem od kapucynów do Krakowskiej bramy, wywołując mój towar i wieczorem miałem pięć złotych w węzełku, trochę grochu przywiędłego i pewną nadzieję że sobie już dam rady.

Trafiało się, że dla swawoli uciekałem nieraz od matki, i dopiero wieczorem powracałem do stancji pewien dobrych sztuchańców, ale razem i wieczerzy; mrokiem i teraz ale z koszykiem na plecach i dumą w duszy, udałem się do sklepiku. Matka już stała w progu, jakby na mnie czekała i jak mnie tylko zobaczyła, podniosła miotłę ogromną, dając mi znać, co mnie czeka. Ale nie zląkłem się, bo wiedziałem, że mi przebaczy... jakoż zobaczywszy mnie z koszykiem i wesołą twarzą, osłupiała, zdawała się w początku nie poznawać, wreszcie odezwała się. — A to co Michałku? — Zejdźmyno, to ja matuni wszystko rozpowiem jak było—odpowiedziałem, ufny w siebie i powoli zlazłem za matką do loszku, zdjąłem koszyk, siadłem na wywróconem wiadrze i tak począłem od dwóch talarów moich, aż do zarobku dziennego, dodając: — Otóż zobaczycie — teraz już ja i matuni i sobie na chleb zarobię i nie bójcie się!

Matka tak była zdziwiona, uszczęśliwiona i przejęta tym niespodzianym moim rozumem, że mnie aż w głowę pocałowała i rozpłakała się z radości... Nastawiła prędko wieczerzę, a gotując ją po kilka razy, patrzała moich pieniędzy, rozpytywała mnie i powtarzała sama do siebie. — No! co sprytny, to sprytny!

I nie wytrzymała przez wieczór, poszła zaraz do sąsiadak pochwalić się synem, sprowadziła starą Kasprową i starą Frankową i kazały mi znów opowiadać, jak to było, kto mi to poradził, jak ja tego dokazałem.

Następnych dni matka sobie siadła pod bramą, a ja poszedłem znowu po Krakowskiem i tak powoli dałem się poznać, że już w parę tygodni miałem sobie przedaż zapewnioną.

Potem, że mi się zieleniny nie podobały, bo to psująca się rzecz, zacząłem handlować różnemi drobnostkami, zabawkami dziecinnemi, szpilkami, tasiemkami, igłami... A żem pracować lubił, wesoło witał kupujących, czasem potrzebnym pokredytował, jakoś mi dobrze szło, tak że cośmy z matką przeżyli to przeżyli, a jeszcze około sta złotych miałem zapasu.

Pamiętam, że już naówczas chodząc koło sklepów, mówiłem sobie: chybaby Bóg nie łaskaw a i ja sklep mieć muszę i taka mnie ambicja opanowała, żem pracował i grosz do grosza składał niezmordowanie, aż w ostatku udało się, jeśli nie sklep mieć swój, to choć budkę koło św. Ducha, gdziem zpoczątku szkaplerze, paciorki, obrazki, madaliki,

książeczki i różne terefelki trzymał. Matka zawsze jeszcze siadywała, choć stara, nad swojemi jabłkami, chociem ja jej to perswadował, ale próżnować nie lubiła, przywykła kłócić się ze studentami i takie to już było jej życie. Bywało jak zachorzeje, a zmuszę ją, żeby w domu w cieple posiedziała, to tak nudzi, że rady sobie dać nie może, wstaje, do okna chodzi, stęka i nazajutrz nieboga wlecze się z garnkiem znowu na swoje miejsce. Chciałem, żeby sobie w mojej budce ze mną przesiadywała, ale nie mogła: studenci ją wszyscy i ona wszystkich znała doskonale i już żyć bez siebie nie umieli. Ta wrzawa chłopaków, spory z nimi, ciągła baczność, żeby jej nie okradli, ożywiały ją i odmładzały. Śmiała się, gdy ją nażywali *Cybelą* i gniewała się, sądząc, że to znaczyło *Cybulę* poprostu, której nie sprzedawała; domagała się, żeby ją lepiej przezwali jabłkiem lub gruszką, ale wszystkie pokolenia studentów znały już ją pod tem nazwiskiem. Mnie tymczasem szło bardzo dobrze i nie pamiętam w życiu szczęśliwszych chwil nad te, które spędziłem, nosząc w koszyku na plecach nadzieje, sadząc je w budce obok siebie. Dobiłem się później wszystkiego czegom tylko żądał; ale mniej mnie to uradowało, niżeli marzenia dziecinne... nie było też już i poczciwej starej matki, by się z nią podzielić dostatkiem. Staruszka siedziała, póki tylko mogła u bramy kolegjum jezuickiego, a gdy już zwlec się nie potrafiła na stanowisko, jednego dnia jesieni przechorowała dwie doby i zasnęła na zawsze... Możeś pan widział piękny kamienny nagrobek na

cmentarzu dominikańskim, z koszem owoców na wierzchu wyrobionym, jest to pomnik mojej matki...

Sam jeden pozostawszy, pracowałem dalej i z budki pod św. Duchem wprędce przeniosłem się do najętego sklepiku naprzeciwko ratusza, a sklepik to już był co się nazywa, niewielki, ale zaopatrzony dobrze w korzenie, cukier, kuchenne przyprawy i t. p. Ale że to się jeszcze z niewielkiego grosza kupowało od hurtowników, zysk nie był znaczny i musiałem powoli dorabiać się, nim doszedłem do tego, że sam sobie towar mogłem sprowadzić. Z dwóch talarów, rzuconych mi przez mecenasa podchmielonego, w krótkich latach przyszedłem do dwóch tysięcy talarów gotówki i zapasu sklepowego... Prawda, że mi się wiodło, ale trochę się i pochwalić tem mogę, bo i wagi i miary pilnowałem, nikogom na grosz nie oszukał i oszczędzałem w początku jak ostatni sknera — a zrobiłem był sobie ślub, który dotychczas dopełniam, dawać każdemu ubogiemu, którego spotkam, nie mniej ni więcej grosz, na pamiątkę mojego własnego ubóstwa. Może i ta moja jałmużna dała mi szczęście, ale to pewna, że szkody nie miałem nigdy ani od złodzieja, ani od pożaru, ani z oszukaństwa złych ludzi, i powoli, powoli, ot z urwisa ulicznego, włóczęgi, któryby mógł przepaść na wieki, wyszedłem na mieszczanina, na hurtownego kupca, kupiłem kamienicę, ożeniłem się dobrze, dziatki mi się hodują i dostatek powiększa. A w dodatku powiem waćpanu, że jestem radcą miasta Lublina i ludzie mnie uważają, i kiedy król nieboszczyk przejeż-

dżał przez nasze miasto, trzymałem baldachim u Krakowskiej bramy...

Tadeuszek wysłuchał cierpliwie całego opowiadania, a gdy skończył kupiec i powstał, rzekł tylko sucho i zimno:

— Bardzoś pan był szczęśliwy! i ciekawa to istotnie historja!

— A morał jej — dokończył pan Michał, — że aby człowiek chciał pracować, to na świecie się poprze...

Ostatnie słowa zdawały się wymówione z pewnym zamiarem, jakoż utkwiły dobrze w głowie Tadeusza, który zamyślony powrócił do dworku i część nocy potem z wielkiem zdumieniem i niepokojem poczciwej Doroty i Macieja chodził mocno zadumany po swojej izdebce. Wielka w nim odbywać się musiała walka, bo widoczne na twarzy malowało się wzruszenie: czoło to rozjaśniało się, to chmurzyło, oczy błyskały i mgłą się zasuwały, chodził żywo i stawał i liczył, i nad rankiem położył się nierozebrany z jakiemś silnem postanowieniem. Nazajutrz, jak świt, znikł znowu ze dworu i poszedł w miasto, tymczasem poczciwi słudzy bardzo o niego byli niespokojni, zwłaszcza stary Maciej. Zeszli się oboje w kuchni i udzielali sobie wzajemnie swoich domysłów i postrzeżeń.

— Milczy i chodzi — mówił Maciej — to źle, bardzo źle, uważałem, że i nieboszczyk przed śmiercią najwięcej chodził i milczał uparcie. Człowiek co nie gada, musi być chory. Wolałbym, żeby się gniewał, łajał, bił zresztą, ale tak słupem niemym

z kąta w kąt się przesuwać, to już coś niedobrego, Ale co tu radzić?

— Co radzić? — odpowiedziała Dorota, która od niejakiego czasu wpadła w nadzwyczajną pobożność — modlić się i Pana Boga prosić.

— Ać! zapewne! — rzekł Maciej — Pan Bóg ojciec sieroty, ale trzeba sobie radzić i samym, jużciż z założonemi rękoma siedząc, tabaka się sama nie utrze. Możeby dać znać stolnikowi...

— Albożeście to nie uważali, że on i ze stolnikiem tak mruczek jak z nami, i co się go naprosił, żeby mu powiedział co zrobi z temi pieniądzmi, które chce odebrać — nie uprosił przecie, nawet trochę markotny odjechał. Już to taka natura... Słuchaj, Macieju, a gdybyśmy sprobowali dojść, co to on po całych dniach robi?

— A kto się z nim zejdzie! — odparł Maciej — ja coś tak suwam nożyskami jak nie swojemi, coś mi się zrobiło... i wy.

— E! nie gadałbyś; ja jeszcze dwie mile ujdę codzień po mieście.

— A wieczorem się skarżycie?

— Bo to taki bruk niegodziwy w Lublinie! bywało w Siekierzynku co się człowiek nadrepce, a nogi nie zabolą.

— Oto to, musi ten bruk i mnie szkodzić — przerwał Maciej, — ani chybi bruk, bo od roku nogi jak kłody...

Nie postrzegli się oboje, że lat kilkanaście upłynęło od wyjazdu z Siekierzynka, biedacy!

Z tych długich narad nic nie wynikało, Dorota

sobie, Maciej sobie próbowali rozgadać się z Tadeuszem, ale on ich zbywał ni tem ni owem, a co raz mniej w domu siedział. Zwłaszcza gdy stolnik umyślnym pieniądze odesłał, przy obszernym liście naszpikowanym łaciną i sentencjami, Siekierzyński zaraz nazajutrz znikł jeszcze raniej z domu i nie powrócił aż w nocy, uznojony, zmęczony, jakgdyby z dalekiej powracał wędrówki. Potem aż do dnia coś pisał, notował, papiery układał, i znowu ledwie się na jutrznię ozwał kapucyński dzwonek, otworzył drzwi, zawołał Dorotę, żeby je za nim zamknęła i na cały dzień uszedł.

To niewytłumaczone postępowanie doreszty zniepokoiło poczciwych sług, i Maciej, nogi sobie spirytusem wysmarowawszy, postanowił ruszyć na zwiady po mieście, czy też nie spotka go gdzie i nie zobaczy, co robi. Nie bez przyczyny bowiem od dwóch dni obiadu w domu nie jadł i zapowiedział Dorocie, żeby sobie tylko gotowali, bo chyba na wieczerzę będzie mógł powrócić.

Oglądając się, rozgadując po drodze, wstępując do otwartych kościołów, stary Maciej powlókł się o kiju od Krakowskiego Przedmieścia, od Kapucynów począwszy do Grodzkiej aż ulicy; zawrócił się potem ku Dominikanom i Jezuitom, ale próżno oczy wytrzeszczał, nigdzie Tadeusza nie odkrył. Uparty, cały dzień tak błąkał się ze swemi pęcherzami pełnemi tabaki, rozpytywał ludzi, śledził, nadaremnie. Sprzedał tylko kilka funtów maciejówki, napił się miodu u Indyka (tak zwano szynkownię u żydowskiej a raczej Grodzkiej bramy) i mrokiem

już przyszedł nazad z niczem. Dorota postanowiła nazajutrz sama wślad pójść za swoim paniczem.

Nocką już przyszedł on do dworku, kazał sobie dać wody do umycia, która, jak uważała Dorota, była czegoś dziwnie ciemna, jakgdyby się panicz czem powalał, zjadł trochę nawarzonego krupniku i chleba kawałek, zapisał coś sobie i spać się położył. Ledwie na brzask było, już posłyszeli starzy, że ognia krzesał, ubierał się i zabierał do wyjścia, a Dorota, która dla pewności ubrana spać się położyła, poniosła mu piwo grzane, za które jej podziękował z uśmiechem dawno niewidzianym ale pił je już w opończę się owinąwszy, w czapce na głowie i poparzywszy rękę z pośpiechu, umknął z domu jak złodziej. Stara Dorota, której ciekawość sił dodawała, w minutę pobiegła za nim, ale go już spostrzegła daleko przed sobą, a że musiała unikać, by jej nie zobaczył, i kryć się w pustej jeszcze ulicy, straciła go z oczu koło ratusza — błądziła, błądziła i z niczem jak Maciej powróciła.

Wielki to był triumf dla starego stangreta, który dowodził, że wszystkie śledzenia będą próżne.

— Zobaczymy — odpowiedziała kobieta — zobaczymy... jutro ja się lepiej jeszcze zasadzę...

Jakoż następnego poranku trochę więcej dowiedziała się Dorota, zobaczyła go bowiem koło ratusza wchodzącego do jakiejś kamienicy, w której znikł. Czekała, czekała długo, czy z niej nie wyjdzie, koło południa poszła wewnątrz, ale z wielkiem strapieniem przekonała się, że kamienica była przechodnia.

Maciej śmiał się do rozpuku, ale trzeciego dnia, zaparłszy dobrze dworek, sam poszedł z Dorotą; znowu Tadeusz wszedł do tejże kamienicy, z której jednego wyjścia pilnowała służąca, drugiego stangret. Stali tak niezmiernie długo i nie zobaczyli go wychodzącego, Dorota utrzymywała, że go Maciej prześlepił, on, że się ona zagapiła, pokłócili się mocno i powrócili do domu. Staremu przyszło na myśl zasadzić się już wieczorem, ażali on po mroku z tegoż miejsca wychodzić nie będzie; potem śledzić, co on może robić w tej kamienicy. Jakoż zwycięsko przyszedł oznajmić Dorocie, że panicz cały dzień w tej kamienicy siedział i o mroku dopiero, owinięty w opończę, wysunął się temi drzwiami, któremi wchodził.

Pozostawało tedy dojść, co go tam ciągnęło i czem się cały dzień zajmował, a tu Maciej naprzód ofiarował się na zwiady ze swoją tabaką. Nazajutrz więc około godziny dziesiątej wybrał się, opatrzywszy w pęcherze pełne maciejówki i począł logicznie od dołu kamienicy, która miała dwa oprócz tego piętra. Na dole był tylko sklep korzenny jakiegoś kupca Falkowicza, zdawało się nowo założony, bo i tablicę miał świeżą i dawniej go jakoś nie widział Maciej, choć często tędy przechodził; z drugiej strony mieszkał szewc, którego głos donośny rozlegał się daleko, nazywano go Tubą, a to nazwanie dali mu studenci, bo nie było chwili, żeby jego krzykliwe i namiętne wołanie nie rozlegało się aż w podwórzu. Nie zaglądając do sklepu, Maciej zaszedł do Tuby, sprzedał

mu ćwierć funta tabaki na próbę i kroczył na górę; znalazł tam jedno mieszkanie zamknięte, w drugiem umarłego na marach staruszka jakiegoś, u którego trumny kilkunastu wnuków klęczało. Na drugiem piętrze mieszkał jakiś prawujący się szlachcic, u którego właśnie pili na zabój na konferencji znajdujący się prawnicy i młode małżeństwo, zajęte pilnie swojem szczęściem i gospodarstwem. Nigdzie śladu Tadeusza nie dostrzegł stary, i jedno tylko zamknięte mieszkanie zostawało nierozpatrzone. Chcąc się o nie rozpytać, wszedł na dole do sklepu Falkowicza; siedział tu kupiec, sam obmotany opończą, w kapuzie na głowie, jakby chory, i trzymał chustę przy twarzy, osłaniającą mu ciemne, brunatne lice — siwowaty włos z pod czapki się wymykający, zgarbione plecy świadczyły o wieku mieszczanina. Na widok wchodzącego Macieja, pan Falkowicz wstał, coś mruknął, nie odejmując chusty od twarzy i postąpił ku niemu, ale wpatrzywszy się zapewne w liche jego ubranie, bo Maciej od wyjazdu z Siekierzynka dobierał stare opończe i drelichowe katanki, odsunął się szybko i usiadł, dając znać, że cierpi.

— Nie zażywacie tabaki? nie potrzebujecie maciejówki? — spytał stary — doskonała tabaka! jak Boga kocham, proszę spróbować? Pan cierpi na zęby, nie ma nic lepszego jak płukać i myć tabaką... proszę spróbować.

Ale kupiec odtrącił pęcherz otwarty ręką i usunął się, kiwając głową a nie mówiąc ani słowa.

— Pan nie zażywa? — spytał Maciej niechętnie.

Falkowicz głową kiwnął i głębiej jeszcze cofnął się w ciemny kąt kramu swego, jakby mówił: — Dajcie mi pokój.

— To jak wola, nie napieram się — mówił stary — boć nie chwaląc się, tabaka, jakiej drugiej w Lublinie niema; żydzi farbują krwią, mieszają popiół, szczecinę, szkło i Bóg wie co, a moja czysta! ale jak nie, to nie. Mam i tak odbyt wielki, ledwie nastarczę; prosiłbym tylko pana kupca powiedzieć mnie, kto tu mieszka w tej kamienicy na górze, gdzie drzwi zamknięte, naprzeciw nieboszczyka?

Na to pytanie zmieszał się Falkowicz, spuścił głowę i z pod chusty grubym przez nos głosem odpowiedział niecierpliwie:

— Ja... ja!

— A! bardzo przepraszam, proszęż dać pieprzu za trzy grosze.

Na to żądanie, poparte rozwiązaniem węzełka, z którego Maciej dostał trojaka i położył na stole, zawahał się Falkowicz może dlatego, że go zęby bolały, a żądanie było maleńkie, ale wkrótce jakby się namyślił, obwiązawszy się chustą, chwycił szufladę pieprzu, nasypał go na papier, odważył, zawinął i oddał Maciejowi, wpuszczając monetę do innej szuflady. Tego dopełniwszy, stęknął, siadł, podparł się, jakby mówił: — Idź-że waszeć sobie.— Macieja wszakże niełatwo było się pozbyć; — i nim do kieszeni stosownej wpuścił kupiony pieprz, zaczął rozmowę znowu.

— A to widzę nowy sklep, bo ja tu mieszkam w Lublinie od lat trocha, a jeszcze go nie widziałem...

Kupiec milczał, kiwnął tylko głową.

— Piękny sklep co się zowie, tablica ślicznie malowana! i dostatek widać towaru... No! daj Boże szczęście... pan to pewnie z innej ulicy tu się przeniósł?

Falkowicz znów głową tylko dał znak potakujący.

— I miejsce to dobre, niema co mówić, sam przechód, kamienica na drodze, blisko ratusza, w środku miasta, pozycja doskonała, powinszować! A imbieru u pana dostanie?

Falkowicz wskazał na szufladkę.

— Psi! si! wszystko jest! ślicznie! ślicznie! kłaniam się panu i kłaniam!

I widząc, że uparty kupiec milczy, ciągle się chustką zasłaniając, rad nie rad uszedł.

— Dziwny to jakiś kupiec — mówił po drodze, — milczący, chory, stary... Nie zrobi wielkich rzeczy, jeśli tak go będą ciągle zęby bolały, towar trzeba chwalić, kupującego zapraszać; ja z moją tabaką co gęby nastudzę, a ledwie radę dam... Milczkiem to tylko na lisa polować dobrze... Bóg z nim. Ale radbym wiedzieć, co się z tym paniczem dzieje... Dorota będzie śmiać się ze mnie, że nic nie doszedłem, ale doprawdy, chyba go tam dziś niema?

— Kupiłem jej zato pieprzu i tanio i pachnącego.

Powróciwszy do dworku, Maciej najsumienniej i obszernie się wytłumaczył ze spraw swoich, oddał Dorocie funcik z pieprzem, nad którego taniością i gatunkiem wydziwić się nie mogła, i z westchnieniem usiadł, zeznając, że pana Tadeusza nie

rozumie i nie wie, co się z nim dziać może. — Jeśli chcesz, wasanna — dodał z przekąsem, — poprobuj jutro sama, może czego dojdziesz?

Dorota ruszyła ramionami. — Daj mnie pokój! — odpowiedziała — dobrze tylko i to, żeś taki dobry sklep odkrył, jak mi czego będzie potrzeba, to do niego pójdę, bo po pieprzu wnoszę, że tam taniej jak gdzie indziej.

Najdzikse więc robiąc domysły, słudzy pozostali w niewiadomości obrotów swojego pana, a jak w początku jego postępowanie zdawało im się bardzo dziwne, tak później przywykli do jego wycieczek całodziennych i przestali się niemi niepokoić. Tadeuszek zaś najregularniej znikał zrana bardzo i nie powracał aż późnym wieczorem, coraz mniej przebywając we dworku, w którym dwoje tylko starych samotnie życie pędziło.

W kilka tygodni Dorocie potrzeba było różnych ingredjencyj kuchennych i z koszykiem udała się do sklepiku Falkowicza dla zakupienia ich. Niemniej jak Macieja zdziwił ją osobliwszy milczący kupiec, zawsze prawie obwinięty chustą, śniadej płci i siwych włosów, niecierpliwy, półsłowy zbywający, ale sumienny w przedaży, wadze i cenie. Żadnym sposobem nie udało jej się zawiązać z nim rozmowy; ale z kilku jego wyrazów, stłumionym wyrzeczonych głosem, Dorota zmieszana zdawała się rozpoznawać zmieniony, a przecież znany jej dobrze dźwięk głosu. Wzruszona i niespokojna, jęła się przypatrywać, siedziała długo, szpiegowała nowego przemówienia, ale już Falkowicz ust nie otworzył

i choć ciągły był wpływ potrzebujących, ciągła sprzedaż towaru, zbywał przychodniów milczeniem. Dorota stała drzwiami zasłoniona długo i próżno, przypatrywała się przez szparę starcowi i pojąć nie mogła, co się jej przymarzyło.

W istocie dziwne miała przywidzenie, zdało jej się, jakby słyszała wykrzywiony niezręcznie stłumiony umyślnie głos Tadeusza; ale sama się z tego potem śmiała, tłumacząc sobie dziką myśl swoim niepokojem o wychowańca. Falkowicz był tak stary i siwy, śniadej płci, niski, gruby! A wreszcie cóż być mógł za stosunek kupca z dzieckiem rodu Siekierzyńskich! Tylko widziany kilka razy i znikający w tej kamienicy Tadeusz dawał do myślenia Dorocie... że kryjówka młodego człowieka i ten głos osobliwszym sposobem w jednem się miejscu zbiegły.

Wróciwszy, nie wspomniała o tem, co się jej przysłyszało, Maciejowi; byłby ją wyśmiał, ale z różnych poznak wnioskując i myśląc długo, poczęła wpadać na jakieś domysły, które ją nazajutrz znów do sklepu zagnały. Weszła tak, że jej Falkowicz nie widział, a gadał do kogoś — głos, jakkolwiek przebrany, zestarzony, wykręcony, tak jej był znany od pieluch! — Był to głos Tadeusza, nie mogła się zmylić!

Pan Tadeusz, ostatni z Siekierzyńskich, ów dawny szlachcic kupcem! cóż mu się stało? być-że to mogło? Była pewna, że się nie omyliła i w głowie jej się plątało, tak pojąć tego nie umiała; nie rozumiała ani celu, ani powodu... ale jakiś niepokój ją opanował, jakby o zbrodni się dowiedziała, jakby popełniła występek. Siadła i zaczęła gorzko płakać.

Maciej o niczem nie wiedział; on właśnie w ganku przyjmował przybyłego stolnika nurskiego, który pomimo podagry przybył się dowiedzieć, co porabia syn przyjaciela, co się stało z odebranym kapitalikiem. Zaraz na wstępie schwytał Macieja zapytaniem: — A co mój stary, co u was słychać?

— A! panie stolniku! najgorzej że nic... człek nie wie czy się cieszyć, czy lamentować, tylko w niepokoju czeka jak burzy, którą widzi nadchodzącą.

— Cóż wasz panicz?

— Panicz! możemy powiedzieć, że go prawie nie widujemy. Bóg jeden wie co robi?... wychodzi z domu o świcie, powraca nocą dopiero, a w żaden sposób dojść nie można, czem się zajmuje... Po mnie aż ciarki chodzą.

— Jużciż mogliście go popytać?

— Aha! żebyż odpowiedział! taki takusieńki mruk jak nieboszczyk ojciec, chodzi i milczy, milczy i chodzi... Dobry, poczciwy, ale ma dwie wady, paneczku... nie gada i tabaki nie zażywa, to go i zgubi.

— Cóż to, jak myślicie? hula może, co?

— Gdybyż hulał? to rzecz wiadoma, że młodemu trzeba trochę się wyszumieć, ale gdzie tam! Tak on hula jak i ja... Ale coś robi potajemnie i kryje się.

— To źle — rzekł stolnik, — potrzeba dojść koniecznie... Kto wie!

— Niech-że kto będzie mądry! Już my z Dorotą dobrześmy tańcowali i nic... Powiem panu nawet — ciszej dodał maciej — szpiegowaliśmy go, wchodzi do jednej kamienicy regularnie co rana i aż nocką z niej wyjdzie dopiero.

— No! to było śledzić kto tam mieszka?

— A któż mieszka? ja nie w ciemię bity... mieszka stary jeden kupiec, młode małżeństwo, szewc, szlachcic jakiś, co na trybunał przyjechał i jeszcze tam jakaś familja uboga; ale jego ani słychu.

Stolnik się zmarszczył mocno, pokiwał głową, zamyślił.

— Ja z nim o tem pogadać muszę — rzekł; — przyzna mi się, jużciż nie rozbija i nie kradnie.

Wtem nadeszła Dorota z czerwonemi od płaczu oczyma i uściskała nogi stolnika; jakoś Maciej poszedł dla koni gościa kupić siana wiązkę, a on został sam na sam ze starą sługą.

Dorota obejrzała się naprzód na wszystkie strony, pokiwała głową, załamała ręce i szlochając zawołała:

— Wie pan, co się z naszym paniczem dzieje?

— A! wiem, mówił mi Maciej przecie.

— Cóż on panu mógł powiedzieć — tu się zaszła od płaczu, — on nic nie wie.

— A! na Boga, mów moja Doroto! mów, zaklinam.

— Gdyby nieboszczyk to zobaczył, umarłby z rozpaczy.

— Jezu miły, ale cóż to jest, Doroto — zawołał stolnik, — mów, jeśli Boga kochasz, na rany Chrystusowe!

Dorota zbliżyła się do ucha pana Piotra Kornikowskiego i szepnęła:

— Został kupcem.

Gdyby piorun uderzył u nóg stolnika, nie byłby

więcej pobladł ani się przeraził; słowa zamarły mu w ustach, zatrząsł się, namarszczył brew. — Jak? co? gdzie?... to być nie może? — wyjęknął — powiadam ci, to być nie może! on! on! Siekierzyński! potomek hetmanów i kasztelanów.

— Ciszej, panie stolniku, ciszej na Boga, jeszcze nas kto posłyszy, tak jest! został kupcem.

— Prędzejbym myślał, że się utopił — krzyknął stolnik porywczo — *ignominia! infamia!* ale mów-że, wasanna, mów-że, jak to się stało?

— Jak to się stało, ja tego nie wiem, ale jak się przekonałam, to zaraz się wytłumaczę... Jak zaczął panicz z domu rankiem uchodzić, a aż w nocy powracać, zlękliśmy się z Maciejem i szpiegowaliśmy go. Otóż w kamienicy, do której chodził, nadole jest sklep, napisano Falkowicza, a to nie Falkowicza żadnego, tylko jego.

— Cóż on tam u kaduka sprzedaje?

— Co? pieprz, rodzynki, imbier, cukier... zwyczajnie kupiec.

— Jakto! tak, w biały dzień, bez wstydu, psu oczy sprzedawszy!

— O! nie! zobaczysz, pan, co za dziwy z siebie zrobił! przebrał się, powiadam panu, jak na zapusty! włosy siwe, twarz oliwkowa, garbaty, stary.

— A co ty mi androny prawisz — krzyknął stolnik, laską stukając, — to brednie, powtarzam, to brednie.

— Ale, panie, ja go wyhodowałam, poznałam go! po głosiem go poznała, to on, jak mi święta pamięć jego matki!

— Tfu! tfu! — przerwał staruszek — zwarjowałaś czy co! androny! banialuki! powiadam! Gdzie? przebrał się? zamaskował! jak to być może, chyba sfiksowawszy.

— To niech-że się pan sam przekona! ja pana zaprowadzę.

Jakkolwiek zmęczony, stolnik wziął za kij, otrzepał tylko z pyłu kapotę podróżną, wychuchał czapkę pomiętą, przygładził siwego włosa i z Dorotą wraz, zostawując na straży domu furmana swego, ruszył pod ratusz.

Kawał to drogi z Winiar, zwłaszcza dla starca, co tylko wysiadł z bryczki i cierpiał na nogi pobrzękłe, a w dodatku, *in publico*, jak powiadał, swoich defektów pokazywać nie chciał i usiłował iść prosto i lekko, a nawet z pewną młodzieńczą zamaszystością... Ale wiele może wola i niepokój, gdy nimi kieruje serce poczciwe.

O kilkanaście kroków Dorota się przyzostała, a pan Piotr, naczupurzywszy się, wszakże z widocznym niepokojem, po dwóch kamiennych śliskich płytach wszedł do kramu, nad którego drzwiami wielkiemi literami stał napis:

SKLEP KORZENNY
Jana Falkowicza ze Lwowa

Pod temi wyrazami na czarnem tle narysował artysta dla nieumiejących czytać, szalki, pudełko o ile mógł i umiał, w różnych mniej więcej wierzych kształtach, atrybuta handlu korzennego, a między niemi głowę cukru, z uszanowaniem odkrytą przed publicznością i świecącą białą łysiną swoją.

Kram był bardzo świeży i porządny, szafy malo
wane ciemno, naczynia i pudła nowe, szalki świe
cące, nawet ta szpulka, z której z nieprzyjemnyr
kłótliwym głosem rozwija się sznurek, protestują
przeciwko nieustannemu rozcinaniu, miała jaką
fizjognomię uśmiechniętą i wystrojoną. Była żółt
z brzegami ponsowemi... W sklepie zapach był za
chwycający: mieszanina szafranu, bobkowych liśc
imbieru, pieprzu i tysiąca drogich staropolskie
kuchni przypraw, połączonych w jedno *totum*. Kęd
spojrzałeś, radowało się serce i żołądek na widc
materjałów, które w rękach kuchmistrza specjaln
wydać miały potrawy, wytworne i zawiesiste sos
— I czyto, że sklep był nowy, a nowe sitko n
kołku, czy że w istocie jego czystość, porząde
i oblicze wesołe nęciły, ale ciżba kupujących był
wielka. Stary, zgarbiony, szpakowaty, oliwkowe
cery, w kapuzie i z gębą zawiązaną chustką kolo
rową kupiec, zwijał się, nie mogąc wszystkim na
starczyć. Stolnik wszedł z tłumem i spojrzawszy n
oryginalną figurę pana Falkowicza, roześmiał si
do rozpuku z Doroty i z radości, że się tak po
myliła. W tej chwili kupiec zwrócił na niego ocz
i sznurek, którym wiązał ogromne oko bobkowyc
liści, zastrzegł mu w rękach; widocznie zmieszał sie
spuścił głowę i poprawił chusty, odwrócił się...

Ten ruch nie uszedł pilnego oka stolnika, któr
dobywszy talara z kieszeni, zbliżył się do kupca.

— Proszę wacana o funt rożków... rzecz dobr
od kaszlu.

Falkowicz, który stał odwrócony, śmiało zbliży

się, wziął talara w milczeniu, spuścił go w szufladę, oddał resztę i zawinąwszy ekstra-szparko różki, wręczył je stolnikowi. Ten ręki nawet nie mógł zobaczyć, bo kupiec miał na niej rękawiczkę. Chciał głosu dobyć z tej niemej postaci, i począł rozmowę, ale sąsiad go trącił i rzekł mu na ucho:

— Pan nie wie, że Falkowicz ma defekt z pozwoleniem, w gębie, ciężko mu gadać, cyrulik mu zęba dostawał i szczękę nadłamał... otoż i nie konwersuje przez to... Ale to pierwszy sklep — dodał — *quo ad integritatem*, człek słuszny... Kilka lat, ba i pono z dziesięć czy więcej nie mieszkał w Lublinie, teraz powrócił do nas ze Lwowa.

Stolnik głową pokręcił. — Gdzież u kaduka ta Dorota wzięła swego Tadeusza w tym starcu: a muszęż jej głowę zmyć za tę potwarz! Podobny, jak pięść do nosa!

Tymczasem sąsiad poczęstował stolnika tabaczką, stolnik przyjął ją z wdzięcznością i rozwinął swoje różki by się wywdzięczyć, a z tych preliminarjów zawiązała się rozmowa ze staropolską uprzejmością braterską.

— Waćpań dobrodziej nie tutejszy? — spytał sąsiad sklepowy.

— Ja, mości dzieju, jestem z Mazowsza.

— Zapewne do trybunału, czybym nie mógł usług moich ofiarować?

— *Gratias ago*, ale nie w tym interesie przybyem, prawa żadnego nie mam, przyjechałem, iż tak zekę, dla rozrywki, *propter delectationem*.

Prawnik się ukłonił niżej jeszcze. — Jakże godność pańska?

— Piotr Kornikowski, stolnik nurski.

— Miło mi poznać waćpana dobrodzieja, zwłaszcza, że Kornikowscy herbu Rola?

— Tak Rola.

— Z Mazowska *itidem*, z których jeden miał za sobą Malewiczównę z Malewa, znany był mi *intime*...

— Mój stryj nieboszczyk, *requiescat in pace.*

— Umarł! proszę asindzieja? umarł!

— A kogoż mam szczęście *tam insperate* poznawać i szczycić się zawiązaną miłą mi konwersacją? — spytał z właściwą wymową pan stolnik.

— Kordziłowicz Inocenty z Wołynia, z pod Lucka — odparł prawnik — z Kordziłówki szlachcić, mogę powiedzieć, tak dobry jak i drudzy i *possesionatus*, acz na cząstce.

— Bardzo mi miło zaszczycić się towarzystwem waćpana dobrodzieja!...

Gdy tak wzajemnie prawią sobie starzy komplementa w smaku czasu owego, usunęli się nieco, by natłokowi ustąpić, a stolnik nagle jak sparzony, ogromne oczy na kupca wytrzeszczył. Falkowicz, który go już może za nowo przybyłymi nie widział, odezwał się do kogoś; dźwięk jego mowy doszedł uszu pana Kornikowskiego. Schmurzyło się nagle oblicze, zacisnęły usta i pożegnawszy szybko Kordziłowicza, który miał intencję wprosić się na miodek lub węgrzyna, o ile mógł szybko wyniósł się ze sklepu.

Ale jak wzruszony! jak trzęsący! jak blady! jak

oddychający ciężko! Oczy mu mgłą zaszły, łzą może i ze schodów, o których zapominał, tylko co się nie stoczył; przecież Kordziłowicz go jakoś podtrzymał, co dało powód do nowych uścisków i poleceń pamięci, a stolnik, jak napiły, powlókł się, sam nie wiedząc dokąd, i zamiast ku Ratuszowi, skręcił się ku Dominikanom, zapomniawszy, że na niego czeka Dorota.

Poznał on ten głos, chustka się nieco usunęła, dojrzał twarzy i był przekonany, że w istocie Siekierzyński został kupcem.

Był to cios tak dla niego wielki, straszny i niespodziewany, że w początku powtarzał tylko: kupiec! kupiec! i szedł jak przybity. Zastanowił się chwilę, zbierał myśli.

— Niech kaduk porwie! sza! sza! ani mu powiem, żem go poznał! potrzeba to utopić! żeby świat nie wiedział, nie widział, nie domyślił się. Wstyd! hańba! strata szlachectwa! Siekierzyński! Siekierzyński! a! a! gdyby się nieprzyjaciele ich dowiedzieli!

I pochwycił się oburącz za głowę.

— Nikt! nikt o tem wiedzieć nie powinien! ani a! ani ja nawet! Falkowicz! Falkowicz! szaleństwo! jakiś głupiec mu to doradził, a on głupiec drugi, że to przyjął! A! rozumiem teraz, naco mu potrzeba było pieniędzy! Gdyby się był utopił, nie tylebym się dziwował! Ale kupcem zostać! Siekierzyńskiemu! Nie lepszać nędza, ubóstwo, żebranina... wszystko lepsze...

I rozprawiałby tak stolnik długo może, gdyby go Dorota, dognawszy, nie chwyciła za rękę.

— A co? — spytała — a co! nieprawdaż?

— Przeżegnaj się, kobieto! — odparł żywo pan Kornikowski—co tobie było w głowie. No! głos podobny! Ale cóż z tego? To starzec!... tu go w mieście od lat kilkunastu znają bardzo dobrze! Pytałem ludzi! Gdzie zaś! a broń Boże byś to komu powtórzyła, ot zgubiłabyś chłopca.

— Ale mogłam-że się ja omylić?

— I jak najpewniej, powtarzam, toć go tu od piętnastu może lat znają. Imaginacja! obłąd! porzuć to! porzuć! Takeś mnie nastraszyła, a nadarmo! gadałem z nim sam! Gębę ma zawiązaną, bo mu cyrulik szczęki nadłamał, zęba dobywając.

Dorota, zbita z tropu i zgromiona, zamilkła. Stolnik, wielce poruszony, powoli teraz i spoczywając szedł na Winiary. Stara sługa zadumana, nie umiejąc sobie wytłumaczyć swojej omyłki, wyrzucając sobie, że z taką pewnością takie dzieciństwo poplotła i stolnika daremnie przeraziła, smutnie ciągnęła się za nim w milczeniu. Obwiniała siebie i rada była razem, że to się bajką okazało, bo krok tak dziwny zdawał jej się nieledwie występkiem w obliczu przeszłości Siekierzyńskich.

Był to czas, w którym klasy nieszlacheckie zupełnie pojmowały tę wyższość szlachty i zaszczytu przypuszczenia do niej dobijały się wszystkiemi środkami; cóż dopiero szlachectwo takie jak Siekierzyńskich, odwiekuiste, starożytne, za coś nadzwyczajnego uchodzące w sąsiedztwie i tak poważane powszechnie!

Stolnik ze swojej strony obracał ten wypadek na wszystkie strony; przypomniał charakter Tadeusza

i pojąć nie umiał, co mu się stało; nie wpadał wcale na myśl, żeby to zbogacić mogło, a brzydząc się po szlachecku kupiectwem, jako stanem wyrabiającym w człowieku chciwość, i wedle wyobrażeń ówczesnych, służebniczym i podłym—nie mógł rozplątać węzła. Postanowił sobie w tej klęsce, którą go pan Bóg dotknął, gdyż nie inaczej nazywał Tadeusza zmianę stanu—udać, że się niczego nie domyśla, milczeć i modlić się, by ten szał jak najprędzej ustał.

Ale z drugiej strony sumienie szlacheckie kazało mu odezwać się, zreflektować, wprowadzić na drogę... Cóż tedy począć, mówić czy milczeć?

Długo rozmyślał pan stolnik, zastanawiał się nad swojem położeniem, rozbierał obowiązki, kłócił się z sobą, robił wyrzuty i tak dzień cały spędził w niepokoju największym. Bardzo późno w noc drzwi od sieni skrzypnęły i Tadeusz wszedł do dworku, czekała na niego Dorota z wieczerzą i oznajmieniem, iż stolnik przyjechał.

Nic na to nie odpowiedział Siekierzyński, zrzucił tylko opończę i spiesznie udał się do izdebki pana Kornikowskiego, który chodząc powoli, odprawiał wieczorne pacierze.

Na widok winowajcy staruszek zarumienił się, pomięszał, ale otworzył mu ramiona z serdecznością i w tej chwili postanawiając nic nie mówić i udawać, że nic nie wie, powitał go głosem:

— A witaj-że, witaj-że, Tadeuszko! cóż to jest? skąd-że tak późno? — Siekierzyński, może nieprzygotowany do zręcznego kłamstwa, rzekł:

— Byłem u oo. jezuitów, u księdza Ksawerego, u którego zwykle całe dni przepędzam.

— Cóż to? czy cię tylko ojcowie nie ciągną do zakonu? hę? przyznaj się! wiesz, że ojciec twój i matka byli podobnej myśli przeciwni. Świat szeroki, zawczasu nie trzeba go sobie zawiązywać.

— Ale ja o tem wcale nie myślę—rzekł Tadeusz.

— No! a cóż porabiasz? co zamierzasz? co myślisz? *quid proponis?*

— Jeszcze sam nie wiem—cicho odparł Siekierzyński.

— Daruj, bo to z przyjaźni dla ciebie, ale niespokojny jestem, co też zrobiłeś z pieniędzmi?

— Z pieniędzmi? tymczasem złożyłem je u oo. jezuitów.

— Wszystko u jezuitów! u jezuitów! zaprawdę, wielki z waćpana jezuita — rzekł stolnik, chodząc powoli — i to pewnie? — dodał.

— Masz-że pan powód wątpić o tem?

— Ja? nie; ale to lokata osobliwsza, przyznam ci się.

— To nie lokata, skład tylko, tymczasem obmyślam, co z sobą zrobię.

— I niceś pan nie postanowił? — silnie wpatrując się w niego, spytał stolnik.

— Dotąd nic jeszcze.

Stary głową pokiwał, chciał wytrwać w milczeniu, ale oburzony postępowaniem Tadeusza, a więcej tajemnicą, którą chciał przed nim zachować, odezwał się wreszcie:

— E! do kaduka! przynajmniej ze mną przestał-

byś udawać, Tadeuszu, to nicpotem i na nic ci się nie przyda. Ot, co tu tergiwersować, ja wiem wszystko.

— Co takiego? — spytał bardzo naturalnie Tadeusz zdziwiony.

— Co? pytasz mnie jeszcze! co! dziwactwo czy szaleństwo twoje bezprzykładne, bo nie wiem, jak to nazwać! Człek takiej parenteli, takiego nazwiska! takiej ekstrakcji! Gdybym na moje oczy nie widział, do śmiercibym nie uwierzył, choćby mi stu świadków przysięgało.

— Ale cóżeś pan widział?—czerwieniąc się spytał Siekierzyński.

— Porzuć, waćpan, to udawanie; niedość ja, ale i inni cię poznali, to się utaić nie może.

— Panie stolniku — silnie odezwał się Tadeusz z gniewem, który błyskał mu w oczach, tak że Kornikowski zachwiał się w swojem przekonaniu—panie stolniku! cóż to są za enigmy? o co mnie posądzasz?

Stolnik oniemiał, zdawało mu się, że się nie mylił, a uparte przeczenie pupila wprawiało go w wątpliwość, nie wiedział, co począć; po chwili przecie otrząsł się z tego odurzenia i z nową mocą zawołał:

— Panie Tadeuszu! zrobiłeś glupstwo, wczas się cofnij, póki się to jeszcze nie wydało, mało kto wie o niem; utopimy to nieszczęśliwie dziwactwo, wyjedziesz na wieś i nikt wiedzieć nie będzie, żeś się tak dobrowolnie splamił!

— Ja! splamił! ja! na Boga, stolniku! mów-że i czem?—Tadeusz zdawał się tak szczery, że pan

Kornikowski znów się zachwiał w swojem przekonaniu. — Co u licha? miałżebym się omylić? to być nie może!

— Przyznaj się! — rzekł ciszej — przyznaj, do czego ta komedja?

— To nie jest żadna komedja, ja nie wiem, co pan mówisz, o co mnie posądzasz? com zrobił? kto mnie poznał? gdzie? Ja się muszę dowiedzieć, muszę oczyścić!

— Ale cóż, u kaduka! wszakżem cię widział i co gorzej słyszał sprzedającego korzenię w sklepie Falkowicza pod ratuszem; wszakżeś mi dał swoją ręką funt rożków!

— Ja? co to jest? w jakim sklepie? panu się śni! ja? w sklepie? ja! kupcem, Siekierzyński! pan się zapominasz, pan rzucasz potwarz na syna przyjaciela!

I znowu tak silnie, z takiem uczuciem wymówił te słowa, że stolnik osłupiał, odurzał, ruszył ramionami, podniósł wargi z wąsem, jak zwykł był, gdy mu się co przykrego trafiło i rzekł:

— Miałżebym się omylić? cóż u licha! Ale głos ten nie był decepcją!

— Ja tego nie rozumiem! proszę mnie to wytłumaczyć! — dodał żywo Tadeusz.

— Co tu tłumaczyć! — odparł stolnik — tu niema nic do tłumaczenia! przepraszam pana Tadeusza, jeślim się omylił, i po wszystkiem, boć i mnie się to bardzo dziwnem zdawało, żeby miał Siekierzyński mydło i świece sprzedawać!

Tadeusz rozśmiał się, ale dziko i dziwacznie.

— Kochany stolniku! — rzekł, siadając — znasz mnie od dzieciństwa, skąd-że ci taka dzika myśl przyjść mogła? Byłem nieraz w tym sklepie, o którym mówisz, niedawno założony. Tego Falkowicza znają tu od lat kilkunastu, jest to starzec chory, siwy, cóż za stosunek? jakie podobieństwo ma ze mną?

— Ale ba!—wpatrując się uważnie w oczy Tadeuszowi, mówił pan Kornikowski,—*vox similissima*!

— On rzadko się kiedy odzywa i to z pod chustki.

— Ba! ale jak się odezwie!

— Dzieciństwo! przywidzenie! imaginacja! — żywo zagadał Tadeusz,—kto myśl taką mógł podrzucić? Ja! Siekierzyński! syn takiego ojca kupcem! Pan mnie znasz i mogłeś mnie tak lekko i płocho posądzić.

— Jeśli płocho, to daruj,—przerwał stolnik, ciągle usiłując w oczy patrzeć Tadeuszowi, jakby przez nie do głębi duszy chciał się dostać — ale jeśliby to przypadkiem miała być prawda! czy rozważyłeś konsekwencje? Infamja! postradanie szlachectwa! tego żadne pieniądze w świecie nie opłacą! A *dubitandum*, czy i pieniądze z tego frymarku być mogą.

Tadeusz się roześmiał, zdawało się że szczerze! Panie stolniku—rzekł uprzejmie,—skądże myśl podobna? pan tak rozważny, mogę powiedzieć, tak subtelnie przebiegły (wyraźnie ujmował go pochlebstwem), mógłżeś wpaść na przypuszczenie takie, pozwól powiedzeć, dziecinne. Wszakże znasz pan mnie od dzieciństwa, mnie, rodziców, pochodzenie i wiesz jak cenię mój klejnot szlachecki.

Stolnik milczał, potem nagle zapytał:—Ale cóż te-
dy robisz od świtu do mroku? jużciż u oo. jezuitów
a diliculo ad noctem uspue siedzieć nie możesz? Gadaj

— Rozumiem, skąd to się tych wszystkich uro-
jeń i bajek nabrało,—odpowiedział zimno i powol
Tadeusz.—Poczciwi ale nieroztropni starzy moi mu-
sieli cię nastraszyć, panie stolniku kochany, musieli
cię zaalarmować, że bardzo rano wychodzę, a w no-
cy aż powracam. Któreś z nich dostrzegło, że co-
dzień do kamienicy Falkowicza wnijdę i zniknę i ot
baśnie sobie potworzyli!—Ruszył ramionami. — Ale
to absurda! któreś z nich dosłyszało głosu podobne-
go do mojego i nastraszyli się z wielkiej o mnie
pieczołowitości... Gdzież podobieństwo do tego!

— No! ale cały dzień nie siedzisz u jezuitów?

— Nie, panie stolniku, i miałem ci właśnie mó-
wić o moich projektach, gdy mnie tak niespodziane
napadłeś...

— *Insperate et a tergo*!—dodał stolnik, śmiejąc
się,—ale jeszcze nie ze wszystkiem uspokojony
Tadeusz tak mówił dalej.

— Część dnia spędzam z ojcem Ksawerym na
naukowych zatrudnieniach.

— I to nicpotem szlachcicowi, wszakci do za-
konu nie wstąpisz i bakałarzem nie zostaniesz?

— Tak, ale łacina potrzebna zawsze.

— A! łacina to co innego! ja sam język ten po
naszym *primo loco* kładę i nie chwaląc się, posia-
dam go *expedite*.

Tadeusz bardzo nieznacznie się uśmiechnął i cią-
gnął znowu.

— Resztę dnia w tejże kamienicy na górze zajmuję się nauką prawa.

— Nauką prawa! Cóż to, chcesz do palestry wstąpić? A i to ślicznieby było!

— Nie, panie stolniku; ale któremuż szlachcicowi nie potrzebna prawa znajomość?

— To prawda! ale waści to nie pilno, bo o cóż, u licha, prawować się będziesz?

— A! chociażby o Siekierzynek?

— O Siekierzynek! — Stolnik się zastanowił.— Ba! sprawa ciężka! *nil desperandum*, tytułu dziedzictwa nie mają. Byłeś małoletnim, przedawnienie nie zaszło. Ale czemże wykupić?

— Kto wie? później! ożenienie, spadek! los! wszystko w ręku Bożem, panie stolniku! — To mówiąc, spuścił oczy trochę zmieszany i zamilkł. Pan Kornikowski trutynując co słyszał, milczał także i łysinę gładził, spojrzał na młodego człowieka, potem na swój srebrny zegarek. — Ale to północ, panie Tadeuszu,—rzekł—czas nam spać; ja jutro przez ranek jeszcze zabawię, ku południowi ruszę do domu, spodziewam się, że ranek ze mną przepędzisz.

— Ja? może być... nie wiem... wprawdzie kazano mi być na konferencji bardzo rano, ale...

— Jużciż możesz mi kilka godzin darować...

Z tem się rozeszli, ale jak świt wybiegł ze dworku Siekierzyński i w pół godziny powrócił nazad, tak, że nim stolnik ubrał się, wymodlił i piwo grzane wypił, już był u niego. W nocy Kornikowski długo dumał, co na twarzy jego znać było, zdawał się

zachmurzony, ale o nic już nie pytał; pociągnął z sobą w miasto Tadeusza pod pozorem sprawuneczków do domu i mimo że ten go od ratusza odprowadzał, wszedł z nim razem do sklepu Falkowicza dla tem pewniejszego przekonania o wczorajszej omyłce.

Ale w sklepie dziś siedział tylko młody chłopak jakiś, a starego kupca nie było, mówiono że zachorował. To dziwne wydarzenie wzbudziło nowe domysły w panu Kornikowskim, jakkolwiek z natury swej nie podejrzliwym. Wrócili do dworku, pan stolnik wybrał się w drogę zupełnie, usiadł w kolaskę i gdy Tadeusz odchodził w jedną stronę, on odjechał w drugą. Ale niedaleko zaraz na placyku w Winiarach kazał zawrócić furmanowi i jechać do ks. jezuitów. Przypomniał sobie, że ojca Ksawerego znał z widzenia za życia pani skarbnikowiczowej i postanowił u niego o Tadeuszu się coś więcej dowiedzieć.

Powoli, po nierównym tocząc się bruku, kolaska zajechała przed wspaniały kościół jezuitów i obszerne ich kolegium. Stolnik, który raz pierwszy zwiedzał to miejsce i nie był dotąd w żadnym z jezuickich klasztorów, uderzony został fizjonomją jego wytworną, wspaniałą, potężną i szczególnym charakterem właściwym wszystkim zakonu tego gmachom. W każdym innym klasztorze obejmowała wchodzącego ze świata cisza, spokój, tęskne jakieś religijne uczucie; tu pomimo oznak pobożności, godeł religijnych, czułeś, żeś jeszcze nie zupełnie rozstał się z wrzawą życia, z bojem jego.

Klasztor jezuicki był jakby czemś pośredniem między gwarem świata a zakonną ustronią, placem, na którym zwierało się życie i życia zaparcie. W samej jego budowie widziałeś myśl skierowaną ku pociągnieniu ludzi wytworem, blaskiem, wspaniałością, nagięciem się do smaku wieku. Symbole wiary złociły się, srebrzyły, kolorowały i migotały, przybrane bogato, strojne, wdzięczące; klasztor był wspaniały, obszerny, wszędzie w nim widny dostatek, wszędzie przeglądało staranie o pozór, o powierzchowność, o ubranie.

Przez ciszę jasnych korytarzy słychać było często wesoły dobroduszny uśmiech, czasem dźwięk miły, głos słodziuchny, nigdy tego szmeru pokornej modlitwy podobnego do szumu lasów, który za serce chwyta w klasztorach innych zakonów. Ani tu śladu ubóstwa i wyrzeczenia się świata: uderzały kwiaty pielęgnowane starannie, rzadkie, z innych sfer przybyłe, kosztowne zegary, piękne i wielkie obrazy, krzyże nawet robotą lub materjałem zastanawiające. Znać było, że ludzie co tu żyli więcej odwróceni byli do świata niż do Boga, że nie wyrzekli się pierwszego, ale panować mu chcieli. W twarzach zakonników uśmiechniętych, miłych, wysłodzonych lub poważnych czytałeś żądzę ujęcia każdego i wyższości. Stolnik, który tak swobodnym był u księży kapucynów, tu znalazł się bojaźliwym, onieśmielonym, niespokojnym! ginął w ogromnym gmachu, a dziwił się co krok czemuś i nim się dobytał celi księdza Ksawerego, długo błądził po klasztorze, który mu wielkie dał wyobrażenie o zgro-

madzeniu Lojoli. Nareszcie braciszek laik, krawiec z powołania, w czarnej sukience, łysy, zgarbiony, grzeczny bardzo i niezmiernie pokorny, otworzył drzwi na pierwszem piętrze, nad któremi w dębowych rzeźbionych ozdobach umieszczony był obrazek z życia apostoła Indyj; i stolnik znalazł się nie w skromnej celi, jakiej się spodziewał, ale w miłem, jasnem i ślicznie acz nie wytwornie przybranem mieszkaniu, którego okna stroiły kwiaty, ściany obrazy, a kanapki i krzesła przypominały pańskie pokoje. W drugim pokoju, ksiądz Ksawery zajęty był nad książkami, któremi stół był zarzucony cały zdając się czynić z nich jakieś wypisy. Piękny zegar leżący bronzowy przeglądał w pośrodku ze stron pargaminowych białych okładek... Był to niemłody już człowiek, blady, słusznego wzrostu, z krótko obciętym włosem, z twarzą zmęczoną i zżółkłą ale z oczyma pełnemi życia; znać w nim było utrudzenie ciała, a podniecony żywot duszy. Uśmiech którym powitał starego, był uprzejmy i pełen wdzięku, pośpiech z jakim na progu, odrzuciwszy księgi przyjął pana Kornikowskiego, zdawał się wyrazem gościnności i serca.

— Cóż mi sprowadza pana stolnika! — zawołał chwytając go za ręce, jakiż to miły wypadek?

— Dawno to się należało — zmieszany odparł kłaniając się nisko, pan Kornikowski, — ale jakże to waćpan dobrodziej łaskaw, że mnie starego sługę swego poznałeś?

— O! o! myślisz więc, kochany stolniku, że w klasztorze pamięć tracimy? i owszem tem żywiej pa

miętamy, im mniej osób pamiętać możemy, zerwawszy ze światem i rzadko się nań wychylając.

Stolnik się ukłonił, odchrząknął, a jezuita, obok niego przysiadłszy, zdawał się wejrzeniem, uśmiechem zachęcać go do wynurzenia, którego oczekiwał.

— Jakże zdrowie stolnika? — zapytał.

— Zdrowie? — rzekł pan Kornikowski, pokazując nogi — gdyby nie to, byłoby jak na mnie dobre, ale szkapy się zmęczyły... a do tego często gęsto i po kościach łamania doświadczam, są to przypomnienia mogilne...

— Gdzież znowu, a z twarzy — rzekł ksiądz Ksawery — ślicznie mi pan stolnik wyglądasz, zdaje się, żeś jeszcze odmłodniał.

— O! o! tak to w łaskawych jego oczach.

— Doprawdy! doprawdy!

— Właśnie, że to człowiekowi co chwila śmierć na myśli, przyszedłem do jegomości dobrodzieja poradzić się...

— W czemże mu służyć mogę? pewnie o pupilu mowa?

— A o kimżeby, jeśli nie o nim? Radbym żeby sobie stan i cel jakiś obrał.

— Dawnom go bardzo nie widział, — rzekł ks. Ksawery żywo i nie wiem, jak się kieruje.

— Dawno? — spytał stolnik z przyciskiem.

— O! tak! lat kilka jak mi znikł z oczów, szkoda go, jeśli pięknych danych mu od Boga zdolności nie użyje, młodzieniec zacny i głowa dobra...

Stolnik już wiedział co chciał wiedzieć, wes-

tchnął, podparł się na lasce i kończył, nie dając do zrozumienia, że to, poco przyszedł, już otrzymał.

— I mnie też głowa boli o to, jakiby mu stan obrać?

— Prawdziwie nie wiem, jak na to radzić, choć kochałem i kocham go jako jednego z lepszych uczniów, ale czemże się dotąd zajmował?

— Zdaje mi się, że miał propensję niejaką do prawa.

— We wszystkich stanach Bogu i ludziom miłym być można, użytecznym społeczeństwu... ale w tej karjerze tyle jest okazyj do złego, tyle widzimy zmarnowanych pięknych zdolności, umysłu i serca...

— A zapewne! — odrzekł stolnik — lecz chciejcie mi z łaski swej, o ile znaliście mojego pupila, powiedzieć, do czego w nim postrzegliście zdolność?

— O ile go pamiętam, — uważnie mówił jezuita, — chociaż teraz się bardzo mógł odmienić, górowały w nim zdolności do matematyki... Ale u nas, chociażby wysoko posiadał tę naukę, do czegoż ona poprowadzi? Gdyby matka i on byli się chcieli nakłonić na zostawienie go nam, mógłby, kto wie, zostać dobrym nauczycielem...

— Ale, ojcze dobrodzieju, do zakonu nie miał wokacji.

— Wielka szkoda, bo dla ubogiego sieroty, pięknego imienia, którego podnieść nie może, byłoż co stosowniejszego, jak ustroń klasztoru i nadzieje wysokich może w zakonie dostojeństw.

— Ostatni z imienia i domu, miał obowiązki.

— Nie wchodzę w to — rzekł jezuita. Ale czemże się teraz zajmuje?

Stolnik się zmięszał; — uczy się prawa — odparł szybko.

— A! kiedy już rozpoczął, nie pozostaje nam tylko pobłogosławić. I w tym zawodzie wiele dobrego uczynić można, byle z Bogiem...

Mówili tak jeszcze z półgodziny, a stolnik, przekonawszy się dostatecznie, że Tadeusz od lat kilku nietylko nie bywał u ks. Ksawerego, ale go w oczy nie widział, odjechał, pożegnawszy jezuitę, przeprowadzony aż do wschodów, smutny i niewiele wiedząc, jak i co począć dalej.

Rozkazał kolaskę nawrócić ku ratuszowi i zastanowić się na placyku, a sam poszedł do sklepu Falkowicza. Tu już gospodarzył stary kupiec sam, jak zawsze obwinięty, okutany i niezmiernie zajęty. Na widok pana Kornikowskiego nie zdawał się bynajmniej zmieszany, podał mu, co ten sobie życzył, na zapytanie jego parę razy z pod chusty odpowiedział nawet, ale głos był tak dziwnie odmienny, iż już wcale młodego Siekierzyńskiego nie przypominał. Dla obcego nawet poznać w Falkowiczu Tadeusza było zupełnem niepodobieństwem, tak doskonale inna to była postać, mina, wiek, twarz nawet; stolnik co go od dzieciństwa na kolanach wykołysał, acz nie pewien swego, wyszedł ze sklepu mocno wzruszony i wątpiący.

— Cóż począć? znowu nań czekać we dworku i usiłować wymóc zeznanie? byłoby nadaremnie, złapać go na uczynku? niepodobna... lepiej to wszyst-

ko Bogu polecić i do domu wracać, jakby się o niczem nie wiedziało; bo przypuściwszy nawet, żeby się Tadeusz przyznał, czy poprawić się zechce?

Nadumawszy się długo, pan Kornikowski kazał furmanowi ruszać do domu, a ludzie tylko uważali, że przeciwko swojemu zwyczajowi całą drogę milczał, wzdychał, facecyj i przysłowi nie powtarzał, wreszcie do Czerczyc, swojej wioseczki, przybywszy, z wielkiego zmartwienia rozchorował się ciężko.

Szczęściem że nie wezwał doktora Vogelwiedera, który miał szczególny talent wyprawiania na łono Abrahamowe starych pacjentów w jak najkrótszym czasie, a sam się sobie gorącą wodą, nacieraniami, rumiankiem i domowemi specyfikami leczył i po dwóch tygodniach łóżka, powstał na nogi. Żyd — cyrulik Moszko doglądał go tylko i trochę mu krwi upuścił, kilkanaście baniek na krzyżach postawił, poczem, wziąwszy pół korca pszenicy, do miasteczka odjechał.

Sąsiedzi, proboszcz i krewniak daleki, bawiący przy stolniku, obserwowali, że od powrotu z Lublina jakby ciężką tajemnicę i strapienie w sobie trawił; często wzdychał, narzekał, niekiedy do siebie sam pomrukiwał i ramionami ruszał, wreszcie co wprzód bardzo często o Tadeuszu mawiał, teraz nawet pytany przez proboszcza, milczał lub zbywał go tylko. — Dorósł... niech sobie sam radzi, jak sobie pościele tak się wyśpi!

— — — — — — — — — — — —

Dziesięć lat w powieści jakże to szybko ubiega! ale w życiu ileż to w latach dziesięciu mieści się

cierpienia, pamiętnych chwil, ciężkich a długich dni i godzin! Strat niepowetowanych i zmian w człowieku, w ludziach, we wszystkiem otaczającem! Są wprawdzie tak szczęśliwi, kto inny nazwałby to przeciwnie, co po latach dziesięciu odwróciwszy się twarzą ku ubiegłemu, niewielką widzą różnicę między niemi a jutrem, ale to wyjątki... ale to ludzie z żywotem kamieni, co tylko trochę mchem porosną, z miejsca się nie ruszywszy, nie malejąc, nie rosnąc, nie dbając, co ich otacza.

Lat dziesięć! jaka to zmiana w domach i na cmentarzach! Ile tu przybywa kolebek, tam świeżych lub porosłych już mogił! I z naszych znajomych znajdziemy kilku nie na swojem dawnem miejscu: stary Maciej dawno śpi ze swoją rogową tabakierką na mogiłkach kapucyńskich, Dorota siedzi pod piecem, niedaleko za dom mogąc się ruszyć, bo już czasem kija używa na pomoc nogom zbolałym i stęka, że jak dawniej pracować nie może. Ksiądz proboszcz, dawny przyjaciel Siekierzyńskich, spoczął także na cmentarzu w Siekierzynku, w mogile, którą sobie przeznaczył w rogu murów opasujących kościołek, pod kośnicą. Stary Piotr Kornikowski, stolnik nurski, żył jeszcze i prawił po łacinie, ale się często zapominał, z krzesełka nie wstawał i na ganek tylko, na ręku sługi wsparty, czasem pięknego dnia wychodził.

Przejeżdżał się rzadko, do kościoła, w sąsiedztwo, ale smutny, pragnący rozrywki, uspokojenia, a nigdzie ich znaleźć nie mogąc.

W Siekierzynku szumno i tłumno hulają Wichu-

łowię młodzi, a o starych już ani słychać, bo i pan brat i wdowa pomarło to jedno po drugiem, a dzieci się rządzą jak szare gęsi. Ludzie poczciwi, pomimo kilkudziesięciu już lat ubiegłych od wypędzenia dawnych dziedziców, pamiętają starych panów i część wsi, która do nich należała, zowie się Siekierzyńszczyzną, a druga, tylko mniejsza, Wichulińszczyzną; pokazują miejsce, gdzie stał dwór, opisują budynek, mówią o obyczajach swoich panów, o ich rodzie i pochodzeniu, i jak to zwykle bywa, byle pana nie stało, powtarzają z westchnieniem: — Oj! nie tak to było za naszych starych panów!

A tymczasem naprzeciw ratusza lat dziesięć sprzedaje pan Falkowicz pieprz, świece, imbier i rodzenki i ludzie się niepomału dziwują, że tak nic nie starzeje, że kaszlący, chory, zgarbiony, zawsze od rana do nocy pracuje, a nie skarży się i nikim nie wyręcza; a niejeden powtórzył przysłowie: „Skrzypiące drzewo najdłużej trwa!" Współkupcy, mieszczanie zazdrośnem patrzą okiem na Falkowicza sklep i pokup, mówiąc pocichu, że musiał chwycić piasku skrwawionego z pod szubienicy, taki zawsze u niego natłok, ścisk i wrzawa kupujących, tak szybko rozchodzące się towary. Ale prawdziwym piaskiem krwawym pana Falkowicza to krwawa jego praca, wytrwałość i rzetelność i nikt go nie złapał na pociągnieniu ceny, na sprzedaży nadpsutego towaru; woli go wyrzucić na ulicę, niżeli zamieszać z lepszym lub taniej nawet się go pozbyć. To też wszyscy prawie ciągną pod ratusz i kupiec coraz to powiększa sklep, coraz to rozszerza swój han-

del, a zawsze taki pokorny, cichy, zawiązany, zakapuziony i wiecznie ze swoją szczęką bolącą się nosi.

Aż jednego poranku po latach dziesięciu, zamknięto drzwi kramu, i po kilku dopiero dniach zjawia się nowa tablica nad wystawką, inny znak, inny kupiec wcale, a Falkowicz zniknął i jak w wodę wpadł. Pytają o niego ludzie, co się też z nim stało, bo byli i tacy, co go mimo milczącej i posępnej twarzy polubili, co do niego przywykli, a młody kupczyk, jego zastępca, pan Ceretynowicz, odpowiada z uśmiechem, że poprzednik jego zachorzał, wyjechał na wieś i umarł.

— Jakaż to szkoda tego poczciwego Falkowicza! — powiadają sobie kumoszki, wracając ze sklepu — proszę wasani! umarł! A taki zdawał się jeszcze silny, krzepki, jakgdyby młodniał i pod koniec odzywał się nawet lepszym głosem, ale musiał to być już bardzo stary człowiek! O! już ten młokos Ceratynowicz go nie zastąpi. Uważasz wasani, że mi dał daleko mniejszy funcik pieprzu i dziecku nawet figi nie podarował, jak bywało stary Falkowicz!!

I stara Dorota zdziwiła się, gdy po latach dziesięciu samotnego życia we dworku, w ciągu których ledwie w niedzielę i święta widywała Tadeusza, postrzegła go jednego poniedziałku nie rano, przy szabli wychodzącego w ulicę, a powracającego w godzin kilka. Zbita z tropu przez stolnika, poczciwa niewiasta już od owych początków, a zwłaszcza od śmierci Macieja, nie wychodziła prawie z domu i nie wdawała się wcale w to, co mógł po-

rabiać Siekierzyński. Przywykła do jego rodzaju życia, pewna, że gdzieś przy mecenasie aplikował się, nie śmiała go nawet pytać o to. Pan Tadeusz tymczasem wyrósł, zmężniał, ale się nic nie odmienił; tych lat dziesięć, tajemniczo za domem spędzonych, uczyniły go mężczyzną, a umysł pozostał czem był, gdyśmy go znali wyrostkiem. Milczący, skryty, smutny, zamyślony, bez związków w mieście, stosunków i znajomości, pędził życie tak regularne, tak odludne, a tak jednostajne, że i Dorota wydziwić mu się nie mogła.

Stolnik niekiedy zajrzał do Lublina, ale *contra consuetudinem* nie stawał nawet we dworku i często się nie widywał z panem Tadeuszem, a obchodził się z nim zimno i ceremonjalnie. — Wkońcu od lat już trzech nie zajrzał do miasta, co nie dziw, bo się był podstarzał, a kawał drogi jechać było z pod Czerska do trybunalskiego grodu. Mieszkał on zawsze w swojej małej wioszczynie tak jak sam jeden, z dalekim krewnym tylko, mając się zawsze jeszcze za gospodarza, choć już tylko z ganka i z izby gospodarował. Uważano, że jak dawniej lubił mówić o Siekierzyńskich, tak teraz o nich ani wspomniał, a gdy mu kto poddał ich, powiedział słów kilka o skarbnikowiczu i urywał, by o Tadeuszu nie mówić ani źle ani dobrze.

Wielkie to było podziwienie Doroty owego pamiętnego poniedziałku, gdy zobaczyła swego wychowańca przy szabli, powracającego do dworku około południa i z taką jeszcze rozweseloną twarzą, pogodnem czołem, tak żywo i młodo idącego,

jak nigdy. Nawet do niej kilka słów przemówił uśmiechnięty.

— No, moja Doroto — rzekł — wynudziliśmy się dosyć w mieście i wywędzili, może pan Bóg da, że pojedziemy na wieś, tymczasem ja teraz już częściej będę z tobą, przygotuj-że mi co zjeść.

Dorota odmłodniała, głos jego posłyszawszy i pobiegła raczej niż poszła do kuchni naradzić się z Kaśką służącą, którą od lat kilku do pomocy sobie przybrała, coby paniczowi zrobić na obiad. W mieście to łatwo, bo wszystko pod ręką — a Dorota tak była czegoś szczęśliwa, że się te wycieczki skończyły, że Tadeusz gadał do njej i chodząc u siebie po izbie, świstał nawet!! — Po obiedzie, który był wyśmienity i przypomniał lepsze, stare czasy w Siekierzynku, odpoczął trochę Siekierzyński, a gdy zmierzchło, puścił się (tylko już bez szabli) na Grodzką ulicę.

Tu wszedł do pięknego domu na pierwsze piętro i jak stary znajomy, przestąpił próg dostatniego mieszkania Michała Balcera, kupca i mieszczanina lubelskiego. Był to ten sam tłusty, rumiany, wesoły jegomość, którego dawno przedtem spotkał Tadeusz na przechadzce za zamkiem w szamerowanej bekieszy.

Staruszek, siwy już dobrze, siedział w krześle wygodnem koło okna wychodzącego w ulicę i patrzał na ruch miejski, nie mogąc już w nim uczestniczyć; nieco opodal za stołem zajęta jakąś robotą, w okularach na nosie, poważna matrona mówiła coś do małego dziecięcia, którę koło niej kręcąc

się, szczebiotało. Dzieciak był rumiany, z bystrem spojrzeniem, śmiały i wesoły. Przy pani Michałowej, z robótką także, odpowiadając coś i uśmiechając się, siedziała młoda mężatka; synowa kupca, uważnem okiem śledząc każdy ruch chłopaka swego. Z drugiej izby przez drzwi wpółotwarte, piękna młodej dziewczynki głowa, stroi we włosy jasne, ciekawie zdawała się czekać wejścia Tadeusza.

Pokój był raczej bogato niż wytwornie ubrany; wszedłszy, widziałeś, że to nie próżniaczy bawialny salonik wiejski, w którym tylko gości przyjmują pogadanką i ukłonami. Naokoło stały gdańskie piękne mebliki, ciekawe sprzęty cudzoziemskiej ręki dzieła, zegary sztuczne, kufry obijane skórami morskich zwierząt i złoconemi bronzami, pudła z hebanu i słoniowej kości, srebrne misternej roboty puhary. Po ścianach było kilka pobożnych obrazów ze szkoły gdańskiej, i portrety kilku królów. W pośrodku obok stołu przepyszne cacka z różowego drzewa, ozdobne rzeźbą z kości i kruszcu, był kołowrotek pani Joachimowej z jedwabiem, który zwijała. Na szafeczce pokrajana sztuka materji zwieszała się, fałdując przepysznie; dalej kilka ksiąg rachunkowych, w ponsową skórę oprawnych, otwierało swe karty gęstemi podzielone linjami. Wszędzie obok dostatku widać było ślady pracy i zajęcia.

Zaledwie ze drzwi półotwartych ukazała się w mroku twarz pana Tadeusza, wszyscy go prawie powitali uśmiechem, słowem, skinieniem. Kupiec wstał z krzesła i przyszedł go przywitać, żona jego wskazała mu siedzenie, uśmiechnęła się pani Joachi-

mowa, ale wejrzenie z za drzwi młodej dziewczynki nad wszystko było wymowniejsze. Główka jej jak zjawisko idealne ukazała się tylko, rozpromieniła weselem i znikła.

— Witaj-że, panie Marcinie! witaj! sto lat! sto lat, jakeśmy się nie widzieli! — zawołał kupiec — cóż robicie, jak się wiedzie?

Tadeusz, nazwany Marcinem przez kupca, przywitał wszystkich poufale, usiadł i drżącym prawie głosem rzekł do kupca:

— Dziękuję, dziękuję... Ot, panie Michale dobrodzieju!... przyszedłem was pożegnać.

— Co? jakto? chyba na krótko — zmieszany trochę rzekł kupiec.

— Na krótko? długo? nie wiem prawdziwie, ale mi potrzeba dla interesów ruszyć w dalszą trochę drogę.

— No, dokąd-że i skąd tak nagłe projekty?

— W Ruś ku Lwowu do swoich pojadę — odparł, spuszczając oczy, Tadeusz.

— Ale zpowrotem myślę? nieprawdaż? — rzekł stary przysuwając się — zpowrotem do nas, bo kto raz żył w poczciwym Lublinie, nie potrafi tam potem w Rusi wymieszkać!

— Ale trzeba zajrzeć do swoich.

Na te wyrazy nadeszła młodziuchna dzieweczka Ludwisia, córka kupca, której piękne liczko zabłysło nam już przeze drzwi; na widok Tadeusza zarumieniła się, zmieszała, on także trochę, zakręciła po pokoju, chwyciła robotę i pobiegła usiąść przy matce, a ta jej coś na ucho szepnęła. Cała w pło-

mieniach, krasna jak jabłuszko, Ludwisia porzuciła robotę i w chwilkę wróciła z talerzem jabłek, butelką wina i dwoma kieliszkami w ręku na ślicznym srebrnym półmisku.

Tymczasem stary kupiec rozmawiał z Tadeuszem, zowiąc go ciągle Marcinem i przekonany będąc, że na Ruś wyjeżdża. Mieszały się do rozmowy pani Michałowa i Joachimowa, a Ludwisia tylko spojrzeniem i rumieńcem dawała poznać po sobie, że w niej także uczestniczyła. Wzrok jej od roboty często się podnosił na Tadeusza i wracał na materję, którą miała w rękach, nie bez wzruszenia. Siekierzyński także parę razy jakby z żalem i litością spojrzał na nią, ale słowa nie rzekłszy, wkrótce wziął za czapkę i zabierał się do wyjścia. W tej chwili Ludwisia znikła z pokoju tak cicho, tak szybko przesuwając się mimo bratowej i matki, że jej nie dostrzegły. Gdy Tadeusz chciał ją zkolei pożegnać, znalazł tylko miejsce próżne i zmiętą suknię, którą szyła, rzuconą na siedzeniu, szukał jej oczyma we drzwiach, nie znalazł. Stary pan Michał przeprowadził gościa do pierwszej izby, zdawał się nad czemś myśleć głęboko, wahać się, chcieć czegoś i nie śmieć. Byli u drzwi; Tadeusz wzruszonym ale cichym głosem rzekł kupcowi:

— Pozwól pan, bym mu jeszcze raz podziękował za dobrą radę.

— O! a za cóż? — spytał Michał, śmiejąc się, ale tylko ustami, bo widocznie był smutny.

— Często jedno w porę wyrzeczone słowo zmienia los człowieka... pamiętasz pan lat temu dziesięć

naszą rozmowę na przechadzce za zamkiem? i jakeś mi pan opowiedział życie swoje?

— No i cóż z tego?

— Myślałem, pracowałem i winienem panu spokojny byt mój na przyszłość, który zyskałem, nie mówię jaką... pracą... alem go się dorobił sam i winienem go tylko sobie.

Pan Michał słuchał, łzy miał w oczach. — Bardzom szczęśliwy — rzekł, — więc wiecie co — dodał, — posłuchajcie mnie raz jeszcze... Nie gońcie za dalekiem szczęściem — dolą, szukajcie ich koło siebie... Ot, wiecie co, wam to powiem otwarcie... Znamy się potrosze lat dziesięć. Ludwisia w waszych oczach wyrosła na dziewczynę, dam jej także jakich siedem tysięcy dukatów posagu pod poduszkę i porządeczek białogłowski jak się patrzy; jeśli czujecie do niej serce, niech Bóg błogosławi.— To mówiąc, głos starca był drżący i bojaźliwy. Tadeusz spuścił głowę i westchnął głęboko, zdawał się mocno wzruszony, przycisnął czapkę do piersi, podniósł głowę i rzekł z uczuciem:

— Gdybym był panem siebie, panie Michale, uczyniłbyś mnie szczęśliwym, bardzo szczęśliwym ale ja zależę od familji, jadę do niej, a jeśli powrócę, to żebym wam podziękował.

— Rozumiem, rozumiem — odparł kupiec, — jedźcie, radźcie się, szanujcie wolę starszych, ale powróćcie do nas, dalibóg, nie znajdziecie nigdzie lepszych serc i życzliwszych sobie ludzi...

To mówiąc, Michał odwrócił się, bo oczy miał łez pełne, a Tadeusz zbiegł szybko na schody, spu-

ściwszy głowę, zadumany, usiłując prędkiemi kroki jakby sam uciec od siebie. Wtem mignęła mu biała sukienka, Ludwisia szła z dołu kamienicy ku górze, uchylił się, podniósł czapkę, oczy się ich spotkały. Twarz jej pałała, on bledszy był niż zawsze, stanęła przed nim z uśmiechem smutnym i chciała coś mówić a nie mogła.

— Pan jedziesz?—odezwała się nareszcie pocichu.

— Jadę i żegnam panią, daj Boże do zobaczenia.

— Ale prędko? — spytała — prędko... i nie zapomnisz, pan, o nas?

— Nigdy! — rzekł Tadeusz nieśmiało.

— I powrócisz pan?

Siekierzyński spojrzał do góry, jakby nie wiedział, czy spodziewać się może; wtem zaszeleściało coś na górze i Ludwisia jak jaskółka poleciała, zostawiając go na chwilę osłupiałym, pomieszanym, drżącym.

Ale krótko trwał ten stan, jakby coś sobie przypomniał nagle, rzucił się wdół schodów i, nie oglądając się, pobiegł ulicą na Winiary.

Nazajutrz Dorota dowiedziała się, że panicz jechał w Mazowsze, a obietnica, że może oboje później powrócą jeśli nie do Siekierzynka, to w sąsiedztwo dawnego dziedzictwa, tak starą sługę wzruszyła, że się natychmiast pakować zaczęła, w słodkiej nadziei, że to prędko nastąpi. W kilka dni buda żydowska wywiozła pana Tadeusza z Lublina, a w dworku została sama Dorota, Kaśka i stary Mazur najęty na stróża, który wynalazłszy po Macieju pozostałą donicę, wałek, trochę tytuniu i puste pęcherze, zajął się fabrykacją tabaki w wolnych

od zatrudnień chwilach. Nie była to wszakże owa sławna, systematycznie i pedancko robiona maciejówka, po której nosy kilku mieszczan długą nosiły żałobę.

Pan stolnik nurski kazał się był wynieść w ganek i odmawiał pocichu różaniec, spoglądając przez sad na płynącą w oddaleniu Wisłę; gdy zaturkotało na drodze, otworzyły się szerokie wrota i wielka żydowska bryka wtoczyła się z wielkiem wywijaniem batoga przed ganek. Stolnik nie mógł pojąć, kto taki przyjechał i widząc wysiadającego, jeszcze poznać nie potrafił — a już pan Tadeusz stał przed nim z nieśmiałą i pokorną miną i czekał powitania. Stary, próżno łapiąc się za poręcz ławki, chciał powstać do swojego gościa, sił mu brakło, wołał więc ludzi:

— Kasprze! Jędruś! a chodźcież! — I to mówiąc, wpatrywał się uważnie w twarz przybyłego, coś mu się przypominało, chciał witać, wahał się.

— Jakto, kochany stolnik mnie nie poznaje?

— Darujesz waćpan dobrodziej starym oczom, ale...

— Ani po głosie?

— Owszem, *certa similitudo*, przypomina mi.

— Panie stolniku, pupila swego.

Jakby go gorącą wodą oparzył, pan Kornikowski, pamiętny kupiectwa, trochę się cofnął, skrzywił i bąknął:

— A pana Siekierzyńskiego.

— Stolniku dobrodzieju, tak-że to się wita wychowańca?

— Proszę siadać, proszę siadać — rzekł Kornikowski.

— Nie mogę usiąść — odparł, z dumą podnosząc głowę, Tadeusz — proszę mi wytłumaczyć naprzód powód tak zimnego przyjęcia?

Kto znał pana stolnika, a wie jak do śmierci był żywy i gorączka, wytłumaczy to sobie, że zniecierpliwiony w tej chwili zawołał:

— E! mociumpanie! tłumacz to sobie sam do kaduka, nie żebym ja miał gębę paskudzić. A toć kto ważył i mierzył, tego za Siekierzyńskiego nie uznaję... a do Falkowicza interesu nie mam.

— Kto mi tego dowiedzie! — zawołał, czerwieniąc się Tadeusz — panie stolniku, są to nierozważne słowa i kalumnje nieprzyjaciół, żaden Siekierzyński się nie zbłaźnił, ani ja z ich rodu ostatni.

— Bredź sobie, kochanku! — odparł stolnik — kiedy oczy widziały, trudno nie wierzyć.

— Ale kto mi tego dowiedzie? — żywiej jeszcze zawołał Tadeusz.

Stolnik w oczy mu spojrzał.—Podaj mi, waćpan, rękę i chodźmy do izby—rzekł,—tam się rozmówimy.

Weszli tedy do ciasnego pokoiku i Kornikowski, usiadłszy na zwykłem miejscu przy stoliku, rzekł:

— No, mów-że waszeć, kiedy chciesz, bo nie chciałem, żeby ludzie nas słyszeli, i przyznaj się lepiej niżeli masz zapierać.

— Czego się mam zapierać i do czego przyznawać?

— A! do licha! do frymarku i kupiectwa!

— To bajka.

— Bywaj-że mi asindzij zdrów, kiedy mi nie

wierzysz — rzekł stolnik żywo, stukając okularami po stole.

— Przypuszczając, żeby i tak było, jak sobie uprzędliście, panie stolniku, kto mi tego dowiedzie? — pytał uparcie zaczerwieniony pan Tadeusz.

— Kto? gotowe o tem całe miasto wiedzieć!

— Ale wież o tem kto? mówił? wspominał?

— Wielkie rzeczy! ja tam nie bywałem od dawna.

— Pojedźcież, poślijcie, przekonajcie się i spytajcie!

— Ale czegożeś waść tu przybył? — rzekł stolnik — poco? między nieprzyjaciół rodziców twoich, którzy na ciebie odgrzebaliby z ziemi kalumnję gdyby mogli! Było przynajmniej jechać w świat...

— Niech sobie nieprzyjaciele szukają czego chcą — rzekł Tadeusz, — spokojny jestem, że nie znajdą nic; a ja tu musiałem przyjechać, bom wygrał jako tako proces z Lędzkimi.

— Co! *renovatum?* a toż to było skończono!

— Niezupełnie.

— Lędzcy zapłacili 3,000 złotych, a myśmy ich pokwitowali.

— Nie mając do tego prawa.

— Co asińdziej pleciesz?

— Byłem małoletnim.

— Nieprawda.

— W istocie, brakło miesiąc do pełnoletności.

— *Stupendum*, i cóż tedy więcej mi myślisz nakłamać?

— Panie stolniku, tak mnie traktować się nie godzi.

Kornikowski ruszył ramionami tylko.—Cóż dalej?

— Musieli mi dać 20,000 talarów, a teraz zagramy z Wichułami o Siekierzynek—rzekł rezolutnie pan Tadeusz – i chybam nie Siekierzyński, jeśli ich nie wygonię stąd, gdzie pieprz nie rośnie.

— Tylko waćpan pieprzu nie przypominaj, suplikuję.

Siekierzyński się zaczerwienił po uszy.

— No, no! śliczne projekta! śliczne projekta! i waść tu przyjeżdżasz w myśli...

— Rozwinienia procesu Wichułom, wszak tytułu dziedzictwa nie mają. — Stolnik pomyślał, milczał, milczał długo, nareszcie otworzył ramiona:

— Tadeuszku!—rzekł — jak pana Boga kochasz! nie przedawałeś wasan pieprzu?

Siekierzyński się zachwiał.

— Ale cóż za posądzenie! co za posądzenie, panie stolniku.

— No! mów! jak pana Boga kochasz? mów!

Tak zagadnięty, zaciął się Siekierzyński, zastanowił, jakgdyby szukał sposobu wywinienia, ale stolnik powtarzał ciągle nalegając: — No, powiedz jak Boga kochasz!

— Jeśli mi pan nie wierzysz na słowo — odparł Tadeusz wreszcie — upokarzająco byłoby dla mnie odprzysięgać się, myśl pan co chcesz.

Usłyszawszy te słowa, ręce roztwarte panu Kornikowskiemu opadły, spuścił oczy, westchnął.

— Stało się — rzekł z boleścią — stało! trzeba było tej hańby i upokorzenia, aby ostatni *ex illustri prosapia Siekierzyńciorum* zniżył się *usque ad mer*

caturam i zapari sam swego szlacheckiego klejnotu, swej dostojności *nobilis poloni!...* Ha! płakać potrzeba i radować, siadaj waść i mów mi, co myślisz z sobą?

Tadeusz usiadł, pocichu ocierając pot z czoła.

— Więc myślisz dopominać się Siekierzynka?— spytał pan Piotr.

— Nietylko myślę, ale mogę, muszę i odbiorę go — rzekł stanowczo Tadeusz, — prawa moje są najczystsze i najjaśniejsze, papiery wszystkie w gotowości.

— A kogoż myślisz waść użyć do procesu? pamiętaj, że lat kilkadziesiąt upłynęło od czasu jakeście się stąd wynieśli, Wichułowie porobili sobie stosunki i przyjaciół: wy ich nigdy wielkich nie mieliście, nikt, chyba jaki *causidicus* i *causiperda* odarty, nie podejmie się twojej sprawy.

— Mniejsza o to! — przerwał Tadeusz — ja sam bronić jej będę, jestem gotów.

— *Paratus!* co? a gdzieżeście się tak ku temu przysposobili, w sklepie Falkowicza? hę? Ale cicho! sza! Tu nieraz przyjdzie *ore tenus* i *stante pede* długi głos powiedzieć, czujesz-że się na siłach?

— Na wszystko to jestem zupełnie gotów i asygnuje Wichułów do komportacji dokumentów i osobistej komparacji.

— Daj-że Boże szczęście—pocierając czoło, mówił powoli stolnik, — a dalej cóż myślicie?

— Dalej, odebrawszy Siekierzynek, siadam gospodarzyć jak inni, ożenię się i...

Stolnik ciągle głową potrząsał chmurny, niedo-

wierzający, zimny, zdawał się marzyć o przeszłości, teraźniejszości nie ufać, a Siekierzyński ledwie go ku wieczorowi rozruszał; nic jednak dawnej serdeczności wrócić nie potrafiło, którą kupiectwo Tadeusza rozerwało. Pan Kornikowski prosił wprawdzie pupila, aby u niego zamieszkał do czasu, póki schronienia potrzebować będzie, ale czynił to widocznie dla pamięci rodziców, nie dla niego. Zostawiwszy szkatułkę pod łóżkiem pana stolnika, Siekierzyński ubrał się nazajutrz dostatnio, przypasał szabelkę ojcowską, wygolił twarz i czuprynę *more antiquo*, i staremi szkapami Kornikowskiego ruszył do Siekierzynka, którego wcale nie pamiętał, tak małem zeń wyjechał dziecięciem.

Na czele rodziny Wichułów stał wówczas pan Ksawery, rodzony syn ojca swego, szaławiła i hulaka, nieżonaty jeszcze i sam z rodzeństwem zamieszkujący dworek dziś wiele poprawiony, rozszerzony i upiększony. Ksawery oprócz wzrostu, którym prześcignął ojca, wielce go przypominał. Też same to były rysy twarzy, ta sama i charakteru gwałtowność; taż złośliwość i zawziętość.

Bali się go sąsiedzi, rozlegały jego krzykiem sejmiki, a po miasteczku, gdy przechodził, szabla, spuszczona nisko, dźwięczała złowrogo. Miał zwyczaj pokręcać wąsa i poświstywać wszędzie, ledwie nie w kościele, a tak w siebie i swą siłę wierzył, że byłby się porwał na potęgę magnata i dwór jego cały ze swoją szerpentyną i nieustraszonem sercem. W domu on rej wodził nad wszystkimi, brat i siostry go słuchały ze drżeniem, chłopi chowali

się na widok jego, a sam proboszcz, następca znajomego nam księdza, pokornie czapkę przed tym kolatorem straszliwym zdejmował. Na żydów był to kat prawdziwy i dziwnym też chyba wypadkiem izraelita się u niego pokazał, bo szczuł psami, moczył w stawie jak konopie, wieszał ich potem dla obeschnienia, trzepać kazał z pyłu bizunami i tysiące podobnych sztuczek płatał z nich każdemu. Jeden tylko faktor jego, Szmul ryżobrody, przywykły do bizuna, łajania, targania za brodę i wypychania za drzwi, miał do niego przystęp i wszystkie jego robił interesa; bo któż u nas dawniej co począł bez żyda?

Do takiego to zawadjaki, opisanego zresztą dokładnie przez stolnika, śmiało, z papierami za nadrą, jechał pan Siekierzyński, chcąc rozpocząć sprawę od wyłuszczenia mu swoich pretensyj i usiłując zgodnie skończyć, jeśli było można. Bryczka wtoczyła się na dziedziniec, na którym właśnie pan Ksawery konia dzikiego ujeżdżał i z wielkiem podziwieniem gospodarza, wysiadł z niej całkiem mu nieznajomy mężczyzna.

Rzucił z przekleństwem szkapę rozsrożoną Wichuła i pospieszył na spotkanie Siekierzyńskiego, z czapką na bakier, w kitelku rozmamanym, czerwony, sapiący i gniewny.

— Kogoż mam honor powitać? — spytał.

— Mówię z gospodarzem domu, W. Ksawerym Wichułą?

— Tak jest, a honor pański?

— Tadeusz Siekiera Siekierzyński.

Na to dobitnie wymówione nazwisko (widać było, jak silne wrażenie uczyniło na gospodarzu) zaciął wargę, zmarszczył czoło i wskazał drzwi do izby. W izbie było jak w starym składzie, nie umieciono, porozrzucano, nie porządnie; męskie ubiory i kobiece roboty leżały po stołach i stolikach, w pośrodku spały dwa ogromne charty, które się na wchodzących rzuciły, ale batem wygnane, poszły warczeć za drzwiami. Skrzypka wisiała na kołku u drzwi, na innym munsztuk, na innym jeszcze pasmo nici szarych. Przy kominie wygasłym jakiś garnuszek z przykrywą drzemał ostygły, na daszku ukazywały się talerze z widelcami żelaznemi: przez półotwarte drzwi do drugiej izby widać było kobiece przybory i jakaś panienka, wpół tylko ubrana, odskoczyła, kryjąc się do szpary, którą poczęła zaglądać ciekawie. Zapylony zegar gdakał w kącie, a trzpiotowatych para kanarków odzywała się w klatce nad oknem. W drugiem wiewiórka obracała dziecinny swój młynek, latając niespokojna. Wichuła wskazał krzesło, z którego zrzucił futerko i chustkę, a sam chwycił drugie i grzmotnął niem tak o podłogę, jakby je chciał pogruchotać.

Tadeusz rzucił okiem wkoło, ale nie usiadł.

— Cóż tu pana dobrodzieja sprowadza?—rzekł Ksawery, dysząc.

— Maleńki interes.

— Zdawało mi się — z przekąsem odparł Wichuła, szydersko mierząc oczyma pana Tadeusza — że między nami a Siekierzyńskimi wszystkie interesa skończone?

— Nie ze wszystkiem.

— No proszę, ja sądziłem, że wziąwszy Siekierzynek, już było po wszystkiem?

— Niedość go wziąć było, potrzeba go jeszcze oddać — rzekł Tadeusz.

— Cha! cha! po dwudziesto-letniem posiadaniu!

— Chociażby.

— A! łaskawco! chlebodawco! wytłumacz-że mi, jak to być może?

— Właśnie z tem przyjechałem, panowie nie macie tytułu dziedzictwa.

— Cóż z tego?

— Ja jestem spadkobiercą i synem Longina Siekierzyńskiego.

— Bardzo mu winszuję, ale cóż z tego?

— I Siekierzynka pozbyć się nie chcę.

— Chwalę! ale cóż z tego? potrzeba zapłacić nabyte przez czas długi.

— Ja też je płacę.

— Pan je płacisz, powiadasz? cha! cha! a czem-że?

— Pieniędzmi—odparł Tadeusz zimno — a wzajem proszę o kalkulację z posiadania przez lat tyle!

Wichuła spojrzał, jakby chciał z oczu wybadać przybyłemu, czy to była prawda, czy żart tylko i wyciągacz jaki; ale Tadeusz mówił serjo i poważnie.

— Nim rozpoczniemy proces, chciałem wprzódy przekonać się, czy zgodnie ukończyć nie możemy? Rodzice nasi, jak panu zapewne wiadomo, żyli w sporze i niezgodzie.

— I mój ojciec waścinego wypędził.

— A ja mogę waćpanu odpłacić tąż samą monetą.

— Kochanku! — zakrzyczał Wichuła z zakrwawionemi oczyma, gdyż ile razy w impet wpadał, białka mu czerwono zachodziły. — Kochanku! pamiętam, żeś w moim domu i dlatego nie chcę gwałtu popełnić, ale ruszaj z Bogiem i rozpoczynaj proces, a zobaczymy, co z tego wyrośnie.

— Zgodnie więc nic nie uczynimy?—spytał pan Tadeusz.

— Ja z Siekierzynka chyba nieżyw ustąpię — rzekł Ksawery- i wiedz to, kochany panie, że zaczepić Wichułę, wolałbyś djabła zaczepić... mnie w kaszy nie zjesz.

— Ani mnie — odpowiedział Siekierzyński, — a zatem mam honor go pożegnać.

— I ja też! — śmiejąc się, rzekł Wichuła, i odprowadzając gościa w ganek, nie bez pewnego jednak niepokoju wewnętrznego. Ukłonili się sobie ceremonjalnie, zaszła bryczka i Tadeusz wprost pojechał do miasteczka.

A w Siekierzynku gwałt wielki! pan Ksawery pobiegł do brata, który w ogrodzie był przy otrzęsaniu jabłek, z wielką nowiną, siostra, która wszystko słyszała, pobiegła za nimi, narada, krzyki, śmiechy i odgróżki, wreszcie dosiadł Wichuła starszej szkapy, dał jej bizunem po grzbiecie i jak strzała poleciał do swojego przyjaciela, niegdy prawnika, dziś gospodarza, pana Wertkowskiego.

Wertkowski mieszkał o staję, był to już niemłody człowiek, dobrze pamiętający czasy zrzeczenia Siekierzyńskich, którzy acz podupadli, uważani byli

przez szlachtę; znał on interesa Wichułów i Siekierzynieckie, bo do nich wpływał. Nieszczęściem od lat kilku rzuciwszy mecenasostwo, siedział na wsi, a osamotniony, bo on tylko i żona, głucha staruszka, cały dom składali, począł z nudów zaglądać do apteczki zbyt często i pić tak, że rzadko go po obiedzie zastał kto trzeźwym. Ale upojenie jego było szczególnego rodzaju, na nogach ciężko mu się było utrzymać, oczy słupem stawił, minę miał osowiałą, rzekłbyś, że i przytomność postradał. Tymczasem choć tak pozornie pijany, wszystko rozumiał, odpowiadał do rzeczy: po tem poznać go tylko było można, że z krzesła się już nie ruszył i jękał co chwila. Co się tycze pamięci, ta nawet żywsza była po wódce niż na czczo. Zwykle on i żona całe dnie grywali z sobą w marjasza na fasolę, a pod krzesełkiem Wertkowskiego stała flaszka ciemna z wódką, którą on na przypadek przyjazdu obcego nazywał smarowaniem danem mu przez doktora. Wertkowski mieszkał w chałupinie lichej na dwóch chłopkach zastawą wziętych, z których ledwie mógł mieć chleb i jarzynę na stół, resztę kupował z procentu od jakiejś sumki, u pana wojewody mazowieckiego ulokowanej.

Wszedłszy do izdebki, poznał zaraz Wichuła po minie adwokata, butelce pod stołkiem skrytej i z tego, że nie wstał na przybycie gościa, że już był podchmielony. Wertkowski wytrzeszczył oczy i zadał niżnika ze czterdziestu, witając sąsiada, w nadziei, że żona zmieszana nie postrzeże podstępu.

— Jak się masz, rejencie? jak się masz? a co,

jak zdrowie? — krzyczał Ksawery, siadając — widzę cierpiący jesteś?

— A! a a... ta... ak... piący... piący...

— Właśnie po radę przybywam i niedługo naprzykrzać ci się będę. Osobliwsza do stu korków okoliczność. Przyjeżdża dziś do mnie Siekierzyński.

— Co? nieboszczyk! — zawołała pani Wertkowska, rzucając karty.

— Syn to nieboszczyka... Ale ze śmieszną pretensją.

Stary prawnik wytrzeszczył oczy ogromnie i ciekawie.

— Wystaw sobie, panie rejencie, przypomniała sobie babka, jak była panną, chce mu się Siekierzynka!

— *Quo... ti... tulo?* — spytał Wertkowski.

— Ba! zabrany za długi, ale nie mamy tytułu dziedzictwa! otóż chce pozwać do kalkulacji i zapłacić co należy... powiedz-że mi, może on tego dokazać?

Wertkowski się namyślał długo, kilka razy dostał czkawki, jąkał się, jąkał i wyjąknął:

— Może...

— Jakto? odebraliby nam Siekierzynek.

— *Si pecuniam habet...*

— A kat go wie, czy *habet!* aleby bez tego nie przyjeżdżał. No, a jeśli *habet?*

— To i Siekierzynek *habebit...*

— A niech-że go djabli wezmą! krzyknął Ksawery — żebym był wiedział, że to nie żarty, byłbym mu na skorym razie uszy poobcinał, ochotę do pie-

niactwa odpędził... ale to się da zrobić jeszcze przy pierwszem spotkaniu.

— Gdzieżeście go widzieli?—spytała pani Wertkowska.

— Przyjeżdżał do mnie z propozycją zgody, a ja go zbyłem śmiechem i odprawiłem.

— Szkoda!—krótko odezwał się Wertkowski.

— Jakto, to doprawdy mogą nam odebrać Siekierzynek?

— *Pecunia* — powoli wybąknął stary — wszechmogąca.

— A szabla, panie rejencie?

— *Variabilis*—mruknął Wertkowski.

— Ale rozpatrzcie no się w sprawie! pamiętacie wy ją?

— Znam jak zły szeląg.

— I myślicie, że wygra?

— *Probabilitas*—Wertkowski mówił zawsze lakonicznie po pijanemu, bo mu i trudno było wyjąkać.

— No! to przynajmniej wiem co czynić — rzekł Wichuła—jadę do miasteczka i pierwszemu, kto tę sprawę weźmie, nos i uszy poobcinam, a pana Siekierzyńskiego wykurzę płazami, jeśli zechce. Nie dopuszczę ja go do prawa...

To powiedziawszy i widząc, że Wertkowski nic już nie odpowiada, zawrócił się Wichuła: — Bądź zdrów, sąsiedzie!—zawołał, trzasnął drzwiami, dosiadł szkapy i nazad do Siekierzynka. Tu zaraz zaprzężono mu bryczkę i niedługo myśląc, pan Ksawery pognał do Czerska.

Jakoś na pół drogi był lasek sosnowy niewielki,

gdzie się schodziły u karczemki dwa goścince od Siekierzynka i od Czerczyc, skąd właśnie jechał pan Tadeusz do Czerska także, i traf chciał, żeby, gdy konie Wichuły się wysapywały, a on kwartą piwa się chłodził, nadjechała bryczka Siekierzyńskiego i stanęła także by dać spocząć szkapom. Dwóch szlachty na nędznych chabetach posilali się chlebem i serem w pierwszej izbie, przywiązawszy konie do płotu. Siekierzyński został na bryczce, Wichuła, jak go tylko zobaczył, porzucił kwartę z piwem, podtarł wąsa i wprost do bryczki:

— Kłaniam, panie Siekierzyński.

— Czołem, mości Wichuło!

— A co! do Czerska?

— A do Czerska.

— I ja też.

— Weselej będzie w drodze.

— Wichuła, którego w okolicy bali się wszyscy jak ognia, nie przywykł był, żeby go kto tak lekko traktował, namarszczył się i sięgnął impetycznie ręką ku kołnierzowi kontusza siedzącego na bryce... Ale nim dotknął pana Tadeusza, już ten z szabelką, którą chwycił z siana, wyskoczył i stanął przed przeciwnikiem śmiało a śmiejąc się w dodatku.

— Co! — zawołał,—czy nie chcielibyście rozpocząć procesu od uszów i nosa!

— O! patrzcie go, jak głośno śpiewa! — odparł Wichuła, — a nu, bratuniu jeden, myślisz żeś młokosa złapał, co się zlęknie, zaraz ja ci tu pokażę Wichułę.

— Jam nie od tego, jak widzicie, — rzekł Ta-

deusz raźnie,—ale po szlachecku, mosanie, i przy świadkach, jest tu widzę dwóch szlachty w karczmie, co stoją na progu, gawroniąc się na nas, weźmiemy ich na przyjaciół i, jeśli wola a łaska, spróbujemy się.

— Panowie bracia! prosimy na świadki!—krzyknął niecierpliwie Wichuła, — dobywając już szabli, którą obejrzał i rękawem otarł z kurzawy.

— Prosimy! — dodał Siekierzyński, obnażając swoją zwinną niewielką szerpetynkę, która błysnęła w powietrzu.

Dwaj przejezdni spojrzeli po sobie i przystąpili bliżej, ale już zajadli niepryjaciele stawali do boju oba równie żywo, Wichuła ze złością widoczną, Siekierzyński z zimną krwią pozorną tylko. Pan Ksawery tak był pewien siebie, tak się miał za niezwyciężonego, że nawet rękawów od kuntusza dobrze sobie nie związał. Tadeusz miejsce swe opatrzył, zmierzył okiem przeciwnika i szable brzękły.

Wichuła bił się doskonale, Siekierzyński zręcznie jak szatan i widać, że mu to także nie było obce; zimną krwią swoją miał wyższość nad przeciwnikiem, który się miotał szparko, gwałtownie, krzykliwie, usiłując nastraszyć wprzód, potem przemóc ulęknionego. Zaraz w początku drasnął Ksawery Siekierzyńskiego po ręku, krew pociekła, ale wprędce odebrał taki raz przez głowę, że mu oczy zalało i, zasłaniając się rękawem, zawołał—zgoda! panie bracie!

— Zgoda!—powtórzył, płazując go zlekka Tade-

usz,—zgoda! zgoda! a nie zaczepiajcie ludzi po dro-
gach, nie chcecie-li mieć znaków na łbie...

To mówiąc, wskoczył na bryczkę Siekierzyński
skłoniwszy się szlachcie, i kazał jechać, a Wi-
chuła, obryzgany krwią, sparł się na swojej, woła-
jąc, żeby mu szmatę i wódki przynieśli. Ledwie
słowa te wyrzekł, upadł nieprzytomny na trawę.

Było tam komu ratować go, nie zwrócił się więc
przeciwnik i ruszył tymczasem do Czerska, otarł-
szy sianem szabelkę, tak chłodny, tak spokojny
jakby przed chwilą nie skosztował ludzkiego mięsa.

— A niech go djabli wezmą! — wołał Wichuła
gdy go otrzeźwili i obwiązali,—chyba życ nie będę
jeśli mu uszów nie poobcinam! kanalją jestem, że
byłbym go posiekał na kapustę, gdyby jeszcze se-
kunda, ale mnie przeciw wszelkim regułom za-
jechał.

Z rozciętą głową trudno było ruszyć do mia-
steczka, zawrócono więc do domu i z wielkiem po-
dziwieniem brata młodszego, pana Aurelego Wi-
chuły, wszedł Ksawery ogromnie zły i klnący na
czem świat stał, do izby, gdy sądzono że do Czer-
ska dojeżdża.

— A to co? panie bracie?—zapytał Aureli, po-
strzegłszy szmatę i krew,—konie ponosiły.

— Idź do djabła z końmi! konie! pies powiedz
pokąsał? Spotkałem się z tym hołopiętą Siekie-
rzyńskim i ten mnie tak poczęstował, ale chyba
żyć nie będę, jeśli go nie zbiję na kwaśne jabłko.

— Co! Siekierzyński pana brata!—a w tem i sio-
stra wybiegła z lamentem, z płaczem, z kluczykam

i cała rodzina poczęła każdy innym głosem łajać, krzyczeć, wyrzekać.

Zostawmy ich, a wróćmy do Czerczyc, gdzie stolnik, medytuje mówiąc z roztargnieniem godzinki i już piąty raz poczyna... Zacznijcie wargi moje!

Właśnie spluwał, odtrącając myśl obcą, która mu się gwałtem cisnęła, gdy szlachcic pokorny, w kapocie szarej i kurpiach na nogach, w borsuczej torbie, ukazał się na progu. W izbie mrok był, szarzało.

— A to ty, mój Pancerzysiu! — rzekł stolnik,— ak się masz? (Jednakże, pomyślał, godzinek nie zacząłem, skończę je później). Co tam słychać? skądże to Bóg prowadzi?

— Z Czerska, wielmożny panie.

— Jak się masz, zdrów?

— Zdrów, Bogu dzięki, do usług pańskich, przeeżdżając, wstąpiłem, może pan co rozkaże.

— No! a zwierzynki nie masz?

— Da Bóg będzie... Ale ja tu na drodze o maom zwierzyny innej nie napotkał.

— No! a co takiego?—spytał stolnik.

— Co! krótko mówiąc, dobrze żem sucho wyzedł, cała historja. Jadąc z Czerska, szkapa mi rzystała i koło Kociej Górki na rozstaju przy karczemce stanąłem wytchnąć... Wyjąwszy ja tedy torby sera i chleba, patrzę, aż jedzie pan Jaenty z Muszyna, sobie konia uwiązał przy płocie, taje. Nuż my gadać i śniadać, kiedy tak bzdurzym, ż tu leci bryczka z Siekierzynka z panem Salerym tak go szlachta zwała) i tyć staje. My z Jacen-

tym ustąpili się panu z drogi i poszli do izby; aż ru, ru, ru, znów ktoś się wlecze... poznaję konie jegomościne i jakiś jegomość.

— A pan Tadeusz... no! no! ciekawości! mów tedy, co się stało?

— Zaraz, proszę pana, porządnie powiem, jak się należy. Tylko co jegomościne konie przytrzymały się, a ten pan na bryczce sobie spokojnie siedzi Bogu ducha winien; przysuwa się Wichuła do niego, coś tam mu powiedział, ten jemu, Bóg ich wie co od siebie chcieli, aż widzę ja, pan Salery jego niby chce za kołnierz chwycić, ten z bryczki i do szabli.

— O! patrzaj wasan, do szabli!

— Tak! i woła do nas, panowie bracia, prosimy na świadków. Ledwieśmy nadbiegli, aż tu panie stolniku dobrodzieju, jak się poczną chlastać i Wichuła...

— Byłem tego pewny, to rębacz bestja!—rzekł stolnik, waląc ręką o stół.

— Wichuła go po palcu! a ten jak nie plaśnie Salerego z pozwoleniem pańskiem przez łeb, tak się krwią oblał ze wszystkiem. Jeszcze go troche wypłazował, gdy się Wichuła, gdyby zając przewrócił, ślepie wytrzeszczywszy, ten siadł sobie i pojechał.

Gdy Pancerzyński opowiadanie kończył, stolnik który od dawna z krzesła nie wstawał, z wielkiego wzruszenia i radości aż się na nogi podniósł oczy mu się zaiskrzyły, twarz zapałała, wąsa kręcił i śmiał się.

— Patrzajcie! patrzajcie, obciął Wichułę! Jak Boga mego kocham obciął! waść to sam widziałeś, na swoje oczy! Jest krew! jest krew! Idź, mój Pancerzynsiu, napij się wódki u Jędrzeja duży kielich, ten co z gwiazdkami, i wróć tu do mnie...

Poszedł szlachcic, a stolnik ręce złożył.

— Dzięki Bogu! nie zmieszczańczył się nic... Kto wie, może i nie sprzedawał pieprzu! a zresztą kto go tam będzie wiedział! Ale gdzież się uczył szablą wywijać? Chwat! uściskam go, jak przyjedzie! No! to mnie rozbraja! chwat! Gdyby był pieprzu nie przedawał! ale stało się! cóż robić! Obciął Wichułę! Siekierzyński zawsze Siekierzyńskim!

I tak bez ładu, drgając aż na swojem krześle, starzec coraz to wykrzykiwał aż do powrotu Pancerzeńskiego, który znowu od początku do końca musiał mu całe spotkanie z największemi opowiadać szczegółami.

Stolnik cieszył się z tego wypadku niepomału, kochał bowiem Tadeusza, od którego tylko dzieliło go dziś przykre wspomnienie kupiectwa, niezmazany ślad na herbowej szlacheckiej tarczy Siekierzyńskich zostawującego. Stolnik rad był utopić pamięć tego uczynku, a bał się co chwila, by się nie rozgłosił, i drżał na samo przypuszczenie podobnej ignomji; wolałby był Tadeusza ubogim niż w ten sposób zbogaconym i krzywił się na myśl tych talarów, nabytych sprzedażą pieprzu, śmierdzących imbierem i łojem, jak powiadał. Zawsze mu się zdawało, że jedynym użytkiem stosownym takich pieniędzy było oddanie ich na

kościół lub klasztor na przebłaganie za występek przeciwko dostojności szlacheckiej; nawet odkupienie Siekierzynka tym groszem w smak mu nie szło, choć niezmiernie go pragnął. Pocieszył się cokolwiek rzeskiem znalezieniem się Tadeusza, ale gdy począł medytować potem sam na sam i przywiódł sobie na pamięć ów sklep pod ratuszem, ciarki po nim przeszły.

— Niech robi, co chce, — zawołał z żalem do siebie — tego zmazać niepodobna! Zawsze to plama *indelebilis!* A! a! gdyby powstał z grobu skarbnikowicz a zobaczył synka *merkatorem*, umarłby z żalu i aprensji! Kto mu to doradził, *coram Deo respondebit.*

Plótł tak szanowny nasz pan Piotr Kornikowski, aż zasnął, a przebudziwszy się, znowu myślał o tem i o obcięciu Wichuły z niejaką satysfakcją. — Może zresztą, — rzekł, pocieszając się, — może i nikt o tem wiedzieć nie będzie, że kupczył, ale plama plamą zawsze... daj Boże, by się to utaiło, chociaż nie pojmuję, jak to być może. Prędzej, później, prawda jak oliwa na wierzch wychodzi.

Gdy się to dzieje w Czerczycach, a w Czersku chodzi napróżno pan Tadeusz Siekierzyński od prawnika do prawnika, chcąc swoją sprawę któremu z nich powierzyć, w sąsiedztwie ogromne *larum* wznieciła kresa przez łeb pana Ksawerego. Trzeba wiedzieć, że Wichułowie mieli adherentów i koligatów dosyć, a niejeden przyjacielem ich się głosił ze strachu tylko, inny w nadziei pomocy, bo Ksawery szabelki i w cudzej sprawie ochotnie

dobywał, zwłaszcza podochocony. Nikt dotąd go nie zwyciężył, nikt nie drasnął nawet, a tu nietylko kresa ale i wypłazowanie przez szlachtę świadków gruchnęło po sąsiedztwie. Wieść ta przeraziła jednych, ucieszyła drugich, zaciekawiła innych; jęli niektórzy przypominać dawne znaczenie Siekierzyńskich i dawną dla nich sympatję. Wszakże w Czersku żaden prawnik nie podejmował się forytowania sprawy *contra* Wichułów. Niejeden nawet odradzał Siekierzyńskiemu dalszych kroków, szepcząc na ucho, że Wichułowie i ich adherenci gotowi są na wszystko, a obcięcie Ksawerego nietylko ich nie wystraszy, ale jeszcze zajadlejszymi uczyni. To jednak nie odstręczyło pana Tadeusza od zamierzonych prawnych poszukiwań dziedzictwa Siekierzynka i wreszcie decydowany już sam sobie być mecenasem, byłby zajął się sprawą, gdyby mu nie wskazano pana Pancerzyńskiego Adama, młodego prawnika, który, jak mu mówiono, jeden może jąć się procesu z Wichułami.

Pancerzyński, brat stryjeczny tego szlachcica, któregośmy przed chwilą świadkiem spotkania u Kociej Górki widzieli, wyszedł z drobnej, rozrodzonej i ubogiej familji i sprytem a odwagą dochrapywał się znaczenia i pieniędzy, obojga będąc chciwy nad miarę.

Różnie różni mówili o początkach życia pana Adama, ale się wszyscy godzili na to, że przechodził nauką i zręcznością wszystkich w Mazowszu prawników, że dla niego niczem było wygrać, gdzie inni i nie śnili wygranej, podnieść zagrzebane od

dawna i dać radę w razie zdesperowanym. Był on jak lekarz, do którego to udają się, gdy już chory ledwie nie skona; z dobrym interesem, czystym, jasnym i łatwym nikt go nie używał, ale w złym nikt się bez niego nie obszedł. Nic nikomu nie zrobił darmo, zawsze prawie wymagał wynagrodzenia wielkiego, targował się o nie jak o grzyba, ale zato gdy się wziął za co, dokazywał cudów.

Wskazano tedy Pancerzyńskiego panu Tadeuszowi, a ten ledwie go odszukał w oddalonym dworku nad Wisłą, gdzie mieszkał na ustroniu sam jeden z chłopakiem tylko, który mu służył za przepisywacza, kuchtę, sługę, woźnicę i dependenta. Długo potrzeba było do drzwi stukać, zanim je ów odarty Janek otworzył, a nie puszczając do środka, póki tynfa nie dostał, wypytał się o nazwisko, potrzebę i poszedł, zostawiwszy gościa w pierwszej izbie, do kancelarji pańskiej. Ta izba niewielkie dawała wyobrażenie o zamożności pana Adama, w niej dwa stołki sosnowe, ława, stół prosty, komin i piec gospodarski jak w chacie, a na ścianie tylko Chrystus ciemno malowany. Zresztą pułap niski z belkami, drzwi wąskie i małe, okna z czterech szybek złożone i podłoga piaskiem wysypana. Po chwili oczekiwania skrzypnęły drzwiczki i wszedł Pancerzyński; figurka mała, koszlawa, krzywa, blada, za którąbyś nie dał trzech groszy. Głowę miał śpiczastą bardzo, pokrytą włosem ostrzyżonym ze szwedzka, ale bez pudru i najeżonym do góry; skóra na twarzy podobna była do pergaminu, oczy piwne duże, nos trochę krzywy, usta wąskie,

a w lewym policzku z jakiejś choroby widać, w środku zrobił się dół i ściągnęły muskuły, nadając dziwny wyraz tej części fizjognomji, tak że inny był z prawej patrząc, inny z lewej i jedna strona zdawała się ciągle uśmiechać, gdy druga patrzała ostro i surowo. Taż sama choroba zapewne, która skrzywiła twarz, wyciągnęła mu też jedną nogę, a chodząc, zamiatał nią, jak nie swoją, ręce wisiały mu długo i ogromnemi kończyły się palcami.

Pan Tadeusz cofnął się, myśląc, że to nowy sługus tynfa z niego wydrzeć przychodzi i już się do sakiewki gotował, bo ubiór prawnika niepoczesny omyłkę usprawiedliwiał, gdy głosem ogromnym, głosem jakby z piersi olbrzyma pochodzącym, dziwna ta postać odezwała się.

— Jestem do usług waćpana dobrodzieja.

— Pan Adam Pancerzyński?

— Tak, tak! ja sam, siadać proszę, a pan...

— Tadeusz Siekiera Siekierzyński.

— Czy nie Longina Sobiesława skarbnikowicza syn?

— Właśnie, panie dobrodzieju!

— Cieszy mnie, że go u siebie oglądam! bom rodzinę pańską szanował choć nie znając, gdyż młody byłem, jak szanowny rodzic jego żegnał się z światem. Czemże pomocny mu być mogę?

Tadeusz całą sprawę swoją opowiedział, papiery dobył, dał czas do ich przeczytania, a Pancerzyński z niesłychaną szybkością przebiegłszy je i wnet obeznawszy się cudownie prawie ze stanem sprawy, rzekł:

— Wszystko jest do zrobienia, choć nie taję, że z Wichułami sprawa zła, oni czego nie zyszczą u kratek, będą wiolencją dobywać, bo w wyborze środków nie są trudni. Ale dla zwierza w las nie iść, niemęska rzecz!... zrobimy! Jedna tylko uwaga: proces pociągnie długo, Siekierzynek odłużony wyżej może waloru, przyjdą rachunki nakładów, ulepszeń budowli, *et sic porro*, może wypadnie zapłacić więcej, niżeli warta wioska. Czy nie lepiejby inna kupić?

— Ja Siekierzynka żądam dlatego, że to jest Siekierzynek, nie dlatego, że wioska, dlatego, że tam jest grób rodziców moich, że to jest dziedzictwo mojej rodziny, a może też iż go nieprzyjaciele posiadają, co mojemu ojcu życie struli i do mogiły go przywiedli.

— A to co innego, inna *facies rerum*, — odparł Pancerzyński, a zatem dojdziemy Siekierzynka. Ale — dodał prawnik, głos zmieniając — *clara pacta, claros faciunt amicos*, mówię to, choć do przyjaźni pańskiej nie śmiałbym sięgnąć, znając, żem jego sługą. Potrzebujemy wprzód umówić się o warunki pracy z mojej strony... jam ubogi i potrzebny, jestem w dorobku.

— Słuszna rzecz! słuszna! proszę o warunki!

— To wymaga namysłu, a zatem jutro służyć będę, gdzie pan mieszka?

— U Icka Szklarza na warszawskiej ulicy — rzekł Tadeusz.

— Jutro o dziesiątej... — To mówiąc, wstał, zamiatając swoją nogą i Siekierzyński go pożegnał

O dziesiątej na ratuszowym zegarze, przystawił się prawnik trochę lepiej ubrany, ale w wytartej kontusinie i pasie włóczkowym, odartą i zaklapaną przyjechawszy bryczką, którą Janek powoził. Powitawszy Tadeusza, który z niecierpliwością oczekiwał odezwania się prawnika, począł pan Adam o obojętnych mówić rzeczach, o deszczu i pogodzie, o miasteczku i jego mieszkańcach, potem zamilkł i, położywszy papiery na stole, zdawał się wzywać Siekierzyńskiego, żeby on rozmowę rozpoczął.

— Cóż tedy, szanowny mój obrońco—spytał niecierpliwy Tadeusz, — jakżeście się namyślili?

— Interes, — począł Adam Pancerzyński — interes ciężki, więc się go podejmę, bo mnie właśnie takich potrzeba, żeby sobie i renomę i kieszeń rozszerzyć, ale jak za wszystkie ciężkie sprawy, zapłata będzie gruba.

— *Minimum*... tysiąc talarów — dodał po chwili, — po ukończeniu interesu i wprowadzeniu w posiadanie Siekierzynka, a na koszta i przejażdżki osobno, ile pokażę rachunkiem.

— Nie myślę się targować, — odparł Tadeusz — choć mi się to zdaje zbyt wiele, ale za warunek z mojej strony kładę, żeby się to nie wlekło.

— Tego warunku nie potrzebuję — rzekł adwokat, — czas i mnie drogi, ale z mojej strony jest też jeszcze warunek.

— Jeszcze warunek?

— Tylko jeden.

— Oto że waćpan dobrodziej, oddając mi ten interes, powierzysz mi go zupełnie, nic beze mnie

nie poczniesz, we wszystkiem rady się mojej trzymać będziesz i zdasz się słowem na dyskrecję moją.

— Zgoda i na to.

— A więc czasu nie tracąc, bo czas drogi, ot naprzód rada, którą spełnić potrzeba. Waćpan nie jesteś bezpieczny od Wichułów, wiem pewnie, że mu gotują i gotować będą tysiące napaści i usiłować gwałtem jakimś go ustraszyć lub się pozbyć. Samemu jednemu przeciwko ich bandzie nie podołać. Trzeba zaraz wynaleźć sobie przyjaciół kilku i nieodstępnych Aniołów-Stróżów, którzyby gotowi byli dniem i nocą szabel dobyć w obronie pańskiej...

— Gdzież ich znajdę.

— To już moja rzecz, ja ich tu w Czersku zwerbuję czterech lub pięciu i przyszlę do kwatery pańskiej, a bez nich kroku się pan nie ruszysz, ani tu ani na wsi...

Tadeusz podziękował za tę troskliwość panu Adamowi, choć pomyślał, że ci przyjaciele i wiele kosztować i dużo kłopotać go będą; ale cóż było robić? Adwokat zabrał papiery, trochę grosza i spiesznie siadł na bryczynę, szukać swych przyjaciół z którymi radził panu Tadeuszowi odjechać do Czerczyc i spokojnie czekać, jak mówił, *felicem eventum* jego zabiegów.

W kilka godzin po odjeździe Pancerzyńskiego posłyszał zaraz wrzawę przed domem i domyślił się, że przyjaciele zbierać się poczynają. Wychyliwszy głowę przez okno, postrzegł w istocie dwóch barczystych szaraczkowych, z których jeden wiódł konia za trezlę, drugi szedł z chłopakiem i para

koni za sobą, pytając głośno o kwaterę pana Siekierzyńskiego.

Wskazano ją i dwóch potężnych drabów wsunęli się wrzawliwie do stancji, jeden drugiego przedstawiając.

— Imć pan Urban Panewka, łowczycowicz Wyszogrodzki...

— Imć pan Filoktet Próciński, oboźnic Zakroczymski...

Pan Urban trzyłokciowy barczysty chłop, z wąsami sterczącemi poza twarz daleko, ogorzały jak cygan, z czołem zmarszczonem, osypany brodawkami i plamami piegowatemi po twarzy, z łysiną podgoloną, miał na sobie szaraczkową kontusinę wytartą po łokciach i na plecach, buty mocno łatane bez ceremonji i hipokryzji żadnej, szabelkę w prostej pochwie rzemiennej i pasik skórzany na klamrę mosiężną zapięty. Udawał on zręcznego i bardzo grzecznego, śmiał się co chwila, kłaniał, ustępował z krzeseł, ceremonjował o przejście, o usiądzenie, o słowo, ale mu z oczów patrzała burda. Pan Filoktet nieco niższy ale barczysty jeszcze, gdyby snop dobrze związany, nie krył się ze swojem zuchowstwem, machał rękami szeroko, stąpał głośno, biorąc stołek, rzucał nim, stukał wszystkiem, czego dotknął i wielce dbał o równość szlachecką, nie dając nikomu brać prymu przed sobą. Mało mówił, ale klął dużo i miał przysłowie *Ciumperda!* które co chwila powtarzał, zwłaszcza gdy się gniewał na kogo. Zwano go pospolicie *Ciumperdą* i znano o mil sześć wokoło z ogromnej siły pięści

i głowy, bo beczkę piwa w ciągu dnia mógł wypić i wypróżniwszy ją, wziąć pod pachę jak czapkę, wynijść o swej sile i nie zataczając się wcale.

Zaledwie ci panowie usiedli i delikatnie przymówili się o miód, który miał być doskonały u Szklarza, nadszedł trzeci nie tak pozorny, cienki, chudy, pokorny, blady, milczący jak deska i ciągle składający ręce jak do modlitwy. Miał na sobie prostą granatową kapotę i torbę myśliwską, niepozorną szabelkę, którą nazywał scyzorykiem i jakiś węzełeczek pod pachą, który złożył u drzwi. Zarekomendował się jako Józafat Węgiel bez żadnego tytułu, dodając tylko, że jest obywatelem osiadłym ziemi Wyszogrodzkiej. Usiadł spokojnie w kąciku, rzucił okiem na dwóch zapaśników co go poprzedzili i, złożywszy ręce, począł poglądać po suficie. Pp. Urban i Filoktet powitali go bardzo grzecznie i kordjalnie nawet.

Już i miodek na stół wystąpił, gdy nowa postać jeszcze uchyliła drzwi, zaśmiała się, kiwając głową, i wpadła do izdebki.

Było to coś żwawego, ubranego kuso, niby strojnie, z pretensją do wdzięku i młodości; czuprynka ryża do góry, wąs mały *idem*, w uchu kolczyk z niemiecka, buciki choć wytarte ale czerwone, szabelka na złocistych rapciach, pas pstrokaty sztucznie zwinięty, żeby dziur i cer nie było widać. Mały, zwinny, wesoły Jmpan Atanazy Bajdurkiewicz, nie był już na czczo, zapach gorzałeczki, cebuli i piwa go otaczał, a wymowa zdradzała umysł podniecony sztucznemi środkami.

— Wielce mi to zaszczytno i sercu mojemu drogo, że mogę tak godnego imienia panu a bratu stanąć w pomoc i ofiarować rękę i głowę *contra inimicos;* przysłany w to miejsce przez zacnego Adama Pancerzyńskiego, stoję z gorącą aspiracją, by być użytecznym *omni modo;* a jeśli jest szklaneczka, tobym o miód prosił.

Musiała się znaleźć szklanka i grzeczny Urban, zawadja Filoktet, milczący i pokorny Józafat wespół z Atanazym zasiedli przepijać za zdrowie Siekierzyńskiego, wkrótce postrzegając *unanime,* że zdałaby się i przekąska. Podano przekąskę, okazała się słona, ponowiono miód i noc nadeszła, a jeszcze panowie bracia za stołem gwarzyli, najwięcej o Wichułach i o sobie. Jeden pan Węgiel milczał, ze złożonemi rękoma i spuszczoną głową siedział, ale kolei pilnował sumiennie i nie dawał o sobie zapomnieć. Tadeusz mało się do rozmowy mieszał, ale słuchał uważnie i dowiedział wiele o okolicy i stosunkach, które dotąd były mu obce.

Rano po śniadaniu, do którego i przymawiać się nie było potrzeba, szlachta miała jechać z panem Tadeuszem do Czerczyc, ale oprócz Węgla, który kroku nie zrobił ze stancji, i grzecznego Urbana, co już Tadeusza nie odstępował, Filoktet, pożyczywszy talara, wyskoczył na półgodziny do przyjaciela, a Atanazy poszedł umizgać się do szynkarki zprzeciwka i nie powrócili aż ku południowi. Dwaj pierwsi wsiedli na koń, Filoktet miał ich dognać, a Bajdurkiewicz przyczepił się na bryczce,

puściwszy szkapę za nią, pod pozorem, że się na siodle obtarł szkaradnie dnia wczorajszego.

Taką kalwakatą ruszyli po południu już z Czerska do Czerczyc i mrokiem byli u Kociej Górki Tu naturalnie spocząć wypadało, bo konni nawet byli się przyzostali ztyłu, a Bajdurkiewicz życzył na nich poczekać, aby nocna podróż dalej bezpieczniejszą była dla patrona, którego tymczasem ubawiał powiastkami, a zastraszał potęgą Wichułów, zdając się ją dosyć szanować. Weszli do izby, w której siedział żyd pod piecem, żydówka za stołem, a kot na przypiecku, jakiś odarty chłopisko wstał z ławy przede drzwiami, przypatrzył im się dobrze, wyszedł do koni, które oglądał uważnie i szybko popędził w las. Nie uszło to baczności pana Tadeusza, szepnął na ucho Bajdurkiewiczowi, żeby się mieli na ostrożności i nie uważał, jak ten pobladł i zakręcił się ku bryczce. W istocie wymowny Atanazy główną siłę miał w języku, a co się tyczy spotkania wywijał się sianem jak mógł, dużo krzycząc, a zasłaniając cudzemi plecami. Na biedę przypóźnionych posiłków nie było i nie było, a na Filokteta nawet rachować ciężko, bo zdaniem wszystkich ledwie w pół godziny po innych mógł nadążyć, choć szkapę miał dzielną, ale maruda był zawołany.

Postrzegł zaraz z manewrów pana Bajdurkiewicza Tadeusz, że niewielką mu będzie pomocą, i postanowił, zdawszy się na wolę Bożą, pozostać w karczmie, dopókiby nie nadjechali pan Urban i pokorny a cichy Józafat.

Poczynało dobrze zmierzchać, Bajdurkiewicz, skarżąc się na ból zębów, położył się w bryczce i zaszył w siano głęboko; Tadeusz, świszcząc, chodził przed końmi, niekiedy zaglądając do karczmy.

Aż tu drogą od Siekierzynka jedzie dwóch jeźdźców szybko na zdyszanych koniach, obejrzeli się i pozsiadali z koni; miny gęste, wejrzenie zaczepiające, mowa głośna. Tadeusz poświstuje i chodzi spokojnie. Ci ichmość do izby, poszeptali coś z arendarzem i wybiegli na podwórze, postawali w zajeździe, patrzą na drogę od Siekierzynka i śmiejąc się zacierają ręce. Bajdurkiewicz leży w bryczce i stęka. — Możebyśmy jechali — rzekł zcicha — oni nas dopędzą!

Tadeusz nic nie powiedział.

— Bracie świstunie! — rzekł jeden z przybyłych, a dokąd to Pan Bóg prowadzi!

— Przed siebie! — odparł Tadeusz, — a panów śpiewaków dokąd?

— Na spotkanie waszmości.

— No, to i dobrze — rzekł Siekierzyński,—a co łaska do mnie?

— Chcieliśmy się od niego dowiedzieć,—rzekł drugi,—czy długo myślicie tu popasać w Kociej Górce?

— Ile mnie się podoba.

— No! a jakby się nam podobało, żebyś tu waćpan nie popasał?

— Cóż robić! nie wszystko się wszystkim podobać może!

Bajdurkiewicz z bryczki szepnął: — Niech się pan mityguje, tymczasem nadjadą, słyszę tętent.

— To tętent od Siekierzynka — mruknął pan Tadeusz, bądź pan na pogotowiu.

— Żebyś pan wiedział jak mnie zęby bolą!

Wtem Tadeusz odwrócił się do zaczepiających: — panowie bracia — rzekł serjo i poważnie — czy szukacie okazji?

— Jakby dobra, czemu nie? — rzekł jeden ze śmiechem.

— Cóż to panowie nazywacie dobrą, tak w kilku na jednego naprzykład, po zbójecku!

Szlachta się zmieszała widocznie, ale jeden zaraz wyskoczył;

— Co ty nas robisz napastnikami! coś ty za jeden?

— Wiesz, waćpan, kto ja jestem, jak ja wiem, kto wy jesteście.

— Naprzykład.

— Przyjaciele Wichułów.

— Jakbyś tam był! dalipan, w ciurnastki go nie wzięli! tęgi chłopak! zgaduje! toć wiedzieć musisz, czego od waści chcemy?

— Doskonale, ale to wszystko na nic się nie zdało!

— A jak waści przetrzepiemy?

— Sprobujcie!

Ale szlachta, nie probując, poglądała wciąż ku Siekierzynkowi, skąd tętent koni coraz bliższy dawał się słyszeć i razem czterech jeźdźców przypędziło, a na ich czele z zawiązanym łbem pan Ksawery.

— Wstawaj i do szabli! — krzyknął Tadeusz do Bajdurkiewicza. Na to *dictum acerbum* nie było rady, pan Atanazy wylazł powoli z bryczki, pomacał

po szabli i stanął niechętny za panem Tadeuszem, szepcąc mu: — jeno powoli, to nadjadą!

Ale już nie czas było powoli poczynać, bo przybyli z krzykiem:

— A tuś rozboju! a tuś Siekierko! a tuś trutniu! — otoczyli Siekierzyńskiego i szabel dobyli. Tadeusz z zimną krwią przyparł się plecami do bryczki, dostał szerpentyny i stał jak mur.

— Mości panowie — rzekł, — jeśliście szlachta nie rabusie, a macie do mnie żal jaki, gotowem im służyć wszystkim pokolei, ale jak przystało pojedyńczo, nie ocinać się jak wilkom.

— Jeszcze ty tu łajać nam będziesz!

I podnieśli wszyscy szable, jakby go rozsiekać mieli. Wichuła krzyczał:—wypłazować go! wypłazować!

Bajdurkiewicz, zważywszy ból zębów i przemagającą siłę, schował się pod bryczkę i myślał już przemknąć się niepostrzeżony do lasu. Wrzawa, krzyk okrutny powstał, żeby Tadeusza ustraszyć, ale ten, choć blady, stał twardo.

— A chcesz ujść śmierci! — zawołał Ksawery— to podpisz zrzeczenie się Siekierzynka i idź z życiem, niech cię djabli wezmą.

Siekierzyński tylko się roześmiał.

— Co? nie! nie! to cię tu w sztuki rozniesiem na szablach!!

— Co będzie to będzie! — rzekł Tadeusz.

Ledwie rzekł te słowa, ażci już sypnęli się wszyscy ku niemu i świst szabel tylko usłyszał nad głową jedna z nich raniła go silnie w prawe ramię, opadła ręka, zasłoniły się oczy, upadł... stracił przy-

tomność. Ale w tej-że chwili drogą od Czerska nadbiegli panowie Urban i Józafat, a na ich widok i Bajdurkiewicz począł z drugiej strony bryczki krzyczeć i machać szabelką i wszyscy razem na Wichułów. Ci, niespodzianie zagadnięci, a widząc przed sobą trupa i bojąc się, by ich nie połapano, w nogi, ale nie dalej, jak do izby karczemnej, w której się zaparli.

— Nie mogli większego głupstwa zrobić! — zaśmiał się pocichu i spokojnie pokorny pan Józafat, tu ich wszystkich połapiemy, jak wróble w strzesze... Hej! Bajdurkiewicz z furmanem pod okno od lasu i stać mi na straży... Okno załóżcie dylami, które tam znajdziecie, ja z panem Urbanem damy sobie tu radę.

Ledwie tych słów domawiał pan Józafat, który z najcichszego w mgnieniu oka stał się najmowniejszym i wszystkim dysponował, nadbiegł i oczekiwany Filoktet.

— Oho! — zakrzyczał — jest robota!

— Jest! nasz pryncypał ranny, połóżcie go na bryczce i dajcie mu wódki, jeśli macie. Zostaliśmy się wtyle a jego tu napadli, Bajdurkiewicz siedział pod bryczką.

— Co ja? pod bryczką — i krzyknął przeraźliwie z pod węgła — ja! trzeba było widzieć, jakem ja tu się odcinał, ale pięciu na dwóch to nie sztuka... jestem podobno ranny.

— W but — dodał pocichu Józafat—pilnuj, asan, okna a nie gadaj, a ty, bracie Filku, do nas, zobaczymy, co Wichułowie poradzą.

— *Ciumperda*! zobaczymy! — To mówiąc, omdlałego Tadeusza położył w siano i poskoczył do swoich.

— Obejrzyj karczmę dokoła! — rzekł Józafat — popodpieraj wrota.

— Co myślisz? — spytał Urban — paneńku, co myślisz?

— Nic, usmażę ich trochę — pocichu odpowiedział Józafat, wzdychając. — Cóż robić i kiedy tacy durnie, że zamiast do lasu, uciekli do karczmy.

— Oto! to dobrze, bracie! byle nam dachem nie pouciekali!

— Zjedzą licha, mamy pistolety, choć nie wszyscy, postrzelamy ich jak wrony. — To mówiąc, począł powoli krzesać ognia i szukać słomy, a dobywszy iskry i rozpaliwszy suchego liścia, zatknął go w strzechę z jednej strony, Urban z drugiej — Bajdurkiewicz i Filko pilnowali drzwi i okien.

Suchy dach słomiany zajął się jak świeca wśród mroku, ogień zabłysł na drzewach i czerwoną łuną oblał wszystko dokoła. Tadeusz leżał, stękając, na boryce i ledwie widział, co się koło niego działo.

Wtem z okna ukazała się głowa zawiązana Ksawerego Wichuły — panowie bracia! — zawołał— co to jest u króćset djabłów? karczmę moją paicie?

— A palim! — odparł, kłaniając się, Józafat cichy.

— I cóż to myślicie?

— Nic! to tak sobie! ciemno na dworze, chcemy przyświecić!

— I waćpanu nie wstyd, panie Węgiel, za tego galgana, za tego przybłędę się ujmować?

— Na czyim wózku jadę, temu piosnkę spie
wam — cicho zawsze odparł Jozafat.

A wtem i inni powyścibiali głowy z okien, woła
jąc: — na Boga! stolowanie się zajęło! my się podusimy

— A duście się, gałgany — krzyknął Filoktet —
duście się! tego nam i potrzeba, a nie, to wyłaźci
do nas i bijcie się, jak przystało na szlachtę, ni
na urwisów i rozbójników.

— Bić się, to był czas wprzódy! — rzekł Józa
fat, ale kiedy w pięciu skoczyli siekać jednego n
gościńcu, niechaj teraz pokutują, zabijcie okna!

To rzekłszy, począł się zabierać do zataraso
wania otworów, z których i głosy szlachty i ży
dów, wzywając litości, się odzywały. Pan Józafa
był jakby głuchy i niemy, dźwigał dyle, kierowa
Urbanem i Filkiem Ciumperdą, napędzał Bajdur
kiewicza, a sam pracował za wszystkich. Wewnątr
słychać było wyłamujących drzwi do sieni i wszysc
w zajazd wybiegli, ale tam, choć szerzej było, dac
bez stolowania trzęsioną słomą poszyty, płachtam
ognistemi padał na głowy, a dym oddech zabija
Krzyk się dał słyszeć, jakieś szamotanie, poter
cicho...

Karczma płonęła prześlicznie, i dach w oka
mgnieniu objęty, już opadł trzeszcząc, tak że pil
nujący odstąpić musieli nieco, by ich zwaliska kro
kiew i łat nie dosięgły. Dziwiło ich, że żadneg
więcej głosu z wewnątrz nie słyszeli, a gdy ścian
gorzeć poczęły, nie dostrzegli ani śladu zamknię
tych w budynku, czy to, że ich dym udusił, cz
się gdzie przychowali tak zręcznie.

Cicho i tylko drzewo potrzaskuje, okna pękają, opadają belki, a płomień żwawy to opadnie ku dołowi, to podniesie się ku górze, jakby spieszył pożreć prędzej pastwę swoją.

Pan Węgiel siadł na pniu niedaleko i patrzy spokojnie, ja na dziecinną zabawkę, Filoktet biega dokoła, Bajdurkiewicz krzyczy, a Urban trzeźwi Tadeusza.

— Gdzież się u djabła podzieli? — spytał wreszcie Filko Ciumperda — nie mogli się tak prędko podusić! niepodobna, żeby nie wołali o ratunek i nie krzyczeli pardon!

— I mnie coś się zdaje, że oni nie musieli się poskwarzyć! — rzekł Węgiel — baczność tylko, oni tu wylezą pewnie jaką dziurą!

— Gdzież-by się u licha skryli?

— Już-że tędy nie uciekli, to pewna! — krzyknął Bajdurkiewicz — bo pierwszemu, coby nosa pokazał, karkbym uciął!

Józafat tylko głową pokiwał.

Siedzą a czekają, już i karczma się wali, zajrzeli we środek, nigdzie śladu. Nie, jużby się tak popalili! — Wtem Węgiel poskoczył w krzaki za karczmę, wołając: — za mną! za mną!

— Wszyscy za mną!

— Po czasie! — krzyknął w chwilę, rozpatrzywszy się — po czasie! Ot patrzcie! w stajni była szyja do lochu! loch wychodził za karczmę, wydarli w nim sklepienie z dylów, i tędy w krzaki szmergnęli: Wszak to o trzy kroki od Bajdurkiewicza!

— Jak Boga kocham, to być nie może! ja w tę

stronę patrzałem, nie mogli mi ujść byłbym ich w sztuki porąbał.

— A patrz-że no, co to się znaczy? — odparł powolnie Józafat — wszak świeżo oddarty dach i jeszcze żydowskie łachmany, które z pośpiechu poodzierali, wiszą na krokiewkach. Ot i ślady! wymknęli się!

— To być nie może! — wołał ciągle Bajdurkiewicz.

— Wróćmy się do naszego pryncypała — rzekł Węgiel, — on tam leży i stęka, potrzeba go opatrzeć i do domu zawieźć.

Tu już pan Atanazy Bajdurkiewicz był na przodzie i pierwszy zbliżył się z wielką gorliwością do bryczki, na której, leżąc, stękał Tadeusz.

Opatrzono rany: najcięższa była w ramię zadana, inne mogły się ledwie liczyć za draśnięcia. Natychmiast z wprawą szlachty, co umiała dać rady na cięcie, obmyto i owiązano rękę, i powoli ruszono w drogę ku Czerczycom. Ale że pośpieszyć nie było można, ledwie nad świtem bryczka wtoczyła się przed ganek. Bajdurkiewicz pod pozorem oznajmienia stolnikowi pośpieszył przodem i znaleziono go już nad garczkiem piwa, opowiadającego, jak rąbał Wichułów i jak cudem N. Panny, do której się obrazu czerwieńskiego ofiarował, ocalony został od nieuchronnej zagłady, gdyż czuł nawet cięcia na sobie, ale szable od niego jak od stali odskakiwały.

Stolnik ze snu rannego zbudzony, o lasce wywlókł się na ganek przeciw Tadeuszowi, i popatrzyw-

szy na jego towarzyszów, którzy mu się każdy w swój sposób przedstawiali i rekomendowali, zrobił pocichu uwagę, że byleby ci goście dłużej pobyli w Czerczycach, ani spiżarnią im, ani piwnicą nie wystarczy.

Po doktora nie było potrzeba posyłać, gdyż dawniej z ranami każdy sobie rady dać umiał, a Jakób, stary sługa stolnika, niegdyś wojak, doskonale się z niemi odchodził. Zniesiono więc pana Tadeusza do izby, grzeczny pan Urban przymówił się, żeby co przetrącić, a reszta chórem za nim weszła za stolnikiem do stołowego pokoiku.

Bajdurkiewicz, wypatrzywszy młodą córkę kluczniczy, już za nią skradał się, prawiąc koncepta, do lochu. Jeden Węgiel milczący usiadł w kącie, założył ręce i głową kiwał na opowiadania Urbana i Filokteta.

Wichuła ze sprzymierzeńcami, wydarłszy się lochem z pogorzeli, pieszo umknął do domu, pocieszając się tylko, że nieprzyjacielowi za swoją kresę przez głowę sowicie odpłacił. Nie obawiał on się poszukiwań sądowych, mając na wypadek ich tysiące starych skutecznych sposobów zwleczenia wymiaru sprawiedliwości. Upokorzony był wszakże i smutny, dopóki nie zapił strachu swego i znużenia. Wieść o napadzie w Kociej Górce i spaleniu karczmy nazajutrz rano przyszła do Czerska, a Pancerzyński ze szczegółami się o tem dowiedział od stryjecznego swego, który pod koniec dramatu przybył na miejsce i o wszystko się dokładnie rozpytał.

Tego było potrzeba tylko Pancerzyńskiemu!

Napad, gwałt, intymidacyjne środki użyte przez Wichułów bardzo mu były na rękę i proces się zaraz rozwinął. Z wielką zręcznością zakreślone były pretensje Siekierzyńskiego do Wichułów *detentorów* Siekierzynka: między innemi figurował w nich i dom mieszkalny zwalony w znacznej sumie i pobierane przychody, tak, że finalnie okazywało się, że odbierając Siekierzynek, pan Tadeusz miałby jeszcze do poszukiwania jakie 30.000 złotych na Wichułach, nie licząc prawnych grzywien i opłat.

Nie dowiedzieli się Wichułowie o sprawie, aż już dekret wisiał nad nimi, pozwy im kładziono, głowy potracili, nie stawili się i nie umocowali nikogo, tak że w pierwszej instancji zapadł wyrok pod niestanność obżałowanych. Sądzeni zaocznie, przestraszyli się i wybrali sobie adwokata starego, Wachlera, Inflantczyka, zdawna w Mazowszu osiadłego, który był prawda niegdyś zręcznym jurystą, ale postarzał, podślepł i więcej o dawnych swych cudach prawił, niżeli nowych dokazywał. Pomimo starania Wachlera i głosu jego wymownego, wygrał w drugiej instancji Siekierzyński.

Opatrzyli się Wichułowie, że źle, bo agrawowana była sprawa kryminalnem poszukiwaniem o wiolencję, gwałt i zadane rany, wysłali więc parlamentarzy, przychylając się do zgody. Odstępowali części Siekierzynka, warując sobie wypłatę pretensyj, a żądali pokwitowania z procesu kryminalnego i zgody. Pan Tadeusz, który wstał już z łóżka, odpowiedział przybyłemu krewnemu pa-

nów Wichułów, że innej zgody nie przyjmie, tylko jeśli mu z Siekierzynka ustąpią, kompensując pretensje pretensjami i swoją część mu odprzedadzą; za to ofiarował się nie dochodzić napaści i dać pokój dalszemu popieraniu sprawy. Krzyknęli, usłyszawszy to, Wichułowie: — Lepiej zginąć i pójść z torbami, niżeli taką przyjąć zgodę!

— To pójdziecie! — odparł pan Tadeusz zimno.

Poszły apelacje do najwyższej instancji, Pancerzyński pojechał do Lublina, a panu Tadeuszowi kazał siedzieć w Czerczycach. Nie odstępowali go owi przyjaciele, krom Bajdurkiewicza, którego stolnik grzecznie się pozbył jakoś. Wichułowie zrobili w Lublinie konferencję, powieźli Wachlera, pojechali sami, źle się święciło! Wszyscy im mówili, że Siekierzynek oddać muszą, a za gardłową sprawę odpowiedzą kryminalnie.

Trochę dawniej byliby może mogli z procesu kryminalnego i dekretów żartować, bo niejeden na gardło i banicję wskazany, chodził bezpiecznie i szedł spać spokojnie; ale to były czasy właśnie, gdy cały naród obejrzał się, że bez poszanowania praw musi panować bezprawie, a bezprawie wiedzie prędzej później do zguby; Wichułowie miarkowali, że nie żarty. Przytem Pancerzyński tak przy swojej poczwarnej powierzchowności i nieznaczącej figurce trząsł trybunałem i deputatami, że prawnicy silnie nalegali na Wichułów, aby póki można zgodę robili. Nim sprawa z rejestru nadeszła, krewniak Wichułów, pan Michał Waliński poleciał z ostatecznemi warunkami do Czerczyc,

a Pancerzyński wysłał ze swojej strony z listem do pana Tadeusza, dając mu rady, jak się miał godzić. Stolnik był także za zgodą, bo drżał, żeby kto z nieprzyjaciół nie wydobył owego kupiectwa Siekierzyńskiego na wierzch, kupiectwa, któreby od Tadeusza wszystkich aż do adwokata odstrychnęło.

Wichułowie upokorzeni przystawali na wykupno Siekierzynka za sumę niewielką ugodnie ułożoną, odstępowali swojej części także i żądali umorzenia kryminalnej sprawy. Głównym punktem było umiarkowanie sumy za wioskę, a to niełatwo przyszło, bo pan Tadeusz rachował się bardzo ściśle i postępował po odrobinie. Nareszcie *salva confirmatione* interesowanych, pan Michał Waliński zawarł umowę i pojechał z nią do Lublina; Wichułowie przyjęli warunki, wstrzymano proces, którego jednak pilnował Pancerzyński, i Ksawery zjechał na grunt dla ostatecznego podpisania układu i tranzakcji.

W parę miesięcy potem pan Tadeusz Sobiesław Siekiera Siekierzyński wchodził w miesiącu marcu w posiadanie wioski ojczystej i posłana fura po starą Dorotę przywiozła ją na rodzinny zagon. Jakże jej się tu wszystko zmieniło!! Nie było domu starego, wycięto część drzew stuletnich, odmieniono ścieżki, poplątano drogi, budowle czegoś zmalały, gościńce stały się ciaśniejsze i wszystko tak się pochyliło, tak postarzało. Poczciwej Dorocie zdawało się, że znajdzie każdą rzecz na swojem miejscu, jakby ją wczoraj odjechała, a tu nic

dawnego się nie utrzymało. Ludzie powymierali, drzewa się powaliły, budowle pogniły i runęły, mało kto je pamiętał, mało z kim mogła pomówić o swoich czasach i panach. Pomimo te zawody była szczęśliwa i żywo się bardzo krzątała za uciekłemi pamiątkami, większą część dnia na zielonych już rumowiskach starego domu spędzając. Dom, z którego ustąpili Wichułowie, nie podobał jej się wcale, namawiała pana Tadeusza, żeby postawił nowy na starej ojcowskiej sadybie. Ale on miał i bez tego wiele do czynienia, znajomi i nieznajomi, dowiedziawszy się o Siekierzyńskim, którego już bogaczem głoszono, choć wcale nim nie był, zjeżdżali się submitując nowemu sąsiadowi. I stolnik przywlókł się także do pupila, a szczęściem trafił, że był sam jeden, łzy mu się puściły z oczu na widok dobrze dawniej znanego miejsca, gdy ujrzał rozwieszone na ścianach owe portrety familijne i stare genealogiczne drzewo Siekierzyńskich, wieczny przedmiot opowiadań nieboszczyka skarbnikowicza.

Nie rozweselił się nawet, widząc nową rozpoczynającą się erę świetności domu, który już miał za upadły, stanął naprzeciw drzewa, wyrastającego z lędźwi Sobiesława i westchnął:

— Ha! — rzekł — wszystko to ślicznie i pięknie, ale gdyby ci mężowie powstali i spytali cię, panie Tadeuszu, czem to okupiłeś, co masz dzisiaj?

Siekierzyński się spłonił. — Zawsze te dawne podejrzenia, panie stolniku!

— A żebyś waćpan wiedział, jak to mnie gry-

zie, nie miałbyś za złe, że się z tem siud tud wypaplam! Mnie to jak kamień cięży na sumieniu, bom taki był twoim opiekunem i dozwoliłem na to!

— Na cóż, panie stolniku?

— At! wypieraj się zdrów! to darmo, i twoje eklipsy lubelskie i początek tych pieniędzy, rozumiem wszystko dobrze, gorzkiemi łzami na to płaczę!... Trzeba mi było tego gryzącego na starość robaka nosić w sobie. To być nie może, żeby się to nie wydało. *Omnimum rerum incertissima* dochowanie niebezpiecznej tajemnicy. Nieraz mi się w nocy zdaje, że waćpana przodkowie przychodzą do mnie i pytają mnie o rachunek, jak Bóg pytał Kaina o krew Abla, zrywam się jak opętany ze snu i krzyczę! Wiem ci ja, wiem, że to teraz szlachectwo sobie lekceważyć poczynają, ale ja i sercem i wiekiem jestem *laudor temporis acti.*

— Ale na Boga! panie stolniku, cóż pan sobie myślisz? myślisz-że pan, że ja nie cenię, nie szanuję, ni czczę pamięci przodków i mojego szlacheckiego klejnotu?

— A przecież—ci go waszeć pieprzem posypał! —odezwał się stolnik.

— Kto mi tego dowiedzie?

— Ej! ej! nie wywołuj wilka z lasu!

— Byłaby to kalumnja! żaden Siekierzyński nie splamił się niczem, a ja z nich ostatni.

— Tere-fere kuku! strzela baba z łuku! nie mnie to gadaj przynajmniej. O! gdyby to była prawda, jabym waści w nogi pocałował.

— Wiesz pan, że tak jest. Co ma wspólnego jakiś tam Falkowicz z Siekierzyńskim?

— *Unitam*! ale dajmyż już temu pokój! *Horas non numero nisi serenas*, mówmy o przyszłości lepiej. Otożeś już wacan *possessionatus* i spokojny na starem dziedzictwie, wiek potemu, żenić-by się potrzeba...

— I ja to myślę—cicho i z westchnieniem rzekł pan Tadeusz.

— Przybyłem właśnie rozgadać się o tem, zrobimy planik, trzeba myśleć, bo dalej, dalej postarzawszy, coraz trudniej, waść wiesz przysłowie.

— Słucham pana stolnika! ale naprzód muszę mu moją myśl objawić.

— I owszem, byle dobrą.

— Wiesz pan jakiego jesteśmy rodu?

— Gdyby nie ten pieprz!..

— Dzięki Bogu nikogo tu od nas lepszego nie widzę! szlachectwo nasze sięga czasów niemal bajecznych, przodkowie moi zajmowali pierwsze dostojeństwa w rzeczypospolitej, mająteczek mam niezły, mogę więc aspirować do najświetniejszych partyj.

— Gdyby nie ten pieprz!—dodał stolnik uparcie.

— Potrzeba mi dla odświeżenia znaczenia rodu familji, nie tak bogactwa szukać jak świetnej i wielkiej koligacji, bodaj w zubożałej, ale starej rodzinie.

— Jakbym ojca słyszał!—odparł stolnik — zgadzam się, *laudo*, żebyś tylko tak zrobił, jak mówisz! A im więcej waćpana mówiącego słyszę, tem wię-

cej się dziwuję, że z takim respektem parentel
i stemmatu wlazłeś dla pieniędzy w takie błoto...
Rozmówmyż się jeszcze, czy nie masz już kogo
upatrzonego?

— Dotąd nikogo.

— W sąsiedztwie ja też nie widzę nic dla wa-
ści, potrzeba będzie dalej podobno ruszyć, albo
i do familji matczynej w krakowskie. Ale! ale,
wszakże to zapomnieliśmy o pannie kasztelance!

— O jakiej?

— Ba! to jej widzę nie znasz, kasztelanka! zna-
ją wszyscy! sierota *magni nominis*, mieszka u stryja,
pana wojewody, o mil dwie stąd, cóż można żą-
dać nad to piękniejszego. Prawda, że nie ma nic,
lub tak jak nic, gdyż ojciec absolute majątek
stracił.

— Młoda?

— Nie sądzę, bo lat temu dziesiątek była już
na wydaniu, tylko że się nikt nie zgłaszał! Zatem
najmniej Jezusowych latek, ale to mniejsza.

— Piękna?

— O ile sobie przypomnieć mogę, szpetną nie
była, kto wie co dziś? Są osoby, które wiek upię-
knia! wszakże tu nie chodzi o wdzięki, ale o ród
i koligację... Mała, czarniawa i nieco ułomna, ale
aspectus książęcy, chód królowej, prezentacja pań-
ska, ledwie mi głową kiwnęła, kiedym był u woje-
wody.

Tadeusz się zamyślił głęboko. — Tu niema co
rozmyślać—dodał stolnik,—zaprzęgać i jechać do
pana wojewody.

— Jakto, bez powodu?

— Powód się znajdzie, narada o sejmikach, będę waści promował jakoby na kandydata do deputacji, przyjrzysz się pannie, rzucim słówko, by wyrozumieć wojewodę...

Tadeusz nic nie rzekł, znać tylko było, że go to wszystko drogo kosztowało, ale spojrzał na genealogiczne drzewo, na portrety Sobiesławów i odważnie zawołał:

— Pojedziemy, panie stolniku.

Stary choć stary, miał przysłowie — *dictum factum*—i niedługo wybrali się oba do pana wojewody, który bawił w swoim zamku na wiosnę, czasowo tylko. Nie był to jeden z tych magnatów dawnej Polski, co przywykli niejako spadkowie piastować pierwsze dostojeństwa w kraju, których dobra rozlegały się szeroko, jak księstwa oddzielne, znaczenie groziło nieraz władzy nad nich wyższej i prawom; — pan wojewoda przez związek świeżo dopuszczony do senatu i koła panów, okupywał się pokorą i usłużnością nowej braci. Jak każda rodzina polska, familja jego mogła się wywieść z dala, ale w niej krzeseł, lasek i mitr nie było, kilka starostw, maleńki urzędnik, a potem nagle województwo. Człek niemłody, chodził po francusku, niedawnemi czasy kontusz zrzuciwszy, z magnatami był pokorny, ze szlachtą dął się bardzo, lękając, by mu nie przypomniano, że niedawno jej był równy. Krewny kasztelanki, dla okazania swych związków przyjął ją do siebie, choć ubogą, i utrzymywał jako towarzyszkę swej żony,

córki wielkiego zubożałego domu, który się zbytecznie rozrodziwszy, siedm kobiet rozposażył między zamożną starą szlachtą.

Dwor wojewody na wsi był z pańska, z cudzoziemska a skąpo utrzymywany, bo miasto kosztowało wiele, więcej jeszcze duma, a majątek z Sapiehami, Potockimi, Czartoryskimi walczyć nie dozwalał, choć się bardzo tego chciało. Na wsi więc oszczędzano, aby w stolicy choć trochę błysnąć, choć krótko; ale i ta oszczędność musiała mieć fizjognomię pańską; ludzi kręciło się dużo choć nie obficie karmionych i czasem odartych, koni było wiele, choć chudych, dom ogromny zwał się pałacem, bo miał pałacową bramę. Wojewoda z miną protektorską przyjmował brać szlachtę, zapraszał ją na z kiepska po francusku warzone obiadki i utrzymywał, że się na kuchni nie poznają, bo im dawał figatele, których w życiu nie jedli. Szlachta w istocie nie mogąc często przełknąć wojewódzińskich przysmaków, składała to na swoje przywyknienie do kaszy, pierogów i kapusty, w prostocie ducha myśląc, że to co się jej zdawało niesmacznem, mogło być tylko nowem.

Marszałek dworu oznajmił JW. panu o przybyciu stolnika nurskiego z panem Siekierzyńskim. była to pora przedobiadowa, wojewoda chodził po gabinecie, czytając gazetę i ziewając szeroko.

— Prosić — rzekł — prosić do sali.

Stolnik o kiju, ale strojny jak na wesele *cum debita humilitate* z czapeczką pod pachą, poprawiając kontusza i gładząc łysinę, wszedł do owej sali.

Tadeusz za nim wcisnął się nie bez jakiegoś — nie wiem — przestrachu, czy niepokoju wewnętrznego, który porywał dawniej wszystkich co raz pierwszy pańskiej dotykali klamki. Owa sala była w istocie salą co do wielkości, ale że życie wojewody właściwe w stolicy było, i zbytek i sprzęt kosztowny tam się przenosił, to dziwnie goło i pusto wydało się wchodzącym. — Ściany pobielane tylko, na nich dwa weneckie w zwierciadlanych ramach niewielkie lustra, pająk otłuczony z sufitu się spuszczał, dwie kanapy na krzywych nogach w dwóch końcach stojące, zdawały się zabierać do prysiudów i kozaka, a kilka stołków odartych i wytartych jako spektatorowie czekali w kącie tego tańca. Dwoje drzwi wiodły stąd do pokojów wojewody i wojewodziny, dwa okna wychodziły na wały niegdyś tu stojącego zamku, a widok z nich rozciągał się na przestronne ługi i dalekie lasy.

Wojewoda nadto znał swoją rolę, żeby miał wynijść zaraz; chociaż ziewał i nudził się, nierychło jednak ukazał swoje oblicze zmarszczone i fizys statysty; a dawszy się wyczekać szlachcie, wpadł, jakby się odrywał od ciężkiej roboty. Obyczaj wieku i kraju kazał mu być grzecznym aż do uniżoności, takimi byli najwięksi panowie: musiał ich naśladować i nadskakiwać, ale umiał połączyć impertynencką dumę z nadzwyczajną uprzejmością. Wszedłszy zajęty, spracowany, znużony, rozsunął brwi, rozjaśnił oblicze, poznał stolnika, począł się uśmiechać i prosił siedzieć! Skarżył się na utrapione naprzód życie swoje, że mu pokoju król i dy-

gnitarze nie dawali, że go ze wsi spokojnej, którą kochał, do stolicy powoływano, groził, że porzuci dosto,eństwo i wyrzecze się splendorów... i t. p. i. t. p.

Stolnik umiał na każdą rzecz stosownie odpowiedzieć, by połechtać, a choć pochlebiał w sposób bardzo prosty, doskonale to przyjmowano od niego.

Pochlebstwo jest jak pieniądz, często przyjmują zwalany i wytarty; a nieraz i fałszywy. Powoli, powoli stolnik rozpoczął rzecz o sejmikach i przedstawił protekcji pana wojewody JMP. Siekierzyńskiego, o którego rodzie i pochodzeniu mówił z tą pewnością, że wojewoda sławę jego i starożytność zdawna znać musiał.

Niestety, szyderski niepostrzeżony uśmiech przeleciał po ustach pana i znać było, że dotąd o egzystencji nawet familji tego imienia i herbu nie słyszał. Jednakże zbyt grzeczny i zręczny, by się z tem wydać, kiwnął głową potakując.

— Pan Siekierzyński — dodał stolnik, fortyfikując go ciągle — świeżo otrzymawszy spadek znaczny (tu się nieborak zakrztusił jakby go pieprz zaleciał) objął piękną wioskę, niegdyś rodziców dziedzictwo i chce krajowi służyć!

Wojewoda rzucił okiem na Tadeusza, obejrzał go bacznie i pochwalił przedsięwzięcie; obiecał swoją pomoc i rozmowa zwróciła się na przedmioty obchodzące kraj i prowincję.

Wtem marszałek dworu oznajmił, że dano do stołu, a wojewoda powiódł swoich gości do jadalnej, gdzie już w krześle zastali wojewodzinę, synka

jej z Francuzem i pannę kasztelankę. Gospodarz gości przy sobie umieściwszy, zasiadł, półgębkiem ich zaprezentowawszy. Wojewodzina, Francuz i kasztelanka, bardzo żywo rozmawiali z sobą po francusku, wojewoda z gośćmi po polsku: z rozmowy pierwszych najmniej baczny postrzegacz doszedłby, że żartowano sobie z przybyłych, na których padały wejrzenia ze śmiechami tem przykrzejszemi, że im towarzyszyła mowa obca i niezrozumiała.

Kasztelanka, na którą pan Kornikowski wlepił baczne wejrzenie, wskazując ją Tadeuszowi, była wcale niepowabną postacią. Lat jej trudno było odgadnąć, bo są istoty co nie mają młodości i nie starzeją, a do nich właśnie należała panna kasztelanka: śniada, sucha, nie ładna, nie brzydka, z wyrazem złośliwego szyderstwa na twarzyczce wykrzywionej, nieco ułomna, bo jedno ramię miała niższe, minę okazywała pańską, dumną i zgóry poglądała na wszystkich. Tadeusz odrazu uczuł, że nie było tu ani przystępu, że naraziłby się na śmieszność, jeśliby się ku niej posunął. Stolnik zdawał się być innego zdania i wpatrywał się w nią bacznie. Obiad zeszedł na dwóch rozmowach oddzielnych, a goście wstali głodni, bo był źle zgotowany i z dziwnych potraw i przypraw się składał. Sam wojewoda nalewał z butelki jednej wino sobie i Francuzowi, z drugiej kwaśny jakiś octowaty napój gościom. Przecież się skończył, wstali, a wojewodzina zaraz się usunęła do swoich pokojów, gospodarz, ziewając, powiódł panów braci do sali. Nie długo tu zabawiwszy, postrzegłszy, że zaczyna

drzemać, pożegnali go i wynieśli się, nie czekając dłużej.

— A co? panie Tadeuszu, prawda, że królewna?

— Ani przystępu! panie stolniku, wysokie progi na moje nogi!

— Co to ani przystępu! gadasz waść! czemu ni sprobować?

— Czuję, że to byłoby napróżno.

— A ja ręczę, że się uda! panna niemłoda, niełądna, niebogata, pójść za Siekierzyńskiego, za majętnego i młodego! łaskę jej robisz! co tu niepodobnego?

Tadeusz ruszył ramionami.

— A ja jutro jadę do pałacu i pomówię z wojewodą!

Stolnik nie pojmował, żeby się mogło nie udać, i pewien siebie, prosił o ranną audjencję magnata, który mu, rad, że swą wielką ważność okaże, obiecując protekcję przyszłemu deputatowi, oświadczyć kazał, że o dziesiątej go przyjmie.

Na ten raz pan Kornikowski przypuszczony został do gabinetu, w którym stosy papierów, not, gazet, listów, świadczyły o wielkich, ważnych zajęciach statysty. Wojewoda powstał od stolika i prosząc go siedzieć, gotował się słuchać, ale nie pomału się zdziwił, gdy stolnik począł:

— Darujesz mi, JW. pan i łaskawy dobrodziej, jeśli co nie do rzeczy powiem i niespodziewaną uszy pańskie uderzę propozycją... Szczęścia próbować każdemu wolno, a stary przyjaciel rodziny Siekierzyńskich, która starożytnością swą i lustrem

mało ma w kraju równych, pragnąc splendor dawny odświeżyć, chwyta się!...

— Ale o cóż chodzi, o deputację wszakże?

— Nie, JW. panie, deputacja była tylko, iż tak rzekę, pozorem dla bliższego przypatrzenia się przedmiotowi myśli naszych. JMPan Siekiera Siekierzyński, którego naddziad, jak to JW. panu wiadomo. — Wojewoda ruszył ramionami.

— Którego naddziad piastował godność *supremi belli ducis*, a dziadowie *Castellaneautus et Palatinata magna cum laude gesserunt*...

— Cóż tedy, stolniku?

— Pan Siekierzyński między szlachtą koronną *memorja gestorum* swych przodków, *fulgens*, zamierza znaczną odziedziczywszy fortunę, wstąpić w święty stan małżeński i dożywotnią przyjaźń z osobą jak on rodu znakomitego...

— Szczęść mu Boże!—rzekł wojewoda—ale cóż ja mu na to poradzić mogę?

— Jakto? JW. pan nie widzisz, do czego ta mowa moja zmierza?

— Prawdziwie, dotąd, stolniku, ślepy jestem.

— JW. kasztelanka...

— Jakto? — porwał się z krzeszła wojewoda — jakto? — i roześmiał się tak szczerze, tak szeroko, tak głośno, tak ogromnie, że z przedpokoju wpadł sługa, śmiechem niezwykłym obudzony.

Stolnik osłupiał; wojewoda się upamiętał, wstrzymał wesołości wybuchy i rzekł, ocierając łzy.

— A! stolniku! stolniku! pozwól, niech to żonie mojej powiem, bo nie wytrzymam!

Kornikowski, nieco zmiarkowawszy, że na śmiechach zarobił, ale nie mogąc pojąć, w jaki sposób, usta nie otworzył, gdy pan wojewoda wyleciał z pokoju i pobiegł do żony. Po chwili w pokojach dały się słyszeć śmiechy niesłychane, i nierychło powrócił gospodarz, umiarkowawszy się trochę. — Daruj mi — rzekł do starego — ale tak niespodziana i dziwna propozycja...

— Czem-że dziwna? JW. panie! — obrażony rzekł stolnik.

— Pozwalam, że pan Siekierzyński czy Siekiernicki, jak go tam nazywasz.

— Ależ Siekierzyński! — z gniewem dodał szlachcic.

— Pozwalam, że jest najśliczniej urodzony, ale ta jego ilustracja zbyt dawna i coś zapomniana, mam dwóch ekonomów tego nazwiska, jak-że chcesz, żeby kasztelanka...

Stolnik pochwycił czapkę, skłonił się i już był w progu, słowa więcej nie rzekłszy; wojewoda wydał mu się jeśli nie szalonym, to postrzelonym przynajmniej. Powróciwszy do gospody, nie chciał się wyspowiadać z sukcesów kroku swego przed Tadeuszem, kazał zaprząc kolaskę i wyjechał z miasteczka. Ale w Siekierzynku zasiadł sam w okularach robić kopję drzewa genealogicznego Siekierzyńskich, na czterech arkuszach sklejonych opłatkiem i dokonawszy tej wielkiej pracy, wysłał z nią umyślnego do wojewody.

— Niech zobaczą, przekonają się i żałują — rzekł w duchu dumnie. — Darowałbym im, gdyby

o pieprzu wiedzieli, ale poniewierać i lekceważyć Siekierzyńskich! nie wiedzieć, co oni znaczą! to głupota i barbarzyństwo! Nie dziwię się, że kraj upada, gdy pamięć najzasłużeńszych ginie w narodzie.

Gwałtownie rozgniewany na wojewodę, udał się do Czerczyc dotknięty do żywego i trzy dni na podagrę ciężko odchorował.

Pan Tadeusz równie z nim przemyśliwał o ożenieniu, ale nie brał się do niego; byli życzliwi i nowi przyjaciele, co mu swatali różne panny, ale ich prosapja nie przypadała do smaku ani stolnikowi ani Siekierzyńskiemu; chcieli oba wielkiego, bardzo wielkiego imienia. — I nie spieszył się nasz bohater do ołtarza, a ile razy wspomniano mu ożenienie, kobiety, wzdychał dziwnie i zdawał się z jakąś myślą, z jakiemś wspomnieniem pasować. Sam sobie zostawiony, ponury był i zasępiony; nic mu nie smakowało, a w przyszłość patrzał jak skazany na żywot ciężki, w którym niema ani nadziei, ani uśmiechu pogody. W początku pobytu na wsi, w czasie procesu, zajęcie, walka, ciągłe jej zmiany, zajęły go tak żywo, że się zdawał oswajać z położeniem swojem; teraz w miarę jak spokojniejszym był i na wsi gospodarzem tylko został, nigdy uśmiech weselszy ust mu nie rozwiązał, nigdy czoło się nie rozchmurzyło. Zdawał się żałować przeszłości? czego? nie wiem! tak często żałujemy kłopotów i trosk przebytych nawet! czując, że z niemi uroniliśmy nieodzyskaną cząstkę życia! Stolnik napróżno starał się go rozruszać, rozbawić i pokrzepić, wreszcie spluwał mrucząc:

— To te nieszczęśliwe zgubiło go kupiectwo i sumienie go gryzie! sumienie! plama niestarta! byłem pewien, że to uczuć musi prędzej później! Gdyby się ożenił.

Ale gdy mówiono o ożenieniu, coraz chmurniej Tadeusz spuszczał czoło i uparcie milczał.

— Cóż *tandem* będzie? — rzekł raz stolnik — myśl asindziej, myśl, nie bierzesz się, nie szukasz, a latka płyną... Jeśli dziś niełatwo co znajdziesz, cóż dopiero potem?

— Panie stolniku! — rzekł, zbierając się na odwagę Siekierzyński — wszak szlachcic, który się żeni bodaj z... mieszczanką (wymówił to z nieśmiałością), nie traci przez to szlachectwa sam, ani jego dzieci, owszem, nadaje żonie.

Stolnik porwał się na spuchłe nogi, wlepił w niego oczy wielkie zaiskrzone, padł na krzesło i, stukając ręką:

— Co mi to waćpan prawisz znowu? Ha! ha! widzę co się święci! Coś lubelskiego za pasem!

— Ja się pytam.

— A po kiego djaska byś się pytał, gdyby co nie było w tem?

— No, a gdyby i było?

— Jeszcze tylko tego ci braknie! — burzliwie krzyknął pan Kornikowski, chwytając się za głowę i z rozpaczą dodał. — Idź i czyń co ci się podoba, ale wyprzyj się mnie, mojej znajomości i opieki i imienia ojcowskiego i *originis suae*. Tak! tak! prochy ojców poruszysz w grobie, popioły dziadów zadrżą na ciebie! Ostatni! ostatni z imienia, coby

splendor i lustr stemmatu swego miał podnieść, coby winien dźwignąć *ex oblivione* imie szanowne, zagrzebać je chce i nową okryć plamą! Nie dość li tych pieniędzy *in tam vili mercaturae statu* zapracowanych, któreby dłoń piec powinny, chcesz jeszcze dać dzieciom swym matkę mieszczankę... Jeśli to uczynisz, wiedz, waćpan, że *nomine et auctoritate parentum* wyklnę cię!

Dokończywszy perory stuknął stolnik po krześle i zdyszany zamilkł, spoglądając, jaki też uczyniła skutek na umyśle Siekierzyńskiego.

On stał zbladły, zmięszany jak winowajca.

— Panie stolniku, — rzekł, — nie myślałem o tem i nie myślę, niepotrzebnie się unosisz, inny *casus* wywołał moje zapytanie.

— Jakiż? jaki?

— Wszak-ci to pan Zamszycki ożenił się z Wirmanówną, warszawskiego kupca córką.

— Pan Zamszycki! ale cóż to za szlachcic? — rzekł stolnik — pan Zamszycki rękoma dziada swego skóry na zamsz wyprawiał.

— *Tandem* szlachcic.

— Skartabellat! mości panie! nie sztuka! nie sztuka, niech się żeni z kim chce, ale Siekierzyński! Waćpan nie znasz coś winien imieniowi swemu!

— Ależ ja nic nie myślę!

— Czegożeś pytał?

— Aby się dowiedzieć, co będzie z Zamszyckimi?

— Co będzie? będą taką kiepską szlachtą jak i byli, bo niezawodna rzecz, że ożenienie z kobietą niższej kondycji nobilituje ją *de facto* jeśli nie

de jure; albowiem co nie szlacheckie, tego i sam Pan Bóg nie uszlachci, chyba czas, chyba wieki!...

Stolnik wymówił to z taką pewnością i wiarą w prawdziwość słów swoich, że gdyby nie to, że jeden go Siekierzyński słuchał, byłby na śmiech zarobił.

Z niedowierzaniem wpatrywał się długo jeszcze w Tadeusza, jakby go badał, i pomimo zapierania się jego, pozostało mu jakieś podejrzenie na sercu. To jeszcze przyspieszyło starania o najrychlejsze ożenienie, i jakoś w kilka tygodni odebrał pan Siekierzyński kartelusik od stolnika, zapraszający go do Czerczyc, dla pomówienia w ważnym interesie.

Zwykł był zawsze pana Kornikowskiego jak ojca słuchać i zaraz do niego pośpieszył. Był to majowy ranek, a stolnik niecierpliwy już siedział w ganku, choć chłodny wietrzyk powiewał, i czekał pupila niespokojny widocznie. Zaraz odprawił ludzi, chwycił go za rękę i cicho szepnął:

— Mam! mam!

— Co panie stolniku?

— A żonę, żonę, żonę dla asindzieja, *ut sic!*

Tadeusz smutnie na niego spojrzał i usiadł, czekając relacji.

— Człek czasem szuka, szuka daleko a pod nosem nie widzi — mówił pan Kornikowski — właśnie o dwie mile nie dalej, w Smarzewie, jest panienka jakiej nam potrzeba.

— A nie będzie tam jak z kasztelanką?

— Nie mów mi waść o tym głupcu wojewodzie, wszyscy ci magnaci nowej kreacji to trutnie i pę-

cherze nadęte... To zupełnie co innego, szlachecka córka, ale doszedłem, że to szlachta godna Siekierzyńskich... Tarłówna, mosanie, Tarłówna! Wiesz waść, że Tarłowie byli *Comites*, familja wielka! Mówią, że wygaśli, ale jako żywo, jest odłam tej rodziny... Tarło, ojciec mojej panny, mieszkał w Smarzewie, miał pięciu chłopów, umarł i zostawił trzy córki, trzy Tarłówny! Wystaw sobie, żywa dusza i oni sami nie wiedzą, co znaczą, a to szlachta, a nawet imieniem magnaci... Panienka nie tak bardzo młoda, lat dwadzieścia pięć, druga dwadzieścia i trzy, trzecia dwadzieścia, wszystkie gładkie i gospodynie wielkie... Starszą oczywiście wziąć potrzeba, bo młodszej przed nią nie wydadzą, taki zwyczaj i święty zwyczaj, niema co mówić.

— Ale, panie stolniku!

— Co to za ale? Uboga? hę? Znajdź-że sobie bogatą, ale Tarłówna! ha! Tarłówny na drodze nie znaleźć! *raritas*, precjoz! Nowy lustr i splendor. Więc z południa jedziemy, jużem słówko puścił w ucho matce, rozpatrzysz się i spodziewam, że to pójdzie jak po maśle, tylko mi proszę brać się żwawo...

Długo jeszcze stolnik dawał naukę Taudeuszowi, który uparcie milczał, a posławszy za nowym kontuszem i strojem do Siekierzynka, sam świetnie przybrany, wywiózł pupila, nie czekając, tego samego dnia do Smarzewa.

My ich uprzedźmy tutaj i zapoznajmy się z panią Tarłową i jej córkami. Domek ich stał w wiśniowym sadzie na końcu wioski, ubożuchny, schlud-

ny, czysty i zdawał się mówić do przejezdnych i gości:—dobrze mi tutaj! — Czyste było podwórko, choć gospodarskie, bo pełne drobiu, płótna, nici, ostawione obórkami, stodółkami, chlewkami. Małe to było wszystko ale czyste, porządne i zewsząd z ładem patrzała zamożność, na jaką stało drobnego szlachcica. Nigdzie złamanego płotu, nigdzie odrapanej ściany, odartego dachu, kałuży i śmieciska, każde stworzeńko, co się ukazało, tłuściuchne, błyszczące, z pełnemi bokami.—Zdaleka śpiew dolatywał raźny, i jakby zapach szczęścia, szczęścia co nie patrzy wysoko, nie żąda wiele, a jak zielony bluszcz rozściela się potulne po ziemi.

Wieczorami widziałeś panią Tarłową, niestarą jeszcze niewiastę w czepcu białym, w fartuchu, u którego paska ogromny pęk kluczy wisiał, krzątającą się z córkami koło gospodarki. Trzy jej córki, jak trzy krople wody do siebie podobne, śliczne dziewczęta, choć ich piękność nie bardzo uderzyła stolnika, smukłe były jak topole, rumiane jak jabłka, wesołe jak ptaszki. Kochały matkę nadewszystko na świecie, a tak im było dobrze z nią i przy niej, że gdy o nie kto się starał, zwykle mówiły z uśmiechem:—O jeszcze czas! jeszcze czas!

I tak pierwsza Józefa doszła lat dwudziestu pięciu, bo stolnik dobrze wiedział lata, zajrzawszy do metryk dla pewności, dwie drugie dwadzieścia przeszły. Miały dosyć ubogiej szlachty, co się o nie starała, bo je wszyscy znali, jak były pracowite i poczciwe, ale im tak ciężko rozstać się było z matką. Nawet najstarszej podobał się podobno

niejaki pan Zeligowski, który o nią trzy razy się oświadczał, ale ona go tak prosiła, żeby poczekał, iż się usunął i bywał tylko czasem u nich jak przyjaciel domu.

Rozkosz bo to była patrzeć na to życie spokojne wdowy Tarłowej i jej córek, tak ciche, tak jednostajne, tak szczęśliwe! Nigdy tam swaru, nigdy krzyku, nigdy chmurki na czole, a taka pobożność, a z nią takie wesele i pokój duszny!! W niedzielę panny z matką idą do kościoła, pobrawszy się pod ręce, gdyby trzy rówieśnice, z książeczkami pod pachą, ubrane czysto a skromnie; idą a na matkę poglądają, to ją która przytrzyma, to jej książkę weźmie, to osłoni od słońca, to chustką okryje... Stara aż płacze z radości i całuje córki, a one koło niej jak kurczątka szczebioczą, cisną się, chichoczą... A choć to tylko same kobiety mieszkały i młodzieży nie brakło, która do domku zaglądała, takie tam było życie przykładne, zwyczaje święte, że ktoby co na nie powiedział, byliby go sąsiedzi ukamienowali.

Wdowa już po razy kilka wspomniała córkom o zamążpójściu, obawiała się je, broń Boże śmierci, zostawić tak same bez opieki sierotami na świecie; ale żadnej nie zamarzyło się jeszcze inne nad domowe szczęście, żadna nie chciała opuścić matki. Płakała wdowa, lecz zmuszać nie miała siły, a tak była im wdzięczna za przywiązanie. Gdy stolnik nadmienił jej o Siekierzyńskim, zamożnym posiadaczu pięknej wioski, nic na to nie odpowiedziała, prosiła tylko, żeby przyjechał, myślała, że się po-

dobać potrafi której z córek. — Ale Tadeusz mimo wszystkiego co miał za sobą, tak był nieśmiały wobec kobiet, tak chmurny zawsze i smutny a obojętny, że niełatwo mógł której wpaść w oko. Jakoś ku wieczorowi wtoczyła się karjolka stolnika na dziedzińczyk Smarzewa, panny patrzały przez okno na wjeżdżających i dwie pobiegły się przybrać, a najmłodsza tylko, Helenka, została przy matce, która gotowała się na przyjęcie gości.

Wszedł stary stolnik z grzecznym komplementem wysmażonym po staroświecku, przedstawując Siekierzyńskiego; powstała z podziękowaniem staruszka, a zaczerwieniona Helenka, opatrzywszy kawalera, wysunęła się co chyżej opisać go siostrom. Nierychło i one przecie nadeszły zarumienione, kłaniając się, a potem szybko kryjąc za krzesełko matczyne.—Stolnik za przybyciem ich prawić chciał i pannom grzeczności, ale ciągle się mylił, biorąc jednę za drugą, tak były do siebie podobne.—Tadeusz zbliżył się do najstarszej Józefy i chciał rozpocząć rozmowę od obojętnych przedmiotów, ale widocznie szło tępo, odwrócił się ku średniej, i tu nielepiej był przyjęty; a Helenka tak się wywijała, że i mówić do niej nie mógł.

Stolnik, poglądając na to, niecierpliwił się i mówił w duchu:

— Co u kata! nie umie się przysiąść jak należy nawet! Co za młodzież, co za młodzież? ani pić, ani smalić cholewek... Ja jeszcze dziś znalazłbym rychlej dziesięć słów, niżeli on jedno we własnej sprawie! — I okiem a miną pan Kornikowski podpędzał napróżno Siekierzyńskiego.

Nie kleiło się jednak wcale, aż tu i pan Żeligowski, pretendent najstarszej przyjechał, bo mu ktoś szepnął, że tam Siekierzyńskiego powieziono. Był to młody chłopak, ogorzały od gospodarskiej pracy, domator widać, nie wykwintnie wychowany, ale wesół, raźny i śmiały. Stolnik przeczuł przez skórę, co on znaczył tutaj, wejrzawszy na matkę i najstarszą córkę, które się na widok jego zarumieniły bardzo. Z pierwszemi odwiedzinami nie wypadało siedzieć długo, odjechali więc, pozostawiając za sobą pana Żeligowskiego, a ten wieczorem upadł do nóg matce i córce, formalnie prosząc o jej rękę.

Biedna wdowa rozpłakała się, nie wiedząc co na to odpowiedzieć, Józefa milczała. — Rób co ci się podoba, moje dziecko.

— Nie mogę matki opuścić, nie mogę! — z płaczem zawołała córka.

— Moja droga, nie odpychaj losu, nie rozdzielim się przecie...

— Na wszystko się zgadzam — przerwał Żeligowski — byleś mi pani nie odmawiała dłużej, czekałem długo, milczałem, cierpiałem.

— Józiu! rób co chcesz i niech ci Bóg błogosławi — wyjęknęła matka.

— Ja nie mogę porzucić mamy.

— Dziecię drogie! przecież kiedyś rozstać się musimy, a Bóg wie, kiedy i jak; potrzebujesz opiekuna siostrom i sobie, pamiętaj o tem, gorzkoby mi było umierać, zostawiając was bez podpory, bez opieki...

Odłożono do jutra odpowiedź, a Żeligowski odjechał pełen nadziei; wieczór w Smarzewie zeszedł na płaczu, namysłach, uściskach i namowach staruszki. Córka choć kochała i szanowała swojego narzeczonego, tak się lękała wyjść zamąż! Przywykła do ciszy swojej strzechy, do słodkich pieszczot macierzyńskich, do sióstr, których serca biły tak zgodnie z jej sercem; obawiała się nowego życia... tęskno jej było za każdym kątkiem rodzinnego domku, za ganeczkiem, na którym siadywały wieczorami, za pokoikiem wspólnym, za ogródkiem, za ludźmi dobrymi, z którymi pracowały... Ale Żeligowski przysięgał, że większą część roku spędzą przy matce, że ją uczyni szczęśliwą i wolę jej spełniać będzie, matka nalegała i nazajutrz Józia dała słowo ze łzami.

Gdy w dni kilka stolnik przybył znowu z panem Tadeuszem, już było po cichych zaręczynach, i zkolei przypadały na średnią siostrę konkury Siekierzyńskiego. Ale Marja żadnym sposobem iść zamąż nie chciała i pomimo nalegań matki, która jej świetny los przedstawiała w przyszłości, ze łzami błagała, żeby nie zmuszała ją opuszczać domu. — Helenka tak młoda! Józia dom opuszcza, o! nie! nie! ja zamąż iść nie mogę, ja muszę zostać z matką!

Gdy więc stolnik, zostawszy sam na sam z wdową, pragnął od niej pozwolenia starania, odebrał z największem zdziwieniem tylko grzeczną odmowę. Zpoczątku uszom nie wierzył, domyślał się skrytych powodów, nawet kupiectwo Tadeusza na myśl mu przychodziło, wkońcu rozgniewany odjechał,

składając winę na niezgrabstwo i zimne obejście Siekierzyńskiego.

— To zaklęcie jakieś! — rzekł — tam się nie udało, tę nam ktoś wziął z przed nosa, trzecia rekuzuje; niech-że sobie pan Tadeusz sam się stara, sam robi co lepiej, a ja ręce umywam i już więcej się w to nie wdaję.

Tak mrucząc, wrócił stolnik do Czerczyc i pół roku siedział spokojnie, Tadeusz ze swojej strony siedział także jak przykuty, mało między ludźmi goszcząc.

Jakoś już ku jesieni, Jakób, stary sługa pana stolnika, przybył z listem do Siekierzynka, a pismo było w następujących wyrazach:

„Lepiej późno niż nigdy, dobre to *proverbium*, a zatem nie patrząc jak dawno i dlaczego Czerczyce z Siekierzynkiem się nie komunikują, pierwszy krok czynię zapytaniem przyjaźnem: — Co nowego u waści? czy nic ze strony *nuptialis copulae* nie słychać? Radbym, żebyś waszmość pan pilniej o tem myślał. Ja po staremu modląc się i domu pilnując, coś tutaj niby napytałem godnego, co jeśliby projektów powziętych nie mieszało, proszę dla bliższego porozumienia do mnie jutro na barszcz, i łaskawej się pamięci polecam, zawsze *humillimus servus et amicus*

Piotr Kornikowski,
stol. nur. manu propria"

Nie mając nic lepszego do czynienia, pan Tadeusz, chociaż nie widać było w nim pośpiechu,

pojechał do Czerczyc nazajutrz. Pan Kornikowski spotkał go z miną zadowoloną z siebie i tajemniczą, posadził i, odprawiwszy Jakóba, który rad był się przyzostawać, słuchać rozmowy i do niej się mięszać, tak począł:

— No! ja stary, w domu siedzę, a jeszcze ze mnie lepszy widzę od waszmości szperacz! oj! bodaj to naszego wieku ludzie, do wszystkiego! wy młodzi rzekłbym *fruges consumare nati*, gdybym nie wiedział, że po swojemu pracujecie. Ale co to za porównanie do nas, gdyśmy lata wasze mieli!

Tadeusz się uśmiechnął bez ochoty do śmiechu.

— Słuchaj-że, waćpan, co teraz to *certe* i *certissime* mamy pannę i co się zowie.

— Panie stolniku, nie łapmy ryb przed niewodem, czy nie pamiętasz kasztelanki i Tarłówien?

— Wypadki! *eventa extra ordinaria!* ale co teraz...

— Jak mnie, to się to jeszcze raz przytrafić może.

— Nie! nie, do trzech razy sztuka! słuchaj, waćpan: a naprzód *quo ad prosapiam*, będziesz miał ni mniej ni więcej, tylko *Opalińską!*

Rzekłszy to, stolnik zastanowił się i zdawał słuchać dźwięku, jaki usta jego wydały, z rozkoszą.

— Słyszysz waćpan — powtórzył — Opalińską! Ubożsi to są Opalińscy, nie przeczę, lecz *stemma gentilitium* też same, ród ten sam, ilustracje wielkie. Państwo Opalińscy stąd o mil sześć zamieszkali, mają wioskę zadłużoną, to prawda, ale córkę jedynaczkę... Cóż waść na to?

— Kwestja czy wydadzą?

— To już waścinej głowy kłopot, staraj się, jak należy. Ja tam już byłem, dla spenetrowania in encji i z ojcem dobrym, moim niegdy znajomym, mówiłem *aperto corde*, okazując mu, że Siekierzyńcy godni Opalińskich. Trzeba, żebyś wiedział, iż i *non sine ratione*, łaskotliwi są na szlachectwo. Pierwszy to warunek dla zięcia... *nobilis origo*.

— Zdaje się, że mi nic zarzucić nie mogą.

— Byleby ich pieprz nie zaleciał — szepnął pan stolnik, ręce składając; Siekierzyński udawał że niedosłyszy.

— Ale jakiż to dom, ludzie, jakiego nabożeństwa i humoru rodzice, jaka panna? — spytał Tadeusz — jeśli to nie zmęczy pana stolnika, radbym bardzo posłyszał.

— Więc słuchaj: znam ich oddawna. Opaliński sam, statysta i polityk głęboki, trzykroć był deputatem na sejmy i inne sprawował urzędy, dwakroć komisarzem do rozgraniczenia był mianowany i w trybunale zasiadał, to dość powiedzieć, człek publiczny, i na usłudze publicznej fortunki ojcowskiej nadwerężył. Postawa Ulissa, mowa Cicerona, *togatus* nawet, gdy do stołu z rodziną siada, znać w nim człeka publicznego, ciągle zaprzątnionego myślą poważną. Z tego powodu zdawszy gospodarkę na jejmość i wielkie mając rozchody, nadtracił ojczystego. Jejmość Rawiczówna także urodzona pięknie, włada w domu wszystkiem i rozporządza, matrona poważna i godna tak zacnego męża, białogłowa stateczna. Córka młoda jeszcze, skromna

i surowo wychowana, po swojej myśli nic nie zrobi, więc tu do rodziców potrzeba więcej obrócić staranie niż do niej. Zresztą dom zacny *omnimodo* i szanowany, a długi, które majątek obciążają, wstydu im nie robią, boć fortunki dla próżności i dla pokazania się nie strwonili, ale uczciwie na posługach kraju nadwerężyli swego. Jest wszelkie podobieństwo, że JMPan Opaliński dostanie starostwo. Żeby napróżno zawodu nie mieć, woziłem z sobą wasze drzewo genealogiczne, rozpatrzył je z uwagą i rzekł: — Niech-że poznam osobiście pana Siekierzyńskiego. A zatem pojedziemy.

Jak rzekł stolnik, tak się stało, pojechali i po okropnych wertepach drugiego dnia stanęli u karczemki pana deputata, w Zalesiu, gdzie kitle podróżne przemienili na strój wytworniejszy: stolnik swoje odświętne suknie, a Tadeusz nowo sprawione wykwintne przywdział odzienie, które był z Warszawy sprowadził. Pomimo lat trzydziestu kilku, wyglądał jeszcze świeżo, młodo i przystojnym był mężczyzną; wiek podobnym go bardzo uczynił do ojca, głowę tak nawet nosił i ręce jak skarbnikowicz zakładał. Przypasawszy sadzoną starą karabelę do pasa, siadł stolnik z pupilem do kolaski i zajechali przed ganek. Dwór w Zalesiu był staroświecki ale porządny, wznosił się na wysokiem podmurowaniu, wiodła do niego brama murowana z herbami i godłami rodziny. Trochę na boku widać było w lipach kapliczkę drewnianą z maleńką kopułką i krzyżykiem. Ogromny na słupach sparty ganek wiódł do sieni przestronnej, z której do sali

ciemnawej od ogrodu weszli goście, a tu zastali deputata przechadzającego się po niej z listem w ręku. Był to mężczyzna pięknego wzrostu, z głową podgoloną, szlachetnych rysów twarzy, w których nieco dumy patrzało, ostatek włosów siwoszpakowatych, zaczesanych do góry, na wierzchu głowy strzępił się rezolutnie; barczysty, zbudowany mocno, nie zdawał się mieć lat więcej nad pięćdziesiąt kilka. Snać z pracy marszczki wczesne wystąpiły mu na czoło i pokrajały czerstwe a rumiane jeszcze policzki. Ujrzawszy stolnika, postąpił ku niemu, zmierzył oczyma Tadeusza i prezentowanego sobie przyjął z powagą i wyższością grzeczną. Zasiedli, a jak bywało, zaraz się *de publicis* rzecz poczęła, a że to materja nie przegadana, dobrą godzinę zajęła i ani się postrzegli gdy zmierzchło, i sama pani z córką weszły po podaniu świec.

Pani miała też postać surowo-poważną, a córka ze spuszczonemi oczyma jak przepłoszona wyglądała przepiórka. W rysach deputatowej znać było przywykłą do panowania niewiastę, a ze spojrzeń męża w tę stronę niespokojnych i błagających, poznał Tadeusz, że ster domu spoczywał w ręku niewieściem. Panna Izabela jak siadła obok matki i utopiła oczy w posadzkę, tak ich się podnieść nie ośmieliła, tylko ukradkiem i to niepostrzeżenie, wyprostowana zajmując miejsce swoje, jak drewniana laleczka. Tadeusz nie znalazł ją ani piękną, ani brzydką i nic o niej powiedzieć sobie nie umiał. Była to istota nieznacząca, nie uderzająca niczem,

bez wdzięku młodości, bez życia, bez ruchu, coś martwego i zaniemiałego. Czy ją Bóg tak stworzył, czy wychowanie uczyniło, ciężko było poznać nawet zdaje się, że ciekawości nie miała, bo oczy jej ledwie parę razy obojętnie się podniosły i obojętnie odwróciły od przybyłych. Deputat tymczasem rozprawiał o podobieństwie wojny z Turkami i *de probabili* onej *eventu;* o wieściach od rakuskiej granicy, a nawet o sumach neapolitańskich, które był wyliczył dokładnie i memorjał o nich przygotował wielce ciekawy.

Deputatowa zgóry jakby z tronu mówiąc powolnie i cedząc słowa wielce dobrane, rozmawiała z panem Tadeuszem; wyprostowana, sztywna, poważna i nudna nazabój! Nie możemy zaprzeczyć, że i stolnik i Tadeusz, gdy się do snu rozeszli i sami pozostali w narożnym pokoju, odetchnęli jak po ciężkiej pańszczyźnie, po tym wieczorze ceremonjalnym, który nie był już szlacheckim, a jeszcze pańskiego nie doszedł. Stolnik wszakże kazał admirować Siekierzyńskiemu rozum i elokwencję ojca, wspaniałą powagę matki, wdzięk skromny córki. Tadeusz milczał, jakieś wspomnienie przelatywało mu po głowie, tęskne wydobywając z piersi westchnienie. Pokładli się spać, a stary Kornikowski bił Muzułmanów we śnie i jechał z poselstwem do Carogrodu o pokój wiekuisty traktować. Siekierzyński śnił o Lublinie i spojrzenie Ludwisi na schodach kamienicy w Grodzkiej ulicy przeszywało go nawskroś, bijąc sercem odmłodniałem.

Nazajutrz zatrzymani grzecznie pozostali, a dzień

przewlókł się podobny wczorajszemu wieczorowi, wydając się wiekiem. Stolnik im tężej się nudził, tem więcej się unosił, żeby Tadeusz tego nie poznał, powtarzając co chwila: — Opalińska! mości dzieju! Opalińska! — Trzeciego dnia zaproszeni, by odwiedzali Zalesie, wyrwali się przecie, odetchnęli i odjechali. Długo milczeli w drodze, aż stolnik wreszcie niepokojącą go przerwał ciszę słowy: — —A cóż, panie Tadeuszu? nieprawdaż? dom poważny, zacny, godny, jakich mało. Ojciec statysta i polityk, matka istna rzymska matrona, córka pełna pudoru i skromności niewięściej, słowem *hoc erat in votis!* znaleźliśmy czego żądali! — Pan Tadeusz słabo odparł Kornikowskiemu, nie unosząc się zbytniemi pochwałami.

— Ani słowa — rzekł — dom bardzo szanowny, ludzie zacni...

— Deputat trochę zanadto mówi o rozgraniczeniach, w których komisarzował — rzekł stolnik, śmiejąc się — ale cóż to szkodzi?

— Zapewne! — obojętnie odpowiedział Tadeusz.

— Matka trochę za serjo i za poważna, godziłoby się też kiedyś i roześmiać.

— Tak, toby nie zaszkodziło.

— Córka ma minkę trusi, ale tem lepiej.

— Dlaczego, panie stolniku? — zagadł Siekierzyński.

— Pytasz mnie asindzi dlaczego? dlatego, że skromność jest kwiatem młodości, *flos juventutis pudicitia.*

— Szkoda, że tak mało ma życia, mowy i ruchu.

— Wolałbyś fertyczną! no! a ja wolę powolną; kto się bardzo rusza, często za daleko się posunie, bezpieczniej w miejscu zostać. No... ale jak-że się podobali?

— Dosyć.

— Tylko dosyć?

— Czyż *dosyć* nie dosyć? — spytał Tadeusz.

— Wolałbym *bardzo*, ale i na tem przestaję! — rzekł stolnik.

Po tej rozmowie krótkiej, usposobieni do snu, obaj podróżni mrużyć oczy zaczęli, i do Czerczyc drzemiący przybyli. Nie rychło wybrali się w drugą podróż, i Tadeusz nie śpieszył wcale, ale stolnik go przypilnował, i mimo dręczącej go pedogry, sam się z nim wybrał, aby być pewniejszym odwiedzin, które zresztą odbyły się jak pierwsze. Deputat siedział na krześle, perorując *de rebus publicis*, deputatowa mało mówiła cedzonym sposobem, córka nic wcale. Spytana przez pana Tadeusza o coś raz i drugi, odwołała się do matki, a matka po dojrzałym namyśle odpowiedziała za nią bardzo wytrawnie.

Stolnik, pomimo uwielbienia jakie miał dla państwa Opalińskich, drugiego dnia począł ziewać i choć zręcznie się kułakiem zakrywał, Siekierzyński postrzegł ten symptom nudów, których i sam doznawał. Cały dzień upływał jednakowo, na jednostajnej gawędzie, w jednych nawet salki owej miejscach, gdyż tu i deputat, i pani, i córka mieli swoje krzesełka uprzywilejowane i z nich się nie ruszali. Przy trzeciej bytności, stolnik swat oświad-

czył państwu Opalińskim żądanie pana Siekierzyńskiego starania się o rękę i dożywotnią przyjaźń JM. panny Izabeli. Na co odpowiedziała sama deputatowa, zabrawszy głos za siebie i męża, iż wielki im zaszczyt czyni staranie tak godnego kawalera, ale otwierając mu dom swój, decyzję dalszą pragną zachować do lepszego poznania pretendenta. Poczem pani Opalińska poczęła się rozpytywać stolnika o substancję Siekierzyńskiego, stan jego interesów i *curriculum vitae*.

Zapłonił się, choć stary, Kornikowski, gdy do żywota pupila jego przyszło, i musiał manewrować bacznie, by się z pieprzem nie spotkać; deputatowa wyprostowana słuchała, potrząsała głową i niczem nie okazała, co myśli. Gdy ukończył, skłoniła się, popatrzała na ręce swoje, potem na sufit, potem na podłogę i odeszła. — Panu Tadeuszowi otwarty odtąd był dom w Zalesiu, ale do niego zbyt zapalczywie nie uczęszczał i napędzany przez stolnika, niekiedy tylko zajrzał na krótko, przysiadł się do Izabeli, za którą zawsze odpowiadała mu matka, pokarmił rozmową deputata i, ogromnie ziewając, odjeżdżał. Te konkury tak były utrapione, że wreszcie postanowił się formalnie oświadczyć i wolał ożenić, niż dłużej z panną Izabelą przez usta matki konwersować o pogodzie, słocie i nabożeństwie w parafjalnym kościele.

Stolnik ucieszony, że do tego przyszło, pewien pomyślnego skutku swego poselstwa, przygotowany do sukcesów, wyjechał do Zalesia, na palcu mając zawczasu pierścień z soliterem, który chciał

ofiarować od siebie pannie Izabeli. Na twarzy jego malowała się radość i uspokojenie, a wchodząc do znajomej salki zaleskiego dworu, tak był wypogodzonego oblicza i roztargniony, że nie postrzegł, iż chmurniej jego daleko niż zazwyczaj i z pewnem zakłopotaniem przyjęto. Deputat wprawdzie ujął go za rękę serdecznie, ale na długi komplement, pełen aluzji, odpowiedział sucho, krótko i ogólnie; deputatowa zaś, zagryzając wargi, dostojeństwa swego i godności pełna, ledwie raczyła kiwnąć mu głową i odwróciła się do okna. Panna Izabela nie ukazała się i krzesełko jej pozostało próżnem.

Przyzwoity czas dawszy na przygotowanie i spoczynek, na zebranie myśli, pan Kornikowski wystąpił wreszcie z oracją swatowską; zdumiało go, że słuchano jej w głuchem a chłodnem milczeniu, a gdy skończył i pokłonił się, w rzeczach domu tyczących się, panująca i decydująca pani deputatowa, lekko pochyliwszy głowę, odezwała się dyktatorsko:

— Gdyśmy w dom nasz JMPanu Siekierzyńskiemu, prowadzonemu przez waćpana dobrodzieja, uczęszczać dozwolili w celu starania się o względy nasze i córki, nie było to wszakże żadnem z naszej strony zapewnieniem sukcesu tych starań.

— Tak! sukcesu tych starań! — powtórzył wedle zwyczaju deputat, który w domowych sprawach żonie potakiwał.

— Aniśmy myśleli czynić dla widoków naszych najmniejszej wiolencji afektom i skłonności córki naszej.

— Skłonności córki naszej! — kiwając głową rzekł deputat.

— Przeto też — kończyła jejmość — nie możesz nam WPan dobrodziej mieć najmniej za złe, jeśli dziś przekonani, iż serce i uczucie Izabelki naszej zwróciło się ku innej osobie...

— Tak, ku innej osobie — mówił deputat.

— Widzimy się z żalem w konieczności podziękowania W. Siekierzyńskiemu za okazany nam szacunek, a razem proszenia go, aby nam przebaczył, iż propozycji jego przyjąć nie możemy.

— Przyjąć nie możemy! — echem dodał deputat.

Stolnik osłupiał zupełnie i stanął jak wryty, nie rozumiejąc nic, nie mogąc wierzyć uszom swoim.

— A zatem — mówiła sama pani — daruj nam, stolniku.

— Daruj nam, stolniku — przemówił deputat.

— Ha! — rzekł pan Kornikowski — wola Boża, ale niech-że wiem, kto tak szczęśliwy, iż się umiał państwu zasłużyć przed nami.

Deputatowa zmieszała się, potrzęsła głową i dawała znaki mężowi, aby imienia nie wyjawiał, ale po czasie, bo pan Opaliński już je wypuścił z ust niezręcznie, za co mu pogrożono na nosie.

— Pan Piątecki.

— Co! Piątecki! syn wychrzty! — wyrwało się stolnikowi.

Deputatowa zaczerwieniła się nadzwyczajnie, deputat cały zmieszany schwycił za rękę Kornikowskiego. — To fałsz, mości dzieju! to niegodna kalumnja!

— Jakto kalumnja! kiedym nieboszczyka tatka do chrztu trzymał — rzekł stolnik odważnie. — No! daj Boże szczęście państwu, a ja tu już niepotrzebny, do stópek się ścielę.

Oboje państwo bez ruchu pozostali w swoich miejscach, gotując się do walki domowej, gdy pan stolnik trochę zemstą swą pocieszony, ale zawsze w gruncie gniewny, siadł do kolaski i spiesznie odjechał. Przybywszy do Czerczyc, nie posłał zaraz do Tadeusza, a ten się też nie dowiadywał do niego, snać mu do tego szczęścia niebardzo było pilno, i spotkali się dopiero w kilka dni potem w kościele. Miarkował Siekierzyński z tego, że się stolnik nie spieszył, iż niebardzo pomyślną otrzymał odpowiedź; pan Kornikowski zaś, bojąc się zmartwić pupila, a wstydząc się za zawody, których był okazją, zwlekał z przyznaniem się do rekuzy nowej. Ale kryć jej dłużej nie było można, zeszli się u księdza proboszcza na bigosie i zrazach po sumie.

— A co, panie stolniku?

— Względem czego?

— Jak tam poszło w Zalesiu?

— A w Zalesiu! zachciałeś! doszedłem, że to są Opalińscy nie z tych prawdziwych, ale innego herbu i nie tak przedziwna szlachta, możemy im dać pokój.

— Serjo! ale czyż się to godzi?

— Ja to ułatwię.

— Stolniku! przyznaj się do harbuza.

— Ale nie! nie! któż to waści powiedział?

— Nietrudno zgadnąć.

— To nie tak było! podstawiłem tam sam Piąteckiego, żeby nas wyręczył... to neofita, jemu i taka szlachta dobra.

Tadeusz roześmiał się.

— Czego się asindziej śmiejesz? To cię nie martwi?

— O! ani trochę!

— Proszę! a ja się bałem, żebyś się nie rozchorował.

— O! co o to, możesz być pan spokojny.

— Ale cię to przecie od tentowania szczęścia *in matrimonio* nie odstręcza?

— I nie zachęca! — rzekł Tadeusz.

— Co do mnie — przerwał stolnik — widać, że nie mam szczęścia do swatowstwa, trzeba temu dać pokój, rób sobie, waćpan, co chcesz. Jedną tylko mam prośbę, pamiętaj na ród swój i obowiązki jakie na ciebie wkłada. Żeń się zresztą z kimkolwiek, byle ze szlachcianką doprze urodzoną, nie myślmy o Tarłach i Opalińskich, o kasztelankach i tym podobnych specjałach; ojciec waścin miał zacną i godną kobietę, chociaż Pilecką. Aleć prawdę i Pileccy niczego! z Jagiellonami się zetknęli! zapominam!

Tadeusz umilkł i nic nie odpowiedział, stolnik rychło umknął do Czerczyc. Gryzły go niepowodzenia srodze, rad był widzieć żonatym pupila co najrychlej, a dokoła nikogo nie mógł znaleźć stosownego; bał się zaś jak ognia, aby Tadeusz, idąc za jaką serdeczną skłonnością, nie zniżył się do związków z rodziną świeżego lub wątpliwego szlachectwa.

) Tadeusz zdawał się ani myśleć o ożenieniu, choć pusto było we dworze na Siekierzynku, choć tęskne tam wiódł życie. Dorota, która władała domem, podstarości, co za niego gospodarzył, bo Siekierzyński koło roli się nie znał i nie umiał wcale zarządzić robotą w polu, dwóch sług i woźnica, cały dwór składali. Brakło nawet rezydenta, o którego gdzie indziej tak łatwo, a choć się stręczył Bajdurkiewicz, zbyt nim gardził Tadeusz, żeby się ten na tem nie poznał.

Dobre to było stworzenie ów rezydent dawniejszych czasów, najpracowitszy z próżniaków, najpotrzebniejszy z przyjaciół i dla kawałka pieczeni na dobrowolną zaprzedany niewolę. Niech sobie kto chce na rezydentów wyrzeka, był to ród dziś wygasły ludzi bardzo poczciwych i potrzebnych. Czego rezydent nie robił? czego nie słuchał, nie cierpiał, a zawsze z twarzą pogodną, z obliczem wesołem, z gadką na ustach, z ukłonem. — Za pryncypała swego gotów był skoczyć w wodę, byle nie głęboką, w ogień, byle przygasły, pokłócić się gorąco, potuzać nawet ze słabszym. Chciałeś go do towarzystwa, toś go miał każdej chwili, dniem i nocą; nie żądałeś go, odchodził bez gniewu, gotów wrócić na zawołanie. Psy układać, zegarki naprawiać, dzieci wodzić na przechadzkę, grać na pozytywku kanarkom, na drumli do improwizowanego tańca, skakać kozaka z panną garderobową dla zabawy gości, opowiadać wesołe dykteryjki, kontentować się okrojną kością pieczeni i gąszczem krupniku, kto lepiej umiał nad niego; kto pokorniej stawał w kątku,

siadał ciszej na złamanem krzesełku, cierpliwiej dął mieszkiem w kominek i drzwi zamykał za każdym wchodzącym, nad poczciwego rezydenta! Było to zaparcie się siebie i poświęcenie uosobione! Nigdy *ja* z ust się biedaka nie odezwało, jego *ja* to był pryncypał, gospodarz, protektor; starał się sam być jak najszczuplejszym, jak najmniej zawadnym, zawsze szedł naostatku, zawsze nawet sługom ulegał. Szkoda nam dawnych czasów rezydenta! Ileż to dworów posyłało go po nowiny, robiło przez niego interesa, których wzięciem na barki był dumny; ile panien wydał zamąż, ilu ożenił kawalerów, ile pieniędzy natropił; ile się napocił za sprawą pańską, a za to wszystko miał jakiś kątek w oficynie, łojową świeczkę wieczorem, ostatnie miejsce u stołu, często szyderstwa, rzadko podziękę i wiele od sług do znoszenia!!

Tadeusz tak był biedny, że i podobnego rezydenta nawet nie miał; pan Józafat Węgiel, który parę razy go odwiedził i po parze dni bawił, nie wiem czemu nie upodobawszy sobie w Siekierzynku, na dłuższy pobyt zostać się nie chciał. Goście też jak w początku często przybywali, tak później, gdy pan Tadeusz rzadko obwiedzał sąsiadów, w ceremonjach z nim będąc, omijali go i krzywili nosy. Słowem, pusto było i tęskno, i smutno w domu pana Tadeusza; ale jemu z myślami zdawało się w tem osamotnieniu miło i dobrze; nie pragnął więcej, nie szukał nic innego, jak ojciec chodził milczący i dumał.

Kilka tylko razy zrywał się do Lublina jechać, ale stolnik go zawsze wstrzymywał—po kiego djab-

ła! poco? daj, waść, pokój! radbym zapomnieć, żeś tam był kiedyś! unikaj, waść, tego przeklętego miejsca.

Posłuszny Siekierzyński, choć go to kosztowało, słuchał starego przyjaciela i starzał na wsi w okamgnieniu. W kilka lat począł szron wczesny pobielać mu skronie i stolnik, który żeby nie pedogra, zdrów był i czerstwy, ujrzawszy to, niepomału się zafrasował.

— Żeń-bo się, waść! — mówił — żeń się sobie z kim chcesz! byle ze szlachcianką, bo coś mi zaczynasz szpakowacieć przed czasem, z niczego jak z nudów... A zresztą czas bo waszeci, żeby na nim dom nie wygasł, masz obowiązki, niech-że na pogrzebie twoim tarczy nie gruchoczą z waścinej winy.

— Sam wiesz, panie stolniku, żem się starał.

— Ale to trzeba jakoś żywiej się brać... co u licha!

— Nie widzę nikogo.

— Już waści powiadam, byle szlachcianka, byle dobra szlachcianka, więcej nie żądam...

Tadeusz spuścił głowę, westchnął, nic nie odpowiedział.

Coś w kilka miesięcy potem, stary Jakób na terlicy odwiecznej, przycwałował do Siekierzynka z listem, który stolnik drżącą nakreślił ręką, w kilku tylko słowach.

„*Periculum in mora*, proszę jutro zjechać do Czerska, gdzie i ja się zwlekę, sprawa pilna i dobra, a pójdzie jak po maśle. *Ad videndum et componendum, amicus.* P. K. mp."

Tadeusz, nie mogąc wybadać z człowieka, poco go wzywano do miasteczka, pospieszył i u Icka Szklarza znalazł stolnika, który przez okno wyglądając, już na niego oczekiwał.

— Otóż co teraz to nie ujdzie na sucho i jak mi Bóg miły, już się waść ożenisz!

— A to potoś mnie wezwał, panie stolniku?

— A pocóżby u licha, zjechał tu do sprawy spadkowej dawny mój towarzysz skolny i najlepszy przyjaciel, którego, prawda, lat dwadzieścia nie widziałem, aleśmy zawsze *amicissimi*. Pan Sebastjan Marżycki, godny człek i szlachcic karmazyn, prawda, że Marżyccy nie byli na krzesłach, nie posiadali starostw, ale od lat czterechset filjacia nie przerwana, zacnych ludzi i koligacji uczciwych. Pan Sebastjan Marżycki ma syna i córkę, lat dwadzieścia i dwa; słuszna, zdrowa, przystojna, podobać ci się musi, a słowo mi dał, że ją wyda za waści... Już teraz chybabyś sam nie zechciał. Weźmij, waćpan, na siebie kontusz porządniejszy, każ zawołać cyrulika, żeby cię ogolił i ruszajmy. Tylko przestrzegam, że spoi, nim od progu do ławy dójdziesz.

— Ale ja pić nie mogę!

— Musisz pić, kochanku, mnie jak męczy pedogra, a dla twojej przyjaźni piję i pić będę.

— Ślicznie się zaprezentuję!

— To nic, taki obyczaj domu, na to nie ma remisji... musisz pić i upić się. Pan Marżycki mówi, że szlachcic dla kompanji powinien pić, choćby duszą rzygnął.

Tadeusz się skrzywił i głową pokiwał.

— Ale zato córeczkę mamy jak w worku.

— Radbym ją zobaczył... czyż ona tu jest?

— A! i syn i ona i z całym domem, bo tu z rok posiedzą pewnie.

— Więc każesz, stolniku?

— Ubieraj się i ruszajmy! niema rady, póki żyję, ożenić cię muszę...

Stolnikowi tak było pilno do Marżyckiego, że się nie dał staranniej ubrać Tadeuszowi, i pociągnął go z sobą do zajezdnego żydowskiego domu, w którym rozposażył się stary jego szkolny przyjaciel. Zdaleka hałas zwiastował kwaterę pana Sebastjana, już ożywioną gośćmi, których z całego pościągano miasta na śniadańko przyjacielskie. Byli tam prawnicy, prawników znajomi, znajomych krewni, krewnych sąsiedzi i t. p., bo panu Marżyckiemu chodziło o tłum i o hałas, i to dopiero nazywał zabawą. Nic to nie szkodziło, że ciasno było dla przybyłych, że się mieścili jak kartofle w garnku, dusili i popychali, że przyjęcie było niewykwintne wcale, bo od bigosu, kaszy, zrazów i flaków, od starej wódki, miodu i piwa; wesołość i braterstwo stanowiły wszystko. Jakoż wesoło było i bratersko bardzo: ściskali się znajomi i nieznajomi, prawili sobie komplementa ci co się raz pierwszy w oczy widzieli, jednali zwaśnieni, zaprzysięgali dozgonny afekt nie wiedzący swojego nazwiska; pan Marżycki chodził, zbliżał, wnosił toasty i śmiał się wesoło czy było z czego czy nie było.

Rumiane, błyszczące lice pana Sebastjana, który głową wszystkich przenosił, jak księżyc wchodzący, świeciło nad zgromadzeniem, osadzone na ogromnych szerokich plecach i pokryte czarną gęstą, chociaż ku skroniom przerzedziałą czupryną. Białe zęby, nieustannie na wierzchu, dobrze odbijały od rumianych ust i ciemnego wąsa jego. Miał na sobie granatową kapotę i biały pikowy żupan pod spodem, w ręku kielich, a w drugiej butelkę, z którą spotkał wchodzących, i zaraz pił zdrowie stolnika i Siekierzyńskiego, co taką aplauzów wywołało wrzawę, że z drugiej izby ukazała się postać niewieścia, domyślająca się widać, że ktoś nowy przybył do grona gości. Ciekawem okiem zmierzył ją Tadeusz, bo na niego mrugnął stolnik: była to dorodna, piękna czarnobrewa, nie pierwszej młodości, ale świeża i żywa i widać śmiała a rezolutna. Ubior jej skromny bardzo, niedawno przybyłą ze wsi okazywał, trzymała w ręku kluczyki, a oczyma mówić się zdawała: — Jeszcze jeden truteń! czyż ich było mało!—Ruszyła nawet ramionami; poczem znikła.

Pijatyka wściekle wrzała w całej izdebce, a nowoprzybyli trzeźwi jeszcze, dziwnie się wydawali wśród zarumienionych, ożywionych i już niezmiernie czułych gości co wcześniej poczęli śniadańko. Pan Sebastjan był wszędzie: wszystkich zaklinał, by pili, prosił na klęczkach, całował ledwie nie po rękach, dusił w szerokich objęciach, wykrzykiwał i, nie mogąc na kim wymóc spełnienia kielicha, używał w ostatku wykrzyku zwykłego: — Pod kpem!

mości dzieju, kto nie wypije!—Nie dali się też bardzo prosić Mazurowie i wychylali kielichy raźnie, tak że już kilku do ścian się przyparli, inni na ławach szukali podpory, inni pod ręce się brali, spodziewając się więcej sił w towarzyszu, a znajdując tylko tęż co u siebie nóg niepiewność i głowy zawroty.

Śniadanie znikło w mgnieniu oka, a toasty trwały niewyczerpanej rozmaitości, pod tysiącem pretekstów wznawiane. Stolnik, obawiając się ataku pedogry i pana Sebastjana zarówno, przyjmował pełne od niego, ale je zaraz bardzo zręcznie wylewał na doniczkę z Karolinką, która stała w oknie; Tadeusz z pijanymi odmieniał kielichy, coraz to próżnego dostając, a mało kosztując w istocie. Wszyscy, prócz naszych dwóch panów, byli pod hełmem, a gospodarz, który każde zdrowie sam pierwszy wnosił, zaczerwieniony był tylko i ochoczy, ale nie piany wcale; o jego głowę nie takie opierały się już uczty!!! Z szczególną był grzecznością i uprzejmością dla pana Tadeusza, którego wreszcie wziąwszy sam pod rękę, wprowadził do drugiego pokoiku, gdzie siedziała panna Klara, zajęta jakąś robótką, z miną rezolutną ale posępną: w progu jeszcze zmierzyła oczyma pana Siekierzyńskiego od stóp do głowy, i gdy ojcec go jej zaprezentowawszy, samych pozostawił, wskazała mu stołek przeciw siebie, czekając, by rozmowę począł.

Ciężko to przyszło panu Tadeuszowi, ale gdy raz usta otworzył, Klara uchwyciła nić i sama ży-

wo rozmawiać poczęła, śmiało rześko i dowcipnie wyśmiewając pijaków i usiłując przekonać się widać, czy pan Tadeusz nie pozwolił sobie także nad miarę. Szczęściem nie miał sobie do wyrzucenia ekscesu i przytomny był zupełnie, co zdawało się bardzo zadowolnić pannę Klarę. Gdy ta rozmowa się ciągnie coraz bardziej ożywiona, w szparze drzwi zagląda oko stolnika, usiłujące czytać, czy się sobie młodzi podobali; a wrzawa pijana, zmieniając coraz wybuchy swe, z głośnej staje się głuchą, niewyrozumiałą, niekiedy tylko przerywaną krzykiem donośnym; nareszcie rozchodzą się niektórzy, milkną drudzy, a kilku niedobitków i niedopitków już siedząc, trącają szklankami, dopełniając miary potrzebnej do utraty sił i przytomności. Pan Marżycki jeszcze tu przewodniczy, jeszcze zachęca, jeszcze dolewa i woła:

— Jak mnie kochasz! lub: pod kpem, mości dzieju!

Po długiej dość rozmowie Siekierzyński wymknął się z alkierza, a stolnik, czyhający nań, złapał go w sieniach.

— A co panna? *ut sic?* — spytał.

— Panna! ledwieśmy się poznali, panie stolniku!

— Ale niczego? nieprawdaż?

— I miła i rozsądna... tylko ojciec.

— Co! ojciec! śmiałbyś co powiedzieć na ojca! nojego starego przyjaciela? to złote serce! dusza anielska!... szlachcic całą gębą.

— Lecz pocóż tak pije i pić każe!

— Albo to co złego? hę! mospanie! — zawoła! rochę podochocony stolnik, podrzucając czapkę —

u waściów to młodych wszystko złe czemu nie podołacie! Przy szklance wychodzi prawda na wierzch... *in vino veritas*, a *in cerevisia* także, *in aquavita* podobnie, że o innych trunkach nie wspomnę; przy szklance się objawia braterstwo, łączą się ludzie z sobą i jednoczą... pijatyka podnosi umysły (*sub intellegitur* mierna), rozpala uczucie, *exaltat hominem*.

— Co? stolniku, chwaliłbyś pijatykę?

— Czemu nie! czemu nie! kto nie pije, snać coś kryje! a kto kryje, robak mu sumienie ryje... Ot! co się okazuje, a zatem pić potrzeba, by się okazać czem jest, a gdy bracia proszą, cygan da się powiesić... Nie bądź waść pijakiem.

— A więc pomówimy jutro, a ja dziś stolnika na kwaterę odprowadzę.

Po drodze pan Kornikowski usiłował na pochwałę pana Marżyckiego różnych dobywać argumentów, ale nie wszystkie mu się udawały; powróciwszy do domu, uczuł potrzebę spoczynku i nie obudził się aż nazajutrz rano, gdy pan Sebastjan już do drzwi jego stukał. Jakkolwiek było wcześnie, podano zaraz wina i zaproszono Tadeusza, którego chciał uściskać Marżycki, za wczorajsze odwiedziny dziękując.

Można łatwo zgadnąć, że nierychło wstali od stołu, a stolnik z bolącą nogą nazad w łóżko odległ po traktamencie, gdy gościa dwóch ludzi odnieśli na kwaterę. Tadeusz, ruszając ramionami, patrzał na to ze wstrętem, ale cóż miał robić? Pan Kornikowski odjechać mu nie dawał: pchał go koniecznie do panny Klary, asekurując, że byleby się

decydował, na siebie bierze ukończenie interesu matrymonjalnego.

Dwa tygodnie upłynęły w takiem życiu nieznośnem, dwa tygodnie wrzawliwe, w ciągu których codzień prawie po kilka godzin spędzał Tadeusz z panną Klarą. Klara za wcześnie pani siebie i swej woli, — gdyż ojciec i brat zajęci byli nieustannie zawiązywaniem przyjacielskich u kielicha stosunków — była raczej niewiastą już dojrzałą niż dziewicą. Nawykła sama kierować sobą, nie miała bojaźliwości panieńskiej, ani przesadnej delikatności piętnastoletniej z klasztoru wychodzącej dzieweczki; mowa jej, ruch, uśmiech, krok każdy okazywał w niej charakter wyrobiony, nieugięty i stały. Gospodyni zawołana, pracowita, zabiegła, gdy ojciec interesa robił na piwie i winie, brat biegał za sprawą, ona myślała z czego dać im pić, jeść i skąd wziąć pieniędzy. U niej były kasa, rachunki, przy niej zarząd cały, korespondencja z ekonomem i troska o jutro na jej głowie. Nie miała ona wdzięku kobiety, ani ją zaprzątała piękność lub chęć podobania się; myślała o życiu, biorąc je ze strony zimnej, smutnej, ubogiej, kłopotliwej. Nie było też w niej nic czemby się podobać mogła, prócz rozsądku chłodnego, prócz rzutu oka na świat wytrawnego i zdrowego. Mowa jej była raczej męska niż kobieca, przyjęcie śmiałe, lubiła szydzić, a żartowała rubasznie i wcale nie oglądając się, co na to ludzie powiedzą. Zrazu zdziwił się jej Tadeusz, potem podobała się otwartość jej niezwykła, w ostatku zajęła go i pociągnęła niepojętym sposobem.

Chodził do niej codzień, przesiadywał długo, spoufalił się łatwo i wkońcu bez żadnej ogródki i długich przygotowań rzekł jednego wieczora:

— Pani się musisz domyślać poco mnie tu pan stolnik sprowadził: jakie są starszych projeky! co też pani na to?

— No! a pan? — spytała — toć mnie się pierwszej objawić ze zdaniem nie uchodzi!

— Co do mnie, byłbym szczęśliwy, gdyby projekty przyszły do skutku. Byłbym szczęśliwy! — wymówił pocichu i jakby te wyrazy niestosowne sparzyły mu usta, westchnął ku Lublinowi z żalem stłumionym.

— Przyznam się panu, żeś mi się dosyć podobał —odpowiedziała Klara—nie lubisz pan ucztować to pierwsza zasługa, bo mnie te biesiady kością już w gardle siedzą. Jesteś młody jeszcze, przystojny, rozsądny, majętny mówią, czegoż mogę więcej żądać.

— Bardzo dziękuję, więc mogę...

— O poczekaj, poczekaj, pan! — zawołała Klara. — Ale pan mnie nie znasz i nie wiesz, co bierzesz na kark! Naprzód wcaleśmy nie bogaci, a nawet myślę, że wkrótce ojciec przy zięciu osiąść będzie zmuszony, a co zatem idzie i pijatyki nasze przejdą do pana. Po mnie nic nie weźmiesz krom małego porządeczku po matce, ale to niewielka rzecz, kochany panie. W dodatku i ja nie taką może jestem, jaką się wydaję, przywykłam być panią w domu.

— I będziesz nią u mnie.

— Pracuję, ale po mojej głowie i nikogo nie słucham, jestem dosyć uparta...

— Panna Klara się obmawia.

— Nie, panie Siekierzyński, szczera prawda, tak jest! Naostatek, choć mnie to wyznanie kosztuje, powiem panu, że mam lat trzydzieści.

— Ja jestem starszy.

— Tak, ale na kobietę i to dosyć. Zechcesz-że mnie pan z temi wszystkiemi wadami i felerami?

Tadeusz się roześmiał, kłaniając, ale z frasobliwem wewnątrz uczuciem.

— I z ojcem i z bratem? — dodała Klara.

— Choćby z nimi!

— Trzeba to sobie zgóry powiedzieć, bo wkrótce spadną na pana, zdaje mi się, że wielkie nadzieje z tego procesu na niczem spełzną. Otóż widzisz pan, że nie tak to pożądany związek, jakbyś myślał. A teraz powiedz-że mi szczerze i otwarcie, co masz i jakie są bogactwa, o których nam stolnik tak szeroko mówi?

Siekierzyński, wypłacając się wzajemnością, wyspowiadał się szczerze ze wsystkiego, opuścił tylko z życia epokę lubelską, o której w kilku słowach napomknął.

— Ha! kiedy sam sobie tego życzysz—odezwała się Klara, podając mu rękę — mów pan z moim ojcem, ja się chętnie zgadzam, bo w istocie to dla mnie nadspodziane i tak szczęście!

Wieczorem dowiedział się Stolnik z niewysłowioną radością, że się młodzi porozumieli i, natarłszy czuprynę i wąsów, poszedł do Marżyckiego, którego zastał z Pancerzyńskim na konferencji w cztery oczy nad butlem węgrzyna.

Nie wytrzymał, tak go nowina w język paliła i przerwał czytanie kompromisarskiego dekretu, odprowadzając na bok pana Sebastjana.

— No — jestem tu formalnym swatem i przychodzę do ciebie.

— Niech-że cię uściskam i napijmy się, napijmy się! panie Pancerzyński, zdrowie stolnika!

— Ale posłuchaj-że Sebastjanie! posłuchaj, coś powiem! Oto przychodzę prosić o rękę twej córki dla JMPana Siekierzyńskiego.

— A ja, jeśli ona sama się zgodzi na to, *benedico* i zapijemy tę sprawę! w ręce twoje i w gardło moje... zaśmiał się Marżycki radośnie.

— Mamy więc przyrzeczenie?

— I błogosławieństwo! i błogosławieństwo!... — dodał Marżycki — a pijmyż kwartowym! gdzież jest mój kochany zięć przyszły? serce moje za nim tęskni, niech go zobaczę, uścisnę i choć raz upoję w tak uroczystej *imprezie!*

Posłano po Tadeusza, zawołano panny Klary, a ojciec spytał jej o postanowienie bez ogródki.

— No! Klarciu kochana—oto pan stolnik nurski, mój przyjaciel serdeczny, czyni nam honor, prosząc o rękę twoją dla godnego Tadeusza Siekierzyńskiego, nie chcę cię tyranizować, mów bez ceregielów, czy na to przystajesz lub nie, oddaję to rozsądkowi twemu i inklinacji do rozstrzygnienia.

Panna Klara nie zmieszała się wcale i odpowiedziała ojcu zimno, wyraźnie, jasno, że przyjmuje pana Tadeusza.—Stolnik, uradowany, pocałował ją w rękę i, biorąc kielich, krzyknął w zapale:

— Zdrowie Siekierzyńskich i ich potomków! zdrowie rodu zacnego Marżyckich i Siekierzyńskich, niech Bóg błogosławi—pij do krocset, panie Pancerzyński!

Zagrożony kulawy adwokat chwycił za szklankę i podniósł ją do ust. Trzeba było widzieć stolnika! twarz jego jaśniała, oczy śmiały się, usta drżały i kontusz w ruchach cały zdawał podzielać radość swojego pana. W samą porę nadszedł i Tadeusz paść do nóg pannie i ojcu, a ledwie się podniósł, już mu kielich w ręce tkano, już go Marżycki obsekwował i zaklinał, by pił a pił do dna. Każdy, kto wszedł, musiał państwa młodych przyszłych sukcesów i szczęścia *ominalny*, jak mówił Kornikowski, wychylić *vivat!*

Gdy się to dzieje w Czersku, a wieść stugębna rozchodzi się po okolicy o zaręczynach pana Siekierzyńskiego z Marżycką, Wichułowie, którzy w nowo nabytej części wioseczki za Czerskiem mieszkali, dowiadują się także o tem. Pan Ksawery pogardliwie splunął, gdy mu o tem doniósł arendarz dawny, co się przeniósł z Siekierzynka do nowej jego karczemki, i milczkiem zbył żyda. Tymczasem wypadło mu jechać do Lublina dla jakiegoś interesu i kilka tygodni go nie było. Marżyccy odjechali do domu dla przygotowań do wesela, które, jak być miało huczne, łatwo zmiarkować. Siekierzyński dom odnowił i restaurował. Stolnik, zamówiwszy sobie, że po drodze państwo młodzi do niego wstąpią w Czerczycach, z tarcic stawił dużą salę przy domu na ich przyjęcie; a Jakób jego

kręcił się, wietrząc kilimki, dywany i makaty stare po kufrach zatęchłe, któremi ściany i ławy obijać miano. U Marżyckich przybory do wesela były niemałe także, bo całe sąsiedztwo sproszone zostało na miesiąc wprzódy; trzy antały wina sprowadzono, miód domowy rozwodzono świeżo syconym, tworząc różne jego gatunki, piwo butelkowano, wódki nalewano na owoce i słodzono, a nawet gdańskiej puzderek dwa sprowadzono z Warszawy dla dostojniejszych gości. Nie mówi się tu o cielętach, baranach, żwierzynie i kłapouchych stworzeniach, które paść miały ofiarą wesela, ani o tysiącznych innych addytamentach, kondymentach i zdaleka sprowadzonym kucharzu.

Dość, że wszystko w porze było gotowe, na miejscu i dobrane, a Klara, poglądając na cuda, których dokazała, uśmiechała się z wyrazem radosnego triumfu. Pan Sebastjan przechadzał się od lochu do lochu, kosztował win i miodów, próbował ich z przybyłymi i zawczasu snuł sobie o kolei puharów projekty, mając zakończyć garncowym, zwanym Sapiehą, który od lat kilku stał niemyty w kominie, a teraz błyszczał rysunkiem Bachusa, subtelnie na szkle wyrzniętym.

Lecz któż opisze, co się działo ze stolnikiem, powtarzającym sobie od rana do wieczora: — Nie zejdzie ród Siekierzyńskich! Nie skończy się na nim! ożenię go! ożenię!! jeszcze tydzień, jeszcze tydzień, a poprowadzę go do ołtarza i — chyba Bóg nie łaskaw — dożyję potomka! Czuję się w siłach poczekać jeszcze na niego! Nie zejdzie ród

Siekierzyńskich! a mnie to będą winni! gdyby nie ja, nigdyby się nie ożenił.

I stolnik najpierwszy pospieszył dniami kilku przed weselem do Marżyckiego, wioząc z sobą i obrusy i sreberko i sprzętów trochę, któremi sądził, że się na taką frekwencję gości przysłuży. Tadeusz przybył w wigilję dnia ślubu piątką tarantów dobranych prześlicznie i powozem nowym, z Warszawy sprowadzonym umyślnie; za nim jechała bryka piątką kasztanów i mniejszą czwórką siwych mierzynów zaprzężona. Woźnice palili z bata zamaszyście, a pan Sebastjan w ganku czekał z kielichem zięcia ukochanego.

Czemuż tak smutnie, tak ponuro siedzi w bryczce pan Tadeusz, czemu twarz mu się nie wyjaśniła, czoło nie rozchmurzyło, owszem na widok dworku mgłą zaszły oczy, coś ucisnęło serce i jakby wspomnienie jakieś wzruszyło go do głębi, chwycił się za pierś, podniósł oczy, westchnął i rzucił się w brykę, jakby krył od oczów.

Ale nie czas wspominać, smucić się, żałować, potrzeba się weselić, krzyk w ganku — Vivat! i pan Sebastjan chwyta zięcia w uścisk silny, a nad głową jego unosi *vitrum gloriosum*, pełne złocistego płynu. Stolnik płacze z radości, a Klara w oknie ramionami ruszyła. Tadeusz wysiadł poważny i uszedł od głośnych przywitań do narzeczonej.

Wieczorem już rozpoczęła się hulatyka, bo część gości z dalszych stron zjeżdżać się poczęła; do późnej więc nocy brzęczały kielichy i pan Marżycki chodził od jednego do drugiego, ściskając,

tak że się kilka razy i przyszłemu zięciowi dostało. Stolnik, niepomny pedogry w dniu poprzedzającym tak wielki dla niego wypadek, pił z innymi nazabój i dzień świtał, gdy się reszta, dotrzymująca placu gospodarzowi, po kwaterach rozwlekła.

Przy rannem śniadaniu jakoś wstrzemięźliwiej znajdowali się wszyscy, odkładając do wieczora formalną hulankę. Gości było mnóstwo i niebardzo dobrane towarzystwo, bo począwszy od możnych sąsiadów, aż do drobnej braci szlachty, kto żyw na zaproszenie pana Marżyckiego się stawił. Nawet starosta, największy dygnitarz w sąsiedztwie, raczył zaszczycić wesele bytnością swoją i rozpierał się w najszerszem krześle, najgłośniej ze wszystkich dowodząc...

Zmierzchało, gdy panna Klara w białej atłasowej sukni z bukietem rozmarynowym, w wieńcu takimże, pod którym dukat, kawałek cukru i medalik święcony włożono, weszła prosić ojca i starszych o błogosławieństwo. Pan Tadeusz w białym także żupanie, w jasnozielonym aksamitnym kontuszu, przy szabli suto sadzonej, z czapeczką pod pachą, wszedł wiedziony przez druchny, schylić się do kolan panu Sebastjanowi, oczekującemu tego obrzędu z rękoma założonemi na piersiach i pocieszne upoważnioną miną, przybraną z musu do okoliczności. Ołtarz był przygotowany w sali, ksiądz przyodziany w szaty, świece gorzały jasnym płomieniem i uroczyste milczenie, jak przed każdym wielkim wypadkiem, poprzedzało wybuch żalu i radości, łez i powinszowań, gdy drzwi z traskiem się

rozwarły i dorosły mężczyzna, czarno zarosły, barczysty, licho odziany, wpadł hałaśliwie do komnaty i zwrócił na siebie uwagę wszystkich. W początku myśląc, że to gość nowy, posunął się ku niemu gospodarz, ale nikt go nie znał. Stolnik tylko i Tadeusz pobledli.

Był to Ksawery Wichuła z zakrwawionem okiem, rozdętą nozdrzą, rozwianym włosem, nagle ukazujący się w spokojnem towarzystwie z twarzą widocznie gniewem zapaloną i wargą od złości i niecierpliwości drżącą. Na widok jego tak każdy przeczuł jakąś katastrofę, że wszyscy oniemieli, przerażeni cofnęli się od niego i oczekiwali tylko piorunu, który groził niechybny.

— Panie Marżycki — zawołał donośnym głosem Ksawery Wichuła, podnosząc głos — nie znasz mnie pan?

— Nie mam honoru... prawdziwie, ale bardzo mi miło...

— Są tu tacy, co mnie znają — powiódł szyderskim okiem po gościach — jestem Ksawery Zabawa Wichuła, obywatel Czerski do usług i przyszedłem w sam czas spytać pana, czy masz intencję wydać córkę za mieszczanina?...

— Co to jest? — wybąknął gospodarz.

— Ten, którego Wpan masz nazwać swym zięciem — kończył Wichuła, zowie się po szlachecku, jest synem szlachcica, ale lat dziesięć, tak, lat dziesięć kupczył i przedawał w Lublinie, grosza się dorobił frymarkiem i szlachectwo utracił.

Stolnik padł, słysząc te wyrazy, na krzesło, a od Tadeusza wszystko co żyło odstąpiło, jak od zapowietrzonego, panna Klara zdjęła z palca pierścionek zaręczyn i ze wzrokiem pogardliwym rzu-

ciła go na ziemię. Marżycki załamał ręce, gwar straszny podniósł się zewsząd, a z tłumu poskoczył Tadeusz oprzytomniony z szablą dobytą na pana Ksawerego, ale ten nie dobywając swojej, spojrzał tylko na niego i rzekł:

— Z waszmością nie pójdę, chyba na kije, bo do tej szabli, którą nosisz, prawa nie masz!

To powiedziawszy, Wichuła wymknął się ze ścisku otaczającego i zniknął, a za nim wyrwał się zapalczywie pan młody i obaj w ciemnościach z oczu wszystkich utonęli.

Lecz któż odmaluje, co się działo ze stolnikiem! Ledwie żyw na zapytania, na wymówki, na krzyki Marżyckich odpowiedzieć nie umiejąc, kazał konie zaprzęgać, Jakóba wołać i wyjeżdżał, płacząc, po nocy.

Napróżno opamiętawszy się pan Sebastjan wybiegł za nim na ganek, prosząc go, żeby się zawrócił, pan Kornikowski niemy odpychał go tylko ręką i stał oparty o słup zmartwiały, powtarzając tylko machinalnie:

— Ostatni z domu Siekierzyńskich! ostatni z domu Siekierzyńskich!

Więcej z niego wydobyć nie było można.

Tłum gości pocichu, ukradkiem rozjeżdżał się, nie chcąc ojca strapionego rozżalać przypominającem mu upokorzenie zebraniem, a w godzinę ledwie kilku poufalszych zostało i już *consolatio afflictorum* kielich powoli krążyć poczynał.

Panna Klara w swoim pokoiku rzewnie płakała, kobiety ją trzeźwiły, a ona je odpędzała ze srogiem wejrzeniem, z jakąś dziką rozpaczą, powtarzając: — Mieszczanin! kupiec! — I śmiała się szydersko z uczuciem, którego nikt dotąd w niej nie widział.

Pieszo, bez czapki, w weselnym stroju, nieprzytomny przywlókł się Siekierzyński nie do domu, ale do dworku swojego w Lublinie. — Jak zaszedł? co go tam wiodło? w jaki sposób sto razy nie zatrzymano go w drodze? nie wiem. To pewna, że nie biorąc posiłku, nie spoczywając prawie, w kilka dni po opisanych wypadkach zjawił się w progu swojego dworku i upadł bezsilny na schodkach, głowę składając na zbutwiałem drzewie.

Kobieta, która od niego najmowała ten domek, poznała go z twarzy i przeniosła do izby, a sama pobiegła za lekarzem. Chory dziwacznie z gorączki wygadywał, wzrok miał obłąkany i targał się co chwila do szabli, której bogata tylko pochwa u boku jego wisiała jeszcze. Ze słów jego nic zrozumieć nie było można, uśmiechał się, obwiniał, rwał zabijać, złorzeczył, śpiewał, modlił się i płakał.

Rozeszła się wieść po mieście o dziwnem tem przybyciu Siekierzyńskiego i przez doktora dostała się do klasztoru jezuitów, a nazajutrz zrana ksiądz Ksawery siedział u łoża chorego. Stan jego był zdesperowany, gorączka bowiem coraz się wzmagała i lekarz przesilenia jej szczęśliwego wcale nie spodziewał. Jezuita napisał do stolnika i posłał umyślnego, ale ten powrócił z wieścią, że pan Kornikowski sam był ciężko chory i przybyć nie mógł, chyba za dni kilka.

Tymczasem stan Tadeusza szybkiemi kroki zbliżał go do grobu, a rzadkie chwile jaśniejsze i przytomne w głębokiem i rozpaczliwem milczeniu spływały; ksiądz Ksawery napróżno chciał zajrzeć w głąb jego duszy; jako katolik wyznał mu grzechy, jako człowiek zamilkł o swoich boleściach, śmierć przychodziła wielkiemi krokami.

Ostatniego dnia, z wieczora, kilką słowy wezwał jezuitę, żeby do niego poprosił kupca Michała Balcera, a w godzinę potem wrócił ksiądz z wiadomością, że umarł od roku. Tadeusz uśmiechnął się boleśnie i więcej pytać nie śmiał: w milczeniu czekał śmierci zapowiedzianej, zdając się ją wyzywać. Lecz stan ten rozpaczliwego konania przeciągnął się dłużej, niżeli spodziewać się było można i dni kilka jeszcze przebolał chory sam jeden, pragnąc i nie mogąc skończyć.

Ostatniem zjawiskiem w chwili zgonu był stolnik, którego wniesiono do izby; przywlókł się on ratować wychowańca lub pożegnać go; chciał mu czynić wyrzuty jeszcze, ale skarga skonała na jego ustach i łzy się tylko nieme z oczu puściły.

Widząc go bez mowy, bez ruchu, wpółtrupem, stary przyjaciel rodziny wyciągnął ręce i wymówił tylko: ostatni! ostatni!

Ale ostatni w tejże chwili żyć przestał.

Pan Piotr Kornikowski, stolnik nurski, przeżył jeszcze Siekierzyńskiego o lat pięć, rzadkie mając chwile przytomności, najczęściej siedział w swojem krześle zadumany, nic nie mówiąc, a gdy usta otworzył, powtarzał tylko nieustannie: ostatni z domu Siekierzyńskich! ostatni z domu Siekierzyńskich! — Drzewo genealogiczne i kilka starych portretów z Siekierzynka dostały mu się w spuściznie, wisiały one w sypialnej jego izdebce do końca; wpatrywał się w nie całemi godzinami i w wolniejszych od smutku chwilach opowiadał smutne dzieje dwóch ostatnich pokoleń, które pochował, kończąc zawsze westchnieniem i słowy:

— Ostatni z domu Siekierzyńskich! ostatni!

Hubin. Czerwiec, lipiec 1850

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

J. I. KRASZEWSKI

ONGI

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 10, 20, i 30 KAŻDEGO MIESIĄCA

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, ULICA NOWOWIEJSKA 27. TEL. 219-10
Konto czekowe P. K. O. 9.779

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie	(9 tomów)	3 zł. 60 gr.
Półrocznie	(18 „)	7 „ 20 „
Rocznie	(36 „)	14 „ — „

z przesyłką pocztową.

ROK I
TOM XIX

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ONGI

(KRWAWE ZNAMIĘ)

POWIEŚĆ

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO

1 9 2 5

DRUKARNIA P. K. O.
Warszawa. Bugaj 5
Telefon 150-76.

W Lubelskiem leży wieś Mielsztyńce, która już dziś inne nosi nazwisko i próżnoby jej szukać na karcie. Znanej i możnej rodziny Spytków, która bardzo wcześnie jakoś zdrobniała i niemal wygasła, zieleniła się tam maleńka, zapomniana gałązka. Już w XV wieku Spytkowie należeli do najbogatszych i największego znaczenia rodzin w kraju. W XVIII wieku, gdy się nasze opowiadanie zaczyna, zapomniano już o dawnej wielkości panów Spytków. Tylko uczeńsi genealogowie, spotkawszy się z tem imieniem na żywym człowieku, pytali z podziwem: „Czy podobna, żeby to byli ci sami, co ongi, Spytkowie?".

Istotną prawdę zawierały pergaminy i dokumenta, któremi się oni nie chwalili. Z ojca w syna byli to od dawna ludzie jednego ducha i charakteru, starający się tylko o spokój, o ciszę, zgodę z ludźmi i żywot, któryby nikomu nie zawadzał, nikogo nie raził i nikomu powodu do zazdrości nie dając, dozwolił im w cieniu Pana Boga chwalić.

Od wielu pokoleń z Mielsztyniec się prawie nie wychylali. Musiało coś w starych podaniach zniewalać ich do tego; szeptano po cichu, że taki rozkaz swym następcom do kilku pokoleń wydał któryś Spytek, a oni go święcie spełniali. Nikt jednak z pewnością przyczyny tego osamotnienia nie wiedział. Mielsztyńce z kilku pięknemi wsiami, z wielkiemi lasami,

rozległą bardzo przestrzenią, składały pięknie zaokrągloną całość, odgraniczoną, odrębną, a tak szczęśliwie położoną, że tam niebardzo kto miał potrzebę zaglądać. Małe miastecko stało w pośrodku nad rzeczką i stawem, opodal nieco od niego zamczysko na wzgórzu, otoczone wiekuistemi drzewy, dalej po równinie rozrzucone wsie i folwarki, osady, młyny i pojedyncze dworki dożywotników, starych sług starej rodziny.

Dwór mielsztyniecki budził ciekawość przybyszów, ale gdy się z nią kilka razy o mury jego nadaremnie obili, a przekonali się, że przebić ich nie było podobna, że i ludzie nie mieli ochoty się wygadywać, i panowie znajomić — w końcu każdy dawał za wygraną. Głośno ganić nie było można, bo dokoła i aż do Lublina, Spytkowie liczyli tylko przyjaciół; najlżejszej skazy nikt na nich nie znalazł; a ktoby przeciwko nim śmiał się odezwać, na siebie wyrok napisał.

Dosyć, że w tym pokoju dotrwali Mielsztyńscy aż do końca XVIII wieku.

W okolicy Mielsztyniec, na samej ich granicy, wioska Studzienica, przepyszna posiadłość, od niepamiętnych czasów zostająca w ręku Studzieńskich herbu Leliwa, drogą zamiany i z dopłatą przeszła na innego właściciela. Nabył ją Repeszko niejaki, człek stary, bezdzietny, znany z niesłychanego skąpstwa, a naturalnie też i słynący z niezmiernej fortuny, którą bajecznie obliczano. Pan Nikodem Repeszko liczył naówczas lat sześćdziesiąt, ale je tak nosił, jak gdyby mu one nad trzy krzyże nie ważyły. Był to człowiek statury wielkiej, prawie olbrzymiej, silny, zbudowany dobrze, z maleńką, jak na śmiech, główką, na szerokim karku i ramionach osadzoną. Płeć miał śniadą, ospowatą, zżółkłą, oczka małe, czarne, łysinę wygoloną, ręce długie i żylaste. Życia był skromnego nadzwyczaj, sam to przypisując pobożności i potrzebie

martwienia ciała, chociaż drudzy tłómaczyli skąpstwem, czynny niezmiernie, zapobiegliwy, ruchawy. Ludzie o nim powiadali, że nigdy nie sypiał, nikt go przynajmniej śpiącego nie widział, a choć w jego alkierzyku stało łóżko, pokryte starą, wytartą skórą łosiową, z poduszką skórzaną, turecką niedocieczonego koloru, nie znać było na niem, ażeby kiedy tu spoczywał. Zwykle siadywał w fotelu wielkim z poręczami, skórą także obitym, i tu go ludzie dniem i nocą znajdowali. To pewna, że począwszy od pierwszych kurów do świtu, w nocy go najczęściej spotkać było można tam, gdzie się najmniej spodziewano; ale nigdy w jednej porze, na jednem miejscu, tylko coraz gdzieindziej.

Pan Nikodem był pobożny niesłychanie, gorliwy bardzo katolik, przestrzegacz ścisły wszystkich praktyk, i tak na pozór słodki, miły, serdeczny, tak lgnący do każdego, iżby go się pokochać chciało od pierwszej godziny. Lecz po zbliżeniu się do niego, stawało się to niepodobieństwem. Repeszko całował, ściskał, upokarzał się i bił w piersi, ale gdzie zaszedł interes, gdzie trzeba było cośkolwiek zrobić, dać, ofiarować, twardy był, jak skała. Swoim obyczajem wymawiał się miodem, cukrem, samemi pochlebstwami i słodyczami, ale dać nic nie dał.

Przybywszy do Studzienicy, w okolicę wcale sobie nieznaną, pan Repeszko pojechał, naturalnie, i do Spytków i od tej pory choć się o nich wyrażał z największem poszanowaniem, przypiął się do Mielsztyniec z jakąś nadzwyczajną chciwością dowiedzenia się, badania bliższych stosunków, znajomości.

W okolicy, kogokolwiek zagadnął o Mielsztyńce i Spytków, wszyscy go zbywali milczeniem i spojrzeniem ukośnem, jakby dając do zrozumienia, że wdał się w rozmowę niewłaściwą, i ostrzegając, aby jej nie wznawiał. Nie zrażało to jednak Repeszki.

Dlaczego tak Mielsztyńce Repeszkę zajmowały

gorąco, domyślano się z tego, co o nim w Brzeskiem mówiono, gdzie Pociejów jakichś, zainsynuowawszy się do ich domu, ostatecznie podkopał i wyssał: sądzono, że te same mógł mieć zamiary na spokojną Spytków rodzinę. Może się też i mylono, bo Repeszko, ile razy owych zrujnowanych Pociejów wspominał, ręce składał, łzami się oblewał i wyrażał się o nich, jako o ludziach najgodniejszych, których los nieszczęśliwy serce mu zakrwawia... Nie mógł nawet mówić o nich długo, tak go to wiele kosztowało.

Postanowiwszy bądź co bądź przebić tę grubą zasłonę tajemnicy, która okrywała samotne zamczysko mielsztynieckie, Repeszko postąpił bardzo zręcznie. Wyszukał jedynego człowieka, który tam bywał od lat wielu i zdawał się w jak najlepszych zostawać stosunkach ze dworem. Był nim proboszcz parafji sąsiedniej ksiądz Ziemiec, staruszek, dobry człowiek, ale łatwowierny niezmiernie i łatwo też ująć się dający. Chociaż w Mielsztyńcach był proboszcz miejscowy i wikary, ksiądz Ziemiec, dawniej zajmujący ową prebendę, z której się przeniósł na spoczynek do Studzienicy dobrowolnie, zachował przyjacielskie stosunki z kollatorami i niekiedy ze mszą tam jeździł do zamkowej kaplicy; mówiono nawet, że sam pan Spytek nie spowiadał się u nikogo, tylko u niego. Ksiądz Ziemiec był aniołem dobroci, ale ośmdziesięciu lat dochodząc, nieco zdziecinniał. Repeszko go tem ujął, że w kościele klęczał przed prezbiterjum, modlił się ze złożonemi rękami, bił w piersi tak, że po całym kościele słychać było, a niekiedy krzyżem leżał. Księdza całował w rękę i był dla niego z taką rewerencją, jak nikt ze szlachty okolicznej.

Postrzegłszy, że ks. Ziemiec lubi czasem grywać w marjasza na Zdrowaśki za dusze znikąd ratunku niemające, a przy tej grze się ożywia i gaduli, pan Repeszko począł do niego chodzić na partyjkę. Miał w zysku także, iż się to przeciągało ku wieczerzy, i że

w ten sposób oszczędzał w domu niepotrzebnego około gotowania na jedną osobę zachodu.

Przy marjasiku powoli, nieznacznie brał na lekkie tortury starowinę... Był pewien swego, bo ksiądz Ziemiec już się z nim tak spoufalił, że mu anegdoty z czasu młodości swej opowiadał; ale gdy tylko o Spytków zagadnął, proboszcz milczał, jak kamień, odwodził rozmowę, nawet marjasza przerywał, i kończyło się na tem, iż z niego nic dobyć nie było podobna.

Repeszko, przekonawszy się, że podkopy nie pomogą, postanowił zrobić wyłom i szturm przypuścić.

Jednego tedy poobiedzia chmurnego, znów począł ciągnąć ks. Ziemca.

— E! dałbyś asindziej pokój—rzekł prabaszcz;— co tam tak ciekawego w tych Mielsztyńcach, że one wam spać nie dają? Ludzi zacnych dwoje... siedzą cicho, i pragną, iżby o nich świat zapomniał.

Tu dopiero Repeszko, położywszy karty, odezwał się otwarcie:

— Księże proboszczu dobrodzieju... najzacniejszy złoty księżuniu, sercem najukochańszy, którego w duszy mej noszę, weneruję i wyrazów nie mam na to, jakiemi dla niego synowskiemi uczuciami pałam, wytłómaczyć mi to racz, dlaczego ci godni, najzacniejsi, ze wszech miar szanowni państwo Spytkowie, jedni tego na całym świecie używać mają przywileju, iż o nich nikomu mówić nie ma być wolno?

Ksiądz także karty położył, na ręku się oparł, i jakby głosu w piersi zabrakło, rzekł z cicha:

— Kochany panie... dałbyś bo tej chciwości pokój... Ot powiem ci lepiej dykteryjkę...

— Powiedz, ojcze, dykteryjkę; słucham z największą uwagą, proszę...

Ksiądz podparł się na łokciu i począł w ten sposób:

— Było to lat kilkadziesiąt temu. Jam naówczas

był wikarjuszem w Lublinie, przy kościele Św. Michała. Zdawna tam chodziły o tem pogadanki, iż około onego pnia dębowego, na którym wielki ołtarz był założony, fundator kościoła skarb wielki zakopać kazał, aby w jakiej ostatecznej domu bożego potrzebie znaleziony, mógł mu służyć na podtrzymanie i ozdobę.

Otóż choć ów skarb na kościół był przeznaczony, jak podanie głosiło, nie spało łakomstwo, ażeby go sobie przywłaszczyć, i ten a ów dłubali a świdrowali około pnia i ołtarza, a nuż nań trafią. A jak to ludzie w potrzebie sobie wszystko wykrętnie tłómaczyć umieją, powiadali tedy sobie: „Jeśli skarb się dostanie duchownemu, toć kościołowi, bo duchowny do kościoła należy". Tandem, nie wiem tam już kiedy i za którego proboszcza, zakrystjan, który o tym skarbie od poprzednika miał tradycję, począł próbować, a nuż będzie od innych szczęśliwszy... Podnosił tedy posadzkę po jednej tafli i żelaznym drążkiem ziemię wiercił. Jednym razem stuknęło owo żelazo o coś, jakby o wieko kufra, lub skrzyni. Zakrystjan mało nie oszalał. Nuż do proboszcza, bo choćby był chciał przed nim się skryć z ową tajemnicą, nie miał sposobu. Samby rady nie dał, więc musiał kogoś wezwać na pomoc. a wolał już proboszcza, niż innego. Dał się skusić ksiądz. Nocą poszli do kościoła, próbują... brzęczy, rozlega się echo... jest coś... Dalej do rydlów, do motyk, do łopat, ziemię we dwóch wynosić. Nie szło to łatwo, bo trzeba było dobywać się dosyć głęboko, a wydobytą ziemię kryć, aby się ludzie nie domyślili, i na dzień dziurę płytą nakrywać. Słowem, namordowali się dobrze przez trzy noce, i zakrystjan bodaj nie poderwał się, gdy naostatek pokazała się skrzynia żelazna... Nowy kłopot, jak ją wywindować? co z nią zrobić? Ksiądz nie był bardzo silny; chcieli z razu podważyć, ale ani drgnęła, jak przykuta. Widząc, że na wierzch jej nie dostaną, okopali dokoła. Z jednej strony okazały się zamki mocne; nuż próbować klu-

czów, jakie się tylko przy kościele znalazły, ale żaden się nie przydał. Napocili się dobrze, a darmo. Drugiej nocy zakrystjan młota i dłuta dostawszy, jął majstrować, aby odbić. Myśleli napewno, że złoto garściami wynosić będą... co stukną, to się im złoto odzywa. Są pieniądze!!...

Zamki, jak zaczarowane, nie puszczały. Postrzegli zaraz, że nie jeden był, ale trzy, a wszystkie tak hartowne, że ich wiekuista rdza nie tknęła... Wziął się tedy zakrystjan do głównego, i jakoś go przecie otworzył, ale gdy drugi odmykał, pierwszy się znowu zatrzasnął; a że ich było trzy, zmiarkowali, iż inaczej skrzyni nie otworzą, tylko przybrawszy sobie trzeciego pomocnika, żeby razem wszystkie ruszyli. Rozumny ów skrzyni fundator obmyślił to dobrze, aby skarbu ludzie źli nie naruszyli samowolnie: albowiem kędy dwóch jest, trudno tajemnicę utrzymać, kędy trzech— niepodobna. Nie było jednak innego środka, tylko już ślusarza sobie przybrać, zakląwszy go, aby święcie tajemnicy dochował. Proboszcz zamówił na następną noc bardzo pobożnego majstra, który miał robotą kierować. Spuścili się tedy do wykopanego dołu i przy stoczkach i świecach dłubali. Cóż jegomość powiesz? Miesiąc upłynął, a rady sobie dać nie mogli, aż wszyscy powysychali na szczapy: ani jeść, ani pić, ani spać; zakrystjan już krwią pluć począł, gorączka go trawiła. Nareszcie na piątym pono, czy szóstym tygodniu otwarły się wszystkie trzy zamki razem i wieko odskoczyło. Ale najprzód z niego, jakby opar jakiś, poszedł gęsty, który im oczy zaćmił i oddech zatamował... Rzucili się wszyscy razem do skrzyni, spodziewając się złota i drogich kamieni... No, jak się panu zdaje, co też znaleźli?

— Najszanowniejszy księże proboszczu dobrodzieju — rzekł Repeszko — nic nie wiem, ani miarkuję.

— Na dnie... — kończył staruszek...

— Skrzynia więc nie była pełna? — przerwał Repeszko.

— Nietylko, że pełną nie była — dodał ze śmiechem ks. Ziemiec — ale całkowicie próżną... Na dnie leżał zbutwiały kawałeczek pergaminu i maleńki, mosiężny, pozłacany relikwiarzyk, mocno zaśniedziały, zawierający cząsteczkę szaty Chrystusowej, wedle tradycji, odartej przez żołdaka, gdy go obnażono, aby przybić na krzyżu. Relikwa ta wielkiej ceny, przywieziona z Jerozolimy przez jednego Krzyżowca, była całym owym skarbem.

Pan Repeszko milczał zadumany.

— Otóż — rzekł ksiądz Ziemiec — niech wpan dobrze zważa, aby z ciekawością i zachodem wielkim, kusząc się o otwarcie mielsztynieckiej skrzyni, także tam ino pamiątek i relikwij nie znalazł.

— A! księże proboszczu dobrodzieju! — rzekł niby z lekką urazą — jakże mnie też złote serduszko wasze mogło posądzić, że mogę mieć jakieś powody nie całkiem czyste, a uchowaj Boże, interesowane, do wciskania się w poufalszą znajomość państwa Spytków?... Jakże mnie to boleśnie, ojcze mój, iż w anielskiem sercu waszem na lepszą jeszcze nie zasłużyłem sobie opinję!...

— A no dość, dość — przerwał ks. Ziemiec: — to była dykteryjka, aby gadać. Rozdawaj waść karty, a daj mi za to pamfila z ręki, tuza i króla... i już tam o tych poczciwych Spytkach nie mówmy.

Zawiódł się tedy i tu pan Repeszko, ale za wygraną nie dał.

Wkrótce po przybyciu swem w Lubelskie, był on, jak wspomnieliśmy, w Mielsztyńcach, ale odwiedziny te wcale go nie zaspakaiły. Pojechał potem raz drugi, i zdawało mu się, że został przyjęty zimniej jeszcze. Nie zraził się tem, ale czuł, że mu nie wypada tam wciskać się znowu bez powodu; szło tedy o znalezienie takiego, aby się wyszukanym nie zdawał.

Było to jakoś na wiosnę; zatykano łąki. Repeszko, który sam wszędzie być musiał, a majątku jeszcze nie znał tak bardzo drobnostkowo, poszedł na granicę od Mielsztyniec, dla dopilnowania sprawy.

Na miejscu znalazł kilku ludzi swoich i mielsztynieckich; nie kłócili się oni, ale żwawo spierali. Pomiędzy dwoma wzgórkami, obrosłemi lasem dębowym, ciągnęła się piękna łączka, a środkiem jej biegł sobie już uspokojony po wiosennych powodziach strumyczek.

Ale ten strumyczek, nikły i niepozorny, na wczesną wiosnę pozwalał sobie czasem takich wybryków i swawoli, że mógł poważnić sąsiadów, stanowił bowiem granicę między Mielsztyńcami a Studzienicą, a spełniając tak wielką misję społeczną, nie zachowywał się z przyzwoitą obowiązkowi swemu powagą.

Tej wiosny właśnie ruczaj pokrzywdził bardzo nowego dziedzica, i widać przez ciekawość, zbliżył się ku jego stronie, tak, iż dobry kawał łąki oddał Mielsztyńcom. Właśnie go zatykano z tamtego boku, gdy ludzie studzieniccy oparli się temu, wskazując stare łożysko ruczaju, jako prawowitą granicę obu dominiów. Na ten spór nadszedł pan Repeszko z uśmiechem i najserdeczniejszemi pozdrowieniami włościan, którzy mu się do stóp kłaniali.

— Dzieci moje najukochańsze — rzekł: — coś bo to ja, rybki moje złote, nie bardzo rozumiem. Jakże to może być, żeby taką granicę niepewną cierpiano?... Czy, uchowaj Boże, nie ma w tem obrazy bożej i jakiego oszustwa? Nie idzie mnie tam, serduszka wy moje, o ten kawałeczek łąki, ale o sprawiedliwość świętą, o spokój miły i o zgodę z najdroższymi sąsiadami...

Gdy włościanie z obu stron tłómaczyć mu poczęli, głową kiwał i nie chciał rozumieć.

— Wszystko dobrze, dzieci moje najdroższe — dodał w końcu — ale to tak nie może być. Ja majątek

kupiłem, upewniony będąc o stałych granicach. Trzeba będzie pojechać do Mielsztyniec i po bożemu, po sąsiedzku załatwić sprawę raz na zawsze...

Pokłonił się włościanom bardzo grzecznie, nisko, zatarł ręce i odjechał.

Nazajutrz wyruszył parą szkap dryndulką do Mielsztyniec.

Przebywszy las dębowy, który dzielił Studzienicę od Mielsztyniec, ujrzał pan Nikodem miasteczko, a nad niem panującą wieżę kościoła starożytnego, jak to z budowy wnosić było można. Oprócz tego, rynek zdobił ratusz z wieżyczką, otoczony sklepami, wcale nieszpetny i dobrze utrzymany.

Wielka aleja lipowa, cienista, od bramy miejskiej zwanej Zamkową (bo druga nosiła imię Lubelskiej), wiodła do zamczyska.

Panowała tu cisza prawie grobowa, smutna, poważna, uroczysta; tylko niepowściągnione ptactwo szczebiotało gwarnie w drzew gąszczach. Nad głównym łukiem wrot wykuty był herb Spytków, już dobrze stary i mało wyraźny.

Dziedziniec był bardzo obszerny, a w głębi jego za zielonym trawnikiem, na którym wznosiła się kamienna figura Matki Boskiej, w podkowę zbudowany był zamek dość pokaźny i poważny. W półkolistych połączeniach korpusu ze skrzydłami na dole, były arkady i sklepienia, u góry galerje i odkryte przejścia. Nad gankiem rodzaj kopuły, blachą obitej, panował, a we froncie armatury starą modą pomalowane, chorągwie, bębny, kotły, herby i cyfry.

Nad samemi głównemi drzwiami, których odrzwia, jak wszystkich innych okien i drzwi, były kamienne i ozdobne, stał napis pobożny: *Nisi Dominus aedificabitur, etc...*

Nad prawem skrzydłem małoznaczna wieżyczka z sygnaturką oznajmowała kaplicę. Innych budowli nie było w dziedzińcu, kryły się one snadź niżej po za

łosami. Pan Repeszko, gdy stanął przez respekt u bramy i wysiadł z dryndulki, zostawiając ją tutaj, nie dostrzegł żywej duszy, któraby mu peregrynację ułatwiła.

Skierował się ku głównemu wnijściu. Tu na przestrzał przez sklepienie widać było starożytny ogród szpalerowy, z gankiem nań wychodzącym i piękną balustradą, a po za nią ogromne lipy, jodły i graby. Sień, wyłożona kamieniami i płytami, miała po obu stronach kamienne wschody na górę. I tu jeszcze nie było nikogo. Na ścianach dawno snadź malowane i wyblakłe, zieleniały, niby krajobrazy, zamki, góry i lasy, ale pośród nich symboliczne postaci migały i na wstęgach mnóstwo łacińskich napisów.

Stał już nareszcie u drzwi, za któremi jakąś straż znaleźć się spodziewał; uchylił je powoli i ujrzał w istocie, na wygodnem krześle z poręczami, przed stołem siedzącego staruszka, którego łysina trochę włosów, jak puszek siwy, miękkich otoczona, świeciła jakby wypolerowana kość słoniowa. Starzec ów miał na sobie liberję, w ręku trzymał książkę dużą i czytał z niej przez okulary półgłosem litanję. Twarz jego łagodna była i spokojna. Z razu usłyszawszy otwierające się drzwi i snadź wcale nie spodziewając się obcego, nie podniósł oczu nawet, tak był w nabożeństwie swem zatopiony. Repeszko, widząc to, jako był człek bardzo pobożny, a poczuwający się do obowiązku uczestniczenia we wszelakiem trafiającem się nabożeństwie, gdy i odchrząkiwanie i lekkie szurganie nogami nic nie pomagało, począł powoli odpowiadać: „Módl się za nami!".

Usłyszawszy to, starzec podniósł głowę dosyć obojętnie, a zobaczywszy nieznajomego, lekko ją skłonił, ale litanję odmawiał dalej i doszli tak do końca. Dopiero po antyfonie, okulary złożywszy do środka książki, staruszek powstał powoli i zbliżył się milcząc-

co do Nikodema, który mu się powtórnie, a nader uprzejmie uśmiechając, kłaniał.

— Chciałbym mieć szczęście — ozwał się Repeszko — widzenia się z panem domu.

Służący się uśmiechnął, lękko ruszając ramionami.

— Godność pańska?

— Repeszko Nikodem, sąsiad jegomości ze Studzienicy, z uszanowaniem, a trochę w interesie.

— Hm! hm! — rzekł stary, kręcąc głową, i dobył grubego srebrnego zegarka, który miał u pasa za kontuszem, popatrzał nań uważnie, a potem znów namyślać się począł.

— Godzina jedenasta — rzekł — dochodzi za minut kilka. Nie wiem! nie wiem! Wszakże pójdę, oznajmię i zapytam, a waszmość pan raczy się tymczasem tu w sali zatrzymać i spocząć.

To mówiąc, drzwi mu otworzył do obszernej komnaty pustej, cichej, ale bardzo wspaniałej.

Wchodząc, dostrzegł pan Nikodem godła znikomości ludzkiej, z napisami: *Mors ultima linea rerum.* W ścianach, naprzeciwko dwóch wielkich, weneckich zwierciadeł, dwa były szczególne wizerunki, równie jak owe nadedrzwiami, niewesołe. Wystawiały one mężczyznę we zbroi, leżącego na katafalku, ostawionym świecami, z godłem w górze: *Credo videre bona in terra vicentium* — oraz kobietę, również w trumnie spoczywającą, z krzyżykiem w ręku, a po nad nią na wstędze: *Miserere mei Deus, secundum magnam misericordiam Tuam.*

W pośrodku, pomiędzy dwoma temi portretami grobowemi, któreby przyzwoiciej w katakumbach, niż w salonie, zawieszone być mogły, w ramach czarnych był obraz, wystawiający młodą panią, lub pannę, w czarnych szatach, z różą w ręku. Twarz jej nadzwyczajnej piękności, artysta z wielkim odwzorował talentem, możnaby rzec z rozmiłowaniem się w niej.

Świeżość kolorytu i wykończenie zdradzały niepospolitego malarza ze szkoły Rubens'ów i Van Dyck'ów. Portret ten i pięknością swoją, i jedną nadzwyczajnością zwracał uwagę i pociągał oczy. Na pięknej, białej szyi dziewiczej, dokoła biegł pas czerwony, wąski, jakby krwią zarysowany, który głowę odcinał... Nie była to ozdoba żadna, rząd paciorek, ani naszyjnik, ale jakby ślad miecza... Twarz ta poważna, wypogodzona, acz smutna i dumna, nabierała uroku tajemniczości od tego dziwnego znamienia, którego pan Repeszko wytłómaczyć sobie nie umiał.

Stał jeszcze przerażony i zadumany przed tym dziwnym obrazem, gdy stary sługa za rękaw go pociągnął i rzekł cichym głosem:

— Jaśnie pan prosi... czeka...

Pan Nikodem ruszył się żywo, ale stąpanie prowadzącego staruszka, przywykłego do powolnego, uważnego, cichego chodu po tych milczących, opustoszałych komnatach, zmusiło go do zwolnienia kroku...

Po tej sali zagadkowych wizerunków, nastąpiła druga z okrągłą kopułą w środku, przez którą wpadało trochę światła we wnętrze; okiennice jej wewnętrzne były poprzymykane i półcień zalegał całą. Dokoła nad sofami rzędem opasywały ją portrety wielkie całych postaci, naprzemian niewiast i rycerzy. Niektóre twarze blade, pozawijane chusty białemi, występowały tylko z mrocznych cieniów... gdzieniegdzie zarysował się owal młodszego męskiego oblicza, lub czarno patrzały oczy z posępnej czaszki zarosłego starca we zbroi. W pośrodku stojący stół, okryty ciemnem suknem, na którem bielał dzwonek srebrny, nadawał sali pozór izby sądowej. Droga, wysłana dywanem, przechodziła przez salę nawskroś i wiodła do innej, świetlejszej i nieco weselszej.

Ta była długą niby zbrojownią, pełną nisternie powiązanych i poukładanych orężów i zbroi, dziś już nieużywanych, które rozmaitością i bogactwem zasta-

nawiały... Były tam niewidzianej piękności puklerze i tarcze z godłami rodziny, kołczany szyte złotem, buńczuki, chorągwie, buzdygany, buławy, szable najrozmaitszych kształtów; lecz co najbardziej zastanawiało, to cztery całkowite zbroje, szmelcowane, złocone, prawdziwe dzieła sztuki, wyobrażające jakby czterech rycerzy, zamkniętych w hełmach, stojących po czterech rogach na straży... Każdy z nich trzymał w ręku kopię z proporczykiem, na którym szyte były herby, a ręką wspierał się na tarczy... Pan Repeszko z przerażeniem ujrzał, że u tych drzwi, do których się zbliżali, stojący rycerz miał przyłbicę podniesioną, a z niej nie czarna głębia wyglądała, ale głowa trupia całkowita, szydersko śmiejąca się zębami białemi i jakby urągająca z życia... Na proporczyku jej czarnym i białym stały wyszyte wyrazy:

Mors vita, i *Vita mors.*

Weszli do mniejszej komnaty, w której stał klęcznik z krucyfiksem, obłożony książkami, oprawnemi w jaszczur i pergamin. Po nad nim wisiał obraz Matki Boskiej częstochowskiej, a w lewo cała ściana od góry do dołu wysłana była mniejszymi wizerunkami rodziny, pośród których wypisano na wstędze:

Requiescant in pace...

Rzuciwszy zaledwie okiem na te rzędy głów, Repeszko dojrzał wypadkiem znaną już sobie głowę dziewicy, z czerwoną, krwawą przepaską na szyi...

Z tego oratorjum drzwi już wprost wiodły do pokoju pana Spytka, i tu sługa, otwarłszy je, wskazał tylko panu Nikodemowi drogę, a sam się cofnął.

Wszystko to, co w ciągu powolnej po zamku przechadzki widział Repeszko, dziwnie go jakoś usposobiło; czuł się w duszy onieśmielonym i trwożnym...

Pokój wszakże, do którego wchodził, właśnie może na największą zasługiwał uwagę. Był on narożnym i niezupełnie regularnego kształtu, prawie tak obszer-

nym, jak sale zamkowe, a pełnym najosobliwszego sprzętu i pamiątek.

W jednym jego rogu uderzał obraz patrona, przed którym zawieszona na sposób wschodni i włoski, paliła się lampa; tuż niedaleko ogromny stół zarzucony był stosem papierów, pościąganych w fascykuły, przywilejów z przywieszonemi pieczęciami na sznurach i ksiąg policzbowanych starannie. Z pośrodka tych stosów wyglądał czarny, hebanowy krucyfiks, z Chrystusem z kości słoniowej.

Przed oknem w ozdobnych wazonach ułożony był cały klomb zieleni z najrzadszych i najpiękniejszych roślin, wśród których przemagały róże, rozkwitłe i przekwitające. Liśćmi ich wonnemi usypana była posadzka. Ogromny komin marmurowy, biały, rzeźbiony, część znaczną drugiej ściany zajmował.

We wgłębieniu naprzeciw, nawpół osłonionem firankami adamaszkowemi, widać było skromne, małe łóżeczko, jakby obozowe, pokryte skórą, z niedźwiedziem u nóg, z obrazem w głowach, z szablą u boku przewieszoną...

W pośrodku tej komnaty, której ścian reszta obita była tureckiemi makatami, przerabianemi złocisto, stał, czekając na powitanie gościa, gospodarz...

Repeszko, jakkolwiek zwykle odważny, lubo z zasady pokorny i słodki, chociaż dwa razy był w Mielsztyńcach (ale go naówczas na dole przyjmowano), choć już pana Spytka widział i mówił z nim, dzisiaj, przeszedłszy wspaniałe sale zamkowe, napatrzywszy się tych dziwów grobowego jakiegoś oblicza — prawie w ustach języka zapomniał, uniżeńszym się stał jeszcze, i zamiast powitania, gospodarzowi się tylko *more antiquo* czapką do kolan skłonił.

Nie była to rzecz tak prosta i łatwa, jakby się zdawało; p. Nikodem bowiem był prawie olbrzymiej statury, a gospodarz ledwie nie karła miał postać.

Nie przeszkadzało mu to być pięknym; nic ułom-

nego w sobie nie miał, dziwnie jednak drobnym wyglądał, mimo butów na korkach wysokich, podniesionej w górę głowy i wyprostowania. Twarz jego, bardzo pięknych i szlachetnych rysów, wielce przypominająca wizerunki po salach rozproszone, nosiła na sobie piętno spokojnego smutku. Postawę miał rycerską, ruchy pańskie, zdawał się stworzony na olbrzyma... a skazany jakąś wolą bożą na skarlenie. Ubrany też był, choć to w dzień powszedni, bardzo wytwornie.

— Szanownego sąsiada — odezwał się pan Spytek — bardzo mi widzieć miło. Zdaje mi się, iż podobno była wzmianka o jakimś interesie...

— Tak jest, tak jest, jaśnie wielmożny panie, odparł Repeszko, powtarzając ukłon pokorny. — Wiedząc, jak miłe są cisza i spokój jw. panu, nigdybym się nie ośmielił zakłócić ich... ale maleniczka kwestyjka graniczna... Chcę ją poddać pod sąd i wyrok pana dobrodzieja.

— Graniczna kwestja? — spytał gospodarz. — Ale szanowny sąsiedzie, to mnie nadzwyczaj dziwi. Od lat przeszło stu pokończyliśmy wszelkie możliwe wątpliwości graniczne, okupując święty spokój setnemi ofiarami... Skądże się to wzięło?

— Ja nie wiem — odezwał się Repeszko — ale nowy przybysz, szanując święte prawa własności, nie pragnąc nigdy cudzego, a usiłując uniknąć wszelkiej zwady, starałem się upewnić w moim ubogim kawałeczku ziemi. Otóż przy świeżem zatykaniu łąk, gdzie Mielsztyńce od Studzienicy odgranicza strumyczek... zamiast stałej granicy, odkryła się używalność. Strumień płynie każdego roku inaczej... stąd niepewność... Gdyby była mapa, tobym pokazał.

— O ileż to iść może? — przerwał pan Spytek— jakaż to tam różnica?

— Na całej przestrzeni — odparł pokornie Repeszko — to tam może jakich parę morzków łączki,

jw. panie, i to często gęsto piaskiem, a mułem naniesionej. Bóg widzi, że chciwy nie jestem.

— Szanowny panie sąsiedzie — rzekł Spytek — ja wcale sędzią w tej sprawie być nie mogę, przechodzi to moją kompetencję... Najprzód któż sądzi własną rzecz?... powtóre mało znam granice; potrzecie jest tu *ad hoc* mój godny plenipotent, *alter ego*, pan Dzięgielewski. Znasz go pan pewnie; co on zadecyduje, przyjmę i podpiszę. Jeśli się panu sąsiadowi zda wybrać arbitrów, przystaję na nich zgóry.

Repeszce wszakże ani o łąkę, ani o granicę, ani o formę, jaką kwestja rozwiązana być miała, nietyle szło pono, co o zręczne wciśnienie się do Mielsztyniec i narzucenie panu Spytkowi; więc lubo rzecz zdawała się załatwioną w zasadzie, nie okazał się zadowolonym... Chodziło o przedłużenie bytności w zamku.

— Stanie się woli pańskiej zadosyć — rzekł powoli, z pewnym wyrazem smutku. — Ja przecież, przyznam się, pochlebiałem sobie, że wyjątkowo tę sprawę załatwisz jw. pan sam, abym niepotrzebnej formalności uniknął. Przybyłem z gotowością wszelką zastosowania się do rozkazów.

— Ale ja wcale nie znam ani położenia, ani sprawy — rzekł posępnie pan Spytek. — Dzięgielewski człowiek zacny, każdy kątek zna...

— Więc gdybyś jw. pan raczył tylko go tu kazać prosić, w dwóch słowach byśmy skończyli.

Gospodarz widocznie był zakłopotany.

— Prawdziwie — odparł — nie wiem, czy Dzięgielewski jest w domu; bardzo wątpię. A co do mnie... ja dziś właśnie jestem tak zajęty... wyjątkowo zajęty...

Zdawał się nasłuchiwać niespokojnie; ale cisza panowała w podwórzu zamkowem. Repeszko stał się ciekawszym jeszcze; postrzegłszy, że jest do czegoś zawadą, domyślał się jakiegoś wypadku, chciał wy-

należć sposób przedłużenia rozmowy, nie okazując się natrętnym.

— Możebyśmy zresztą jakiś dzień inny naznaczyli, a jabym panu Dzięgielewskiemu dał znać, gdyż dziś... — to mówiąc, gospodarz drgnął, a od okna dało się słyszeć hałaśliwe psów szczekanie i trąbka myśliwska...

Pan Spytek podbiegł do okna, wyjrzał, twarz blada okryła się rumieńcem, i bardzo żywo począł do Repeszki:

Więc tak... na środę, piątek, kiedy się podoba, proszę do Dzięgielewskiego, ja mu dam właściwą jeszcze instrukcję, aby był jak najwyrozumialszym... Oznaczycie granicę...

Szczekanie psów i tętent kilku koni coraz wyraźniej słychać było pod oknami.

Spytek skłonił się Repeszce i podprowadził go do drzwi; ale pokorny szlachcic nie dał się zbyć tak prędko.

— Pozostaje mi — rzekł z ukłonem niskim — przeprosić jak najpokorniej jw. pana, iż ośmieliłem się zakłócić moją bytnością...

— Ale to nic... owszem — mówił żywo gospodarz, w którego twarzy coraz gorętszy malował się niepokój.

— Proszę wierzyć — dodał Repeszko, już prawie stojąc w progu — iż to nie żadna chciwość występna, od której Bóg mnie strzeże, ani chęć korzystania z powolności jw. pana, tylko pragnienie utrzymania sąsiedzkiego spokoju, tak drogiego dla człowieka, zwłaszcza dla mnie, nieznanego jeszcze w okolicy i potrzebującego sobie zaskarbić względy...

W miarę jak przeciągał mowę, oczy maleńkiego człowieczka, zniecierpliwionego już do najwyższego stopnia, nabrały tak złowrogiego jakiegoś blasku, postawa takiej grozy, usta tak nakazującego wyrazu, iż p. Nikodem, straciwszy wątek mowy, przelękły,

ująwszy czapkę pod pachę, wynosił się, nawet ciekawości zapomniawszy. Gdy spocony, drzwi za sobą zamknąwszy, podniósł głowę w progu, oczy jego padły na hełm rycerza stojącego tu na straży, z pod którego trupiej czaszki patrzały dwa próżne doły czarne. Z tych otworów, zdawało mu się, że nań spojrzała śmierć, uśmiechając się szydersko...

O trzy kroki czekał stary sługa, z zegarkiem w ręku. Repeszko już się zabierał iść, gdy w salach usłyszał wrzawę i głosy, chód kilku osób. Ciekawość wróciła; przytulił się do ściany, niby dla przepuszczenia przybywających, choć go przewodnik za rękaw pociągnął, i był świadkiem dziwnego wśród grobowego tego zamku zjawiska.

Przodem szła słusznego wzrostu, średniego wieku kobieta, bardzo pięknych jeszcze rysów twarzy, w ubiorze amazonki, w kapeluszu z piórami na głowie i biczykiem w srebro oprawnym w ręce. Ogon aksamitnej ciemno-zielonej sukni niosła na ręce. Wyglądała jak królowa, a z pod powiek nieco przyciemnionych, osobliwszej barwy, jakby od płaczu poczerniałych, strzelały oczy jej czarne, ogniste, straszne płomieniami, które w nich gorzały. Lice jej nieco opalone, świeże było i jeszcze ani jedną nienapiętnowane marszczką. Czoło miała wysokie, bielsze nieco, od reszty twarzy, pogodne, ale smutne. Stworzoną się zdawała do rozkazywania, i musiała wiedzieć o tem. Kibić jej, choć mogła mieć więcej nad lat trzydzieści, łudziła kształtami dziewiczemi młodości w pełni rozkwitłej. Repeszko, nie wiedząc kto była, łatwo się w niej domyślił pani domu; ona, postrzegłszy tę nieznaną sobie postać schyloną pokornie, wyprostowała się jeszcze bardziej, zmarszczyła brwi, zacięła wargi, i ledwie odpowiedziawszy skinieniem głowy, minęła go szybko kierując się ku drzwiom gabinetu...

Nie była samą: szedł za nią chłopak mogący mieć lat piętnaście, nadzwyczajnej piękności, ale tak

małego wzrostu jak pan Spytek i bardzo do niego podobny, wytwornie ubrany, wesoły, śmiejący się; a za nim, w sukni duchownej, widocznie cudzoziemiec jakiś, wyfryzowany, w trzewiczkach i pończoszkach, z książką w czerwony safian oprawną pod pachą. Był to Eugeniusz Spytek, jedyny syn państwa Mielsztyńskich, i przewodniczący jego wychowaniu l'abbe de Bury, słynny z przyjemnej uczoności, dowcipu, a później z wydanych dzieł kilku i ogromnie rozległych stosunków w rzeczypospolitej literackiej z najsłynniejszymi jej koryfeuszami.

Dodajmy, że blady brunecik, przyjemnie uśmiechnięty, był wcale ładnym mężczyzną; tylko na suknię duchowną, którą obyczajem wieku dla przyzowitości nosił, nadto jakoś elegancko i kwiecisto wyglądał.

Wszystkie te trzy postaci mignęły tylko, przesuwając się przed ciekawemi oczyma pana Repeszki; drzwi gabinetu się otwarły i okrzyk radości dał się słyszeć. Pierwszy wbiegł niemi ów śliczny chłopaczek. Za nim weszła matka, l'abbé de Bury na końcu, i podwoje nielitościwie się zatrzasnęły, a Repeszko rad nierad musiał za swym przewodnikiem z zamku się wynosić.

Nie spodziewał się wcale, żeby go się tak prędko pozbyto, i szedł kwaśny, ze spuszczoną głową, ale szedł z wolna i nic w powrocie bacznej jego uwagi nie uszło. Zamek przed chwilą tak cichy, trochę się zaludnił; postrzegł pan Repeszko kilku strzelców w zielonych kurtkach, z kordelasami u boku, którzy psy odprowadzali, kilku masztalerzy i kilku koni, wąsatego łowczego porządkującego dwór swój, a dalej dwa powozy, z których jeden obładowany, świeżo jakby z dalekiej powracające podróży. Ten zamek jakby zaklęty, z gospodarzem karłem, ta pani tak wspaniała i piękna, która uganiała się po lasach za zwierzyną, gdy mąż wśród róż więdnących siedział w papierach i książkach, i ten chłopczyk śliczny, ma-

lutki, o którym w sąsiedztwie jakoś nawet słychać nie było — całe to życie wyglądało na zagadkę, a Repeszko szczególniej był łakomy na tajemnice... Popatrzywszy na dwór ów, na konie, psy i powozy z daleka, smutny, bo zawiedziony, poszedł Repeszko do swojej bryczki, stojącej za bramą.

— Trudno! rzekł w duchu Repeszko, potrząsając głową: narzucać się im nie przystało mi, a niełatwi są dla obcych... ale z czasem... z czasem... niepodobna żebym ja się tu nie wszrubował.

W tych myślach wyjechał za bramę, a że kawał dobry miał do Studzienicy, na sobie zaś najlepsze ubranie, pomyślał więc o tem, gdzieby przywdziać kitel swój codzienny, w którym około gospodarstwa chodził. W miasteczku tego czynić nie chciał, bo trzeba było zajechać do gospody i za postojne choć krótkie zapłacić, lub dać coś utargować. Przypomniał sobie, że na drodze do domu miał właśnie karczemkę w lesie, do Mielsztyniec należącą, w której najprzyzwoiciej będzie pomyśleć o przebraniu. Nakazał więc woźnicy, aby przed nią stanął.

Konięta same się zatrzymały przed wrotami; wysiadł pan Nikodem, wnosząc zawiniątko swoje, siadł w cieniu drzew i zrzucał powoli zbyt kosztowne na pył i skwar ubranie.

Tylko co się był rozebrał, gdy podniósłszy głowę, postrzegł przed sobą stojącego ogromnego mężczyznę nieznajomego, który mu się z ciekawością, ale drwiąco przypatrywał.

Figura to była jakaś zakazana, ni pan, ni szlachcic, ni sługa, ni dworek, buta ogromna, wąsiska łokciowe, drab wielkiego wzrostu, kurta wyszarzana z węgierska, skórznie do kolan, pas juchtowy, a na sforze przy nim para chartów kosmatych wołoskich, chudych i rosłych jak on.

Wziął go z razu Repeszko za łowczego jakiegoś pana, ale powtórnie spojrzawszy, przekonał się z twa-

rzy, iż niczyim sługą być nie mógł. Z oczu mu strasznie dumą i zuchwalstwem patrzało. Mimo to widać nie było po nim dostatku: suknie mocno przechodzone, buty niezbyt oczyszczone, pas stary, czapka stara. Psy nawet wyglądały kościsto i smutnie a drapieżnie.

Cierpiał z razu Repeszko, że mu się ten drab tak przypatrywał; ale widząc, że to temu końca nie będzie, odezwał się naostatek kwaśno:

— No! cóż tam ciekawego, żeby też pół kwadransa tak stać?...

— Hę! odparł nieznajomy: a cóż to ja cię zjem oczyma, szlachcicu kochany? Nie obawiaj się. Dopełniasz chwalebnego czynu oszczędności, snadź wiesz co grosz wart; cieszę się więc, żeś człowiek taki porządny, i... admiruję...

Repeszko tylko ramionami zżymał i splunął.

— A skąd Pan Bóg prowadzi? spytał myśliwiec.

— Jam przecie tutejszy... raczejby mnie wypadło zapytać: co waszmość za jeden?...

— Otóż i ja tutejszy, sąsiedzie szanowny! rzekł zajadając i stojąc ciągle nieznajomy. Teraz się już domyślam, że jesteś ów Repeszko czy Drapieszko, który z daleka tu zawędrował.

Powiedział to jakoś w tak obrażający sposób, że p. Nikodem się jeszcze bardziej pogniewał.

— A któż waćpan jesteś, jeśli się zapytać wolno? rzekł chmurny.

— Ja? ciekawyś? zawołał zagadniony. Jak to? czyżbyś nie słyszał o mnie, a słysząc nie domyślił się z kim się spotkałeś?

— Ani wiem, ani znam, ani się domyślam! rzekł p. Nikodem.

— Nikt ci nie wspominał o Iwonie? hę? o Iwonie Życkim, zwanym pospolicie kasztelanicem?

Repeszko dopiero sobie przypomniał, iż o nim w istocie słyszał, ale skóra na nim ścierpła... Mówiono dziwnie o kasztelanicu, obawiano się go w sąsiedz-

twie jak ognia, głoszono za awanturnika chętnie szukającego zwady i nieprzebaczającego nikomu. Repeszko nagle spokorniał, zdjął czapkę, skłonił się, uśmiechnął.

— Daruje pan kasztelaniec! rzekł cicho: nie miałem dotąd szczęścia... Cieszę się bardzo... zaszczytu.

Iwo się śmiał.

— No, no! nie pleć koszałek, opałek! zawołał. Szczęście, zaszczyt! Niewielkie to szczęście spotkać się ze mną... a zaszczyt też nieosobliwy... Ale kiedyśmy się zetknęli ,to cię spytam: czyś ty myśliwy?

— Ja? osobiście... nie... odparł Repeszko.

— To dobrze, odparł Iwo: bo ci oznajmiam, że w twoich lasach, i na polach twoich polować będę...

Szlachcic zamilkł posępnie.

— Ponieważ myśliwym nie jesteś, to ci szkody nie zrobię.

— A zwierzyna? spytał z cicha Repeszko.

— Zwierzynę będę jadł! odparł Iwo,—i waści jej dawać nie myślę, raz, że na nią będę pracował, powtóre, że ty, słyszę, mięsa nie używasz, i w tygodniu sześć dni jadasz z postem, a siódmego z suchotami.

— Wolno mi przecież uczynić uwagę, że kto nabywa majątek, ten ma w nim i własność zwierzyny. Słusznaby więc była...

— Kręcielu stary! rozśmiał się Iwo. Miły ci spokój, to mi się nie sprzeciwiaj.

— Ale ja nie odmawiam bynajmniej miłemu i kochanemu sąsiadowi tej maleńkiej przysłużki! zawołał Repeszko, spojrzawszy z ukosa na bat pleciony, którym Iwo poklaskiwał niby od niechcenia. Spuszczam się na jego wspaniałomyślność, iż kiedy niekiedy kapnie mi co do kuchni... Co się zaś tyczy skóreczek... gdyby Pan Bóg dał lisa, wilczka lub inne stworzenie... na te ja stawiam żelaza i zwykłem je sprzedawać...

— Ani mi się tego czynić waż! odparł Iwo. Prze-

strzegam cię kochanie: polowanie w twoich lasach biorę w arendę...

— W kwocie? spytał Repeszko żywo.

— A! skąpczysko stare! przerwał Życki: jeszcze-byś z tego chciał coś wyssać! Niedarmo nam cię tu tak odmalowano jako liczykrupę.

— Mnie! o Chryste Jezu miłosierny! krzyknął Repeszko: otóż to języki ludzkie i złośliwość! Miły Boże! mnie, który przez całe życie poświęcam się dla ludzi, odejmując od ust sobie.

Iwo zaczął się śmiać.

— Paradny! rzekł — ale wracajmy do arendy. Otóż umowa taka: będę polował, zabijał, plondrował, ale za to dopilnuję ci lasów, i pierwszego złodzieja, którego w lesie spotkam, powieszę na dębie.

— Jezu miły! a zlitujże się! Nuż z tego proces wyniknie!

— Masz słuszność, dam mu sto batów, już mniej być nie może. Jak się ludzie dowiedzą, że ja ci lasu pilnuję, gałązka ci nie przepadnie.

— Zbytek łaski! zawołał Repeszko, ośmielając się i chcąc rozmowę zakończyć, bo dłuższa rozmowa z panem kasztelanicem mogła być niebezpieczna,— zbytek łaski! Ale mnie pora do chaty.

— Czegoż ci tak pilno? Żony i dzieci nie masz, pogawędzimy. Winieneś mi odwiedziny, hę? Zapraszam cię do siebie na wieczerzę.

Repeszko się zląkł, ale pomyślał, że to żarty, bo wiadomo było, że biedny, zrujnowany kasztelanic nikogo nie zapraszał i nie przyjmował.

— To istotnie zbytek łaski,—rzekł—i... i... mógłbym zrobić ambaras.

— Żadnego! odparł Iwo. Ja nikogo takiego nie proszę, coby mi z sobą kłopot przyniósł. Chudopachołek teraz, nie mam czem przyjmować, ale waść nie jesteś wymagający... czem chata bogata. Musisz jechać! Konia mego poprowadzi człowiek luzem, a ja

z waszecią na bryczkę. Mała milka drogi, na prawo w gąszcze. Za godzinę będziemy.

To mówiąc, świsnął kasztelanic, psy oddał słudze staremu, który nadbiegł kulejąc, a sam, nim Repeszko się zebrał na podziękowanie i wymówki, już siedział na bryczce i ręką wskazywał mu, aby się obok sadowił.

Z zawiniątkiem pod pachą, rad nierad p. Nikodem wdrapał się na brykę swoją, wzdychając. Wymówić się sposobu nie było. Iwo popchnął woźnicę z kozła, odebrał mu lejce i batog, i zawołał na konie po swojemu.

— Ja cię powiozę, zobaczysz tatuniu! koni swoich nie poznasz, tak pójdą w moich rękach. Hej! ha!

W istocie, bryczka potoczyła się po wąwozistej drodze i wybojach, tak, że Repeszko ledwie się w niej mógł utrzymać, poleciwszy Bogu duszę...

Konie leciały czwałem, Iwo śmiejąc się poganiał.

Postrzegł się po czasie pan Repeszko, że wpadł całe niespodzianie w szpony człowieka, od którego wszyscy jak od ognia uciekali, a stało się to nie wiedzieć jak i pochwyciło go bezbronnym. Nie miał innego ratunku, tylko wedle zwyczaju swego w trudnych razach, odmówić „Pod Twoją obronę" i dziewięć „Zdrowaś Marya", z krótką modlitewką do Św. Antoniego.

Iwo Jaksa Gryf Życki, kasztelanic p..., gdyż tak się zwał, po kądzieli odziedziczył w Lubelskiem dobra Rabsztyńce, niegdyś firlejowskie; te ojciec jego zadłużył, a on całkowicie stracił. Gdy mu je zatradowano, nie opierał się, ale zapowiedział wierzycielom, że bądź co bądź, w Rabsztyńcach zamek, ogród i obejście dworskie sobie zostawi i tych zabierać nie dopuści.

— Jest to moje gniazdo rodzinne. Zwierzęta nawet mają nory; ja też muszę mieć legowisko i Rabsz-

tyniec nie dam, a zechcecie najeżdżać, będę się bronił i nie oszczędzę nikogo.

Skutkiem tej groźby, został zamek przy panu Jaksie, a dziedzić Rabsztyniec musiał się pobudować na nowo, opodal nieco.

Nie wiedzieć dla czego ta ruina, przypominająca feudalne burgi niemieckie, tak była drogą Życkiemu; to pewna, że oprócz niego niktby w niej nie mieszkał.

Przez rozwaloną bramę na wałach, otoczoną lipami, wchodziło się do środka; ale od niej nic widać nie było jeszcze. Po nad wierzby lip i klonów jedna tylko baszta szczerbata, z powybijanemi dziurami, sterczała wyżej nieco. Ze starego zamczyska Szwed i ogień zostawili tylko jednego skrzydła część niewielką.

Do tej wilczej jamy, jak ją nazywano powszechnie, nikt prawie nie zaglądał; kasztelanic żył w niej sam, z Zacharjaszem kulawym, dawnym i wiernym sługą. Na folwarku była gospodyni, dwóch chłopaków do koni i psów, w stajni trzy chude szkapy i dwa wyszarzane siodła.

W śmiertelnych potach Repeszko dojechał do Rabsztyniec, które pierwszy raz w życiu oglądał; bryczka i konie musiały z chłopakiem pozostać w bramie, gdyż dalej drogi do zajazdu nie było, tylko ścieżka, którą ledwie konny człowiek mógł przejechać.

Zlazłszy z wozu, Jaksa rzucił lejce i odprostował się.

— Niechże go pioruny trzasną, jak ta drynda trzęsie! zawołał. Jak wy możecie tem jeździć? nie wolelibyście na dobrej szkapie, niż w tym półkoszu, w którym zęby sobie powybijać można?

Repeszko, postanowiwszy być grzecznym, uśmiechnął się tylko.

— Na co kogo stało! — zawołał — kasztelanicu dobrodzieju. Człeczek jestem ubogi, dorobiłem się

w pocie czoła grosika, pamiętam na to z czego wyszedłem...

— Tak, tak, *pulvis sum et in pulverem*...

— Otóż to jest... potaknął Repeszko: nie udaję pana.

— Wolisz nim być w istocie! roześmiał się Jaksa smętnie, idąc przodem przed gościem. Ale nie kłam! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... jesteś groszowity, skąpy i liczykrupa. Pal cię licho z tem! co mnie to obchodzi, że się uwędzisz dla spadkobierców, których nie znasz?

— Zagaduje do worka! to nie bez kozery! rzekł w duchu Repeszko; w tem już coś jest... Ale gdyby nawet i bizunami zagroził... ha! stań się wola Twoja... że nie dam, to nie dam.

Drżał w duchu nieborak jednakże.

— Trzebaż mi było z tą głupią ciekawością do Mielsztyniec jechać i na karczemkę powracać, włóczyć się nie wiedzieć po co i wpaść w taką matnię.

Szli tymczasem ścieżynką, i minąwszy gąszcze, znaleźli się przed ocalonem owem skrzydłem zamkowem... Jaksa stanął i świsnął przeraźliwie: nadbiegły brytany i charty, a w chwilę i stary Zacharjasz nadszedł kulejąc.

Stali przed głównem wnijściem, nad którego szerokiemi drzwiami herb Firlejów jeszcze był znaczny, gnieździły się w nim wróble. Godzina była może trzecia z południa.

— Zacharjaszu mój! rzekł Jaksa: masz co jeść? bo oto mój gość głodny, a jam go zaprosił i nakarmić muszę, choćby przyszło pieczeń z wierzchowca mojego zrobić. Byłaby łykowata nieco, bo stary... Spytaj Barbary, co się tam święci?... a prędko.

— Jam się już dowiedział, mruknął Zacharjasz.

— Ha! no i cóż? spytał Jaksa.

— Idźcie-no na górę... idźcie! mruknął sługa; jakoś to będzie, z głodu nie pomrzecie.

— A więc dawać do stołu.

Zacharjasz ramionami ruszył i nic nie odpowiedział: gospodarz wszedł do sieni. Była obszerna, pusta, trochę słomy dla psów leżało w kącie, okna miała powybijane. Wschody z marmurową balustradą, ale połamane i zgniłe, prowadziły na pierwsze piętro.

Znowu sień ogromna, ze ścianami, na których deszcz zaciekając pokreślił zielone pasy... drzwi nieszczelne, ale niegdyś białe złocone, prowadziły do antykamery, w której stały ławy proste, a raczej zydle; na jednym z nich posłanie Zacharyasza, istny barłóg. Dokoła na grzędach trochę odzieży, rogi myśliwskie, strzelby, sieci, skórki i przybory łowieckie.

Weszli do pokoju, który być musiał jadalnym, bo w nim zajmował miejsce główne stół stary, ciężki. Koło niego ustawione były krzesła o wysokich poręczach. Na ścianach wisiały czarne jakieś portrety i potłuczone zwierciadła.

— Nie jest tu bardzo wytwornie, rzekł śmiejąc się Jaksa, ale z biedy żyć można. Drzwi w prawo do mojego pokoju.

Repeszko postępował posłuszny, pocisnął klamkę, i znaleźli się w salce obszernej, krągłej, jeszcze niezle dochowanej.

W jednym kącie, nogami do ogromnego marmurowego komina, który dwie męskie karyatydy podtrzymywały, stało łoże kasztelanica, pokryte niedźwiedzią skórą. Na niem broń rozwieszona; w głowach duży obraz, gęstą, czarną krepą osłoniony cały, tak, że z za niej ledwie się jakiejś na nim białej twarzy domyślać było można... Zeschła gałąź cyprysu, opylona, siwa, zawieszona była nad tym tajemniczym wizerunkiem.

— Siadaj mości sąsiedzie. Rzadko tu gość bywa. Prawdę rzekłszy, nie pamiętam czym kogo prosił kiedy; więc i przyjęcie niewykwintne... No, ale i waszmość też, jak wiem, niewymagający jesteś.

— Ale paradnie, paradnie, odrzekł, ocierając pot z czoła Repeszko: jak Boga kocham, to pałace.

— Gdy zjemy, to ci całe moje dziedzictwo sprezentuję, rzekł powoli Jaksa. Zobaczysz, jest to fundum wcale nieszpetne; możnaby coś zrobić z tego, będąc przy pieniądzach.

— „Po co on mi to chce pokazywać? pytał sam siebie gość — po co? W tem coś jest..."

Po chwilce Zacharyasz otworzył drzwi. Wyszli do pierwszej izby, gdzie nakryto do stołu.

— Wódkę pijesz? spytał gospodarz.

Repeszko nie wiedział co odpowiedzieć.

— Bo wódkę mam prostą, śmierdzącą kotłówkę, na inną mnie nie stało; więc jeśli łaska...

— Ale niekoniecznie.

— Jedzenie będzie brzydkie, ale nie ma lepszego; wina ci za to dam, jakiego tu nikt nie ma. Ale wino to zawdzięczam przypadkowi. Lat temu kilka, mówił siadając Jaksa: byłem taki słaby, żem myślał, że mnie już licho weźmie. Nadjechał tu doktór Niemiec, więcem się go chciał poradzić, aby też wiedzieć, jak długo pociągnę. Ten mi powiada: „Jedź waszeć do Bardjowa na Węgry, napij się wody, wykąp, a ozdrowiejesz". Niebardzom miał o czem jechać, ale jeszcze tam coś się znalazło na sprzedaż dla Żydków. Siadłem na koń i ruszyłem na Węgry, do tego Bardjowa. Poznaliśmy się serdecznie z Węgrami, pobratali, nieraz popili, i oto mi jeden magnat, Paloczay, przysłał na wyzdrowienie zupełne beczkę tokaju. Jeszcze i para wołów, co ją przywiozła, karmiła mnie jakiś czas, bom ją sprzedał. Niech mu tam Bóg nagrodzi. Tego tokaju butelkę wysączymy.

Repeszko nadspodziewanie znalazł się przyjętym. Półmiski i talerze były wprawdzie pootłukane, ale porcelanowe; na wazę dano niezły krupnik, potem bigos i zająca pieczonego. Czegoż więcej żądać? Tokaj w ogromnych kieliszkach, czysty jak złoto, smaczny

był jak nektar, pachniał po całym pokoju. Po pierwszym kieliszku Jaksie dziko zaświeciły oczy; nie wesele, ale smutek i boleść dobyło z niego wino.

— Ja cię nie znam — rzekł, podparłszy się na łokciu Jaksa, po długiej chwili milczenia, — ale wiem, żeś lichwiarz, spekulant i dusigrosz.

— Kasztelanicu, to potwarz!...

— Daj pokój! dosyć na ciebie spojrzeć: masz tu na czole wypisane. Pij wino!

Repeszce tokaj smakował, ale naleganie napełniało go obawą, do czego to zmierzało?

— Pij wino! nierychło się z podobnem spotkasz... Ażebyś zaś strachu daremnego nie miał, powiem ci odrazu, po com cię sprowadził.

Repeszko, który był już kieliszek ujął, postawił go z wolna.

— Słuchaj! życie mi tu obrzydło! zawołał Jaksa. Odłączony, samotny, zabijam się myślami; nie mam czem żyć, bo mi brak celu, nadziei, jutra... Chcę pójść gdzieś w świat, daleko... Zostało mi z dawnej zamożności ot to gniazdo, które burza rozbiła; trzymałem się w niem długo, myślałem, że tu umrę, i że trumnę moją wrzucą do pustej kaplicy ostatnią. Ale już mi wyżyć ciężko, muszę to raz skończyć. Nie doczekam, czego czekałem. Sprzedam ci zamek cały, jak go widzisz, dwór, ogród, grunta... Kupuj!...

Repeszko, słuchając, usta otworzył. Propozycja była tak w swoim rodzaju dziwna, niespodziewana, osobliwsza, iż z razu nie umiał na nią wcale odpowiedzieć.

Upłynęła długa chwila milczenia.

— Ale szanowny kasztelanicu! odezwał się pan Repeszko, rozważywszy nieco o co chodziło: chciej z łaski swojej, nie obrażając się, pomiarkować, na co się mnie to zdało?

— Jak to? zamek taki przepyszny?

— Ale, choćby w istocie był najwspanialszy, cóż

ja z nim robić będę? Od Studzienicy ogromny kawał... ni przypiął ni przyłatał. Toż naturalnym nabywcą powinien być albo dziedzic teraźniejszy Rabsztyniec...

Jaksa ramionami ruszył i splunął.

— No... albo Spytkowie, którymby to fundum mogło z biedy do Mielsztyniec...

Począł to mówić Repeszko w najniewinniejszej myśli, nie przewidując wcale, iż samo imię Spytka zrobi na Jaksie wrażenie tak okropne, tak niespodziane, iż nie dokończywszy, p. Nikodem struchlały zamilkł.

W istocie, dosyć było wzmianki o Spytkach, by spokojnego dotąd kasztelanica zmienić niemal w obłąkanego. Porwał się od stołu, bijąc o niego pięścią z całej siły; zaiskrzyły mu się oczy, pofałdowało czoło, zapieniły usta. Odepchnął krzesło, które z hałasem padło na posadzkę, i począł przechadzać się żywymi krokami po salce. Mówił sam do siebie, zdawał się nie widzieć Repeszki, który za stół się tulił, patrzał i trząsł się ze strachu, myśląc: „Co mu się stało?"

— Spytkowie! i to niech wezmą oni, i popioły dziadów, i mojemi łzami krwawemi oblaną ziemię! wszystko... wszystko!... Wzięli mi com miał najdroższego, wezmą i to, im się to należy... Przeznaczenie! Wydarli mi serce!... powinni nawet trupa pochować pod swoim progiem, aby go gnieść nogami... znasz waszmość Spytków? znasz?

— Ale nie, Bóg widzi! nie znam, nie wiem... przypadkiem... klnę się na rany Chrystusowe...

Iwo stanął nagle.

— Tak, usta twoje nie wiedziały, że wyrok na mnie wyrzekły... Gdybyś ty kupił, tożbyś frymarczył, by zyskać, i zamek mój imby się dostał. Wyresturowaliby go i mieszkali... Nie może być inaczej...

Niezrozumiałego coś pomruczał, potem zamilkł, nagle, podniósł głowę, i popatrzywszy na Repeszkę, krzyknął groźnie:

— Zkąd wracałeś, gdym cię spotkał?

Pan Nikodem się zająknął.

— A no... z Mielsztyniec...

— Tfu! głupi, powinienem był zgadnąć po safianowych butach i atłasowym żupanie... Coś tam robił? mów mi prawdę! po co tam jeździłeś?

— Ależ, panie kasztelanicu dobrodzieju! bełkotał Repeszko: ja ich nie znam... wysokie progi na moje nogi. Mam spór graniczny o łąkę; pojechałem, chcąc go załatwić sam, zgodnie, ale cóż?... odprawili mnie z kwitkiem, nicem nie wskórał...

— Byłeś dziś — począł zamyślony kasztelanic — dziś. Mów, kogo tam spotkałeś?... kogoś widział?

Repeszko, nieco ochłonąwszy, począł z jak największemi szczegółami opowiadać bytność swoją w Mielszyńcach, jak go wprowadzono, co widział, a nareszcie kogo wychodząc spotkał. Iwo słuchał z nadzwyczajną uwagą, a gdy przyszło do ostatka, twarz jego nabierać zaczęła coraz straszniejszego wyrazu; oczy płonęły, rozśmiał się dziko i rzucił tylko pytanie:

— Prawda? piękna pani, śliczna pani! i wygląda dziwnie młodo! i śmieje się tak wesoło... *jakby nigdy w życiu nikogo nie zabiła...*

Wyrazy te, które mu się mimowolnie wymknęły, chwycił Repeszko chciwie, zadrżał i nie mógł się wstrzymać od wykrzyku:

— Jak to? zabiła?

Ale kasztelanic już był panem siebie; posępne wejrzenie zwrócił na pytającego.

— Kto ci to powiedział? gdzieś to słyszał? Milcz! słyszysz? milcz! lub... Jam tego nie powiedział, to fałsz! Zapomnij o tem... to szaleństwo moje... a jeśli odważysz się kiedy...

Kasztelanic kielich, który trzymał w ręku, zgniótł na kawałki, rzucił okruchy na stół i spojrzał milcząco na Repeszkę, który drżąc jak liść, ust już nie śmiał

otworzyć. Potem nalał sobie wina szklankę, wychylił duszkiem i rzekł:

— Kupujesz, czy nie? Pokażę ci co mam na sprzedaż, chodź... Sprzedam tanio, z warunkiem tylko, by nigdy odsprzedane nie było do Mielsztyniec.

— Ale ja... ja nie jestem kupcem...

— Obejrz-no! zawołał kasztelanic — potem powiesz. Dam za bezcen, bo muszę stąd uciec... muszę! Jużem się dosyć namęczył, a nie doczekam niczego...

To mówiąc, Iwo otworzył drzwi.

— Chodź! rzekł.

Nie z wielką ochotą poszedł za swym przewodnikiem Repeszko; ale go podtrzymywała nadzieja, że się wprost później do swojego wózka dostanie i uciec będzie mógł do domu, czego najmocniej pragnął. Obawa jego rosła, a chmurniejsze coraz oblicze kasztelanica nic miłego nie wróżyło. Przez gąszcze wydobyli się na podwórzec. Oprócz mieszkalnego skrzydła zamku, które jakby odłamane od całości, stało na gruzach zalegających wszędzie kupami dziedziniec, nic tu nie pozostało z dawnych budowli. Iwo zapewnił tylko, że zachowały się w całości dziwnie suche, jasne i piękne podziemia, lochy i składy sklepione, ale do nich Repeszko iść się nie napierał. Tradycja, jeszcze z firlejowskich czasów utrzymująca się w okolicy, mieć chciała, że gdzieś w tych lochach, za zamurowanemi żelaznemi drzwiami, część znaczna skarbów możnej rodziny zachować się miała; ale mimo poszukiwań niejednokrotnych, nic dotąd nie odkryto. W razie sprzedaży kasztelanic własność tych skarbów sobie zabezpieczał, trzecią ich część tylko ofiarując temu, któryby wnijście odkrył. Repeszko, spoglądając na stosy cegieł i kamieni, uśmiechnął się jakoś niedowierzająco. Przychodziło mu na myśl opowiadanie starego księdza o odkrytej skrzyni pod pniem ołtarza u św. Michała w Lublinie.

Jakkolwiek chciwy, na tego rodzaju wędkę zła-

pać-by się był nie dał szanowny p. Nikodem; życie oduczyło go marzeń. Obszedłszy główny dziedziniec, potem dokoła reszty murów obwodowych, zajrzawszy do krągłej baszty, panującej nad okolicą, z której widok był przepyszny, spuścili się z wałów obrosłych drzewy, do przylegających ogrodów, równie zapuszczonych jak zamek cały. Kasztelanic chodził wśród tej ruiny posępny; niekiedy tylko uśmiech krzywił mu usta...

— *Sic transit gloria mundi!* szeptał. Dziś rano oglądałeś waszmość wspaniałe Mielsztyńce, zachowane jak w pudełku; po południu patrzysz na skutki macierzyńskiego obchodzenia się natury z pracą człowieka. Nie powiem, żeby to pięknie wyglądało; ale przyznaj, że człowiek jak ty, z pieniędzmi i bez przesądów, któremu gruz ten nic nie mówi, dla którego on, jak dla mnie, nie jest świętością i wspomnieniem, mógłby z tego zrobić wspaniałą rzecz... przepyszną... Byłbyś mospanie jak król na Rabsztyńcach: zamek, ogród, sady, staw... a któż jeszcze wie, cobyś dłubiąc pilno w tych zwaliskach, mógł poodkrywać, nie licząc zamurowanych skarbów.

Nareszcie przybyli do starej kaplicy, która pod wałami stała... Od dawna nie odprawiano w niej nabożeństwa.

Kościołek wewnątrz odarty był ze wszystkiego; i głównego i bocznych dwóch ołtarzy ślady tylko na ścianach pozostały.

Z jednego boku kamienne sklepienie grobowe obaliło się, i przez nie widać było, jak czarną przepaść, podziemie, w którem stały trumny... trumny leżały porozbijane, potrzaskane, pogniłe, w jakichś siwych popiołach z ciał ludzkich... Kasztelanic patrzał w tę głąb z ciekawością, Repeszko ze drżeniem. Przychodziło mu na myśl, że się może sklepienie zawalić...

— Przyznam ci się, rzekł kasztelanic, siadając na kamieniu i wskazując obok siebie miejsce dosyć nie-

wygodne gościowi, że na tę kaplicę naszą miałem szczególne projekta, starając się koniecznie zostać przy fundum w Rabsztyńcach. Myślałem, że wyrestauruję ją, oczyszczę groby i że tu kiedyś obok moich dziadów stanie trumna dębowa... Byłbym tu sobie spokojnie spróchniał obok przodków, co zawsze jest rzeczą przyjemną. Ale tych słodkich nadziei trzeba się pozbyć, a razem i Rabsztyniec.

Posiedzieli tak chwilę. Iwo wstał i westchnął.

— Chodźmy, rzekł: nie mam ci co więcej już pokazać; kaplicę zostawiłem, jako najlepszy przysmak, na ostatek.

— Kupujesz, czy nie? zapytał.

— Szanowny panie! ośmielił się naostatek przemówić Repeszko: szlachetne serce pańskie i wzniosły umysł jego...

— Nie smaruj, proszę, przerwał Iwo. Do rzeczy!

— Łatwo pan pojmujesz, mówił dalej Repeszko: że kto nabywa i płaci, ten musi potrzebować tego co kupuje, a mnie to na co? Ja jestem człowiek ubożuchny, pokorny, maleńki... zbytków takich, żebym kościoły fundował i zamki zakładał, pozwalać sobie nie mogę.

— Nie kłam, nie kłam! masz kapitały, rzekł kasztelanic.

— Ale gdybym i miał, mój Boże! ze skruchą rzekł Repeszko: toć muszę ich tak użyć, aby mi coś przyniosły; a cóż ja z tego zrobić mogę, abym choć grosz dostał?

— Ciężka z tobą sprawa, zawołał Iwo. No — ale polowanie w lasach, póki ja tu jeszcze jestem, zapewnione, nie prawdaż?

Repeszko się skłonił i dobył zegarka, chcąc się już uwolnić; kasztelanic go wstrzymał.

— Powiedz mi, spytał po cichu: widziałeś Spytkową?

Repeszko spojrzał na niego zdziwiony.

— Przechodzącą tylko...

— Opisz mi ją, jak wyglądała? czy miała twarz uśmiechniętą? żadnej chmurki nie dostrzegłeś na jej czole?

— Szła z synem? spytał. Prowadziła go za rękę... czule?

— Tegom nie spostrzegł, odparł Repeszko; śpieszyła tylko widocznie do męża, biegła żywo, trochę zasępiona. Twarz pełna powagi i nieco surowa, trochę na niej nawet smutku.

— Smutku, czy tylko pomieszania? zapytał Iwo: jak ci się zdaje?

— Prawdziwie, tego ja nie potrafię określić, nie znając osoby.

— Zawsze mówisz, żeś wesela nie widział?...

— Tak mi się zdaje.

— Będziesz jeszcze w Mielsztyńcach? zapytał po chwili kasztelanic.

— A no, muszę dla tej łąki, odparł Repeszko; ale mi się coś zdaje, że mi już do zamku i do pana przystępu nie dadzą, i pewnie tylko do Dzięgielewskiego odeszlą.

— Jednak, gdybyś tam był... słuchaj... to mi opowiesz coś widział...

Repeszko się skłonił. Coraz dla niego niezrozumialszym był kasztelanic, ale też co chwila większą budził w nim obawę. Zeszli tak rozmawiając na dół. Bryczka stała nieopodal. P. Nikodem począł żegnać się, a Iwo, jakby o owym projekcie sprzedaży całkiem już zapomniał, nie wstrzymując go wcale, kiwnął głową tylko, pożegnał i poszedł powoli do swego mieszkania.

Pozbywszy się go, lżej odetchnął nieszczęśliwy nasz przybylec, dopadł do wózka, chłopcu zdrzemanemu dał w kark, i kazał do domu pośpieszać. Przeznaczono mu wszakże było tego dnia same spotykać niespodzianki. W drodze, nie dojechawszy do dworu,

napędził pieszo wracającego z przechadzki starowinę księdza proboszcza Ziemca. Szedł on na plebanję, a postrzegłszy zwykłego swojego maryaszowego gracza, począł na niego machać ręką i dawać mu znaki, aby do niego wysiadł. Choć dobrze zmęczony, Repeszko odesłał konie i zsiadł z wózka, pieszo już myśląc powrócić po rozmowie ze staruszkiem. Ale ten go na wieczerzę zaprosił, a wieczerza dla człowieka, co w domu nigdy nie jada, jest rzecza miłą i pożądana. Ks. Ziemiec się nudził więc siedli zaraz do maryasza. Począł go pytać: gdzie był? co robił? kogo widział? P. Nikodem nie miał powodów tajenia się z niczem, a głowę pełną osobliwych wrażeń dnia tego; począł więc ze wszelkiemi szczegółami całą swą podróż i jej przygody opowiadać.

Dopóki była mowa o Mielsztyńcach, ks. Ziemiec głowę miał spuszczoną, milczał i nie przerywał; ale gdy począł o spotkaniu z kasztelanicem, jakby go co tknęło, starzec karty rzucił, oczy podniósł, i ramionami zżymnąwszy, niecierpliwie kilka razy mruknął:

— No! patrzajcież! no! jeszcze czego nie stało! do tej pory nie zapomniał!

Repeszko zdał jak najdrobnostkowiej sprawę ze swej utrapionej bytności w Rabsztyńcach, uważając, że staruszek mimo to celu zaproszenia dobrze zrozumieć nie mógł; dopiero gdy przyszedł w opowiadaniu do ostatnich zapytań, proboszcz się rozśmiał i zawołał:

— A tuś mi! to tak, jak w liście, gdzie *postscriptum* dopiero istotny interes zawiera.

— Wyspowiadałem ci się, mój ojcze — dodał pan Nikodem — terazże mi to wynagródź choć kilku słowami, bo jestem, jak w rogu, tutaj. Ludzi nie znam, co się ze mną dzieje, nie rozumiem, a ten szalony pałka Iwo Życki... jest dla mnie zagadką.

Ksiądz się zamyślił.

— A jużciż! — rzekł po chwili poważnie: — nie-

których objaśnień waćpanu udzielić muszę, dla tego samego, abyś się w postępowaniu swem miał czem pokierować; ale zaklinam was, nie paplajcie!

— Ojcze dobrodzieju! — zawołał Repeszko, składając ręce: — nie znacie mnie jeszcze!..

Mówiąc to, tak świętoszkową miał postać, że ksiądz, gdyby był miał lepsze oczy, byłby się pewnie jej przeląkł.

— No, no! co do Jaksy, ja jegomości zainformuję — szepnął; — ale jeszcze raz przestrzegam, że, jeśli tknę mimowolnie w opowiadaniu Spytków (bo to rzecz nieuchronna), niech to idzie, jak w grób, jak w wodę.

— Ale, jak w wodę! jak w wodę! — powtórzył, uderzając się w piersi, gość, który uszy nastawił, oczy otworzył, i o mało na staruszka cały nie padł, tak się ku niemu pochylił, by nie stracić słowa.

Ksiądz Ziemiec po namyśle krótkim mówić począł:

— Są tajemnice rodzin godnych, od losu ciężko dotkniętych, które cierpią z dopustu bożego; te każdy człowiek szanować powinien, i ani nawet wnikać w nie, aby tych ran dotknięciem nie drażnił. Ale są kary Opatrzności, domierzone na płochych i występnych, które publicznemi być winny, aby grozę i bojaźń obudzały. Nie potrzebuję dodawać, że właśnie w tych dwóch wypadkach są rodziny Spytków i Jaksów.

Co się pierwszych tycze, niech tam tajemnica pokrywa, dlaczego się od świata i ludzi odsunęli, i w odosobnieniu, a godnie cierpią dolę swoją. Historja za to pana Iwona Jaksy Życkiego żadną dla ludzi nie jest tajemnicą i być nie powinna. Ojciec jego, kasztelan p***, wiele już na świecie dokazywał. Był żołnierzem, ale i warchołem niepospolitym; majątku nad-

tracił, żonę z klasztoru porwał, ludzi narąbał i nastrzelał niewinnych, co niemiara, a jedynaka dziedzica wychował, że zszedł na to, czem go waszmość widziałeś. Rodzina niegdyś godna, w Rzeczypospolitej wielkich i starych zasług, bodaj nie książęcego pochodzenia, ale w tej krwi, przy wielkich przymiotach, i wielkie też trafiały się ekscesa. Już w XVI wieku chylili się ku upadkowi. Rodziny gałąź główna w końcu już przez jednego p. kasztelana była reprezentowana, a temu został syn jedynak Iwo. Ojciec zmarł, swoboda smakowała, fantazja gnała, rzucił się za granicę; ale nigdzie miejsca nie zagrzał. Tam kogoś porąbał, tu zastrzelił, owdzie burdę głośną zrobił, i trzeba się było wynosić. Wrócił do domu, sądząc, że on, co po całym niemal świecie sławę rycerską pozyskał, u siebie jeno się pokazać potrzebuje, by przed nim wszystko na twarz padało. Szumnie wystąpił w Rabsztyńcach... pojechał do stolicy na sejm, przepychem gasząc możniejszych. Przy takiem życiu Rabsztyńce rychło w cudze ręce pójść musiały, a ludzie u nas dobrze rachować umieją. Tymczasem w sąsiedztwie wpadła w oko p. kasztelanicowi panienka, w której się szalenie pokochał. Była to panna Brygida Zbąska, z familji możnej niegdyś, ale podupadłej na majątku. Ojciec jej miał wieś jedną wielką. Muszę odrazu powiedzieć waszmości, że panna Brygida Zbąska jest dziś najgodniejszą z niewiast, małżonką mego dobrodzieja, pana Spytka z Mielsztyniec.

— A! teraz rozumiem! — zawołał Repeszko.

— Nic jeszcze jegomość nie rozumiesz — odparł ksiądz.

— Ale przepraszam, już wiem dlaczego się tak o nią dopytywał — dokończył gość.

— Dajmy na to — rzekł ks. Ziemiec. — Więc kiedyś waszmość zrozumiał, to i moja historja skończona. Kasztelanic się kochał w pannie na zabój, a Spytek się z nią ożenił.

— Ale jakże to było? jak? proszę księdza proboszcza.

— Tego ja tam nie wiem...

— Bo wyrwało się temu zawadjace słowo, że mi włosy na głowie stanęły. Gdy się mnie po raz pierwszy dopytywać o nią począł... rzekł (ot, mogę jego własne wyrazy powtórzyć) rzekł wyraźnie: „Piękna pani! śliczna pani! Wygląda dziwnie młodo, śmieje się tak wesoło... *jakby nigdy w życiu nikogo nie zabiła...*" Potem, postrzegłszy, że się wygadał niedobrze, zaklął mnie i zagroził, żebym tego nikomu, a nikomu nie powtarzał.

— A po cóż mnie to mówisz? — spytał chmurno ks. Ziemiec.

— Ojcze! wam, tó tak, jak na spowiedzi — uniewinniał się Repeszko.

— Milczcież już, milczcie! na miłego Boga, nie chcę nic wiedzieć więcej, nie słucham, i nic nie powiem. Dosyć tego. Waszmość sobie narobisz nieprzyjaciół. Milcz! milcz!... proszę i zaklinam!...

To mówiąc, rzucił ksiądz karty marjaszowe, Repeszko go w rękę pocałował, i tak się rozstali.

Najmniej przenikliwe oko, patrząc na Mielsztyńce, odgadywało tam ukrytą boleść jakąś, pokutę, — ranę, która się oczu ludzi lękała; ale szacunek dla rodziny wstrzymywał lekkomyślną ciekawość.

W samym zamku mielsztynieckim, najstarsi nawet słudzy domu, których kilka pokoleń zżyło się z rodziną, niewiele dziejów jej wiedzieli. Głębokie milczenie okrywało te tajemnicze przygody, zaszłe jeszcze wprzód, nim z Krakowskiego tu się na dobrowolne wygnanie przenieśli.

Różnie sobie tłómaczono te dwa wizerunki przodków na katafalkach, tę śliczną postać kobiety, która

na białej szyi krwawą nosiła pręgę. Częste wspomnienia Emilji Spytkówny w pobożnych modłach, tradycja, że ją wystawiał ten portret, wiszący w sali, że skończyła śmiercią tragiczną, nagłą, o której szczegóły nikt nie śmiał się pytać, na nią szczególniej zwracały uwagę domowników. Wieczorem też, przechodząc około jej wizerunku, obawiano się nań spojrzeć, a głucha wieść twierdziła, że się często pojawiała z tą różą rozkwitłą w ręku, ukazując na szyję zakrwawioną. Mianowicie, gdy nieszczęście jakie dotknąć miało Spytków rodzinę, duch Emilji zawsze się komuś objawiał. Od śmierci tej panny spadły wszystkie klęski na Spytków. Dzieci umierały w kolebkach; więcej nad jedno, jakby tylko umyślnie na spadkobierstwo kary, z żadnego małżeństwa się nie wychowało. Od kilku pokoleń żaden Spytek nie miał nad jednego syna, a choć pragnęli córki, nie przyszła na świat już żadna: owa Emilja była ostatnią... Dziwnym też fenomenem, Spytkowie zeszli na wzrost prawie karli; każdy z nich od ojca był mniejszy, a choć ułomności żadnej widać w nich nie było, maleli i drobnieli, tak, że niemal wstydzili się światu pokazać. Przychodzili na świat z nadzieją, że zwykłego dojdą wzrostu; potem nagle młodości brakło, i przed zwykłemi laty rosnąć przestawali. Uważano nawet, że Eugenjusz, którego matka była pięknej i wspaniałej postawy, choć go w klimacie obcym, za radą lekarzy, żywiąc jak najposilniej, wychowywano, nie dorósł ojca, i mimo najpiękniejszych kształtów ciała, nadzwyczaj był wątły i drobny. Umysł w nim dojrzał przedwcześnie, władze duchowe się rozwinęły; lecz roślina ludzka, dotknięta jakąś fatalnością plemienia, na łodydze usychała.

Nie dziw, że nosząc na sobie to brzemię jakieś wspomnień tajemniczych i groźby przyszłości, Spytek ojciec był smutny i milczący. Cały też dom dzielił się tą żałobą jego, i rzadko się weselszy śmiech rozległ po komnatach starożytnego gniazda.

Troska o dziecię, obrzędy pobożne, uroczystości żałobne, zachowywanie wszelkich podaniowych obyczajów, przywiązanych do pewnych dni w roku, czytanie, rozmyślanie, przechadzka w ogrodzie zamkniętym, — stanowiły całe życie Spytka, który naówczas tylko ukazywał publicznie, gdy tego uniknąć nie mógł. Do tego trybu musiała się zastosowywać i pani, chociaż dla niej daleko to było trudniej.

Wychowana inaczej, spędziwszy młodość na swobodzie, w uboższym, a gościnnie zawsze dla wszystkich otwartym dworku szlacheckim, panna Brygida musiała się, poszedłszy za mąż, zastosować do nawyknień męża. Poddała się warunkom jego życia, ale nie wyrzekła się jednej dziwnej w kobiecie namiętności: zamiłowania w myśliwstwie. Ojciec jej był zapamiętałym łowcem; od dziecka córka mu w wyprawach towarzyszyła, strzelała, jak żaden z mężczyzn, jeździła na najdzikszych koniach, i choć w domu umiała dni spędzać u krosien, gdy posłyszała trąbkę, gdy psy się odezwały pod oknami, zrywała się, jak szalona, i nic jej naówczas powstrzymać nie mogło. Myśliwstwo w Mielsztyńcach urządzone było po królewsku. Stary koniuszy, a razem nadłowczy, Kmiecic, towarzyszył zwykle nieodstępnie pani we wszystkich jej wycieczkach. Oprócz tego, szedł na wypadek wózek parokonny, koń luźny, a maleńkich strzelbek do zmiany wieziono tyle, żeby nigdy na nabijanie czekać nie potrzebowała. Późną jesienią pani Spytkowa jeździła z chartami, które tak wilka brały, jak najprostszego kota, a w dojeżdżaniu nikomu się wyprzedzić nie dała, i konie jej szły narówni z psami najrączszemi.

I tego dnia, którego się spodziewano powrotu Eugenjusza z zagranicy, chcąc na jego spotkanie wyjechać, pani wzięła z sobą myśliwych i popędziła konno, a dopiero gdy syn się ukazał, z nim do powozu się przesiadła.

Mimo poszanowania, jakie obudzała, charakter

pani Brygidy nie mógł jej serc jednać; była dobrą dla otaczających, ale obcą wszystkim. Prędzej sam Spytek rozmową, słowem, uśmiechem zbliżył się do kogo i dowiódł, że z nim czuje się członkiem jednej, wielkiej ludzkiej rodziny.

Gdy Pan Bóg dał jej syna, zdawało się, że te lody pękną. Chwyciła dziecię, namiętnie przyciskając je do łona... chciała je kochać, rozwiązywały się usta, zabiło serce, ale lekarze nie dozwolili karmić jej samej, dziecię potem odesłano pod cieplejsze niebo, wydarto jej tę pociechę.

Dziecię ledwie raz w rok przywożono do Mielsztyniec. Były to dla niej dni uroczyste, gorączkowego zajęcia; ale zarazem z obejścia się z synem znać było, że ten związek serdeczny, który życie powoli każdą chwilą razem przebytą utrwala, został zerwany między nią a tem dzieckiem. Z ciekawością wpatrywała się w nie, badała, a czuła mu się obcą. Matką więc była tylko z imienia, choć w czasie pobytu dziecka w Mielsztyńcach zbliżała się często ku Eugenjuszowi, jakby dobyć z niego chciała rzeczywiste przywiązanie dziecięcia...

Z planów, zapewne głęboko obmyślanych, wynikało, że chłopak chować się musiał między obcymi, zdala od wrażeń, jakie w domu rodzicielskim mógł odbierać, powierzony opiece najtroskliwiej wyszukiwanych piastunów i nauczycieli. Strzeżono go od marzeń, wdrażano do rzeczywistości, zabijano w nim umyślnie zbytnią czułość i namiętności gwałtowniejsze, których wybuchu zdawano się spodziewać. Ojciec pomimo to nastawał mocno, aby dziecię bardzo religijnie w wierze ojców, w nawyknieniu do praktyk jej wzrastało.

De Bury, nauczyciel młodego Eugenjusza, był najzapaleńszym zwolennikiem Jana Jakóba Russa... W jego pismach upatrywał jakby nowe światło, jutrzenkę nowej ery; a jak wielu naówczas, godził ma-

rzenia filozofa genewskiego z zasadami chrześcijańskiemi.

W Mielsztyńcach ścisłość religijna była nader wielka. Kaplica zamkowa była filją parafjalnego kościoła, dosyć oddalonego, na słotne i chłodne pory roku; ale mimo przywilejów, jakie miała, Spytek w dni uroczyste poczuwał się do obowiązku odprawiania nabożeństwa w miasteczku, razem z innymi parafianami. Odbywało się to z pańską wystawą: szły powozy stare, ozdobne, poprzedzane przez masztalerzy, ze służbą w wielkiej liberji, z rękodajnymi dworzanami, hajdukami i t. p. Kawalkata zajeżdżała przed kościół, a proboszcz zwykle ze święconą wodą wychodził naprzeciw dostojnym kolatorom, którzy we drzwiach przyjęci, zamykali się potem w osobnej loży, przy wielkim ołtarzu, dla nich umyślnie wzniesionej. W takich razach kapelan, najczęściej zakonnik, towarzyszący państwu, rozdawał obfite jałmużny, po które żebractwo się w te dni zdala zbiegało.

Spytek sam przestrzegał, aby domownicy wszyscy równie z nim uczestniczyli w nabożeństwach i zachowywaniu religijnych obyczajów miejscowych, które każdy niemal kraj sobie wyrobił w pierwszych wiekach gorliwości. A na tych chrześcijańskich ucztach, na które gdzieindziej liczne się zjeżdża sąsiedztwo i rodzina, w wigilję Bożego Narodzenia i na Wielkanocne święta, w Mielsztyńcach pusto było i nikt, prócz starszyzny i oficjalistów, do stołu nie siadał. Łamano się opłatkiem, dzielono święconem jajem w milczeniu jakiemś smutnem.

Można sobie wystawić, jak księdzu de Bury, odwykłemu od praktyk ścisłych, wydawać się musiał dom ten, istny klasztor ostrej reguły. O ósmej rano dzwoniono na mszę świętą do kaplicy zamkowej; naówczas co żyło we dworze, musiało jej być przytomnem. Po mszy, następowały wspólne modlitwy, śpiewy, czasem medytacje... i dodatkowe obchody, wedle

pory roku. Wieczorem wspólna modlitwa na Anioł Pański znowu skupiała wszystkich. Środa, piątek i sobota obchodzone były ścisłym postem; w piątek sam pan Spytek suszył zawsze i do stołu nie siadał nawet; w wigilję także, adwent, wielki post czterdziestodniowy, suche dni kwartalne, jadano z olejem, lub wodą, kto oleju nie znosił.

Spytek, ile razy syn powracał mu latem do domu na parę miesięcy, niespokojnem okiem badał rozwijanie się tej jedynej rodu swojego gałązki. Dopóki był młodszym Eugenjusz, łudził się i cieszył postępami, swobodą, weselem... ale od lat kilku już radość tę zastąpił niepokój; wogóle dostrzegł ojciec, że dziecię obce jest domowi, rodzinie. To go przerażało.

Stosunek ojca do syna i matki do jednego dziecka był zaprawdę dziwny.

Pieszczono to dziecię, ale szczerszem słowem nikt do niego nie przemówił... Ojciec nie umiał, czy nie mógł, matka jakby się lękała. Władał nim ten, któremu rodzice przekazali całą swą moc nad nim i prawo, — miły, słodki, dowcipny i rozumny ksiądz de Bury, ale wedle teorji, nie wedle serca.

Jeżeli zamiarem było zawczasu ten niebezpieczny organ życia w nim zniszczyć i nieczynnością ostudzić, można rzec, że się wychowanie doskonale udało: Eugenek żył głową, myślą, jak najmniej uczuciem. Nie obrachowali nauczyciele może, iż rozbrajając serce, niepodobna fantazji związać, myśli spętać, namiętności sparaliżować; a gdy przeciwwagi uczucia niema, naówczas ta fantazja i namiętności dalej mogą zaprowadzić, niż słabe serce znieść potrafi...

Dzień ten, na który wypadkiem trafił do Mielsztyniec pan Repeszko, był dla Spytków uroczystym. Po roku niewidzenia, odzyskiwali to dziecię, na którem wszystkie ich spoczywały nadzieje, i mogli śledzić w niem rozwijanie się o przyszłości stanowiące.

Nie dziw, że ojciec, drżąc, go oczekiwał, że matka przeciw niemu wybiegła, aby go prędzej zobaczyć.

Ksiądz de Bury po raz pierwszy przybywał z wychowańcem do nieznanego sobie kraju i domu.

Z ciekawością spoglądał na wszystko. Z niemniejszą wyczekiwał na niego Spytek, który jakoś wcale różne sobie wyobrażenie był uczynił o księdzu i guwernerze swego jedynaka; uderzyła go odrazu ta powierzchowność zbyt światowa.

Gdy weszli do pokoju ojca, a dziecię rzuciło mu się na szyję, nie jak po polsku wypadało, do nóg, gdy po za chłopakiem ukazał się ufryzowany, młody, uśmiechający się księżyna, stary pan Mielsztyniec zadrżał. W jednej chwili pojął, poczuł, że stracone było wszystko, że syn jego tym nie będzie, kim on go mieć chciał. Był dobrym fizjognomistą i sędzią ludzi, nie mógł się na tem nie poznać. Zbladł pan Spytek, zadrżał, ręce jego objęły syna... ucałował go w czoło, ale łza, która się na czoło dziecka stoczyła, już go opłakiwała. Druga jeszcze okoliczność uderzyła go nieprzyjemnie: Eugenek, który od przeszłego roku powinien był wyrosnąć, nie zdał mu się ani odrobinę wyższym. Ojciec poczuł w objęciach, że dziecię nie urosło, że rosnąć od roku przestało... że było niższe od niego... trwało więc nad rodem jego przekleństwo...

Ale oba te nieprzyjemne wrażenia pokrył siłą woli, uśmiechnął się i wrócił do układnego Francuza, który przygotowany komplement deklamował z odwagą i przytomnością umysłu niezachwianą.

Spytek połknął to grzecznie, a patrzał na syna tylko, na którym też i oczy matki spoczywały z gorącą ciekawością...

Eugenek, który ani się hamować nie widział potrzeby, ani żywości swej ukracać, po chwilce spoczynku, ruszył się żwawy, swawolny, niecierpliwy, budząc wszystkich zapytaniami i okazując, że niczyjej powagi za wyższą nad potęgę swej młodości nie uznaje. Tknę-

ło to Spytka, nawykłego do wielkiej w domu karności, ale przy obcym nie śmiał się odezwać.

Ciche pokoje zamkowe, w których oddawna wesoły śmiech się nie rozlegał, po raz pierwszy od lat wielu posłyszały odgłosy wiosenne tej radości, co nie wie, z czego wyrasta, dlaczego jest, a czuje się na świecie potrzebną ludziom i sobie. Tylko w sercu starego Spytka ten śmiech dziecka odbił się, jak okropna wróżba ciężkich boleści, któremi się musiał opłacić; ścisnęło mu się serce na myśl, że Eugenek ani przeczuwa ciężarów swej doli. Matka także to na ojca, to na niego, patrzała smutnie zdziwiona.

Dziecko w jednej chwili uścisnąwszy ojca, potem ucałowawszy mu nogi, pobiegło do matki, aby jej nie być zaległem w pieszczotach; z ciekawością przemyszkowało kątki wszystkie, zajrzało, gdzie tylko mogło, wdrapało się do okna, powąchało stare księgi ojcowskie, i jużby się było chciało wyrwać na swobodę, aby księdzu swemu pokazać cały zamek... opowiedzieć, co niegdyś tu od sług słyszało... polatać...

A jednakże ten trzpiot tak swawolny miał mimo fizjognomji swej dziecięcej, lat szesnaście przeszło.

Przeczuciem matki wiedziona, chcąc razem syna uwolnić z tego więzienia, a ojca z nauczycielem zbliżyć, pani Brygida skinęła na niego, aby z nią wyszedł, i wywiodła go z sobą do sąsiednich pokojów.

Eugenek widywał je co rok, ale zawsze dziwny zamek ów zaciekawiał go tysiącem rzeczy. I tym razem wybiegł, witając najprzód trupią głowę w rycerskim hełmie, z ruchowatością śmiałka, który się już nawet śmierci nie lęka, a potem ścigając milczącą matkę pytań tysiącem.

— A to ta babusia... panienka z czerwoną pręgą na szyi, której historji nikt mi powiedzieć nie umiał, czy nie chciał... ale ja się jej muszę dowiedzieć! — paplał żywo. — Ja już mam lat szesnaście, nie jestem dzieckiem, jestem mężczyzną, powinienem znać hi-

storję domu... A to ten stary, ogromny, straszny pradziad, którego nazywano miecznikiem, choć miecznikiem nie był.

Matka nic nie odpowiadała, on wciąż biegał, witał, zaglądał.

— To dziwna rzecz — mówił — od tylu lat zawsze tu wszystko na swojem miejscu. W pokoju ojca... w tych salach... nic nie drgnie, nic nie przybywa, nic nie starzeje. Ludzie ci sami... zdaje się, że wczoraj stąd wyjechałem...

— Słuchaj, Eugenek — usiadłszy w kątku sali okrągłej i przyciągając go ku sobie, odezwała się Spytkowa: — tyś mnie zrozumieć powinien. Wyprowadziłam cię umyślnie, aby ci powiedzieć rzecz jedną... aby cię przestrzedz.

— Przestrzedz? dobrze... — odparł chłopak — ja jestem posłuszny, gdy tylko mogę.

— Widzisz, jak tu wszystko nieme, milczące, poważne dokoła ojca, który smutek jakiś dawny nosi na sercu. Ty jesteś młody, ty potrzebujesz wesela i hałasu, ale one ojcu mogą być przykre... Wstrzymuj się... nie trzpiotaj, nie śmij się... bądź uważniejszy, bądź z poszanowaniem i umiarkowaniem.

— Moja mamo — rzekł Eugenek — to dobrze; ale kiedy mi w duszy wesoło, że was widzę, żem tu przybył, jakże to ukryć?

— Być wesołym, lecz nie okazywać tego.

— Matko, to zawsze będzie rodzaj kłamstwa.

— Prawda, dziecko moje, smutnie odpowiedziała Spytkowa: na co ja cię go mam uczyć? Wcześnie nauczy cię tego życie... A więc...

Umilkła i pocałowała go w czoło.

— Bądź, jakim cię Bóg stworzył, jak ci serce wskaże... a co się ma stać, to się stanie...

— A cóż się może stać, matko? — zapytał chłopak.

— Nic, nic... Ojciec jest człowiek stary, znękany

smutny; może cię wziąć za bardzo płochego i zmartwić się...

— Dlaczegoż ojciec jest smutny? alboż nie pamięta, że był młodym i wesołym? — mówił Eugenek.

— Już dość, nie zadawaj mi pytań, dziecko moje... Niech cię Bóg błogosławi, niech...

Tu łza się zakręciła w oku, ale śmiech dziecka rzucił w nią jakiś promień radości i uśmiechnęła się także.

— Nie spytałeś o swego konia! — zawołała.

— A! prawda, mój koń, mój arab! Matko! każ wyprowadzić araba! niech Tamara za szyję uścisnę. Czy on mnie też pozna? czy zarży do mnie?

I klasnął w ręce, i pobiegł do dzwonka na stoliku, a w chwilę słudzy się zbiegli i do stajeń posłano, aby Tamar przyszedł młodemu panu sobą się pochwalić.

Gdy tu tak się skończyła rozmowa, w pokoju pana Spytka ksiądz de Bury, chcąc jak najtrafniej pochwalić się postępami wychowańca, pojętemi wedle swych zasad, każdym rysem, każdem słowem raził ojca, który bladł, czerwieniał, nie śmiał się jeszcze sprzeczać, ale przekonywał się coraz bardziej, iż wychowanie syna było chybione, że człowiek, któremu je powierzono, niewtajemniczony, pełen wiary w siebie, poprowadził je koleją wieku, do którego należał, i kraju, którego był dzieckiem. Nie czas już było walczyć, cofać się, gniewać; potrzeba było kielich goryczy, najcięższy w życiu, wypić do dna, nie zmrużywszy oka, nie jęknąwszy nawet. Stało się.

Blady pan Spytek, z załamanemi rękami, słuchał milczący świegotliwego opowiadania, a oblicze jego tak straszna jakaś nagle napiętnowała boleść, że wchodząca po półgodzinnej niebytności żona, przelękła się na widok jego, nie śmiejąc jednak dać poznać po sobie, że to widziała... bo nie wolno jej było pytać. Siedziała milcząca. Eugenek tylko pobiegł do ojca,

chwaląc araba, którego wyściskał i na którego już siąść pragnął...

Na skinienie Spytka, który widocznie cierpiał bardzo, pani Brygida wywiodła księdza de Bury i syna. Gdy drzwi się zamknęły, stary pochwycił się za krzesło, nogi pod nim drżały; wziął się za czoło palące, a potem powlókł do klęcznika i padł na kolana.

— Stań się wola Twoja, Panie! — zawołał. — Widzę zgubę rodziny w tem dziecięciu... Chciałem je uczynić czujnym pracownikiem w Twej winnicy, pokutującym za ojców winy, abyś się nad krwią naszą ulitował — nie zdołałem! Wszystko w mych rękach przeistoczyło się, skarlało, jak ja, znędzniało... Nieuniknione przeznaczenie, wyrok Twój, Panie nieprzebłagany, się spełni... Łzy i modlitwa nie ocalą od zguby rodziny, na zgubę palcem Twym naznaczonej. Stanie się więc wola Twoja... rozsypie się więc w proch znikomy... Walczyłem do ostatka, pragnąc przemienić dolę naszą, wstrzymać śmierć; alem słaby... i oto padam, Panie, i jęczę: weźmij mnie, abym na ruinę nie patrzał i ostatka nie oglądał oczyma mojemi...

Smutnie przeszedł ten dzień pierwszy pobytu Eugenka w domu rodziców, chociaż Spytek miałby się czem pocieszyć, gdyby po ludzku umiał przyjmować pociechę. Po obiedzie bowiem ks. de Bury przyniósł rozpakowany cały stos wypracowań, rysunków, zeszytów naukowych młodego trzpiota, który wielkie zrobił postępy. Pozornie dziecinny, umiał i wiedział więcej, niż pospolicie w jego wieku chłopcy; ale taka nauka nawet raziła ojca, bo w niej na każdym kroku czuć było niecierpliwy umysł, który po za granice teraźniejszości sięgał, pragnąc burzyć i przetwarzać.

Gdy się wszyscy na spoczynek porozchodzili, a nauczyciel rozmyślał tęskno nad nudami, jakich w Polsce doznawać będzie, dla braku stosownego towarzystwa, gdy miał siąść i pisać wrażenia swe dla przyjaciół, pozostawionych we Francji, dla ks. Ray-

nal'a i kawalera Beaumarchais'a, niezwykły o tej godzinie ruch jakiś dał się słyszeć na korytarzach. Ksiądz de Bury, nie budząc usypiającego wychowanka, wyszedł, aby się spytać, co się stać mogło? Byłby wszakże z trudnością się rozmówił, gdyby wypadkiem nie przesunęła się w tej chwili blada, jak marmur, zasępiona pani Brygida. Szła z oczyma wlepionemi w ciemność... z lampką w ręku... Ksiądz troskliwem pytaniem ją wstrzymał...

— Módl się — odpowiedziała mu: — pan i mąż mój niebezpiecznie zapadł...

— Cóż się stało?

— Nic... zachorował....

Była już noc, gdy sługa, czuwający przy panu Spytku, omdlałego podniósł z klęcznika, przy którym się modlił, i pobiegł oznajmić pani. Stary leżał z gorączką silną na łóżku. Natychmiast posłano po lekarza do bliskiego miasteczka, a konie rozstawiono do Lublina, aby nad ranem mógł przybyć lekarz inny, Włoch, który największej sławy w okolicy używał. Spytkowa, na chwilę tylko odszedłszy od łoża męża, wróciła przy nim zająć swe miejsce, milcząca, ale przerażona tem uderzeniem piorunu. Spytek był nieprzytomny, odzywał się jakby do niewidzialnych postaci, łoże jego otaczających; to płakał, to milczał, lub modlił się. Potem, gdy chwilka snu go jakby pokrzepiła, budził się, poznając żonę, odzyskując zmysły, mówiąc chłodno i rozważnie; ale te jasne momenta trwały krótko, a po nich zaraz, jakby mgłą, oblekał się umysł i znów wracali owi umarli do łoża... gorączkowe halucynacje, łzy i modlitwy...

Wśród nocy już przybył najprzód lekarz z miasteczka; ale oprócz gorączki, której uznał istnienie, niczego nie mogąc się dobadać, przepisał tylko lekkie przeciw niej środki; przyczyny choroby były dla niego tajemnicą... Tymczasem noc przeszła bez zmiany; nadedniem nastąpił sen i nieco ulgi... Doktór Włoch

nadążył około południa, gdy znowu gorączka powiększać się zaczęła i stopniami ku wieczorowi rosła, co zwiastowało rozwijanie się choroby, ale charakteru jej jeszcze określić nie było podobna.

W domu posępna panowała cisza; nawet Eugenek z książką w ręku, spokojny i smutny, siedział w sali, a serce jego prawie po raz pierwszy w życiu poczuło obawę i niepokój... Niekiedy blada matka wychodziła odetchnąć do sali, całowała dziecię w czoło, szepnęła słów kilka księdzu... i powracała do łoża...

Czekano przesilenia, które przyjść miało nazajutrz, lub później może. Ale tego dnia gorączka niesłychanie się wzmogła, chwile jasne znikły, chory był całkiem nieprzytomny. Włoch nie krył się z tem wcale, iż nadzwyczaj małą ma nadzieję ocalenia pana Spytka...

Następnych dni dogorywał tylko... wszelkie złudzenia trzeba było utracić. Szczęściem odzyskiwał przytomność, ale w chwilach takiego zwrotu tylu myślami się męczył, tylu obowiązkom chciał uczynić zadość, iż wysiłek zupełne wyczerpanie przyśpieszał...

Dopełniwszy powinności chrześcijanina uroczyście, wedle dawnego zwyczaju, wobec całego dworu, gdyż chwila ostatniego pomazania łączyła się zawsze u nas z pożegnaniem rodziny, sług i wszystkich ziemskich przyjaciół, — Spytek, jakby nieco spokojny, usnął. Była noc późna, gdy się przebudził... Otworzywszy oczy, ujrzał nieruchomą, jak posąg, żonę, która od początku choroby, nic prawie w usta nie biorąc, nie opuszczała na chwilę nieszczęśliwego.

Od pierwszej chwili, gdy zachorzał Spytek, zamkową kaplicę otwarto, wystawiono Przenajśw. Sakrament, i nieustannie w niej na intencję chorego odprawiały się modły.

Wśród ciszy i ciemności, ten oświecony kościołek zdawał się już przygotowywać do pogrzebu.

Przebudzony chory zwrócił oczy na Brygidę i cichym głosem ją przywołał.

— Żegnam cię — rzekł — niech ci Bóg wynagrodzi ofiary twe... On je tylko i ja widzieliśmy... Tam ci one policzone zostaną... Ostatnia wola moja i rozporządzenie... znajdzie się w papierach. Stanie się, co się stać było powinno — musiało. Próżnobym zalecał, zaklinał i chciał się przeznaczeniu wyłamać... Stanie się — powtórzył — co się stać powinno! Niech syn przyjdzie... czuję, że nie dożyję rana.

Spytkowa poszła i przywiodła Eugenka, który przez te dni choroby ojca bardzo spoważniał i posmutniał.

Ojciec spojrzał na klęczącego i położył mu rękę na głowie.

— Dziecko moje, po cóż mam w młodą twą duszę wlewać jad i ból tych zwątpień, które moją strawiły? Niech Bóg odwróci kielich goryczy od ciebie, niech ci oszczędzi nieszczęść, niech błogosławi...

Tu mu głosu zabrakło.

Odwrócił się i podał rękę żonie, która ją w milczeniu ucałowała.

— Zniosłaś swe brzemię cierpliwie — rzekł — dzięki ci za to... Czułem, żeś je dźwigała, aleś to kryła... Zostaje ci wielki obowiązek... to dziecię! a w tem dziecięciu skupia się przeszłość kilkowiekowa rodziny... jej zasługi i jej grzechy... jej posłannictwo i pokuta...

Głos powtórnie słabnąć począł i mowa stała się niewyraźną... Ręką jeszcze dotknął główki pochylonej Eugenka i westchnął... a w westchnieniu tem ducha oddał...

I długie milczenie panowało w komnacie, nim się rozległy ostatnie płacze i ostatnie modlitwy. Ze wschodów zamkowych w dziedzińcu zbiegła wieść, która z ust do ust poleciała po sąsiedztwie: — Pan umarł! pan umarł!...

Mamyż opisywać wspaniały pogrzeb, na który z dalekich stron powinowaci, krewni, ciekawi, niezmiernie liczne duchowieństwo i szlachta, tłumami się zjechali? W istocie ciekawy był może ten obrząd, z całym tradycyjnym przepychem dawnych wieków odprawiany, na którym dwudziestu panegirystów przemawiało u grobu, a katafalk był arcydziełem misternej architektury ornamentacyjnej... Sto kilkadziesiąt tysięcy złotych wydano na opędzenie kosztów nabożeństw, które trwały kilka tygodni. Wszystko, co tylko kiedykolwiek w obyczaju było czynić dla uczczenia zmarłego, zrobiono jak najściślej; żądała tego pani Spytkowa, zapewne przewidując wolę nieboszczyka, lub raczej stosując się do jego zasad, objawianych w innych życia wypadkach.

Zaraz po tym nużącym obrzędzie, wezwani powinowaci do przejrzenia papierów Spytka, znaleźli w nich jego testament.

Datowany on był wieczorem tego dnia, gdy syn przyjechał do Mielsztyniec, i napisany jakby pod wrażeniem obawy śmierci i przymusowego pośpiechu. Obok leżała koperta świeżo rozdarta, która, jak się zdawało, dawniejszy, przy pisaniu nowego zniszczony testament zawierać musiała. Ale z tamtego popiół tylko w kominie pozostał.

Ostatnia wola była nader krótko wyrażona. Spytek żonie polecał opiekę nad synem i zarząd dóbr całych, dozwalając jej sobie wybrać dwóch współopiekunów. Na majątku miała ona dawniej zapewnione bardzo znaczne wiano, a oprócz niego dożywocie na połowie dóbr wszystkich. Kodycyl do testamentu wzmiankował, że gdy Eugenjusz dojdzie do pełnoletności, wręczona mu zostanie rada ostatnia i błogosławieństwo ojca, powierzone osobie zaufanej, która wymieniona nie została.

Zmienił się więc los Mielsztyniec i zamiary względem Eugenka przez ten wypadek. Matka od siebie dziecka oddalić nie chciała; zostawiono przy nim do czasu ks. de Bury. Przewidzieć było łatwo, że choć wdowa z początku najmniejszej zmiany w trybie życia raz zaprowadzonym dopuścić nie chciała, choć zachowała sługi, godziny, obyczaj, szanując oddawna tu utrzymujący się porządek, nie mogło to trwać długo.

Pani Spytkowa liczyła wprawdzie lat trzydzieści kilka, ale wyglądała młodo, bo duszy jej nawet ta walka lat kilkunastu nie zużyła i nie złamała; tak przynajmniej czarne, ogniste jej oczy mówic się zdawały.

Słudzy, szanując ją, lękali się jej więcej, niż samego pana, a niektórzy przewidywali, że pod jej panowaniem Mielsztyńce nie mogą pozostać taką pustką klasztorną, jaką były.

W parę miesięcy ks. de Bury wyjechał do Francji z powrotem, a do Eugenka przywieziono z Warszawy młodego człowieka Polaka, który się wychowywał za granicą. Był to młodzieniec wielkich nadziei i świetnych talentów, pan Tadeusz Zaranek, protestant. Pani Spytkowa, mając go sobie poleconym jak najkorzystniej, nie dowiadywała się nawet o wyznanie; dopiero w Mielsztyńcach okazało się, że był uczniem genewskiego mistrza i gorliwym zwolennikiem Kalwina. Zgorszono się niepomału, iż pomimo to, Zaranek został przy uczniu. Prawda, iż z tą wiarą bardzo się wstrzemięźliwie zachowywał i nawracać na nią nikogo nie myślał.

Eugenjusz potrzebował towarzystwa; ku końcowi więc żałoby, powoli, nieznacznie, dom się otwierać, ożywiać zaludniać zaczął. Matka nic przeciw temu nie miała. Zmiana więc, choć przychodziła nieznacznie i stopniowo, dawała się już czuć w domu, a po pierw-

szych do niej krokach, wiele wróżyć było można. To też wróżono.

Nie skończyła się jeszcze żałoba uroczysta, rok i sześć niedziel trwająca, gdy niecierpliwie pono obrachowujący jej trwanie kasztelanic Iwo, który czatował na to, aby się dostać do Mielsztyniec... schwytawszy na przejażdżce Eugenka, poznawszy się z nim i przypodobawszy młodemu chłopakowi, utorował sobie drogę do nieprzystępnych dotąd dla niego progów zamku.

Kasztelanic, jakeśmy mówili, był jednym z tych ludzi, którzy mimo zaniedbania się, puszczenia cugli i rozpasania, umieją gdy potrzeba, najróżniejsze przybierać fizyognomje. Dla Eugenka stał się powagą, tak umiał go oczarować.

Chłopak, którego matka dosyć pieściła, wpadł jednego dnia do niej, oznajmując, że kasztelanica Jaksę na wieczór zaprosił.

Porwała się na to jak raniona pociskiem pani Spytkowa, i z oczu jej trysła błyskawica. Pierwszy raz zgromiła syna, że śmiał to uczynić bez jej wiedzy, naganiała natychmiast panu Zarankowi, że na to pozwolił, ale koniec końców zgodziła się, by kasztelanic został przyjęty, oznajmując tylko, że do niego nie wyjdzie i widzieć go nie będzie.

Wytłómaczyła to przed synem tem, że towarzystwo tego człowieka znajduje dla niego niestosownem, że między rodzicami była jakaś dawna nieprzyjaźń...

Eugenjusz zamyślił się, posmutniał... ale ani śmiał prosić matki, aby dla niego zmieniła postanowienie.

Rozkazano wszakże, aby przyjęcie było jak najwspanialsze, i wyznaczono na nie paradne zamku pokoje, te właśnie, przez które widzieliśmy przechodzącego pana Nikodema Repeszkę. Pan Zaranek miał sam tylko pomagać Eugenkowi w zabawianiu gościa.

Nie wiadomo nam, jak do tego doszedł mimo swo-

jego ubóstwa kasztelanic, że na oznaczoną godzinę stawił się przed zamkiem nie opuszczony i zaniedbany jak zwykle, ale ubrany wykwintnie, na koniu bardzo ładnym i z masztalerzem, który zastępował nakuliwającego Zacharjasza. Obejście jego zastosowało się do stroju: było łagodne, grzeczne i pełne uprzejmości. Eugenek, który z niecierpliwością młodego wieku oczekiwał na niego w ganku i zaraz mu oznajmił, iż matka jego jest chora, nie dostrzegł najmniejszej chmurki na jego czole. Kasztelanic skłonił się, zagadał o czemś innem i wszedł na pokoje śmiało.

Tu jednak niepodobna mu było pokryć wrażenia, jakie na nim zamek ów tak pański, tylu pamiątkami ozdobiony, taki dostatek stary znamionujący uczynił. Skrzywiły się jego usta uśmiechem ironicznym, który przez nie przeleciał i zniknął, ale oczy mimowolnie zdradzały ciekawość i zdziwienie, prawie gniew jakiś tłumiony.

Tak przeszli aż do okrągłej sali, z której widać było przez otwarte drzwi stojącą w hełmie na zbroi rycerskiej ową trupią głowę (dziwne o niej chodziły podania)... Iwo stanął, długo się wpatrywał, pochmurniał i rzekł:

— Wszak i to pamiątka familijna? Myśl prawdziwie oryginalna... Cóż to ma oznaczać?

— Ja nie wiem, rzekł szybko Eugenek. Mówią, że to proste przypomnienie śmierci... ale... mnie ludzie jakąś historję opowiadali, zwyczajnie baśń kobiecą, że to ma być głowa ściętego przez miecznika nieprzyjaciela naszej rodziny.

Kasztelanic szybko się odwrócił i więcej już nie pytał... ale brew mu się zmarszczyła.

— Pan widzi, oto ten, dodał wskazując Eugenek: to jest miecznik... nie wiem czemu go tak nazwano. Miał być bardzo srogim człowiekiem... A ta oto panna babunia, co ma tę dziwną krwawą przepaskę na szyi, z którą się urodziła... to jest córka miecznika...

Kasztelanic zdawał się nie chcieć już słuchać; przerwał rozmowę, mówiąc coś do Zaranka, potem ją zwrócił do koni. Przyniesiono wystawny podwieczorek, którego kasztelanic, pod pozorem słabości, nie tknął; przyjął tylko kieliszek wina, i ten zręcznie nachyliwszy się, wylał przez okno, jakby w tym domu nie godziło mu się rozłamać chlebem, ani ugasić pragnienia.

Eugenek widział to, ale przypisał temu, że matka się pokazać nie chciała. Sądził, że kasztelanic rychło odjedzie, lecz stało się przeciwnie. Iwo mówił wiele, gorąco, Eugenka osypywał grzecznościami, rozbawił się; wywiódł go w dziedziniec dla próbowania koni i do zmroku dokazywał z najdzikszemi, które pokonać umiał z cudowną zręcznością. Weszli na chwilę z powrotem do sal, które znaleźli oświetlone. Kasztelanic brał za kapelusz, aby się już pożegnać, gdy najniespodziewaniej otwarły się boczne drzwi na oścież, i pani Spytkowa, w czarnej aksamitnej sukni, weszła do sali.

Na widok jej Iwo osłupiał. Pani Brygida zbliżyła się ku niemu ze zwykłą swą powagą i spokojem, i odezwała się głośno:

— Pomimo, żem cierpiąca, chciałam dawnemu znajomemu podziękować za okazaną synowi memu życzliwość. Czułam się do tego tem więcej obowiązaną dzisiaj, że później nierychło zapewne mogłabym tego dopełnić, gdyż wybieramy się do Warszawy.

O tym wyjeździe ani Eugenek, ani nikt dotąd nie słyszał... wszyscy okazywali zdziwienie.

Kasztelanic rychło przyszedł do siebie, uśmiechnął się, skłonił i odpowiedział:

— Jakkolwiek miło mi to dziś usłyszeć z ust pani... przykro, że to ją najmniejszy wysiłek kosztować mogło. Byłbym w Warszawie, dokąd się także udać zamierzam, złożył jej moje uszanowanie.

Pani Spytkowa nie odpowiedziała nic, ale wstrzymała kasztelanica, który widocznie na jej skinienie

pozostał. Rozmowa stała się obojętną... a w chwili, gdy Eugenek pytał o coś Zaranka, pani Brygida, nie przerywając jej, zaczęła chodzić po sali, wiodąc za sobą kasztelanica.

Przechadzka ta z razu ograniczyła się do okrągłej sali, potem przeszła jej próg... a wreszcie posunęła się w galerję, na której końcu świeciła zębami białemi owa w hełmie trupia głowa.

Spytkowa zatrzymała się tu, odstąpiła parę kroków, popatrzyła z pogardą prawie na Iwona, i zmienionym odezwała się głosem:

— Pytam was, czy po to staraliście się tu wedrzeć, aby mnie stąd wygnać?

Iwo stał chwilę jak wryty...

— Takiem pytaniem, po latach tylu, Brygida witać może Iwona?... Przyznaj pani, to dziwne...

— Jest to najłagodniejsze słowo, jakiegom użyć mogła. Przypomnij sobie coś uczynił, coś winien wobec mnie, a przyznasz, że ze wzgardy usta się te nawet otworzyć nie były powinny. Niżej dziś stoisz w mych oczach, niż najlichsze słowo moje spaść może... niegodzien jesteś ani wejrzenia, ani wyrazu, ani pamięci. Powinnam była spytać: kto jesteś? a usłyszawszy nazwisko, nie przypomnieć sobie istoty, która je za życia nosiła...

Wyrazy te, mimo wysiłku, wymówione były z takiem uczuciem, że w głosie marmurowej niewiasty drganie łkania słychać było.

Iwo był posępny i długo milczał.

— Pani, rzekł nareszcie: potrzebują mówić długo, abym się uniewinnił. Czy pozwalasz?... Nie będę potrząsał łachmanów mojej nędzy; opowiem historję i zażądam sądu. Wolno mi mówić tu, teraz?...

— Nie, odparła kobieta.

— Więc kiedy? nalegał Iwo. Przysięgam, że nie wrócę tu więcej; nie mam po co... ale chcę, byś pani wiedziała wszystko...

— Dla czego mam wiedzieć kłamstwo?...

Iwo zapłonął, podniósł się i uderzył w piersi.

— Jakem żyw nie splamiłem ust fałszem dobrowolnie! zawołał. Gdybyś pani śmiała...

Nie dokończył wzburzony.

— Teraz — dodał — nie proszę cię o pozwolenie... musisz mnie wysłuchać, lub... lub... tu się wstrzymał, — lub pomszczę się na twojem dziecięciu...

Spytkowa, chociaż blada, zachowała całą przytomność umysłu, spojrzała na salę i poczęła ku niej wracać, a powracając i śmiejąc się dla pokrycia uczucia, którego doznawała, odezwała się:

— Zemsty się nie lękam, ale winnego wysłucham... Przyjedziesz, gdy cię syn mój wezwie.

— A wyjazd do Warszawy? spytał Iwo, którego oczy paliły się.

— Odłożę, odpowiedziała wdowa obojętnie.

Weszli do sali, mówiąc o polowaniu. Niktby się był nie dorozumiał, że przed chwilą między nimi o życie lub śmierć toczyła się walka.

Kasztelanic rychło pożegnał się, siadł na koń i odjechał. Noc była ciemna, piękna, księżycowa. Eugenek gonił oczyma zręcznego jeźdźca, który w cwał puściwszy konia, znikł wkrótce w lipowej ulicy.

Chciał, powróciwszy do matki, nagadać się o Iwonie, podziękować jej, ale mu powiedziano, że z bólem głowy położy się, i nikogo, nawet jego, wpuszczać do siebie nie kazała...

W tydzień potem Eugenjusz zdziwił się, gdy mu matka obojętnie dosyć przypomniała, że powinien odwiedzić kasztelanica, i może go zaprosić do Mielsztyniec raz jeszcze, nim do Warszawy wyjadą.

Chłopcu to było bardzo miło, bo kasztelanic niezmiernie polubił i czuł do niego pociąg, którego sobie

wytłómaczyć nie umiał. Wybrał się więc konno na rabsztyniecki zamek, z panem Zarankiem i masztalerzem.

Wiadomość o tej przejażdżce, tak na pozór mało znaczącej, pomiędzy starymi sługami mielsztynieckiego dworu niemiłe zrobiła wrażenie, i miano za złe pani, że na to pozwoliła.

We dworze wiedziano dobrze, iż od czasów miecznika, o którego gwałtowności charakteru dziwne chodziły wieści, nienawiść między Jaksami a Spytkami doszła do tego stopnia, że się już członkowie tych dwóch rodzin tradycyjnie nigdy nie spotkali... Wieść niosła, że przypadkowe nawet zetknięcie się ich z sobą miało być zawsze przepowiednią nieszczęścia dla Spytków.

Czy Spytkowa o tych podaniach nie wiedziała, czy je lekceważyła, różnie sądzono; ale dwór pamiętał to, że kasztelanic Iwo niegdyś się o nią starał, a opinja, jaką miał od dawna w okolicy, samego zbliżenia się jego do pani, do Mielsztyniec, do Eugenka, obawiać się już kazała.

Tymczasem chłopak pędził do Rabsztyniec, z ciekawością młodemu wiekowi właściwą. Zsiadł z konia na ścieżce, a zaraz też i gospodarz zjawił się, jakby na niego oczekiwał, nie ów strojny gość zamku, ale odarty i zaniedbany, z najeżonemi włosami, błędny rycerz jakiś, z uśmiechem ironicznym na ustach. Powitał on Eugenka jakoś szyderczo, i zamiast go poprowadzić do mieszkalnego skrzydła, jął go obwodzić po gruzach, zdając się mieć w tem jakąś gorzką przyjemność, że się przed nim chlubił swym upadkiem i nędzą.

Na ostatek poszedł z nim do kaplicy grobowej, a gdy Eugenjusz przelękły podziadał na powywracane trumny, rzekł z wyrazem prawie okrutnym:

— Pamiętaj pan coś dziś widział... jest to widok nauczający. Któż wie? dodał dziko... dziś to los Jaksów, jutro być on może choćby Spytków losem Bóg

wielki, sprawiedliwość nieubłagana... losy nieprzezwyciężone, a ludzie są znikomi i słabi.

W młodzieńcu zadrgała duma i krew starej rodziny zakipiała; pierwszy raz uczuł wstręt do tego człowieka, którego był tak gwałtownie ukochał. Zdziwili się Iwo i Zaranek, gdy Eugenek odpowiedział na to:

— To pociesza, że w świecie nic nie jest wypadkiem, wszystko sparwiedliwością... Trzeba kochać, przebaczać i... spać spokojnie.

Nie byłoby może nic dziwnego w tem przemówieniu Eugenjusza, który często objawił zdania dojrzalsze nad wiek swój; ale gdy to mówił, głos jego się zmienił, spoważniał, można było powiedzieć zestarzał. Kasztelanic drgnął mimo woli, zamilkł, i wyszli z grobowej kaplicy, w zupełnie innych stosunkach niżeli do niej przybyli. Eugenjusz co najrychlej chciał powracać, nienawidził kasztelanica; zaprosił go wedle rozkazu matki, ale gdy tylko dozwoliła przyzwoitość, opuścił Rabsztyńce, dając sobie słowo, że w nich więcej noga jego nie postanie.

Tego skutku niktby się był nie mógł spodziewać. Z żywnością, wróciwszy, opowiedział matce swe odwiedziny, nie kryjąc uczuć, jakie one w nim wzbudziły. Pani Spytkowa popatrzała na syna zdziwiona nieco, i po raz pierwszy w mowie, głosie, charakterze, który się objawił, poznała w nim nieboszczyka. Brew tak marszczył jak on — mówił krótko, stanowczo — był prawdziwym Spytkiem, tak, że prawie się go ulękła.

Łagodnym głosem wykazała mu jego lekkomyślność, przypomniała jak się bez przyczyny i bez jej wiedzy pokochał w tym nieznajomym, jak teraz nagle się odstręczył, — oboje uznając za pośpieszne. Eugenjusz przyjął uwagę matki z pokorą, ale na twarzy jego znać było, że pozostaje przy swem zdaniu i uczuciu.

Nazajutrz z południa zaproszony kasztelanic

przyjechał. Młody chłopak przyjął go grzecznie, ale z widocznym chłodem, a wprowadzając do sali, rzekł:

— Widzę, że pan i dziś z ciekawością oglądasz nasze pamiątki rodzinne. W istocie, warte są one widzenia i poszanowania. Gdybyśmy wierzyli, że nic się nie dzieje bez przyczyny, że nic nie trwa bez zasługi i nie ginie bez winy, musiałbym wnioskować, że rodzina Spytków ma swe zasługi.

Była to dumna, dziecinna odpowiedź na ową lekcję w grobowej kaplicy. Kasztelanic bystro, z góry spojrzał na młodego chłopaka, i odparł z uśmiechem ironicznym:

— Niezawodnie, tych jej nie zaprzeczam.

Tem obojętnem słowem zamknął mu usta, ruszył ramionami i więcej się już do niego z rozmową nie zwracał.

W sali czekała na nich Spytkowa, a po twarzy jej, zawsze pogodnej i równie surowej, nie było można poznać, że przybyły uczynił na niej jakiekolwiek wrażenie. Przywitała go zimno, była panią siebie, wydawała się nawet od ostatniej rozmowy ostygłą i zobojętniałą. Zdaje się, że umyślnie kazano podać podwieczorek w altanie ogrodowej, aby w czasie przechadzki więcej mieć swobody do niepostrzeżonej rozmowy, która dosyć długą być miała. Jakby naumyślnie złożyło się to ze złym humorem Eugenjusza, który kasztelanica porzucił wprędce, i zajął się cały gorącą rozprawą z p. Zarankiem o dziele Buffon'a, które właśnie razem czytali. Poszli przodem ulicą, zostawiając panią Brygidę z jej towarzyszem; a ten zaledwie ujrzał się z nią sam na sam, natychmiast z tego korzystając, zwrócił się do niej i rzekł:

— Jest to więc jedyna chwila w życiu dana mi na wytłómaczenie się z przeszłości. Korzystam z niej, bo i ja mam prawo żądać wysłuchania, choć za wczasu potępiony. Wyrok może pozostać takim, jakim był na-

pisany przed dwudziestu laty... idzie mi tylko o to, bym się przedśmiertną oczyścił spowiedzią.

Pani Spytkowa nie odezwała się słowem; patrzała w ziemię, idąc powoli, a Jaksa mówił ciągle:

— Nie wiem czy potrzebują pani przypominać te dzieje, o których mnie dziś zimno jeszcze i obojętnie mówić niepodobna. Pamiętasz pani, żem powrócił z pierwszej podróży pełen życia i młodości. Żył jeszcze wówczas dogorywający mój ojciec. Staliśmy z nim razem na krawędzi przepaści, która dla mnie była zakryta. On już ją widział, czuł raczej oddech jej pod sobą; całą jego nadzieją byłem ja; jam miał podnieść i dźwignąć starą tarczę Gryfów, aby się nie strzaskała na wieki... Ale mnie naówczas rodzina, jej losy, jej sława, jej wielkość, były obojętnemi zupełnie, ja tylko żyć i być szczęśliwym pragnąłem. Naówczas to, objeżdżając sąsiedztwo, pierwszy raz zajechałem do domu waszego rodzica i zobaczyłem — panią. Pamiętam jeszcze dziś tę chwilę, bo była stanowczą dla mnie; zostałem oczarowany, podbity: wyjechałem od was oszalały. Zapomniałem i wszystkiem, pragnąc się tylko zbliżyć do was. Wszystko zdawało się nam sprzyjać w początku: ojciec wasz był mi przychylny... wy... mamże i to przypomnieć, że serce wasze pierwszy raz w życiu biło dla mnie? żem je pozyskał żem słuchając jego uderzeń, spędził jedyne chwile szczęśliwe, których wspomnienie całe życie mi truć miało?... Mogę powiedzieć, że byliśmy oboje szczęśliwi; z młodością w sercach, z marzeniem w głowach, z piosenką na ustach, z wiarą w siebie i przyszłość, przebyliśmy aż do tej chwili, gdy po raz pierwszy na progu domu waszego zjawił się ów nienawistny Spytek...

Wdowa spojrzała na niego groźnie.

— Dla czego się mam taić z tem co czuję? podchwycił Jaksa. Tak, choć umarł, był i jest mi nienawistnym... i będzie takim... Przychodził z bogactwy, z imieniem, jak handlarz, podkupić mnie,, który przy-

nosiłem tylko serce i ubóstwo ciężkie do dźwigania. Zdaje mi się, że gdy się zjawił, już losy nasze były rozstrzygnięte.

Pani Spytkowa uśmiechnęła się pogardliwie, spojrzała dumnie i szepnęła:

— Mylisz się waćpan... ojciec nie byłby mnie zmusił do mimowolnego małżeństwa, bo ja tylko sobie przyznają prawo rządzenia sobą. Nic mnie nie mogło skłonić do przeniewierstwa i fałszu, do przysięgi na zimno... Waćpan sam pchnąłeś mnie i zmusiłeś do tego kroku, który opłaciłam życiem.

— Ja? — podchwycił Iwo — ja?... Nie! pozory omyliły was... Byłem i jestem niewinny... posłuchajcie mnie do końca... Ojciec mój był już naówczas chory i dogorywający; dobiło go to, że przewidywał nieuchronny upadek rodziny, a czuł, iż ja nie zniosę cierpliwie nędzy i upokorzenia. Doszły go wieści o moich częstych do domu waszego wycieczkach... dwa ubóstwa przerażały go... Nie chciał tego małżeństwa, nie taił tego bynajmniej przedemną. Kochałem ojca, ale byłbym się mu oprzeć potrafił, gdybym go na śmiertelnem łożu nie zastał. Znalazłem go zmienionym straszliwie, zeschłym, zniszczonym gorączką wewnętrzną. Ledwiem na próg wszedł, jak gdyby się lękał, że mu czasu zabraknąć może na pohamowanie mnie i obrócenie mną wedle swej woli, schwycił mnie za ręce, posadził przy sobie, odegnał wszystkich... i począł tę straszną spowiedź swojego życia i historję rodziny, która i silniejszego odemnie złamaćby musiała. Był nielitościwym dla siebie, oskarżał się, płakał, winę teraźniejszości brał całą na stare barki... Począłem płakać z nim razem. Cóż chcesz pani? byłem młody, serce żyło jeszcze we mnie i kochałem ojca... Człowiek ten prócz tego dla obcych nawet miał dar przekonywania i urok ogromny słowa; cóż dopiero dla syna, gdy słowom tym towarzyszyło łkanie, gdy po za niemi widać było i czuć śmierć nadchodzącą, gdy uro-

czysta godzina konania namaszczała go na patryarchę!... Otóż musiałem się wyrzec mojej miłości, moich nadziei, szczęścia, a przyrzec ojcu, że poślubię naznaczoną mi przez niego córkę jego przyjaciela, jedynaczkę i dziedziczkę ogromnego mienia, które nas od ruiny ratować miało... Ojciec naówczas się uspokoił... usnął, zdrowie jego polepszyło się; chciał doczekać ślubu, i ta nadzieja sił mu dodawała... Oto historja mego przeniewierstwa... dodał Iwo. — Byłem winien chyba tem, żem kochał ojca, żem spokój ostatnich godzin jego szanował, ale czyniąc to, czego on wymagał po mnie, najsilniejsze zachowałem przekonanie, iż ta, której dałem słowo, która mnie znała, nie uwierzy słysząc, żem ją zdradził, nie uwierzy widząc zdradę, że zaufa mi do końca, tak jak ja ślepo, szalenie jej ufałem. Tymczasem pani na pierwszy poploch, na wieść głuchą, używszy jej za pozór, oddałaś rękę swoją i moją przyszłość na pastwę Spytkom... Któż winien? Mamże się tłómaczyć? Ojciec zmarł zaraz po zaręczynach naszych; nazajutrz odesłałem obrączkę. Po pogrzebie leciałem do was, pewien, że wytłómaczę się, że zgładzę tę mniemaną winę moją, że znajdę tę, którą kochałem, czekającą na mnie z wiarą silną... a trafiłem w ganku na powracających z kościoła... Potrzebaż jeszcze jakiego uniewinnienia? czyż życie moje całe nie jest niem?... Zubożały, zszargany, ogłupiały nieszczęściem, zszedłem na istotę ściganą wzgardą, a broniącą się gniewem i wściekłością... Mogłem przecie, odrzuciwszy wspomnienia, zimny, z rachubą tylko pójść się także sprzedać z imieniem i młodością za jaki grosz, któryby mi dano chętnie... a jednak spędziłem życie na zgryzotach, wierny sercu, gdy wy... wy...

— Kończcie! zimno rzekła wdowa.

— Gdy wy — odparł gniewnie Iwo — pędziliście życie spokojne, w dostatkach, w lodowatej obojętności, z uśmiechem na ustach gniotąc trupa mojego... gdy wy budowaliście sobie szczęście.

— Tak, szczęście! gorzko uśmiechając się, powtórzyła pani Spytkowa.

Po chwili podniosła głowę. Twarz jej była blada, smutna. W oczach miała wyraz dziki.

— Miałażbym się tłómaczyć? ja? spytała, śmiejąc się cicho, ironicznie. Nie, tego nie uczynię! poniżyłabym się. Poświęciliście miłość waszą i mnie ojcu dogorywającemu, litości, słabości... Czujecie się czyści! więc dobrze. Przypisujcie mnie winę! O! już dziś mniejsza o to... Cóż mnie obchodzi wasz ojciec, wasza ta litość wspaniała, wasze wykrętne oszukaństwo?... Co się stało, odstać się nie może... Czujesz się waćpan czystym? tem lepiej; ja was osądziłam jako zabójcę i nie cofnę wyroku. Przyniesiono mi dowód zdrady, nie wchodziłam w jej powody; wiedziałam tylko, że została spełniona. Nie domyślałam się, że mogliście kłamać umierającemu ojcu, zamiast mu wyznać wszystko i błagać, by przestając być Jaksą, został u skonania człowiekiem i rodzicem dla swego dziecięcia — że mogliście kłamać kobiecie, przyrzekając jej, czego nie chcieliście dotrzymać. Co mi tam! dorzuciła wdowa... co się stało, jest nieodwołalnem...

Iwo szedł obok niej milczący. Wolnym krokiem, aleją cienistą kierowali się ku altanie, ku której poprzedzał ich Eugenek z Zarankiem. Na chwilę przerwała się rozmowa, Iwo spojrzał na nią bez nienawiści; czuł, że w tych wymówkach, którym napróżno starała się nadać pozór obojętności, grała wspomnień młodych niezapomniana muzyka. Błysk jakiejś nadziei przeleciał po jego twarzy.

— Więc winy słabości tej dla ojca... dla jedynej istoty, jaką na świecie miałem naówczas — zawołał — winy słabości tej nawet całego życia męczarnie i spodlenia odkupić nie mogły w oczach waszych? Ale spójrzcie na mnie, co ze mnie zrobiło życie, a porównajcie wasz dumny spokój do mojej gorączki zgniłej!

— Tak — rzekła — tak! ja byłam szczęśliwa, bar-

dzo szczęśliwa!... Odgadliście to, poznali, osądzili wybornie. Ten złocisty i marmurowy grób mój zachwycił was! Dość, nie mówmy więcej, to rzecz skończona, osądzona. Wy byliście męczennikami, a ja istotą szczęśliwą, dla tego, że wam łachman nędzy pokrywał szaty bezecne i rozpasanie wyuzdanej swawoli, a u mnie złoto świeciło na ranach... Ale po cóż to wszystko? odezwała się po chwili z ironją: to są rzeczy niepowrotne, których wagę tylko Bóg osądzić potrafi. Wszystko się stało, jak stać się było powinno... jakeśmy zasłużyli. Dziś zostało ludzi dwoje obcych sobie, co się tam niegdyś znali trochę i śmieją się ze swej przeszłości...

To mówiąc, chciała pośpieszyć do syna, gdy Iwo ją powstrzymał, zwalniając kroku.

— Wy mówicie — zawołał z gorączkowym wyrazem — że się wszystko stało jak było powinno... Ja nie tak łatwo to rozgrzeszę i z mojego życia skwituję... Widzicie przecie, żem lat dwadzieścia czekał, żem jak pies na łańcuchu przetrwał w nędzy i upokorzeniu u tych wrót, których otwarcia czekałem, które mi śmierć otworzyć musiała i otwarła nakoniec. Mylicie się: życie nasze nie skończone, poczyna się ono dopiero. W głosie waszym, w oczach waszych czuję i widzę niezgasłe uczucie. Uwierzyć mi musisz, musisz przebaczyć!!

To mówiąc, chciał ująć ją za rękę, gdy pani Spytkowa, stanęła nagle z takim majestatem gniewu i oburzenia przed nim, z oczu jej trysnął śmiało na niego wzrok tak piorunujący, iż zuchwały Iwo cofnąć się musiał, i oniemiały stanął, bledniejąc.

W istocie, straszną była ta kobieta, na której czole uczucie niewieściego majestatu i potęgi malowało się z nadzwyczajną siłą, długiemi nagromadzoną latami. Dosyć było tego spojrzenia, aby odepchnąć i odjąć wszelką nadzieję; ale Iwo cierpiał tak długo, a może

tak mocno kochał, że się nie uląkł tej groźby i nie uciekł od walki. Usta jego po chwili zadrgały...

— Proszę i przebaczenie, rzekł ostygając i zmieniając głos. Odzywając się do uczuć, które nie wystygły we mnie, nie popełniłem zbrodni... popełniłem błąd tylko. Zapomniałem czem jest serce kobiece, w którem miłość gaśnie prędko, a gniew nie umiera nigdy. Zostań więc pani ze swym gniewem, a pozwól mi zachować tę miłość, która życie struwszy, odebrać mi je potrafi.

Wdowa ruszyła ramionami tylko i poczęła z wolna iść dalej.

— Zdaje się pani w to nie wierzyć, że się człowiek dobić może, gdy ostatnią straci nadzieję. Zapewne, jak jaki!... Nie mogę zmusić do wiary... Od dziś dnia jednak, wyczerpawszy ostatnią ocalenia otuchę, pójdę szukać albo innej nadziei, lub jakiegoś końca tej nędznej komedji. Cóż to wam szkodzi, że się do reszty skalam, zwalam, i nędzny gdzieś, sterany zginę? Powisz, że się stało tak, jak stać się było powinno. Jęki i żale nie przystały mi, a dla was byłyby nudne. Zatem wracamy do towarzystwa, a ja do mego charakteru.

Na te słowa, zawahawszy się, pani Spytkowa podniosła oczy... Twarz jej zupełnie była zmieniona: blada, smutna, patrzała na Iwona ze łzą na powiece drżącą. Zdawało się, że coś powiedzieć chciała, że może słowo pociechy byłoby z jej ust wyrwało, że Jaksa po raz drugi niespodzianą nadzieją osłupiały stanął; ale wtem Eugeniusz żywo się zbliżył do matki. Spojrzał na nią i na jej towarzysza dziwnie, z przestrachem, i pociągnął ją z sobą ku altanie, nim czas miała przemówić.

Jaksa po chwili odzyskał przytomność, ale poszedł za nimi zamyślony, niezwykle milczący i nieśmiały.

I tym razem nie rozłamał on chleba, nie przyjął wina; wytłómaczył się słabością, patrzał, siedział i dumał. Eugenjusz, jakkolwiek mało znał ludzi, postrzegł w nim zmianę; ale mając do niego w sercu urazę, prawie się ucieszył, widząc go chmurnym. Na obojętnej rozmowie przeszła godzina w ogrodzie, a że wieczór się zbliżył, Iwo wstał do pożegnania.

— Ponieważ państwo wyjeżdżają do Warszawy, wątpię —rzekł — żebym miał przyjemność widzieć ich już tutaj.

— Odjazd mój — obojętnie na pozór przerwała wdowa — jest dotąd tylko projektem, a kiedy przyjdzie do skutku... doprawdy nie wiem.

Było to jakby dodaniem nadziei; ale Jaksa zdawał się nie chcieć tego zrozumieć; skłonił się lekko i dokończył:

— Pozwoli więc pani się pożegnać.

Zwrócił się potem do Eugenjusza i podał mu rękę z uśmiechem... Modziedziec już był nieco zwolniał w uczuciu niechęci powziętej tak nagle do kasztelanica, walczył przynajmniej z sobą, aby mu jej nie okazać.

Pożegnali się grzecznie. Eugenek nawet odprowadził go aż do ganku, szczebiocząc.

W chwili gdy już Iwo miał siadać, niespodzianie z balkonu pierwszego piętra ukazała się blada twarz pani Spytkowej, która zawołała do syna:

— Prośże sąsiada, aby nas odwiedził jeszcze.

Iwo, nic nie odpowiadając grzecznym ukłonem podziękował za ten znak łaski; ale twarz jego chmurna nie rozjaśniła się, a gdy młody chłopak coś mu szeptał, spełniając rozkaz matki, rzekł tylko:

— Dziękuję bardzo, ja także mam projekta podróży... nie wiem jeszcze co zrobię z sobą.

Pani Spytkowa stała ciągle na balkonie. Iwo od-

wrócił się ku niej raz jeszcze, ścisnął konia, i wedle swego zwyczaju cwałem popędził do domu.

Co zaszło w duszy tej kobiety od pierwszego oburzenia i gniewu, do tego miłosierdzia i współczucia — jakim sposobem zmieniła się obraza w litość, duma w łagodność... odgadnąć było trudno.

Zaraz po odjeździe Iwona, wdowa weszła do pokoju i zamknęła się na modlitwę. Eugenjusz pozostał na ganku, i pozbywszy się Zaranka, dumał tu sam jeden, głębiej niż czynił dotąd.

Dotąd mało roztrząsał życie własne i jego obowiązki; była to może pierwsza chwila, w której uczuł potrzebę wejścia w siebie, chociaż nic go na pozór do tego nie zmuszało.

Tęskno mu było w duszy, jakby przeczuciem jakiegoś niewidomego niebezpieczeństwa.

Cicha noc spowiła cały ów dworzec, przywykły do spokoju i milczenia, jeszcze uroczystszą ciszą nadchodzącej snu godziny. Światła po oknach gasły z kolei, znikali słudzy, wyludniało się wszystko, zamykały podwoje, i w końcu jedno tylko okienko kaplicy, w której zawsze płonęła lampa słabem światełkiem, wśród czarnego połyskiwało gmachu. Eugenjusz doczekał się tego stąpania po korytarzach, które zwiastowało zamykanie drzwi i ostatni kres życia i ruchu. Burgrabią był od niepamiętnych czasów zgrzybiały, od kilku pokoleń sprawujący swe obowiązki Siemion, który już ledwie się wlókł, ale kluczów nikomu powierzyć nie chciał póki życia. Mało go kto we dnie widywał. Z brzaskiem, otworzywszy podwoje, chował się do swojej izdebki w suterenach, nie wychodzi z niej aż nocą, gdy zamek potrzeba było obwarować kluczami, których pęk dźwigał u pasa. Rankiem i nocą wychodził z półgłośną na ustach modlitwą, którą opatrując kąty i zatrzaskując

wrzeciądze odnawiał. Siemion nie miał rodziny, żył samotny, a większą część dnia spędzał na modlitwach. Ojciec jego, dziad i pradziad byli na usługach Spytków, zrośli się więc z pańską rodziną, którą prawie uważali za swoją. Siemion nie mówił inaczej o Mielsztyńcach, tylko: „nasz majątek", o rodzinie jak o własnej,o dziecku jak i swojem.

Od śmierci starego Spytka, uważano ciężkie na nim pognębienie; u trumny nieboszczyka leżał płacząc, a po pogrzebie jego prawie oniemiał, słowo się z niego dopytać nie było podobna.

Młodzieniec jeszcze siedział na ganku, gdy po wybiciu godziny zwiastującej zamknięcie zamku, chód starego Siemiona dał się słyszeć na korytarzu. Eugenek nie postrzegł się, gdy go staruszek pochwycił siedzącego i pogrążonego w myślach. Zobaczywszy panicza, zdziwiony stanął naprzeciw niego, z założonemi rękami. Chłopak podniósł głowę.

— Mój miły Boże; ozwał się starzec półgłosem: tobież to, mój złoty paniczu, myśleć już i rozpamiętywać jak starcowi? tobie, cobyś powinien tylko się śmiać i weselić?... Ale, prawda! zostałeś się ty sierotą... a sieroty dojrzewają prędko...

I szepcząc tak z uczuciem, zbliżył się do chłopaka, aby jego rękę ucałować. Eugenek dopiero się ocknął i poznał staruszka.

— A no! paniczu mój złoty — rzekł burgrabia — możeby wam czas iść i spocząć? Cóż wy tu tak po nocy dumacie? Chłód i smutek... nie nakarmi to duszy, a ot ja już muszę i zamek zaryglować.

Chłopak wstał milczący, zawahał się nieco i cicho odezwał:

— Zamykajcie, ale ja z wami pójdę, potrzeba mi się z wami rozmówić.

— Ze mną? spytał zdziwiony staruszek: ze mną?

— Chodź! krótko odparł Eugenek: zamykaj i chodź.

Niespokojny Siemion musiał być posłusznym. Pośpiesznie drzwi za sobą zamykając, poprowadził panicza po schodach do suchych suteryn od ogrodu, w których mieszkał. Izdebka, do której schodziło się po kilku kamiennych stopniach, mimo że nawpół w ziemi i sklepiona, była dosyć schludna i wesoła. Za nią druga, mniejsza, zawierała sypialnię staruszka. W pierwszej stolik, ławy, kufer, klucze na kołkach rozwieszone, krucyfiks i obrazy świętych z kropielnicą przybitą u drzwi, całym były sprzętem.

Eugenjusz nie przypominał sobie, czy tu był kiedy. Ubogie to pomieszkanie obudzało jego ciekawość. Wszedłszy dość odważnie i z mocnem jakiemś postanowieniem do starca, w chwili gdy miał usta otworzyć, chłopak się zająknął, zarumienił, i widocznie był zmieszany. Pierwszy to był prawie czyn w jego życiu, podjęty na własną odpowiedzialność; niedziw więc, że przy spełnieniu jego trochę odwagi zabrakło. Starzec patrzał na niego długo, uważnie, z rodzajem rozczulenia; zdawał się w tej twarzy badać przyszłość rodziny, którą Eugenjusz w sobie nosił, ale zarazem czekał ciekawy, co tu młodego chłopca sprowadzić mogło?

— Mój Siemionie! odezwał się wreszcie siadając na ławie Eugenek: ja tu jestem w rodzicielskim gnieździe jak obcy. Wiesz jak mnie wychowano. Rzadko i krótko dzieckiem bywałem w Mielsztyńcach; ojca o nic pytać nie śmiałem; matka tak jest smutna i przygnębiona, że nie mogę jej badać; a przecieżbym wiedzieć coś powinien o tej przeszłości, która jest dla mnie tajemnicą. Wszystko co mnie otacza, budzi ciekawość, nie zaspakajając jej. Roją się myśli dziwne, drażni mnie to. Ty, mój dobry staruszku, mógłbyś mi wiele wyjaśnić, wiele mnie nauczyć... Chciałem — dodał —prosić cię, żebyś mi wytłómaczył to, na co ja patrzę, a czego zrozumieć nie umiem.

Siemion, wysłuchawszy go, spuścił głowę smutnie; widocznie walczył ze sobą.

— Cóż ja wiem? — rzekł — plotki, które po cichu pokolenie pokoleniu podawało, a w ustach ludzkich prawda nawet, przechodząc przez nie, nabiera coraz odmiennych kształtów i trudno się jej dobadać, gdy postarzała niespisana. Zresztą, mój dobry panie, czy ci potrzeba zawczasu już wiedzieć wszystko, trapić się i obawiać? Nakoniec — nakoniec, ja się lękam... a gdybym chciał, nie potrafię w starej głowie znaleść tego, co w nią włożyłem za młodu.

— Mój drogi! — przerwał Eugenek: — ty mi musisz powiedzieć, co wiesz... to mi zrobi ulgę. Jam już nie dziecko, znieść potrafię, co boli, i odróżnić fałsz od prawdy. Może wyglądam młodo, ale i mnie sieroctwo i samotność uczyniły przed czasem człowiekiem.

— Cóż ja wam powiem? — przebąknął stary — i czy to pora po temu? Pytaj mnie, jeśli chcesz, ja c nic nie zataję.

— Cóżbyście wiedzieć chcieli?

— Wszystko! bo nie wiem nic — żywo począ młody dziedzic. — Znam z imion moich pradziadów i babki, których wizerunki wiszą na zamku. Z twarzy tych, zbladłych wiekami, poczerniałych, niemych, czy tam i odgaduję tajemnice... Nie wiem nic. Co znacz te dwa katafalki? co ta śliczna kobieta, z krwawą n szyi pręgą? co trupia głowa w szyszaku?...

Siemion głęboko się zdawał namyślać: ciężko m było dobyć z piersi głosu.

— Ja o tem wszystkiem wiem niewiele, to tylko co rodzice z sobą przynieśli i o czem słyszałem ic gwarzących czasem; ale prawda to, czy baśnie?.. Prę dzej, że ludzie, patrząc na dziwne wizerunki star i nagromadzone pamiątki, sami sobie do nich to tłó maczenie dopletli. Wierzże mi, drogi mój panie, ż lepiej ci jeszcze i długo o tem nie wiedzieć, a gd przyjdzie godzina, aby się odkryła prawda, Pan Bó

ci ją zeszle przez usta matki. Uspokójcie się. Po każdym domu niemal lata, jak nietoperz, jakaś bajka czarna, której nie widać we dnie. Każda rodzina ma swoje tradycje, ale nie we wszystko wierzyć potrzeba i godzi się. Powiem jedno tylko, co mi się zdaje być prawdą niewątpliwą. Wprzód, nim się Spytkowie z Krakowskiego tutaj przenieśli, od bardzo dawnych a dawnych lat, pomiędzy nimi a Jaksami była nieprzyjaźń zawzięta. Skąd poszła, tego nikt nie wie. Prześladowano się, nękano, najeżdżano wzajemnie, i krew nieraz się polała. Jeszcze w Krakowskiem naddziad wasz pomścił się na jednym z Jaksów za jakąś krzywdę... Ująwszy go i osądziwszy sam, dał ściąć katowi w więzieniu. Mówią, że głowa tego Jaksy, zamknięta w szyszaku, zachowuje się na pamiątkę tej zemsty... Później Bóg ciężko za tę śmierć dotknął rodzinę waszą — zaczęła się pokuta. Spytkowie opuścili swoje gniazdo, ścigani zgryzotą i pomstą Jaksów, którzy umyślnie goniąc za nimi, usadowili się pod ich bokiem tu, w Babsztyńcach. Ale wyroki boże są niedościgione: Jaksowie pomścić się nie mogli, i ród ich wyginął do ostatniego... Tym ostatnim jest ów, którego dziś tu widzieliście na zamku... którego wy, podobno, dobry panie, zaprosiliście tu po raz pierwszy sami.

— Tak jest, ja! ja! — krzyknął Eugenek, porywając się z ławy. — Cóżem zrobił! Widzisz stary, jak niewiadomością zgrzeszyć można! Ale dziś poczułem do niego odrazę, niechęć, wstręt jakiś, i noga tu już jego nie postanie. Sądzę, że nawet matka moja niespełna o tem wiedzieć musi: chociaż opierała się w początku, naganiła mnie, ale teraz, teraz jest dla niego łaskawszą.

To mówiąc, przechadzał się niespokojnie po podziemiu; stary westchnął.

— Jedno wam jeszcze dodać muszę — szepnął cicho. — Kasztelanic Jaksa, na którego my tu, choć z daleka, od młodych lat jego patrzymy, niedobrym

jest człowiekiem; nie ma wiary, żyje, jak dziki, szaleje często, pomiata ludźmi i sobą. Obawiają się go wszyscy, nie ma przyjaciela, nie starał się otoczyć rodziną — jest postrachem i podziwem...

— Sądzicie, że on wie o tem, co między rodzinami naszemi zachodziło? że zachował nienawiść spadkową? że z nią tu przybył? — spytał Eugenjusz, patrząc na Siemiona.

— Jakżeby o tem mógł nie wiedzieć? — rzekł stary. — Dla niego to może jedyny cel życia, bo mu tylko nienawiść i zazdrość zostały na pokarm ostatni.

— I śmiał tu przybyć z kłamstwem na ustach?

— Gorzej, bo ze zdradą w sercu! — dodał Siemion. — Potrzeba się go strzedz, należy unikać. Jest to człowiek tem niebezpieczniejszy, że wszystkie pozory przybrać potrafi, że skłamie serdeczność, że będzie się śmiał, gdy wewnątrz gniew w nim zgrzyta, że zdolny jest do wszelkiego złego.

— Dziękuję ci za przestrogę... — po chwili rzekł Eugenjusz, trąc czoło. — Widzisz więc, żem się pożytecznej rzeczy dowiedział. Matka z razu miała słuszność, a ja byłem niebaczny. Dziś dopiero ostrzegło mnie przeczucie, albo raczej kilka słów bolesnych, któremi mnie zranił ten człowiek.

Młody chłopak zamilkł. Siemion zbliżył się do niego, pochwycił za rękę i począł ją całować.

— Dosyć już tego — odezwał się cicho. — Bądź paniczu, cierpliwy, a jeśli potrzeba dla uniknięcia niebezpiecznego sąsiada oddalić się z Mielsztyniec, proś matki, niech wyjedzie. Za nadto już siedzieliście w tym zakącie, w tej pustce; trzeba i należy znów Spytkom iść między ludzi. Niechaj was inne, zdrowsze może, niż tutejsze, powietrze owieje i ożywi.

Eugenek, zamyślony, ścisnął rękę staruszka.

— Słuchajże, mój dobry Siemionie — odezwał się: — gdybyś czego odemnie potrzebował, jabym c serdecznie rad służyć...

— O! mój Boże, paniczku złoty, a cóż mnie staremu potrzebne być może, oprócz tego cichego kąta na ostatnie lata? Klucze mi nie ciężą, przywykłem do nich, tęsknoby mi było po nich, gdyby je innemu dano; mam wszystko. Niech wam Bóg błogosławi! Czekajcie — dodał do wyrywającego się: — poświecę, po korytarzach noc, nie trafilibyście do siebie.

Wziął stary latarkę i, suwając nogami, poprzedzał żywo idącego panicza na drugie skrzydło zamkowe. Musieli przechodzić długie galerje, wschody, sale, nim się zbliżyli do mieszkania, które Zaranek i Eugenjusz zajmowali. Noc już była późna; księżyc, gdzie niegdzie wpadając oknem, bladem światłem migotał na posadzkach i czepiał się po ścianach. Szli wolno, mimo pośpiechu Eugenka, bo Siemion prędzej nadążyć nie mógł. Dla skrócenia drogi, burgrabia, który znał zamek doskonale, otworzył drzwi wielkiej sali, zwanej bibljoteką, do której od bardzo dawna nikt prawie nie wchodził, bo klucze od niej były u burgrabiego. Niegdyś cała pełna ksiąg, niewiadomo kiedy i przez kogo ogołocona z nich została w znacznej części; górne półki były puste, niżej tylko widać było grzbiety foljałów opylonych.

W pośrodku stał ciężki stół staroświecki, rzeźbiony, wsparty na czterech karjatydach. Na nim, może przed stu laty położone, nietknięte spoczywały grube księgi, klamrami mosiężnemi pospinane. Przez troje okien od ogrodu księżyc wchodził do sali i część jej znaczną oświecał. W chwili, gdy zamek się otworzył i drzwi uchyliły, Eugenjusz, który nie znał bibljoteki, i widzieć jej nigdy ciekawym nie był, rzycił w nią okiem i krzyknął. Siemion z przestrachem odwrócił się ku niemu i spostrzegł go palcem wskazującego na stół... Staruszek spojrzał na salę, ale prócz dziwacznie złamanego promienia księżyca, który oświecał stare krzesło i część stołu, nie zobaczył nic. Eugenjusz, jak skamieniały, stał w progu.

— Co się wam stało? paniczu! na miłego Boga!— zapytał burgrabia.

Jakto! nic nie widzieliście? nic?

— Nic nadzwyczajnego, wy? wy, paniczu?

— A ja... — Eugenek zawahał się i żywo odparł: — Musiało mi się wydać, jestem rozgorączkowany. To było światło księżyca.

— A cóż się wam zdało?... — niespokojnie, stojąc ciągle w progu, mówił Siemion. — Cóż to było? na miłego Boga!

— Nic, nic — dodał chłopak. — Dajcie mi klucz od bibljoteki; jutro po dniu muszę ją zobaczyć.

Burgrabia się zawahał, pomyślał, ale panicz naglił; wyszli więc i drzwi zaryglowawszy, stary oddał klucz Eugenjuszowi, który go chciwie schował do kieszeni.

— Gdybym nie był pewien — rzekł, postępując zwolna ku środkowi — że, co mówią o duchach i zjawiskach, jest przesądem i słabych umysłów halucynacją, tobym sądził, że istotnie, wchodząc tu, widziałem kobietę, siedzącą u stołu, nad księgą...

— Kobietę! — powtórzył Siemion — a jakże ona wyglądała?

— Była podobna do portretu babci Emilji... tej, która ma krwawą pręgę na szyi — rzekł Eugenjusz.

Na te słowa stary burgrabia począł drżeć widocznie, spuścił głowę, i co żywiej ku drugim drzwiom do wyjścia się skierował; ale Eugenjusz, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, ciekawie rozpatrywał się po bibljotece, poszedł do krzesła, na którem zdało mu się, że widział ową postać, i chwycił książkę najbliżej leżącą.

Księga była gruba dosyć, oprawna w skórę białą, z klamrami srebrnemi. Rzuciwszy w nią okiem, przekonał się, że nie była drukowana, ale pisana. Na pierwszej karcie błyszczały herby Spytków, wymalowane na tarczy, obwiedzionej dziwnemi ozdobami. Do pod-

trzymania godła rodziny służyli z jednej strony rycerz w helmie otwartym, z którego wyglądała trupia głowa; z drugiej — lew, rozdzierający gryfa. Przyszło na myśl Spytkowi, że gryf był Jaksów oznaką. Wziął rękopis ze stołu i, korzystając z pomieszania starca, który nic się nie zdawał widzieć i na nic już nie uważać, pośpieszył z bibljoteki. Milcząc, przeszli jeszcze korytarz i schody, a blisko już będąc mieszkania, Eugenjusz pożegnał staruszka, z którego się teraz słowa dopytać nie było można.

W pokoju nie zastał Zaranka. Eugenjusz rozebrał się prędko i z gorączkową ciekawością chwycił przyniesioną z sobą księgę. Miał jakieś przeczucie, że w niej znajdzie wytłómaczenie wielu dla niego mgłą pokrytych rzeczy, tyczących się rodziny. Tytuł i pierwsze karty przekonały go, że się nie mylił; księga była wszakże zbiorem suchych heraldycznych wyciągów i wiadomości, wpisywanych różnemi charakterami w różnych, jak się zdawało, epokach.

Młody człowiek mało umiał po łacinie, bo już naówczas wychowanie za granicą nie opierało się, jak przedtem, całe na klasykach; rozumiał jednak tyle, ile było potrzeba, by chciwą zaspokoić ciekawość. Genealogję odrzucił, szedł dalej... wiele kart zostawało niezapisanych. Ku końcowi kilkanaście ktoś po rogach przewlókł sznurkiem i opieczętował... Roztworzyć ich nie było podobna, nie naruszając pieczęci, która się zachowała cało. Sznur był wyblakły i zmięty, wycisk na wosku wyobrażał herby Spytków. Ta tajemnica zniecierpliwiła go nieco; nie śmiał złamać pieczęci, wahając się, czy do tego ma prawo, i usunął rękopis, zamyślony, odkładając czytanie do jutra. Schował go jednak, jak drogą zdobycz, do szafy, od której miał klucze. Chciał już zasnąć i spocząć, bo mu głowę rozsadzały myśli i marzenia, które raz pierwszy przyszły ją tak tłumnie nawiedzić, ale oka zmrużyć nie mógł, mimowolnie stawało mu przed oczyma zjawisko w bi-

bljotece, w które nie wierzył, a wspomnienia jego pozbyć się nie umiał. Śmiał się sam z siebie i postanowił nikomu o tem nie mówić, aby się z niego nie śmieli. Była to widocznie postać, stworzona w rozgorączkowanej wyobraźni — nic więcej; światło księżyca służyło jej za wątek, z którego to widmo zlepiła. Nie widział go przecież Siemion...

Tak rozmyślając, nadedniem dopiero, gdy księżycowe światło poczęło ustępować rannemu brzaskowi, chłopak zdrzemnął się znużony; ale we snach widział jeszcze, jakby dalszy ciąg wieczornych zjawisk... owe postacie starych portretów, które z ram wyszedłszy, otaczały go kołem i nad łóżkiem jego stojąc, cicho się naradzać zdawały. Na przodzie, z kwiatkiem w ręku i uśmiechem na ustach, stała babcia Emilja, z krwawą na szyi przepaską.

Straciliśmy z oczu pana Nikodema Repeszkę, któryby może na szczególne zajęcie osobą swą nie zasługiwał, gdyby nie smutne przygody, jakich doznał od dnia nieszczęśliwego spotkania przy karczemce z kasztelanicem Iwonem. Dobrze to powiadają, że człowiek z miejsca, w którem żył, gdzie mu się wiodło, nie powinien się ruszać, szukając łakomie gdzieindziej większego jeszcze powodzenia; najczęściej bowiem trafia na zawody i przekonywa się o tej prawdzie, że nietyle sobie, co okolicznościom, winien był to szczęście, które przypisywał tylko własnej zapobiegliwości i pracy.

Coś podobnego właśnie trafiło się szanownemu panu Nikodemowi Repeszce, który, pomimo bardzo korzystnego nabycia Studzienicy, niezmiernie troskliwego gospodarstwa i nadzwyczajnej swej oszczędności, a raczej niesłychanego skąpstwa — z ludźmi i światem nowym wcale sobie tak dobrze, jak w Brze-

skiem, rady dać nie umiał. Tam mu szło wszystko, jak z płatka, tu — jak z kamienia. I choć zwykł był się pocieszać tem, że pierwsze kotki za płotki, że się to poprawić musi, wszakże tych drugich kotków napróżno wyczekiwał.

Już to samo, że się dorabiał, liczyło się u niego za stratę i było nią, boć czas marnie uchodził. Napróżno usiłował się zbliżyć do niektórych sąsiadów: wszędzie, jak w Mielsztyńcach, znajdował obojętność, lub niewiarę. Natomiast, gdy on nie mógł poprzyjaźnić się skutecznie z nikim, do niego najniepotrzebniej przylgnął na utrapienie człowiek, którego się lękał niezmiernie i ze strachu ulegać mu był zmuszony — kasztelanic Jaksa.

Wielki znawca ludzi i słabości ludzkich, kasztelanic od pierwszego spotkania zbadał człowieka, odgadł charakter i domyślił się, że pan Nikodem nie należy do najodważniejszych istot w świecie. Z tej skromności jego i łagodności korzystać postanowił. Chociaż sąsiad bardzo zręcznie od jego odwiedzin w Studzienicy się chronił, nigdy prawie w domu nie bywając, kasztelanic tak dobrze umiał go szukać, iż zawsze gdzieś w kącie jakimś wynalazł, zaprowadził do dworu i, sam próżniak, truł mu czas, przesiadując u niego długie godziny. Temu to naleganiu niezbyt delikatnemu winien był, że na Rabsztyńce, jakkolwiek wartość kawałka gruntu i ruin była wątpliwą, zaciągnął najprzód pożyczkę u studzienickiego pana, potem wziął od niego parę dodatkowych sumek, a w ostatku obejściem się lekkiem, pogardliwem i groźnem strachu go niemałego nabawił.

Tak stały rzeczy, gdy jednego poranku, w chwili, kiedy się go najmniej spodziewał pan Repeszko, wpadł do jego skromnej, a prawdę rzekłszy, brudnej izdebki kasztelanic Iwo. Poznał go zdala po chodzie, ale nie było już sposobu wyślizgnąć się; więc tylko

ręce załamał i do nieba oczy podniósł, skarżąc się Bogu.

Kasztelanic miał pod pachą, jak to zaraz dostrzegło bystre oko pana Repeszki, zwój papierów, nic dobrego nie rokujący. Zamiast powitania, silną swą dłoń myśliwca położył na ramieniu pana Nikodema, jakby się chciał zapewnić, czy ten mu nie umknie.

— No — rzekł surowo: — dobrze, żem w. m. pana zastał, wybiła ważna godzina. Zawsze mu obiecywałem, że jego przyjacielską dla mnie pomoc zawdzięczę; otóż teraz przychodzę tego dopełnić, przekonasz się o tem natychmiast. Ale, że rzecz potrzebuje przydłuższego wyłuszczenia... siadaj.

Tu wskazał mu na łóżko jego twarde, a sam, nie bez wstrętu pewnego, zabrał miejsce w wyszarzanym starym fotelu.

— Jest godzina dziesiąta; nim sprawa nasza się ułoży, głód mnie przyciśnie. Co mi w. pan dasz jeść? zapytał Iwo.

— Jeść? jeść? — bąknął gospodarz; — ale to... to są suche dni... ja z postem, u mnie w kuchni pustki prawdziwe.

— Ty wiesz, jam myśliwy i zubożały, pulpetów też nie potrzebuję; lada baba nam co uskwarzy, byle posilnego. Jaj na wsi się dostanie; zająca utroczonego do siodła, przywiozłem; chleb, choć czerstwy, musi być; to i dosyć.

Klasnął w ręce kasztelanic raz i drugi, nie czekając, by się Repeszko rozporządził; a gdy wszedł sługa, nie dał mu mówić i mrugnął.

— Słuchaj — rzekł: — powiedz gospodyni, aby z obiadem się nie spóźniła. Jegomość z postem, ale ja — nie. Zrobi mi jajecznicy, jaja wszędzie są, i upiecze zająca, którego przywiozłem. Powiedz jej tylko, aby nie szpikowała starą słoniną, a resztę sam dokomponuję. Ruszaj! w skok!

Nim pan Nikodem mógł się tej dyspozycji tak

despotycznie wygłoszonej, oprzeć, chłopak, na którego mrugnął Iwo, już był za drzwiami.

— Teraz — dodał gość — nie ruszaj się w. pan i słuchaj: idzie o rzeczy ważne:

Repeszko, ofiarując Bogu strapienia swe, drżąc, postanowił być posłusznym; ale w głębi ducha poprzysiągł, że, jeśli będzie szło o pieniądze, raczej się da ubić, niż ulegnie wymaganiom.

— Nie wiesz o tem waćpan zapewne — począł Iwo: — że od bardzo dawnych wieków zajadła waśn rozdziela dwa nasze domy: panów Spytków i Jaksów rodziny. Pierwsze początki sporu i współzawodnictwa sięgają może czasów Bolesławowskich, stare są, jak rody nasze... Miłość się rzadko tak długo utrzymywać może, ale nienawiść jest trwałą, a czas ją umacnia i sił dodaje. Już w początku XVI wieku Spytkowie z Jaksami nigdy u jednego stołu, w jednej komnacie z sobą zetknąć się nie mogli. Ludzie ich, dwory, przyjaciele, staczali z sobą walki nawet pod bokiem królów. Nieprzyjaźń ta stanowiła spadek, podawała się testamentami, przeszła w tradycję, płynęła we krwi. W końcu XVI wieku, mój przodek starał się o majętną dziedziczkę Kmiciankę; ręka jej była mu już przyrzeczona, panna sprzyjała serdecznie, gdy Spytek się nawinął i na biesiadzie przy kielichach pannę dla swojego syna zaswatał, tak, że nim się kto mógł o staraniu dowiedzieć, już go zaręczył, a nim mój naddziad, który był na Węgrzech, nadbiegł, ślub, mimo łez panny, odbyto. Była dla niego na wieki stracona, ale serce, które mu raz oddała, biło tylko dla niego. Narzeczony wprzód Jaksa, kilka tygodni pozbawiony był zmysłow, tak gwałtowna nim miłość i żądza zemsty miotała; potem wpadł w czarną melancholję i chciał się wyrzec świata; aż król, korzystając z chwili i osądziwszy, że dla samej możności widywania tej, którą kochał, gotów jest na największe ofiary, skłonił rodziny, po wiekach nienawiści, do uroczystego prze-

jednania. Lękając się, aby ono powierzchownem tylko nie było, uczyniono je nader solennem, łącząc z niem obchód religijny, niegdyś przy podobnych zgodach praktykowany. Członkowie wszyscy obu rodów, poprzedzani przez giermków, niosących na szczytach herbowne ich znaki, połączone wieńcami, udali się w godowych szatach do kościoła i, stojąc u ołtarza, pobrawszy się za ręce, słuchali mszy świętej. W chwili, gdy kapłan, odprawujący ofiarę, ręce zwykł towarzyszącemu kłaść na ramionach, wszyscy Jaksowie i Spytkowie, podobnież uściskiem bratnim i pocałunkiem pokoju starą waśń swoją przed tronem bożym zakończyli... Zdawało się tedy po uczcie, po przełamaniu chleba, po godach, po zaręczeniu dwojga młodych, z obu familij wybranych osób, że historja tych krwawych zapasów na wieki będzie zamknięta. Ale są rodziny, fatalności jakiejś piętnem nacechowane na wieki. Naddziad mój, który tak był umiłował później mu wydartą Spytkową, począł uczęszczać do domu jej męża. Nie było w tem nic złego, ani cienia zdrady, ani możności jej, tylko nałóg sercowy, któremu biedny oprzeć się nie mógł. Chciał na nią patrzeć, widzieć czasem, że mu się uśmiechnęła przyjaźnie, pragnął być przyjacielem domu w czystości serca, bratem tylko i sługą... Spytek był nieufny, zgryźliwy, ostry dla żony i niemiły dla gościa, którego podejrzewał zawsze. Dziad nasz, im nieszczęśliwszą widział tę istotę, którą kochał, tem do większych dla niej ofiar czuł się gotowym; znosił on opryskliwe czasem i mniej grzeczne napaści męża, aby nie zrywać z tym domem. Tak się to wlokło i przedłużało, aż do ostatniej sceny tragicznej, krwawej, strasznej, która tę zgodę w nowy płomień zajadłej wojny zmieniła, a na nas rzuciła wiekuiste zemsty dziedzictwo... Spytkowie mieszkali naówczas na wsi, w starem swojem gnieździe, zamczysku ponurem, smutnem, zamurowanem, jak twierdza, zamkniętem, jak więzienie; dziad mój przesiady-

wał w Krakowie. Z dawnej miłości dla Spytkowej pozostała mu przyjaźń gorąca ku niej i wiekuiste widzenia jej pragnienie i tęsknota. Spytka naówczas nie było w domu. W jakiejś sprawie zawikłanej, nie umiejąc sobie poradzić sama, Spytkowa listownie go wezwała, aby do niej przybył. Pośpieszył na to zaproszenie biedny i nie sądził, ażeby tem zgrzeszył. Oboje byli na duchu czyści i bez myśli złej; ale im dzień spłynął niepostrzeżenie na słodkiej rozmowie. Pod wieczór, mówi tradycja, zerwała się burza straszliwa i powracać nie było sposobu. Jaksa musiał pod tym dachem zanocować. Dano mu pokoje na drugiem skrzydle zamkowem, a że burza wrzała i nikt spać się nie kładł, gospodyni i gość przesiedzieli do północka. Z tą burzą niespodzianie (podobno przez złośliwych ludzi podbechtany) wpadł Spytek o północy na zamek i, zastawszy ich oboje na cichej rozmowie, rozgorzał gniewem okrutnym. Napróżno żona, klęknąwszy przed nim, przysięgała, że była niewinną; próżno się Jaksa chciał tłómaczyć: nie słuchając nikogo, wściekły mąż kazał natychmiast ująć mego naddziada, okuć w kajdany, posłał po kata, sprowadził go na rozstawnych koniach przededniem i w starym lochu więziennym, w obecności żony swej, ściąć go rozkazał. Trupa pochowano w lochu, głowę kat zachował, aby na wieki rodzinie, jako świadectwo zemsty, pokazywana była. W chwili, gdy miecz katowski dotknął szyi niewinnego człowieka, który Bogiem się świadczył, iż nie przewinił myślą nawet — padła pani Spytkowa omdlała i ledwie ją otrzeźwiono i przywiedziono do życia... Przekonał się wkrótce później mściwy mąż o zupełnej niewinności nieszczęśliwej niewiasty, ale milczał, aby pokryć swą zbrodnię. W pół roku potem wydała na świat Spytkowa córkę, która przyniosła z sobą znamię krwawe na szyi. Była ona cudem piękności, ale ojcu wyrzutem ciągłym jego okrucieństwa, za które próżno odprawiał pokuty, gnie-

wu bowiem bożego przebłagać nie mógł nigdy. Odtąd rodzina, jakby palcem zemsty bożej naznaczona na pokutę, karleć, marnieć i znikać poczęła. Córka owa, śliczna dziewica, doszedłszy wieku, dnia i godziny, w której matka jej była świadkiem śmierci niewinnego, nagle, jak rażona mieczem katowskim, umarła. Napróżno stawiali kościoły, odprawiali pielgrzymki, sypali jałmużny: Bóg krwi przelanej nie darował... a pokutę uczynił długą i ciężką... Rozżarła się nienawiść pomiędzy rodzinami na nowo, a choć już czasy nie dopuszczały ani dzikich napadów, ani krwawych bojów, zmieniła się w walkę cichą, nieustanną, zajadłą. Tak ona dotrwała do dni naszych i jam jest — dodał, wstając z krzesła, Jaksa — ostatnim dziedzicem, na którego zdano pomszczenie krzywdy, narzędziem Opatrzności fatalnem, mimowolnie posłusznem. Los chciał, bym i ja był w tem położeniu, co mój naddziad: Spytek wydarł mi tę, którą miałem poślubić. Patrzałem lat wiele z męczarnią w sercu na jej niedolę, ale wybiła godzina...

Repeszko słuchał z przestrachem, szepcąc modlitewki na intencję, aby go Pan Bóg od wszelkiego wspólnictwa z Jaksą uwolnić raczył; nie pojmował na co się tu mógł przydać. Tymczasem kasztelanic siadł i mówił dalej:

— Nie wiodło się i nam lepiej, ginęliśmy powoli; ale widoczny był ten palec boży we wszystkiem, co się stosunku dwóch rodzin tykało. Ojciec mój, gdy już majętność swą niemal całą był rozproszył, dostał przekazaną sobie przez nieznajomego człowieka darem pretensję do Mielsztyniec, która Spytkom ich majętność odebrać dozwalała. Z dokumentów tych okazuje się, że nabycie dóbr było nieważne, a ten, co je sprzedał, nie miał prawa rozporządzać niemi. Poszliśmy przed sądy, rozpoczął się proces. Z możnymi wszakże ubogiemu sprawy dojść trudno. Ojciec stracił

na to resztę majątku, a ja zaprzestać musiałem, bo nie było o czem ich ścigać...

— No, to przedawnienie zaszło — przerwał żywo Repeszko — i cała ta pretensja dziś funta kłaków nie warta...

— Wstrzymajże się, a nie strzelaj tak popędliwie! — rzekł Jaksa, rozwijając papiery. — Nigdyśmy, ani ja, ani ojciec, przedawnienia nie dopuścili, zanosiliśmy regularnie manifesta przeciwko przemocy, zostawiając sobie moc poszukiwania pretensyj naszych, które teraz tak urosły, iż mogą całe pożreć Mielsztyńce...

Repeszce zaświeciły oczy, ale stał niedowierzający jeszcze.

— Weźmiesz wmość prawnika z Lublina i każesz sobie przejrzeć dokumenta — odparł spokojnie na niemne oczu zapytanie kasztelanic. — Ja ci papiery zostawię... przekonasz się. Sam procesu prowadzić nie mogę i nie chcę; ale pragnę, abyś ty go przeprowadził i z niego korzystał. Dotąd nie pora była po temu; dziś... mówiłem ci, wybiła godzina, jest czas... tyś dla mnie opatrznościowym zesłańcem. Drugiego takiego drapieżnego człowieka niełatwo wyszukaćby mi było.

Z obawą niejaką, z niedowierzaniem i jakby się broniąc pokusie, zbliżył się Repeszko do stolika, na którym rozrzucone były papiery. Miał dosyć znajomości prawa, aby ważność dokumentów osądzić; wszakże na własną umiejętność spuszczać się nie chciał. Rzecz przedstawiała mu się tak ponętną, tak świetną, że mimo wstrętu, jaki w nim obudzał kasztelanic, ręce mu z chciwości zadrżały, gdy się wziął do przeglądania aktów.

Jaksa chodził po izdebce, poświstując. Spoglądał nań niekiedy i sam do siebie się uśmiechał, bo wiedział, że Repeszko oprzeć się nie potrafi tak wszechmocnej pokusie. Panu Nikodemowi pot oblewał skro-

nie, iskrzyły się oczy; ściskał konwulsyjnie papiery, które z kolei chwytał, rzucał i przeglądał.

— Ale, jeśli w istocie — rzekł po namyśle — przedawnienia niema, jeśli ta sprawa może wam dać Mielsztyńce, dlaczegóż nie użyjecie prawnika, któryby wam to za mniejsze pieniądze mógł poprowadzić i wygrać? Czemu mnie chcecie ustąpić zysku i tak... wspaniałomyślnie obdarzyć niezasłużonego?

— Bardzo rozumnie badasz i słusznie mnie podejrzewasz; ale ja nie chcę w mojem imieniu procesować Spytków... ja muszę stać na boku... ja... to moja tajemnica — dodał żywo. — Może być, że przyjdzie chwila, w której ci powiem wygrywającemu: „Nie pójdziesz dalej!", w której ci zapłacę trud i odbiorę wszystko... a może za liche wynagrodzenie oddam ci Mielsztyńce.

— Więc ja mam pracować i łożyć na niepewne? — spytał Repeszko. — A na cóż mi się to zdało? Będę ważył, płacił, poił się nadzieją, a potem...

— A potem ci łup wydrę może z przed paszczy? — przerwał Jaksa; — ale ci zapłacę sowicie, słyszysz? zapłacę! O co idzie?... Zapewnisz sobie prawnie i znój i koszta.

Repeszko stał milczący, w niepewności wielkiej... zawracało mu się w głowie.

— Dlaczegóż pan cierpiałeś biedę dotąd, mogąc?...

— Nie mogłem!... — zawołał popędliwie Jaksa.

— Dlaczego? dlaczego? Jak ja dziś, podjąłby się był sprawy kto inny. W tem jest coś ciemnego...

— Tak... i to pozostanie ciemnem na zawsze — rzekł, śmiejąc się szydersko kasztelanic. — Dopóki żył Spytek, jam o głodzie śmierci jego czekał; wiedziałem, że jestem narzędziem zemsty bożej i że się jej doczekać muszę... Zresztą, słuchaj, Repeszko: nie chcesz... niema roboty, weźmie ją kto inny... Wolałbym ciebie, boś ty cierpliwa pijawka, która, gdy się

raz do ciała przyczepi, wyssie z niego ostatnią krwi kropelkę.

Gospodarz zadrżał, czując się odgadnionym, a nie pojmując, jak tu, w obcej stronie, gdzie go nie znano, gdzie niczem nie zasłużył na taki rozgłos, mógł go ktoś znać tak dobrze... Złożył ręce, podniósł oczy i westchnął, wzywając niebios na świadectwo, że go szkaradnie oszkalowano...

— A panie mój! Ja, ja, najłagodniejszy z ludzi, który nikomu nie zamąciłem wody!... ja...

— Cicho, cicho... — przerwał kasztelanic: — durz sobie kogo chcesz, nie mnie. Ja z pierwszego wejrzenia wyczytałem najtajniejsze myśli twoje; znam cię, odgaduję od szpiku. Mnie nie skłamiesz nic. Każ dawać jajecznicę i zająca...

— Papiery — dodał Jaksa — zostawiam ci na tydzień; a po tygodniu, przyjadę po odpowiedź, a dasz mi ją w dwóch słowach: tak, lub nie. Za dziesięć dni będzie proces rozpoczęty, a za...

Tu Jaksa umilkł, i świszcząc, przechadzać się zaczął. Zwrócił zupełnie gdzieindziej rozmowę.

— Co z ciebie za sknera! — zawołał — co z ciebie za nędzarz dobrowolny!... Ani łyżki, ani miski, ani poczciwego nakrycia!

— Ale kredens jest jeszcze zapakowany, bo ja go nie używam — mruczał Repeszko; — łyżki właśnie kazałem przerabiać złotnikowi, a bielizna cała w praniu.

— Szczęściem, że ja myśliwy jestem i na pniu palcami jadać przywykłem — odparł kasztelanic. — Ale pień jest czystszy od twojego stołu...

Repeszko, przytuliwszy się do ściany, płaski, nikły, po cichu wysunął się za drzwi, nie śmiejąc słowa odpowiedzieć.

Zjedli prędko, i Jaksa począł się żegnać.

— Papiery zostawiam ci — rzekł; — za tydzień przyjadę po odpowiedź: tak, lub nie. Może też być, że

ja powiem jeszcze: „nie", rozmyśliwszy się. Korzystaj, toć to twoja robota na świecie, mosanie Repeszko; na toś stworzony, abyś z nas soki wysysał.

Oburzony gospodarz chciał protestować.

— Cicho! — ofuknął Jaksa: — ja cię znam lepiej, niż sądzisz. Bywaj zdrów, i nie sądź, że mnie oszukasz.

To rzekłszy, Jaksa nakrył głowę, wyszedł z izby i, nie mówiąc słowa, odjechał do Rabsztyniec.

Bywają chwile życia, stanowiące w niem kryzys, kres jednej epoki, a świt nowej, drugiej, ledwie z pierwszą wspomnieniami związanej. Człowiek wstaje nagle, jak po obłożnej chorobie, w której walczył między życiem a śmiercią; wstaje odrodzony, czując, że to, co pozostawił za sobą, było jakby innem, odrębnem istnieniem. Im czulsza i wrażliwsza jest organizacja człowieka, im doskonalsza jest natura, tem więcej ulega takim przeobrażeniom, oszczędzającym mu dróg powolniejszych, jakiemi wlec się muszą inni.

Takiemu przeobrażeniu nagłemu uległ młody Eugenek w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Jeden wieczór zastanowienia i dumania, kilka wyrazów starego Siemiona, głos wreszcie omszonych murów mielsztynieckich, zmieniły go do niepoznania. Płochy nieco i roztrzepany chłopak, nagle zmężniał na duchu, spoważniał postawą. Cała noc przeszła mu na dziwnych marzeniach. Śnił, że jego sypialnię otaczały mary, do ożyłych wizerunków portretowej sali podobne.

W tym śnie nie brakło ojca, ale nie było matki. Nie wiedzieć dlaczego, uczuł się dla niej ostygłym, prawie nieufnym i zażalonym za to, że się ukazała w ostatniej chwili zbyt dla Jaksy pobłażającą. Wstał pod wrażeniem tych nocnych widziadeł, i przypomniawszy wieczór wczorajszy, poszedł się najprzód

upewnić, że książka, którą wziął w bibljotece, leżała w jego szafie. Zapieczętowane karty kusiły go: spojrzał na nie; ale jakież było podziwienie jego, gdy sznur znalazł potargany, pieczęci złamane, tajemnicze arkusze rozlepione!...

— Nie mógł uwierzyć swym oczom, tak był pewien, że wczoraj włożył ją na półkę nietkniętą. Miałże ją przez sen nieprzytomny sam otworzyć? czy siła jaka tajemnicza rozwarła mu je umyślnie, aby nic ciekawości jego nie wstrzymało?...

Odprawiwszy Zaranka do książek, krótkie dzień dobry oddawszy matce, którą znalazł smutną, z oczyma do zapłakanych podobnemi, Eugenek pobiegł do bibljoteki i tam zamknął się z rękopisem, aby pożerać chciwie jego tajemnicze karty...

Co się działo w sercu pani Spytkowej, tegobyśmy pewnie określić nie potrafili. Szczęściem w papierach, które służą za materjał tej powieści, znalazł się ułamek listu, pisany do przyjaciółki lat dziecinnych i powiernicy, z którą się każdem wrażeniem dzielić była przywykła. Daleka ta krewna mieszkała w Warszawie, gdzie mąż jej na dworze znakomite zajmował stanowisko. Wychowane razem, jak dwie siostry kochające się czule, Brygida i Łucja, rzadko się widując, zastępowały dla siebie świat cały. Jak Brygida, Łucja była nieszczęśliwą w małżeństwie, opuszczoną przez wietrznika, samotną; obie potrzebowały boleść z serca wylać, bo mało jest ludzi, co ją zamknąć potrafią; latały więc co kilka dni kartki do stolicy a w nich każde bicie serca czuć się dawało.

List bez daty, który widocznie do tych dni się odnosi, po opisie ostatniej bytności Iwona w Mielsztyńcach, kończy się takim ustępem:

„Łucjo kochana! chciałabym ci się wyspowiadać tak szczerze nawet z grzesznych myśli moich, jak przed kapłanem na ostatniej spowiedzi. Ale czyż ja sama siebie rozumiem? czy ja władam sobą? To, co

mnie teraz otacza, od dnia śmierci człowieka, którego imię noszę jeszcze, i po którym zostały mi resztki ciężkich kajdan, dźwiganych długo — zdaje się jakby w sen gorączkowy życie moje zmieniło. Syn mój, o przeznaczenie! przywiódł mi tu tego człowieka, którego starałam się, a nie mogłam zapomnieć. Stanął przedemną, widmo żywe młodości, zeschły liść tej wiązki kwiatów, której woń mnie poiła... Kilkanaście lat surowa, nieubłagana dla siebie, bez łzy, bez jęku, zimna, kamienna, znosiłam straszliwą torturę. Słyszałam, patrzałam niemal jak on się szarzał, upadał i upadał... myślałam, żem zobojętniała, że jeśli co zostało we mnie z dawnych uczuć, to się jak wino w ocet z gniewu zmieniło. Ale któż pojmie co jest za potęga w młodości i węzłach, które się latami młodemi sprzęgają!? Z pogardą przyjęłam tego człowieka, mówiłam z gniewem do niego, piorunowałam go oczyma, a łzy z nich ciekły, i chwilami temu zwiędłemu skalanemu człowiekowi chciałam się rzucić na szyję, lub do nóg upaść i płakać... Praca lat kilkunastu nad sobą, siła moja, panowanie, w proch się rozpełzły; siebie nie poznaję. Wypędzam go... i lękam się, aby nie poszedł; brzydzę się nim... i głosu jego, tego śpiewu dni wiosennych, słucham z rozkoszą; męczę się mojem spodleniem, niedolą... i czuję, że w paszczę smoczą pójdę słaba, złamana, gdy mnie zawoła, że zapomnę obowiązków, dziecięcia, żałoby, którą noszę, imienia!... Wstyd mi siebie, a umrzeć nie umiem, a żyć bezecna pragnę. Kochałam go niegdyś młodym, pięknym, pełnym szlachetności i zapału. Co za ruinę straszną uczyniły z niego lata! Jest-to anioł upadły, czarny, spalony, a ja skazana jestem widzieć w nim i pod nim anioła marzeń moich. Gardzę nim i kocham go namiętnie, brzydzę się i żyć bez niego nie mogę. Pożegnałam go, odpędziłam jako Spytkowa; alem wyszła po chwili, przyciągając go słowem łagodnem, jak dawna kochanka. Nawet widok ludzi i dziecka mnie nie powstrzy-

mał... Na domiar nieszczęścia, przypomnij sobie nieprzyjaźń wiekuistą rodzin, którą ja odziedziczyć powinnam... Nie jestże to fatalność? Powiedz mi, co mam czynić? Modlitwa nie pomaga, Bóg nie słucha..."

Niedziw, że po tym liście wyjazd do Warszawy pierwej postanowiony, wkrótce odłoży i zapomniany został.

Jaksa się nie pokazywał, choć zaproszony, a Eugenek wcale też nie myślał go szukać i przyciągać. W Mielsztyńcach smutniejsze jeszcze może niż za starego pana, jak go zwano, poczęło się życie.

Matka spostrzegła zmianę wielką w synu, ale przyczyn jej nie umiejąc odgadnąć, przypisywała to wiekowi; poleciła tylko panu Zarankowi, aby się go starał rozerwać i zabawić.

Jednego rana oznajmiono pani starego jej plenipotenta, owego Dzięgielewskiego, który za Spytka już nieograniczone posiadał zaufanie rodziny i w ręku swoich miał zarząd i wszystkie dotyczące Spytków sprawy. Był to starzec, ale czerstwy, człek nieposzlakowanej poczciwości, chłodny na pozór, a w rzeczy pełny przywiązania do domu, i kochający rodzinę pańską jak swoją.

Dosyć było pani Spytkowej spojrzeć na niego, aby coś niepomyślnego odgadnąć. Stary Dzięgielewski skłonił się, a na zapytanie, co go sprowadza? osądził za słuszne nie obwijać prawdy w bawełnę.

— Przychodzę ze złą wprawdzie wiadomością, a przynajmniej z kłopotem — rzekł, — ale w istocie nie jest to nic nowego, choć wygrzebanego z nowem przygotowaniem groźnem. Będziemy mieli proces...

— Z kim? o co? zapytała wdowa. Pan wiesz, że wszelkiego powodu do spierania się po sądach mąż mój unikał. Cóż się stało? co zaszło?

— Jest to rzecz stara, śmieszna, przedawniona; a jednak mogąca wiele kosztować i pieniędzy, i pokoju. Zrobić nam nic nie zrobią, ale męczyć mogą.

— Któż? co? za co?

— Proces to kilkadziesiątletni, ale nudny być może w nowych rękach zapobiegliwego i zręcznego człowieka. Spytkowie, nabywając Mielsztyńce dwieście lat temu z okładem, nie dopilnowali się należycie. Majątek był prawie jeszcze niepodzielny; brat, który go sprzedawał, choć nim władał, nie miał ustępstwa formalnego od rodziny. Sprzedaż była w dobrej wierze zrobiona ze stron obu, ale nieprawna. Rodzina sprzedającego po jego śmierci wytoczyła proces o Mielsztyńce, o posiadanie nielegalne. Walczyliśmy o to; ale sprawa, tłumiona, przewlekana, nigdy całkiem nie była ukończona. Nie wiem jaką drogą owa pretensja do Mielsztyniec przeszła w ręce ojca Jaksy.

— Więc to pan Jaksa? spytała wdowa żywo.

— Nie, nie on, jak się zdaje — rzekł Dzięgielewski, — ale ktoś, co nabył czy dostał prawa jego, zapewne dawniej czy teraz, nie wiem... p. Nikodem Repeszko — dodał pełnomocnik. — Repeszko jest sąsiadem Mielsztyniec, *homo novus*, niedawno tu przybył i mało nam znany, ale dotąd nie z najlepszej strony. Jest chciwy, przebiegły, twardy... proces z nim, to może być rzecz wiekuista. Wygramy go, ale nas będzie ciągał po trybunałach bez końca.

— Wszakżeby go można pewnie zagodzić czemś? spytała wdowa trochę niespokojnie.

— Tak i ja sądziłem, odparł Dzięgielewski, który chłodno brał rzeczy i strwożonym się być nie zdawał: tak sądziłem, i nim przyszedłem niepokoić panią moją, jeździłem do niego, myśląc, że się to da lada czem raz na zawsze załatwić. Ale człek słodki jak miód, okazał się twardym jak kamień. Roześmiałem mu się w oczy, gdy mi na sercjo powiedzieć śmiał, że mu się całe Mielsztyńce, ni mniej ni więcej, należą. Po takiem wyznaniu, nie było co traktować nawet z szalonym... ale...

— Możeż to być groźnem? podchwyciła wdowa.

Ja nie znam prawa, ale prosty rozum wskazuje, iż posiadanie dwuwiekowe samo już daje pewną rękojmię, że było na czemś oparte, że...

— Tak jest! przerwał starzec. Nie sądzę, byśmy przegrali, ale proces będzie długi i kosztowny.

— Dla obu stron? odparła wdowa.

— Zapewne, z tą różnicą, że majętniejszych zawsze on więcej kosztuje...

— Jestże na to jaka rada?

— Będę się starał wyszukać ją... ciszej odpowiedział plenipotent. Tymczasem osobnego potrzebuję upoważnienia i osobnych na to funduszów...

Już po tych naradach, które się wprędce skończyły, staruszek wychodził, gdy pani Spytkowa zawołała:

— Mówiliście mi — rzekła — że pretensję tę do Mielsztyniec nabyli Jaksowie. A więc od kasztelanica ona przeszła do tego pana. Zdaje mi się, iż nowy sąsiad nie tak dawno nabył Studzienicę, więc później jeszcze musiał dostać ten proces. Nie czujcież w tem ręki... ręki naszego dawnego nieprzyjaciela... kasztelanica, który zdawał się przecię przejednany i zbliżył się do nas? Nie jest-li to jego sprawa? nie należałoby...?

Nie dokończyła, stary powrócił od progu.

— Dla różnych przyczyn — rzekł ciszej — unikałem wspomnienia tego pana. Nie chciałem uszu pani trudzić opowiadaniem o nim. Jednakże toż samo właśnie przyszło mi na myśl, i spowodowało, że zaraz w początku, mimo największego wstrętu do osoby, udałem się do tych nieszczęsnych Rabsztyniec.

Pani Spytkowa zadrżała i spojrzała bystro na Dzięgielewskiego. Stary był spokojny, i mówił nie domyślając się, jakie wrażenie słowa jego uczynić mogły.

— Pojechałem, ciągnął dalej, do tego wilczego gniazda. Jakimś cudem go tam zastałem, bo to się włóczy i tłucze, jak Marek po piekle, całe życie. No,

ale tym razem siedział w domu. Co za dom! cygański szałas często pozorniej się wydaje.

— Jestże w takiej nędzy?

— Niewątpliwie, bo nieład i rozpusta prowadzi ją za sobą — mówił plenipotent. Przyjął mnie, widocznie domyśliwszy się zaraz o co chodzi, choć udawał, że nic nie wie i nie rozumie. Gdym zagaił sprawę, cóż? oto dowiódł mi czarno na białem ,że nie on Repeszce odstąpił tych pretensji, ale ktoś inny, któremu on, jakoby żadnej do nich nie przywiązując wagi, oddał je w małym długu przed laty... W istocie są dowody, ciągnął dalej Dzięgielewski, że pretensja przez trzecią osobę cedowana była temu Repeszce. Ale te dowody wcale nic nie przekonywają, bo w sprawie z takimi ludźmi zawsze się fałszu domyślać potrzeba.

— Cóż jest za cel w tem wszystkiem? — spytała kobieta, płonąc i blednieiąc.

— Czas dopiero rozświecić to może — z cicha szepnął Dzięgielewski. Nieszczęściem ludzie są chciwi i źli, czasy nie najlepsze, miłość sprawiedliwości wygasa, interes ją zastępuje... To pewne, że się bronić dzielnie będziemy, że ja sił wszelkich dołożę i pani możesz być pewna...

— O! ja jestem spokojna, przerwała Spytkowa. Ale... szepnęła ciszej po chwili — nie dobrzeby to było, gdybym ja sama spróbowała pomówić albo z Jaksą...?

— Ale on od tego ręce umywa...

— No, to z Repeszką?

— Z nim nie warto! zawołał Dzięgielewski; wzbiłoby go to w pychę. Widząc nas spokojnymi, może zwątpi; trwogaby mu sił dodała, a gdy się zawaha, zawsze czas będzie lada czem sprawę uspokoić.

— Rób pan, jak uznasz za właściwe, rzekła wdowa w ostatku.

Tegoż dnia, z rozmowy przy obiedzie, dowiedział się o wszystkiem Eugenek. Słuchał powieści z uwagą

wielką, dopytywał się o nią, a bystrym umysłem sięgnął odrazu do głębi, chociaż jej dna dojrzeć nie mógł. Nie rozumiał on dobrze rachub, czuł wszakże rękę mściwą Jaksy, i przekonany był, że cała robota od niego wyszła. Twarzyczka młoda rozpłomieniła mu się od gniewu, oko zaiskrzyło.

Tymczasem proces, rozpoczęty jakoś na pozór bez wielkich wytężeń, z cicha i ostrożnie, wprędce nadzwyczaj groźne przybrał rozmiary.

Ale tu mistrzem się pokazał dopiero godny pan Repeszko. Nigdzie śladów nogi jego widać nie było, nigdzie głosu nie słychać, przecież skutki potajemnej roboty mocno się uczuć dawały. Nie szło już o Mielsztyńce, ale o zasady — a wiek był po temu, by się o nie rozpierano wszędzie, gdziekolwiek cień ich się ukazał. Nadzwyczaj zręcznie memorjałami poparta pretensja, uzyskała rozgłos, stała się przedmiotem rozmów, roznamiętniała ludzi, trzymała sędziów pod naciskiem opinji publicznej, zawsze skłonnej do popierania tego, co krzyczy i hałasuje.

Prawnicy, których się radził, potrząsali głowami: wszyscy dotąd utrzymywali, że sprawa przegraną być nie może; ale już przebąkiwano, że się dla świętego spokoju dobrze trzeba będzie opłacić. Dzięgielewski udał się do Repeszki, ułożywszy z nim spotkanie w domu znajomych. P. Nikodem, przejęty najszlachetniejszemi uczuciami, składał ręce, kłaniał się, zaklinał, uśmiechał, ściskał Dzięgielewskiego, ale w żadne układy wchodzić nie myślał... Utrzymywał, że poniósł tak znaczne koszta, nabył pretensję tak drogo, opłacił trybunały tak sowicie, iż dziś chybaby mu dano całe Mielsztyńce, a jutro to jeszcze do nich coś dodać przyjdzie. Suma, do jakiej urosły jego rachunki, była olbrzymia do śmieszności. Nie można było mówić z tym człowiekiem.

Dzięgielewski stary, przywykły do spokoju, sumienny, po tem spotkaniu tak się zgryzł myślą, iż

wszystkiemu był winien, z razu lekceważąc nieprzyjaciela, że przyszedłszy do domu, położył się w łóżko... a w kilka dni biedaka poprowadzono na cmentarz... Miał wprawdzie lat siedemdziesiąt siedem, te dwie siekierki straszne, co tylu ścinają ludzi, ale byłby pożył pewnie do dziewięćdziesięciu, gdyby nie sprawa nieszczęśliwa.

Zacny a pobożny Repeszko, co admirowano niezmiernie, poszedł ze świecą za jego pogrzebem, i rzucił garść piasku na oczy starca, a nawet łez kilka uronił. W istocie niepospolita była to dla niego gratka; starego takiego pełnomocnika, wtajemniczonego we wszystko, niełatwo zastąpić. W pierwszej zaraz chwili, nim się opamiętano, p. Nikodem popędził sprawę i otrzymał dekret niespodziewany, nieprzewidziany, dla siebie nader pomyślny.

Był teraz w swoim żywiole, lepiej nawet wyglądał. Szczerze powiedziawszy, przyczyna tego była bardzo prosta. W zwykłym trybie jego życia post i chleb suchy a licha strawa nawet w niedzielę się nie zmieniały. Rozpocząwszy proces, Repeszko uznał, stosując się do miejscowych obyczajów, że ludzi potrzebnych papką najłacniej ujmować, że często inaczej nawet pozyskać ich sobie niepodobna; potrzeba więc było wydawać obiady, wieczerze, śniadania i podwieczorki. Zmuszony do tej fatalnej ostateczności, Repeszko gospodarując, przynajmniej za swoje pieniądze objadał się za każdym razem jak mógł najobficiej... To go na cerze i na objętości nawet poprawiło. Postrzegł sam, że pas, który dawniej bardzo długie miał końce, stawał się coraz krótszym.

Po śmierci Dzięgielewskiego interesa jego objął młody pomocnik, człowiek do zbytku bojaźliwy i przejęty wielką odpowiedzialnością, jaka spadła na niego.

W tem wszystkiem zemsta kasztelanica, jakkolwiek ukryta, dla niej była widoczną, dotykalną.

Był to dzień późnej jesieni, ale pora pogodna

i ciepła. Lasy złociły się już przedśmiertnemi barwami; po polach słały się nici pajęcze; w powietrzu była cisza dziwnego tęsknego uroku... Pani Spytkowa miała zwyczaj przejeżdżać się konno, od owdowienia jednak swego polowania prawie zaniechała. Z południa tego dnia zadzwoniła i kazała sobie podać karego wierzchowca, który stał prawie zawsze gotowy. Przyprowadził masztalerz, chcąc pani towarzyszyć, ale go odprawiła, zapowiadając, że sama chce krótką uczynić przejażdżkę.

Są czasem dziwne trafy, których nic wytłómaczyć nie może, a od których wiele w życiu zależy. Pani Spytkowa czuła i wiedziała, że nie szukając go, spotka dnia tego Jaksę; puściła cugle koniowi i przyśpieszyła bieg jego w tę stronę, gdzie Rabsztyńce. Powiedziała sobie w duszy, że jeśli go spotka, stanowczo raz z nim rozprawić się musi...

Jak? o tem nie wiedziała sama. Pragnęła użyć dawnej nad nim przewagi, aby go od prześladowania odciągnąć; nie była jednak pewna na czem się może skończyć rozmowa. Chwilami strach ją ogarniał i pragnęła wrócić... a jednak jechała dalej... ciągnęło ją i popychało.

Gdy z dumań tych, którym gwałtowne bicie serca towarzyszyło, rozbudziła się, gałęzie drzew na wązkiej ścieżce leśnej biły ją po twarzy; była wśród gęstwin dobrze sobie znanych... Na krętej drożynie wiodącej do Rabsztyniec, koń niekierowany szedł sam dziwnym jakimś instynktem... Serce uderzało w piersi coraz gwałtowniej: obawiała się podnieść oczy, tak pewna była, że go zobaczy...

Jakoż tętent drugiego konia dał się słyszeć po za nią, coraz bliżej, coraz bliżej... Na ścieżce mignął jeździec... był to Jaksa, w myśliwskiej starej kurcie, w ubraniu prawie odartem, z twarzą bladą, wyschłą, straszną niemal wyrazem posępnym i groźnym.

Zobaczywszy i poznawszy wdowę, zatrzymał ko-

nia nieco; zdawał się namyślać, czy ma zawrócić się, czy minąć ją; potem ścisnął ostrogami i w susach kilku, uchylając czapki, przebiegł nie zatrzymując się. W przelocie spotkały się dwa wejrzenia nieokreślonego wyrazu: grozb, żalu i gniewu więcej w nich było niż miłości. Spytkowa zarumieniła się, chciała krzyknąć; lecz głosu jej zabrakło z razu. Potem zawołała:

— Stój!

Kasztelanic się odwrócił, koń jego wrył się w ziemię, tak silnie targnął cuglami.

— Stój! powtórzyła, zacinając karego, pani Spytkowa. Choćby nawet miano nas tu spotkać, podejrzeć, podsłuchać i roznieść po świecie, że w lasach szukam pokryjomu waćpana — mniejsza już o to; raz musimy się rozmówić z sobą... Szukałam go w istocie...

— Mnie? wy? zapytał cicha i prawie zawstydzony Iwo — mnie? pani?

— O! nie kłamże, człowiecze bez wstydu i bez serca, który znasz tylko namiętność, a nie rozumiesz poświęcenia, nie kłam! — gwałtownie zawołała kobieta. Wiedziałeś, że mnie przywiedziesz do tego, pracowałeś na upokorzenie, na łzy moje... szło ci o nędzne to zwycięstwo pychy, otrzymane przewrotnemi, lichemi, niegodnemi waś środkami.

— Nie rozumiem, odparł Jaksa — wszak żadnych niema już między nami stosunków... Cóż ja...

— Ale nie kłam, przewrotny, i zarumień się! powtórzyła kobieta. Któż, jeśli nie ty, narzucił nam ten proces? Nękasz mnie i prześladujesz. Powiedzże, czego chcesz? czego żądasz odemnie?

Kasztelanica twarz się zmieniła, obawa pierwszej chwili, czy wstyd może, ustąpiły z niej. Ironiczny uśmiech paczył mu usta, oczy błyskały z chmurnego czoła...

— Czego ja chcę? zawołał — to pani wiesz tak

dobrze jak i ja. Chcę napowrót serca, dłoni, ciebie... kobieto... któraś powinna była być moją!

— I zdobywać mnie chcesz zemstą, podstępem?...

— Czem mogę. Zamknięte serce, jeśli go nie otworzy promień uczucia, jak konchę zamkniętą potrzeba nożem rozedrzeć...

— Skrwawić.

— I zabić choćby... bo na grobach pokój rośnie.

— Ale ja się brzydzę tobą...

— Ale ja was nienawidzę także... Tylko — dorzucił kasztelanic — moja nienawiść jest jeszcze namiętnością, co się w najgłówniejszą miłość na skinienie twe zmienić potrafi.

— Tyś podły! zawołała drżąca kobieta.

— Tak, podły jestem, spodliłem się dobrowolnie, tarzam się w błocie, to moją gorączkę osładza! Cóż mam do stracenia?...

— Tyś mściwy! tyś bez litości!...

— Zemsta rzecz dodatkowa, rzekł chłodno Jaksa; ona się tu doskonale godzi z moją dla was namiętnością. Spytek mi wydarł narzeczoną, nadzieję, młodości szczęście; ja Spytkom wydrę majętność, dziecięciu matkę i opiekunkę... i zgniotę...

Kobieta krzyknęła... Jaksa, którego gniew unosił, powstrzymał się.

— Alboż moja zemsta — zawołał zmieniając głos nie jest obowiązkiem mojej rodziny i przeszłości? Alboż myśmy mało cierpieli od nich? Nie mamyż prawa oddać im wet za wet? Patrz, do jakiej nędzy przywiedli oni Jaksów! Czyż robak wreszcie nie ma podnieść głowy i bronić się, gdy może ukąsić? — A wy... cóż wam do nich? Dość tego! To plemię skarlałe skazane jest na zgubę!

— Moje dziecko! zawołała Spytkowa — moje dziecko!... — I więcej wymówić nie mogła.

Jaksa zamilkł.

— Nie wasze to, ale ich dziecię, rzekł chmurnie

znowu; niech pójdzie spróbować nędzy, upokorzenia, osamotnienia, któremi ja się poiłem. Czas mu do tego kielicha. Tak jest! Ten proces ja wam rzuciłem na barki, i zniszczę was nim...

Więc nawet dla mnie, w imię przeszłości, rozbroić się nie dasz i zmiękczyć?

— Wy zniżacie się do prośby?

— Nie proszę... przeklinam!...

— A jednak moglibyście odwrócić niebezpieczeństwo, rzekł Jaksa; ale musicie zerwać z przeszłością, poświęcić mi Spytków, być moją, oddać mi rękę...

Spytkowa zmierzyła go wzrokiem groźnym.

— Tak, rzekła z uśmiechem gorzkim: wprowadzić was na ten zamek, uczynić ojczymem dziecka, które nienawidzisz... Sądzisz mnie do tego zdolną...? Nie! raczej umrzeć!...

— Więc wyście pragnęli tylko, w imię dawnej miłości, rzucić mi jaki ochłap swojego bogactwa, jak nędzarzowi, jak rozbójnikowi, i odpędzić precz? Wytargować za uśmiech swobodę, mienie, przebaczenie, i pozbyć się Jaksy natrętnego?! Wiecież wy, żem wściekły, żem ostygły, i że nawet reszta miłości dla was zapłynęła żółcią, tak, że miłość jest goryczą i rozdzielić ich już nie można?

— Chcecie mnie zastraszyć — odparła wdowa. Powinniście pamiętać, że i ja jestem ową słabą, łzawą niewiastą, jaką byłam... i ja...

Ale gdy to mówiła, łzy popłynęły jej z oczu i łkanie przerwało mowę. Jaksa patrzał milczący. Czego wspomnienia nie dokonały, to cudownie łza jedna spełniła: serce się jego poruszyło — zmiękł, posmutniał, zmienił się. Konia swego zbliżył ku wdowie, zamyślony, posępny, ale widocznie wzruszony.

Powiedz — począł z cicha — powiedz mi, nie maszże ty litości żadnej? Chcesz, bym się wyrzekł zemsty, nadziei, bym dla twego spokoju, dla ocalenia ich, poświęcił się,... zaparł, ginął?... Cóż mi dasz w za-

mian?... trochę litości i wiele pogardy... Ależ każdy ma swą chwilę zwycięstwa w życiu, a jabym miał być jej pozbawiony? Powiedz!... O, jakże dziwnie splotły się nasze losy!... Stoimy zajadłymi nieprzyjaciółmi przeciwko sobie!

— I ty... ty mi *nic* nie chcesz poświęcić? łagodniej rzekła kobieta — *nic!*...

— Ja? Wszystko, odparł smutnie Jaksa. Tak jestem spragniony jednego dobrego słowa, że za nie...

— Nie zdobywaj mnie i szczęścia — zawołała żywo — gwałtem i musem; nie zabijaj wspomnień lepszych. Bądź wielkim i szlachetnym... Nie sprzedawaj mi uczucia swego... Serce kobiety tylko tem się odzyskuje. Nie poniżaj mnie, podnieś siebie!...

Kasztelanic dumał, oparty na siodle.

— Kusicielko! zawołał: rozbroić mnie chcesz i rzucić potem jak łachman na drodze, aby mnie ludzie stratowali... Ha! stań się wola twoja!... Dosyć cierpiałem, mogę już docierpieć do końca. Poddam się. Ale słuchaj! jeśli jest Bóg, sprawiedliwość, niebo i piekło... kara i nagroda... to spytają cię na innym świecie o dolę moją. Trzymasz ją w ręku. Zrobię wszystko czego żądasz... spełnię rozkaz! Jam twój, ja nie dopominam się o nic, nawet o uśmiech i spojrzenie. Bądź spokojna. Jaksowie zginą, ale ich grób... będzie godzien, byś na nim łzy wylała.

Spiął konia, skłonił głowę i zniknął.

Spytkowa stała długo w miejscu, z oczyma łez pełnemi, nie wierząc jeszcze otrzymanemu zwycięstwu. Sam koń jej rżąc zawrócił się ku domowi i niekierowany rączo się puścił. do Mielsztyniec. Gdy stanął przed gankiem, zsiadając zaledwie mogła pani Brygida zdać sobie sprawę z tej sceny dziwnej, nieprawdopodobnej, a zakończonej dla niej niezrozumiałym tryumfem.

P. Nikodem Repeszko właśnie był powrócił z Lublina, w dosyć dobrem usposobieniu umysłu, zadowolony z siebie, obrachowując wcześnie przyszłe zyski, jakie mu szczęśliwie prowadzona sprawa niechybnie dać musi, gdy drzwi się otworzyły nagle (ledwie czas miał trzos leżący na stole wsunąć pod poduszkę) i wszedł kasztelanic. Mimo, że mu wiele teraz zawdzięczał, Repeszko zawsze się go obawiał i każda jego bytność przejmowała go jakimś strachem. Tym razem jednak, spojrzawszy na twarz, znalazł Jaksę tak zmienionym, tak posępnie łagodnym, tak jakoś niegroźnym, że mu otucha wprędce do serca wróciła. Nic nie mówiąc, kasztelanic usiadł.

— Słuchaj-no, mospanie Repeszko, odezwał się: mam do ciebie interes... Przypominasz sobie zapewne, kiedy ci raz pierwszy ustępstwo moich pretensyj do Mielsztyniec przyniosłem, zapowiedziałem wyraźnie z góry, iż może przyjść chwila, gdy ci powiem: „Nie pójdziesz dalej — dosyć!" Otóż ta chwila przyszła... *Dosyć.*

— Jak to? — zapytał przelękły Repeszko — jaka chwila? co miało przyjść, najszanowniejszy mój dobroczyńco i łaskawco? Ty, którego nieocenioną przyjaźnią się zaszczycam... żarty chyba raczysz sobie czynić z pokornego sługi swego.

— Ja nigdy w życiu nie żartuję — odpowiedział spokojnie kasztelanic; — szydzę czasem, to co innego.

— A czasem straszę — dodał wdzięcząc się, ale zbladł gospodarz.

— Mylisz się, przerwał znowu Jaksa: nie straszę nigdy, chociaż biję czasem.

— Proces doszedł do tego kresu, który ja mu w myśli naznaczyłem i mówię: *dosyć.*

— Toż to ruina, hańba dla mnie i choć iść z torbami... Wszakże ja na tę przeklętą sprawę zadłużyłem Studzienicę... wyłożyłem...

— Słuchaj mnie. To, coś wyłożył, obrachujmy, dam ci nawet zarobić.

Pan Nikodem padł jak osłabły na swoje twarde łóżko; pot mu spływał po skroniach, załamał ręce.

— Zanadto ci się znów chciało, rzekł zawsze bardzo łagodnie, z uśmiechem politowania kasztelanic.— Dawaj rachunki!

Repeszko jeszcze nie wierzył, jeszcze się wzdrygał; nakoniec, acz cierpliwy, bo tchórz, pomyślał spróbować gniewu i oburzenia.

— Ale to tak nie może być! zawołał: to pójdziemy się rozprawić przed sądy. Ja, ja...

— Chyba przed trybunał najwyższy, rzekł Jaksa: bo ci zapowiadam, że jak psu w łeb ci strzelę — potem może sobie — ale że cię kula nie minie, tego możesz być najpewniejszy. Rachunki! natychmiast! krzyczał Jaksa, bijąc pięścią w stół, — i milcząc, bo ubiję!...

Gospodarz spojrzał na drzwi i chciał się wymknąć, ale Jaksa nie żartował: olbrzyma tego z małą główką pochwycił za kark i rzucił nim o łóżko. Potem z zimną krwią poszedł do drzwi, zaryglował je, schował klucz, wydobył pistolet i położył na stole, powtarzając: — „Rachunki! natychmiast!"

Repeszko złagodniał.

— Ale mój najłaskawszy dobroczyńco... Ja jestem człowiek spokojny, Bogu ducha winien, zawsze nieszczęśliwa ofiara... zawsze ofiara... Ludzie ze mnie co chcą robią...

— Rachunki! — powtórzył Jaksa.

— Ale ojcze, dobroczyńco, łaskawco!... Niepodobna przecię z palca wyłamać rzeczy tyle skomplikowanej jak rachunki procesowe... Dajże czas!

— Kłam, dodawaj, szachruj, ale mi dawaj rachunki tu zaraz na stół, wołał kasztelanic. Sknera taki jak ty nie może co do grosza nie wiedzieć ile miał w kieszeni i co wydał...

Repeszko znowu na łóżko upadł i pochwyciwszy się za głowę, udawał, że mdleje.

— Kochanie, czas upływa, zawołał kasztelanic. Komedji nie lubię i mogę cię otrzeźwić tak, jakbyś sobie może nie życzył. Mnie pilno.

Targi trwały jeszcze chwilę, ale kasztelanic tak groźny, tak coraz się stawał popędliwszy, że załzawiony Repeszko musiał wreszcie przystąpić do ostatecznej likwidacji.

Jakkolwiek suma zręcznie podstawiona była znaczna, bo przechodziła sto tysięcy złotych, zgodził się na nią Jaksa, dobył z kieszeni przygotowany reces, w który wpisał warunki i natychmiast kazał na nim Repeszce się podpisać, *nomine, cognomine et titulo.* Zręczny wykrętacz chciał już dodać: *salvis juribus...* aby jakiś był kruczek, ale potrącony, położył się na łóżko. Tu gorzko prawdziwemi począł płakać łzami.

— Posłuchaj pan, odezwał się po chwili, wstając: zgniotłeś mnie jak robaka, zrobiłeś ze mną coś chciał; ale pamiętaj, że i mali na świecie coś znaczą, że mól przegryza makaty i skóry...

— Mój kochany. odpowiedział Jaksa: będziesz mnie sobie gryzł jak chcesz, nie na wiele ja się zdałem i z życia skwitowałem dawno... Idzie mi o jedno tylko, bym przekonał świat i tych, których opinja mi jest drogą, że z tego nieszczęsnego grosza nie wziąłem nic, żem się nie splamił. Musisz mi tedy pod przysięgą dać świadectwo, jako od ciebie niczego nie żądałem i w żadnej z tobą nie byłem spółce.

Podpisanie ostatniego dokumentu już przyszło bardzo łatwo.

— Teraz, rzekł Jaksa, ponieważ chwili nie mam do stracenia, idź gdzie chcesz płakać nad niedolą swoją, a mnie tu zostaw, abym listy popisał, które mój Zacharjasz natychmiast powiezie.

W tem usposobieniu poczciwem ducha, w jakiem

był kasztelanic, czuł on, że to, co czynił, powinno było być całkowitą , bezwarunkową ofiarą.

List jego kończy się temi słowy:

„Łza twoja... pani mego żywota (nie zapomni czytelnik, że jesteśmy w osiemnastym wieku), obmyła ze mnie wszelki brud, którym nędza i cierpienie długie mnie okryły... Jestem i czuję się innym... Kocham ciebie! chcę dowieść, żem cię ukochał jak nie kochają na ziemi... Bądź spokojna! sterany szczątek człowieka nie przywlecze się do stóp twych błagać litości i żebrać jałmużny!... Potrafię pójść zagrzebać się gdzieś i umrzeć, nie uroniwszy jęku, po męsku. Nie żądam od ciebie niczego, oprócz, byś wspomniawszy mnie kiedyś, szczęśliwa, spokojna, westchnęła myśląc — że nie wszystko złem było w tym szaleńcu, który ci zatruł twą dolę.

„Rabsztyńce, wyjeżdżając, przekazuję wam. Poszanujcie groby nieprzyjaciół... otoczenie staraniem rozbite gniazdo gryfie..."

List był jakby łzami urwany. Kasztelanic wstał, zawołał Zacharjasza, oddał mu papiery i milcząc, poszedł do drzwi. Czekał tu na niego koń — pojechał pożegnać jeszcze Rabsztyńce.

W Mielsztyńcach siedziano u stołu, gdy na srebrnej tacy stary kamerdyner wniósł plik papierów opieczętowany i postawił go przed panią.

Rzuciwszy okiem, wdowa poznała pismo Iwona, rozerwała kopertę i poczęła czytać z gorączkową ciekawością. Płomienie uderzały jej na twarz, to znowu bladość ją okrywała śmiertelna, ręce drżały; ale kilkunastu lat pracy, dała jej siłę panowania nad sobą. Po chwili wyprostowała się poważna, zimna, obojętna na pozór — czuła bowiem ciekawe oczy dziecięcia,

zwrócone na siebie — odsunęła papiery i wznowiła nieco tylko drżącym głosem przerwaną powszednią rozmowę.

Chwila ta przecież postanowiła o jej życiu — była straszliwą ofiarą, wyrokiem nagłym, krokiem, który na nią miał ściągnąć może i wzgardę i przekleństwo świata. A jednak nie widać było po niej nic, prócz posępnego zamyślenia.

— Natychmiast po obiedzie podadzą mi karego konia, zawołała. Eugenek, dodała patrząc na syna, pójdziesz ze mną do mojego pokoju — mam ci coś do powiedzenia.

Reszta obiadu przeszła wedle obyczaju, wszyscy się gospodyni pokłonili i rozeszli.

Spytkowa, wziąwszy machinalnie przyniesione jej papiery do rąk, stała chwilę, poglądając to na syna, który czekał, to po tej komnacie, jak gdyby ją żegnała raz ostatni. Usiłowała wyrobić w sobie spokój zupełny, panowanie nad bijącem sercem i rozżarzoną głową, nimby stanowczy krok uczyniła. Chciała, by krok ten miał pozór chłodnego, niezłomnego postanowienia, nie zaś namiętności.

Nareszcie ruszyła się z miejsca, zwracając do swych pokojów; ale myśl nowa ją powstrzymała.

— Nie, rzekła do syna: chodź za mną do pokoju ojca.

Pokój Spytka pozostał tak, jak utrzymywano go za jego życia. Wszystko tam zachowano w miejscu, aż do róż, których woń go orzeźwiała; ale mało kto tam chodził, oprócz starego sługi, co uprzątając go, codzień w nim płakiwał.

Eugenek miał już jakby złowrogie przeczucie jakiegoś wypadku. W ostatnich dniach rozmyślania, czytania starego rękopisu, wpływ miejsca, znacznie go zmężniły.

Wdowa minęła oratorjum i otwarła drzwi sypialni

pustej. Słońce w całym blasku oświecało ją jaskrawo. Okiem objęła ją całą i zwróciła się do syna.

— Dziecko moje, rzekła: trafia się w życiu, że i z najpogodniejszego nieba biją niespodziane pioruny. Taki dziś uderzył we mnie i w ciebie... Przygotuj się mężnie do wielkiej i stanowczej w życiu zmiany. Nie jesteś już dziecięciem. Postanowienie moje jest niezłomne; to, co ci oznajmię, stanie się i stać się musi, choć mnie łzy kosztować będzie. Stracisz matkę... jadę, aby nie wrócić więcej — muszę!...

Eugenjusz stał prawie osłupiały; pani Spytkowa mówiła dalej:

— Nim zaślubiłam ojca twojego, byłam przyrzeczoną innemu. Kazano mi oddać rękę... usłuchałam woli ojca... Przez kilkanaście lat spełniałem obowiązki moje ciężkie, będąc mu posłuszną i wierną... Dziś jestem wolną. Człowiek, którego życie zatrułam, jest nieszczęśliwy; trzeba go ratować od zguby. Idę, gdzie mnie serce i obowiązek woła!... Rozbrajam wroga Spytków, oswobadzam was od zemsty. Moim narzeczonym jest... kasztelanic Jaksa.

Eugenek drgnął.

— Matko! — zawołał.

— Nie mów nic, odparła Spytkowa, zbliżając się i całując go w czoło. Na to nie ma ratunku — łzy ani zaklęcia nie pomogą. Proces i Mielsztyńce, który był dla ciebie groźny, jest skończony. Oto masz papiery. Nie zabiorę stąd niczego. Wszystko, co mi twój ojciec przekazł, oddaję ci i wracam; w jednej sukni stąd wyjdę, jak przyszłam; nawet te klejnoty — dodała, zrywając z palców pierścienie i łańcuch z szyi i kładąc je na stole — nie pójdą ze mną. Mały mój posażek mi wystarczy. Nie chcę niczego. Dziecko moje, przebacz mi!

I padła przed synem na kolana. Eugenek był przerażony. struchlały. drżący.

— Jesteś jeszcze tak młody, że mimo rozsądku

twego sam sobie rady dać nie możesz... Nie chcę, byś tak pozostał bez opieko. Pojedziesz do Warszawy, gdzie masz dalekich krewnych... Wojewoda S. weźmie cię w opiekę. Oddaj mu się... jest nam życzliwy... A! potępią mnie ludzie; ty sam, dziecko moje, rzucisz może na matkę kamieniem; ale któż z was zajrzał do tego serca... i pojąć mnie potrafi? Niech się stanie wola boża! zniosę nawet wzgardę i potępienie, lecz uratuję od zguby człowieka.

Powstała, mówiąc to, z ziemi — i poczęła łkając ściskać swe dziecię.

W chwili rozstania pani Spytkowa płakała. Zostawiała tu dziecię!

Eugenjusz czuł także łzy w oczach.

— A! — zawołał — instynktem nienawidziłem tego człowieka, choć pierwszy o niczem nie wiedząc, sprowadziłem go tu sam... Ja go zabiję!

— I mnie z nim zabijesz chyba razem, — odezwała się matka. — To, com postanowiła, stać się musi. On cierpiał dla mnie; ja idę cierpieć dla niego. Rzucona kość, stało się! Z wroga Spytków przerobię go na przyjaznego im człowieka.

— Nigdy on takim nie będzie, — rzekł chmurno Eugenjusz, który pod ciężarem tego ciosu czuł się jakby podrosłym i zmężniałym. — Nie godzi mi się ani sądzić mej matki, ani jej wymawiać, że dom ten okrywa drugą żałobą i wiekuistym wstydem... ale mi wolno ją błagać...

— Synu mój — przerwała wdowa: — wszystko byłoby próżne. Ja mam wolę żelazną, a com rzekła, to się stanie, mimo łez, które wyleję. Dotrwałam tu, wychowałam cię, byłam wierną moim obowiązkom; — ale dziś odzyskuję siebie i słucham tylko własnego sumienia... Niech boże błogosławieństwo strzeże waszego domu, który od tej chwili być moim przestaje... A! nie przeklinaj i nie pogardzaj matką! — dodała ręce łamiąc... i znowu na kolana upadała.

Eugjenjusz stał jak martwy.

— Jeśli się to ma stać — rzekł — dlaczegoż tak nagle? Niech się spełni wola twoja, ale tu, ale w inny sposób... Nie uciekaj od nas.

— To być nie może — przerwała Spytkowa: — nie wprowadzę tu nieprzyjaciela rodu waszego — nie! nie! Onby nie przyszedł — on jest dumny, — onby nie chciał bogactw waszych. Ja idę ubóstwo jego podzielić.

I namiętnym uściskiem, z płaczem i łkaniem objęła raz jeszcze dziecko swoje.

— Pamiętaj o mnie! — zawołała; — miej serce dla mnie Eugeni... a cobądź się stanie, pozostań godnym swych ojców... Na tobie przyszłość rodziny...

Nagle wyrwała się synowi, podała mu rękę i wyszła z pokoju. Eugenjusz biegł za nią... Za progiem otarła łzy, spuściła zasłonę na twarz, a krok jej pewny i śmiały nie zdradzał już najmniejszego wzruszenia. Można było sądzić, patrząc na nią, że istotnie wyjeżdża na zwykłą przejażdżkę i że za parę godzin powróci.

Przed gankiem stał już jej koń gotowy i masztalerz chciał towarzyszyć pani; skinęła tylko, aby został, podała rękę synowi, rzuciła się na siodło, zacięła karego i... cwałem pędząc, znikła za bramą zamkową.

Eugenjusz stał długo jak wryty, i nierychło drżącym krokiem powlókł się do swego mieszkania.

Na ruinach rabsztynieckiego zamku, Jaksa sam chodził po pustych izbach, gotując się do drogi. Stary Zacharjasz spoglądał na niego od progu z posępną twarzą. Iwo rzucał i porywał z kolei broń, ubranie, jakby nie wiedział co ma wziąć, a co zostawić.

Słowa niezrozumiałe z ust mu się wyrywały, a gdy

biedny sługa dopytywał o nie, nie dosłyszawszy, Jaksa go zbywał ruszeniem ramion.

Nagle tętent konia obu ich zwrócił uwagę. Rzadko się on tu słyszeć dawał, bo nikt przez gąszcze aż pod samo zamkowe skrzydło nie podjeżdżał. Pan i sługa, zdziwieni, podbiegli ku oknu. Jaksa krzyknął, rzucił się ku drzwiom, i piorunem zbiegł na dół. Kulawy Zacharjasz gonił go wystraszony i zdziwiony... Przed wrotami siedziała na spienionym karym koniu kobieta.

Kasztelanic zbliżył się z milczącym podziwem.

— Iwonie — rzekła głosem śmiałym: — płacę dług zaciągnięty sercem, przybywam tu... jestem twoją... Bierz konia, jedźmy razem do kościoła... ksiądz niech nas połączy, natychmiast, zaraz! Nie przynoszę ci niczego od Spytków, przychodzę uboga, jakąś mnie kochał, gotowa na nędzę, którą podzielę. Oddałam im wszystko...

W tej chwili, złamana wysiłkiem i wzruszeniem, pochyliła się na siodle. Jaksa poskoczył, chwytając karego razem i kobietę, która omdlała zsuwała się ku ziemi.

W oczach kasztelanica błyskała radość zwycięstwa i niewysłowione uczucie. Łza, niewidziany gość na spalonej, źrenicy, zwilżyła ją i spadła na białą rękę wdowy.

Omdlałą panią wniesiono do pustej sieni tych ruin, które się jeszcze zwały zamkiem rabsztynieckim.

Upłynął rok od opisanych wyżej wypadków, które spokojną dotąd okolicą wstrząsnęły w istocie jak uderzenie piorunu. Buchnęły płomienie przekleństw, urągowisk, potwarze, domysły, szyderstwa. Wszyscy w zawody rzucali kamieniami na matkę, co własne dziecko opuściła dla kochanka młodości. Większość ani zrozumieć, ani darować jej nie mogła, że się wy-

rzekła zapisów, bogactwa, że po ludzku i powszednio nie wprowadziła nowego męża do Mielsztyniec, zamiast jego rabsztynieckie ubóstwo podzielać.

W kilka dni po wyjeździe matki, Eugenjusz poczuł, że w Mielsztyńcach pozostać nie może. Kazał przygotować do podróży wszystko i ruszył do Warszawy...

Dla starych sług było to ciosem okropnym, jaki od wieków Spytków nie dotknął.

Następnego poranku w kaplicy zamkowej osiwiała drużyna leżała krzyżem, łkając i zawodząc. Czuła, że to okres ostateczny, że nadchodzi nieubłagana ruina, że ten wypadek zabójczy zwiastuje zgubę Mielsztyńcom.

Wszystkie też przez zabobonnych ludzi pochwytane znaki jakieś oznajmowały nieszczęście. Hełm z podniesioną od wieków stojący przyłbicą, przez który wyglądała zbielała głowa trupia, nagle się zatrzasnął, a gdy stary sługa nazajutrz, zdumiony, podniósł wizyr, nie znalazł w nim nic, tylko czarną próżnię. Głowa znikła... *)

Biała niewiasta, z krwawem na szyi znamieniem, nocą ukazywała się, powoli przechodząc salę... W pokoju nieboszczyka Spytka widziano przez kilka wieczorów z okien bijącą łunę, jakby od katafalkowych świec; a gdy burgrabia tam wszedł, lękając się pożaru, nie znalazł nic oprócz maleńkiej lampki przed obrazem patrona.

W kilka dni potem stary ks. Ziemiec, zmożony prośby i zaklęciami, pobłogosławił nowożeńcom, a ci już w Rabsztyńcach zaczynali rozgospodarowywać się nieco i myśleć o przyszłości — po sąsiedztwie rozeszła się wieść i wypadku.

---

*) Mówiono po cichu, że ją, uchodząc, pani zabrała z sobą, aby Jaksom powrócić.

Tymczasem mężna niewiasta krzątała się w opuszczonych od wieków Rabsztyńcach.

Z rozbicia tego, ze skarbów rzuconych dobrowolnie, Spytkowa nie wyniosła nic, prócz tego, co jej osobistą było własnością. Posag jej nader szczupły, szczęściem nietknięty przez Spytka, który rozkazał do niego dokładać procenta, i mieszać go z innemi funduszami nie dozwolił ,przy odebraniu, które natychmiast uskutecznić się dało, wyniósł kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jaksa nic nie miał, oprócz tego szmata ziemi, na którym stały ruiny, a z niego w istocie, przy najzapobieglejszej pracy, nic zrobić nie było można. Przytykała do niego wioska niewielka, niegdyś do klucza należąca, Młynica, rozdzielona tylko stawem od dworu. Szczęściem mogła być nabyta, i pani Iwonowa natychmiast ją kupiła. W ten sposób, choć dwór niestosunkowo rozległym był obok małej osady, przynajmniej z czemś się wiązał i dozwalał pewne zaprowadzić gospodarstwo...

Jakkolwiek Jaksa miał wielkie przymioty, przecież nie byłby umiał podołać takiemu szczęściu, jakie go spotkało. Łacniej mu było kilkanaście lat rozpaczy przeżyć, niż poić się rok jednostajnem szczęściem. Aniołem-stróżem, siłą domu, jego duszą stała się wdowa, która wyrzekłszy się swej woli na lat kilkanaście, poddając się żelaznej formie Spytkowskich obyczajów, teraz ją odzyskała, spotęgowaną, wielką, niezłomną. Zdawało się jej nieraz samej, że dopiero życie rozpoczyna. Jaksa padał przed nią w nieustannych zachwytach... i słuchał też jej już jak dziecię.

Eugenjusz, wyjeżdżając z Mielsztyniec, nierad je opuszczał. W ostatnich czasach zrósł się on z niemi i z przodkami, rozczytawszy się w podaniach, nasłuchawszy się powieści ludzi, związawszy z temi wspomnieniami jakąś miłością tem większą, że się czuł sierotą i samotnym.

Dopóki żył w obcym kraju, był Eugenek w istocie

wychowańcem ks. de Bury i nowej epoki... ale w Mielsztyńcach owładnęły nim tradycje, i pod wpływem ich, stał się jakby napowrót dzieckiem kraju i rodziny.

Targały nim te dwa prądy na przemiany i czyniły go tak nieszczęśliwy, jak są zwykle ludzie rozpołowieni życiem, którzy do zupełnej z sobą zgody nigdy przyjść nie mogą.

Eugenek często śmiał się sam z siebie i ze swych zabobonów, to znów oburzał się na suche i zimne niedowiarstwo swoje. Pod cieniem tych murów, gdyby tam był dłużej zamieszkał, niechybnie ostygłyby i zwietrzały wonie obcej nauki, wróciłby do dziecinnego myśli wątku.

Jednem z pierwszych jego postanowień było, nie wspominając o tem, co zaszło, jakby nie chcąc wiedzieć o tem, co go od matki dzieliło, donosić jej regularnie o sobie. Czyby mu ona odpowiadała, czy nie, przyrzekł sobie, że raz w miesiąc wyspowiada się jej ze swego życia: miał to za obowiązek dziecięcia. Nie wymógł tylko na sobie, by ją inaczej nazwał w liście, niż dawnem pani Spytkowej imieniem, i przesyłał pismo do Mielsztyniec, pewien będąc, że znajdzie drogę do sąsiedniego dworu.

Gdy pierwszy list taki odebrała matka, był on dla niej wyrzutem, groźbą, przestrachem. Rozłamała pieczęć, i zdziwiła się radośnie, nie znajdując ani słowa, którcby drażliwe położenie nowe przypominało. Syn, jakby odjechał od niej na chwilę, przypominał się jej i uniżenie ze swych czynności tłómaczył.

Niepodobna mu było nie odpisać... ale list matki był błogosławieństwem i milczącym uściskiem. Ona nie mogła mu ze swych trosk, pracy i powszednich wypadków się spowiadać; jej życie nowe oddzielone było nieprzebytą od dawnego granicą.

Młody Spytek zjawił się w Warszawie nieznany nikomu, zmuszony szukać rodziny i stosunków. Z początku posądzano go nawet, że to imię mógł nosić

i przybrać nieprawnie; dopiero krewni jego babki, Lubomirscy, i koligaci dalsi znacznych rodzin, dobrze poszperawszy w pamięci i genealogjach, przyznali się do młodego kuzyna...

Przed najbliższymi wyznał Eugenjusz, że matka jego powtórne zawarła śluby; ale wcale im nie dał poznać, żeby się go wyrzekła i opuściła.

Młody, majętny i pięknego imienia człowiek, musiał znaleźć uprzejme w Warszawie przyjęcie. A maleńki wzrost tego człowieka, tak poważnie wyglądającego mimo młodości, prześliczne rysy twarzy, jakiś smutek rozlany na jego czole, czyniły go zachwycającym.

Wkrótce, rozpatrzywszy się w kraju nieco lepiej, trochę za poradą pana Zaranka, więcej z własnej woli, Eugenjusz przedsięwziął podróż dłuższą zagranicę. Ale cel jej pojął poważniej niż zwykła była młodzież ówczesna; postanowił uczyć się. Zaranek potrzebował także nauki, która całą dla niego stanowić miała przyszłość; podali więc sobie ręce, zgodniejsi niż kiedykolwiek, weselsi, i gdy w Warszawie gotowano się zewsząd zastawiać sieci na maleńkiego Spyteczka, jak go nazywano, gdy matki rozpowiadały o nim córkom, rozwódki rzucać się zabierały roztapiające spojrzenia, wdówki zapraszać już chciały na wieczory, aby go trochę okrzesać — Eugenek niespodzianie oddał wizyty pożegnalne wszystkim i znikł ze stolicy.

Nie znałby ówczesnego świata, ktoby go posądził, że dłużej nad dwadzieścia cztery godziny żałował straty młodzieńca. Nazajutrz już przybyły z Włoch śpiewak był lwem dnia i najpożądańszą zabawką salonów.

W Rabsztyńcach działy się dziwy... ale mało kto mógł o nich wiedzieć bliżej, bo państwo Jaksowie z nikim stosunków nie mieli w sąsiedztwie. Rzadko na rannych mszach widywano ich w kościele. Postrzegali

ciekawi, że Iwo odmłodniał, i że choć powierzchowność miał bardzo ubogą, jednak staranniejszą niż przedtem. Pani Spytkowa, która niegdyś poszóstnie przyjeżdżała z rękodajnymi dworzami do parafji, teraz z mężem małą jeździła bryczką i tak skromnie ubrana, jak prosta szlachcianka. Ale w tej sukni ubogiej jeszcze była królową, tak niosła głowę wysoko, Ludzie mimowoli rozstępowali się przed nią... a czapki same się przed tym majestatem niewieścim chyliły.

Jeden tylko człowiek, gdy mu się z Jaksami spotykać przyszło, wciskał się w tłum, aby ich wejrzenia uniknąć i nie truć się tym widokiem; był nim bogobojny i spokój miłujący p. Nikodem Repeszko.

Temu jakoś w Lubelskiem wogóle się nie powodziło. Między ludźmi nie miał miru.

Co dziwniejsza, nikt u niego pieniędzy pożyczać nie chciał, nikt pomocy jego w ciężkim razie nie wezwał, choć się z nią serdecznie napraszał, nikt w żaden interes wchodzić z nim nie życzył. To mu życie zatruło. Sechł biedny, nędzniał, i dostawszy jakiegoś defektu na wątrobie, mimo lekarzy, którzy mu różne cudowne zapisywali medykamenta, oddał ducha niewiadomo komu, a majątek dalekim krewnym. Zapewniano, że przybyli po dziedzictwo w kurpiach, czytać i pisać nie umiejący... ale to być musiały potwarze.

Czas leci. W r. 1790, a zatem nierychło po opisanych wyżej wypadkach, i Melsztyńce, któreśmy widzieli tak troskliwie od wieków zachowane ze wszystkiemi pamiątkami dawnemi, znacznie się zmieniły. Eugenjusz Spytek z podróży swojej zagranicę dotąd był nie powrócił. Różne o nim chodziły wieści: mówiono, że był chory, że nabył nałogu szukania coraz nowych miejsc i wrażeń. Niekiedy przychodził suchy i krótki list od niego do rządcy Mielsztyniec, czasem od towarzysza podróży tylko; posyłano mu pieniądze

przez bankierów, które wystarczały wogóle i nie obciążały majątku długami. Niekiedy obiecywał swój powrót do domu, potem znów pobyt się jego przeciągał. Z daty listów dowiadywano się tylko, że bawił we Włoszech, w Rzymie, w Hiszpanji, w Sycylji, na Malcie, na Wschodzie. Powoli piękne zamczysko pustoszało. Ludzie, co go strzegli, wymierali z kolei: następowali młodsi, mniej do tych murów przywiązani, obojętniejsi na ich losy.

Ktoby teraz zamek zobaczył, z trudnościąby poznał choć milczącą, ale świetną rezydencję z dawnych wieków. Przyszła ta ruina nie nagle, nie gwałtownie, ale niedostrzeżenie, a dla tych, co patrzali codzień na ten upadek powolny, był on prawie niewidoczny.

Ale niczem było to opuszczenie ogrodu przy zamkowej ruinie. Tu i owdzie okna były powybijane i zasłonione naprędce deskami; gdzie niegdzie zaklejono je papierem, zatkano słomą. Przez poniszczone dachy woda dostawała się do wnętrza, i długiemi smugi pomalowała ściany, których tynk oblatywał kawałami i leżał gruzem na posadzkach. Wojna pozostawiła także po sobie ślady; wiele z dawnych zasobów pochowano, a wiele w zawierusze zginęło. I tak z wolna Mielsztyńce stały się niemal tem, czem rabsztynieckie były ruiny, gdyśmy je poraz pierwszy widzieli. Widma i duchy rozgościły się w nich teraz na dobre, a powieści o upiorach i strachach, o białej niewieście z pręgą krwawą, codzień przechadzającej się po salach pustych, o rycerzu żelaznym z trupią głową w jednej ręce, a mieczem w drugiej, — powtarzały się co wieczór we dworze. Zaledwie padł mrok, nikt się już do murów zbliżać nie chciał. Pozostało tylko jedno skrzydło mieszkalne, gdzie się reszta służby coraz ubywającej mieściła, nieźle utrzymywana kaplica i pokoje pana rządcy, który pozostałościami sprzętów wspaniałych bardzo się wygodnie i wytwornie nawet umeblował.

Tak wyglądało stare zamczysko, gdy jednego wie-

czoru w październiku, dano niespodzianie znać rządcy, że dwa powozy obładowane zbliżają się aleją lipową od miasteczka ku dworowi. Ponieważ Eugenjusz Spytek wcale o swym powrocie znać nie dawał, nikt się domyślić nie mógł, jaki to gość przybywa. Rządca, pan Feder, człek zamożny i skoligacony w sąsiedztwie, który się już tu niemal za dziedzica uważał, a miał familję bogatą, sądził z razu, że ktoś z krewnych jego żony przyjeżdża mu w gościnę. Powozy zaprzężone końmi pocztowemi, zatrzymały się przed gankiem zamkowym; ale tędy teraz wnijścia na górę nie było. Ponieważ różne stworzenia pasały się na dziedzińcu, więc zastrzegając od inwazji wschody, zrobiono prostą z chróstu bramę zabitą na głucho, a nawet drzwi w górze w poprzek były założone kilku dylami, bo już niemi nikt nie chodził. Wysiadając tedy z powozów zdumieli się, gdy zamiast u wnijścia do zamku, znaleźli się przed pewnym rodzajem barykady.

Dwóch mężczyzn stało na progu niedostępnym, gdy ostrzeżony rządca, nadbiegł, aby bliżej zbadać, kto tak poufale do *jego* zamku się dobywa? Jeden z nich, w zielonej szubce aksamitnej, podbitej lekkiem futerkiem, był bardzo małego wzrostu i zdawał się schorzały. Twarz miał woskowej bladości, oczy zagasłe, usta prawie białe, policzki wpadłe, a choć młody jeszcze, podpierał się na ręku towarzysza, mężczyzny silnej, zdrowej budowy i śmiałego, pełnego wyrazu oblicza. Tym chorym, jak się łatwo domyślić, był Eugenjusz Spytek ,kawaler Złotej Ostrogi, hrabia pałacu rzymskiego (świeżo przez Papieża mianowany), niegdyś wesołe chłopię, śmiejące się przyszłości, dziś kaszlący, dogorywający niemal cień człowieka. Większego w tej chwili osłabienia przyczyną było wzruszenie i gniew, który się na jego czole pofałdowanem i w oczach ciemnych, malował. Spodziewał się on zastać Mielsztyńce jak je porzucił; nie donoszono mu wcale o ich zniszczeniu. Rządca dość znaczne sumy liczył na utrzy-

manie zamku, a biedny wędrowiec, zdumiony, ten skarb swój zdany na ręce płatne znajdował okrutną ruiną. Serce mu się rozdzierało, ale gniew i oburzenie miotało nim takie, że z drżących warg wyraz się dobyć nie mógł. Towarzysz go nadaremnie usiłował uspokoić i złagodzić.

— Hrabia Spytek — rzekł — jest chory. Widok zamku w takim stanie, w takiem opuszczeniu i ruinie, gdy się go spodziewał znaleźć utrzymanym starannie, może fatalnie wpłynąć na jego zdrowie. Na miłość Boga! gdzie są pokoje mieszkalne, gdziebyśmy wejść mogli i zastać dawny porządek?... Mów pan prędzej!

— Ale tu była wojna... Tu stało wojsko, podchwycił rządca: jam temu nie winien. W całym zamku nie ma nic porządnego i mieszkalnego, oprócz tych pokoi, które my z familją zajmujemy... Dlaczegoż hrabia nie kazał nas uprzedzić?...

— Prowadź nas waćpan gdzie chcesz, bo hrabia ciężko zasłabnąć może, podlega atakom, a ten gniew...

Feder stracił głowę.

— Więc proszę do mnie — rzekł.

— Jak to do waćpana? — oburzył się Zaranek. — Tu panem jest hrabia, a waćpan gościem, który jutro zda rachunek ze swych czynności i pobytu.

Eugenjusz wstrzymywał się widocznie. Feder, już nie witając go, poleciał przodem, aby rodzinę swą wyrugować i mieszkanie oczyścić. Przybyli pozostali przed wschodami. Wieczór nadchodził szybko. Wśród mroku hrabia ciekawemi wodził oczyma po murach, a każda w nich szczerba nowym go napełniania gniewem.

Eugenjusz siadł i zadumał się, prawie do łez smutny. Co tu pomódz mógł gniew próżny i zemsta na niewiernym człowieku, który położoną w nim wiarę zawiódł? Co się stało, było nieodwołalne...

Gdy po chwili pan Feder pokornie ukazał się na progu, Spytek wstał i już z zimniejszą krwią rzekł mu:

— W takim stanie zastałem moje ojczyste gniazdo powierzone wam, że o nic więcej pytać nie potrzebuję. Jutro zdasz waćpan rachunki panu Zarankowi, i wyniesiesz mi się stąd precz.

— Ale jw. panie, ja mogę się wytłómaczyć.

— Nie wątpię, ale ja nie mogę słuchać tłumaczeń...

— Mój honor...

— Idź waćpan precz! — zawołał Eugenjusz — i nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Pan Feder, który miał szlacheckie koligacje i nabrał był dumy szlacheckiej, chciał burczeć i opierać się; ale Zaranek pokazał mu drzwi rozkazująco, i wyprawił go natychmiast.

Próbowano jeszcze tego wieczoru instancji pani Federowej, a nazajutrz rano teścia pana Federa, podczaszego wolnickiego, ale tych nawet Spytek do siebie nie dopuścił. Rachunki i kasę odebrać kazał, a rządcę nazajutrz oddalił.

Zrodziło to proces, jak się domyślić łatwo, ale Spytek mniej dbał o to.

Nazajutrz, po nocy bezsennej, spędzonej w krześle u komina, z brzaskiem dnia wstał Spytek. Doniesiona mu, że stary burgrabia, którego był pan Feder wygnał, bo się z nim nieustannie kłócił, żyje w miasteczku. Polecił go sprowadzić natychmiast. Przywiedziono mu nieborak Siemiona, ale ten już ani o swojej sile mógł chodzić, ani myśli zebrać łatwo. Od wygnania swego podupadł, i gdyby nie łaskawy chleb na probostwie, z głoduby umarł, bo swoich własnych potrzeb opatrzyć nie umiał. Starca ożywiło trochę to szczęście, że dziedzica Mielsztyniec nogi mógł uścisnąć. Rozpłakał się zobaczywszy go... oprzytomniał; ale po chwilece jaśniej, znów mu się myśli poplątały, i mówić zaczął zupełnie od rzeczy. Mieszał odległą przeszłość z teraźniejszością, wspomnienia dawne ze swo-

jem życiem. Eugenjusz rozpłakał się sam, słuchając go, tak przez usta starca mówiła miłość miejsca, rodu jego, tradycji i losów.

Chciał się od niego czegoś prawdziwego dowiedzieć o nieszczęsnej ruinie, myślał, że Siemion potrafi go po niej oprowadzić; ale próżno się spodziewał. Burgrabia nie miał już ani nóg, ani oczu, ani pamięci. Jedno tylko utkwiło w jego umyśle i sercu, to wygnanie go przez Federa, na którego wzywał pomsty Niebios, jako na świętokradcę i rabusia.

Zaranek przewidywał, że obejrzenie szczegółowe zamku i obliczenie strat niepowetowanych, może znacznie jeszcze pogorszyć stan zdrowia Eugenjusza, i tak już zatrważający; ale nie można go było od tego żadną miarą powstrzymać. Z energją i wymuszonym uśmiechem zabrał się na przejście komnat, mówiąc do przyjaciela, który podawał mu rękę:

— Nie lękaj się, gorzej mi nie będzie niż jest, a muszę widzieć oczyma skutki mojego niedbalstwa, mej winy... Niech to będzie moją karą... Zasłużyłem na nią... Chodźmy!...

W pokoju ojca ukląkł się pomodlić. Papiery ręką jego powiązane leżały na ziemi; pozbierał je i poskładał na stole.

— Daremne jest staranie ludzkie — odezwał się do Zaranka — aby utrzymać to, co Bóg skazał na zniszczenie. I my, i pamiątki nasze w proch pójść musimy... Walczyliśmy z przeznaczeniem długo, a ręka jego zepchnęła nas nad brzeg tej przepaści.

Co chwila pytał Eugenjusz o znikłe przedmioty. Nie umiano mu odpowiedzieć co się z niemi stało; wojna nietyle ich zniszczyła, co ludzka chciwość lub lekkomyślność. Resztę wizerunków rodziny młody Spytek kazał odwieść do kościoła i w nim je umieścić.

— Tam będą bezpieczniejsze — rzekł smutnie.

Portret pięknej niewiasty z krwawą pręgą na szyi, sam, jak mówiono, oberwał się ze ściany, i leżał na po-

sadzce, bo nikt go z niej podnieść nie śmiał. Eugenjusz dźwignął go, popatrzał w twarz uśmiechającą mu się, i pożegnał wzrokiem smutnym. Ze zbroi ledwie szczęty pordzewiałe zostały; z mniejszych portretów wiele wisiało u rządcy.

Naostatek wszedł pogrążony w myślach dziedzic Mielsztyniec do kaplicy zamkowej. Ta tylko ocalała jedna i nic nie zmieniło w niej nawet miejsca: ludzie obawiali się naruszać własność bożą... Spytek stanął w progu z tęsknicą swoją. Na domiar nieszczęścia nie umiał się modlić; źródło modlitwy w nim wyschło, wiara zamarła, serce zobojętniało. Młody, nie miał łzy; nieszczęśliwy, nie miał nadziei; chory, nie pragnął życia; jedne wspomnienia go wzruszały.

— Teraz, przyjacielu mój — rzekł Eugenjusz do Zaranka — rozstaniemy się na czas jakiś. Mnie woła święty obowiązek... Ty spełnij tu trudne posłannictwo mściciela krzywdy moich... daję ci nieograniczoną władzę — nawet przebaczenia w imieniu mojem. Uczyń co zechcesz, co ci serce natchnie. Ja muszę jechać.

Zaranek się domyślał celu podróży Spytka, i truchlał znowu nad jej skutkami, nie wiedząc co się działo z matką Eugenjusza. Nie śmiał on jej oznajmować o przybyciu syna...

Powóz stał zaprzężony od godziny. Milcząc, siadł do niego młody człowiek, który ledwie miał tyle siły, że się mógł na stopień wdrapać. Konie ruszyły ku Rabsztyńcom i myśl razem z niemi.

Eugenjusz, kręcąc się po świecie, choć pisywał do matki (nie oznajmując jej wszakże o bliskiem przybyciu swojem) — od niej nie miał żadnej wiadomości. W drodze już, czyniąc z siebie i rodzinnych wstrętów ofiarę, postanowił pierwszy udać się do Rabsztyniec, podać rękę Jaksie i upaść do nóg matce. Czuł biedny, że życie jego niedługo się już przeciągnąć miało; skazany na śmierć przez lekarzy, chciał przed zgonem po-

żegnać matkę, ubłagać ją, aby przyjęła od niego ofiarę majątku, i pojednać się z całym światem.

Z bliska poznany, Eugenjusz obudzał litość i przywiązanie. Był to w istocie umysł niepospolity, a serce tak czyste i szlachetne jak mało; nadewszystko zaś łagodność i dobroć a pobłażanie miał niewyczerpane.

Gdy powóz zbliżył się do wzgórza, na którem stała ruina rabsztynieckiego zamku, Eugenjusz kazał się zatrzymać woźnicy, wysiadł i poszedł piechotą. Z dwóch bytności w tem miejscu pozostawało mu mgliste wspomnienie, którego ze stanem teraźniejszym jakoś pogodzić nie umiał.

U podnóża pagórka, właśnie tam gdzie się zatrzymali, postrzegł prosty, czarny krzyż drewniany, żałobną, białą obwiedziony pręgą. Na nim była drewniana figura Zbawiciela, a u spodu wyczytał napis:

„Za duszę Iwona proszę o westchnienie do Boga".

Tak w progu przeznaczenie spotkało go, niosąc mu na ofiarę wieść o śmierci tego, który długo był ostatnim zaprzysięgłym nieprzyjacielem jego rodu i domu, przez którego stracił on matkę... i pozostał sierotą...

Krzyż ten oszczędzał mu bolesną chwilę pytania, zdejmował z jej bark ciężar, ale mu wydarł nadzieję przebaczenia i pojednania się na ziemi. Stanął u stóp jego, i zadumany, nierychło posunął się z wolna ścieżynką wiodącą ku górze...

Wszystko tu teraz inaczej, po wiejsku, skromnie, ale mile i porządnie wyglądało. Z zarośli porobiono klomby, które się bujnie rozrosły...

Pośród nich widać było dom murowany, przerobiony ze skrzydła ocalonego zamku, ale wyglądający bardzo dostatnio i wdzięcznie. Znać było z powierzchowności, że nad nim troskliwie oko, serce i ręka czuwały. Ale w tym podwórzu zasianym kwiatami, które wczesny październikowy mróz powarzył, — nie było żywej duszy; jeden stary, wychudły pies leżał w progu, podniósł głowę, zaszczekał, i burcząc oddalił się.

Eugenjusz wszedł do sieni, i tu jeszcze nie zastając nikogo... Machinalnie, instynktem wiedziony, z bijącem sercem wstąpił na wschody: milczenie głuche panowało w całym domu. Otworzył drzwi pierwsze: nikt ich skrzypnięcia nie posłyszał, nikt przeciw niemu nie wyszedł. Z tego pokoju otworem stały drzwi drugie do owalnego salonu, w którym niegdyś długo przemieszkiwał Iwo. Widać było okna w nim przysłonione. Eugenjusz stanął. Obawiał się iść dalej i odezwać, lękał się pytać. Jak zmartwiały wrósł w posadzkę...

Z mroków sali powoli podniosła się od łoża stojącego w kącie postać wyniosła, czarna cała... Owal białej jak marmur twarzy ujrzał z daleka i domyślił się w nim raczej, niż poznał swą matkę. Długie jej, piękne, niegdyś kruczej czarności włosy, spadały na ramiona zbielałe, srebrne. W tej koronie śmiertelnej wyglądała majestatyczniejszą, uroczystszą jeszcze niż niegdyś... królową.

Co jej oznajmiło o przybyciu syna, który stał, nie śmiejąc przestąpić progu?... Serce może... Nie zdziwiona, bez okrzyku, milcząca wyszła wprost do niego, i zarzuciła na jego ramiona ręce wychudłe, całując twarz jego ze łzami.

Wpatrywała się weń długo, długo, drżąca, i strumień łez polał się z wypłakanych oczu.

— Dziecko moje! — odezwała się nareszcie, postrzegłszy znamię śmierci na jego czole: — i ty!...

Nie mogła dokończyć — uścisk gorący zamknął jej usta.

— Przyszedłem za późno... — odezwał się Eugenjusz. — Nic nie wiedziałem, nic! Przybyłem podać mu rękę...

— Pomódl się na mogile... — smutnie odpowiedziała matka. — On wszystkim przebaczył, żałował za wszystko... a Bóg mu życia przedłużyć nie chciał... Wszystkie te mogiły sypią się na sercu mojem i coraz

większym ciężarem je gniotą — aż i ono pęknie. A! ty jeszcze nie wiesz, ilem przeżyła boleści... Chodź!

I podała mu rękę, na palcach wracając do pokoju, z którego wyszła. Z obawą niewysłowioną Eugenjusz szedł za nią, nie wiedząc dokąd go prowadzi.

Cicho stąpając, doszli tak do przyciemnionego kątka. Tu stało łóżeczko małe, a na ciemnej jego obsłonie leżała uśpiona kilkoletnia dzieweczka. Tylko anioły na starych mistrzów obrazach mają ten niebiański wdzięk, pełen słodyczy i pokoju, świadczący i nieśmiertelności, wyznawający Boga, jaki miało to dziecię blade, śliczne, z którego wpół przymkniętych ustek dobywał się oddech krótki, ciężki, jakby na świecie powietrza tym czystym piersiom zabrakło.

Leżała na białej poduszce, z włosami jak złote pasmo rozsypanemi po niej, niby jasnym otoczona nimbem, ze złożonemi na piersiach białemi, cudownych kształtów rączkami, w sukience jasnej i lekkiej. Eugenjusz z przestrachem ujrzał na odsłonionej jej szyjce jakby koralową przepaskę. Było to znamię takie właśnie, jakie na portrecie kobiety w Mielsztyńcach się znajdowało.

— Bóg — szepnęła wdowa — naznaczył ją piętnem śmierci. On zrządził, by w ten dom wniosła przypomnienie tamtego. Iwo, gdy ją nowonarodzoną wziął na ręce i ujrzał tę pręgę złowrogą, skłonił głowę przed wyrokiem bożym, poddał mu się... ale ten cios był dla niego ostatnim... Życie jego odtąd wlokło się smętnem konaniem... Mnie jednej Bóg przeznaczył, bym przeżyła wszystkich... i jak posąg żywy stała na grobach...

Przebudzona głosem matki, Emilka podniosła główkę, otwarła oczy i uśmiechnęła się... Widok nieznajomego, stojącego z matką u jej łóżeczka, nie przestraszył jej... Obie rączki wyciągnęła ku niemu, wiedziona przeczuciem jakiemś cudownem, i zawołała:

— Braciszek!

Eugenjusz przykląkł u łóżka, i dzieci, które się nie widziały nigdy w życiu, z których jedno nawet o istnieniu drugiego nie dowiedziało się aż teraz, radośnie padły sobie w objęcia.

— A mamo! — zawołała Emilka: — mnie się to wszystko wyśniło. Widziałam, jak braciszek leciał tu do nas, jak się u czarnego krzyża modlił, a ojciec stał tam i błogosławił go i witał... jak potem wchodził, zbliżał się... jak patrzał na mnie. Pragnęłam go coprędzej przywitać... i poprosiłam aniołków, aby mi ciężkie podnieśli powieki.

Zamilkli. Dzieci długo patrzały na siebie, a matka stała z załamanemi rękami nad tym obrazem, który jej serce ubierało w całuny...

Niestety! na obu tych białych czołach palec boży napisał dla niej wyraźny wyrok rozstania. Jakże chętnie byłaby im swoje uparte oddała życie, aby je ostatnim tchem wskrzesić na długie lata!...

Ten wieczór w rabsztynieckim dworze, u kolan matki, przeszedł jak sen uroczy, ale wyczerpał resztki sił Emilki i Eugenjusza. Blisko północy mieli się rozejść, gdy dziecię położyło się na swe łóżeczko i prosiło ich, podawszy im rączki obie, aby nie opuszczali go dopóki nie uśnie. Przymrużyła oczka, uśmiechając się, dziecina, pożegnała matkę i brata, i powoli zdawała się uspokajać i usypiać. Rączki jej z wolna opadały, stygły, kostniały, oddech stawał się coraz mniej wyraźnym... pocałunek śmierci skończył jej życie wiosenne; uwiędła jak kwiatek poranny...

Od tego łóżeczka wstała niezłamana wdowa, bez łez, bez jęku, podniosła córkę, przycisnęła ją do piersi, i u stóp tej nowej ofiary uklękła modlić się Bogu.

W kilka dni potem Eugenjusz w krześle u okna, patrząc na słońce zachodzące, pożegnał matkę uśmiechem... Nie żal mu było życia. Dobył w ostatniej chwili na piersi noszoną zeschłą cyprysu włoskiego gałązkę, pamiątkę jakiejś chwili złotej — popatrzał na

nią, pocałował — potem schylił się ku łonu matki i... zasnął, by się nie przebudzić.

Wdowa przeżyła wszystkich... Na pogrzebie dzieci widziano ją jak słup stojącą prosto, niezłamaną bolem, z zaciśniętemi usty, w koronie białych włosów pod czarną zasłoną... Odtąd już oczy jej ludzkie nie postrzegły więcej, aż w lat kilkanaście na śmiertelnym katafalku... Resztę życia spędziła zamknięta w Rabsztyńcach z jedną sługą, która nie wchodziła do jej pokoju, zamurowanego jak cela, i jedzenie jej tylko przez zostawiony otwór podawała. W żałobie, włosiennicy, na nagiej ziemi, bez pościeli, łamiąc się z resztkami życia, spędziła jeszcze długie lata, — aż Bóg wreszcie litościwy, w rocznicę śmierci męża, i ją do siebie powołał.

KONIEC.

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

J. I. KRASZEWSKI

EMISARJUSZ

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 10, 20, i 30 KAŻDEGO MIESIĄC

REDAKTOR I WYDAWCA: *IGNACY PŁAŻEWSKI*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, ULICA NOWOWIEJSKA 27. TEL. 219-10

PRENUMERATA WYNOSI:

Kwartalnie	(9 tomów)	3 zł. 60 gr.
Półrocznie	(18 „)	7 „ 20 „
Rocznie	(36 „)	14 „ — „

z przesyłką pocztową.

ROK I
TOM XIII

B. BOLESŁAWITA
(JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI)

EMISARJUSZ

BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
1 9 2 5

DRUKARNIA P. K. O.
Warszawa. Bnjaj 5
Telefon 150-76.

Sekretarz zatopiony w księdze, z brwiami zmarszczonemi powoli podniósł głowę... Podróżny z podwiązaną twarzą skłonił mu się lekko i począł bełkotać po niemiecku. Icek patrzał to na niego, to na sekretarza, który zdawał się sprawdzać rysopis.

Twarzy podróżnego dobrze rozeznać nie było można, dwoje tylko oczów czarnych, młodych, ognistem wejrzeniem tryskało z pod czoła. Ubrany był porządnie... i miał coś w sobie, co sekretarza onieśmielało.

Ale nie darmo on był urzędnikiem policyjnym, mimo, że rysopis się zgadzał z paszportem, potrzeba się było podrożyć i spróbować przynajmniej coś wytargować z nieznajomego.

Podróżny zdawał się na to wszystko spoglądać bardzo obojętnie. Icek podszepnął po niemiecku: — Jemu trzeba jeszcze co dać, a nie to będzie nudził.

Nieznajomy głową kiwnął.

Sekretarz tymczasem wszedł z paszportem do pokoju, w którym ratując się przeciw spleenowi i nudom, sprawnik z policmajstrem grali w ekarte.

Spostrzegłszy sekretarza Paramin, który nie cierpiał, aby mu przerywano, podniósł głowę markotny i gniewny.

— Czego ty chcesz! Jak ty śmiesz...

Sekretarz za całą odpowiedź podsunął paszport.

— No, to podpisz go i idź do sto tysięcy djabłów..

— Podpisz, nu tak — rzekł sekretarz — ale to zagraniczny cudzoziemiec.

— Co? kto? kto taki?

— Zegarmistrz...

— Pal go licho razem z tobą!

— A jeśli podejrzana jaka osoba?

— To twoja rzecz... wypytaj go...

— Mówi tylko po niemiecku.

— Puszczaj go... jak Niemiec, nie może być podejrzany... Czyj poddany?

— Pruski poddany.

— A jak ty śmiesz głupi wstrzymywać pruskiego poddanego? hę? Ty wiesz... o głowo, ty głowo... z uszami długiemi... że król pruski krewny Najjaśniejszego Pana, że my z Prusakami w przyjaźni...

— Ale ja polityką się nie zajmuję...

— To idźże precz... i ruszaj pókiś cały.

Sekretarz pokiwawszy głową wyszedł bardzo powolnie.

— Czortże jego wie — rzekł w duchu — pruski poddany... zapewne że to coś znaczy... a jakby mieli Prusacy się gniewać?...

Zdecydowany podpisać paszport szedł, ale chętka wyzyskania zręczności nadawała mu minę zasępioną i groźną. Z tą miną ukazał się we drzwiach i kroczył ku stolikowi, na którym leżący rubel oczy jego uderzył. Argument ten poskutkował i sekretarz zajął się położeniem wizy, pieczęci policyjnej i własnego podpisu.

Mrok padał i podróżny już miał wychodzić, gdy w przyległym pokoju dały się słyszeć głosy. Pułkownik Paramin żegnał się ze sprawnikiem, i wysoka postać naczelnika powiatu nagle ukazała się w drugich drzwiach.

Sprawnik szybko przechodził kancelarję, ale miał czas rzucić okiem na stojącego w płaszczu pruskiego poddanego, oczy ich się spotkały. Podróżny nie zmie-

szał się wcale, tylko sprawnik na chwilę przystanął, zdawało się, że przestraszony chce wrócić, trwało to mgnienie oka tylko, rzucił okiem jeszcze raz na stojącego w progu i wyszedł. W sieni jeszcze się jakby rozmyślając zatrzymał, puścił dym z cygara i machnąwszy ręką zawołał na śpiącego woźnicę:

— Podawaj!

Wańka przebudzony zaciął konia, na co mu ten równie zdumiony odpowiedział wierzgnięciem i błotem, ale dorożka zajechała... a sprawnik rzucił się w nią i ruszył z kopyta.

W chwilę potem podróżny z Ickiem wydobył się z kancelarji policmajstra i znikł w pomroce ulicznej, brnąc przez grząskie ulice.

Była to godzina dziewiąta, noc czarna z deszczem i mgłą pokrywała już na pół uśpione miasteczko, gdy wysłany na pocztę inwalida, — opóźniwszy się mocno z worem skórzanym pełnym papierów wcisnął się do kancelarji.

Sekretarz właśnie na tę nieszczęśliwą pocztę do tak późna oczekiwał zniecierpliwiony. Samowar nastawiony oddawna, czuła żona oczekująca nań w towarzystwie podporucznika Miłuszyna, ciepła izdebka i wypoczynek — uśmiechały mu się napróżno.

Zobaczywszy więc na progu inwalidę, sekretarz zrzucił pychę z serca i pobiegł mu pomagać do rozpakowania poczty.

— Czegoś ty się spóźnił? niegodziwy?

— Ja się spóźnił, Wasze Błahorodje! Ja? ja się nie spóźniłem, ale poczta, bo około Jarmuszowa zagrzęzła, przywieźli tylko rządowe papiery na koniach, a reszta w błocie...

— Dawaj!

W mgnieniu oka doświadczony czynownik rozebrał paczki, porozrywał koperty, rozrzucił i poklasyfikował papiery.

Aż trzy pisma, do których lakiem poprzylepiane

były piórka, oznaczające pośpiech, z jakiem lecieć były powinny, a na których kopertach stało: B a r d z o w a ż n e (W i e ś m a n u ż n o j e) i — s e k r e t n e, uderzyły oczy przerażonego sekretarza. Nadzwyczaj rzadko coś podobnego trafiło się odbierać miejskiej policji, aż tu trzy naraz pisma sekretne. Nie wiedzieć dlaczego ręce zadrżały sekretarzowi.

— Stój przy progu i pilnuj, ja muszę do policmajstra—zawołał, pochwycił trzy s e k r e t n e i z miną ważną wszedł do pokoju, w którym pułkownik z wyciągnionemi nogami, w szlafroku, z cygarem zabawiał się trafnemi żarcikami z guwernantką swoich dzieci.

Jeśli nie miłem mu było wdarcie się w jego kółko prywatne, gdy grał ze sprawnikiem, stokroć bardziej oburzającym wydał mu się sekretarz, napastujący go o godzinie dziewiątej, odpoczywającego po trudach.

Zmarszczył się jowiszowym gniewem... ale nieustraszony sekretarz podał mu trzy pisma sekretne i świecę.

Pułkownik nic nie mówiąc rozerwał pierwszą kopertę... popatrzył chwilę i pokiwawszy głową odłożył ją na sofę... nastąpiła druga... brwi się namarszczyły, ręka zadrżała; ruszył gwałtownie ramionami i odłożył ją widocznie zaniepokojony. Ale trzeci papier, trzeci, który mu pozostał na zakąskę... tak go przeraził, iż porwał się nagle z kanapy, obłąkanym okiem powiódł po pokoju, chwycił się za głowę i jak szalony wyleciał do kancelarji.

Sekretarz ledwie mógł za nim podążyć, blady jak chusta i drżący.

Policmajster wyrwany z łona rodziny, piorunem wpadł do kancelarji, widocznie sam nie wiedząc co począć, zatrzasnął drzwiami za sobą, pochwycił się za głowę.

— Słuchaj... na odwach natychmiast sześciu ludzi... z bronią... rozumiesz... — rzekł do inwalidy. —

Powiedz kapitanowi, że jeśli w pięć minut nie będą tu... czynię go za następstwa odpowiedzialnym, rozumiesz... sześciu ludzi, z bronią.

— Słyszę — rzekł równie przerażony inwalida, zabierając się do wyjścia.

— Adamie Prokopowicz — zawołał rzucając papierami o stół policmajster — nieszczęście! zguba... Bież do Hryszy, niech mi tu poda mundur, szpadę... każ konie zaprzęgać... Mówię ci... ty, ja... wszyscy pod sąd! Nieszczęśliwa godzina... Przynieś mi butelkę z wódką. Powiedz matronie Iwanównie, niech mi się żadna baba na oczy nie pokazuje...

Sekretarz stał, słuchał i na wiarę starszego ręce łamał nad nieszczęściem, którego głębiny sam jeszcze zmierzyć nie mógł.

— Ale ja głowę tracę... — krzyknął pułkownik. — Adam Prokopowicz... tak... nie... ja idę się ubierać... ty przeczytaj pismo sekretnie... mów, pomagaj... co robić, a nie to i ciebie i żonę i wszystkich djabli pobiorą...

Paramin wyszedł, a sekretarz rzucił się chciwie na sekretne i bardzo ważne papiery.

Pierwszy z nich oznajmywał pułkownikowi, aby z powodu rozgałęzionego w guberniach zachodnich spisku, dawać jak największą baczność na przejeżdżających podróżnych, ich paszporta i listy pocztowe.

Już nad tem pierwszem Adam Prokopowicz począł głową trząść, nie umiejąc pojąć i przypuścić, jak na świecie znajdować się mogli ludzie tak zuchwali, tak niegodziwi, którzy spiski knuć śmieli przeciwko rządowi.

Drugie pismo było jeszcze gorsze... Wskazywano w niem policmajstrowi, iż przez powiat i miasteczko wiodła droga, którą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uciekający z Kijowa zbrodniarze przesuwać się mieli... rozkazano postawić straże na rogatkach, nikogo nie puszczać bez papierów, a szczególniej dawać

baczność na ludzi podszywających się pod nazwisko i paszporty cudzoziemskie.

Zimny pot wystąpił na czoło sekretarza...

— Dla tych ludzi niema nic świętego! — zawołał — paszport! niegodziwi!

Trzecia odezwa, na której wierzchu stała przestroga: b a r d z o s e k r e t n e, zawierała rysopis głównego sprawcy, słowo w słowo zgadzający się z rysopisem przed chwilą wypuszczonego zegarmistrza... Dodawano, iż mógł on mieć paszport niemiecki, a nawet pruski...

Sekretarz ręce załamał.

— No tak! — krzyknął — to był on! to był on, ja miałem dobry nos... a pułkownik politykował. Co nam do polityki. Jego trzeba było zaraz w kajdanki... i na odwach... do turmy... to był on... a teraz... szukaj wiatru w polu... Dowiedzą się, że myśmy go przepuścili, że ja mu paszport wizował, złapią go i mój podpis znajdą... tak ja przepadł... przepadł! przepadł!

Sekretarz zrozpaczony zakrył sobie oczy, instynktowo pobiegł do kąta za stołem, dobył butelkę, odkorkował i napił się rumu, który w takich zrozpaczonych wypadkach jeden tylko utraconą przytomność przywrócić może.

— Boże, miej miłosierdzie nademną! — zawołał, obracając się do kąta, w którym przed obrazem Zbawiciela słabo świecąca gorzała lampeczka.

Rum i modlitwa dodały mu otuchy.

— Ależ nie może być, żeby on w taką noc czarną dokąd wyjechał? Z bólem zębów! Ba! Jego tak zęby bolą, jak mnie... to udane... Nie! my jego złapać musimy... Pan Bóg łaskaw! Bylem go ja złapał... paszportu i wizy śladu nie zostanie.

Miał znowu otuchy szukać w butelce, gdy pułkownik, który się był ubrał na prędce i pokrzepił koniakiem, wpadł przypasując szpadę.

— Żołnierzy niema... minut dziesięć... a żołnierzy niema.

— My jego złapiemy tego niegodziwca... on musi być w mieście — noc czarna, jak piekło i deszcz... on nie pojechał!

— Głupi, taż to właśnie noc do ucieczki...

Sekretarz chwycił się za włosy...

Zastukało w sieniach. W progu ukazał się podporucznik Samojleńko, a za nim karabiny żołnierzy.

— Co tobie pułkowniku — zawołał śmiejąc się w progu młody wojskowy — czego ty nas po deszczu i błocie niepokoisz... nie pora to tobie spać!

Ale spojrzawszy na twarz bladą i usta drżące Paramina, Samojleńko zamilkł i domyślił się, że sprawa była ważna.

— Konia z siodłem... podawaj konia! — krzyczał pułkownik...

— Co się stało? Co to jest?

— Nic — sprawa rządowa... aresztant bardzo ważny... dzieło polityczne... żołnierze pójdą za mną, obstawią dom, który pokażę, i nie wypuszczą z niego nikogo... a jeśliby się chciał wymykać... chwytać... bodaj zabić!

Koń stał przed gankiem równie zdziwiony jak dieńszczyk, co go wyprowadził — oba ziewali.

Sekretarz zakasawszy spodnie, miał z zakrytą latareńką prowadzić żołnierzy... Wszystko co było na policji miejskiej ruszyło na wielką wyprawę. Deszcz lał nielitościwy.

* * *

W sprzeczności z ruchem, jaki panował około mieszkania policmajstra, miasteczko przedstawiało widok obumarły i uśpiony. Gdzieniegdzie błyskało mdłe światełko łojowej świeczki, odbijające się malowniczo w błocie i kałużach. Bramy domostwa były pozamykane, ciszę głęboką przerywał tylko plusk deszczu

i woda płynąca z dachów rynien. W ulicach ani żywego ducha... Sklepy się oddawna pozamykały... Z szynków tylko i to nie wszystkich przez szpary okienic świeciło.

Policmajster nie zważając na niebezpieczeństwo, gdyż w miasteczku pieczy jego powierzonem w ulicy po nocy wyśmienicie kark skręcić było można, wśród jam i pływających po błocie dylów, szybko posuwał się ku domostwu Nysonowiczów. Był to jeden z najwygodniejszych domów zajezdnych, który jednemu tylko, grubego Lejzora, ustępował pod względem powierzchowności. Niegdyś była to słynna winiarnia, dziś niestety nie szczycąca się już ani Tokajem dawnym, ani Zieleniakiem czystym... Sprzedawano tam jeszcze Maderę i Porter, ale bodaj czy nie krajowego przemysłu owoce. Dom pogrążony był w ciemnościach, okiennice pozamykane, brama zatarasowana. W milczeniu opasano go, ustawiono żołnierzy u wszystkich wnijść, pod oknami, w około... a policmajster trzymając za rękojeść szpady poruszył mocno furtkę, w przekonaniu, iż była zamknięta. Ten wysiłek zbyteczny o mało nie stał się przyczyną upadku w progu, gdyż drzwiczki otworzyły się z niespodziewaną łatwością, a pułkownik wpadł we wnętrze ciemne, ledwie się trzymając na nogach. Ogarnęła go noc... i krzyknął urzędowym językiem:

— Światła!...

Na głos ten znany ruszyły się w izbach żydówki i żydzi. Czworo drzwi otwarto razem i cztery smugi światła padły w sieni ciemne i puste.

Policmajster pod wrażeniem strachu, niepokoju i srogiej odpowiedzialności, jaka go czekać mogła, rzucił się na pierwszego żydka, który mu się nastręczył, pochwycił go za gardło i zawołał głosem od gniewu stłumionym:

— Gdzie podróżny? mów... gdzie podróżny!... Z całego domostwa zbiegli się mieszkańcy, otaczali

pułkownika, sam bardzo poważny gospodarz nie mogąc pojąć co się stało, ale widząc go zagniewanym, uchylił jarmułki i spytał:

— Kogo jasny pan szuka?

— Buntownicy! spiskowcy... ja was nauczę. Gdzie podróżny?

— Jaki podróżny?

Wtem sekretarz w trop idący za Paraminem, postrzegł Icka i przyskoczył do niego.

— Aha! już wy teraz nie wiecie jaki podróżny... Szarańcza jakaś! Jaki podróżny? a ten, z którym przychodziłeś na policję.

— A waj! Proszęż jasnego pułkownika do pokoju — rzekł gospodarz.

— Gdzie podróżny? — wołali pułkownik i sekretarz.

— A! proszę jasnego pana, cóż my winni... podróżny się meldował, my jego zaprowadzili na policję, pan sekretarz jemu paszport podpisał.

— Wziąć jego do turmy — krzyknął pułkownik, wskazując na Icka.

— Albo ja mogę wiedzieć, gdzie on jest... Jak jemu paszport panowie podpisali i nacisnęli pieczęci, poszedł sobie furę szukać. Temu będzie godzin trzy, jak go tu nie słychać.

Paramin porwał się za głowę...

— Kłamiesz — zawołał do żyda.

Stary Nyson obraził się, ruszył ramionami i rzekł powolnie:

— Niech panowie sobie jego szukają...

Trzech żołnierzy z karabinami pokazało się od strony wrót. Oficer, sekretarz, dwóch policjantów poszli dom rewidować... Podejrzanego podróżnego wielce, nie było ani śladu.

* * *

Po nader pracowitem przeplądrowaniu domu, a nawet lochu, z którego kilka butelek naturalnie żoł-

nierze wynieśli... po zbadaniu posługaczów wytoczyło się protokularne śledztwo.

Okazało się z zeznań Icka, młodej Ryfki, która rybę nosiła podróżnemu, i wnuka gospodarza, który chodził na próżno namawiać go na butelkę wina... iż podejrzany ów mężczyzna przybył zrana, że mało co jadł, że nie pił wcale, iż się z nim i jego niemczyzną rozmówić nader było trudno, że miał z sobą kilka czy kilkanaście pięknych zegarków, że w czasie pobytu zupełną okazywał spokojność, chociaż widocznie się śpieszył z wyjazdem. Dokąd i skąd jechał? pozostawało nierozwikłaną zagadką.

Sekretarz, który paszport wizował, nie rzucił okiem baczniejszem na poprzedzające podpisy i daty. W każdem innem małem miasteczku z kierunku ulic można było wnosić, od której świata strony przyjechał podróżny i w którą się udał — tu oblane wodą dokoła ruiny miały tylko jedną drogę — którą się do nich wjeżdżało i wyjeżdżało.

Na ten raz wszakże policmajster natężył wszystkie władze umysłowe... rozkazał podać sobie świecę i zaprowadzić się do izby, którą zajmował podróżny. Rachował na to, iż tam może znajdzie jaką poszlakę... Pokój, który ów tajemniczy podejrzany człowiek zajmował, szczęściem po oddaleniu się jego nie był zamiatany.

Paramin wiodąc za sobą sekretarza, wszedł doń zaostrzając wszystkie swe władze... Jedno okienko, jeden stolik, sianem wysłane łóżeczko, które zachowało wycisk ciała co na niem spoczywało, stołek wysunięty ku środkowi pokoju — oto co spostrzegł na pierwszy rzut oka policmajster... Sekretarz wzdychał, ćmiło mu się w oczach, nie widział nic, w uszach tętniały wyrazy — „Pod sąd!"

Wiedział dobrze, iż wina cała na niego spadnie, choć Bogiem a prawdą, reflektował naczelnika swojego na to, że podróżny był cudzoziemiec zagraniczny.

Policmajster chodząc ze świecą, nagle rzucił się z nią zaglądając pod łóżko.. Za niem na podłodze, leżały kawałki podartego papieru. Sekretarz odgadł o co chodziło, ukląkł i pozbierał je jak najstaranniej.

Papiery były zmięte i podarte, ale na nich tu i owdzie stały urywane wyrazy po polsku pisane.

Paramin uderzył się w czoło.

— Wołać mi tu Icka.

Sekretarz przyciągnął go natychmiast za kołnierz, przestraszonego.

— Odpowiadaj... a prawdę... prawdę! bo zginiesz... Czy izba była wymieciona wprzód, nim ją zajął podróżny? kto ją przed nim zajmował.

— Przed nim? a waj! stał pan Stecki... a czy była wymieciona? pewnie że była wymieciona...

— A pod łóżkiem?

— Nu... wszędzie... siana nie było nawet na łóżku a waj...

—Otóż co jest — rzekł zbierając kawałki papieru Paramin — niemiec... a papiery po polsku.

Sekretarz tragicznie ręce załamał.

— Tych żydów powywieszać! wszystkich na Sybir... są w spisku z politycznymi przestępcami... ot co! — krzyknął policmajster. — I jak być może, żebyście nie wiedzieli dokąd pojechał? przecież mówił? pytał? szukał koni...

— On jechał, a przynajmniej gadał, co ma jechać do Dubna — zawołał Icek.

— A! to ty teraz już wiesz — ryknął pułkownik— do tiurmy z nim! a pod rózgami powie nam wszystko.

Icek począł płakać.

Policmajster skinął, uprowadzono go... zabrano papiery.

— Koni pocztowych! na gościniec do Dubna! — zawołał — żywo...

Sekretarz już szedł do drzwi.

— Panie pułkowniku — zawołał, zwracając się

nagle — jeśli to taki łotr... to on umyślnie mówił, że do Dubna pojedzie, a pewnie licho go wie, dokąd się wybrał. Trzeba go ścigać po wszystkich gościńcach.

Pułkownik milczący głową kiwnął.

— Do sprawnika! Nie ma co się rozmyślać, trzeba użyć najgwałtowniejszych środków.

Domawiał tych słów, gdy szmer zrobił się w sieniach i wysoka postać kapitana sprawnika niespodzianie ukazała się na progu. Dwaj przyjaciele zmierzyli się oczyma i zrozumieli wejrzeniem.

Sprawnik natychmiast skinieniem za drzwi wszystkich wyprawił.

— Wiecie co się dzieje! — rzekł Paramin gdy zostali sami.

— Cyt! cyt! bez wrzawy! na co było robić tyle hałasu.

— Ale wiecie?

— Wiem pewnie więcej niż wy! Odebraliście pisma sekretne.

Sprawnik ruszył ramionami.

— Przecież cały powiat na mojej głowie. Aleksy Iwanowicz... ważne nadchodzą wypadki... trzeba się wziąć za ręce.

Podali sobie dłonie milczący.

— Wy już jedno zrobiliście głupstwo.

Policmajster westchnął.

— Czortże wiedział co to za ptaszek!

— Ja go widział wychodząc od was i ja wam mogę teraz na śmiało powiedzieć, co to za ptak, bo ja go znam dawno.

— Wy go znacie? a czemuż?

— Cyt — ktoby się był mógł domyśleć, że ta bestja skazana na Sybir za politykę... ośmieli się tu pokazać.

Paramin usłyszawszy te słowa, rzucił się rozpaczliwie.

— Cicho, cyt... sza... Aleksy Iwanowicz... cicho... nikt o tem wiedzieć nie powinien — zniżył głos.

— A no! tak! ja go znam dobrze. Bestja ta spiskowała już w roku 1831, był wzięty, sądzony w Sybir i wyrwał się w Żytomierzu z więzienia i drapnął za granicę... Ktoby mógł pomyśleć, że on tu po tylu latach głowę przyniesie?

— Wyście go znali?

— O! o! doskonale! zestarzał, zmężniał, ale jak na mnie spojrzał, poznałem go odrazu. Stanąłem, chciałem zaraz do was powrócić i przestrzedz... ale mi wstyd było—a nuż się omylę i wrzawy narobię. Wówczas jeszcze nie nadeszły pisma sekretne... o spisku nie wiedziałem... Myślałem, że djabeł do djabła podobny...

Sprawnik westchnął.

— A mam do niego ząb! oj gdyby mi się w rączki dostał. I mam nadzieję, że się dostanie... bo wiem, gdzie go szukać.

Paramin porwał się go ściskać.

— Aleksandrze Piotrowicz — zawołał — ja twój na życie i śmierć... bierz konia bułanego, rysaka... a ratuj mnie i nie gub moich dzieci.

— Bądź spokojny — odparł sprawnik — jutro mi rysaka przyszlij i nie mów nikomu słowa. Trzeba powiedzieć zaraz, że to była myłka, że się pokazuje, że to człowiek nie podejrzany... a ja resztę biorę na siebie. Konie pocztowe zajdą... ja natychmiast w powiat jadę... a ty... pilnuj się w mieście...

To mówiąc sprawnik, który miał więcej taktu i mocy nad sobą, począł się śmiać głośno wychodząc... aby głos jego słyszano.

— Pusta rzecz! — rzekł na progu — pusta rzecz, głupstwo, zegarmistrz, tak, Niemiec, zegarmistrz! Odprawcie żołnierzy, niema o co robić sprawy. Żydka wypuścić.

Sekretarz zdziwił się nowemu obrotowi, ale nic nie rzekł. Paramin westchnął i wszystko powoli po-

wlokło się do domów, ale sprawnik nie tracąc chwili, z dwoma żandarmami siadł na bryczkę pocztową i nocą pojechał. Dokąd? nie wiadomo.

Są w prowincjach Polski, które się dostały pod panowanie Moskwy, wioski mające skutkiem podziałów, zwanych eksdywizjami, które wierzycielom za długi wydzielały ziemię i włościan — tak porozdrabiane własności, iż w jednej części po pięć i sześć szlacheckich dworków się spotyka. Trafia się, iż za niewielki dług dostał ktoś kilkanaście morgów i jednego chłopka, z którym na współ około gospodarstwa pracować musiał.

O parę mil od miasteczka wzmiankowanego, u brzegu rzeki, spotyka się właśnie jednę taką osadę, liczącą ośmiu panów, po większej części tak prawie ubogich jak włościanie. Pobudowane naprędce liche między chatami dworki mieszczą tych nieszczęśliwych męczenników, mrących na swych dziedzictwach z głodu. Dla ziemskiej policji owego czasu tego rodzaju podzielone posiadłości były niemałym kłopotem, ale też i najpewniejszą pastwą. Tu ona mogła dokazywać bezkarnie, a że powodów do przyczepek nie brakło, nie było prawie dnia, żeby tu sprawnik, asesor, lub choćby jaki pisarczyk nie gościł.

Podatki rzadko kiedy opłacane, rekruckie spłaty, zaległości wszelkiego rodzaju, podwody, szarwarki spadały jak grad na bezbronnych, bo ubogich, którzy się opłacać musieli groszem i zbożem od nieustannych napaści.

Najznakomitszą zwykle figurą po takich włościach bywał arendarz, bo karczma, z której dochodem dzielili się dziedzice, znajdowała się jedna, a zręczny propinator rządził, mając grosz, panami i włościanami. On tu właściwie królował. Tak było i w Olszowie, gdzie arendę trzymał oddawna bogaty żyd z miasteczka Froim Dubieńczyk, zręczny i zabiegły, handlarz razem i szynkarz, kapitalista i spekulator.

Najuboższym z właścicieli był podówczas stary Zacharjasz Zeńczewski, niegdyś rządca dóbr, plenipotent, dziś złamany chorobą i dogorywający kaleka. Miał on jednego tylko włościanina, któremu daleko się lepiej wiodło niż panu. Od lat kilku złożony chorobą, Zeńczewski z łóżka się nie ruszał, stara kuzynka, panna Róża, dzieliła jego losy, głód i kłopoty.

Dworek Zeńczewskiego na samym końcu Olszowa, z chaty przerobiony, do chaty też był podobniejszym niż do szlacheckiego domostwa. Stał na pagórku nagim, obwiedziony lichym płotem i osadzony krzakami karłowatych wiśni i bzów dzikich. Obórki i stodółki na pół odarte opasywały go dokoła. Wogóle siedziba ta przedstawiała obraz nędzy i opuszczenia.

W dworku sień bez podłogi, na prawo izba czeladnia, na lewo pokój jeden, alkierz i bokówka składały całe pomieszkanie. Mimo późnej nocy i słoty, jeszcze się w tej biednej chacie świeciło... Stary Zeńczewski sypiać nie mógł, cierpiał mocno... a panna Róża dosiadywała przy jego łóżku. Schludnie tu było, ale nad wszelki wyraz ubogo i nędznie... sprzętu mało i biedny... Na stoliku płonęła świeczka łojowa w lichtarzu, zakryta nieco od strony łóżka; na pościeli bladą twarz widać tylko było z siwą brodą i zamkniętemi oczyma. W nogach na krzesełku twardem zadumana siedziała niemłoda kobieta, wynędzniała, zmęczona, ale spokojnego wyrazu twarzy. Zdawało się, że nieszczęście długie już ją z sobą było oswoiło. Na kolanach trzymała książkę do nabożeństwa, ale stary drzemał. Panna Róża modliła się po cichu.

Nagle ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi chorego; otworzył oczy.

— Co jegomości jest?

Zeńczewski powiódł wzrokiem dokoła.

— At, marzyłem, moja dobrodziejko, ale dziwnie... dziwnie... Bogu niech będą dzięki i za ten sen.

Oboje westchnęli.

— Spojrz dobrodziejko na zegarek, czas mi się wlecze... czy późno?

— Ósma — odpowiedziała panna Róża, zbliżając się do srebrnego kieszonkowego zegarka na stoliku.

— Dopiero ósma... byłem pewny, że już około północy.

Zamilkli — w dziedzińcu pies począł naszczekiwać mocno. Starzec podniósł głowę i słuchał.

Szczekanie psa poczęło się od progu. Stary Bryś pobiegł aż do bramy ujadając, chwilę jeszcze odzywał się, potem nagle zaskomlił i umilkł, potem jakby radośnie parę razy zaszczekał, zbliżając się do dworku i wszystko ucichło.

Panna Róża wstała powoli i wyszła zaciekawiona do sieni. Widocznie ktoś przyszedł — i ktoś być musiał znajomy, bo pies by go nie dopuścił. Ale o tej godzinie? Któżby to mógł być? Do dworku ubogiego i we dnie mało kto kiedy się zjawił.

Starzec nic nie mówił, ale oczy trzymał otwarte i wzrok mu błysnął jakby ciekawością jakąś i nadzieją.

W sieniach było ciemno, panna Róża po cegłach dobrze znanych sobie przeszła sionkę pełną wody deszczowej, drzwi od podwórza były uchylone, naprzeciw w izbie płonęło łuczywo i stara Pryska, drzemiąc, siedziała przy kądzieli. Ale nie była sama, twarz jej rozbudzona nagle wyrażała przestrach, wrzeciono wypadło z ręki... przed nią stał mężczyzna nieznajomy obwinięty w płaszcz, którego spuszczoną rękę Bryś lizał.

Panna Róża równie zdumiona osłupiała w progu. Nie tyle podróżny ów, co łagodność psa dla niego — dziwiła ją. Bryś był nieubłaganym zwykle i nikomu, szczególniej nocą do drzwi się zbliżyć nie dawał — co znaczyła ta jego pobłażliwość dla człowieka obcego...

Zupełnie obcego gdyż panna Róża napróżno się wpatrywała w niego... zdawało się jej, że go widzi

pierwszy raz w życiu. Przybyły stał niemy i zmieszany.

Blady odblask palącego się łuczywa rzucał mdłe światło na twarz podwiązaną i czarne ogniste oczy.

— Przepraszam panią — odezwał się wreszcie niepostrzeżony znak jej dając — zabłąkałem się, wiozący mnie człowiek wywrócił — chciałbym się osuszyć nieco.

Na pierwszy dźwięk tego głosu panna Róża już otwarła usta do krzyku; gdy powtórny znak jej dany, wstrzymał ten objaw podziwienia, ale zaczęła drżeć, sparła się o drzwi i wyrazu długo z ust dobyć nie mogła. Wzrok jej wlepiony w nieznajomego osłupiał. Widocznie sama nie wiedziała co począć, po chwili dopiero na słabym, drżącym głosem wymówione zdobyła się wyrazy:

— My tu... panie... we dwoje z chorym starcem... zimno... Niech pan się zatrzyma... ja go spytam. Siądź pan... chwilę... ja pójdę...

Mówiąc to, jąkała się, chciała iść, wracała, sama nie wiedząc co robić, załamała ręce, patrzała na nieznajomego, który upadł na ławę i zamilkł, spuściwszy głowę.

Nareszcie wyszła do sieni i tu stanęła jeszcze, namyślając się co począć dalej a po chwili dopiero otwarła drzwi do pokoju chorego, którego wzrok bystry spotkał ją na progu... Stary podparty na łokciu, niespokojny, jakby przeczuwając coś, patrzał w nią jak w tęczę.

Panna Róża stała niema.

— Nieznajomy — podróżny... zbłądził... prosi...

— Wiem, wiem... prowadź go tu, niech przychodzi, wiem! — gorączkowo zawołał stary.

— Wiesz? — zapytała zdziwiona Róża...

— Wiem... śniłem... to on... Cicho... niech przyjdzie... o Boże...

Słabo zrobiło się biednej kobiecie, ledwie mogła

obrócić się i wynijść opierając o ściany. Stary cały podniósł się, ręce wyciągnął, dyszał i powtarzał cicho do siebie:

— Miłosiernym jesteś Boże... to on... będą go więc oglądać jeszcze oczy moje... To on... Ale czy się mam cieszyć? Co za szaleństwo... skazany... zbieg... o Boże!... dla mnie... szubienica...

Mówiąc, to zakrył oczy, ale drzwi skrzypnęły, odrzucił ręce prędko i wyciągnął.

— Paweł! — zawołał, zaledwie ujrzawszy postać, która się wstrzymała w progu.

W milczeniu szybkiemi krokami nieznajomy pobiegł do łóżka i padł na kolana, nie mówiąc słowa. Ręce starca spoczęły na jego ramionach, a usta na czole... i starzec począł płakać. Płakali oba, a panna Róża stojąc obok zachodziła się od stłumionego płaczu... Ale jej troskliwość i przytomność wywiodła ją natychmiast do izby czeladniej. Obawiała się, aby Pryska nie podpatrzyła ich, lub nie podsłuchała. Kazała więc ognia nanieciś — chciała coś ciepłego zgotować. Ale co? w ubogiej chacie nie było czem przyjąć podróżnego. Przystawiono do ognia trochę mleka, była resztka zczerstwiałego chleba...

Uspokojona obojętnością sługi, która mrucząc łupała łuczywo, powróciła do izby starego. Przybyły klęczał jeszcze u jego łoża, oba płakali, urywanemi wyrazy mówiąc niezrozumiale.

— Paweł! — powtarzał starzec — siadaj! odsłoń twarz, niech cię widzę... ostatni to raz oglądają cię oczy moje... ostatni... Bóg wielki... ale mógłżeś narażać się, aby przybyć do mnie.

— Nie mówmy o żadnem niebezpieczeństwie — cicho odparł podróżny, powitawszy dopiero płaczącą kobietę, która nań z trwogą spoglądała i miłością macierzyńską — nie mówmy. Jam przywykł do walki, do biedy i do takiego życia. Nic mi się nie stanie, mój ojcze. Ojczyzna wołała, kazano dostać się do kraju...

musiałem... a korzystając z tego przyszedłem cię zobaczyć... uścisnąć... i choć chwilę przebyć z tobą.

— O mój Boże — zawołał stary — ale jakże ty potrafisz się stąd wydobyć, wiesz jak pilnują... tu cię znają, tu każdy krok, to groźba śmierci.

— Niemam też powodu z mojem życiem się drożyć, ojcze drogi, choć — nie obawiam się o nie. Nauczyłem się wygnaniem zwodzić najbystrzejszych, przekradać, wymykać i znikać.

— Ale tu, gdzie cię znają?

— A jednak — uśmiechnął się podróżny. — Mówmy o tobie, ojcze.

— O mnie? Cóż ja ci powiem? Spójrz, widzisz... dożywam dni ostatka... leżę... modlę się... anioła stróża mam w niej... — dodał wskazując kobietę. — Żyłem tylko nadzieją wieści o tobie... czułem, że żyjesz, ale nie wiedziałem co poczynasz... czułem, że cię przed zgonem oczy moje zobaczą, choć rozum się temu sprzeciwiał. Ale widzę cię i strach mię przejmuję... drętwieję.

— Ojcze—rzekł Paweł ze spokojną rezygnacją— nie lękaj się o mnie, ja życie dawno oddałem sprawie narodowej, do niej ono należy. Ofiary mojej nie cofnę. Wymówiłem tylko sobie, abym ciebie mógł widzieć.

— Mój ty dobry, Pawle, poczciwe, zacne, dziecko, mów — rzekł stary — jak się tobie wiedzie?

— Pytać, o to wygnańca, emigranta, włóczęgę, czyż można? Żyję, ale żyję cały myślą o ojczyźnie i pracą dla niej. Nędzę znosimy, idziemy popychani... znosim. Przyjmowano nas tryumfami, przeprowadzano okrzykami, wszystko to ustąpiło rzeczywistości smutnej, nadeszła obojętność... Jesteśmy wśród obcych, braci nie ma! Ja nauczyłem się zegarmistrzostwa, żyję z tego jakokolwiek. Ale dziś nie o tem myśleć... dziś w kraju się coś gotuje... potrzeba było śmiałych, aby wejść mogli i przenieść rozkazy i wieści — poszedłem.

— Na zgubne imię — rzekł stary.

— Wiem — odparł Paweł — ale zginąć dla świętej sprawy — możeż być co szlachetniejszego?...

— Tak! — rzekł stary podnosząc rękę. — Myśmy całem rodem ze zrządzenia Bożego przeznaczeni byli na cierpienia i zgubę. Pradziad twój miał dobra znaczne, dziad wychował się na łasce, ojciec żył z ciężkiej pracy i zmiera w nędzy... a ty...

— Ale się z nas żaden nie splamił — dodał Paweł — szczęście nie jest zadaniem człowieka, jest trafem w życiu.

— Mów mi o sobie — rzekł stary — mów.

— Mój ojcze, wszystko ci już powiedziałem... resztę mówi moja przytomność na tej ziemi.

— Gdzież się podziejesz? Co myślisz?...

— Nie wiem... mam papiery ważne, mam polecenia... zdaje się, że część spisku już odkryto, ścigają niektórych. Moje posłannictwo tem większe. Jak z niem sobie rady dam, to Bóg wie jeden. Wierzę w opatrzność jego. A jeśli zginąć mi przeznaczono... nie zlęknę się... Wpadłem tu, bom cię chciał widzieć koniecznie, bądź co bądź, aby wziąć błogosławieństwo twe na życie, pracę lub śmierć... ale i tu... długo pozostać nie mogę. Niepowiodło mi się...

— Cóż się stało?

— Nic... ale mam wątpliwość, że mi coś tu zagrozić może... Zaledwie przybyłem do Łucka, kazano mi paszport meldować w policji, nie mogłem się temu opierać, aby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Kazano mi się stawić osobiście... nieszczęście chciało, żebym tam spotkał...

— Kogo? — spytał niespokojnie stary.

— Szuwałę...

— Szuwałę! Poznał cię?

— Nie wiem. Spojrzał, zadrżał, zatrzymał się, zawahał i odszedł. Ale bądź co bądź nie jestem już pewnym, ani tu, ani w okolicy. Jeśli najmniejsze powziął podejrzenie będzie mnie tu szukał.

— Gdyby był poznał — rzekł stary — nie puściłby cię.

— Tak się i mnie zdawało... Ale ten człowiek nienawidzi nas, jeśli myśl utkwi w nim, pośle tu szpiegów, będzie szukał i nie przepuści mi —

— Jemum winien, że leżę na tym barłogu — odparł stary — jemu, żem zniszczony... Nie mam pokoju od niego. Nielitościwy... Jeśli tak jest, nie baw tu... uchodź... ale gdzież się obrócisz?

Paweł podumał.

— Nie wiem... potrzeba mi w głąb kraju się przerznąć, w stronę Polesia pińskiego, mam wskazane domy... drogi. Bylebym z tej okolicy ujść mógł ku Majuniczom... tam mnie skryją... O mój ojcze, nie mówmy o mnie — mówmy o tobie...

W tej chwili biedna Róża przyniosła z kuchni parzone mleko w garnuszku i chleba kawałek... Na łzy się jej zbierało, że tak ubogo przyjąć musiała gościa tak drogiego, ale w domu nie było nic... a posyłać o tej porze do arendarza było to zwrócić uwagę.

— Mój kochany Pawle... późna noc... — rzekła zafrasowaną — a u nas nic nie było oprócz mleka i chleba... może się co ciepłego napijesz?

Paweł przyjął posiłek... łza mu się zakręciła w oku... zrozumiał on nędzę ojcowską... serce się ścisnęło.

Chciał zaraz pannie Róży oddać to, co był z sobą przyniósł dla ojca z pracy własnej, ale na chwilę odstąpić go nie było można. Starzec nie mógł się synem nasycić... patrzał... słuchał... kazał mu się przysuwać, trzymał za rękę... i płakał.

Było już dobrze po północy... a rozmowa jeszcze się nie przerwała, przed rankiem Paweł musiał o zmroku wędrować dalej.

* * *

Gdy się to działo w biednym dworku Zeńczew-

skiego, w paradnej karczmie u Froima Dubieńczyka przed północą już pogaszono światła. Deszcz lał, wicher wył, podróżnych w taką noc spodziewać się nie podobna, pokładli się więc wszyscy spać wcześnie i pozamykali... ale stary Froim, któremu handel drzewny spać nie dawał, nie zmrużył jeszcze oka... wśród ciszy i nocy rachował...

Nagle, baczne jego ucho uderzyło coś jakby bardzo oddalony dźwięk pocztowego dzwonka, zwiastujący na prywatnych drogach urzędnika... Froim podniósł się na poduszkach i słuchał. Dzwonek parę razy brzęknął... ale nagle ustał... Stary żyd był pewny, że mu w uszach zadzwoniło, gdy zaczęto stukać do bramy... Dzwonka nie było, ale konie parskały.

Zerwał się, wołając na myszurcia, aby poszedł zobaczyć, kto się do wrót dobija, a sam jako pilny gospodarz zarzucił chałat, żeby być w pogotowiu. Rozpalono przygaszony ogień, i świecę w latarni, w chwilkę wysoki, barczysty mężczyzna wszedł do izby... obejrzał się i skinął na Froima. Żyd nie poznał go... ale zobaczył palce na ustach... i na kołnierzu oznakę oficerską. Skłonił się nisko.

— Chodź do alkierza! — zawołał przybyły — zamknąć wrota stajni, niech koni nie wyprzęgają, dorzucić im siana!

Dopiero teraz Froim po głosie więcej, niż z twarzy zakrytej, dopatrzył Szuwały sprawnika... dreszcze po nim poszły. Wiedział, że nocna podróż tak ważnego urzędnika nie jest bez kozery.

Weszli do alkierza. Sprawnik nie zrzucił płaszcza ani czapki.

— Słuchaj Froim... my nie od dziś znajomi — ja tobie ufam — rzekł powoli — służyłeś nieraz rządowi i rząd ci się wypłacał... prawda?

— No, co to gadać — odparł stary żyd — każdy powinien służyć swojemu rządowi, u nas tak stoi w biblji napisano.

— Możesz mnie i rządowi oddać wielką przysługę, ale milczeć jak grób.

— Albo to żyd kiedy co wydał? — odparł Froim.

— Jest spisek straszny, uknuty przeciw rządowi i carowi. Znowu się Polaczki ruszają na swoją zgubę. Ich emigracja rozsyła po kraju buntować... pełno tych łotrów napłynęło. Żyje stary Zeńczewski? Jeszcze go djabli nie wzięli?

Żyd posłyszawszy to nazwisko, pobladł i zmieniła mu się twarz... wyraźnie się nastraszył, ale odpowiedział wolno:

— Nu, żyje! jakie tam życie! on kona powoli...

— Gdyby zdechł stary łotr, nie byłoby wielkiej szkody. Ale są poszlaki, że ten synalek jego kochany, pan Paweł się tu kręci. Ja go sam dziś na moje oczy widziałem — ale licho mnie zaślepiło... nie poznałem go, nie schwyciłem... do stu tysięcy djabłów. On tu jest... albo będzie lada chwila.

Żyd stał, jak rażony piorunem.

— Jasny panie pułkowniku — rzekł po chwili, przychodząc do siebie — on tu nie może być... Nikt nie przyjechał do samej nocy. Nie można wsunąć się do wioski, nie minąwszy karczmy, żywej duszy nie przybyło do późna...

— Właśnie... on nie zna dróg i ścieżek.

— Ale piechotąby nie przybył.

— Kto go wie?

— Nie, to nie może być — dodał żyd.

— Która godzina? — spytał sprawnik.

— Jeszcze północy niema, pierwsze kury nie piały.

Pułkownik dobył swego zegarka.

— Jest jedenasta. Nie mógłbyś pójść do Zeńczewskiego pod jakim pozorem?

— O tej godzinie! — zawołał żyd.

— Pojechać i napaść na dwór nocą, nie wiedząc, czy on tam jest... znowu na mnie cały powiat krzyczeć

będzie, że ja starego katuję i dobijam przez zemstę... A w dodatku Pawełby zwietrzył... Co tu zrobić?

Żyd się zamyślił.

— Słuchaj pan! — zawołał nagle — ja jestem stary... nie bardzo zdrów, noc... pies zły... ale co robić? Jasny pułkownik wie, że ja dla rządu gotów wszystko zrobić... ja pójdę... On był chory... dowiem się, jak jemu jest...

Sprawnik się zawahał.

— Idź, ale tak, aby ludzie nie wiedzieli, dokąd i po co poszedłeś. Cicho! Każ samowar dla mnie nastawić, a sam się wymknij... dam ci żandarma.

— A mnie na co? — oburzył się Froim — aj waj! żeby mnie kto z nim widział? To nie może być...

Stało się, jak ułożono. Sura nastawiła samowar dla pułkownika, żołnierzom wyniesiono wódki, a stary Froim cichaczem, furtką tylną wysunął się z domu.

Ale zaledwie znalazł się na podwórzu i płocie żyd załamał ręce i stanął... zdawał się namyślać głęboko, westchnął i ruszył żywo za wieś znajomemi sobie ścieżynkami.

Chata Zeńczewskiego znajdowała się na drugim końcu osady, odosobniona... i dobry kawał ujść trzeba było po śliskiem błocie, dopóki się jej dobiło. Słota i kałuże czyniły tę podróż trudną nawet dla młodszego człowieka, ale Froim, jakby go co pędziło, leciał krokiem gorączkowym. O wnijściu na dziedziniec myśleć nawet nie było można... dla psa zajadłego. Stary żyd, znając dobrze miejsce, poszedł poza płotami, okrążył zabudowanie i stanął pod oknem alkierza, oświeconem nieco, przez które w głąb domu zajrzeć było można. Światło wewnątrz o tej godzinie już coś niezwyczajnego zapowiadało.

Żyd przytulił głowę do szyby, i gdy oczy z blaskiem oswoił, rozeznał wyraźnie siedzącego w pośrodku pierwszej izby Pawła... Nie poznał zrazu, ale się

mógł domyśleć. Któżby tam był o tej porze, jeśli nie on?

Przeszedł potem do drugiego okna od pierwszego pokoju i stąd wyraźniej jeszcze dojrzał pannę Różę i mężczyznę, siedzącego przy łóżku starca. Załamał ręce stary i począł drżeć. Stał tak chwilę, a ktoby był mógł dojrzeć powiek starego, zobaczyłby łzy na nich... na twarzy wyraz politowania i zdumienia.

Wahał się długo, co począć... milczący przechodził z okna do okna... Wtem panna Róża wyszła z pokoju, ze świecą; przypomniała ona sobie, że w spiżarni była resztka wina, którem chciała Pawła pokrzepić... Okno spiżarni niezaszklone, żelazna tylko krata dzieliła od podwórza. Posuwające się światło prowadziło starego Froima, który podszedł do niskiego zakratowanego otworu w spiżarni. Nie było ani chwili do stracenia. Panna Róża dobywała butelki, gdy stary żyd zawołał:

— Nie lękaj się panna! dwa słowa...

Mimo to Róża krzyknęła, ale poznawszy głos Froima, przyszła do siebie.

Szybko, wyraźnie półgłosem Froim odezwał się do niej:

— Sprawnik z żandarmami u mnie... wie o panu Pawle... do rana ja go strzymam... ale niech ucieka... niech ucieka i śladu po nim żeby nie było... niech ucieka! Słyszysz waćpanna i rozumiesz?

— A! słyszę i umieram ze strachu!

Żyda już nie było.

Sprawnik pił pierwszą szklankę herbaty, gdy Froim zbłocony, zmęczony, wzdychając, powrócił.

— Byłeś tam?

— Byłem.

— Jest?

— Jeszcze go niema... stary bardzo chory... ale pytałem sługi, wczoraj, ani dziś nikogo nie widzieli... W domu niema chleba kawałka.

— Niech zdychają! — zawołał sprawnik — to ka-

ra Boża!... to palec Boży!... Nie chcieli zięcia prawosławnego, mają nieprzyjaciela... Zabili uporem dziewczynę, struli mi życie... dobrze tak...

Froim milczał. — Sprawnik się przechadzał.

— Słuchaj — rzekł — jeśli go nie było dotąd, będzie wprędce. Co tu począć? Mnie jego schwytać trzeba! ja go mieć muszę... a on Olszowa nie minie: czekać tu z żandarmami — zwącha bestja.

Arendarz milczał.

— Tybyś mógł najłatwiej wiedzieć i dać znać.

— Jaśnie pułkowniku — odparł żyd — nim ja dam znać, on ma czekać? A czy oni mi zawierzą, żeby się przedemną nie kryli? Ja robię, co mogę... ale nie podejmę się, czego nie potrafię.

— Czyj dworek naprzeciwko Zeńczewskiego?

— Niema żadnego... Stoi przecie w gołem polu.

Sprawnik zadumał się... nieufnie jakoś spojrzał na żyda.

— Wszak to tu — rzekł — okupił część Sowietnik Pratulec...

— Ale nie mieszka — odparł Froim.

— Skaranie Boże! — wykrzyknął Sprawnik. — Nu... posłać mi siana, zobaczymy do ranka...

* * *

Dzień już był wielki, gdy pułkownik, przebudziwszy się, wypiwszy herbatę, kazał konie zaprządz i niedowierzając żyda roztropności, postanowił sam napaść na dworek. Żandarmów i chłopów wyprawił, aby dokoła obsadzili tę, jak ją nazywał, wilczą jamę, a sam z chmurną twarzą siadł na bryczkę i hałaśliwie zajechał w podwórze. Ale oprócz psa, który wył w progu, nikt się wywołany najazdem nie pokazał.

Pułkownik Szuwała wyskoczył i otworzył drzwi pierwszej izby... ale zamiast iść dalej, stanął zdrętwiały na progu.

Niezwykły widok go raził...

W środku izby ustawiony był tapczan, okryty kilimkiem wytartym... obok na łożu, w białej koszuli, leżał trup starca, z krzyżykiem w skostniałych rękach, panna Róża i Pryska stara, płacząc, unosiły prześcieradło, usiłując ciało przesunąć na tapczan.

Oczy sprawnika padły na twarz zmarłego i jak wkute w nią, nie mogły się od niej oderwać. Oblicze to było takie, z jakiem świętych pańskich i błogosławionych malują, wypogodzone, jasne, dziwnie piękne i łagodne. Zdawał się usypiać i marzyć o niebie.

Jakkolwiek mściwy i gniewny, wobec niespodzianej tej śmierci pułkownik osłupiał, zmieszał się, uczuł złamanym... mimowolnie przypomniał sobie tego dobrego starca... godziny spędzone w jego domu... córkę jego, swe nadzieje... jej zgon... i w tej przynajmniej chwili stał się człowiekiem... Skłonił głowę — zapomniał o zemście.

— Stary umarł! kiedy? — spytał płaczącą pannę Różę.

— Dziś w nocy...

— Chorował?

— Od dawna... ale skonał spokojnie... nad rankiem przybył ksiądz...

— Był ksiądz?

— Tylko co odjechał...

— Czy po północy zachorował?

— Nie było nic... zdawał się, jak zawsze — odparła panna Róża — ale sam w sobie śmierć poczuł... i księdza zażądał.

Sprawnik stanął, wpatrując się w trupa.

— Niech żyd mówi co chce — rzekł w duchu — on tu był... to jego dzieło... ja to wiem...

Nie śmiał jednak rozpocząć badania. Na stoliku przy łóżku oko jego baczne dostrzegło kupkę złota. Były to luidory, przywiezione przez Pawła, a rzucone niebacznie. Zbliżył się do nich.

— Skarżyliście się na nędzę — zawołał — ale widzę, będzie za co pochować... hę?

Panna Róża, która była upuściła prześcieradło, zapłonęła cała i zmieszała się.

— To... to stary... był oddawna schował na pogrzeb...

Sprawnik się uśmiechnął, natura wracała, wrażenie trupa już było zatarte, występował policjant. Zbliżył się i począł po jednemu rozpatrywać luidory.

— A no... prawda, że dawno musiał chować — dodał szydersko — bo oto jeden, jak z pod stempla z 1838 roku.

Panna Róża o mało nie padła.

— Nie wiem, skąd i co to może być? — rzekła.

— Pani nie wiesz? — odparł zimno pułkownik — to ja pani powiem. Dzisiejszej nocy był tu pan Paweł Zeńczewski... on te pieniądze zostawił... a ojciec ze wzruszenia umarł.

Panna Róża oniemiała... w głowie jej splątało się wszystko... łzy trysnęły z pod powiek... oburzona wskazała na trupa.

— Jeśliś człowiek, pułkowniku! — zawołała — szanuj te zwłoki i majestat śmierci... bo kobiety biednej nie poszanujesz pewnie. Nie wiem nic... a mój obowiązek... tu!

Wskazała na łoże i odwróciła się od niego.

Z zimną krwią pułkownik przeliczył luidory, zgarnął je i schował do kieszeni.

— To ślad zbiega i szubienicznika — zawołał — pójdzie do śledztwa... słyszysz pani... spełniam obowiązek, nie biorę dla siebie... sprawa rządowa.

Ale panna Róża nie słyszała już nic... płakała, klęcząc przy łóżku...

Sprawnik, zostawiwszy dworek, siadł na bryczkę i popędził.

* * *

Dotychczasowe poszukiwania emisarjusza, którego pobytu w kraju Szuwała był pewnym, spełzły wszakże na niczem — rachuby i roztropność nakazywały milczeć o powziętych poszlakach. Sprawnik, rozesławszy swoich szpiegów po powiecie, powrócił chmurny nazajutrz do stolicy, zastał bulanego rysaka w stajni, zapewnił Paramina, że bądź co bądź on nigdy do żadnej odpowiedzialności pociągniętym być nie może, nakazał mu milczenie i począł głowę łamać, jak Pawła Zeńczewskiego pochwycić.

Wiedział on bardzo dobrze, iż rzecz nie była łatwą, rachował, że w jego powiecie długo znajdować się nie może, a stał o to wielce, żeby wpadł w jego ręce. Moralnie był najmocniej przekonany, iż go widział, i że w Olszowie musieli znajdować się razem. Nie mógł żyda posądzić o zdradę, ale sobie wyrzucał, że natychmiast wprost, przybywszy na miejsce, do dworku nie zajechał.

Na pogrzeb starego pilne miał oko, uwięzić kazał natychmiast pannę Różę i posadził ją w prawosławnym monasterze; Pryskę wsadzono do turmy i na majątek pozostały nałożono sekwestr.

Ale o Pawle nie było ani słuchu...

Tymczasem z Kijowa i Żytomierza szły jedne po drugich pisma sekretne, rozkazujące nadzwyczajną baczność.

W całym powiecie powznoszono na nowo upadłe rogatki, porozstawiano straże włościańskie, nakazano karczmarzom największą baczność na przejeżdżających, i codziennie prawie aresztowano po kilka osób najniewinniejszych.

Włościanie, stojący na straży, nie umiejąc czytać, ani pisać, puszczali tymczasem każdego, kto mógł się złożyć jakimkolwiek papierem z pieczęcią, tak dalece, że niekiedy porządny arkusz papieru od świec stearynowych ułatwił przejazd wybornie. Ale wszystko drżało... dwory noc i dzień narażone były na napaści

i rewizje drobnych urzędników, a najlżejsze podejrzenie... o zamożność starczyło do nabycia kłopotu i kosztów. Rozumie się, iż gorliwsi i chcący się zasłużyć rządowi, chwytali i pakowali do kozy — kto się nawinął.

Temu wzburzeniu naturalnie towarzyszyły przy braku wiadomości wiarygodnych najniedorzeczniejsze wieści. Wymieniano nazwiska osób najznakomitszych, wciągniętych do spisku i jakoby uwięzionych w Petersburgu, Kijowie, na prowincjach. Popłoch był powszechny. Po dworkach zakopywano książki zakazane, palono papiery, skrywano starą bron pamiątkową, bo każdy się mógł rewizji spodziewać.

Pewnem jednak było, iż na ślady jakiegoś spisku trafiono... że coś stać się musiało.

Od tego wieczora nieszczęsnego, w którym sekretarz tak drogo opłacone spokojem wziął dwie dwuzłotówki i jednego całkowitego rubla... ani on, ani pułkownik Paramin, ani sprawnik Szuwała nie mieli chwili swobodnej.

Sekretarz czuł, że się to w ostatecznym razie skrupi na jego skórze. Paramin, mimo bułanego rysaka, niepokoił się o swoją dolę... a Szuwała pałał razem i upragnieniem zemsty i chęcią emerytowania się przed rządem. Złapanie emisarjusza co najmniej musiało przynieść krzyż, podziękowanie, a kto wie, czy nie świetny awans. Szuwała miał wprawdzie nad wszystko droższy krzyż św. Jerzego jeszcze z wojny tureckiej, Annę na szpadzie, Włodzimierza w pętlicy, a Stanisława na szyi; ale cóż to było w porównaniu do konstelowanych piersi tych szczęśliwych ludzi... którzy nierównie mniej mieli zasług, a więcej protekcji! Szuwała miał wiele ambicji.

Paramin nie sięgał tak wysoko nadziejami... on lubił żyć, jemu szło o to, aby mu nie zbywało na wygodach, a do tego niema, jak policmajstrowstwo w małem miasteczku. Wszystkie sklepy otwarte, każdy in-

teres opłaca się groszem i w naturze. Stracić taką posadę... i to jeszcze w powiecie, który niedaleko będąc położony granicy, zajmował się kontrabandą, a poszukiwanie jej, sama groźba..., tak doskonałym była interesem.

Dla Paramina strata miejsca była groźbą okrutną. Sekretarz także miał w perspektywie sąd, degradację... ruinę... Kto wie? może proste sołdaty! Trwoga panowała w kancelarji. Rozumie się, że od tego dnia żaden podróżny przepuszczonym nie był bez najściślejszego śledztwa; zdala naglądano na dom Nysonowiczów, a Icek rozmyślał nawet, czyby mu nie wygodniej było wynieść się do ojczyzny swej — Dubna?

Jednakże poza temi kołami urzędowemi o historji zegarmistrza mniemanego, nikt prawie nie wiedział, bo i żydzi o niej milczeli i reszta osób wmieszanych rada była zapomnieć. Sprawnik tylko czuwał — ale niestety — napróżno. Przetrząsł on wszystkie spisy obywateli podejrzanych... porozsyłał żydków... nigdzie o żadnym obcym człowieku nic się dowiedzieć nie było można... po wsiach szlachta wogóle i dla tego popłochu i z powodu złych dróg, iż sławnej grobli na Czortku nikt, nie ugrzęznąwszy, nie przebył, siedziała przyczajona po dworkach.

Ale umysł tak czynny i niespokojny, jak Szuwały, dotychczasowem niepowodzeniem zrazić się nie mógł. Jak kanclerz Gorczakow mówił o Moskwie, że siły zbiera (elle se recueille), tak on powiedzieć mógł o sobie... że namyślał się... pracował, przygotowywał... Ale na nieszczęście żadna jasna idea nie zabłysła mu w mózgu; najczęściej bowiem ,gdy człowiek ją szuka usilnie, znaleść nie może. Nie przychodzi ona nigdy na zawołanie.

Jedynym przyjacielem i powiernikiem tego nieszczęśliwego sprawnika, któremu taka cudowna zręczność zyskania nowej dekoracji z rąk się wymykała,

był niejaki Pratulec, mający — jak wiemy — cząstkę w Olszowie.

Innocenty Afanasowicz Pratulec rodem był Małorosjanin, z tego zakąta uprzywilejowanego za Dnieprem, który tyle wydał znakomitych urzędników. Miał on ten przymiot, wszystkim współziomkom swym właściwy, że potrafił robić równie dobrze swoje interesa u rządu, i rządowe dla siebie, i obywateli z rządem i wszystkich świętych z nieświętymi. U niego zawsze wilk był syty, a koza jeśli nie cała, to przynajmniej żywa. Kieszeń zaś jego bądź co bądź wypełniała się przy każdej sposobności. Pratulec, który już był i policmajstrem i sprawnikiem (nie licząc, że w stopniu kapitana wyszedł z piechoty jako ranny i protegowany przez komitet inwalidów), byłby może służył dłużej, choć nieco kulał, ale go spotkało nieszczęście — coś, gdzieś w jakichś rachunkach zabrakło, poszedł pod śledztwo, okazało się, że był jak dziecię nowonarodzone niewinnym, bo podkomendny jego (który nagle zmarł w więzieniu) popełnił nadużycie... wszelako oddalono go ze służby. Ożenił się potem z córką duchownego, nabył znaczną część Olszowa i zajmował się niby gospodarstwem. W istocie mająteczek swój puścił w dzierżawę, a sam, lubiąc wesołe towarzystwo, zamieszkiwał w Dubnie.

Pratulec był dobry, słodki, grzeczny, wesoły w towarzystwie... pokorny... i z Szuwałą oddawna w najściślejszych stosunkach.

Los nadarzył, iż dla majątkowej sprawy przybył do miasta i odwiedził sprawnika... starym obyczajem. Zastawszy go smutnym, że byli sami, począł go badać.

— Co tobie jest?

— Co mi jest?... Mnie żywcem djabli biorą — rzekł mu Szuwała — posłuchaj — i opowiedział mu całe zdarzenie

Pratulec ..człek praktyczny, bardzo rozsądny, bywalec... zamyślił się.

— Wiesz ty co? — rzekł — czasem i taka rada, jak moja, nie zawadzi... mówili mi zawsze, że ja mam nos. Ja tu w tym kraju służę oddawna, znam ich, jak rude myszy. Ja tobie coś powiem.

— A no mów! — rzekł, wzdychając sprawnik.

— Prosta rzecz: albo on tu się kryje w twoim powiecie, albo poszedł dalej biedy szukać. Jeżeli jest, to nigdzie, tylko na Polesiu. To kraj zapadły, tam się skryć najłatwiej.

— A coby tam robił?

— Naprzód może się przechować przez ten czas niepokoju, bo wie, że u nas nigdy nic nie trwa długo. Za kilka miesięcy rogatki spalą na drwa, a ludziom się sprzykrzy stać na straży. Drapnie w biały dzień. Powtóre, gdzież łatwiej i kogo bałamucić, jak tych Poleszuków, którzy o bożym świecie nie wiedzą? Ja ci mówię, jeśli on tu jest, to na Polesiu. Dlaczegożbyś ty nie objechał sobie powiatu... ot, tak z grzeczności. Ja nie wiem, jak tam teraz u was, ale za moich czasów bywało, gdy urzędnik do obywatela przybył, najlepsze wino na stół, koniom owsa, co wlezie, a wyjeżdżając, zawsze się coś oberwało. Mało — wiele każdy dał, aby się do niego nie czepiać.

Jużbyś na tem nie stracił, żebyś objazd taki po błocie zrobił. A od czego konie pocztowe i pieniądze podróżne? Grosza kosztować to nie będzie i wywdzięczy się pewnie.

Kto wie, możesz dostać języka, lub jeszcze go gdzie spotkać? Ludzi weź sprytnych, niech po dworach i po wsiach rozpytują: Kto bywa, gości, z kim stosunki... czy wiele listów odbierają it. p. Człowiek się więcej nauczy takim objazdem, niż rok siedząc w domu. Weź z sobą kancelistę, a niegłupiego.

— Rada doprawdy nie zła — rzekł Szuwała — kto wie, może za nią pójdę... ale bryczek nałamię.

— Gdyby tyle biedy! — odparł, śmiejąc się chytrze Pratulec — a to błogosławieństwo Boże bryczkę

złamać... bo ci bądź co bądź nową dać muszą. Ja tak koczyk zyskałem, którym do tej pory jeżdżę. Złamała mi się najtyczanka stara... przywlokłem się na drągu do Dąbrowicy. Stary hrabia chciał mi pożyczyć bryczki... ja prosiłem, by ją odstąpił i musiał koczobryk darować. Jeszcze posłałem potem po moją starzyznę i odzyskałem ją napowrót naprawioną.

Sprawnik westchnął.

— Kiedy to powiadam ci — odezwał się — jak tylko trzy lata pokoju, a odetchnie ta szlachta, tak butnieje, że gotowa skarżyć na nas. Porobią stosunki z gubernatorami i nosy drą do góry.

— Ależ właśnie teraz drżą wszyscy!... gdzie im ochota przyjdzie do skargi?... dziś ich można dopiero pociągnąć.

— Ha no, popróbujemy.

— Tylko słuchaj, pułkowniku... jak w najzapadlejsze kąty, po takich wsiach, do których się dostać najtrudniej; nie zważaj na drogi... i dotrzyj, gdzie jeszcze nie bywałeś.. rozumiesz?

Szuwała zmilczał, potrząsł głową; widać było, że rozumna rada przyjaciela poszła mu do serca, rozmyślał nad jej wykonaniem.

Jakoż nazajutrz pocztowemi końmi wyruszył na objazd powiatu.

* * *

Błogosławione zaprawdę te zakąty kraju, do których w pewne roku pory zwłaszcza nie może łatwo dostać się moskiewski urzędnik. Mają one wprawdzie rozsadzonych po miasteczkach asesorów i wójtów po wioskach, ale się to powoli obywa z mieszkańcami, rozleniwia i nie dokucza. Wreszcie niektóre osady są tak odległe, błotami i lasami ufortyfikowane, że do nich nawet najbliższa władza niełatwo i nieczęsto się dostaje. Któż nie zna tego kraju, jeszcze skazanego na żywot prastarych czasów, pustelniczego odosobnienia,

a szczęśliwego z samotności, bo ją ona broni od częstszego stykania się z żywiołem moskiewskim, drapieżnym i burzącym. Bory, zarośla, trzęsawiska, błota, porozlewane strumienie, groble bez mostów, wydmy piaszczyste... ogromne przestrzenie bezludne otaczają nieliczne, zwykle wielkie osady, jak grzyby czarne, siedzące w piasku. Są wioski, których mieszkańcy, jak dzicy ludzie, uciekają na widok bryczki i podróżnego. Gdybyśmy tego na oczy własne nie oglądali, trudnoby było uwierzyć. Instynkt zachowawczy w każdym przybyszu wskazuje im Moskala, a od jego napadu najbezpieczniej ratować się ucieczką.

Widok zapadłego Polesia, zwłaszcza jesienią, jest najsmutniejszy w świecie. Czarne lasy sosnowe, suchą, żółtą trawą, a raczej wiszarem porosłe łąki błotniste, gdzieniegdzie trzciny nad stawami, lub pola, rzadkim ścierniem okryte.. na pół wyrabane bory, spalone młode zapusty, sterczące suchemi gałęźmi, nad tem wszystkiem niebo szare, i stada kruków krzykliwe.

Ale przejechawszy mil parę takim krajem, a raczej pustynią taką, z radością i zdumieniem wita się wioskę i dwór często bardzo porządny. Takim właśnie był nowy dom w Radziszewie nad Sterem, w zapadłym Polesia kącie, dziedzictwo pana podsędka Jagłowskiego; odwieczna rodziny siedziba, rozległa majętność, której obszar liczył się na sciny włók, ale w istocie niewiele czynił dochodu, oprócz z lasów niedorąbanych i kilku karczem. Rolnictwo nie bardzo się tu wiodło, wymagałoby było niezmiernych nakładów, a szanowny podsędek, człek starej daty, ciągnął grosz z majątku, ale miał za zasadę nigdy go weń nie wkładać.

Podsędek Jagłowski był szlachcicem z wychowania, rodu usposobienia, nałogu, a choć wiekiem nie tak podeszły, umysłem i charakterem mógł za antyk uchodzić. Chodził był niegdyś do szkół w Romanowie u księży Jezuitów, potem coś trochę skosztował Krze-

mieńca, był gorącym patrjotą, obywatelskiego ducha miał wiele, zresztą lubił żyć, bawić się i jak najmniej pracować. Kochano go w obywatelstwie niezmiernie, a dom jego słynął z gościnności. Żonaty wcześnie Jagłowski stracił był żonę; została mu córka jedynaczka. Ona też i ciocia Izabella składały cały dom jego. Jedynaczka wychowywała się po trosze na pensji we Lwowie, trochę w domu, a od lat kilku mieszkała z ojcem i była nowym elementem atrakcyjnym dla Radziszewa. Panna piękna, wykształcona, śmiała, miła, uprzejma, majętna... nęciła młodzież poleską, i co było antinousów, zdobywszy się w Dubnie na nowe fraki i czamarki (które za Mikołaja zakazane nie były), płynęło do Radziszewa. Dom był i tak pełen gości a rezydentów, bo poczciwy podsędek obejść się bez ludzi nie mógł — teraz młodzież pomnożyła towarzystwo. Żyło się tu nie wykwintnie, ale dostatnio, ochoczo i bez wielkiej ceremonji.

Wprawdzie panna Celina (zwała się bowiem tem imieniem, narzuconem przez ojca, jako wspomnienie z poezji Ludwika Kropińskiego), panna Celina była o wiele wyższą umysłem od tego, co ją otaczało (nie wyjmując rodzica), ale umiała się pogodzić z tym światem, nad którym górowała. Jej to Radziszew był winien wybudowanie ładnego nowego domu, przyozdobienie go wewnętrzne, wprowadzenie gazet i książek do niego, fortepianu, muzyki, założenie ogrodu w brzozowym gaju i tysiące znakomitych ulepszeń.

Celina bowiem miała gusta pańskie, a charakter nieco romansowy, który zawdzięczała życiu w książkach i dumaniach, początkowemu wychowaniu, wreszcie wrodzonym usposobieniom.

Była młodą i piękną, nie klasycznych rysów zapewne, ale świeżą, ożywioną, wyrazistego wejrzenia i fizjognomji szlachetności pełnej. Czoło nadewszystko i oczy zdobiły tę twarz, często do zbytku poważną i zamyśloną... rozmarzoną powiedzieć trzeba raczej.

Czy w snach swych wyśniła sobie bohatera, nie wiemy, ale że młodzież otaczającą dosyć sobie lekceważyła, było widocznem. To też panicze jeden po drugim, spróbowawszy jej towarzystwa, wynosili się, jak oparzeni. Dla jednych była za wielka pani, dla drugich nadto filozofka. Każdy się zląkł i wymykał. Panna Celina bynajmniej się tem nie frasowała... wiedziała, że gdy zechce, pójdzie za mąż i jak zechce, tymczasem nie było jej wcale pilno... marzyła. Ciocia pobożna, gospodarna, miłująca siostrzenicę, suszyła gruszki, smażyła agrest, robiła pierniki i odmawiała litanje, nie wdając się w gospodarstwo serca Cesi.

Ojciec też rad był, że się nie spieszyła... było mu z nią w domu weselej... a potroszę czuł, że Celinka czegoś więcej wartą była, niż się dotąd trafiało.

Dom, jak mówiliśmy, stał otworem, a choć kąt był zapadły, nigdy nie zabrakło gości. Podsędek miał ten zwyczaj, że nie puszczał jednych, póki się drugich na wymianę nie doczekał.

I tym razem nie było pusto w Radziszewie. Bawili w nim, oprócz rezydentów, o których niżej — pan Załowiecki z Dubieńskiego powiatu, pan Rabczyński z Kowieńskiego i pan Pawłowski z Dubieńskiego także.

Dwaj pierwsi byli to starzy przyjaciele i znajomi podsędka, ludzie jego wieku, zapamiętali wiśniarze, Załowicki dodatkowo zagorzały patrjota i polityk. Nie było od kilkudziesięciu lat jednego spisku, do którego by mniej więcej nie należał, lub choć nie był wtajemniczony. Uchodziło mu to płazem, nie wiem, jakim cudem. Rabczyński, oprócz tego, że grał w wista doskonale, jadł dobrze i opowiadał wesołe anegdotki odwieczne, odleżałe — ale dosyć zabawnie — nie miał w sobie nic szczególnego.

Pan Pawłowski, którego z sobą przywiózł współobywatel, i jak mówił, sąsiad jego Załowicki, poraz pierwszy znajdował się w Radziszewie.

Z postawy można go było zrazu posądzić, że przy-

był na odgłos wdzięków panny i nie bez intencji. Człowiek młody, bardzo przystojny, znakomicie wychowany, miły, oczytany, muzykalny, podobał się nawet pannie Celinie.

Twarz jego miała wyraz smutny i poważny, oczy czarne, ogniste, pełne były myśli i uczucia; uśmiechał się rzadko... Nosił żałobę i mówił, że niedawno ojca utracił, co tłómaczyło smutek jego, ale nic uniewinnić nie mogło od obojętności dla tak ślicznej panny, której zdawał się jakby umyślnie unikać. O ile panna Celina sama szukała jego towarzystwa, o tyle on był chłodnym, usuwającym się od bliższej znajomości... ostrożnym prawie. Pannę to tem więcej intrygowało, że młody mężczyzna, wyraźną mający wyższość nad tymi, których znała i widywała, dość się jej podobał. Jako jedynaczka i nawykła do posłuszeństwa, nie dała też panu Pawłowskiemu emancypować się i wzięła go szturmem trzeciego dnia... tak, że cały wieczór musiał z nią na rozmowie przepędzić.

Trzeci to już bowiem dzień bawił ów pan Pawłowski w Radziszewie.

* * *

Czwartego dnia, pochmurnym rankiem wszedł do pokoiku Pawłowskiego, na dole, od sieni, przyjaciel jego Załowicki, który stał osobno z Rabczyńskim.

— Słuchajno, panie... jakie ci mam dać imię?

— Jakie chcesz, byle nie moje.

— No to cię nazwę Celinjuszem chyba, bo wczoraj...

— Ale zlituj się! nie żartuj ze mnie! — ofuknął Pawłowski.

— Nie o tem mowa, to między nawiasami — dodał, siadając na łóżku Załowicki. — Słyszałem, że się sprawnik kręci po powiecie, i z Kołków żydek dał znać przez chłopa, że nocował tam, a ma na obiad tu przy-

być... Co ty myślisz? Pawłowski, z Dubieńskiego powiatu... śmiało mu się postawić?

Pawłowski drgnął i pobladł.

— A! byłoby to bardzo łatwem, gdyby ten człowiek osobiście mnie nie znał i zajadle nie był mym wrogiem. Stare dzieje.

Załowicki podskoczył aż z łóżka.

— To nie ma co — zaprzęgać konie i jechać!

— Dowie się, że tu ktoś był i drapnął.

— Cóż się dowie? Załowicki i Pawłowski.

— Możemy jechać — odezwał się pierwszy — możeby nie jechać, ale to pewna, że on mnie widzieć nie powinien, i że jeśli mnie zobaczy... tom przepadł. Ja to nic — ale ze mną...

Załowicki spojrzał na zegarek, była dziesiąta przeszło.

— Do kaduka! — zawołał — jechać byłoby najlepiej, ale zważ: ta bestja wyjechała z Kołków rano... jest na Radziszewskiej grobli pewnie, my tą samą groblą musimy wyjeżdżać, bo dwóch dróg do tej fortecy niema. Spotkamy go w drodze... gotów zatrzymać, bo teraz taki czas... no i...

— Jeśli tak, to muszę zostać — rzekł Pawłowski — ale mu sie nie pokazywać...

— Czy zwierzyć wszystko gospodarzowi?

— Niech Bóg uchowa!... nastraszylibyśmy go niepotrzebnie. Ja będę chory leżał cały dzień... ot, cała rzecz.

— Ale co ci poczciwi ludziska ze swą gościnnością, troskliwością, gotowi zrobić jakie dzieciństwo?

— Bądź co bądź, innej rady niema! — zawołał Pawłowski — idź wcześnie, uprzedź, że mam gorączkę, ból głowy, co chcesz... i że potrzebuje wypocząć w łóżku...

Załowicki zafrasował się.

— No tak — rzekł — wszystko to dobrze... ale

jeśli temu djabłu przyjdzie co na myśl, jeśli się posunie aż do rewizji domu?

— No,... to wówczas ja sobie poradzę — rzekł stanowczo gość — bądźcie spokojni. Przyjmujcie go, upójcie, ugoście, nie zatrzymujcie na noc... nie dawaj poznać gospodarzom, co się święci... a resztę polećmy Bogu.

— To pewna — dodał Pawłowski stanowczo — że po wyjeździe sprawnika i mnie tu w pół godziny nie będzie.

Domawiał tych wyrazów, gdy w dali na grobli dał się słyszeć ów straszliwy dzwon urzędniczy, na którego odgłos truchleją wieśniacy.

Na długiej grobli błotnistej, wiodącej do dworu, widać już było z czterema w poręcz zaprzężonemi końmi ciągniętą bryczkę pana sprawnika.

Pawłowski rzucił się na łóżko, obwinął kołdrą i drzwi zamknąć kazał, a Załowicki poszedł do bawialnego pokoju oznajmić o jego chorobie.

Podsędek chodził już po saloniku zafrasowany, jak zawsze, gdy miał policjanta, lub urzędnika przyjmować.

— Niechby go tam djabli brali! — szeptał — dałbym mu chętnie pięćdziesiąt rubli, żeby mnie i Radziszew minął.

— Toć się go pozbędziecie — rzekł Załowicki — a tu jeszcze i Pawłowski nam ubędzie, od towarzystwa, bo leży chory, z djabelską migreną. Trzeba wiedzieć, że migreny ma takie, że ani gadać, ani jeść, ani ludzi znieść nie może.

— Otóż tobie masz, a ja na niego rachowałem, że go zabawi... Prawdziwe nieszczęście! — zawołał gospodarz. — Trzeba wiedzieć, co to Szuwała... nieprzyjaciel imienia polskiego, chytry... podły, a kute licho... a tu przed nim trzeba udawać wiernopoddanych, kiedyby się jego i jego rząd razem chciało...

— Cyt! cyt! nagotuj pięćdziesiąt rubli i każ dawać śniadanie — może nie zabawi do obiadu.

— Ale ba! to dzień feralny! nie zechce mu się w słotę dalej... ja się boję, żeby nie nocował... I gdzie ja go postawię?! Skaranie boże!

Gdy tak lamentowali w salonie, dzwonek złowrogi zbliżał się, tętnił, hałasował... coraz mocniej, coraz ostrzej, aż czwórka koni ziejących parą zatrzymała się przed gankiem.

Sprawnikowi towarzyszył sekretarz i do usług ten sam chłopak, który z dorożką stał przed domem policmajstra, gdy się tam pierwsza scena dramatu naszego odbywała.

* * *

Niema na świecie bardziej upokarzającej roli nad obowiązek gospodarza wobec nienawistnego gościa, którego dla pewnych względów poszanować potrzeba... Podsędek wyszedł, zmuszając się do uśmiechu, z rozradowaną twarzą, witać Szuwałę, zapewniając go, iż niezmiernie by zgryziony, że tak dawno jego wąsów nie oglądał, gdy w istocie klął w duszy natręta.

— Koniki do stajni! — zawołał. — Wyściskali się serdecznie i pułkownik w stroju podróżnym wszedł do salonu.

Tu już oczekiwał Załowicki i Rabczyński, a w dodatku kapitan Strzeżoga rezydent, niegdyś żołnierz napoleoński, z pokiereszowaną twarzą i legją honorową u surduta. Można sobie wystawić, jakie na nim Moskal wojskowy czynił wrażenie, dość powiedzieć, że był w pożarze Moskwy, pod Smoleńskiem i pod Borodino.

Sprawnik jednem wejrzeniem objął towarzystwo, jakby kogo szukał, obejrzał się po kątach, zdawał liczyć... przywitał się grzecznie, ale zimno i usiadł. Nie dano mu odpoczywać długo. Grześ w nowym szaraczkowym surducie, z guzikami białymi, nieposzlako-

wanej świeżości, wniósł tacę jedną, Antek drugą, Hanuśka trzecią... a gospodarz już ujął kieliszek i odetknął starkę.

Ale sprawnik, obejrzawszy starannie pana Załowickiego, Rabczyńskiego i kapitana, wciąż jeszcze kogoś szukał oczyma. Było to tak dalece widocznem, iż Załowicki musiał kichnąć, aby twarz zarumienioną niepokojem odwrócić.

— Pan dobrodziej z Kowieńskiego?—spytał Szuwała Rabczyńskiego.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— I panowie sobie tak jeżdżą z powiatu do powiatu... swobodnie? hę? a to teraz taki znowu zamęt, straże, rogatki... bez paszportu można się na nieprzyjemność narazić.

— Jakto, mości dobrodzieju! — rzekł obrażony obywatel — ja mości bdzieju, znany jestem na dwadzieścia mil w koło... a mam też ten święty zwyczaj, że nigdy z domu nie ruszę bez dekretu heroldyjnego w kieszeni... to przecie za paszport stanie.

— Zapewne — rzekł, mierząc go oczyma Szuwała — ale zawsze paszport jest lepszy.

— Mój mości bdzieju — odparł Rabczyński — ja wam powiem jedną rzecz, że kto jedzie bez paszportu, tem ma pewnie sumienie czyste, a łotr mosanie opatrzy się zawsze... w papiery...

Pułkownik się uśmiechnął, zwracając do Załowickiego.

— Czy i pan dobrodziej z dekretem jeździ?

— Nie, ja jeżdżę bez dekretu i bez paszportu, powiat sąsiedni, wszyscy mnie znają... a że nas nasz sąd powiatowy obficie darzy powistkami... pewnie w kieszeni się zawsze znajdzie jaki papier urzędowy, do mnie adresowany, który osobistość moją poświadczy.

— Widzę, że panowie chyba nie wiedzą, co się w kraju dzieje! — rzekł sprawnik.

— A cóż się dziać może?

— Nowe odkryto spiski... kłopotu mamy dosyć, kraj zalany emisarjuszami... a my...

Nie dokończył sprawnik, gdyż właśnie na te jego wyrazy weszła panna Celina... usłyszała je... okiem rzuciła po salonie, nie znalazła w nim Pawłowskiego i coś tknęło ją w serce. Cała drżąca przywitała sprawnika, który na widok ślicznej panny zmiękł, ugrzeczniał i widocznie jakoś stał się bardziej człowiekiem. Szuwała znanym był z tego, iż miał słabość do płci pięknej, i ciężkie próby przebył w życiu, dając się chwytać pięknym oczom... z których potem czerpał tylko wzgardę.

Panna Celina zrobiła na nim wrażenie potężne... udobruchał się... przestał mówić... patrzał w nią, jak w tęcze...

Ona za to ciągle na drzwi poglądała, jakby wyczekując kogoś jeszcze.

Załowicki, który odgadł, że może zapytać o Pawłowskiego, w śmiertelnej trwodze zbierał się ją odciągnąć pod jakimś pozorem na stronę, gdy Szuwała rozpoczął bardzo piękną francuzczyzną rozmowę z panną.

Zdziwiona tą umiejętnością panna Celina nieco grzeczniej mu odpowiadała, ale wstręt do Moskala mimo to nie dozwalał na dłuższą myśli i frazesów wymianę.

Wielki fizjognomista sprawnik, choć zajęty śniadaniem i rozmową, dostrzegł na twarzy pana Załowickiego jakiś niepokój i w twarzy panny coś zwiastującego... oczekiwanie i zdziwienie. Nie spuszczał ich z oka. Parę razy chciał Załowicki dać znak pannie Celinie, ale spotkał wejrzenie Szuwały i postanowił losom powierzyć dalszy przebieg sprawy. Ale mimo siły, jaką miał nad sobą, rysy jego zdradzały, że wewnątrz drżał i marł z połkniętego strachu.

Na twarzy panny Celiny niepokój coraz się sta-

wał wyraźniejszym... kilka razy otwierała już usta. Załowicki zagadywał.

Nieostrożny gospodarz tymczasem wyrwał się.

— Możeby co panu Pawłowskiemu posłać, kiedy...

— A cóż mu jest? — przerwała żywo panna.

— Od wczoraj, od wczoraj ma tę nieszczęśliwą migrenę, na którą okrutnie cierpi — pochwycił Załowicki — nic mu nie trzeba, tylko wyleżeć się spokojnie, póki nie przejdzie.

Sprawnik drgnął.

— Dosyć, że u pana podsędka zawsze gości pełno — rzekł żywo.

— Ten gość to sąsiad pana Załowickiego — odezwał się gospodarz — Pawłowski z Dubieńskiego powiatu.

— Pawłowski? — dodał sprawnik — jest ich tam kilku... znam niektórych... czy Ludwik, czy Hieronim?

— Nie... Antoni... Antoni — żywo podchwycił Załowicki.

— Brat Ludwika?

Załowicki zagadnięty tak prędko, nieprzygotowany, zdradzał w odpowiedziach pewne pomieszanie, ale naprawił to śmiechem.

— Ani brat, ani swat, a nawet innych Pawłowskich — rzekł, ruszając ramionami. — Ma koło mnie część wsi w Paminkowie. Służył w wojsku rosyjskiem.

Szuwała jakoś uspokojony, urwał na tem, a Załowicki począł zajadać szynkę tak, jakby od tygodnia nic nie miał w ustach.

W czasie tego badania o Pawłowskiego panna Celina bladła i czerwieniała. Szczęściem Szuwała sobie pomyślał:

— Gdyby był kto podejrzany, toby się gospodarz z nim nie wygadał.

Po śniadaniu co było robić? Sprawnik się nie wybierał — ustawiono stolik do wista, do którego zasiedli

Szuwała, gospodarz, Załowicki i Rabczyński, ale jeden z nich wychodził. Napoleoński wiarus po śniadaniu poszedł zaraz do oficyny.

Panna Celina przechadzała się po salonie, goniona oczyma sprawnika. Chociaż człek i mundur był dla niej wstrętliwy, nie powiemy, aby wyraz uwielbienia który w oczach jego czytała, był dla niej przykrym.

Tymczasem o trzy kroki ztamtąd, o ścianę obwinięty kołdrą leżał na łóżku mniemany Pawłowski i jedną ręką ściskał paczkę z papierami, drugą rewolwer, który go nigdy nie opuszczał. Mimo odwagi, zimny pot oblewał mu skronie, słuchając rozmowy sługi i sekretarza, obok kłócących się w tym miłym języku moskiewskim, który na nas robi wrażenie brzęku kajdan i skrzypienia szubienicy.

* * *

Pod rozmaitemi pozorami sprawnik kilka razy w czasie gry wychodził, nawet raz przez omyłkę otworzył był drzwi, zostawione bez klucza, do pokoju, w którym leżał Pawłowski, ale się zaraz cofnął. Przymknięta okiennica nie dawała nic dojrzeć.. ale to poszukiwanie jakiegoś wyjścia mogło nie być przypadkowem. Szczęściem, że Załowicki siedział przy kartach wówczas, i sprawnik go nie widział, boby się z bladej twarzy domyślił czegoś, tak, jak się domyśliła panna Celina.

Miała ona już pewne jakieś przeczucia i podejrzenia, że młody ów człowiek nie był tym, za kogo się podawał... tknęło ją to, że na przybycie sprawnika zasłabł... imaginacja i wspomnienie emisarjuszów dopełniło reszty.

Cały dramat zarysował się w jej rozgorączkowanej głowie i sercu. Serce to biło... chciała mieć jakiś udział w tem... niepokoiła się, marzyła... Tymczasem wejście sprawnika, którego poznał z pod kołdry Pawłowski, nabawiło go trwogą,. nie o siebie, ale o pa-

piery. Był zdecydowany strzelić, a potem sobie życie odebrać, ale co było zrobić z papierami, których zniszczyć nie chciał i nie mógł?

Szuwała mógł go poznać, mógł się domyśleć, a mając najlżejsze podejrzenie, udawać obojętność, pókiby nie ściągnął żandarmów.

Myśl ta tem mocniej się wbiła w głowę nieszczęśliwego, że Szuwała, wyszedłszy po raz drugi, rozmawiał coś po cichu z sekretarzem i wysłał go niewiadomo dokąd.

Paweł był prawie pewien, że nie wyjdzie cało... ale papiery! O życie mu nie szło wcale, tylko o spełnienie tego, co za najświętszy obowiązek uważał...

Drżąc, rachował i myślał... komu je oddać. Załowicki był najpoczciwszym człowiekiem, ale słabym, tracił przytomność w tych właśnie razach, w których człowiek najwięcej jej potrzebuje. Gospodarza znał mało. Oczy Celiny migały przed nim, jej imię, jej postać... natrętnie mu się narzucały.

Serce mówiło: jej lub nikomu... Rozum odpowiadał: kobieta — przeczucie na szalę rzucało: Polka i bohaterka...

— Jej lub nikomu! — powtórzy Paweł — ale jak? gdzie? jakim sposobem? Tymczasem upływały godziny, a niebezpieczeństwo zbliżać się zdawało...

Pokój, w którym leżał, miał jedne drzwi od sieni, drugie zamknięte na klucz i zastawione komodą dzieliły go od pokoiku, poprzedzającego pomieszkanie cioci i Celiny.

Paweł począł od tego, iż od sieni się zamknął.

Wstał potem z łóżka po cichu, podsunął się pod drzwi zatarasowane i z uchem, przyłożonym do nich, czekał...

Serce mu biło i skronie tętniały.

Usłyszał otwierające się drzwi od salonu i szelest sukni... Zebrawszy się na odwagę, zapukał lekko...

Kroki stanęły... cisza.

Ale nuż to była ciotka?

Zapukał leciuteńko raz drugi.

Szelest sukni zwiastował, że ktoś się zbliżył do komody...

— Panno Celino — szepnął więzień — na miłość Boga!...

Milczenie mu odpowiedziało zrazu, potem nie wiedział, czemu przypisać, że się kroki oddaliły... panna Celina coś nuciła półgłosem... Wytłómaczył to sobie stuknięciem drzwi... od salonu... były bowiem niezamknięte... a sprawnik, grający w wista, siedział o krok. W chwilę później uderzono zlekka we drzwi z drugiej strony.

— Słucham — rzekł głos cichy.

— Nie pytaj pani, nie dziw się, ale zaklinam... na imię Polski... na pół minuty widzieć się z nią muszę, niema chwili do stracenia.

— Otwórz drzwi... klucz jest w nich — odpowiedziano z cicha i nucono znowu.

Paweł nie bez trudności, usiłując jak najmniej robić hałasu, unosząc do góry, drzwi otworzył.

Poza komodą stała blada panna Celina.

— Na miłość Polski, weź pani te papiery, ukryj... albo ja... upomnę się o nie... lub.. .znajdziesz wskazówkę, komu je oddać.

Dziewczę wyciągnęło rękę odważnie, rumieniąc okrył jej twarz, pochwyciła paczkę i skinęła głową tylko, mówić nie mogła... Drzwi zamknęły się natychmiast... klucz obrócił, a Paweł leżał rozgorączkowany w łóżku znowu, już tylko rewolwer jeden cisnąc w dłoni. Powoli twarz jego nabrała spokojniejszego wyrazu... oddychał; wiedział z pewnością, że polskie dziewczę umrze raczej, niż ojczyznę zdradzi.

* * *

O pierwszej podano do stołu. Sprawnik jakoś ani myślał się wybierać, ale, jak na sprawnika, był wcale

nie w złym humorze. Rozpytywał o sąsiedztwo, o drogi, narzekał na obowiązki ciężkie i niemiłe, i francuską rozmową bawił pannę Celinę.

Załowicki zgorszony tem mocno, uważał, że zacna panna podsędkówna przy obiedzie nadto była uprzejmą dla Moskala, że mu się uśmiechała nawet i zdawała bawić jego szwargotem.

Ojciec także dziwił się temu niepomału, znając usposobienie jej dla Moskali. Ale — myślał Załowicki — i djabeł kobiety nie zrozumie... kobieta kobietą, nawet Moskala musi kokietować.

Gdy się to dzieje przy stole, a podsędek, nie żałując, dolewa Szuwale wina, nieszczęśliwy Paweł męczy się pod kołdrą głodny i zniecierpliwiony. Oddanie papierów powróciło mu nieco spokoju, ale nie ustąpiła gorączka paląca od rana. Mniej dbały już o siebie Paweł posłyszał idących do stołu, zapewnił się, że sprawnik siedział przykuty w jadalnym pokoju i zapomniawszy na niebezpieczeństwo grożące, zapragnął wypić szklankę wody. Pragnienie go paliło.

Znał dosyć dom, by przejść niepostrzeżonym do kredensu. Wahał się nieco zrazu, ale przemogła jakaś niecierpliwość młodzieńca, wstał, otworzył drzwi, wyjrzał i skierował się śmiało ku kredensowi. Nie bawił tam długo, służący podał mu wodę zimną, ale tej chwili starczyło, by służący sprawnika, który stał z dorożką niegdyś przed domkiem policmajstra... zobaczył go i poznał. Szczęściem, był to człowiek rzadkiej dyskrecji i nader ograniczonego umysłu.

W dobrą godzinę po obiedzie, sprawnik z wciśniętą w rękę bardzo umiejętnie przez podsędka bomażką pięćdziesięciorublową, szczęśliwie nareszcie wyniósł się z Radziszewa.

Słysząc bryczkę jego oddalającą się od ganku Paweł odetchnął swobodniej, czuł, że jego migrena przejść może i że zostanie oswobodzonym z więzienia które go męczyło. W kwadrans po odjeździe wszed

Załowicki z miną tryumfującą, ale ze śladami walki, którą przebył, na twarzy nad wyraz zmęczonej.

— Teraz — rzekł — możesz wstać, ubrać się, powiemy, że migrena przeszła, a że głodnym być musisz, nakarmimy cię, nie obudzając żadnego podejrzenia... bo pocóż gospodarz ma wiedzieć o tobie?

Paweł uśmiechnął się, myśląc w duchu, że już ktoś więcej, niż on, wiedział w tej chwili o nim... i losem jego troszczyć się musiał. Chciał wyjść, aby co najrychlej odebrać papiery, podziękować Celinie... pomówić z nią poufnie, zakląć o tajemnicę, wytłómaczyć się...

Począł się więc szybko ubierać.

— I konie każ zaprzęgnąć — rzekł do Załowickiego — bądź co bądź bezpieczniej jest stąd uchodzić.

— A toż po co? — odezwał się przyjaciel — przeciw nocy po tych drogach poleskich tłuc się, niewiedzieć czego? Zlituj się... już ci teraz nigdzie na świecie bezpieczniej być nie może, jak tu? Szuwała był... zrewidował nas, odjechał... Siedzisz, jak u Boga za piecem... gdy na drodze a nuż go nam kaduk naniesie na kark?!

— No, bądź co bądź, jabym się czuł bezpieczniejszym gdzieindziej i potrzebuję już jechać.

— Pojedziemy jutro do dnia — rzekł Załowicki.

Paweł nie sprzeciwiał się, sumienie tylko kazało mu uciekać z tego domu gościnnego, aby mu z sobą nie przynieść kłopotu... teraz... ta piękna a odważna Celina miała dlań urok nadzwyczajny, rad się był zbliżyć do niej... i choćby dłuższem wejrzeniem pożegnać ją na zawsze...

* * *

Ku wieczorowi uzdrowiony pan Paweł zjawił się nareszcie w salonie. Poczciwy podsędek nic a nic się nie domyślał... Podano herbatę, złożył się wiseczek we trzech z dziadkiem, a pan Paweł dziękował opa-

trzności, że się będzie mógł przed panną Celiną wytłumaczyć.

Od wnijścia jego do pokoju, oczy córki gospodarza nie zeszły z niego, usta mu się uśmiechały; baczniejsze wejrzenie byłoby dostrzegło nadzwyczajne ożywienie i jakby rozpromienienie dziewicy. Zdawała się oczekiwać tylko, aby zbliżył się do niej.

Paweł, nie chcąc ściągnąć uwagi, kołował przy grających, zabawiał ciotkę, naostatek począł rozmowę z Celiną i oboje poszli przechadzać się po pokojach.

— Nie wiem jak mam panią przepraszać — odezwał się nareszcie młody człowiek — daruj mi pani zuchwalstwo... Nie szło tu o mnie, ale o stokroć nad życie moje i losy ważniejszą sprawę.

— Czy mam panu oddać papiery? — zapytała Celina.

— Jeśli je pani masz przy sobie.

— Wzięłam je po odjeździe sprawnika — odparła Celina. — Nie mów mi pan nic, nie tłumacz się, ja to winnam podziękować za zaufanie... A nie wiesz pan, jak miło jest jednej z nas słabych istot, oddać choćby najmniejszą usługę tego rodzaju. Jestem dumną, żem się przydała choćby na chwilę do uspokojenia pana. Będzie to niedyskrecja zapewne korzystać z nieszczęścia i trafu... pytać go... ale powiedz mi pan jedno tylko... Jesteś tym, za kogo cię prezentowano, czy?...

— Winienem pani całą prawdę — rzekł Paweł — jestem wygnańcem od 1832 r., za fałszywym paszportem w kraju muszę się ukrywać, bom był sądzonym na śmierć i na Sybir. Jestem tą nieszczęśliwą ściganą istotą, która w pospolitym języku zowie się emisarjuszem.

Panna Celina załamała ręce — pobladła.

— Sądzony na śmierć! — powtórzyła cicho.

— Nie będę miał dla pani tajemnic — dodał z jakimś zapałem. — Sprawnik Szuwała zna mnie osobi-

ście, nienawidzi od lat wielu... Starał się o moją siostrę, której myśmy mu nie dali... Pragnie się pomścić... Dlatego byłem zmuszonym się ukryć.

— O mój Boże! Tak pan się wydajesz młodym, a przez tyle przechodziłeś kolei.

— I tyle nędzy — dodał cicho Paweł — i tyle nieszczęść... Kilka dni temu z niebezpieczeństwem życia przedarłem się w te strony, gdzie mnie znają wszyscy... gdzie co chwila pochwycony być mogłem, aby raz jeszcze zobaczyć, uścisnąć starego ojca... i miałem to szczęście wziąć jego błogosławieństwo, a razem oddech uczuć ostatni, bo przy rozstaniu skonał na moich rękach...

Łza zaszkliła się w oku Pawła i panna Celina zapłakała z nim. Mimowolnie drżąca jej ręka chwyciła dłoń wygnańca i uścisnęła ją z uczuciem, więcej niż siostrzanego współczucia.

Zamilkli na chwilę. Rozmowa zwróciła się tęskna, serdeczna ku tym przedmiotom, które rozrzewniają, unoszą, idealizują chwilowo człowieka... Cóż dziwnego, że ta godzina, spędzona na poufnych szeptach, zbliżyła ich tak, związała, jakby od lat wielu byli więcej niż siostrą i bratem... Biedny Paweł, który się bronił wszelkiemu uczuciu, mogącemu go siły pozbawić, okuć w kajdany i zrodzić nowe obowiązki, ani się spostrzegł, jak pociągniony ku serdecznemu dziewczęciu, stracił swobodę... Godzina ta wyrokowała o ich życiu i losach, ale było coś tak smutnego w tej poczynającej się miłości, jakby w ślubie nad mogiłą...

Nigdy jeszcze oboje szczęśliwszej nie przeżyli chwili, ani krótszego wieczora.

* * *

Wśród wielkiej rozmaitości egzemplarzy tej istoty, którą zowią człowiekiem, trafiają się doprawdy tak ciekawe i osobliwe, iż usprawiedliwiają najtroskliwsze

studja, choćby były jak fjołki, nieporównywając... nisko w trawie rosło. Niktby się pewnie nie spodziewał, że Wańka, deńszczyk sprawnika Szuwały, jego woźnica i sługa, należał do tych egzemplarzy rzadkich i oryginalnych. Tak jednak było w istocie. Wańka rodem ze Smoleńskiej guberni, niegdyś żołnierz (ale w czasie służby zajmował się szyciem i naprawą butów regimentu), był rzadkim człowiekiem. Poczciwe to było, usłużne, ciche, cierpliwe, ale naiwne do granicy, od której ten szacowny przymiot zaczyna zakrawać na głupotę.

Wańka nie pytany, nigdy nie mówił, nie śmiał poczynać sam, ale raz zagadnięty, był niewyczerpanym i wyśmienitym. Śpiewał nawet, kiedy mu kazano. A był tak zawsze szczęśliwym i ze wszystkiego zadowolonym, iż zniecierpliwić go lub zasmucić, prawie się zdało niepodobieństwem.

Nie mówi się już o tem, iż był posłusznym nieograniczenie. Musiał sobie zapewne wyrozumować, iż za te czyny, które popełniał po ukazu, nie był ani przed Bogiem, ani przed ludźmi odpowiedzialnym. Gdyby więc pan mu kazał ukraść, zabić, mordować, niechybnieby spełnił przykazanie. Serce miał dobre, ale wdrożony do karności, nieraz siekł powierzonych swej rózdze winowajców bez litości, choć ich potem serdecznie żałował, leczył i cieszył.

Był to już człowiek tego rodzaju... czysty produkt cywilizacji moskiewskiej... a nie najgorszy jeszcze. Trafiają się szkaradniejsze daleko.

Wańka miał serce, co nie wszystkim jest dane, trzymał jego uczucia w zawieszeniu, ale gdy mu było wolno, praktykował je.

Fizjognomja poczciwego Wańki była zwierciadłem duszy. Twarz miał bladą, szeroką, rozlaną, z mocno wystającemi policzkami, oczki małe, niekiedy uśmiechające się, szare, usta szerokie i mięsiste, nosek zadarty, jakby przełamany i skromnie kryjący się

wśród policzków. Nie był pięknym, ale miał w sobie coś miłego... i niejedna rekrutka się w nim kochała. Nie ożenił się wszakże, i choć dość romansowego usposobienia, pozostał swobodnym. Wańka lubił wódkę, ale nie upijał się też do utraty zmysłów nigdy, tylko do przyjemnego odurzenia.

Bryczka sprawnika to wpadała w kałuże bezdenne, to grzęznąc jednem kołem, zdawała się już już wywracać, to się toczyła po zmokłych piaskach. Szuwała świstał. Mrok padał, byli dzięki koniom pocztowym o dwie mile od Radziszewa.

— No co, Wańka — odezwał się do niego sprawnik po kilkugodzinnem milczeniu — dobrze ciebie przyjęli w tym dworze? hę?

— A co... dobrze... co się nazywa, proszę pułkownika... Dali wódki com chciał i flaszkę postawili przede mną, mięsa całą miskę... kołacza... Już to, proszę pułkownika, bodaj to jeździć po powiecie! Nigdzie człowiek tak się nie pożywi, jak u obywateli...

Sprawnik się rozśmiał.

— Nawet żyd w karczmie nie pożałuje... ale żyd to taki żydem. Ryby da albo masło z chlebem... i gotują nie do rzeczy.

— A ty lubisz jeść? — spytał Szuwała.

— Któżby, proszę pułkownika, jeść nie lubił? Człowiek już na to jest od Pana Boga stworzony.

— Tylko na to? — zapytał pan.

— A no, jużcić i pić musi... to niema rady — rzekł Wańka.

— A dalej?

— A no, to i spać.

— I więcej nic...

— At, co to gadać, proszę pana pułkownika!... Ja tam nic nie wiem... a to wiem, że najrozumniejszy człowiek na głodno głupieje.

Sprawnik się rozśmiał.

— Cóż ty tam widział w tym dworze?

— A ba! — odparł Wańka — dwór co się zowie paradny.. nawet w garderobie takie panny, że w mieście co podobnego widzieć trudno.

— Cóżeś ty się umizgał?

— Chowaj Boże... Tam na Moskala, choćby i ze sprawnikiem przyjechał, żadna ani spojrzy... A jak do nich gadać!

— Dużo ludzi?

— A moc.

Wańka urwał.. a nagle dodał:

— Ale co ja, proszę pana pułkownika, tam osobliwszego widział.

— No cóż — spytał pan, bawiąc się widocznie tą rozmową.

— A to, nie wiem czy pan pamięta, jak to my byli u policmajstra, co to ja stałem z dorożką przed jego domem... co to tam przychodził jakiś niby Niemiec z paszportem... a potem jego tak strasznie szukali... Ja wówczas tego Niemca dobrze widziałem.

— To i cóż?

— A teraz tom go zobaczył znowu tu... w Radziszewie... Jak państwo siedzieli u stołu, przychodził do kredensu wody się napić...

— Jakto? jesteś pewny? — zakrzyczał Szuwała.

— Oto to, proszę pułkownika, ja kogo raz w życiu zobaczę, to go do śmierci nie zapomnę, już taka mam naturę pamiętliwą.

— Jesteś pewny?

— Ale mówię...

Sprawnik, jak piorunem rażony, nagle powstał na bryczce, twarz mu zapłonęła i zawołał na woźnicę ogromnym głosem, tak, aż bryczka się zatrzęsła:

— Stój!

Konie stanęły, jak wryte.

Pułkownik podniósłszy się na nogi na bryczce drżący, zdawał się nie wiedzieć co robić... Zmierzchało się mocno...

— Głupcze... Ośle... Niegodziwcze! — zaryczał nagle. — Czemużeś natychmiast, tam, na miejscu, obaczywszy go, nie dał mi znać?

Wańka wielkie oczy wytrzeszczył, rękę podniósł, milczał.

— Albo mnie pan pułkownik kazał albo mówił?

— Ale, głowo bez mózgu, wiedziałeś, że tego człowieka szukali, że go ścigała policja... Widziałeś, że nie poszedł z nami do stołu, że się krył... Jakżeś mógł być takim głupim i nie dał mi znać, nie tracąc chwili?

— Nu, proszę pana pułkownika, któż mógł wiedzieć, że to taki potrzebny człowiek? Myślałem sobie... a to zabawne... jego tam ze świecami szukali, a on tu sam się z nami zdybał. Ale co mnie do tego. Myślałem sobie: policmajster jego szukał, to co nam do policmajstrowych sztuk?

Szuwała już nie słuchał, bryczka stała, dał okrutnie pięścią w kark Wańce, który padł na siedzenie.

— Nuż mi teraz uciecze! — zawołał. — Ale nie... nie! Rachuje teraz na to, że mu się upiekło... Niegodziwy, zaśnie spokojnie... wezmę go w łóżku... Odczepić dzwonek — dodał — zawracaj... W najbliższym dworze konie odmienimy... do Radziszewa!

* * *

Była północ... W Radziszewie spało wszystko snem sprawiedliwych i znużonych — rozmarzony, szczęśliwy, kołysany uczuciami młodości, nieznanemi od dawna, biedny wygnaniec zasypiał także... Zmęczenie i wrażenia dnia tego pogrążyły go w tym śnie głębokim, odrętwiającym, który odbiera władzę i siły. Nawykły do czujności, do przebudzenia za najmniejszym szelestem, Paweł leżał obumarły.. usta mu się uśmiechały do marzeń niebiańskich...

We dworze całym wszystko było uśpione... jedna istota zaniepokojona, bezsenna... chodziła jeszcze po swojej izdebce z myślami, z uśmiechami, z przypu-

szczeniami przyszłości. Serce było szczęśliwe, a jednak jakieś dziwne przeczucie, trwoga miotały nią, niedozwalając nawet pomyśleć o spoczynku. Celina chodziła, stawała... uśmiechała się do siebie, przypominała rozmowę, powtarzała słowa jego, i była bardzo szczęśliwą i niezmiernie przestraszoną.

Pierwszy to człowiek w życiu uczynił na niej tak głębokie wrażenie... Widziała go wielkim bohaterem, męczennikiem i chciała duchem dorosnąć do niego, ofiarą mu sprostać.

W pośród tych marzeń, wśród niczem niezakłóconej ciszy, coś jakby daleki szmer obiło się o jej uszy... Stanęła, uderzyło serce... czekała...

Szmer... jakby chód tajemniczy, jakby szeptanie stłumione... zdawało się dom otaczać... Parę razy coś szczęknęło złowrogo... Celina rzuciła się, zgasiła światło... W mgnieniu oka odgadła jakieś niebezpieczeństwo i myśl jej natychmiast pobiegła do tych drzwi, które sąsiedni pokój dzieliły od sypialni Pawła...

Z ostrożnością przytuliwszy oczy do szyby okna, które nie było zasłonięte okiennicą, dopatrzyła po chwili snujące się i podkradające w podwórzu cienie. Jasnowidzeniem odgadła w nich żołnierzy, sprawnika — pogoń.

Na palcach, nie tracąc przytomności, wysunęła się ze swego pokoju... Bądź co bądź należało nieszczęśliwego ocalić od śmierci. Jak? Tego nie wiedziała sama, ale gotową była dać życie... Wybiegła do tych drzwi i poczęła pukać nieśmiało.

Na nieszczęście Paweł spał snem kamiennym.

Po kilku próbach bezskutecznych, coraz szybszych, lękając się stracić czas drogi lub być usłyszaną, bez zastanowienia przez bawialny pokój wpadła do sieni, z sieni do łóżka Pawła. On spał... Porwała go za rękę... Przerażony chwycił rewolwer, ale uczuł dłoń, która mu padła na usta.

— Milcz... Wstawaj.. Uchodź pan... niema chwili do stracenia... Dom otoczony...

Paweł jakby cudem odzyskał przytomność, narzucił na siebie suknie milczący, chwycił papiery i broń... Drżąca rączka wiodła go za sobą.

Przeszli salę. Paweł nie wiedział ani dokąd szedł, ani co się z nim działo. Celina prowadziła go, śpiesząc się, lecąc... W trzecim pokoju była na wypadek rabunku zrobiona mała kryjówka, do której wiodła podnosząca się blacha w kominie. Był to loszek ciemny, szczupły, wilgotny, w którym stała tylko szkatułka z papierami podsędka. W dwóch słowach wskazała mu ją Celina, otwarła, wepchnęła go niemal, zamknęła silnie i biegiem wróciła do swojego pokoju, rzucając się, jak bezprzytomna pod kołdrę.

W sam czas, gdyż niemal w tej samej chwili do głównych drzwi dobijać się zaczęto... Powoli ludzie się budzili, słychać było kroki spieszne, bieganie, krzyki, stukanie drzwi i szczęk szabli i głosy gniewne i spór... i kłótnię żywą i przekleństwa... Jak długo trwało to wszystko, panna Celina nie mogła obrachować.. W trwodze tej każda chwila zdawała się wiekiem.

Teraz widocznie rozpoczynano jak najpilniejszą rewizję w całym domu... Od salonu wyraźnie dochodziły ją głosy wrzawliwe, płaczliwe, napastliwe, pokorne...

— Nie mógł uciec! — wołał Szuwała — O! o! ostawiłem dom do koła wprzódy, żywa dusza się z niego nie wymknęła... To nie może być. Zrewiduję, zburzę... spalę dwór a znajdę...

— Ale panie pułkowniku—ozwał się gospodarz— nie przeczę, że niejaki Pawłowski nocował u mnie... czemuż nie mógł ujść, posłyszawszy wprzódy od nas, że dom otaczają? Któż go wiedział, kto był, a myśmy go nie pilnowali.

— Nie mógł ujść — bijąc pięścią w stół wołał

sprawnik. — Ja was wszystkich tu nauczę... Pójdziecie w kajdany! W Sybir... Buntownicy!... Rewidować dom... loch...

Otworzyły się drzwi do pokoju, który dzielił salon od mieszkania panny Celiny. Dziewczę powracając do siebie miało przytomność jeszcze dla złudzenia sprawnika, zwolna i cicho otworzyć okno...

Podsędek szczęściem to dostrzegł.

— Patrz-że pan — zawołał — oto dowód... Widzisz pan... Okno otwarte... To oczywista rzecz... Słysząc nadchodzących, wybiegł ze swojego pokoju, gdzie miał zamkniętą okiennicę i tędy się wymknął, nim rozstawiliście żołnierzy.

Szuwała stanął osłupiały z załamanemi rękami.

— Niech go jasne pioruny zatrzasną! — krzyknął. — Żołnierze, w ogród!... Przetrząść budynki... Ja z sekretarzem zrewiduję dom.

— A rewiduj... rewiduj! — rzekł rozgniewamy podsędek — niech i ciebie pioruny zatrzasną.

Milczący, widocznie zrozpaczony tem oknem otwartem, więcej z obowiązku niż w nadziei znalezienia czegoś Szuwała wstrząsnął drzwiami od pokoju kobiet.

Dwa krzyki: cioci i panny Celiny odpowiedziały na tę napaść.

Pułkownik zawstydził się, rzucił okiem, postrzegł kobiety w łóżkach... obaczył, że drzwi do dalszych pokoi niema, i mrucząc zawrócił się.

Obeszli tak cały dom... kazał się Szuwała sprowadzić do lochów... i wrócił blady, rozwścieczony, zły...

— Tych panów — rzekł — nim się rzeczy wyjaśnią, aresztuję wszystkich... pojedziecie ze mną... wyprowadzimy śledztwo... Jeżeli więzień ujdzie, któż za to odpokutuje?

Nikt mu na to nie odpowiedział.

— Pana Załowickiego związać — dodał Szuwała — on tu go przywiózł, wiedział co robił i kto on

był... czy kto kradnie czy przechowuje, wina jedna. Sybir czeka waćpana.

Załowicki blady jak trup, pół omdlały... stał z głową spuszczoną...

Sprawnik przed kilku godzinami dosyć grzeczny, jak na sprawnika, teraz się stał prawie dzikim...

Napawał się strachem swych więźniów, swoją potęgą i znęcał, urągając nad nimi. Teraz on tu był panem i władcą.

* * *

Jeśli wam przyjdzie mierzyć rozum człowieka, jego zdolności, naukę... mierzcie ją sobie czem wam się podoba, ale charakter i szlachetność niczem się ocenić nie dają, jednem tylko obejściem się z nieszczęśliwymi i słabszymi. Okrucieństwo, urągowisko, nadużycie siły względem słabych, a upodlenie przed mocniejszymi są najlepszą oznaką nikczemnego człowieka.

Takim się okazał pan pułkownik Szuwała w Radziszewie, a złość jego potęgowała jeszcze myśl, że mu się znowu nienawistny ów wróg wymknąć potrafił. Wiadomo, że za Mikołaja — ba i dzisiaj, złapanie lub poszlakowanie w czyimś domu zbiega, emisarjusza, emigranta, człowieka podejrzanego, wkłada taką winę na ukrywających go, jakiejby podlegał sam przestępca. Nie dość na tem, prawo moskiewskie nie wyłącza nikogo od obowiązku doniesienia rządowi i wydania przestępcy politycznego, choćby on był ojcem, synem, mężem, bratem.

Ojciec, który nie wydał syna, jest karanym za niego, dziecię co nie zdradzi rodziców, uważa się za winowajcę. Gdzie takie zasady w prawie publicznem strwożony despotyzm zapisał, tam się dziwować nie można powszechnej kraju demoralizacji i wszystkim podłościom, jakich się ci ludzie dopuszczają; tam nie istnieje rodzina, nie uniewinnia miłość, nie wiąże krew i wdzięczność. Car ponad wszystko! Nigdy w naro-

dzie chrześcijańskim dalej nie posunięto zaparcia nauki Chrystusowej... a te zasady znajdziecie w katechizmie o czci cesarza wszech Rosji.

Pułkownik, który był wychowańcem Mikołaja, żyzasadami temi, dla niego więc Radziszew poszlakowany o polityczne przestępstwo już był skazanym, a mieszkańcy jego... od tej chwili liczyli się za więźniów turemnych.

Był więc panem na skonfiskowanym już w myśli majątku... rozglądał się tylko, co przed konfiskatą miadla siebie wyłączyć.

Leżał na kanapie podparty... nie patrząc nawet nastojących przed nim, na pół odzianych panów podsędka, Załowickiego i Rabczyńskiego. Sekretarz przywołany stał czekając na rozkazy. Po chwili sprawnik siodezwał:

— Naprzód Załowickiego związanego weźmieswaćpan i odwieziesz do turmy... rozumiesz... Koni i bryczkę zabrać stąd... dwóch ludzi ze wsi na wartowników. W drodze żeby mi z nikim nie gadał. Odebramu pieniądze... obchodzić się jak najsurowiej. W pógodziny żebyście byli w drodze. Jeśliby uciekać zmierzał, pal mu w łeb.

Załowicki stał blady i drżący.

— Ale panie pułkowniku — rzekł głosem słabym

— Poszedł precz! nie gadać nic, wygadasz siprzed komisją.

Sekretarz i żandarm, stojący u drzwi porwali gi wypchnęli za próg, sami z nim idąc.

Szuwała spojrzał na Rabczyńskiego, który milczał.

— Żandarma! — zawołał — Drugi powiezie nosobnej bryczce tego jegomości... w godzinę późnieJa sam pojadę z gospodarzem.

— Gdzie waćpana papiery? — spytał.

— Jakie papiery? — odezwał się spokojnie podsędek.

— Wszystkie jakie masz.

— Szukaj ich sobie i bierz — mruknął stary, padając na krzesło — ja papierów prócz ekonomicznych i prawnych nie mam.

— Zobaczymy.

Rabczyńskiego pociągnięto w drugą stronę.

W saloniku został się Szuwała rozwalony na kanapie i pogrążony w myślach podsędek... który słowa nie mówił. Sprawnik sapał ale powoli zdawało się, że przychodzi nieco do siebie.

Przestraszone kobiety ubrały się tymczasem. Celinie doniosły sługi, że jednych wywożono, drugich wywozić miano, że ojciec także uwięziony jechał do Łucka. Blada, drżąca, ale nie tracąc ani odwagi, ani przytomności, weszła do salonu.

Sprawnik spostrzegłszy ją, nieco się zmięszał, wstał milczący.

— Panie pułkowniku, na miłość Boga — odezwała się podchodząca do niego Celina — co się stało, co się to dzieje. Co ci panowie zawinili? mój ojciec?

— Ojciec wasz, ci panowie — rzekł sprawnik szydersko — niby to pani nie wiesz?

— Ale ja nie wiem o niczem?

Pułkownik głową poruszył ironicznie.

— Mieliście państwo niebezpiecznego gościa w domu, który zbiegł... a wy za niego pokutować będziecie...

— Ale myśmy go nie znali? Nie wiedzieliśmy kto był!...

— To się okaże przy śledztwie — rzekł zimno Szuwała.

Celina spojrzała na ojca, który siedział przybity i jakby odrętwiały.

— Cóż winien mój ojciec? chciej się pan zastanowić. Podobnaż każdego, co przyjeżdża, pytać o paszporta? Możnaż z fizjognomji zgadnąć, co kto ma w sercu?

— Panie pułkowniku — odezwała się po chwili — ja ufam jego charakterowi, że mojego ojca nie obwinisz, ani go pociągniesz do odpowiedzialności.

— To nie odemnie zależy — rzekł pułkownik coraz chłodniej.

— Mój ojciec... się wytłumaczy.

— Zobaczymy.

Celina zbliżyła się do podsędka... oczy ich się spotkały, czy zrozumiał ją... niewiadomo, ale dał znak, aby wyszła.

Dziewczę wysunęło się powoli.

— Panie pułkowniku — odezwał się, wstając i zbliżając do niego, podsędek — mówmy otwarcie. Daję panu słowo honoru, że tego pana nie znałem, że go widziałem po raz pierwszy i nie wiedziałem kim był... Na co mnie pan masz gubić...

— Panowie się sami gubicie...

— Cóż panu z tego przyjdzie, jeśli mnie potępisz?...

— Co? siebie uniewinnię.

— Zdaje mi się, że za to mnie gubić nie potrzebujesz... Jeszcze raz, mówmy po ludzku.

Sprawnik z ukosa patrzył, ale nie protestował.

— Tysiąc rubli — szepnął podsędek.

Szuwała potrząsł głową.

— Półtora.

— Ja nie żyd, żebym się targował.

— Cóż każesz dać?

— Daj trzy... to cię oczyszczę...

— Nie mam ich gotowych...

— Słowo honoru.

— Półtora zaraz — rzekł, wyjmując pieniądze z kieszeni podsędek — półtora za tydzień.

Szuwała nie odpowiedział nic, ale pieniądze schował do kieszeni.

— Zachoruj i kładź się w łóżko — rzekł — zo-

stawię ci tylko żandarma... a każ mi konie dawać, ja jechać muszę.

Podsędek odetchnął... i gdy Celina weszła napowrót, wyczytała z jego twarzy, iż rzeczy stały lepiej.

Szuwała krzyczał tylko jeszcze głośniej, łajał, sprzeczał się pozornie z podsędkiem, który utrzymywał, że był chory, klął, tupał, ludzi rozpędzał i po kilku godzinach tej komedji, zostawiwszy żandarma w Radziszewie, sam jeszcze przedniem z kagańcem, wyjechał za więźniami do Łucka.

Podsędek błagał go za nimi, ale Szuwała ani słowa na to nie odpowiedział.

* * *

Noc to była pamiętna dla mieszkańców Radziszewa. Sprawnik jeszcze był na grobli, gdy Celina obawiająca się o więźnia swego w ciasnej kryjówce, z trwogą pobiegła klapę w kominie otworzyć.

Miała stoczek w ręku, okiennica była zasunięta, żandarm spał w przedpokoju podsędka. Nie miała czasu przyznać się przed ojcem. Z cicha usunąwszy klapę, podniosła stoczek i zajrzała w kryjówkę... ale na dnie jej nic widać nie było. Lękała się, aby biedny Paweł dla braku powietrza nie omdlał.

Ciasne schodki wiodły do tego loszku... nie słysząc głosu, nie dostrzegłszy więźnia... drżąca schodziła powoli, rozglądając się... ale tu nie było nikogo... Kiedy i jak uszedł stąd Paweł... przechodziło jej pojęcie.

Przez cały czas sprawnik siedział w pokoju obok... kręciło się pełno żandarmów stróżów, wieśniaków, sług... Nie mogła nawet pojąć, którędy uszedł... ale odetchnęła spokojniej prawie Bogu dziękując...

Obawiając się jeszcze, czy papierów jakich nie zostawił w swoim pokoju... pobiegła zobaczyć. Tu nowe ją czekało zdziwienie, sukni Pawła, jego rzeczy...

które uciekając zostawił, nie było. Widocznie tedy w czasie zamętu, jaki w domu panował, odważny i zręczny młody człowiek wymknął się ze swej kryjówki, potrafił dostać się do mieszkania, zebrać, co się dało pochwycić i uszedł, korzystając z ciemności nocy.

Trudności wykonania były tak wielkie, że Celina nie mogła sobie wytłumaczyć, jak tego potrafił dokazać. Potrzeba było obejść cały dom niemal, wśród żandarmów dostać się do tej izdebki, i oknem zapewne, bo to zostało otworem, uchodzić. Wszystko to dowodziło przytomności, odwagi, zręczności niepospolitej.

Nie potrzebowała więc ani tłumaczyć się przed ojcem, ani mu nawet mówić o tem. Podsędek, czując się w istocie znużonym i złamanym, kazał jej także odpocząć, wróciła więc do swego pokoiku... zamyślona, ale dziękując Bogu, że się jej przyczynić udało do ocalenia życia człowiekowi, dla którego czuła w sercu więcej niż przyjaźń i szacunek.

Przechodziła pokój dzielący salon od jej własnego, gdy na podłodze spostrzegła kawałek papieru... Prawie machinalnie go podniosła... a wpatrując się dostrzegła na nim, widocznie po ciemku ołówkiem, grubo, nakreślone słowa:

— Przebaczcie nieszczęśliwemu... niech wam będą dzięki... winienem wam życie... zedrzyjcie kartkę...

Celina żywo schowała ją za suknię... serce jej bić zaczęło, weszła do pokoiku i uklękła przed łóżkiem Bogu dziękować.

On był ocalony... ojciec o tyle spokojny o swój los, o ile nim być mógł w takiem położeniu... ale biedny Załowicki i jego towarzysz... Jakie ich czekały wyroki? Zapłakała, modląc się... biedna.

* * *

Kto próbował poleskich dróg jesienią, a lepiej jeszcze w wiosenne roztopy, ten może być pewnym, że go na świecie żadna podróż i żaden gościniec nie zdziwi i nie przestraszy. Drogi te nie wiele się różnią od wyschłych na pół łożysk potoków. Kamienie, dyle, korzenie, kałuże, przepaści, grzęzawice... znajdzie się tam wszystko, co tylko drogę czynić może nieprzebytą... a im ona jest bardziej uczęszczaną, tem gorszą. Koła głębokie ryjąc się, wyrzynają rówczaki, które woda rozrywa... a każdy wóz, unikając starych robi nowe, i w końcu gościniec ów zmienia się w niezgruntowane brózdy, między któremi sterczą bryły ziemi, gałęzie, chróst i połamane drągi, co niegdyś do ratowania z otchłani służyły. Taka grobla piekielna wiedzie zwykle do wysokiego, chwiejącego się, na palach cienkich wzniesionego mostku, pokrytego dylami nieprzytwierdzonemi najczęściej, tak, że koń, który stąpi na końcu, może ciężarem swym podważyć i wyrwać brewiono.

Wiele też z nich braknie... dziury je zastępują. Rumaki przeskakują te przeszkody, do których nawykły, i nie podnoszą uszów, aż przebywszy tę klawiaturę, której znają niebezpieczeństwa. Nie raz bowiem trafia się, że przyprzężkowy urwie się i na pale poleci. Niekiedy na starszych konie i bryczka się zapadają.

W gniewie naówczas podróżny, co się załamał, własnemi rękami most taki rozrzuca, a nieszczęśliwy potem następca musi jako tako łatać lub przez rów objeżdżać mostek...

Gościńce tego rodzaju pełne są niespodzianek, i nie dadzą pewno usnąć ani wędrowcowi ani woźnicy...

Podobną drogą wypadało powracać pułkownikowi Szuwale... Zbyt jednak ważne miał na głowie myśli, aby się przypatrywał... a prawdę rzekłszy, i nie czuł, co się z nim działo.

Bryczka latała, tłukła go, rzucała, zapadała w doły, przechylała się; był pewnym, że urzędnika pierwszego w powiecie wywrócić przecie nie mogą. Ale stało się co innego.

Na przedzie jadący z kagańcem człowiek, znający doskonale tak zwane objazdki, małe drożyny porobione wozami chłopskiemi dla uniknienia rozbitych grobel, poprowadził manowcami, piaskami, które po deszczu, stosunkowo jeszcze wcale nie złą były drogą. Wiodła ona przez las sosnowy, pełen wybojów, korzeni, pni... małych brodów nie grzęzkich. Czterema końmi w poręcz dosyć się było trudno wywinąć.

Na skręcie... woźnica nieuważny o pień zawadził osią, konie szarpnęły, oś pękła, koło spadło... i pierwszy urzędnik w powiecie leżał na ziemi jak najostatniejszy z czynowników. Złość jego nie znała granic, klął woźnicę, sługę... lajał, klął, obiecywał pałki, więzienie... knuty, Syberję, ale to wszystko razem osi naprawić nie było w stanie. Zrozpaczony przewodnik, któremu słusznie należna część kułaków i połajań się dostała, chcąc zapewne udobruchać wściekłego, zaproponował, że go zaprowadzi do bliskiej w lesie karczemki na Rudkach, gdzie miał też być i kowal cygan... coby mógł oś naprawić...

Zostawiwszy więc ludzi z bryczką połamaną w lesie, rad nie rad pułkownik pieszo wskazaną ścieżynką, mającą go wprost do parę wiorst odległej zaprowadzić karczemki... ruszył, przeklinając...

Noc bardzo powoli ustępowała pierwszym dnia brzaskom.. ledwie cokolwiek szarzeć zaczynało. Właściwie nie był to nawet poranek, ale na rozjaśnionem niebie jesiennem, wszedł księżyc w ostatniej kwadrze... on to mdłem światełkiem trochę pomrokę rozświecał.

Zadumany pułkownik, w zbłoconym płaszczu sam jeden szedł przez las... czekając rychło się li pokaże karczemka owa... obiecana.

Była to — jak sam przewodnik mówił — mała

budka pachciarza, na rozdrożu niedaleko od Rudek mazurskich... ale zawsze choć dach, pod którym się było można przytulić, wiązka siana lub słomy, i nadzieja znalezienia kowala. Szuwała w głowie już rachował, czy lepiej było posłać po nową bryczkę i czekać na nią, lub batogiem i grozą przyspieszyć spojenie złamanej osi.

Wszystko to zależało wszakże od tego, co miał znaleźć w owej karczemce... na małej drożynie bocznej, wśród lasu, niewiele mogąc się spodziewać. Na traktach niema gospód paradnych, cóż dopiero w takim zakącie!

I trzebaż było nieszczęścia, żeby tu go spotkał ten wypadek!

Jak zwykle, gdy się nie wiedzie, gniew urzędnika na pierwszą przyczynę tych wszystkich wypadków, na niegodziwego emisarjusza, coraz rósł i zwiększał się co chwila... — No! jeśli się dostanie w moje ręce... no! — wołał — dam mu się za wszystko we znaki.

Szedł z głową przepełnioną najdziwniejszemi pomysłami, między innemi zrobienia natychmiast w lasach obławy na zbiega, jak się czasem trafia na rekrutów i więźniów... gdy w półmroku, niedaleko ukazała się owa obiecana karczemka.

Sprawnik nie był pewny, czy ona czy inne jakie zabudowanie, gdyż wyglądała nadzwyczaj licho... ale zawsze było to mieszkanie ludzkie i w maleńkiem jego okienku już się nawet świeciło. Ludzie byli do dnia powstali. Z komina gęsty dym czarny się wznosił.

Wśród olbrzymich sosen, otoczona kołkami oprowadzonym ogródkiem małym... stała budowelka drewniana, pod słomą, szczupła... a dokoła niej jeszcze niższe chlewki i przybudówki. Nie była to karczemka zajezdna... bez szopy i wrót, widocznie składała się cała z mieszkania jednego... dwóch może izdebek i sieni dla kóz i kaczek... Sprawnik szukał już oczyma

osady, kowala... ale tego dokoła widać nie było. Strwożył się nieco, czy nie zabłądził... ale w każdym razie trzeba się było choć rozpytać.

Zastukał więc do drzwi, sądząc, że są zamknięte, a w stukaniu jego można było poznać najstarszego urzędnika w powiecie, walił w małe drzwiczki po pańsku, jak ktoś co ma prawo nie prosić, ale kazać sobie otworzyć. Wewnątrz powstał hałas i wrzawa, ktoś przybiegł do drzwi, i sprawnik ujrzał przed sobą wychudłego żyda w śmiertelnej koszuli, z obnażoną i rzemykami obwiązaną ręką, z przywiązanym na głowie przyborem modlitwy... który patrzał nań strwożony.

Chciał widocznie przybysza ofuknąć, ale wśród mroku ujrzawszy wysoką postać i mundur, strwożył się i zamilkł...

Sprawnik popchnąwszy go, wszedł do izby i na wysokim progu w nizkich drzwiach mocno się uderzył w uszak głową. Powiększyło to jego gniew jeszcze.

Izba karczemna, w której piecu i kominie razem właśnie rozpalono ogień, była mała, brudna, i nad wyraz nędzna. Stół ledwie ociosany, ławy pod ścianami, łóżko, kołyska, koza, różne sprzęty gospodarskie zajmowały ją prawie całą... trudno się było w niej obrócić. Dwie brudne żydówki z garnkami w rękach... i żyd, który wprowadził sprawnika, składali całą ludność.

Zaduch i woń cebuli, błota, smarowidła, starych kożuchów i czosnku... dusiła... Sprawnik porwał naprzód żyda za kołnierz...

— Ruszaj po kowala.

Żyd stał osłupiały. Rzadko mu się trafiło spotkać z urzędnikiem, nie pojmował ani tego obejścia się ani rozkazu. Zaczął krzyczeć, żydówki zaczęły mu na różne głosy wtórować, bachory w kołyskach, za piecem poprzebudzane rozkrzyczały się tak, że na chwilę nic słychać nie było oprócz wrzawy.

Sprawnik byłby dobył szabli, ale niestety, w pospiechu zostawił ją na złamanej bryczce.

Żyd ochłonąwszy, instyktowo zmiarkował, że osoba, która się tak porywała śmiało do niego, musiała mieć do tego prawo i siłę... spokorniał.

— Wiesz ty co sprawnik? — zakrzyczał Szuwała — ja cię nauczę! Ja cię do turmy wpakuję i zgnijesz w niej... Idź po kowala...

Żydówka podskoczyła.

— A! jaśnie panie, on nie może iść, kiedy z Panem Bogiem zaczął się modlić... ale ja idę... biegnę...

Pułkownik plunął, ruszając ramionami. Obejrzał się po izbie, nie było kąta, gdzieby mógł siąść i spocząć... ale widać było drzwi do alkierza, w którym na stole paliła się świeczka.

Pułkownik wszedł do niego.

Na tapczaniku narzuconym garścią słomy, obwinięty w płaszcz, odwrócony twarzą do ściany, spał jakiś podróżny... Sprawnik oburzył się, że ktoś śmiał odpoczywać, gdy on nie miał gdzie usiąść — uderzył nogą śpiącego.

Nie skutkowało to odrazu, podróżny poruszył się tylko i zdawał się czegoś pod płaszczem szukać rękami. Sprawnik zawołał po rusku:

— Nu... wstawać!

Na ten głos nakazujący, człowiek obwinięty w płaszcz ruszył się ale nieco leniwo, począł rozwijać się zwolna... wnet jednak poskoczył niespodzianie, odchylił płaszcz szeroki i nim pułkownik miał czas przyjść do przytomności i strachu zarazem, silną dłonią pochwycił go za gardło.

Szuwała przy bladem świetle łojowej świeczki poznał dopiero dawno niewidzianą, ale dobrze sobie pamiętną twarz i rysy Pawła Zeńczewskiego i jego ogniste oczy wlepione w siebie.

Emisarjusz jedną ręką trzymał go za szyję i cisnął, a drugą podniósłszy rewolwer, przyłożył mu do piersi.

Szarpnął się pułkownik ale napróżno, silniejsza

ręka trzymała go w żelaznym uścisku, a paszcza pistoletu dotykała munduru... bijące serce ją czuło... trwoga śmierci odbierała mu siłę. Nie miał broni... krzyknął o pomoc, ale wiedział dobrze, iż żydzi żadnej mu dać nie mogą. Gospodarz w śmiertelnej koszuli ukazał się wprawdzie w progu, ale podróżny krzyknął: Zamykaj drzwi, bo strzelę... niech nikt wchodzić nie śmie. — i drzwi w istocie piorunem się zamknęły, a cisza złowroga śmierci zapanowała w karczemce. Słychać tylko było stłumione głosy i szamotanie się.

Paweł trzymał ciągle wyrywającego się sprawnika i coraz silniej dusił za gardło... twarz pułkownika zsiniała, oczy wychodziły na wierzch.

— Człowiecze nikczemny, istoto podła niegodna imienia ludzkiego — wołał Paweł przerywanym głosem — poleć duszę, jeśli ją masz... szatanowi, któremu służyłeś za życia... bo cały i żyw stąd nie wynijdziesz... Prześladowałeś siostrę, zatrułeś jej życie i doprowadziłeś ją do grobu, znęcałeś się nad starym, bezbronnym ojcem moim... zniszczyłeś nas, ścigasz mnie... zasadzasz się na życie moje... ale sam Bóg dał cię tu bezbronnego na karę w ręce te, które okuć tak pragnąłeś... przyszła chwila sprawiedliwości wymiaru... zginiesz!

Mówiąc to, miotał nim przestraszonym jak dzieckiem, chcąc go obalić... Sprawnik oderwać się nie mógł i nie śmiał... wyrywał się napróżno... słabo, bo czuł, że rewolwer, który miał na piersiach, za najmniejszym ruchem mógł mu kulę posłać w serce... pochwycić go ręką nie śmiał, by śmierci nie przyspieszyć.

Na myśl mu tylko przyszło, że należało przedłużyć walkę jakimkolwiek kosztem, bo ludzie jego nadciągnąć mogli i położenie się zmienić, postanowił błagać ratunku.

— Pawle — zawołał — Pawle... zaklinam się... ja pełniłem i pełnię powinność moją, ja na nią przysiągłem, jam nie winien, daruj mi życie... puść mnie...

Ulituj się... nic ci nie zrobię... pójdziesz wolny... nie będę ścigał... daruj życie.

— Nie — krzyknął Paweł — nie, znam cię, nie wierzę... Gdybyś mnie przepuścił, będziesz innych ścigał i dręczył, dziki zwierz nie pozbywa się natury swojej... tyś do tego stworzony... Jeśli wierzysz w Boga... módl się... bo zginąć musisz... Mam sześć strzałów, a jeden z nich przeznaczony, żeby cię zgładził i oczyścił świat z potwory... Klęknij i módl się — podły.

Sprawnik upadł na kolana... modlitwa mogła go ocalić, ludzie nadciągnąć...

— Pawle, na cienie twej siostry cię zaklinam... przysięgam ci — porzucę ten kraj, służbę, wszystko. Co ci z tego przyjdzie, że mi życie odbierzesz? Ciebie będą potem szukać, ścigać, wezmą, pochwycą... ja cię puszczę... ja ułatwię ucieczkę... klnę się... na honor wojskowy... Pawle, na cienie twojego ojca...

Ale Paweł rozwścieklony jeszcze walką, puścić go nie chciał, rewolwer trzymał nad nim, choć ręka z gniewu i zmęczenia mu drgała... Szuwała poczuł, że nieprzyjaciel mięknie... podwoił modlitwy i prośby.

— Jeszcze raz, przysięgam ci, pójdziesz cały... daruj mi życie... Słowo żołnierskie... Pawle... tyś człowiek...

Paweł słuchał, wzgarda odmalowała się na dumnej jego twarzy; puścił go nareszcie popchnąwszy tak, że runął na podłogę... ale rewolwer trzymał jeszcze podniesiony.

— Nie chcę się plamić bezecną krwią twoją — zawołał, spuszczając broń — Żyj! zobaczę jak też spełnisz uroczystą przysięgę, co ci ocaliła życie. Ale pamiętaj! jeśli ludziom wmięszanym w sprawę moją włos spadnie z głowy... jeśli będziesz śmiał prześladować Radziszew... choćbym ja miał zginąć... znajdzie się ktoś... co ci łeb roztrzaska... nie ja to inny... pamiętaj!

Gdy się pułkownik zbierał podnieść z podłogi,

poglądając jeszcze nieufnym wzrokiem na Pawła... głuchy szmer doszedł jego uszów, poznał a raczej domyślił się swoich ludzi przybywających z bryczką złamaną... chodziło może o jedną minutę, ażeby emisarjusz był schwytany i zemsta dopełniona... przysięga go nie wstrzymywała... począł dziękować, ażeby mu jeszcze nie dać odejść, gdyż Paweł płaszczem się owijał.

Nie dosłyszał on gwaru, ale rzuciwszy okiem na wylękłego jeszcze, usiłującego podnieść się na nogi, nie mówiąc nic, porzucił go w alkierzu a sam nie puszczając z rąk rewolweru, wyszedł powoli, zatrzaskując drzwi za sobą.

Na progu tylko rzucił mu jedno słowo ostatnie — Pamiętaj!

Szuwała odetchnął, czując się ocalony jakby cudem, całe zuchwalstwo wróciło mu razem z gniewem, który z niego buchnął, niepohamowany; podszedł ku drzwiom, drżący przykładając do nich ucho, wyczekał aż się Paweł kilka kroków oddali, potem dosłyszawszy wołanie Wańki, który wchodził do karczmy, owładnięty wściekłością, wypadł z alkierza krzycząc:

— Łapaj! łapajcie!

Jeszcze drugi raz nie powtórzył tego wyrazu, gdy z mroku błysnął strzał, i Szuwała trafiony w ramię, zachwiał się i padł zbroczony krwią we drzwiach, nagląc na ludzi... łapajcie go!

Ale Paweł z rewolwerem w ręku nieulękniony przeszedł zwolna wśród ludzi przestraszonych... i nim się ośmielili targnąć na niego, znikł wśród lasu.

* * *

Następstwa tych wypadków wkrótce aż nadto głośnemi stały się w całym powiecie. Sprawnika zawieziono do Łucka, a sztafetą raporta posłano do Kijowa i Żytomierza. Zjechała natychmiast wyznaczona komisja, pułkownik żandarmów, audytor wojenny i t.

d.; przysłano z Dubna oddział piechoty w pomoc policji i inwalidom, nakazano w części leśnej powiatu ogólne obławy... trwoga opanowała mieszkańców.

Szuwała był tylko lekko ranionym; zdobył on sobie w ten sposób nową dekorację, której tak pragnął, i pieniężne wynagrodzenie, a wprędce wylizawszy się z rany, z podwójną gorliwością i zaciętością, choć rękę jeszcze nosił na bandażu, wyjechał znowu w powiat ścigać emisarjusza. Napróżno rozważniejsi ludzie mu przedstawiali, że on nie mógł już dłużej ukrywać się w tym powiecie, w którym go tak poszukiwano, że musiał od dawna przejść w pińskie lub kowelskie lasy, lub przez wspólników został wywieziony za granicę austrjacką nie zbyt odległą, a do przejścia dosyć łatwą. Szuwała opierał się przy niezmordowanym tropieniu nieprzyjaciela, tłumacząc jakiemś przeczuciem, że go pochwycić musi.

Rana sowicie opłacona zdawała się go zresztą uwalniać od wszelkich dawnych zobowiązań, bo i podsędka, mimo danej obietnicy, kazał przywieźć do miasteczka, i mnóstwo innych osób zamieszał do śledztwa pod różnemi pozorami.

Była to zbyt smaczna i łakoma gratka, ażeby jej zręczny czynownik nie zużytkował o ile się dała. Więzienia zapełniły się duchownymi, cywilnemi, szlachtą, żydami, osadnikami zamieszkałymi po lasach... w klasztorach pozabierano cele dla kobiet, bo i te od śledztwa nie były wolne.

Komisje na gruncie, zjazdy, dochodzenia, protokoły, rewizje nie miały końca. Pijana policja ziemska od dworu do dworu jeździła odzierać.

Ale mimo tych obław, poszukiwań, straży, naznaczonej przez rząd nagrody pieniężnej, najmniejszego śladu emisarjusza od jego ucieczki z karczemki wytropić nie było podobna — jak w wodę wpadł.

Podsędek Jagłowski, którego mimo zaręczeń sprawnika przywieziono do Łucka i pod strażą, jako

chorego, umieszczono tymczasowo w lazarecie wojskowym, siedział już w nim od dwóch tygodni. Córki jego i cioci Izabelli nie wzięto dotąd, ale i im przyjemnej tej udzielono wiadomości, że się do śledztwa stawić będą musiały.

Panna Celina uprzedzając to wezwanie urzędowe, w celu starania się o uwolnienie ojca i postawienia sprawy jego na dobrej stopie — zdała gospodarstwo na ekonomów, a sama, zebrawszy pieniędzy ile tylko mogła — przybyła do miasteczka. Z wielkim kłopotem, zabiegami, i za niemałą każdorazową opłatą, doszła do tego, że mogła przynajmniej wieczorami ojca widywać.

Mimo dosyć niebezpiecznego położenia, gdyż Jagłowski wiedział z góry, że w najszczęśliwszym razie mógł się spodziewać wygnania w głąb Rosji, ani on ani córka nie stracili męstwa. Jagłowski ubolewał, że nie miał z kim grać w wista. Celina zdawała się dopiero wśród tych przeciwności nabywać hartu i ochoty do życia... On obojętnym był, żartował sobie ze wszystkiego, a może czynił to, aby kochanemu dziecięciu dodać siły i odwagi, a skryć niepokój wewnętrzny. Oboje cieszyli się tem, że nieszczęśliwego skazanego nie pochwycono. Jagłowski więcej nad wszystko narzekał na zdzierstwo urzędników i stratę pieniężną, która była bardzo znaczna. W takich razach chciwość moskiewska nie zna miary. Wiedzą oni, że przy bezprawiu ogólnem, każdy z nich trzyma życie i losy obwinionego w ręku, targują się więc o nie z cynizmem katów bez serca. Uniewinniony wychodzi z życiem wprawdzie, ale odarty do koszuli. Podsędek mówiąc o tem, zwykł był dodawać:

— Ale niechby ich tam djabli brali, żebym przynajmniej miał z kim zagrać w wista wieczorem. Kabała mnie już znudziła.

Celina, ażeby być bliżej wojskowego lazaretu, w którym siedział ojciec, najęła sobie mieszkanie na

przedmieściu w małym dworku, którego jedną stronę zajmowała ona z ciotką, drugą właściciel, stary mieszczanin łucki, garbarz Maślanka.

Jesień już była bardzo późna, małe przymrozki z rana oznajmywały nadchodzącą tuż tuż zimę, pożądaną dla mieszkańców na wszelki sposób, bo ulice miała osuszyć i dowóz żywności uczynić łatwiejszym.

Panna Celina siedziała raz wieczorem z książką przy stoliczku, bo to był dzień, w którym do ojca pójść nie mogła, gdy do drzwi zapukano z lekka. Wkrótce potem wszedł ostrożnie, powoli oglądając się chłop w siermiędze, którego zrazu wzięła za posłańca z Radziszewa. Podeszła ku niemu, ale jakież było jej zadziwienie i trwoga razem, gdy wpatrując się w oniemiałego dotąd człowieka, poznała w nim... tak dobrze zachowane w pamięci rysy nieszczęśliwego emisarjusza.

Stał przed nią milczący, pomieszany, patrząc błagająco w oczy. W pierwszym momencie zabrakło jej wyrazu, usta zadrgały, załamała ręce, cofając się.

— Pan tutaj! tu! gdzie cię ścigają i szukają... kiedy cenę naznaczono na twoją głowę... O mój Boże! mój Boże! a jam się pocieszała już tą nadzieją, że im uszedłeś, że jesteś bezpieczny — za granicą...

Paweł westchnął.

— Pani droga — rzekł cicho, spuszczając oczy jak winowajca — byłbym może mógł wydobyć się z tej niewoli, ale obowiązek, który wziąłem na siebie, nie dopuszczał... posłannictwo niespełnione... drudzy są w większem odemnie niebezpieczeństwie i czekają pomocy. Musiałem zostać, aby innych ostrzedz, ocalić, ratować i sprawie świętej służyć. Życie moje oddawna złożyłem jej na ofiarę... zginę to zginę...

Celina z wyrazem błagania i najgorętszego współczucia pochwyciła go za rękę, ale Paweł uśmiechając się jakby zawstydzony usunął ją.

— A! pani — niewarta dłoń moja, żebyś jej dotknęła... zbrukana i namulona od pracy... ręka chłop-

ska. Mogliby po niej mnie poznać, gdybym miał białą i miększą.

— Ale jabym ją ucałowała — przerwała z ogniem Celina — bo ta ręka święta... prawdziwego męczennika dla ojczyzny.

Paweł się obruszył.

— A! panno Celino — zawołał — nie godzi się tak ludziom głów zawracać. Jam jeszcze nie dokonał nic... wstydzę się, żem cierpiał za mało. A gdyby spełnienie obowiązku potrzebowało nagrody, wyrazy twe zapłaciłyby nawet śmierć męczeńską.

Celina się zapłoniła.

— Wyraz z ust moich — dodała tęskno i cicho — cóż dla was wart wyraz tych ust... uczucie tego serca i prośba gorąca... wszak błagam was napróżno, nie narażajcie się więcej — uchodźcie.

— O pani! — zawołał Paweł — sama byś mną pogardziła, gdybym to uczynił. Nie wartbym był twojego współczucia. Przecież wyraz ten musi być najmilszym, najdroższym... kiedym tu się aż przedarł, aby go usłyszeć.

Ostatnie słowo wyszeptał cicho.

Celinie oczy zaszły łzami, zmieszała się bardziej jeszcze, zarumieniła, ale wprędce znów uderzyło serce i pochwyciła namuloną rękę Pawła.

— Panie! dla mnie... ocal się... błagam. Ciebie szukają, znają... nie możesz nic zrobić. Słuchaj — mnie nikt nie posądzi, jam kobieta, a przysięgam ci: pojadę, spełnię, oddam... zrobię co mi każesz... Pozwól mi się wyręczyć, będę szczęśliwą... podwójnie... Nic mi się nie stanie, będę ostrożną, przebiegłą, zobaczysz! oszukam ich... zdobędę się na siłę, męczarnią nie wymogą ze mnie słowa. Proszę cię... nie gub mnie, gubiąc siebie.

To mówiąc, zakryła oczy.

— Celino! pani — zawołał Paweł, padając na kolana... klęczę, aby ci podziękować za heroizm twój

i za słowo, które mi dało jedyną w życiu szczęścia chwilę. Uczyniłbym co każesz, gdybym mógł i nie był związany przysięgą, słowem, zaufaniem współbraci... Któż wie? Bogu się może podobać ocalić mnie, abym ci służył wiecznie, a jeśli mi przeznaczono zginąć, zachowasz ty jedna pamięć nieznanego ofiarnika. Raz jeszcze, przed tą czarną przepaścią, która kryje moją przyszłość, chciałem cię widzieć, i wyznać ci jak na spowiedzi, żeś mnie oczarowała... żem dla ciebie o mało nie osłabł w służbie ojczyzny... żem cię kochał i wielbił, i że po zgonie duch mój zostanie przy tobie.

Celina się rozpłakała... zamilkli.

— Nie, mój Pawle — rzekła drżącym głosem po chwili, ocierając łzy — Bóg nie jest okrutnym... ty musisz być ocalonym, boś na to zasłużył swoją ofiarą. Ja to czuję... ja chcę... zobaczymy się wolni, znajdziemy się, by sobie podać ręce na resztę żywota.

To mówiąc, podała mu dłoń, Paweł gorące do niej przyłożył usta... Celina się schyliła.

W tem ciocia Izabella ze Złotym Ołtarzykiem w ręku, z okularami na nosie, usłyszawszy szmer w pierwszym pokoju... wyszła na palcach wyjrzeć co się tam działo. I zdrętwiała spostrzegłszy chłopa... prostego chłopa w kożuchu i siermiędze..., który całował rękę Celiny. Toby nic jeszcze nie było, ale może przez te okulary fałszywe — czy ze strachu — przywidziało się biednej cioci, że się zbliżyły ich twarze i usta... że ów chłop śmiał pocałować pannę podsędkównę.

Na widok takiej grozy, cioci Izabelli Złoty Ołtarzyk wypadł z rąk drżących, okulary stoczyły się na ziemię, druzgocąc się w drobne kawałki... krzyknęła i byłaby niezawodnie zemdlała, ale szczęściem kanapy blisko nie było, nie było krzesełka, na któreby upaść mogła... oparła się tylko o uszak wołając:

— O... na rany Chrystusowe!

Krzyk ten piskliwy mógł wszystkie sługi zwołać z całego domu, ściągnąć mieszkańców... Celina z przestrachem dała znak Pawłowi, aby uchodził, a sama pobiegła co prędzej do ciotki, chwyciwszy wódkę kolońską.

— Na miłość Boga, ciociu, jeśli ci moje życie miłe... nie mów coś widziała! zaklinam... milcz! Tu nie było nikogo! nikogo!

Wkrótce po Celinie nadbiegły z garderoby dwie służące, ale panna im szybko wytłumaczyła, że ciocia, idąc przez ciemny pokój, uderzyła się w chorą nogę (tak przez eufemią nazywały się cioci nagniotki).

W ten sposób wszystko się rychło w domu uspokoiło... sługi odeszły, panna Izabella usiadła na kanapie... a Cesia z wódką kolońską, bobrową essencją i laurowemi kroplami około niej się krzątała. Nad wszystkie jednak te medykamenta lepiejby poskutkowało odkrycie strasznej tajemnicy, której powierzyć cioci nie było podobna. Ciocia najlepsza osoba w świecie, obawiała się wszystkiego i nie umiała utrzymać sekretu ani chwili.

— Ale cóż to było? co to było, moja najdroższa... zlituj się, powiedz mi, uspokój mnie. Na moje oczy widziałam, jak zbliżyłaś tak usta do jego twarzy. Któż to mógł być, coby miał prawo, coby śmiał... Cesiu! to coś okropnego... wyznaj mi wszystko, ja nie powiem nikomu... Chłop! jużciż to nie mógł być prawdziwy chłop.

— Ciociu kochana uspokój się, nie mogę ci wyjawić tajemnicy, która nie jest moją — odpowiedziała Celina — ale mogę ci poprzysiądz, że ten jeden lub nikt mieć będzie rękę moją, bo ma serce moje.

Panna Izabella załamała ręce.

— Jezu Chryste! na rany Pańskie! co ja słyszę! To wygląda jak romans francuski... to do niczego nie-

podobne... intryga... sukmana... w głowie mi się nie może pomieścić... I ty — Cesiu...

— Ciociu! nie pytaj o nic, a wierz mi, przerwała Celina — nie pytaj, bo mnie zgubisz, i nie posądzaj o złe, bom czysta i niewinna.

— Ale ojciec, ojciec w więzieniu, a ty...

Cesia, wzdychając, oczy spuściła.

— Tak, w tem jest wina — rzekła — ale nie stało się z woli mojej. Nie mogę ci dziś odkryć tej tajemnicy... kiedyś się dowiesz o wszystkiem i uniewinnisz mnie.

Panna Izabella umilkła... ale pierwszą modlitwę, którą odmówiła pod wrażeniem tego wypadku, była koronka do Przemienienia Pańskiego.

* * *

Nazajutrz o szarej wieczornej godzinie sprawnik Szuwała powróciwszy z obiadu, który dawali dla niego dobrzy koledzy, winszując mu Włodzimierza na szyję, położył się był spocząć. Wino szampańskie, które zbytnio lubił, zawsze go czyniło sennym. Wańka miał ogólne, wiekuiste, raz na zawsze sobie udzielone rozporządzenie, ażeby w czasie snu pańskiego nie dopuszczać nikogo.

Teraz jak zwykle w podobnych wypadkach siedział na czatach w przedpokoju i rozrywał nudy czytaniem jednej z tych książeczek drzeworytami przyozdobionych, które stanowią jedyną moskiewską literaturę oryginalną... zwaną króbkową, bo ją po kraju w łubianych króbkach kramarze roznoszą.

Wiadomo, że szacowne te dla ludu powiastki, z podań jego zaczerpnięte, nawet drukowanemi nie są, ale ksylografowanemi, to jest wyrzynanemi na drzewie, jak najrzadsze stare druki nieruchome... Cała klasa rzemieślników z prapradziadów zajmuje się nieforemnem tem rzezaniem drzeworytów i książeczek, i odciskaniem ich na najtańszej bibule,

jaką sobie przysposobić może. Przez długi czas literatura ta, jakkolwiek lojalna bardzo, ale mogąca mieć wybryki niespodziane, uchodziła baczności cenzury, która jej nie kontrolowała... opatrzono się potem, że tam często mowa o carach i carewiczach... i że należy wejrzeć, jak się to tam dzieje. Poddano więc wszechmocnemu komitetowi i króbkową literaturę.

Wańka czytał właśnie o olbrzymie Obrze i o siedmiu carewiczach, którzy się z kolei wybierali przeciwko niemu, gdy wśród najbardziej zajmującego sylabizowania... otworzyły się drzwi z nieobyczajnym łoskotem, pozwalającym się domyślać rangi pułkownikowskiej, (gdyż każdy c z y n (ranga) inaczej drzwi otwiera) — i ukazała się twarz Pratulca, zarumieniona — niewiadomo, od wódki mocnej, czy od ostrego wiatru, czy od mocnej wódki z wiatrem ostrym. Schrypły nieco głos spytał:

— Jest pan w domu?

— Jest, ale odpoczywa — rzekł cicho Wańka, przykładem swym ucząc gościa, aby szanował sen sprawiedliwego.

— Odpoczywa! To nic!

Pratulec chciał wprost iść już, ale Wańka go powstrzymał, szeroką piersią broniąc drogiego spoczynku swego pana.

— Przepraszam jaśnie pana (właściwie po rusku wysoko urodzonego)... ale kiedy nie można to niemożna.

— Kochanku, głupi jesteś — odpowiedział powolnie Pratulec. — Niemożna, jeźli kto przyjdzie z pustą sprawą, nie mając co robić, ale ja mam ważne dzieło.

— Ale pan mnie potem wybije!

— Gdyby i wybił — kiedy dzieło ważne! rządowe... carskie... A ja ci ręcze, że nic nie będzie — puszczaj.

Wańka między carem a sprawnikiem wahał się

jeszcze, gdyż car był daleki, a sprawnik za drzwiami, gdy z drugiego pokoju dał się słyszeć rozespany głos chrapliwy Szuwały.

Stoś diabłów... zjadł! Wańka, kogo tam już licho niesie, żebym tylko zadrzemał.

— Mnie, mnie — zawołał odpychając sługę Pratulec — ale mylisz się, bo nie diabli niosą.

Przyjaciel wszedł bez ceremonji. Szuwała leżał jeszcze na kanapie, na poduszce skórzanej, i oczy zaspane przecierał.

— Wańka — zakrzyczał żywo nie witając — powiedz pannie Karolinie, żeby nam zrobiła ponczu... ale morskiego, jak to ona umie.

— No, no! ja do ciebie nie na poncz przyszedłem — ozwał się siadając przyjaciel — ja tu przybyłem z ważnem dziełem.

Szuwała ziewał jeszcze.

— Co... Co za ważne dzieło? Chcesz już kogoś z Olszowa obedrzeć? hę?

— Nie... zobaczysz — rzekł Pratulec — ale najprzód pogadajmy po ludzku... ręka rękę myje...

Sprawnik spojrzał.

— Jeśli mnie się uda tobie tego łajdaka Pawła Zeńczewskiego dać w ręce... co za tę sztukę?

Tak zagadnięty popatrzył niedowierzająco.

— Już go mnie tak dawali nieraz... ale ba! on dawno umknął stąd... musi być za granicą...

— A co mi dasz? — powtarzał Protulec.

— Co ja ci mam dać? za co?

— No, po sprawiedliwości... ty znowu dostaniesz albo krzyż, albo rangę, albo pieniądze... a cóż ja?

— Co ja ci mam dać? przedstawię cię do nagrody jak denuncjanta... Ale to nie może być.

Protulec ręce schował w kieszenie.

— To swoją drogą co rząd zapłaci — rzekł — a od ciebie też ją muszę wziąć... nie może być inaczej. Ty wiesz, że ja jestem twoim przyjacielem, ale darmo

nie dam. Mnie wszystko jedno, czy go ty weźmiesz sam, czy ucząstkowy asesor. Pojadę do asesora i weźmiemy go we dwóch, a on mi niezawodnie zapłaci.

— No, to bierz licho! gdzież on jest?

— Gdzie? mądryś! mów co dasz — rzekł śmiejąc się Pratulec — przyjaźń dobra rzecz, ale ani z pokłonu szyby nie uszyjesz, ani z pocałunków.

— Cóż ci mam dać? żydzie ty! — zawołał sprawnik.

— Żydzie! mniejsza i o to... bośmy przyjaciele... Ależ przecie wziąłeś bułanego rysaka od policmajstra, żeby go nie gubić.

To ci się go chce mi odebrać?

— Nie, nie koniecznie... a mnie co po jednym rysaku.

— Nie dosyć ci tego! No, jak nie mam mówić, żeś żyd... wstydziłbyś się.

— Czego się mam wstydzić? ja ci daję daleko więcej, niż ty mi dać możesz.

— No mówże czego chcesz... a nie męcz już dłużej! — krzyknął niecierpliwiąc się Szuwała — mów, tyś już tu z namydloną rzeczą przybył.

— A pewnie — odparł spokojnie Pratulec. — Myślisz, że ja koło tego nie chodziłem, nie deptałem... nie namęczyłem się, tydzień już siedząc w Olszowie.

— A no! masz! to on w Olszowie... wezmę go i bez ciebie — rozśmiał się sprawnik.

— To bierz — zimno rzekł Pratulec, wstając z krzesła — dobrze... ja więcej nie powiem nic.

— E! ty! niedobry! — łagodniej ozwał się Szuwała, podając mu rękę — czy to my nie stare druhy... Na... ręka... dam co chcesz, jeśli zmogę.

— Ja nie chcę wiele... parę karych koni... pieniędzy nie żądam...

— Zmiłuj się... moje najlepsze...

— Albobym ich chciał, gdyby złe były! — za-

śmiał się Pratulec, zacierając ręce — ho! ho! dobry interes i dobre konie.

— No... dam, dam... abym go wziął.

— Słowo?

— Słowo... ścisnęli sobie ręce.

Panna Karolina wychrzczona żydówka, rodem z Ołyki, wniosła uśmiechając się poncz na tacy. Była to gospodyni pułkownika, osoba żywa z oczkami czarnemi, wcale piękna, nadzwyczaj śmiała i ostatecznie... zalotna... nie mówiąc więcej, bo nie można. W mieście na żart przezywano ja pułkownikową i sprawnikową, a ona serjo może spodziewała się, że nią kiedyś zostanie.

Wedle zwyczaju spodziewała się przywitania żarcikami... grzecznostkami, ale Szuwała kazał poncz postawić i precіuchno się jej pozbył. Wyszła markotna— a gdyby była przeczuła, że kare konie któremi czasem jeździła — odebrać jej miano!

Szuwała drzwi zamknął.

— Mówże — natarczywie odezwał się do przyjaciela — ten niepoczciwy człowiek wiele mnie już krwi i potu kosztuje, niech się pocieszę, gdy na szubienicę pójdzie albo pod knuty!

— Słuchaj — odpowiedział wolno, poncz gorący popijajac Pratulec — nieomyliłeś się domyślajac, że jest w Olszowie, ale i tak byś go bezemnie nie dobył... Prawdę rzekłszy... djabeł by zgadł, że się ten zuchwalec śmie ukrywać tuż pod miasteczkiem powiatowem, we wsi, gdzie ojciec jego mieszkał, gdzie go wszyscy znają... pod bokiem ziemskiej policji. No! sprytne licho.

Wiesz, że ja mam część w Olszowie... znam ich tam panów i chłopów do nogi od dawna... wszystkich... Mój dzierżawca począł mi figle płatać, rachunki podawać... pojechałem żeby go wyrzucić won, bo kontraktu nie ma... No i jam nie głupi a ostrożny... wiedziałem, że tak będzie skończyć potrzeba...

Jeszcze mi groził skargą! e! tego już nadto... tak ja go precz z dziećmi, i bebechami. Kazałem na ulicę wytaszczyć... Skarż teraz!

Jak dzierżawcy nie stało, trzeba było przecie jakiś ład zrobić w Olszowie, bo już o drugiego posesora nie będzie łatwo; musiałem zostać na gruncie. — Nudy cesarskie!! Nie mając co robić popoznawałem się jeszcze bliżej z chłopami, z popami, z arendarzami — na wsi! nie ma rady!

Chłopy między sobą się kłócą i zajadają, jeden na drugiego do mnie skarży, bo wiedzą, że ja z policją jedna ręka.

Jednego wieczora przychodzi do mnie pop. Ty wiesz, że ja ryzy i kosy nie lubię — bo to naród paskudny — ale co robić — ojciec duchowny, choć szelma to się go w rękę całuje. Piłem herbatę, wlazł na próg, musiałem prosić — nalałem mu rumu... a prawdę powiedziawszy prostej wódki. Rozgadał się popina jakby worek rozwiązał... Wie, że ja z błahoczynnym i z protojerejem jak najlepiej. — Nareszcie za drugą szklanką całując już mnie w rękę powiada na ucho, że we wsi zbiegły rekrut pewnie się przechowuje, że go jakiś chłop u siebie trzyma, że można by z tego co pociągnąć, a broń Boże potem dojdą, wszystkim bieda. Nacisnąłem go, powiedział mi gdzie... jak... Dobrze... Nazajutrz ja na zwiady, formalne śledztwo, ale sekretne, nastraszyłem chłopów... aż mi jeden się przyznał, że u sąsiada jego jest jakiś człek, niby parobek, który mu w polu robi, nigdzie się nie pokazuje, a w loszku u niego sypia...

Trafiwszy na ten trop... jakiem ich zaczął macać — doszedłem kto on taki.

— Ba! ba! Któż ci powiedział, że to on! To prosty domysł... może prosty rekrut...

— A ja ci mówię, że on — rzek Pratulec — co ci do tego, to mi koni nie dasz... Jeszcze kiedy stary Zeńczewski ich ojciec tam gospodarzył, byli zawsze

ze wszystkimi chłopami jak najlepiej. — Pewnie sami z chłopów pochodzą, bo żyli z nimi, leczyli, karmili, dzielili się ostatnim chleba kawałkiem — to też cała wioska za nich dałaby się zamęczyć... i ja bym się nie dowiedział od żadnego nic, gdyby nie obcy przyjmak z drugiej wioski. Oni by go nigdy nie wydali...

Sprawnik stał zadumany.

No, pewnie? pewnie? — zapytał jeszcze.

— Przekonasz się... ale czasu nie można tracić... Dzisiejszej nocy pojedziemy z żandarmami... i weźmiemy jak lisa w jamie. Nocuje w loszku... jedne drzwi do niego, dziura mała... szyja od lochu wąska, nie wylazłby i kot tamtędy... Zresztą obstawiwszy do koła...

Szuwała drżał cały i uśmiechał się z szatańska złością.

— No! nareszcie! — zawołał, ściskając przyjaciela i wychylając ponczu szklankę... E! nie żałuję pary wronych... jeśli mi się w ręce dostanie i ty głupi, gdybyś był chciał, dałbym cztery konie i kocz i uprząż i trzysta rubli za tego człowieka...

Pratulec ramionami ruszył...

— No! głupi! — rzekł — to prawda, ale przyjaciel...

Sprawnik zadzwonił żywo...

— Hej! sekretarza!

W tej chwili stawił się powołany troszkę pijany, ale mogący jeszcze ustać na nogach... Szuwała popatrzył nań.

— Tyś pijany!

— Uchowaj Boże...

— Ej! ej! Stefanie Mikityczu... znowu... w czasie służbowym.

— Uchowaj Boże! — wołał Stefan Mikiticz, ale co słowo dostawał czkawki.

— Tyś do niczego!

— Uchowaj Boże... ja brałem lekarstwo...

— Tak! a tu potrzeba jechać w powiat...

— Ja gotów...

— Żeby mi wszystko było gotowe... czterech żandarmów, czterech z inwalidnej komendy co najlepszych... bryczki, konie... i żeby żywa dusza nic nie wiedziała...

— Słucham pułkownika...

— Żebyś był trzeźwy jak cię matka narodziła...

— Słucham pułkownika...

— Ludzi jeszcze ze dwóch ze straży nie zawadzi? — Spojrzał na Pratulca, który głową dał znak potwierdzający. — Z turmy wziąć parę kajdanków.. i powrozy... Kto wie... może się i to przyda .

— Słucham...

— O mroku żeby było wszystko gotowe...

— A o północku w drogę — dodał Pratulec... nie prędzej...

— O północku...

— Masz czas! żebyś mi był trzeźwy! — dodał pułkownik groźno...

Sekretarz wyszedł ze czkawką, a dwaj przyjaciele zapili ponczem nadzieję.

* * *

Noc już była zimowa, chłodna; jesień nagle przeszła w mroźną porę, drobny śnieżek prószył niekiedy i pobielał zamarzającą grudę; ziemia przesiąkła długimi deszczami krzepła i tężała od północnego wiatru... niebo od wieczora okrywało się gęstemi chmurami śnieżnemi. W małej wioszczynie wedle obyczaju wiejskiego, światła były pogaszone prawie wszędzie, w niewielu się okienkach świeciło, bo ludzie wolą wstawać na doświtki zimą, niż długo wieczornice przeciągać. W karczmie tylko i kilku dworkach czerwonawo błyskały szyby zakopcone.

Wyprawa na nieszczęśliwego emisarjusza przedsięwzięta została ze wszelkiemi możliwemi ostrożno-

ściami, aby go nie wypuścić i nie spłoszyć znowu. Przed wsią pozostawiono bryczki, ludzie pod komendą znającego miejscowość manowcami nad Styrem wysłani zostali dla osaczenia chaty i lochu. Sam sprawnik opatrzony w pistolety i szablę w towarzystwie żandarmów cicho i ostrożnie wkradał się pod chatami... Szable nieśli w rękach, aby nie szczękały... Pratulec obwinięty ciepło towarzyszył przyjacielowi.

We wsi, oprócz psów czujnych, które się pobudziły i obcych poczuwszy naszczekiwały — żywego głosu słychać nie było. Pochód zwolna szedł, milczący... nareszcie Pratulec ukazał Szuwale ową chatę, okoloną bzami i osłoniętą szkieletem starej gruszy. Oczy przywykłszy do ciemności rozpoznały, że żołnierze przodem wyprawieni już po cichu stanowiska swe zajmowali. Stali oni gęsto w podwórku z bronią nabitą — zachowując jaknajgłębsze milczenie. Nie bez bicia serca pułkownik wszedł w bramkę otwartą, i rozporządziwszy żołnierzami, kazał do chaty zastukać. Światła już w niej nie było. Na hałas u drzwi wyszła nie rychło kobieta w narzuconym na ramiona kożuchu.

Kazano wyjść gospodarzowi, ale go w domu nie było — okazało się, że u asesora w Torczynie stał na tak zwanej stójce — tygodniowej posłudze z kolei odbywanej przez wszystkie wioski, nad którą cięższej pańszczyzny wystawić sobie trudno. Baba wystraszona postrzegłszy w mroku ludzi tyle — drżała mówić nie mogąc i płakała. Ale poza nią wkrótce ukazał się parobek, którego zaraz pochwycili na znak sprawnika żołnierze.

Ściśnięto go, aby prowadził sam do lochu, gdzie się zbieg miał przechowywać.

Parobczak zaklinał się, że o niczem nie wie, zaczynano go już bić kolbami, a sprawnik mordował go pięścią, gdy Pratulec zwrócił uwagę, że darmo czas tracą, bo loszek tuż... widoczny.

Żandarmi już do niego drzwi łamali... jeden z nich

zapaloną na prędce niósł latarnię w ręku... W głębi loszku nic słychać nie było. Ale gdy tarcice pękły i drzwi padły a wnijście się otwarło, świsnęła kula i obaliła pierwszego, który na próg nogę stawił. Drugi żandarm widząc to cofnął się. Pratulec stojący z boku uciekł za węgieł. Pułkownik skrył się za gruszę... ale począł krzyczeć i łajać ludzi, ażeby szli i zbiega żywcem lub trupem brali...

Nikt się jednak nie odważył postąpić, ranny żandarm leżał na ziemi i jękiem przypominał grożące niebezpieczeństwo. Naprożno Szuwała się wściekał, groził, łajał — ludzie jego podchodzili ku drzwiom z boku... a na najmniejszy szelest cofali się z trwogą. Chwila tej niepewności, trwała dosyć długo, i Szuwała poczynał się lękać, aby korzystając z ciemnej nocy i popłochu więzień nie uciekł przebojem. Pratulec wpadł na myśl odkomenderowania kilku żołnierzy z karabinami, aby przez szyję lochu, z tarcic zrobioną i nieco wystającą nad ziemię, dali wewnątrz ognia... drugich porostawiał u drzwi. Był to środek na los obrany w braku lepszego, bo oni wielkości tej kryjówki, ani kierunku szyi nikt nie znał... więzień od strzałów mógł się w kąt ukryć. Nieszczęście jednak chciało, żeby się to okazało nadspodziewanie skutecznem.. po wystrzale sześciu karabinów... krzyki i jęk krótki, urwany, słyszeć się dał z głębi... potem nagle wszystko ucichło.

Gdy po upływie półkwadransa nic więcej słychać nie było, najśmielszy z żandarmów, zagrzany nagrodą obiecaną dziesieciu rubli — z pistoletem i latarnią... spuścił się w głąb powoli. Zaledwie kilka kroków uszedłszy począł wołać głosem radości i tryumfu... wszyscy się rzucili razem do drzwi... Przeszyty dwoma kulami przez piersi i biodra, zbieg leżał oblany krwią i już bezprzytomny. Życie jeszcze z niego nie było uszło z potokiem krwi, ale oddech słabnący wskazywał, że go już nie wiele pozostało. Czarne oczy w milczeniu, pogardą niezmierną strzelały na otacza-

jących... nie wydał jęku, nie rzekł słowa... leżał konający, ale nie złamany na duchu. Duże łzy tylko w szklących źrenicach świeciły jak dwa djamenty...

Szuwała z zaciśniętemi zębami, blady, drżący i pomięszany bardziej, niż jego ofiara, przypadł sam teraz... nie rad, że weźmie dogorywającego nieprzyjaciela, po którym ważnych zeznań można się było spodziewać. Rozkazy zwierzchnie wyraźnie opiewały, aby się starać wziąć go żywcem. Dla tego może nie pastwiąc się więcej podniesiono ciało, poobwiązywano rany na prędce i wysłano do najbliższego lekarza... zajmując się przetransportowaniem konającego w milczeniu do wojennego lazaretu.

Szuwała tylko stanął nad nim zwycięzki i wybełkotał: — Dostałeś się psie w ręce moje...

Ale wejrzenie Pawła, które się z jego wzrokiem spotkało... tak było straszne, że sprawnik zabełkotał coś jeszcze i zamilkł.

Nie przez litość ale przez rachubę starano się utrzymać przy życiu nieszczęśliwego... pułkownikowi szło o to, żeby wyzdrowiał i męczył się pod kluczem... kazał więc sporządzić nosze albo zabrać tapczan z chaty, pokryć go żołnierskimi płaszczami i pieszo nieść do miasteczka.

Szuwała i Pratulec dokonawszy wielkiego dzieła swego, wstąpili do karczmy i wychylili po sporej szklance wódki, ale jeden do drugiego słowa nie śmiał powiedzieć. Pratulec, który także spotkał był wejrzenie konającego, przesądny jak małorus, wbił sobie w głowę, że będzie pewnie urzeczony...

Paweł, którego twarz pokryła się zwolna bladością prawie trupią, coraz mniej dawał znaków życia... ale oddychał jeszcze... powieki jego się zamknęły... usta się zacięły z bólu... krew choć zatamowana chlebem, hubką i spalonemi szmatami, sączyła się zwolna przez nie, brocząc drogę, którą go niesiono.

Szuwała zdawał się uszczęśliwony na pozór, usta

skrzywił do uśmiechu, ale jakiś niepokój na zmarszczonem czole i w błysku oczów znać było... Nie tego też się może spodziewał — chciał go mieć zdrowym, żywym a wziął niemal trupa, bezprzytomnego i... może już zamilkłego na wieki. Zrewidowano loszek, chatę, poryto ziemię dokoła... podarto suknie Pawła, popruto odzież, wszystko... ale papierów, których zajadle szukano, nie znaleziono przy nim ładnych... Zeńczewski miał czas podrzeć je i popołykać...

Tak się skończyła ta wyprawa ostatnia, zwycięzka; Szuwała powrócił z niej zmęczony, blady, czując się słabym, i musiał, pisząc raport, wypić całą rumu butelkę, aby nieco siły odzyskać. Czy go dopiero teraz obumarłe ruszyło sumienie, czy nie to otrzymał czego pragnął — to pewna, że smutny był i przybity.

Pratulec zabrawszy konie kare, z nieco rozjaśnioną twarzą pojechał do domu.

Więźnia z powodu stanu jego, nie można było gdzieindziej umieścić tylko w wojskowym lazarecie — lekarze bowiem po pierwszem obejrzeniu zaraz zdecydowali, że za życie ręczyć nie mogą, chyba przy największej pilności. W oddzielnej celi, pod najściślejszą strażą złożony został Paweł. Dwóch lekarzy, jeden miejscowy, drugi wojskowy podjęli się leczenia.

Strzał jeden przeszedł piersi, ale tak szczęśliwie, że żadnego ważniejszego organu nie naruszył — kula przebiegła na wylot i nie pozostała w ranie. Druga utkwiła w biodrach, prześlizgując się po kości, nadwyrężyła ją i za skórą zawisła. Oba postrzały nie były śmiertelne, ale przez spóźniony ratunek wiele krwi uszło, a samo wrażenie wypadku i położenie rannego dalszy przebieg choroby niebezpiecznym czyniło.

W ręku lekarzy Paweł po kilku godzinach odzyskał zupełną przytomność, otworzył oczy... usiłował z piersi zedrzeć bandaże i niedopuścić leczenia, ale głos doktora i groźba, że mu ręce związać każe, jeśliby się miotał — uspokoiła go.

— Jak macie sumienie mnie leczyć? barbarzyńcy — odezwał się — leczyć na to tylko, ażebym dłużej cierpiał, męczył się i konał pod knutami... Gdybyście ludźmi byli, dalibyście mi raczej truciznę...

Zakazano mu mówić — ale doktór Moskal, śmielszy nieco — zwłaszcza, że nikogo nie było w tej chwili przy nich, odezwał się po cichu:

— Dopóki iskra życia w człowieku, póty nadzieja... my spełniamy obowiązek... a co Bóg da... On tylko wie. Zachowaj się pan spokojnie...

Oba lekarze oświadczyli stanowczo władzy policyjnej, że do kilku tygodni zapewne ani myśleć było można o badaniu więźnia, jeżeli życie jego ocalić chciano. Szczęściem z Kijowa i Petersburga nadeszły rozkazy, ażeby jak najtroskliwiej czuwać nad schwytanym, gdyż na nim pokładano nadzieję wykrycia najważniejszych spisku rozgałęzień.

Lekarze miejscowi mieli sobie dodanego umyślnie wyprawionego na miejsce sztab-doktora S..., który przybył dla zbadania stanu chorego i obmyślenia jaknajwłaściwszych środków zachowania go przy życiu.

* * *

Nazajutrz po tym wieczorze tak dla Celiny pamiętnym — okropna wieść o losie Pawła zadała jej cios śmiertelny. Nieostrożnie uwiadomione o tem dziewczę biedne padło na ziemię bez zmysłów — powróciwszy na chwilę do przytomności zachorowała potem tak silnie, iż przywołany lekarz zwątpił nawet zrazu o jej życiu.

Powód choroby nie pozostał długo tajemnicą, przynajmniej dla otaczających, bo Celina w gorączce wypowiadała całą swą rozpacz... Doktór, który do niej przychodził, był właśnie tym samym, co Pawła pilnował, i to może ocaliło biedną Celinę. Zdjęła go niezmierna litość nad nieszczęśliwą istotą.

Z drugiej strony i Paweł, którego codzień bliżej

poznawał, obudził w nim uczucie podziwienia i szacunku charakterem swym męskim i energją niezłamaną. Jak tylko Celina zrozumieć go mogła, szepnął jej czarodziejskie słowo pociechy.

— Pani — rzekł — odzyskał zdrowie, siły, męstwo, a Bóg jest wielki... a ludzi na świecie poczciwych więcej jest, niż się na pozór zdaje... Trzeba żyć i mieć nadzieję zawsze... Nie mogę pani powiedzieć więcej... ale my... my mamy obowiązek czuwać, ratować i przypominać ludziom, że do ostatniego tchu rozpaczać się nigdy nie godzi.

Trzeba przyznać, że los Pawła nawet w najzaciętszych Moskalach obudzał litość i ludzkie uczucia...

Sprawnik Szuwała, któremu naturalnie rząd nową nagrodę wyznaczył, spostrzegł wkrótce po odniesionym tryumfie, iż najlepsi nawet przyjaciele poczęli się powoli odsuwać od niego — a zwierzchnicy przy zimnej grzeczności okazywali dlań widoczną wzgardę. Unikano podania mu dłoni. Wice-gubernator w przejeździe przez powiat przyjął go u drzwi i w chwili pożegnania, pochował ręce do kieszeni, a zachował się tak zimno, iż Szuwała wyszedłszy od niego... w ulicy uczuł się prawie rewolucjonistą.

Toż samo spotkało Pratulca, oba oni znaleźli się wkrótce tak osamotnionymi i znienawidzonymi nawet przez swoich i nie wiele nad siebie lepszych, że bezczelny denuncjant począł już nawet przemyślać o sprzedaniu swojej części w Olszowie i wyniesieniu się za Dniepr... Pułkownik mruczał, że poda się do dymisji... był najpewniejszym, że rząd mocno dotkniętym zostanie... stratą tak znakomitego męża...

Wprawdzie nikt tym panom nie śmiał okazać jawnie powodów niechęci i wstrętu, ale w stosunkach towarzyskich są odcienia do pochwycenia łatwe, któremi się tajone uczucia objawiają. Sprawnik w poufalszych kołach rozpoczynał na złość opowiadania o swej expedycji do Olszowa... ale za każdą razą milkli przy-

tomni, a śmielsi wynosili się pod różnemi pozorami do innych pokojów.

Niezapraszano go nigdzie, unikano widocznie, a zagadnięci zbywali ogólnikami. Postępowanie to z niższymi w hierachji urzędniczej nie wiele co obchodziło — ale nawet naczelnicy pochwalając nadzwyczajną gorliwość traktowali go już po prostu jak kata, który usłużył władzy, ucinając łeb nienawistnemu jej człowiekowi.. .któremu się płaci jego posługę, ale się z nim bratać nie lubi.

Gorzkie uczucie napełniło serce pułkownika, poczynającego półsłówkami uskarżać się na niewdzięczność rządu, dla którego się poświęcił.

Tymczasem los winowajcy prześladowanego musiał wzruszać nawet ludzi obojętnych i choćby inaczej myślących, ale umiejących zawsze i wszędzie uszanować heroiczną ofiarę. Nie każdy śmiał mu okazać współczucie, wszyscy jednak usiłowali skrycie dać jego dowody.

Choroba, mimo młodości i sił jej, wymagała długiego czasu... tak przynajmniej utrzymywali poczciwi lekarze, chcąc przedłużyć chwilę wypoczynku i folgi dla więźnia, którego niechybny, nieunikniony, straszny los oczekiwał w przyszłości.

Nieulegało wątpliwości, iż gdy do zdrowia powróci, będzie badany, a kto go cokolwiek poznał, przekonanym być musiał, że z niego nie łatwo co dobyć przyjdzie katom.

Szło zatem, iż go czekały męczarnie, chłosta, głód, kazamaty i straszny ucisk moralny... a gdyby po długich mękach nic powiedzieć nie chciał, zawsze skazanym być musiał na szubienicę, lub barbarzyńską chłostę i wieczne roboty w kopalniach.

W jednem jeszcze państwie moskiewskiem tortury średniowieczne utrzymały się po dziś dzień, z mniejszym narzędzi męczeńskich przyborem, ale z najnielitościwszem okrucieństwem.

Niema prawie ważniejszego więźnia politycznego, któregoby nie smagano, nie głodzono, nie karmiono śledziami, nie bito związanego po twarzy, nie zelżono bezbronnego... i nie usiłowano złamać obejściem nieludzkiem. Uczucia, z któremi popisują się filantropi moskiewscy, rząd i panujący, ustępują w sprawach politycznych zaciętości i barbarzyńskiej zemście... której dziś na całej kuli ziemskiej nie znajdzie już przykładów. Dziennikarstwo postępowe, liberalne, jak skoro idzie o Polaków, pochwala wszystko, uniewinnia i nie znajduje żadnej tortury za srogą dla nich.

Paweł odzyskując siły powoli, zdawał się, mimo wiedzy następstw, jakie go czekały, spokojniejszym coraz na umyśle. Mówił mało, ale nie trwożył się zbytnio przyszłością.

Osłodą razem i goryczą tych dni, odkradzionych śmierci, były wieści od Celiny, które ostrożnie przynosił mu lekarz poczciwy, coraz mocniej przywiązujący się do obojga.

On to potrafił namówić sztab-doktora i drugiego kolegę, ażeby chorego, unikając szkodliwego wpływu lazaretowego powietrza, dla przyspieszenia powrotu do sił, przenieść na resztę kuracji do osobnego, mało oddalonego dworku. Tyfoidalna gorączka, która się zjawiła między chorem żołnierstwem, zupełnie tę ostrożność usprawiedliwiała.

Policyjne władze opierały się temu w początku, rzecz była prawie bezprzykładna, posłano przedstawienie do Kijowa, a że tam szło wielce o utrzymanie więźnia przy życiu, zagrożonym tyfoidalną zarazą, zadecydowano wyniesienie chorego do dworka, z tem, aby jak najściślejsza straż około niego dzień i noc była utrzymywana. Paweł dotąd jeszcze z łóżka się podnosić nie mógł, a już lękano się nie wiedzieć jakich ewentualności.

Moskiewska policja zbyt podobno ma wysokie wyobrażenie o polskiej intrydze, zręczności, knowa-

niach i zabiegach. Jeźli się kiedy uda nieszczęśliwemu Polakowi wydrzeć ze szpon tych, zawdzięcza to raczej nieudolności swych stróżów, niż przebiegłości przyjaciół, niekiedy do zuchwalstwa posuniętej rozpaczy.

* * *

Panna Celina po gwałtownej chorobie jakby cudem przychodziła do zdrowia, ale wstała z łóżka inną prawie kobietą; z wesołego dziewczęcia stała się poważną, zamyśloną niewiastą, na której ustach dziewczęcy uśmiech wesela już nie zawitał. Czoło pokryte dumami, zasępione zdradzało głęboką pracę duszy, oczy jakby przygasłe patrzyły zda się wewnątrz więcej, niż na świat boży. Całe dnie rozmyślała chodząc w milczeniu, zadumywała się, przebiegała swoją izdebkę niespokojna... walcząc z sobą i gotując się do walki z losami.

Poczciwa ciotka nie opuszczając jej na chwilę, goniła wzrokiem, usiłowała odgadnąć, ale słowa się z niej dopytać nie mogła. Nieraz kilkakrotnie powtórzone pytanie nie doszło nawet jej uwagi... budziła się potem niby przestraszona i nieprzytomna.

Tak lub nie, było zwykłą na pytania natarczywe odpowiedzią, oderwana od dumań po chwili wracała do nich znowu.

Troskliwa opiekunka, która tego stanu ducha, pogrążonego w sobie, zrozumieć nie mogła, uważała go za skutek lub dalszy ciąg choroby. Zresztą w jej oczach pokryte nader, choć nie zrozpaczone położenie ojca, usprawiedliwało biedną Celinę.

Poczciwy doktór, który ją w chorobie doglądał, i teraz jeszcze przychodził czasem odwiedzić swoją pacjentkę, przynosząc jej wieść od ojca, lub jakie słowo pociechy od Pawła. Celina posłała mu była Naśladowanie Chrystusa Pana... które odtąd go nie opuszczało... Wzorem innych skazanych na długie bez-

czynności, Paweł z chleba i bułki lazaretowej wyrabiał kwiaty i sprzęciki... które posyłał Celinie...

Doktór, o którym mowa, Małorosjanin jak Pratulec, ale różny wcale od niego: dusza gorąca, poczciwa, charakter szlachetny, był opatrznością dla obojga. Serce w nim, wyrobiło może po części jego wyjątkowe na świecie położenie.

Atamaneńko był poczwarnie garbaty, głowę miał ogromną spiczastą, ręce długie, nogi krzywe... podobny do Quasimoda, sam się nim żartobliwie przezywał. Zwykle taka mostrualność odstręczając ludzi od biednego kaleki, jego odstręcza od nich, robi zgryźliwym, ostrym, złośliwym. W Atamaneńce przeciwnie zwiększyła serce, usposobiła je litościwie dla wszelkiego cierpienia. Na pozór straszny, zimny, czasem opryskliwy, w rzeczy był aniołem dobroci i poświęcenia. W lazarecie tylko ci go niecierpieli, którym chorych okradać i ogładzać nie dawał... reszta go wielbiła. Atamaneńko, lekarz doskonały, wzywany do chorych nieustannie, poszukiwany, szczęśliwy, był bezprzykładnie jak na doktora ubogim. Grosza nigdy nie miał przy duszy, bo też nie tylko od uboższych nic nie brał, ale za nich lekarstwa opłacał, a gdy komu nie starczyło na posiłek zdrowy, kupował żywność, tłumacząc się, że to czyni dla miłości nauki i eksperymentów.

Ci co czytali N. Dame V. Hugo, przezywali go jak wspomnieliśmy, Quasimodo, drudzy nazywali Kalibanem, studenci Ezopem, a żołnierze Żabą. Ale go jednak kochało co żyło, a on pierwszy śmiał się z przezwisk swoich.

Jednego wieczora, w kilka już tygodni po pochwyceniu Pawła, poczciwy Atamaneńko przywlókł się znowu do dworku panny Celiny.

Zawsze mu tu byli radzi, a że herbatę lubił, kazała ciocia natychmiast samowar nastawiać, sama nawet poszła dopilnować, aby do niej było wszystko, co

potrzeba. Ezop lubił słodkie ciasteczka, jedynej bowiem tej słodyczy w życiu używał i nadużywał.

Celina została z nim sam na sam.

— Powiedz mi pan, powiedz — odezwała się błagając natarczywie — jak on się ma?

— Ale na ten stan, w jakim jest, ma się wyśmienicie — odpowiedział garbus — rany goją się aż nadto prędko... cała obawa, żeby zbyt rychło go do Kijowa nie wzięto, gdy zawyrokują, że dosyć jest silny.

— Smutny jest? — spytała Celina.

— Nie powiem tego, jest raczej poważny — rzekł Atamaneńko. — Jeszczem z takim charakterem człowieka nie widział.

— A! panie — zawołała składając ręce Celina — panie mój drogi, gdyby tego człowieka można ocalić.

Lekarz położył palec na ustach.

— Czy pani chodzisz teraz na przechadzkę? — spytał po chwili milczenia — teraz przymrozki, sucho... ładnie, nawet nie bardzo zimno, powietrze by pani służyć mogło. Czemuby się pani naprzykład jutro nie przeszła, tak o szarej godzinie... jeśli wytrwa pogoda... ku... Bernardynom...

Jakieś dziwne mruganie oczyma towarzyszyło tej lekarskiej radzie, którą Celina zawahawszy się zrozumiała i odpowiedziała żywo:

— Gdybym miała nadzieję was spotkać?

— Może właśnie ja tamtędy będę przechodzić. Nie lubię siedzieć zamknięty, a z obowiązku prawie ciągle między czterema murami jestem uwięziony.

Potem Atamaneńko rzucił się chciwie na przyniesione ciasteczka i wesoło rozmawiał o plotkach miejskich.

Szczęściem nazajutrz niebo było jasne, powietrze łagodne, przymrozek mały, i Celina posłuszna radzie doktora wyszła ze służącą ku Bernardynom; najdziwniejszym trafem na drodze spotkała lekarza.

— Pani wyszłaś trochę za lekko ubrana — rzekł

na wstępie — poślij pani po cieplejszą chustkę lub okrycie do domu służącą, a my tu na nią przechadzając się, poczekamy.

Gdy się sługa oddaliła, lekarz pilno obejrzał się w koło, na horyzoncie nie było nigdzie ani dorożki policmajstra, ani kocza sprawnika, ani czerwonego nosa urzędniczego.

— Wie pani — odezwał się lekarz — że to bardzo starożytne miasto... Był to niegdyś, jak piszą kroniki, gród wielki i wspaniały, a dziś taka smutna pustka i ruina! Ślady tylko dawnego bytu zagrzebane w gruzach pod nogami pozostały... po ogródkach mieszczanie ogrzebują płyty marmurów, które pałace zdobiły. Opowiadają oni, że pod całem miasteczkiem niegdyś murowanem a dziś tak wypalonem i nędznem, są ogromne stare lochy, któremi można obejść je całe. Są jeszcze tacy ludzie, co je znają. Były to zapewne niegdyś albo piwnice magnatów, albo składy kupców ormiańskich, może też resztki to jakiej twierdzy i środki ucieczki od napaści nieprzyjaciela. To tylko pewna, że lochy całe do dziś dnia istnieją... Kto wie? może się tam dziś kontrabandy od oczów policmajstra ukrywają?

Celina słuchała nie śmiejąc mu przerywać.

— Raz mi się trafiło — mówił dalej — gdy kopano na fundamenta jednego domu i obalono sklepienie, wypadkiem zajrzeć do takiego lochu... Jestem dosyć odważny, ale spuściwszy się tam przez ciekawość, przestraszyłem się tych ciemnych głębi. Labirynty! Są ludzie przecie, co te wszystkie chody znają... ale to ich tajemnica... lękają się, aby jedyne schronienie, jakie mają od policji, nie zostało wytropione.

Zaczął się śmiać.

— Mówią — dodał bardzo cicho — że przy skasowanym bernardyńskim klasztorze, w którego loszku biskup Piwnicki miał także kasę swoją, jest dawny zakrystjan kościoła, mający już z lat ośmdziesiąt, dru-

dzy mówią, że sto. Otóż o tym starcu chodzi fama, iż on jeden to miasto podziemne tak zna, że w niem bez światła spacerować może. Co dziwniejsza, wie on pono dokładnie, jaka część tych lochów, pod który dom lub dworek najbliżej podchodzi. Są takie domki, co na lochach stoją, same o tem dziś nie wiedząc.

Celina słuchała z coraz wzrastającą uwagą.

— Czy pan to mówisz serjo? — spytała.

— Ale najzupełniej serjo, i pewny jestem tego, co mówię, niech pani wierzy. Zapewne lochy nie są może tak rozległe, jak lud skłonny do przesady opowiada, ale choćby i nie pod każdy dom sięgały... podkopać się z nich łatwo do każdego, kto zna dobrze miejscowość. Otóż to mieszkać w takiem starem mieścisku — rzekł śmiejąc się — człowiek sobie zasypia spokojnie... a tu mu złodziej może wyleść z pod łóżka.

— I pan słyszał, że ten stary pod Bernardynami... — przerwała Celina.

— Tak mówią... i to pewna — zowie się Pietraszek, znają go tu wszyscy dobrze... ale do niego niełatwo przystąpić... człek ten cały boży dzień się modli... z ludźmi gadać nie lubi, tetryk.. skąpiec... Utrzymują, że bogaty, a w lochach tych gdzieś chowa uzbierane skarby.

Począł się śmiać.

Celina przysłuchiwała się z uwagą... on niekiedy badał oczyma, czy go rozumie, a więcej powiedzieć nie mógł...

W tem służąca nadeszła z chustką, panna Celina nie miała już ochoty do dłuższej przechadzki i zamyślona powróciła do domu. Atamaneńko pożegnał ją przy zawrocie.

* * *

Przez uwięzienie głównego winawajcy los innych aresztowanych mógł się nieco polepszyć, schodzili oni do innej kategorji obwinionych. Szczególniej podsę-

dek, skutkiem umiejętnych córki zabiegów, wyzdrowiawszy nieco otrzymał obietnicę drogo znowu opłaconą, że może został uwolnionym czasowo na porękę, z warunkiem stawienia się do komisji na jej zażądanie. Zwlekano jednak urzędowe rozwiązanie z dnia na dzień, a jeśli kto, to panna Celina wcale się o zatrzymanie w miasteczku nie gniewała podobno.

Ciotka dziwiła się niezmiernie zmianie jej humoru i gorliwości nadzwyczajnej w nabożeństwie, jakiej jeszcze nigdy w siostrzenicy nie widziała. Nieustannie wychodziła na msze, na nieszpory, na medytacje, różańce, to do katedry, to do klasztorów, a ciotka jakkolwiek towarzyszyć jej rada, rzadko kiedy mogła pójść z nią razem... zawsze się tak dziwnie składało. Nie brała nawet z sobą sługi, ale w małem miasteczku nie raziło to nikogo. Widywano ją najczęściej w towarzystwie jednej z sióstr Miłosierdzia, podżytej już matki Wincentyny.

Niektóre zmiany zaszły w tym czasie pomiędzy urzędnikami... Pułkownik Szuwała mianowany generałem, przeniesiony na grado-naczelnika do Wołogdy... a biedny poczciwy Atamaneńko wzdychając bardzo zwijał szczupłe tłumoczki i wywoził się na lekarza przy szpitalu wojennym w Kowlu.

Obu im z różnych przyczyn nie bardzo chciało się opuszczać miejsca, do których byli nawykli, ale człowiek w służbie jest niewolnikiem. Szuwała wybierał się powoli, z poufalszymi w rozmowie dając do zrozumienia, że był dosyć niezadowolonym z tego awansu, i że się czego innego spodziewać miał prawo. Wołogda wydawała mu się po trochę wygnaniem, przy tem w głębi Rosji już tak bezkarnie dokazywać nie można, jak w tych zawojowanych prowincjach... h o r s l a l o i.

Chory tymczasem coraz się miał lepiej, co tydzień wysyłano przez trzech lekarzów podpisywany raport

do Kijowa, i za miesiąc obiecywano go wreszcie oddać w ręce komisji, dokarmionego na męczeństwo.

Rabczyński i Załowicki z powodu, iż śledztwo właściwe dotąd się jeszcze nierozpoczęło, mieli pozwolenie pozostania w turmie miejscowej, ale razem z głównym winowajcą przewieźć ich później nakazano do Kijowa. Załowicki okuty był w kajdany i strzeżony jak najściślej.

Tymczasem i sztab-doktór odjechał, a dozór nad Pawłem powierzony został władzy wojskowo-policyjnej — lekarze miejscowi doglądali rekonwalescenta.

Na pozór tedy wszystko się tak składało, że zgotowanego mu losu nieszczęśliwy uniknąć nie mógł. Boleli nad tem wszyscy, bo ktokolwiek się doń zbliżył, odchodził ujęty energją rzymską jego charakteru i dziwnym umysłu spokojem. Żołnierze na straży, którym los jego nie był tajemnicą, zdumiewali się słysząc go śpiewającego czasem wieczorami tęskną piosenkę jaką.

Po wyjeździe Atamaneńki już panna Celina wiadomości o nim nawet żadnej mieć nie mogła. Ale i ona dziwnie się zdawała uspokojoną. Czy to czas wszechmocny zbyt żywe uczucie złagodził, czy w serce jakaś niepojęta dla drugich wstąpiła nadzieja?!

Już wśród zimy, podsędek Jagłowski za wielkiemi protekcjami otrzymał nareszcie ów chwilowy urlop do domu, i nie tracąc ani godziny, zabrawszy córkę natychmiast wyruszył do Radziszewa. Panna Celina ostatni dzień cały niemal spędziła w kościołach i spłakana opuściła miasteczko... zdala jeszcze błogosławiąc je krzyżem świętym. Pobyt w niem na całe życie miał dla niej zostać pamiętnym.

* * *

W kilka dni po odjeździe podsędka z córką, nadeszły rozkazy z Kijowa, i wśród największej tajemnicy nazajutrz postanowiono wywieść Pawła. Wóz, kaj-

dany, straż. żandarmi, wszystko było w gotowości, gdy wśród największego spokoju niczem nie zamąconego... jak piorun gruchnęła wieść, że ów więzień, emisarjusz, strzeżony jak oko w głowie przez cały oddział żołnierzy, w biały dzień niepojętym sposobem zniknął.

Mówiliśmy już, że w osobnym umyślnie na ten cel najętym dworku, nieopodal od lazaretu był umieszczony; domek ten drewniany na podmurowaniu składał się z sieni na przestrzał, z izby, w której część straży odpoczywała, i jednej izdebki przeznaczonej dla więźnia. Okna jej były pozabijane deskami, obwarowane zewnątrz kratą; oprócz tego jeden żołnierz w sieni przechadzał się ciągle pode drzwiami, dwóch z karabinami stało na warcie pod zabitemi oknami.

W wigilję tego dnia chory był jeszcze w łóżku, nie wstawał nawet; wieczorem felczer opatrywał niedogojoną ranę na biodrach, bo piersi oddawna się zamknęły i zabliźniły. Co dziwniej, ranna jeszcze wizyta doktora i felczera odbyła się na zwykły sposób... więzień nie powinien był wiedzieć, że wieczorem wywieść go miano. Od godziny dziewiątej rano do pierwszej nikt zwykle nie wchodził do niego, ale straż na chwilę drzwi nie spuściła z oka... a te były na klucz zamknięte. Najmniejszego szmeru wewnątrz słychać nie było. Gdy o godzinie obiadowej żołnierz wedle zwyczaju, otworzywszy drzwi przy feldfeblu wszedł przynosząc jedzenie, z początku oczom swoim uwierzyć nie chciał nie spostrzegłszy więźnia w izbie... i łóżko puste. Osłupiały wyszedł spytać tego, co stał na straży, czy go nie wywieziono... żołnierz myślał, że sobie z niego żartują.

Oba z feldfeblem zajrzeli raz jeszcze... w izbie było pusto... nikogo...

Łóżko stało porozrzucane nieco, ale w miejscu... chory znikł... Pułap i podłoga były nietknięte.

Dla pospolitych ludzi wydało się to czarodziejstwem! dla innych nierozwikłaną tajemnicą. W pół

godziny na dany znak trwogi, co było osób mogących odpowiadać za tę ucieczkę, zbiegło się w przerażeniu i największej rozpaczy do dworku. Wszyscy osłupieli... na chwilę już naradzano się, czy go nie podać za umarłego, ale rzecz nazbyt była głośną.

Faktem było, że lekarz i chirurg widzieli go, mówili z nim jeszcze z rana, że drzwi były jak najhermetyczniej zaryglowane, wszystko w porządku... tylko tego więźnia brakło...

Jak? którędy mógł się tak ulotnić? to przechodziło ludzkie pojęcie...

Moskale przysięgali, że to być musiał charakternik (to jest czarnoksiężnik), ale wyżsi urzędnicy, niemogący przypuścić cudu, posądzali się wzajemnie o zdradę, o przekupstwo.

Na ślad wszakże trafić było niepodobieństwem. Końce poszły w wodę — mówili po cichu Moskale.

Komisja po komisji zjeżdżała do dworku ostawionego gęstą strażą, wystukiwano ściany, zrywano podłogi, opatrywano kąty i nic nie zrobiwszy każda z nich odchodziła wątpiąc o własnym rozumie.

Chyba go kto wyprowadził? — szeptano — ale kiedy? jak?

Lekarz, felczer, żołnierze, wszystko było uwięzione, badane, nadaremnie.

Każdy nowo-komenderowany urzędnik jadąc śmiał się z nieudolności poprzedników, szydził, poprzysięgał, że odkryć musi tajemnicę... a potem wracał z długim nosem, klnąc polskie intrygi i przebiegłość buntowników i tajemnicze spiski, do których wszyscy należeć musieli, niewyjmując urzędu.

Gdy tak z kolei pięć komisji cywilnych, wojskowych, żandarmskich, sekretnych zbadało ten nieszczęśliwy grunt — a w górze, gdzie oczekiwano na emisarjusza, gniew wzrastał nadzwyczajnie, odkomenderowany został nareszcie z Petersburga od szefa

żandarmów, skromny bardzo i niepozorny ajent, Niemiec, nazywający się po prostu Piotr Szmalz... Był rodem z Berlina, ale dawno już służył w Rosji. Słynął on z rozwiązywania węzłów gordyjskich.

Mądrości tej Szmalza nikt by się był nie domyślił z zewnętrznej jego postaci; wyglądał na tuzinkowego Niemca, któremu dobre piwo nie jest obojętnem; miał nawet minę zaspaną, i atrybut dla policjanta niepotrzebny a nawet zawadzający — brzuch okrągły i wystający. Zresztą milczał i fajkę palił.

Szmalz dosłużył się w różnych misjach krajowych i zagranicznych rangi kolegialnego radcy — nie bagatela! — a w dziurce od guzika nosił cały bunt wstążeczek.

Jak go miejscowa policja przyjęła domyśleć się łatwo: przybywał ze stolicy! Ale w duchu i po za oczyma śmiano się z niego mówiąc sobie po cichu: co on tu wytropi, kiedy rozumniejsi od niego nic znaleźć nie potrafili?

Pierwszego dnia Schmalz fajkę palił i protokoły swych poprzedników odczytywał przez okulary... drugiego dnia poszedł się przespacerować po miasteczku, a trzeciego nic nie robił, ziewał, narzekając, że piwa dobrego nie było. Czwartego wybrał się do dworku; poszedł za nim policmajster i dosyć gawiedzi urzędniczej. Schmalz wszedłszy do izdebki popatrzył, nałożył sobie fajkę, potem siadł na łóżku i palił ją w milczeniu, póki dobrze się nie rozpaliła.

Paramin stał w progu z miną pełną współczucia dla frasunku tak znakomitej reputacji człowieka, który miał zdobytą latami sławę stracić w tak małem miasteczku... Nagle Niemiec podniósł głowę, uśmiechnął się i ręką ku sobie przywołał policmajstra.

— Proszę waćpan kazać tu przywołać kilku ludzi z motykami i siekierami.

Policmajster ukrywając uśmiech szyderski, i ruszywszy ramionami nieznacznie, pospieszył rozkaz wykonać.

Nie rychło zdobyto na sąsiadach motyki i pozabierano w chatach siekiery. Trzech inwalidów stało u progu w gotowości.

Schmalz naówczas powoli wstał, fajkę wystrząsł i rozkazał naprzód łóżko odstawić.

Pod niem była podłoga taka, jak w całej izdebce, zaczęto ją odrywać... gdy nagle jeden z dylów za słabem dotknięciem podniósł się, gdyż wcale nie był przymocowanym.

Policmajster pobladł.

Dyl ten tak lekko położony pokrywał otwór głęboki, ciemny, dziurę przebitą w starem grubem sklepieniu. Schmalz wskazał ręką policmajstrowi, który już i samo to zmiarkował, że tędy więzień spuścić się musiał, dla niepoznaki położywszy znów za sobą owe drewno ruchome.

Moskale w niezmiernem byli podziwieniu nad domyślnością i sprytem flegmatycznego Niemca, który posłał zaraz po drabiny, aby loch ów opatrzyć.

Zblizka wejrzawszy weń znaleziono mocny drąg, na którem sznur skręcony z prześcieradeł był przywieszony. Po nim to więzień spuszczać się musiał.

Policmajster i żołnierze wstawili powiązane drabiny do lochu, jeden z inwalidów zeszedł naprzód próbując mocy z latarką, a za nim puścił się Schmalz i rad nie rad Paramin.

Pod domkiem znalazła się stara piwnica, dalej loszek, a od niego długa szyja sklepiona wiodła w bok o kilkadziesiąt kroków. Ciągnęła się ona znać i dalej, ale była świeżo i umyślnie rumowiskiem zarzucona na parę łokci, tak ażeby chcąc iść dalej, musiano ją mozolnie oczyszczać. Po odrzuceniu cegieł, ziemi i kamieni poszli dalej już nie murowanym kuryta-

rzem, ale w glinie wybitem przejściem na kształt rzymskich katakumb lub kijowskich pieczar.

Niemiec, który na wszystko zwracał uwagę, na pyłem okrytej ziemi odkrył ślady wyraźne stóp ludzkich, i doszedł bacznie im się przypatrując z latarką, że szedł jeden tylko ślad ku piwnicy pod dworek, a napowrót były stopy dwóch ludzi widoczne. Stopa pierwszego zgadzała się z wyciskiem w przeciwnym kierunku idącym, drugiego zaś była znacznie mniejsza i kształtniejsza.

W pewnej odległości pieczara znowu się znalazła zawaloną suchemi kamieniami, które mozolnie rozrzucać było potrzeba. Szli w różnych kierunkach błąkając się w prawo i lewo, ale Niemiec śledził stopy i niemi się kierował. Po bokach często dosyć natrafiali mocno i oddawna zamurowane drzwi, zapewne do innych lochów prowadzące. Na ostatek po dość długiej tej wędrówce niewygodnej, a dla żołnierzy strasznej, napłoszywszy nietoperzy i szczurów mnóstwo, spostrzegli słabe światełko dzienne, przedzierające się z za gęsto splecionych gałęzi.

Był to otwór o łokci pięć w górze umieszczony, który jak się ze zbadania okazało, wychodził ponad brzeg rzeki Styru... na pustkowiu za miastem.

Na tem musiało skończyć się to śledztwo, przekonaniem jak najmocniejszem, że więzień uszedł skrytemi lochami pod domkiem, ale kto mu je wskazał i przeprowadził go, tego badania najściślejsze odkryć nie potrafiło. Spólnicy ucieczki pozostali nieodgadnięci.

Chciano rzucić podejrzenie na tych, którzy dworek wyznaczyli dla więźnia, ale ci łatwo się oczyścili z zarzutów jako niemiejscowi i nie mogący wcale znać tajemnic tych podziemi, o których nawet policja miejska nie miała dotąd wiadomości.

Z ucieczką Pawła Zeńczewskiego wiele rzeczy dawało się jakoś łatwiej ukończyć, bo zrzucano na

niego co kto chciał. Wszakże głównie obwiniony Załowicki, mimo starań rodziny skazanym został na wywiezienie do Irkucka, Rabczyński na rok w twierdzy, a podsędek na mieszkanie przez czas nieograniczony w Orenburgu.

O Pawle od tej pory nikt więcej ani słyszał ani wiedział, znikł jak w wodę wpadł.

* * *

W rok po opisanych wypadkach pan podsędek Jagłowski, uzyskawszy bardzo pochlebne świadectwo od władzy miejscowej (grywał w wista z gubernatorem), potem urzędowy atestat o nader złym stanie zdrowia, za szczególną łaską monarszą powrócony został na mieszkanie do Radziszewa pod najściślejszym (naturalnie) nadzorem policyjnym. Znaczyło to, że się nieograniczenie policji opłacać musiał. Skołatane wypadkami temi zdrowie i tu w pośród świeżego, wiejskiego powietrza poprawić się nie chciało. Podsędek posmutniał, postarzał, bolał, skarżył się, pojechał do Kijowa, siedział tam miesiąc i dostał znowu urzędowe świadectwo zarządu lekarskiego (wraczebnij uprawy), iż pod karą śmierci należało mu szukać łagodniejszego klimatu.

Ponieważ gospodarstwem i interesami zajmować się nie mógł, a trafiał się właśnie kupiec na Radziszew, dobry, stary, przyjaciel podsędka, pan Trzaskowski, sprzedane więc zostało stare, odwieczne, pradziadowskie mienie w obce ręce...

Dopóki sprzedaż ta przedstawiała się jako interes pieniężny, pan Jagłowski nie zdawał się cierpieć wiele, ale gdy dopełniwszy formalności przyszło pożegnać kąty te, na których rodzicielskich stóp ślady wyryte były, gdzie się rodziło, dzieckiem bawiło, żyło, bolało, oblało łzami i obłogosławiło szczęściem, okrutny żal ścisnął serce. Podsędek, ciocia, nawet najweselsza dotąd panna Celina chodziła ze

łzami w oczach, nie mogąc się rozstać z błogosławionej przeszłości pamiątkami.

Ze wsi co chwila przywlókł się ktoś płacząc do dworu, mamka panienki, siostra mleczna starego jegomości, kumy, dzieci do chrztu trzymane, przyjaciele, słudzy.

Wszystko to w niepewności, co jutro sprowadzi, stękało, załzawione oczy wycierając, podsędek rozdawał dożywocia, rozdarowywał grunta, ale poczciwym ludziskom jego samego i ojcowskiego serca żal było.

Trzaskowski, (który jak u nas pospolicie mówiono) nastawał po nim, był bardzo dobrym i łagodnym człowiekiem, ale z tamtymi się żyło, znało i tyle lat przebiedowało! Ostatnie dni były ciężkie a smutne. Niektóre sprzęty już powywożono, rozdarowano, inne stały jeszcze rozrzucone w nieładzie, czekając jaki je los spotka. Celina chodziła stawała i ocierała łzy. Każdy z tych pokojów coś jej z krótkiego życia przypominał.

Podsędek i Celina mieli razem wyjeżdżać za granicę, ciotka, która część sprzętów zabierała, wybrała sobie schronienie w klasztorze, nie chcąc na starość z kraju wyjeżdżać. Choć Jagłowski mówił o prędkim powrocie, choć był on niby w zamiarze... z innych słów domyślać się godziło, że już może nie rychło, albo nawet nigdy nie powrócą do kraju.

Był to ostatni dzień pobytu w Radziszewie, oczekiwano na przyjazd Trzaskowskiego, który przybywał objąć nowe dziedzictwo. W dziedzińcu stała milcząca gromada z wiosek do Radziszewa należących... po pokojach na pół pustych chodził ojciec z założonemi na piersi rękami i córka sparta na jego ramieniu.

Staremu łzy kręciły się w oczach, ale udawał obojętnego, aby Celiny nie dręczyć. Przez okno widać było ogród zasadzony przez podsędka, i w dali pola a lasy. Stanął napoić się tym widokiem i nie mogąc powstrzymać, rzekł:

— Dziecko moje, tobie młodej, która rozpoczynasz życie, nawyknąć do innego kraju i obyczaju nie będzie trudno, ale mnie co je kończę, pamięć dni ubiegłych nawetby z raju tu ciągnęła. Tum wprowadził matkę twoją, tu przeżyłem z nią szczęśliwych dni niewiele... tuś mi swoją młodością rozjaśniła wdowieństwo... miałem przyjaciół, miałem chwile jasne, a w najgorszym razie, ciszę i spokój. Ale potrzeba uczynić ofiarę, czynię ją, nie skarżę się... pozwólcie mi tylko tęsknić trochę.

To mówięc w czoło ją pocałował, ona schyliła się do jego ręki.

Stali właśnie przed kominem, którego tajemnicza klapa ocaliła życie zbiegowi... Celina spojrzała na nią i zarumieniła się.

— Niechże nie mam dla ciebie tajemnicy, ojcze drogi — odezwała się — oto ta kryjówka, którą ty wymyśliłeś, ocaliła życie mojemu bohaterowi, służyła mu za schronienie... a chwila, w której mu ją ukazałam... stanowiła o moim losie i przyszłości. Do ocalonego przywiązałam się coraz silniej.

— Więc ty mu ją... pokazałaś? jak? kiedy- — zapytał ojciec. Celina rumieniąc się, ale ze spokojem czystego serca opowiedziała ojcu wszystko po raz pierwszy... Podsędek milczał, zadumany.

— Cuda to są — odezwał się wreszcie — a cudów takich tylko miłość dokazać może, ale tylko tak poczciwa i święta jak twoja.

To nic jeszcze było ujść z Radziszewa..., ale kto mógł i jakim sposobem wykraść go z tamtego więzienia strzeżonego i obwarowanego tak pilnie?

Celina milcząc pocałowała go w rękę, spojrzała mu w oczy, i cicho, bardzo cicho odparła:

— Bóg.

— Ale czyjąż ręką? juścić... juścić nie twoją dziecko moje.

— Moją, moją, słabą kobiecą dłonią cud się ten dokonał — pomogli poczciwi ludzie.

Podsędek w dłonie klasnął z podziwienia; ale w tem trzaskanie z bicza oznajmiło przybycie dziedzica. Jeszcze stali przy tym kominie, gdy wszedł Trzaskowski i podał rękę podsędkowi.

— Słuchaj Trzaskowski — rzekł do niego po przywitaniu podsędek, prowadząc go do klapy, która zamykała kryjówkę, i pokazując mu jak się ona otwierała — nikt o tem nie powinien wiedzieć oprócz ciebie... oto masz schówkę, która już jednemu człowiekowi życie ocaliła. Bogdajeś jej nie potrzebował nigdy, ale gdybyś uchowaj Boże, miał co ukrywać... niech ci ona tak dobrze, jak nam służy! Ale cyt, idźmy do gromady.

* * *

Opisane wypadki działy się w r. 1838 i początku 1839 r.; musimy posunąć się w bliższe nas znacznie czasy, chcąc historję poznanych osób dokończyć.

Ale z cichego tego szumiącego lasami Polesia wołyńskiego, przeskoczonym daleko, daleko aż na brzegi genewskiego jeziora.

W lat siedem potem, historja o emisarjuszu przerobiona już poetycznie na legendę, przyozdobiona dodatkami, chodziła w nowej i pięknej szacie po dworkach, a nawet karczmach i chatach. W Olszowie pokazywano ów historyczny loszek, w którym Paweł był ranny i schwycony. W miasteczku chodzili ciekawi oglądać dworek, z którego uszedł cudownie, w lesie przejezdni stawali przed karczemką, w której się spotkał ze sprawnikami. Ale o pułkowniku Szuwale mało już kto pamiętał, zrobiono z pozostałości po nim postać fantastyczną, coś nakształt ludożercy, coś w rodzaju Murawiewa.

W roku 1845 przesunął się przez nadsprejską stolicę jenerał moskiewski, który zdawał się po raz

pierwszy gościć za granicą... przypatrywał się ludziom z podziwieniem naiwnem, a ludzie też mu się przypatrywali z uśmiechem.

Widać, że sądził, iż mu to doda powagi, bo od granicy jechał z wielkim krzyżem św. Włodzimierza na szyi, który starał się uczynić widocznym; potem przekonawszy się, że tylko się ironicznie z tej ozdoby uśmiechano, schował ją do kieszeni i nawiązał sobie na sposób pruski wstążeczek w pętlicy... nareszcie dalej już podobno jako nieskutkujące i te pstrokacizny odrzucił... Pozostała mu wszakże fizyognomia, po której mikołajewskiego sługę i moskiewskiego wojskowego poznać było łatwo i bez orderów... choćby się z tem zataił. Był to mężczyzna nie młody, dobrze już posiwiały, z wąsami ogromnemi, barczysty, trzymający się prosto, chociaż na nogę jedną nakuliwał. Wyraz jego twarzy dla cudzoziemców złagodzony, był wszakże jeszcze ostry i nieprzyjemny. Mówił wogóle mało, chociaż z łatwością wyrażał się po francusku. Jechał, jak powiadał sam, dla zdrowia i wypoczynku. Podróż zapędziła go aż nad jezioro Leman. W Genewie stanął w najparadniejszym hotelu des Bergues, i tu kazał sobie dać mieszkanie z widokiem na jezioro i górę Białą.

Pierwszego zaraz dnia zejść raczył do wspólnego z innymi podróżnymi stołu... Niewiele patrząc na nich, zajął swe miejsce, które mu oberkelner uprzejmie wskazał, polecając, aby szampana w lód wstawiono, bo innego wina nie pił.

Po chwili dopiero usiadłszy, podniósł głowę i po współbiesiadnikach rozpatrywać się zaczął. Nagle zadrżał, serweta, którą trzymał w rękach, wysunęła się... zdawało się, pobladł i widocznie zmieszał... oczy jego nieruchomie były wlepione z wyrazem podziwienia i przestrachu na siedzące naprzeciw osoby, zajęte między sobą żywą i wesołą rozmową. Te go jeszcze nie były spostrzegły.

Młoda i piękna kobieta, przystojny, pełen życia z czarnemi oczyma mężczyzna i podżyły wąsaty, blado wyglądający człowiek... właśnie miejsce naprzeciw zajmowali.

Jenerał wciąż miał w nich wlepione oczy, kręcił się niewiedząc co zrobić z sobą, po kilkakroć chwytał za krzesło, chciał je odsunąć, potem znowu przysiadał. Wejrzenie jego obłąkane spadało na talerz, i nie mogąc wytrzymać, wracało na twarz energiczną młodego mężczyzny.

W chwili tego wahania się z przeciwnej strony stołu dał się słyszeć wykrzyk lekki, szmer słów żywo zamienionych... jakby spór jakiś... i mężczyzna o czarnych oczach, gwałtownie posunąwszy krzesło, porwał się z miejsca... Wzrok jego buchał płomieniem... wargi drżały, ręce miotały się... Jenerał spostrzegł to, zbielał, ale udawał zrazu, że nie widzi.

— To on! — powtarzała kobieta — to on!

— Tak, to on! — zawołał rozogniony jej towarzysz... i zabierał się jakby do wyjścia.

Przy stole siedziało najmniej trzydzieści osób, po większej części Anglików, Amerykanów i Francuzów. Wszyscy na widok tego niewytłomaczonego zamieszania, którego przyczyny nie rozumieli dotąd, podnieśli oczy na bladą, strwożoną kobietę, która usiłowała się wysunąć, okazując wstręt i wzgardę, na starego mężczyznę, starającego się ją uspokoić, na czarnookiego, który cały drżał gniewem i uniesieniem.

— Panowie — odezwał się nareszcie po francusku ostatni — wybaczcie nam, że musimy stół i miłe towarzystwo wasze opuścić... nie możemy spokojnie pozostać razem... z katem!

Kilka Angielek ruszyło się zkrzesła, posłyszawszy ten wyraz... oznaki oburzenia wyrwały się z ust wielu, oczy wszystkich zwrócone były na jenerała, którego mężczyzna ręką ukazał.

— Tak jest — ciągnął dalej — oto jest... ten człowiek... to kat!! Godził on na życie moje, ścigał mnie jak dzikie zwierzę; darowałem mu życie, mając go w ręku, gdy na kolanach czołgając się przedemną zdradziwszy przysięgę... godził już na mnie... Winienem mu dwie rany zadane zdradziecko... długie więzienie i prześladowanie. Żaden uczciwy człowiek nie zechce z nim usiąść przy jednym stole... a przynajmniej — ja — nie mogę.

Jenerał w samym początku tego przemówienia porwał się z wściekłością w oczach i nożem w ręku, chcąc rzucić na przeciwnika, ale siedzący obok barczysty Anglik chwycił dłoń jego w żelazne palce i ścisnął mu ją tak, że mimo miotania się ruszyć nie mógł. Ciskał się tylko jak opętany i pienił.

Wszyscy z kolei odsuwali krzesła, rzucali talerze, uciekając od stołu, jedna blada Miss zemdlała, dzieci zaczynały płakać... na hałas i wrzawę nadbiegł gospodarz... Anglicy i Amerykanie powtarzali tłumnie:

— Kat! Moskal! Precz z nim! Precz z nim.

Wkrótce wołanie to prawie jednogłośne, natarczywe, rozkazujące, namiętne, szyderskie, groźne... zmusiło zbladłego jenerała do ucieczki.

Nóż mu tylko wprzód wyrwano z dłoni, a gdy się z miejsca ruszył, ścigano świstaniem i krzykami szyderskiemi:

— Precz z katem! precz z katem!

W ślad za uciekającym jenerałem pobiegł wylękły oberkelner, dzierżawca hotelu, sześciu garsonów i urzędnik policyjny, który się był zjawił w progu.

Po całym hotelu powtarzali słudzy, którzy zbiegli... kat! kat! W ulicy już tłum się poczynał gromadzić, a wieść o ukazaniu się kata... chodziła między gminem.

Jenerał nie mając czasu tłumoków zapakować musiał tylnemi schodami okryty płaszczem uciekać

do dorożki, którą mu sprowadzono... a ta go szczęściem niewiadomo już dokąd uniosła.

Ale długo potem jeszcze tłum okrążał hotel i goście nie rychło się uspokoili. Ostygłą zupę na nowo rozdawać poczęto. Wszystkich oczy ciekawie zwrócone były na młodą parę, a pan Paweł Zeńczewski zmuszony został zgromadzonym opowiadać ze szczegółami historję swoją... którą i jabym teraz mógł wyśmienicie zakończyć starym zwyczajem nianiek, co nam bajki prawiły: — I ja tam byłem, miód, wino piłem... po brodzie ciekło, w ustach nic nie było.

Piliśmy wszakże nie rozlewając po brodzie uroczyście i ochoczo zdrowie państwa Pawłowstwa Zeńczewskich, na pomyślność i wskrzeszenie starej Polski... na zgubę barbarzyństwa moskiewskiego, a w ostatku ku czci swobodnych Szwajcarów, za pomyślność Helweckiej ziemi.

* * *

Domyśli się czytelnik łatwo, że pan podsędek dla tego tylko sprzedał Radziszew, ażeby z kraju się wynieść z córką, o której przywiązaniu do Pawła wiedział. Celina dała mu słowo i poprzysięgła, że będzie jego żoną lub niczyją.

Paweł po ucieczce swej z więzienia w pierwszych dniach, gdy go na wszystkich gościńcach ścigano, musiał się skryć i przechowywać w ruinach jednego ze spalonych klasztorów, przebrany w nędzną odzież żebraczą...

Trzeba się było dać nieco Moskalom ze złości wysapać.

Kilka śmielszych osób, kilku poczciwych ludzi w mieście i na wsi pomagały w tem niebezpiecznem ocaleniu, którem kierowała głównie Celina, obmyśliwszy drogę dalszą do granicy.

W miesiąc dopiero udało się, do niepoznania zmienionego Pawła, przebranego w sukienkę ducho-

wną, opatrzonego w paszporty i świadectwa urzędowe, wyprawić z okolic Pińska do jednego z klasztorów na Litwę.

Podróż ta znowu była pełna przygód i niebezpieczeństw, ścigano bowiem jeszcze innych spiskowych, ukrywających się po kraju. Ale droga, którą się przedzierał Paweł, bardzo troskliwie była obmyślana.

Chociaż dosyć powolnie, dostał się nareszcie Zeńczewski na Litwę i ku granicy pruskiej. Tu zmienił znowu odzież, stan, fizjognomję i przedzierzgnął się na poddanego pruskiego, podróżującego dla kupna skór. Z ładunkiem ich przejechał on szczęśliwie granicę i nie zatrzymując się w krajach, w których łatwo jeszcze mógł być pochwycony i wydany, oparł się aż w Belgji.

Opowiedzieć tę wędrówkę w kilku słowach łatwo bardzo, ale ile ona kosztowała wysiłków, ile życia! ile na nią potrzeba było wyszafować męstwa a razem sztuki! — ci tylko obliczą, co się kiedy choć chwilowo w podobnem położeniu znajdowali. Nie jeden raz Paweł winien był ocalenie swoje śmiałości, z jaką się ocierał o urzędników, panowaniu nad twarzą, która nie zdradzała uczuć, lub szczęśliwemu trafowi, który zdawał się go ochraniać w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Dopiero przebywszy moskiewską rogatkę, uczuł, że się wydobył z więzienia, bo państwo to całe jest jedną tylko wielką turmą, pełną więźniów i straży.

W Belgji powrócił do dawnych zatrudnień. Jął się skromnej pracy dla chleba i uczył znowu zegarmistrzostwa.

Nie miał nawet pociechy przesłania dzięków i wieści o sobie pannie Celinie, bo list byłby ich zdradził. Dopiero nie rychło jadący cudzoziemiec zawiózł słowo od niego mężnej niewieście. Podsędkówna zna-

lazła sposób dać mu wiedzieć o swym wyjeździe z kraju, i spotkali się w Brukselli. Jagłowski stary był przygotowany na wszystko, kapitał ocalony wprzódy potajemnie wysłał za granicę, i, mimo tęsknoty do kraju, z córką razem pozostał tu na zawsze. Powrót byłby go niechybnie na srogie znowu prześladowanie wystawił.

Tak szczęśliwiej nad inne ukończył się ten epizod tragiczny wewnętrznej historji naszej nieszczęśliwej ojczyzny, której dzieje podobnych scen krwawych i łzawych liczą tysiące!...

KONIEC.

10 KOMPLETOW

GŁOŚNEJ POWIEŚCI LAUREATA NAGRODY NOBLA WŁADYSŁAWA REYMONTA

„CHŁOPI"

4-RY TOMY W OZDOBNEJ OPRAWIE

ROZLOSOWAŁY NASTĘPUJĄCE NUMERY:

540, 1661, 3890, 9271, 9842, 15462, 16329, 18711, 18787, 19322

Ogłoszona w 9 tomie „Bibljoteki Domu Polskiego" odezwa nasza do Czytelników o zjednywanie nowych prenumeratorów nie zawiodła pokładanych nadziei. Rozlosowaliśmy 10 kompletów „Chłopów" Władysława Reymonta, między tych wszystkich, którzy przyczynili się do krzewienia znajomości literatury narodowej. Los padł na 10 szczęśliwców, posiadaczy kuponów z wymienionemi wyżej numerami. Tysiącom tych pozostałych czytelników, składamy niniejszem serdeczne podziękowanie.

Przyznane nagrody Administracja wysyłać będzie po nadesłaniu kuponu z odpowiednim numerem, podając zarazem nazwisko i numer abonamentu.

ADMINISTRACJA
„BIBLJOTEKI DOMU POLSKIEGO"

„ROZRYWKI UMYSŁOWE"

POD REDAKCJĄ KAZIMIERZA GILEWICZA

KRZYŻ MAGICZNY

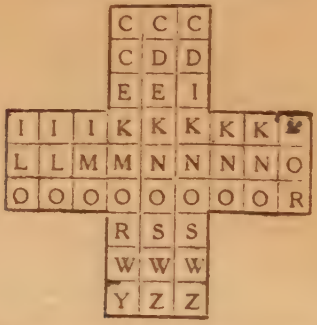

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy jednobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

Znaczenie wyrazów:

1. Lokatorzy. 2. Ptak. 3. Poeta polski.

J. Wł. Flisiński.

ŁAMIGŁÓWKA ZOOLOGICZNA

A G I L W
A E I K L N P
D E I K M O O R Z
A K O R S
G K O T U
A O N R W
A A I K N

W każdym szeregu poziomym litery poprzestawiać tak, ażeby otrzymać nazwy ptaków, a wtedy rząd środkowy, czytany z góry do dołu, da nazwę ptaka australijskiego.

Czesław Kozłowski.

Termin nadsyłania rozwiązań 14-todniowy. Trzy wartościowe nagrody przez losowanie. Napis na kopertach zalepionych: Redakcja „Bibljoteki Domu Polskiego". Warszawa, Nowowiejska 27. „Rozrywki umysłowe".

Rozwiązanie arytmogryfu, zamieszczonego w tomie 11-ym „Bibljoteki Domu Polskiego":

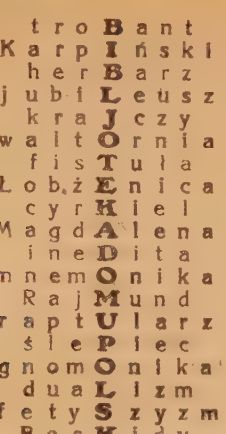

„Bibljoteka Domu Polskiego".

Trafne rozwiązania w terminie oznaczonym nadesłali: p. p: Czesław Kostełecki z Bełchatowa; Józef Müller z Betkowa; Jerzy Cienkosz z Bochnji; chorąży Wawrzynowicz z Brodnicy Pomorskiej; A. Czuczwarowa z Brześcia nad Bugiem; Kazimierz Dąbrowski i Edward Niemczyński z Brzeżan; Bronisław Lenarciński z Brzeźnicy; Krystyna Baranowska, kapitan Tadeusz Kramer, Florjan Szymański, Zofja Tobiaszówna i Bolesław Ziętak z Bydgoszczy; st. sierżant Ryszard Rudziński z Chełma; Mieczysław Lebla z Chodla; Tadeusz Jajko z Chrzanowa; Robert Bartold z Ciechanowa; Alojzy Cielecki, Jan Gunia, E. Rotter i of. poczt. Franciszek Skiba; Władysław Jaworski, Wł. A. Kunicki, Stanisław Myśliwiec, Jan Nowak, Stanisław Ostaszewski, Marja Podmagórska, dr. Alfons Stolz i Wanda Weynerówna z Dąbrowy Górniczej; Józef Lankauf z Dobrzejewa;

Antoni Jaworski z Dąbrówki; Włodzimierz Sienkiewicz z Drohiczyna; naucz. Stefan Sapieja z Drzewicy; Mieczysław Więcław z Dziedzic; Władysław Fijał z Gąsowa; Augustyn Sikorski z Gdańska; Jan Pokorski z Górki Pabjanickiej; G. Mackiewicz z Grabowa Łęczyckiego; Mieczyław Grzybowski z Harbutowic; Józefa Hubertówna z Jarocina; kapitan A. Zegadłowicz z Jarosławia; naucz. Jan Franczak z Jordanowa; Karol Czaplewski, Wiktor Krygier, A. Rotblatówna i Leokadja Wojakówna z Kalisza; Aniela Olearnikowa z Kamionki Strumiłowskiej; A. Dukawska i kapitan Kaniowski z Kielc; Józef Zając z Klwatki; Stanisław Werc z Kościan; Helena Bednarska, Leopold Bochnak, Jan Miska, Stanisław Racławicki i Jan Tyrybon z Krakowa; H. Imbsowa z Krośniewic; Stanisław Rychlicki z Krotoszyna; Bronisław Kędzior z Królewskiej Huty; Tadeusz Hasny, M. Krajewski i Tadeusz Nagler z Leszna; Wacław Górczyński z Leśnej-Podlaskiej; A. Zduńczyk z Łęczycy; Stanisław Dubronik, Edward Ejsmont i sierżant Wiktor Włodek z Lidy; Eugenjusz Hnatyk z Limanowa; Gizela Ochenduszko z Liska; Alfred Bagieński, Witold Paprocki i Michał Rzechowski z Lublina; M. Bilik, dr. Wiktor Hahn, A. Kalzner i Felicja Mazurkówna ze Lwowa; Henryk Berner, Ksawery Brylski, A. Gerszenowicz, Władysław Guttmejer, Józef Jędrzejczak, C. Kapczyński, Franciszek Kozieł, Wiktorja Ławicka, plut. „Olek", Stefan Pawlak, Stanisław Rogiewicz i Zygmunt Staszewski z Łodzi; J. Miecznikowski z Łowicza; nacz. p. Józef Witkowski z Milanówka; Jan Śliwczyński z Miłotek; por. Edward Jędrzejewski z Modlina; Spłatkowski z Myśliwiec; Wacław Czerwiński z Nakła; Fabjan Kamiński z Nieświeża; W. Kiełbusówna z Niskiego; Halinka Szurmiakówna z Nowego Sącza; Józef Kapes z Odolinek; Tomasz Faliszewski z Opatowa-Kieleckiego; Zdzisław Fischbach z Ostowa Wielkopolskiego; Paweł Hort i Karol Taraba z Ostrzeszowa, St. Miłek i Artur Werchel z Pabjanic; Konstanty Bełdowski i Zygmunt Sęk z Piotrkowa; naucz. Franciszek Komendera z Roczyn; Mieczysław Izdebski i Stanisław Uchański z Radomia; K. Sibilski z Rawicza; Adam Kucewicz z Równego; naucz. Wiktorja Wiatrowa z Ryglic; Józef Filipek z Rzeszowa; Juljusz Lejsiankiewicz

z Sambora; Roman Koseła z Sandomierza; Paweł Kowalczuk z Seroczyna; Benedykt Polak z Siedlec; sierż. Tomasz Delikat i por. Franciszek Kłosowski ze Skierniewic; Marja Spaczyńska z Sokala; Zygmunt Kuligowski z Sołek; St. Kuczerówna, Tadeusz Lecybil, Andrzej Miller, Edward Nowakowski, Józef Staroń, Henryk Tuszyński i Marjan Wnuk z Sosnowca; Eugenjusz Płachecki i A. Zacierka ze Sterdynia; prof. gimn. Edward Merklinger ze Strzyżowa nad Wisłokiem; Ludwik Jesionek z Sułkowic-Bolęcina; Tomasz Cober z Szopienic; Marja Wiejska z Szymanowic; Józef Drzycimski, Józef Kufel i Z. Ziemer ze Świecia; Józef Kumej ze Świętochłowic; Władysław Święch z Tarnowa; Mieczysław Pustula z Tenczynka; Stefa Majewska z Wadowic; Zbigniew Biernacki, Kazimierz Gantz, major Walery Krokay, Helena Piachowówna i Stanisław Rembiszewski z Warszawy; Ks. Ludomir Zajączkowski z Warty; Tadeusz Lipkowski z Werch; Zygmunt Raczko z Węgrowa Siedleckiego; naucz. Jan Guzik z Wieliczki; R. Kemp w Wirach; Władysław Buczyński z Wisły; Kamił Słomkowski i Teofil Wojtczak z Włocławka; Marjan Habelman z Włodawy; Zygmunt Szwec z Worochty; as. poczt. Stanisław Rogoziński z Wotwiny; B. Barciszewski i kapitan Stanisław Sarjusz - Romiszewski z Wrześni; Karol Goering z Zagórowa; Marjan Łakota z Zawiercia; Józef Jaszczak z Zdzienulic; Stanisław Badylak, J Bobiński, Kazimierz Lankauf, sierż Osiński, A. Owsikowski, L. Tomaszewski i Fr. Wolf — bez podania miejsca zamieszkania.

Nagrody drogą losowania otrzymują:

1. M. Ryttel. Mordy — Kosiarka gazonowa.

2. Henryk Tuszyński z Sosnowca — prenumerata całoroczna.

3. Józef Kapes z Odolinka (ab. 1827)—prenum. półroczna.

Wszystkie nagrody wysyłamy pocztą.

Odpowiedzi:

W sprawach nie mających nic wspólnego z „Rozrywkami umysłowemi" kierownik działu prosi uprzejmie Sz. Czytelników o zwracanie się bezpośrednio do Administracji.

P. p. Ant. Nycz. z Białej; Stan. Geszat. z Kęt; A. Dąbr. z Komarn.; Z. Skalsk. z Krak.; Eug. Zincz. z Leśn. - Podl. i P. Bartosz. ze Świec. Wobec braku wyrazów pomocniczych rozwiązania arytmogryfu 1-go nie uwzględniliśmy.

K. GIL.

„Ktoby wiedział o miejscu pobytu którego-kolwiek z uczniów lub nauczycielek, byłej Szkoły Parafialnej w Sławucie na Wołyniu, proszony jest o łaskawe zawiadomienie pod adresem: Tomaszów Maz. ul. Karpaty Nr. 39. Antoni Olasik."

„Tygodnik Wileński"

PRZEGLĄD ILUSTROWANY
POŚWIĘCONY SZTUCE i LITERATURZE

pod redakcją

Witolda Hulewicza.

WILNO — WARSZAWA.

Wychodzi od 12 kwietnia r. b. Cena numeru **70 groszy.**

Współpraca najwybitniejszych autorów.

Własni korespondenci zagranicą.

Nakładem „Księgarni Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego".

KTO

NA GÓRNYM ŚLĄSKU

skutecznie chce ogłaszać, kto tam chce nawiązać stosunki handlowe z przemysłem i kupiectwem, niech zrobi próbę z ogłoszeniem w wychodzącym w Katowicach dzienniku

„GONIEC ŚLĄSKI"

który ma najszybsze wiadomości telefoniczne wzgl. telegraficzne od własnych korespodentów w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Berlinie, Genewie, Paryżu i Londynie

W dziale politycznym artykuły wybitnych publicystów, polityk. i parlamentarzystów, oraz głosy z najpoważniejszych kół obywatelskich

„GONIEC ŚLĄSKI" jest bezsprzecznie

NAJPOCZYTNIEJSZEM PISMEM

wszelkich sfer G. Śląska i nadaje się do :: :: :: najskuteczniejszej reklamy :: :: ::

OGŁOSZENIA MAJĄ SKUTEK ZAPEWNIONY!

CENY OGŁOSZEŃ:

za wiersz mm (35 szeroki) 12 gr. Reklamy za wiersz mm (70 mm szeroki) 40 gr. — Przy kilkurazowem ogłoszeniu odpowiedni rabat.

ŚWIAT KOBIECY

ZDOBYŁ REKORD POLSKICH CZASOPISM KOBIECYCH

bo łączy prawdziwą wytworność z praktycznością zgodnie z najlepszemi tradycjami polskich Pań,

posiada zaufanie dziesiątków tysięcy czytelniczek, jako doradca we wszystkich sprawach kobiecych

daje za niską cenę bogatą treść: w każdym numerze 36 — 44 stron obficie ilustrowanych, 50 — 100 modeli mód, kilkanaście wzorów robót ręcznych, kroje wzory do robót i t. p.

„Świat Kobiecy" jest dwutygodnikiem, wychodzi co 5-go i 20 każdego miesiąca. Numer zł. 1.50. Prenumerata kwartalna zł. 9. Nabywać i prenumerować można we wszystkich księgarniach i kioskach, lub w Administracji: Lwów, Chorążczyzny 27, która przy powołaniu się na niniejsze ogłoszenie wysyła bezpłatnie numer okazowy.

:: :: ATRAMENTY :: :: **KOLORYT** ULTRAMARYNA
PASTA DO OBUWIA BARWNIKI

„NOWOŚCI ILUSTROWANE"

Najpoczytniejszy tygodnik ilustrowany wychodzący od 1903 roku

Zawiera około 100 zdjęć z Polski i całego świata. Przegląd polityczny i aktualny z tygodnia. Bogaty dział mód, teatrów polskich, sportu. Dział beletrystyczny zawiera dwie powieści oraz nowele. Dział rozrywkowy: humor, szachy, szarady, liczne premjowane konkursy etc.

Wszędzie do nabycia! **Wszędzie do nabycia!**

Prenumerata kwartalna zł. 7.50 Numer pojedyńczy 75 gr. Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach i na stacjach kolejowych.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95. Telefon Nr. 479
Konto P. K. O. Kraków 400.519